NAD NIEMNEM

ELIZA ORZESZKOWA

Eliza Orzeszkowa

NAD NIEMNEM

Tom I

I

Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie jaśniało, kwitło, pachniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały znad pól porosłych zielonym zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokręgu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami[1] i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna piaszczystą ścianą wyrastający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba ogromnym półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieniegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiaste topole. Dnia tego w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobręczy złotej, przepasanej jak purpurową wstęgą tkwiącą w niej warstwą czerwonego marglu[2]. Na świetnym tym tle w zmieszanych z dala zarysach rozpoznać można było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkudziesięciu dworków małych. Był to wraz z brzegiem rzeki zginający się nieco w półkole sznur siedlisk ludzkich, większych i mniejszych, wychylających ciemne swe profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami, w powietrzu czystym i spokojnym wzbijały się proste i trochę tylko skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerzynały drogi białe i trochę zieleniejące od z rzadka porastającej je trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przybiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dzięcieliny[3] i smółek[4]. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem bielały bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, słały się w trawach fioletowe rohule[5], żółtymi gwiazdkami świeciły brodawniki[6] i kurze ślepoty, liliowe skabiozy polne wylewały ze swych stulistnych koron

miodowe wonie, chwiały się całe lasy słabej i delikatnej mietlicy[7], kosmate kwiaty babki stały na swych wysokich łodygach, rumianością i zawadiacką postawą stwierdzając nadaną im nazwę kozaków. Za tymi pasami roślinności dzikiej cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosy jeszcze zielone, lecz już osypane drżącymi rożkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane słały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyny; puchem też, zda się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdzieniegdzie kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołymi rzekami przepływała po łanach niskich jeszcze owsów i jęczmion.

Wśród tej wesołej przyrody ludzie dziś także byli weseli; mnóstwo ich ciągnęło po drogach i miedzach. Gromadami na drogach, a sznurami na miedzach szły wiejskie kobiety, których głowy ubrane w czerwone i żółte chusty tworzyły nad zbożami korowody żywych piwonii i słoneczników. Od tych gromad lały się i płynęły po łanach strumienie różnych głosów. Były to czasem rozmowy gwarne i krzykliwe, czasem śmiechy basowe lub srebrzyste, czasem płacze niemowląt u piersi w chustach niesionych, czasem też pieśni przeciągłe, głośne, których nutę porywały i przedłużały echa ze stron obu: w borkach i gajach rosnących na wzgórzach i w wielkim borze, który ciemnym pasem odcinał pozłoconą, przetkaną szkarłatem ścianę nadniemeńską od wysadzanych srebrnymi obłokami błękitów nieba. W tym ruchu ludzkim odbywającym się na urodzajnej równinie czuć było najpiękniejszy dla wiejskiej ludności moment święta: wesoły i wolny w słoneczny i wolny dzień boży powrót z kościoła.

W porze, kiedy ten ruch znacznie już stawał się mniejszy, na równinie, z dala od tu i ówdzie jeszcze ciągnących gromad, ukazały się dwie kobiety. Szły one z tej samej strony, z której wracali inni, ale zboczyły znać z prostej drogi i chwilę jakąś przebyły w jednym z rosnących na wzgórzach borków. Było to przyczyną ich spóźnienia się, tym więcej, że jedna z nich niosła ogromną więź leśnych roślin, które tylko co i dość długo zapewne zrywała. Druga kobieta zamiast kwiatów trzymała w ręku niepospolitej wielkości chustkę, która za każdym jej szerokim i zamaszystym krokiem kołysząc się wraz z długim ramieniem powiewała jak sporej wielkości chorągiew. Z dala to tylko widać było, że jedna z tych kobiet miała w ręku pęk roślin, a druga szmatę białego płótna; z bliska uderzały one niezupełnie zwykłą powierzchownością.

Kobieta z chustką była niezwykle wysoka, a wysokość tę zwiększała jeszcze chudość jej ciała, które przecież posiadało szkielet tak rozrosły i silny, że pomimo chudości ramiona jej były szerokie i wydawałyby się bardzo silne, gdyby nie małe przygarbienie pleców i karku objawiające trochę znużenia i starości, gdyby także nie ostre kości łopatek podnoszące w dwu miejscach staroświecką mantylę[8] z długimi, co chwilę

powiewającymi końcami. Oprócz tej mantyli zaopatrzonej w płócienny kołnierz miała ona na sobie czarną spódnicę, tak krótką, że spod niej aż prawie do kostek widać było dwie duże i płaskie stopy ubrane w grube pończochy i wielkie, kwieciste pantofle. Ubiór ten uzupełniony był przez stary kapelusz słomiany, którego szerokie brzegi ocieniały twarz, na pierwszy rzut oka starą, brzydką i przykrą, ale po bliższym przyjrzeniu się uwagę i ciekawość budzić mogącą. Była to mała, chuda, okrągła twarz ze skórą tak ciemną, że prawie brązową, z czołem sfałdowanym w kilka grubych zmarszczek, z wpadłymi i kościstymi policzkami, z wyrazem goryczy i złośliwości nadawanym jej przez ostrość nosa i zaciśnięcie warg, a wzmaganym przez szczególną ognistość i przenikliwość oczu. Te oczy zdawały się być jedynym bogactwem tej biednej, zestarzałej, złośliwej twarzy. Może kiedyś były one jedyną jej pięknością, a teraz, wielkie i czarne, spod czarnych, szerokich brwi oświecały ją jeszcze przejmującym blaskiem; miały one spojrzenie przenikliwe, ostre, urągliwe i płomienność nieustanną, jakby wciąż z wnętrza podsycaną, a dziwną przy tej sczerniałej, w dłoni czasu czy losu zgniecionej twarzy. Szła szerokim, zamaszystym, do pośpiechu znać przyzwyczajonym krokiem, a długie jej ramiona, u których wisiały ciemne, kościste ręce, kołysały się u jej boków w tył i naprzód, białą, rozwiniętą chustką jak chorągwią powiewając.

Kobietę z kwiatami trudno byłoby nazwać od razu panną z wyższego towarzystwa albo też dziewczyną z niższych warstw wiejskiej ludności. Wyglądała trochę na jedno i na drugie. Wysoka, choć znacznie od towarzyszki swojej niższa, ubrana była w czarną wełnianą suknię, bardzo skromną, która jednak wybornie uwydatniając jej kształtną i silną, w ramionach szeroką, a w pasie cienką kibić zdradzała znajomość żurnalu mód i rękę biegłego krawca. W wyprostowaniu jej kibici i w delikatności cery czuć było także manierę i cieplarnię. Ale w zamian ruchy jej i gesty sprzeczały się z całością jej osoby trochą popędliwości i jakby przybranej rubaszności, nie miała ona przy tym na sobie ani kapelusza, ani rękawiczek. Głowę owiniętą czarnym jak heban warkoczem i twarz śniadą, z purpurowymi ustami i wielkimi, szarymi oczami śmiało wystawiała na upalne gorąco słońca. Płócienny, tani parasolik opierała o ramię, a ręce jej dość duże i opalone zdradzały nader rzadkie używanie rękawiczek. Wszystko to uderzało tym więcej, że sposób, w jaki trzymała swą odkrytą głowę i ciemne brwi nad siwymi oczami ściągała, nadawał jej wyraz śmiałości i dumy. W ogóle ta panna czy ta dziewczyna na lat dwadzieścia parę wyglądająca wydawała się uosobieniem piękności kobiecej zdrowej i silnej, lecz dumnej i chmurnej. Pogody, jaką nadaje ludzkim twarzom szczęście lub rezygnacja, w tej młodej i świeżej, ale niespokojnej i zamyślonej twarzy nie było, jakkolwiek rozjaśniało ją teraz to zupełnie fizyczne ożywienie, którym istotę ludzką, niezupełnie jeszcze przez życie zniweczoną, napełnia długa i swobodna kąpiel w kipiącym zdroju przyrody.

Prędko idąc, aby szerokim krokom towarzyszki swej wyrównać, z

zajęciem, prawie z miłością przyglądała się ona uzbieranej przed chwilą więzi roślin. Były tam bujne liliowe dzwonki leśne, gwoździki, pachnące smółki[9], liście młodych paproci, młodziutkimi szyszkami okryte gałązki sośniny. Wszystko to rzucało jej w twarz falę dzikiej i przenikliwej woni, którą też ona od chwili do chwili wciągała pełnym i długim oddechem swej silnej, szerokiej piersi. Rozkosz, którą uczuwała wtedy, i upał słońca, w którym nurzała swą odkrytą głowę, rumieńcem powlekły śniade jej policzki; zarazem surowe jej i zamyślone, choć pełne purpurowej krwi usta rozchyliły się w młodym i szczerym śmiechu. Śmiała się ze słów towarzyszki swej, która idąc wciąż prędko i wielkimi stopami swymi z wysoka i mocno o ziemię uderzając, grubym, nieco ochrypłym, przez brak oddechu często przerywanym głosem ciągnęła w borku jeszcze rozpoczęte opowiadanie.

— Ot, tu, powiadam ci, w tym samym miejscu, pomiędzy tymi wzgórkami, te głupie chłopy wzięli mnie za cholerę… Może nie wierzysz? Słowo honoru, prawdę mówię! Jeszcześ wtedy nie była w Korczynie, jeszcze mała byłaś, bo było to właśnie wtedy, kiedy ojczulek twój z tą Francuzicą romansował!…

Urwała nagle, stanęła, chrząknęła tak głośno, że aż rozległo się po polu; chustką trzymaną w ręku jeszcze głośniej nos utarła i gniewnie do siebie zamruczała:

— Wieczna głupota moja!

Młoda panna, której na chwilę twarz znieruchomiała, uśmiechnęła się znowu.

— Co tam! Niech ciocia na to nie zważa! Jaż wiem dobrze o wszystkim i z przeszłością oswoiłam się zupełnie… Przecież ciocia nie przez złośliwość pewno… Co tam! Jakże to było z tą cholerą?

Zaczęły iść dalej, tak samo prędko jak wprzódy. Stara mówiła znowu:

— Ot, jak było. Z kościoła wracałam, tak jak i teraz, a śpieszyłam bardzo, bo Emilka była chora i goście mieli na obiad przyjechać… Więc leciałam co tchu, wprost przez pole, które wtedy ugorem stało, przez puste zagony… Co dam krok, to półtora zagona przesadzę… Wprost jakbym nad ziemią leciała… A miałam na sobie zieloną suknię… jeszcze wtedy kolorowe suknie nosiłam… Kapelusz taki, ot, słomkowy zdjęłam i dla ochłody machałam nim sobie przed twarzą… Uf! nie mogę…

Zdyszała się, stanęła znowu i zaczęła kaszleć. Kaszel jej był gruby, chrypliwy, głośny, jakby dobywał się z głębi beczki. Mało jednak zwracała nań uwagi i zaraz idąc znowu opowiadała dalej:

— Cholera wtedy grasowała po świecie; w naszych stronach jej jeszcze nie było, ale ludzie lękali się, aby nie przyszła… Otóż, kiedy mnie chłopi wracający z kościoła zobaczyli tak lecącą polem, jak narobią krzyku, płaczu… Jedni zaczęli uciekać i biec tak prędko, jakby ich diabeł gonił, drudzy popadali pośród dróg na kolana i nuż żegnać się, czołami bić o ziemię, pacierze głośno mówić… „Cholera! — krzyczą — ot i już bieży, nam

na zgubienie!” „Ale! — odpowiadają drudzy — już to nie co innego! Cholera i koniec! Wielka taka, że głową nieba dostaje, w zielonej sukni i złotą łopatą macha!” Ta łopata, uważasz, to był mój kapelusz na słońcu błyszczący… prawda, że go też dobrze spłaszczyłam, bo zdjąwszy w kościele z powodu gorąca i nie mając gdzie podziać, położyłam go na ławce i przez całe nabożeństwo na nim siedziałam… Uf! nie mogę…

Znowu zabrakło jej oddechu, chrząkała, nos ucierała i chwilę szła milcząc.

— I cóż się stało potem? — zapytała młoda panna.

— A cóż? Daremnie ekonom, który jak raz wtedy wracał też z kościoła, i Bohatyrowicze, którzy mnie kiedyś znali, z bliska nawet znali, perswadowali chłopom, że to nie była cholera, tylko panna Marta Korczyńska z Korczyna, kuzynka pana Benedykta Korczyńskiego… Nie uwierzyli i do dzisiejszego dnia nie wierzą… „Ot — mówią — czy to taka kobieta może gdzie być na świecie? Głową do nieba dostawała, nad ziemią leciała, zieloną suknię miała na sobie i złotą łopatą machała, morowe powietrze przed sobą pędząc…” Wieczna głupota ludzka! Powiadam ci, Justynko, że ludzka głupota to wielki i wieczny kamień. Większy on jeszcze od ludzkiej złości. Już ja to wiem, bo był czas, że i sama tak uderzyłam się o swoją własną głupotę, że… Uf! nie mogę…

Sapała, chrząkała, kaszlała znowu głośno jak z beczki. Justyna policzki i usta topiąc w dzwonkach[10], paprociach i gwoździkach zauważyła:

— Przecież cioci te niemądre gadania nic nie zaszkodziły…

Czarne oczy Marty Korczyńskiej spojrzały ostro, prawie zjadliwie.

— Tak myślisz? — sarknęła — wiecznie to samo. Nikt nie uwierzy w to, czego sam nie doświadczył. Nie zaszkodziły! Pewno, nie zjadły mnie one, ale… ukąsiły. Czy ty myślisz, że to miło być wziętą za cholerę? Nie byłam ja wtedy tak stara… dwanaście lat temu miałam lat trzydzieści sześć…

— Więc teraz czterdzieści osiem? — z niejakim zdziwieniem zauważyła Justyna.

— A ty może myślałaś, że sześćdziesiąt? — ostro zaśmiała się Marta. — Zapewne wyglądam na tyle, sama to wiem, a i wtedy już niewiele lepiej jak teraz wyglądałam. Może nie wiesz dlaczego? Ha? Czy wiesz, dlaczego?

— Wiem — z powagą odpowiedziała panna.

— No, to dobrze, że wiesz, bo może zrobisz co takiego, abyś i sama prędko na cholerę wyglądać nie zaczęła…

Justyna ramionami wzruszyła.

— A cóż ja takiego zrobić i co przeciw temu poradzić mogę?

Zamyśliły się obie i mimo woli zwolniły kroku, co najpierw spostrzegła starsza.

— No, wleczem się jak żółwie. Prędzej, bo już tam Emilka wyrzeka pewno, że nie wracam, i zaczyna dostawać migreny albo globusa…[11]

— A Terenia — podchwyciła panna — biegnie po krople z bobrowej esencji albo po proszki bromowe, albo po antymigrenowy ołówek[12], albo

po Rigollot[13].

Zaśmiała się, lecz wnet spoważniała znowu.

— Wujenka jest naprawdę biedna z tym ciągłym chorowaniem.

Marta kiwnęła głową i machnęła ręką.

— A pewno — rzekła — biedna kobieta! Ale bo, widzisz, żeby tak pchły pieścić, jak ona swoje choroby pieści, to by na wołów powyrastały, słowo honoru!

W tej chwili za rozmawiającymi rozległ się turkot powozu; droga była w tym miejscu wąska, zeszły więc na stronę. Szły samym skrajem pola porosłego gęstą pszenicą. Biała i sucha kurzawa owiała je wielkim kłębem, o tyle jednak przezroczystym, że rozpoznać w niej było można zgrabny faeton[14], ciągnięty przez cztery piękne, błyszczącą uprzężą okryte konie i dwu siedzących w faetonie mężczyzn. Widziały też, że obaj mężczyźni, spostrzegłszy je, podnieśli nad głowami czapki, a jeden z nich nawet przechylając się nieco ku nim zawołał:

— Święte panny: Marto i Justyno, módlcie się za nami!

Marta z rozżarzonymi oczami i machając ku powozowi swą białą chustą odkrzyknęła:

— A modliłam się, modliłam się, aby Bóg panu rozum przywrócić raczył!

Wykrzykowi temu odpowiedział z oddalającego się szybko powozu wybuch śmiechu, widocznie basowy i ochrypły głos Marty przedrzeźniającego. Na twarzy Justyny wybił się wyraz silnie uczutej przykrości, prawie udręczenia.

— Boże! — szepnęła — a ja miałam nadzieję, że ten człowiek dziś już do nas nie przyjedzie, że go ten pan Różyc do siebie na obiad zaprosi…

— Nie głupi on! — odpowiedziała Marta. — Zapewne Różyc zaprosił go do swego powozu; wolał więc swoje szkapiny do domu odprawić, a sam i w cudzym faetonie poparadować i u nas cudzy obiad zjeść… dwie razem korzyści dla hultaja tego…

Justyna była widocznie zaniepokojona. Już pachnąca więź[15], którą trzymała w ręku, zajmować ją przestała.

— Ciekawam — szepnęła — jaką to komedię mieć dziś będziemy?

Marta spojrzała na nią przenikliwie i ciszej trochę rzekła:

— O papuńcię swego lękasz się, ha? Ten błazen wieczne facecje[16] wyprawia z tym safandułą…

Tu aż się za wklęsłe usta swoje wielką ręką chwyciła.

Po czole, ustach i nawet ramionach Justyny przebiegło drgnienie nagle jakby uczutego obrzydzenia; wnet jednak odpowiedziała:

— Niech ciocia śmiało wszystko przede mną mówi. Ja dawno już zrozumiałam położenie ojca i swoje, dawno, dawno… ale oswoić się z nim nie mogę, i nigdy, nigdy z nim się nie pogodzę…

Marta zaśmiała się.

— Ot. Lubię takie gadanie! Ciekawam, co zrobisz? Musisz pogodzić się

albo powiesisz się chyba czy utopisz się… Każdy desperuje z początku, a potem i godzi się z takim losem, jaki mu Bóg czy diabeł nasyła. Bo aby wszystkie losy ludzkie były robotą Pana Boga, w to ani trochę nie wierzę. Spowiadałam się już z tego i raz nawet absolucji[17] od księdza nie dostałam, jednak nie wierzę… Powiadam ci, że każdy z początku desperuje, a potem jak baran na rzeź spokojnie swoją drogą idzie… Uf! nie mogę!

Zakaszlała się tak, że aż jej oczy łzami zaszły. Krztusząc się jeszcze, tymi załzawionymi oczami na towarzyszkę popatrzała.

— Ty bo, Justynko, straszną melancholiczką jesteś! Czemu nie robisz tak jak i inne panny? Z łaski wuja i wujenki korzystaj, strój się, kiedy cię stroić chcą, baw się, gdy tylko zdarzy się okazja, mizdrz się do kawalerów, a może którego złapiesz i za mąż wyjdziesz… ha? Słowo honoru! Czemu ty tak nie robisz?

Justyna nie odpowiadała. Szła prosto i równym krokiem jak wprzódy, tylko w rozpalonych i zamyślonych jej oczach błysnęły łzy.

— Phi! — zaśmiała się Marta — melancholiczką jesteś… i dumna jak księżniczka. Od wujostwa nic przyjmować nie chcesz, ze swoich procencików ubierasz siebie i ojca, trzewiki nawet oszczędzasz, tak że czasem boso chodzisz, kapelusza i rękawiczek nie nosisz…

— O, niech ciocia tak nie myśli! — porywczo prawie zawołała Justyna. — Ja ani kłamać, ani udawać nie chcę! Prawda, że zawsze łamię sobie głowę, aby mnie i ojcu tych kilku własnych naszych groszy na odzienie przynajmniej wystarczyło… Ale boso czasem chodzę i kapeluszów ani żadnych drogich rzeczy nie noszę nie tylko dlatego… nie tylko dlatego…

— To i dlaczegóż? No, dlaczegóż? — błyskając oczami dopytywała się stara panna.

— Dlatego — z nagłym i silnym rumieńcem odparła Justyna — że dawno już odechciało mi się ich strojów i zabaw, ich poezji i ich miłości… Żyję tak, jak oni wszyscy, bo skądże sobie wezmę innego życia, ale jeżeli mogę zrobić co inaczej niż oni, po swojemu robię i nikogo to obchodzić nie powinno.

Marta przypatrywała się jej przenikliwie i z uwagą.

— A wszystko to — rzekła — poszło od tej historii twojej z Zygmusiem Korczyńskim… prawda? Cha! cha! Myślałaś wtedy pewno, że cię otwartymi ramionami spotkają i do familii swojej wprowadzą… bo i tak przecie krewną im przychodzisz… A oni tymczasem… gdzie! Ani pomyśleć o tym nie dali mazgajowi temu… Cha! cha! wiem ja to wszystko, wiem! Wieczna głupota ludzka!

Justyna ze wzrokiem w ziemię wbitym milczała.

— No, a myśliszże ty jeszcze czasem o tym mazgaju? Serce… boli jeszcze czasem?

— Nie.

Z krótkiej tej odpowiedzi poznać można było, że panna Justyna mówić nie chce o przedmiocie przez starszą jej towarzyszkę zaczepionym. Tylko już wszelki cień uprzedniego ożywienia zniknął z jej twarzy. Zmysły jej

przestały pić z kielicha rozkwitłej przyrody rozkoszny napój zapomnienia. Gryząca troska przejrzała się w zwierciadle jej szarych, przezroczystych źrenic; jakieś wspomnienia czy wstręty opuściły w dół końce pąsowych warg, nadając im wyraz znudzenia i goryczy. Wtem na drodze za dwoma idącymi kobietami zaturkotały znowu koła, tylko nieco inaczej niż wprzódy. Nie był to głuchy i do cichego grzmotu podobny turkot faetonu, ale klekotliwe trochę i z lekkim skrzypieniem połączone toczenie się kół prostego wozu. Kurzawa też podniosła się znacznie mniejsza, opadła prędko i dwie kobiety, obejrzawszy się ujrzały za sobą długi wóz napełniony słomą, którą z obu boków przytrzymywały drewniane drabiny, a okrywał wzdłuż wozu rozesłany, pasiasty i barwisty, na domowych, wiejskich krosnach utkany kilimek[18]. Wóz ten ciągnęła para koników małych, tłustych, z których jeden był kasztanowaty[19] z konopiastą grzywą, a drugi gniady[20] z białymi nogami i białą łatką na czole. Oplatała je z rzadka uprząż z prostych, grubych powrozów. Gdyby nawet koła tego wiejskiego ekwipażu nie turkotały wcale, a ciągnące go drobnym truchtem koniki stąpały bez najlżejszego szelestu, zbliżenie się jego dałoby znać o sobie przez unoszący się zeń wielki gwar głosów. Napełniało go towarzystwo liczne. Na słomie okrytej pasiastym kilimkiem, pomiędzy okrągłymi poręczami drabin, siedziało kilka kobiet, z których jedna tylko była niemłoda, w ciemnej chustce na plecach i wielkim czepcu na głowie, inne zaś, niby klomb ogrodowy, kwitły rumieńcami twarzy i jaskrawymi barwami ubrań. Było im tak ciasno, że siedziały w różnych postawach i kierunkach, twarzami, bokami i plecami ku sobie zwrócone, ściśnięte jak kwiaty w bukiecie. Jednym z nich w tym ścisku chustki z głów pospadały i tworzyły na plecach kapiszony z muślinu albo perkalu; innym kosy[21] nawet czarne albo złociste rozwinęły się na błękitne albo różowe staniki, a u wszystkich nad uszami i przy skroniach zwieszały się albo sterczały wetknięte we włosy pąsowe, liliowe i żółte kwiaty. Wóz trząsł nimi i silne ich kibicie chwiał wciąż w kierunki różne, chwytały też drabiny ciemnymi rękami albo czepiały się wzajem swych ramion i sukien śmiejąc się i gadając głośno i wszystkie razem. W tym gwarnym ogródku było tak ciasno, że woźnicy zabrakło miejsca do siedzenia: kierował on końmi stojąc u samego brzegu wozu, a można by przypuścić, że postawę tę przybrał nie z konieczności, ale przez zalotność, dlatego aby w najkorzystniejszym świetle wydać się współtowarzyszkom podróży. Był to mężczyzna trzydziestoletni, wysoki i tak zgrabny, jakby go matka natura z lubością i wielkim staraniem na łonie swym wyhodowała. Tymczasem nie co innego, tylko ciężka praca około zdobywania jej darów, gorące jej żary letnie i dzikie polne powiewy nadały temu ciału taką harmonię i siłę, że trzęsący się i podskakujący wóz nie mógł zmącić ani na chwilę jego prostych i wyniosłych linii. Od ogorzałej cery jego twarzy silnie odbijały złociste, bujne wąsy i jasnozłote włosy, opadające spod czapki na kołnierz szarej, krótkiej kurty, ku ozdobie zapewne zieloną taśmą oszytej. Niedbale w

ogorzałych rękach trzymając lejce i nie odwracając twarzy ku wiezionym przez się kobietom, odpowiadał wesoło na zapytania ich i przycinki, czasem męski śmiech swój łączył z chórem cienkich, piskliwych śmiechów dziewcząt.

Marta i Justyna zatrzymały się u brzegu drogi, w cieniu wierzby, której kwiat podobny do zielonawych robaczków osypywał im suknie i głowy. Marta w kierunku jadących machnęła swą białą chustką i niezwykle u niej przyjaznym głosem krzyknęła:

— Dobry wieczór, panie Bohatyrowicz! Dobry wieczór!

Woźnica szybko zdjął czapkę, odkrywając czoło mniej opalone od reszty twarzy, gładkie i pogodne.

— Dobry wieczór! — odpowiedział.

— Dobry wieczór! — chórem krzyknęły dziewczęta.

— A skądżeś to pan wziął tyle dziewcząt? — zawołała znowu stara panna.

— Po drodze jak poziomki uzbierałem — nie zatrzymując koni, ale tylko zwalniając nieco ich biegu odpowiedział zagadnięty.

Jedna z dziewczyn, najśmielsza znać, przechylając się przez drabinę wozu i białymi zębami błyskając, głośno prawić zaczęła:

— Piechotą, proszę pani, szłyśmy… a on nas napędził, tośmy mu kazały, aby nas zabrał…

— Oho! Kazały! — zażartowała Marta.

— A jakże! — potwierdziła dziewczyna z wozu — czy ja nie mam prawa jemu nakazywać? Jaż jego strzeczna[22] siostra! Dla siostry szacunek mieć powinien! Bardzo słusznie!

W tej chwili wóz zrównał się ze stojącymi pod wierzbą kobietami, woźnica po raz drugi zdjął czapkę i spojrzenie jego z wysoka spłynęło na Justynę. W tym szybkim spojrzeniu dostrzec można było, że oczy woźnicy błękitne były jak turkusy i że w tej chwili przeleciała w nich błyskawica. Ale wnet włożył na głowę czapkę, twarz znowu ku drodze zwrócił i poruszywszy lejcami zawołał na konie, aby szły prędzej.

Wóz zaczął toczyć się prędzej. Justyna z zaciekawieniem i figlarnością w oczach, z rozchylonymi w uśmiechu ustami podskoczyła i gestem wesołym, który by nawet wykwintnemu oku mógł wydać się rubasznym, rzuciła na jadące kobiety swoją więź gałęzi i kwiatów. Na wozie wybuchnęły śmiechy, dziewczęta chwytały rozsypane kwiaty, niektóre z nich wołały:

— Dziękujemy! Dziękujemy panience!

Ale woźnica nie obejrzał się i nie zapytał o przyczynę powstałego na wozie gwaru. Zamyślił się o czymś tak bardzo, że aż głowę, którą przedtem wysoko trzymał, trochę pochylił.

Dwie kobiety iść znowu zaczęły. Marta mówiła:

— Ten Janek Bohatyrowicz na pięknego i dzielnego chłopaka wyrósł… Znałam go dzieckiem… Znałam ich kiedyś wszystkich… kiedyś… dobrze i z bliska…

Zamyśliła się, mówiła ciszej trochę niż zwykle.

— Był, uważasz, taki czas krótki, że ci Bohatyrowicze u nas we dworze bywali i do stołu z nami siadali… mianowicie, ojciec tego Janka, Jerzy, i stryj jego, ten Anzelm Bohatyrowicz, co to teraz podobno schorowany i melancholikiem jakimś stał się… Jednakowoż jaki to był kiedyś mężczyzna… przystojny, odważny, patriota… romansowy… Do takiej poufałości wtedy pomiędzy dworem a tą szlachecką okolicą przyszło, że siądę sobie, bywało, do fortepianu i akordy biorę, a Anzelm za mną stanie i śpiewa: „Bywaj, dziewczę, zdrowe, ojczyzna mię woła!” A potem ja jemu śpiewam: „Szumiała dąbrowa, wojacy jechali…” Będzie temu już lat dwadzieścia dwa… trzy… Jaki to był gwar u nas, jakie życie i moje, i wszystkich… A teraz wszystko inaczej… inaczej… — wieczny smutek…

Mówiła to coraz powolniej, głową kiwała, a ogniste jej oczy nieruchomo tkwiły w dalekim punkcie przestrzeni. Wtem znad wozu, który oddalił się o kilkadziesiąt kroków, z towarzyszeniem klekotliwego turkotu kół wzniósł się czysty i silny głos męski z całej szerokiej piersi śpiewający strofę starej pieśni:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
A ja doliną;
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,
A ja kaliną.

Justyna z szeroko otwartymi oczami i rozchylonymi w uśmiechu usty słuchała pieśni, która dalej rozlewała po polach swą rozgłośną i smętną nutę:

Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,
A ja łozami;
Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,
Ja mymi łzami…

— Słowo honoru! — nagle i najgłębszym swym basem zawołała Marta — i my kiedyś z Anzelmem śpiewaliśmy ten sam duet…

Na wozie stojący wysoki mężczyzna w znacznym już od dwóch kobiet oddaleniu śpiewał dalej:

Ty jesteś panną, ty jesteś panną
Przy wielkim dworze;
A ja będę księdzem, a ja będę księdzem
W białym klasztorze…

— Ot — sarknęła Marta — w pieśni jest „będziesz” nie „jesteś”. Dlaczego on śpiewa „jesteś”? Przerabia sobie stare pieśni, błazen!

Justyna uwagi tej nie słyszała. Gorący płomień przemknął w jej oczach.

— Pyszny głos! — szepnęła.

— Nieszpetny — odpowiedziała Marta. — Pomiędzy nimi często znajdują się piękne głosy i śpiewacy z nich zawołani... I ten Anzelm kiedyś, gdzie tylko, bywało, obróci się... śpiewa.

Z daleka już, z daleka od toczącego się wozu przypłynęła jedna jeszcze strofa:

A jak pomrzemy, a jak pomrzemy,
Każemy sobie
Złotne litery, złotne litery
Wyryć na grobie...

Stara panna stanęła nagle pośród drogi, podobna do wysokiego słupa ubranego w słomiany kapelusz i stojącego na dwu wielkich nogach w kwiecistych pantoflach. Wzrok w twarzy młodej dziewczyny utkwiła, wspomnienia i rozczulenia jakieś pracowały w jej chrypliwie oddychającej piersi, aż krzyknęła prawie:

— A koniec tej pieśni znasz? Naturalnie, że nie znasz! Teraz już jej nikt... oprócz nich... nie śpiewa...

Ramiona rozkrzyżowała i grubym, ochrypłym głosem zadeklamowała:

A kto tam przyjdzie albo przyjedzie,
Przeczyta sobie:
Złączona para, złączona para
Leży w tym grobie!

— Ot, jaki koniec! — powtórzyła i wnet szerszymi jeszcze jak wprzódy krokami i mocniej ramionami rozmachując poszła dalej.

Wóz napełniony wiejskimi dziewczętami wtoczył się pomiędzy szare domostwa i gęste ogrody wsi, długim sznurem rozciągniętej nad brzegiem wysokiej góry, u której stóp w falach swych błękit nieba i ciemny bór odbijając płynął cichy, spokojny Niemen.

II

W korczyńskim dworze na rozległym trawniku dziedzińca rosły wysokie i grube jawory otoczone niższą od nich gęstwiną koralowych bzów, akacji, buldeneżów[23] i jeszcze niższą jaśminów, spirei[24] i krzaczastych róż. Dokoła starych, kiedyś kosztownych sztachet, topole, kasztany i lipy ścianą gęstej zieloności zakrywały drewniane gospodarskie budynki. U zbiegu dwu dróg okalających trawnik i rosnące śród niego potężne grupy drzew i krzewów stał dom drewniany także, niepobielony, niski, ozdobiony wijącymi się po jego ścianach powojami, z wielkim gankiem i długim rzędem okien mających kształt nieco gotycki. Na ganku pomiędzy oleandrowymi[25] drzewami, rosnącymi w drewnianych wazonach, stały żelazne kanapki, krzesła i stoliki. Naprzeciw gospodarskich zabudowań wznosiła się nad sztachetami gęsta zieloność starego znać, bo w aleje z grubych drzew wysadzanego, ogrodu. Dalej widać było u jednego z krańców ogrodu przeświecający przez zieloność ów wysoki, w słońcu złocisty brzeg Niemna, a z niektórych punktów dziedzińca widzialna była i sama rzeka, szeroka, w tym miejscu okrągłym łukiem skręcająca się za bór ciemny.

Nie był to dwór wielkopański, ale jeden z tych starych, szlacheckich dworów, w których niegdyś mieściły się znaczne dostatki[26] i wrzało życie ludne, szerokie, wesołe. Jak działo się tu teraz, aby o tym wiedzieć, trzeba było dowiadywać się z bliska, ale co w oczy od razu wpadało, to wielka usilność o zachowanie miejsca tego w porządku i całości. Jakaś ręka gorliwa i pracowita zajmowała się wciąż jego podpieraniem, naprawianiem, oczyszczaniem. Sztachety psuły się tu po wielokroć, ale zawsze je naprawiono, więc choć połatane, stały prosto i dobrze strzegły dziedzińca i ogrodu. Stare również gospodarskie budynki miały silne podpory, a w wielu miejscach nowe strzechy i nowe pomiędzy drewnianymi ścianami słupy z kamieni. Stary dom niski był i widocznie z każdym rokiem więcej wsuwał się w ziemię, lecz z dachem gontowym i jasnymi szybami okien nie miał wcale pozoru ruiny. Rzadkich, kosztownych kwiatów i roślin nie było tu nigdzie, ale też nigdzie nie rosły pokrzywy, łopuchy, osty i chrzany, a stare drzewa i dawno znać zasadzone, bo potężnie rozrosłe krzewy wyglądały świeżo i zdrowo. Dworowi temu, w którym jednak widocznie wciąż się coś psuło i naprawiane było, w którym widocznie także nic od dawna nie dodawano i nie wznoszono, ale tylko to, co już stało i rosło, przechowywano, porządek, czystość i dbałość nadawały pozór dostatku i prawie wspaniałości. Wielkość zajmowanej przezeń przestrzeni, niezmierne bogactwo napełniającej go roślinności, sama nawet starość niskiego domu i niejaka dziwaczność gotyckich jego okien wywierały wrażenie powagi, wzbudzały mimowolną poezję wspomnień. Mimo woli wspomnieć tu trzeba było o tych, którzy sadzili te ogromne drzewa i żyli w

tym stuletnim domu, o tej rzece czasu, która nad tym miejscem przepłynęła, to cicha, to szumna, lecz nieubłaganie unosząca z sobą ludzkie rozkosze i rozpacze, grzechy i — prochy.

Wnętrze domu posiadało te same, co i dwór cały, cechy dawnego bogactwa chronionego przez czujne i niestrudzone starania od rozpadnięcia się w łachmany i próchno. W obszernych, niskich i dobrze oświetlonych sieniach sterczały na ścianach przed wielu już zapewne dziesiątkami lat umieszczone ogromne rogi łosi i jeleni; pomiędzy nimi wisiały uschłe wieńce ze zboża przetykanego czerwienią kalinowych i jarzębinowych jagód; naprzeciw drzwi wchodowych wschody[27] wąskie, niegdyś wykwintne, a dziś ślady tylko dawnej politury noszące, prowadziły do górnej części domu. Z tych sieni dwoje drzwi na oścież rozwartych wiodło z jednej strony do obszernej sali jadalnej, z drugiej — do wielkiego o czterech oknach, salonu. Oba te pokoje dostatecznie zapełniały sprzęty, które, jak z kształtu i gatunku ich wnosić było można, kupionymi były przed dwudziestu przeszło laty i kosztowały wiele; teraz przecież ukazywały się na nich tu i ówdzie niewprawną ręką wiejskiego rzemieślnika dokonane sklejenia i naprawy, a drogą materię, która niegdyś okrywać je musiała, zastąpiła zupełnie tania i pospolita. Obicia na ścianach, tak jak i sprzęty, niegdyś kosztowne i piękne, a teraz postarzałe i spłowiałe, błyskały jeszcze tu i ówdzie złoconymi bukietami i arabeskami[28], zakrywało je zresztą w znacznej części kilka pięknych kopii ze sławnych obrazów i kilkanaście rodzinnych portretów w staroświeckich, ciężkich, z wytartą pozłotą ramach. Podłogi były tam woskowane i błyszczące, niskie sufity białe i czyste, drzwi staroświeckie, ciężkie, z błyszczącymi brązowymi klamkami, dywany duże i spłowiałe. W rogu salonu piękny fortepian, u okien ze smakiem ustawione grupy zielonych roślin. Widać było wyraźnie, że od lat dwudziestu nic tu nie przybyło, ale i nic nie ubyło, a to, co brudził, łamał i rozdzierał czas, ktoś ciągle oczyszczał, zszywał i naprawiał. Sprawiało to wrażenie pilnej pracy, usiłującej zwolnić, może zupełnie powstrzymać, stopniowo, lecz nieubłaganie proceder swój wiodącą przemianę bogactwa w nędzę.

W przyległym wielkiemu salonowi pokoju, którego okno, jak i okna salonu, wychodziło na błękitniejący zza rzędu starych klonów Niemen, znajdowało się towarzystwo złożone z osób czterech. Pokój ten miał pozór gabinetu wykwintnej kobiety. Wszystko tu było miękkie, ozdobne i wbrew temu, co działo się w innych częściach domu, dość jeszcze nowe. Obicie osypane bukietami polnych kwiatów miało pozór nieco sentymentalny; gotowalnia[29] okryta zwojami białego muślinu połyskiwała kryształowymi i porcelanowymi cackami; na etażerkach[30] leżały książki, stały zgrabne koszyki i pudełka z przyborami do ręcznych robót. Materia okrywająca sprzęty pąsową barwą swą sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenie świetności.

Z tymi wszystkimi szczegółami sprzeczała się atmosfera pokój ten

napełniająca. Była ona duszna i pełna zmieszanych zapachów perfum i lekarstw; ponieważ zaś okno i drzwi od przyległych pokojów szczelnie były zamknięte, pokój ten przypominał pudełko apteczne oklejone papierem w kwiatki i napełnione wonią olejków i trucizn. W rogu tego pokoju na pąsowym szezlongu we wpółleżącej postawie siedziała kobieta w czarnej jedwabnej sukni, z kibicią zbyt szczupłą, ale mającą w kształtach swych i ruchach wiele delikatnego wdzięku, z twarzą kiedyś znać zupełnie piękną, a i dziś jeszcze pomimo przywiędnięcia i zbytecznej chudości uderzającą niezmierną delikatnością płci; wielkością czarnych oczu o powłóczystym, łagodnym spojrzeniu, bujnością czarnych, starannie ułożonych włosów. Jakkolwiek skądinąd wyglądała na lat blisko czterdzieści, nie miała ani jednego siwego włosa, i jakkolwiek kibić jej i cera zdradzały do niedołęstwa posuniętą fizyczną słabość, drobne jej wargi były pąsowe i świeże jak u młodziutkiej dziewczyny. Rączki drobne, tak chude i delikatne, że prawie przezroczyste, tak pielęgnowane, że paznokcie ich posiadały kolor listka róży i połysk politury. Z wyrazem niemocy lub słodkiej rezygnacji splatała je ona i opuszczała na suknię albo rozmawiając czyniła nimi gesty rzadkie, drobne, powolne, objawiające śmiertelną obawę przed wszelkim żywszym i choćby odrobinę energiczniejszym poruszeniem ciała czy ducha.

Była to pani Emilia Korczyńska, od lat dwudziestu paru żona Benedykta Korczyńskiego, właściciela odziedziczonego przezeń po ojcach i dziadach Korczyna.

Naprzeciw pani domu siedziała kobieta na pierwszy rzut oka wcale do niej niepodobna, ale po przypatrzeniu się mająca z nią mnóstwo podobieństw. Zdawałoby się, że każda z nich należała do innego gatunku, ale do tej samej familii istot. Nieco młodsza, mniej widać piękna za młodu, więc teraz zupełnie już nieładna, była ona zarówno szczupła i delikatna, słodka i cierpiąca; tak samo jak tamta splatała i opuszczała ręce, takie same czyniła gesty, taki sam miała głos smutny i osłabiony. Tylko zamiast pięknego stroju pani Emilii ubiór jej składał się z taniej i wcale nieozdobnej sukienki, z grubego obuwia i z cieniutkiej, batystowej[31], mocno przybrudzonej chustki, która zakrywając połowę jej brody, uszy i część włosów, małymi kończykami węzła sterczała nad ogromnym i widocznie przyprawnym[32], bo mocno zrudziałym warkoczem. Zapewne bolały ją zęby, ale niezbyt silnie, bo z owalnej ramy białobrudnej chustki wychylająca się twarzyczka, drobna, okrągła, przywiędła, niezmiernie czule, prawie miodowo uśmiechała się błękitnymi oczami i przywiędłymi ustami. Uśmiechała się ona w ten sposób do dwu z obu jej stron siedzących mężczyzn, z kolei zwracając się ku jednemu i drugiemu, przy czym szyja jej, biała i okrągła, czyniła ruchy łabędzia schylającego głowę ku wodzie albo synogarlicy[33] wyciągającej dziób ku kawałkowi cukru. Widoczne było, że ludzie ci byli dla niej tym, czym woda dla łabędzia lub cukier dla synogarlicy. Słów ich słuchała więcej niż z wytężoną uwagą, bo z uszanowaniem i rozkoszą, wtórując im przymilonymi uśmiechami,

miodowymi spojrzeniami i cieniutkimi wykrzyknikami. Jednak żaden z nich w tej chwili bezpośrednio nie zwracał się do niej i nawet na nią nie patrzał. Tylko co przybyli, zabawiali rozmową swą panią domu, która także wydawała się ich przybyciem bardzo zadowolona. Właściwie jeden z nich głównie zabawiać ją usiłował i ona też więcej i czulej na niego niż drugiego patrzała. Nie był jednak ponętny. Średniego wzrostu, niemłody, w bardzo starannym i modnym ubraniu, z przodem koszuli tak silnie nakrochmalonym, że wzdymał się mu na piersiach jak wklęsła płócienna tarcza. Bolesław Kirło miał okrągłą łysinę z tyłu głowy, włosy rzadkie nad niskim czołem, twarz długą, kościstą, z małymi, błyszczącymi oczami, ostrym nosem, wklęsłymi ustami, tak starannie wygoloną, że aż na policzkach i brodzie błyszczącą. Brzydką tę twarz oświecała wielka i nigdy, zda się, nie ustająca wesołość. Z wesołym śmiechem, błyskając małymi oczami opowiadał on, że z panem Różycem z kościoła do Korczyna jadąc widział na polu dwie gracje[34]. Na mitologicznym tym wyrażeniu nacisk kładąc, z rubasznym śmiechem wołał:

— Gracje, jak Boga kocham, dwie gracje… Jedną, no to już bym każdemu darował, bo stara i zła; ale druga… ho, ho, prawdziwa gracja, niech pan Różyc powie! Cukierek! Talia zgrabna, twarzyczka śniada, rączki… no, nie bardzo ładne, opalone… bo były bez rękawiczek…

— O! Więc gracja pańska była bez rękawiczek!… — ze słabym śmiechem zawołała pani Emilia.

— I bez kapelusza — dodał Kirło.

— Bez kapelusza! Jakże to można chodzić bez kapelusza! — cichutko chichocząc powtórzyła kobieta z brudną batystową chustką dokoła twarzy.

Kirło śmiał się; małe świdrujące jego oczki coraz ostrzej błyszczały.

— Niech pan Różyc zaświadczy… Co, panie Teofilu? Cukierek? Cacko? Prawda?

Wzywany na świadectwo mężczyzna nie odpowiadał. Światło z okna w ten sposób na niego padało, że twarz całkiem pozostawała w cieniu, a widać było tylko postać męską, wysoką, cienką, wykwintnie ubraną i głowę okrytą czarnymi, z lekka ufryzowanymi włosami; u oczu połyskiwały szkła binokli. Od chwili gdy wszedł tu i zamienił z panią domu pierwsze słowo powitania, nie rzekł jeszcze nic… Prawda, że Kirło mówił ciągle i prawie sam jeden. Pani Emilia z ożywieniem zapytywała: kim były gracje spotkane w polu, a szczególniej ta… bez kapelusza i rękawiczek?

— Była to zapewne jakaś wiejska dziewczyna… pan zawsze mistyfikować[35] nas lubi, panie Bolesławie!

— Doprawdy! — z uśmiechem pełnym rozkoszy powtórzyła druga kobieta — pan nas zawsze tak mistyfikuje… Doprawdy! Jak to można tak mistyfikować!

— Ależ wcale nie! Przysięgam paniom! Jak Boga mego kocham, wcale nie mistyfikuję… — z komicznymi gestami tłumaczył się Kirło. — Nie była to wcale żadna wiejska dziewczyna, ale panna… co się nazywa panna… z

pięknej familii, z pięknego domu… z piękną edukacją…

— Panna z pięknej familii i z edukacją… — z wielkim już ożywieniem wołała pani domu — pieszo idąca, bez kapelusza… to być nie może…

— To być nie może… Pan zawsze żartuje… — zawtórzyła druga kobieta.

— No, a jak powiem jej imię i nazwisko, to co będzie? — z przekorną filuterią pytał gość.

— Nie wierzę — twierdziła pani Emilia.

— To być nie może; jakże to być może! — wstydliwie chichotał drugi głosik kobiecy.

— A jak powiem! — przekomarzał się Kirło — co mi za to będzie? Bez nagrody nie powiem! Dalibóg! Co mnie panie dadzą za to, ha? Czy panna Teresa pozwoli się pocałować? Co? No, panno Tereso, tak czy nie? Jeżeli pani mnie pocałuje, to powiem, jeżeli nie, to nie!

Wykwintny, w cieniu siedzący mężczyzna uczynił ruch zdziwienie czy niesmak objawiający: pani domu oswojona znać z żartobliwym usposobieniem gościa swego i nawet przyjemną rozrywkę w nim znajdująca śmiała się z cicha, trochę filuternie i zalotnie. Ale nic wyrazić nie zdoła wrażenia sprawionego przez propozycję Kirły na osobie, której ona uczyniona została. W owalnej ramie cieniutkiej, brudnej chustki mała i zwiędła jej twarz okryła się najjaskrawszym karminem; błękitne, niewinne oczy zmąciły się i nabrały wyrazu trwogi połączonej z upojeniem. Wątłą swą kibić w szarym staniku odrzuciła na tylną poręcz krzesła, ręce ku obronie wzniosła i cofając się, odwracając, rumieniąc, z chichotem, którym usiłowała pokryć zmieszanie swe i wzruszenie, bełkotała:

— Ależ, doprawdy, panie Kirło… co pan wygaduje?… jakże można? Pan zawsze żartuje…

On jednak nie tylko wygadywał i żartował, ale brał się do czynu i czyniąc gest taki, jakby ramieniem swym kibić jej miał opasać, ogoloną twarz swą z wpół dobrodusznym, a wpół złośliwym uśmiechem ku twarzy jej pochylał. Z chudych, bladych rąk swych tarczę sobie czyniąc, cała w tył odgięta, ale z dziwnie miodowym i upojonym wyrazem w oczach, wołała:

— Oj! Oj! O mój Boże! Co pan wyrabia!

Pani Emilia z niezwykłą u niej żywością poruszyła się na szezlongu i wołać zaczęła:

— Panie Bolesławie! Proszę Tereni nie dokuczać! Niech pan jej nie dręczy! Ją dziś zęby bolą.

Kirło wyprostował się.

— Racja — wyrzekł z powagą — racja! Buziak kobiety, którą zęby bolą, pożądanym nie jest, chociażby człowiek… kiedy indziej sobie na niego i bardzo zęby zaostrzył. No, cóż mam robić? Widzę, że muszę ciekawość pań darmo już zaspokoić. Taki to los biednego człowieka na tym świecie! Żadnej za nic nagrody! Ale nie! — zawołał nagle i z komiczną desperacją zwracając się do pani domu — chyba pani choć w rączkę pocałować się pozwoli!

— Dobrze, dobrze — śmiejąc się i podając mu rękę wołała pani Emilia — tylko niech pan już mówi…

Rączkę sobie podaną, istotnie śliczną, położył na swej dużej, kościstej dłoni i z miną smakosza przyglądał się jej chwilę swymi błyszczącymi, świdrującymi oczkami.

— Śliczna! Miła! Malusia! Malusienieczka rączka! — wymówił i złożył na niej długi pocałunek, w którym cześć i galanteria mieszały się z tajonym, niejako połykanym lubowaniem się przyjemnością innego wcale rzędu. Cień bladego rumieńca przepłynął chude policzki pani Emilii; cofnęła rękę i z większym jeszcze ożywieniem, z błyskiem w oczach, upomniała się o imię i nazwisko gracji.

— Była to — wzdychając i wydymając wargi zadeklamował Kirło — była to cioteczna siostrzenica pana Benedykta Korczyńskiego, panna Justyna Orzelska.

Dwa cienkie wykrzyki kobiece oznajmieniu temu odpowiedziały. Ale wmieszał się w nie i głos męski, który przemówił:

— Więc ta panna, którąśmy jadąc spotkali, mieszka tu… jest kuzynką państwa…

Pani Emilia dłoń przyłożyła do czoła; może w tej chwili uczuła ból głowy, ale grzeczna i słodka zawsze, gościowi odpowiedzieć pośpieszyła:

— Tak. Justysia jest krewną męża mego, córką jego ciotecznej siostry. Ojciec jej, pan Orzelski, przez nieszczęśliwe zdarzenia utracił swój majątek, a wkrótce potem owdowiał. Od tego czasu oboje u nas mieszkają. Justynka, kiedy przybyła do nas, miała lat czternaście, a w tym wieku już są przyzwyczajenia, skłonności, którymi pokierować trudno… Jest ona zresztą dobra, bardzo dobra, tylko oryginalna, ale to tak oryginalna, że nie wiem już, doprawdy, skąd jej się to wziąć mogło… Zawsze inaczej robi niż wszyscy.

Wykwintny mężczyzna, którego binokle połyskiwały w cieniu, wymówił:

— Piękna panna.

A po krótkiej chwili dodał:

— Jest w jej powierzchowności jakaś świeżość, siła, prostota…

— O! — zawołał Kirło — widzi pani, jak dobrze się przypatrzył… a raz tylko i to śród drogi cukierek ten widział…

Kobieta z obwiązaną twarzą wtrąciła:

— Justynka ma śliczną figurę… Ja zawsze figury jej zazdroszczę…

Błyszczące binokle szybko zwróciły się ku niej.

— Pani mówi? — cedząc nieco wyrazy zapytał gość.

Może pani Emilia uczuła niewłaściwość odezwania się swej towarzyszki, bo szybko wtrąciła:

— Tereniu, nie przedstawiłam ci jeszcze nowego sąsiada naszego… Gdy był u nas po raz pierwszy, leżałaś na migrenę czy flukcję[36]… Pan Teofil Różyc, panna Teresa Plińska, towarzyszka moja, niegdyś nauczycielka mojej córki, gdy była ona malutka… Wszakże to drugi raz dopiero mam

przyjemność widzieć pana w domu naszym?

— Tak, pani — z wytwornym ukłonem odpowiedział zapytany — i winszuję sobie, żem w tej pustej okolicy znalazł dom taki jak państwa. Zawdzięczam to panu Kirle, który mnie pod tym względem oświecił…

— Pan Kirło jest w każdym wypadku najlepszym sąsiadem i przyjacielem naszym.

— Ja, pani, jestem zawsze najlepszym z ludzi i tylko… zapoznanym[37].

— W domu naszym przynajmniej znajdujesz pan najzupełniejsze uznanie…

Kirło ukłonił się z galanterią i wdzięcznością, ale dodał:

— Nie u wszystkich, niestety, mieszkańców tego domu…

— Ależ nie! U wszystkich! Któż by?…

— Panna Marta, na przykład, nie uznaje mię… — z komiczną żałością skarżył się Kirło.

— O, Marta… Ona taka biedna… zgorzkniała… popędliwa…

— Panna Justyna…

— O Justynka! Ona tak jest oryginalna…

— Mąż pani…

— Mąż mój! On zajęty… nietowarzyski… zawsze tylko o gospodarstwie swoim i o interesach…

Przerwała i zwróciła się do Teresy Plińskiej, która w tej chwili z zachwyceniem przypatrywała się błyszczącym binoklom w cieniu siedzącego gościa.

— Tereniu, daj mi trochę wody i proszek bromowy, bo czuję nadchodzący globus.

Teresa poskoczyła ku toalecie i w mgnieniu oka podała towarzyszce żądane przedmioty. Pani Emilia delikatnie, z wdziękiem ujęła jedną ręką kryształową szklankę, drugą proszek zamknięty w dwu okrągłych opłatkach i tłumacząc się jakby z czynności, której dokonać miała, do nowego sąsiada rzekła:

— *Globus histericus*… dokucza mi bardzo… szczególniej kiedy się czymś wzruszę… zmartwię…

Tu połknęła proszek. Miała tyle powabu i gracji przy połykaniu lekarstwa, ile jej ma wyćwiczona tancerka w przybieraniu zalotnej pozy. Jednak widać było, że cierpiała naprawdę; ręką dotykała piersi i gardła, w których czuła nieznośne duszenie.

— Czy świeże powietrze ulgi pani nie przynosi — ze współczuciem zapytał Różyc. — Może pani okno otworzyć rozkaże?

— O, nie, nie! — z żywym przeczeniem zawołała cierpiąca kobieta. — Ja się tak lękam wiatru, ciągów, słońca… Od wiatru dostaję zawrotu głowy, od ciągów newralgii, od słońca migreny… Tereniu, podaj mi, proszę cię, toaletowy ocet…

Kirło, cały nad nią schylony, z czułością szeptał:

— Cóż, czy lepiej trochę?… dusi ciągle?… może przechodzi?

Teresa podając ocet schyliła się też nad towarzyszką:

— Początek migreny? Prawda? Mój Boże! I mnie także zaczyna głowa boleć…

Pani Emilia nacierając skronie octem cichutko szepnęła:

— Moja Tereniu, ta Marta nie wraca dotąd z kościoła… jestem niespokojna o obiad… idź, dowiedz się, czy nakrywają do stołu. Czemu ta Marta nie wraca?… Nie wiem, czy gotują już dla mnie rosół… czuję, że nic innego dziś jeść nie będę mogła… Ach, ta Marta nie wraca…

Z żywością i gracją podlotka Teresa biegła ku drzwiom, gdy szeroko otworzyły się one i do gabinetu wszedł mężczyzna wysoki, barczysty, siwiejący, z długim wąsem, ogorzałą twarzą, pomarszczonym czołem i wielkimi, ciemnymi oczami, w których na pierwsze wejrzenie nic więcej wyczytać nie można było nad troskę i prawie ponure zamyślenie. Na powitanie gospodarza domu, pana Benedykta Korczyńskiego, dwaj goście szybko powstali. Ręka, którą im on na powitanie podawał, wielka była, od opalenia zgrubiała. Zimno dotknął dłoni Kirły, a szczerszym nieco, choć obojętnym także, uściskiem objął białą i gładką jak atłas, wypielęgnowaną i wychudłą rękę Różyca. Teraz, gdy ten ostatni witając pana domu w świetle okna stanął, dokładnie obejrzeć było można powierzchowność jego arystokratyczną i jeszcze piękną, choć wyniszczoną i cierpiącą. Wysoki był i bardzo cienki, na małej i zgrabnej głowie fryzował włosy, dlatego zapewne, aby ukryć tworzącą się nad czołem łysinę; twarzą jego, o rysach prawidłowych i delikatnych, skórze białej i gładkiej jak welinowy papier[38], wstrząsały co chwilę nerwowe drgania przebiegające czoło i brwi. Od pierwszego rzutu oka poznać w nim można było człowieka bardzo światowego, przez fizyczną może słabość łagodnego i z systemem nerwowym chorym. Gdy stanął obok silnego, barczystego, ogorzałego pana domu, dwie ich postacie przedstawiły sprzeczność tak wielką, jak gdyby każdy z nich urodził się i żył na innej planecie. Jedną tylko cechę mieli wspólną: obaj wydawali się smutni. Korczyński wielką swą, ciemną ręką pociągając w dół długiego wąsa usiadł przy oknie i patrząc na żonę rzekł:

— Dzieci nie ma! Od godziny już by tu być powinny.

— O, ja także zaczynam być o to niespokojna i zapewne dlatego czuję już nadchodzącą migrenę — odpowiedziała pani Emilia i z cicha, z wolna uwiadomiła swoich gości o tym, że oczekuje przybycia na wakacyjne miesiące syna kształcącego się w szkole agronomicznej i córki będącej na jednej z pensji warszawskich. Mówiła, że Witold okazywał zawsze zamiłowanie w gospodarstwie wiejskim — znać odziedziczył to po ojcu — a Leonię wysłała na pensję dlatego, że przy swym słabym zdrowiu wychowaniem jej w domu pokierować nie mogła… Zresztą jest to jeszcze dziecko, ma rok piętnasty…

Kirło, który o tym wszystkim dawno już wiedział, usiłował zawiązać rozmowę z panem domu. Czynił to nawet z pewnym przymileniem, którym widocznie usiłował przełamać jakieś lody lekceważenia czy urazy.

Zacierając kościste ręce i mile uśmiechając się rozpoczął:

— Pan dobrodziej nawet w święto około gospodarstwa pracuje…

— A tak — pociągając wciąż wąsa i posępnymi swymi oczami na przeciwległą ścianę patrząc odpowiedział Korczyński — dla nas święta nie ma. I owszem, kiedy oficjaliści i parobcy świętują, najbardziej pilnować trzeba, aby głodem nie zamorzyli koni i bydła albo dworu z dymem nie puścili…

Nie była to właściwie odpowiedź niegrzeczna, ale ton, jakim wymówiona została, czynił ją obojętną i trochę rubaszną.

— Ale co się tyczy tegorocznych urodzajów — rozpoczął znowu Kirło — obiecujące są, bardzo obiecujące…

— A tak — odparł Korczyński — nie wiem jak gdzie, bom od kilku miesięcy nie ruszył się z domu ani na krok, ale u mnie na polu wcale pięknie… Jeżeli zbiór i zwózka pójdą pomyślnie…

— Tysiączki będą, panie dobrodzieju, tysiączki będą z tego ślicznego Korczynka — zachęcony i do żartobliwego humoru swego powracając zawołał Kirło.

Korczyński podniósł głowę i z urągliwym wyrazem swych smutnych oczu na sąsiada cieszącego się przyszłymi jego „tysiączkami" popatrzał.

— A ceny? — zapytał. — Czy żona pana dobrodzieja mówiła mu, jakie były i pewno jeszcze na ten rok będą ceny na zboże?

Kirło zmieszał się, ale wnet zatarł ręce i w śmiech uderzył:

— Jak Boga kocham — ze śmiechem zawołał — żona moja jest tak zawziętą gospodynią, że do niczego mnie nie dopuszcza… do niczego… Pod pantoflem siedzę po uszy… Ale mnie z tym dobrze i jej także… Bo i cóż, panie dobrodzieju, na tej nędznej folwarczynie mielibyśmy oboje do roboty? Albo ja, albo ona… A ponieważ ona chciała…

Korczyński uśmiechnął się i zwrócił twarz w stronę, w której stała gotowalnia jego żony. Od tej gotowalni zaleciały go zmieszane zapachy toaletowego octu, ryżowego pudru i rezedowej perfumy. Pociągnął wąsa i zwracając się do żony rzekł:

— Może by okno otworzyć? Straszny tu zaduch!

— O, nie! — łagodnie odpowiedziała pani Emilia — wiesz o tym, że ja nie mogę siedzieć przy otwartych oknach…

— Głupstwo — mruknął Korczyński. — Musisz chorować w takim zaduchu siedząc.

Delikatna, cierpiąca kobieta spłonęła rumieńcem. Zawstydziła się rubaszności męża, okazanej wobec mało jeszcze znanego gościa. Spuściła powieki, dotknęła dłonią piersi i gardła, umilkła.

I wszyscy przez chwilę milczeli. Czuć było, że w zaduchu tego pokoju wszystkim zrobiło się duszno. Pani domu coraz bezwładniej chyliła się na swym szezlongu; Kirło usłużnie posuwał ku niej wyszyte na kanwie poduszki; Korczyński długi wąs swój na gruby palec nawijał; binokle Różyca błyskały w cieniu ciekawie i jakoś drwiąco. W tej chwili kędyś z dołu słyszeć

się dały pluski wody i przeciągłe, basowe wołania. Korczyński i Różyc jednocześnie spojrzeli w okno. Za oknem, za przezroczystą ścianą klonów, po błękitnym Niemnie płynęły tratwy, w mowie miejscowej płytami zwane. Jeden za drugim pod ciemną ścianą boru wieńczącego wysoki brzeg rzeki płynęły złote w słońcu, a stojący u sterów płytnicy[39], w białej odzieży, silni jak wodne olbrzymy, nadając rudlom[40] ciężkie półobroty, uderzali nimi po wodzie, która z wielkim pluskiem tryskała w perlistych kaskadach. Zarazem ludzie ci rozmawiali z sobą długimi, basowymi krzykami, które obijały się o bór ciemny i wywoływały w nim głośne echa. Po przeciwległym wybrzeżu, pod gęstym borem, chodzili ludzie różni, pojedynczo i gromadnie, w szarych i białych ubraniach; gdzieniegdzie, nisko nad rzeką, skrzydlatymi punktami przelatywały rybitwy; w jednym miejscu rybackie czółenko kręto prześlizgiwało się pomiędzy płytami; w klonach szczebiotały szczygły, gwizdała wilga, zanosiła się od krzyku czeczotka. Świat cały stał w cudnej pogodzie jak czara nalana błękitem i złotem.

— Piękna miejscowość — rzekł w zamyśleniu Różyc.

Korczyński wskazał mu pracujących około rudli płytników.

— Ci ludzie nie mają także święta…

Różyc zdjął binokle i długą swą atłasową rękę powiódł po zmiętym i drgającym czole.

— Mnie się zdaje — rzekł — że oni zawsze mają święto. Są zdrowi, silni i jakimkolwiek jest ich życie, żyć chcą…

— Może pan ma słuszność — po krótkim namyśle odpowiedział Korczyński. — Praca nieszczęściem nie jest; idzie tylko o grunt, na którym człowiek pracuje, i o… skutki. Jeżeli co krok głową o mur uderzać się musisz i myśleć, że wszystko, cokolwiek byś zrobił… na diabła zda się…

Machnął ręką i umilkł. Różyc cierpiącymi swymi, ale inteligentnymi oczami z zajęciem spoglądał na ogorzałe, zorane czoło i w dół spuszczone wąsy obywatela.

— Do czego pan ostatnie słowa swe stosujesz? — zapytał.

Spod wypukłych powiek duże, piwne oczy Korczyńskiego podniosły się na twarz gościa i utonęły w niej wejrzeniem głębokim i przejmującym.

— Jak pan myśli?… — zaczął i zawahał się z dalszym mówieniem. Ogarnęła go widoczna, a dziwna w tak silnym człowieku nieśmiałość.

— Jak pan myśli? — zaczął znowu — czy w teraźniejszych czasach ci nawet z nas, którzy pieniędzy nie marnują i jak woły pracują, zdołają… to… tamto… tego…

Źrenice jego błyskały przelatującymi w nich iskrami; patrzał ciągle w twarz gościa i koniec wąsa do ust włożywszy przygryzać go zaczął. Widoczne było, że Różyc nie wiedział dobrze, co mu odpowiedzieć wypadało. Nad przedmiotem zaczepionym przez Korczyńskiego myślał zapewne niewiele; może też obchodził go on niewiele.

— Któż to może przewidzieć? — zaczął. — Czasy są ciężkie. Ja zresztą te strony znam tak mało… świeżym przybyszem jestem…

— Nie o te strony idzie — żywo podjął Korczyński — pod tym względem wszystkie strony u nas są sobie równe. Niechże mi więc pan powie przynajmniej, jak jest tam, gdzie pan mieszkałeś…

Różyc z niedbałym uśmiechem, choć z silnym drganiem czoła i brwi, odpowiedział:

— Osobiście przedstawiam przykład zasmucający… Moje tamtejsze majątki są dla mnie stracone…

— Wiem o tym, ale to co innego! — zawołał Korczyński. — Pan z urodzenia byłeś wielkim panem… No, a to… tamto… Ale chciałbym coś wiedzieć o obywatelstwie średnim, takim na przykład jak ja, siedzącym na dziesięcinach[41] ziemi kilkuset, tysiącu… trochę więcej…

Światowemu i do wszystkiego przyzwyczajonemu człowiekowi odpowiedzi na pytania wszelkie zupełnie zabraknąć nie mogło. Począł więc opowiadać o finansowym i gospodarskim stanie średnich majętności ziemskich nad Słuczą położonych, a czy opowiadał dokładnie lub niedokładnie, prawdziwie czy nieprawdziwie, o to widocznie nie dbał. Nie zajmował się tym bardzo żywo, może uważał to sprawozdanie za próżną dla siebie fatygę. Ale mówił płynnie, do wykwintnej polszczyzny mieszając trochę francuskich wyrazów, od czasu do czasu, zręcznie i grzecznie, tłumił nerwowe poziewanie.

Z dala od okna, w przyciemnionym nieco rogu pokoju, prowadziła się inna, znacznie cichsza rozmowa. Kirło, ku gospodyni domu pochylony, mówił do niej o czymś półgłosem, z wyrazem ubolewania naprzód, a potem tak jowialnej żartobliwości, że na koralowe jej usta z wolna powracał uśmiech. Z wdzięcznym na sąsiada swego spojrzeniem wyrzekła:

— Pan zawsze pocieszyć i rozweselić mnie musisz… O, gdyby mi pana jeszcze zabrakło…

— Po co ma zabraknąć? — oburzył się Kirło. — Kiedy już tyle lat…

Ukośne wejrzenie rzucił na pana domu, bardzo w tej chwili zajętego rozmową z Różycem. Potem szare, błyszczące oczki jego wpiły się w delikatne policzki pani Emilii, a koścista ręka posuwała się z wolna ku jej ręce, która na kształt listka lilii spoczywała na zwojach jedwabiu.

— Biedna pani! — szepnął — już ja dziś muszę coś takiego zrobić, żeby panią rozweselić.

Za oknami na błękitnym Niemnie ciężkie rudle wciąż uderzały w wodę, wywołując pluski perlistych kaskad; lekki wiatr szumiał w klonach i mieszały się z nim fruwania ptasich skrzydeł. Na przeciwległym wybrzeżu, w ciemnym borze, ludność wiejska zbierała pewno poziomki lub zioła, bo w głębi boru odzywały się nawoływania:

— Hu! ho! hej! hop! hop!

Jednocześnie z wnętrza domu, ale z dala, jakby znad sufitu, osłabione odległością słyszeć się dało granie na skrzypcach. Chwilami rozpoznać można było, że w górnej części domu ktoś z wielką precyzją i umiejętnością grał jakąś wielką i trudną kompozycję muzyczną.

Kirle te skomplikowane i pracowicie wywoływane tony skrzypiec jakby coś na pamięć przywiodły. Uśmiechnął się filuternie, dłonią po kolanie uderzył; wybiegł przez drzwi do salonu prowadzące, szczelnie je za sobą zamykając.

W jadalnej sali, dokoła długiego stołu ciężko, lecz żwawo krzątała się Marta Korczyńska, która przed kilku zaledwie minutami wróciła ze swej dalekiej przechadzki. Wielki słomiany jej kapelusz leżał na jednym z krzeseł, a głowa, z cienkim warkoczykiem przymocowanym z tyłu wielkim grzebieniem, pilnie schylała się nad nakryciami, stwierdzając porządek ich i czystość. Przyrządzała sałaty i kompoty, przynosiła butelki z winem, co chwilę wybiegała, a powróciwszy, z brzękiem kluczy otwierała szuflady kredensowej szafy i urządzając, ustawiając, przyozdabiając wszystko, pantoflami wyszytymi w czerwone róże głośno klapała o podłogę. Dopomagał jej w tym gospodarskim zajęciu jeden tylko kredensowy chłopak, przyodziany porządnie i żwawy, ale niedorosły i ślepo tylko rozkazy jej spełniający. Cztery wiorsty[42] uszła dziś tam i na powrót, nie odpoczywała ani minuty, a nie znać było na niej strudzenia. Chrząkała, kaszlała, gderała i napędzała małego lokaja, a pomimo ciężkości chodu swego i pedantycznej dokładności, z jaką spełniała rzecz każdą, zwijała się tak prędko, że w niespełna kwadrans stół był już na dziesięć osób nakryty i wszystko do obiadu przygotowane. Chłopak chleb krajał, a Marta wkładała go do serwet, kiedy z dalszych pokojów wbiegła do jadalnej sali Teresa Plińska, w ręce klasnęła i z wybuchem radości zawołała:

— A! Pani już tu, panno Marto! I wszystko do obiadu przygotowane! Jakże to dobrze! Pani Emilia była bardzo niespokojna.

— I niepotrzebnie! — ofuknęła stara panna — niech swoich robótek i swojego słabego zdrowia patrzy, a co się tyczy domu, to już do mnie to należy.

— To nic — szeptała Teresa — ale ona zawsze o wszystko niespokojna. I teraz dostała globusu, i zaczęła już dostawać migreny...

— Naturalnie! A poziewania jeszcze nie dostała?...

— Jeszcze nie, chwała Bogu! — zupełnie serio i nawet z rzetelną dla Nieba wdzięcznością odparła towarzyszka pani Emilii.

— A Benedykt w domu?

— W domu, tam, z gośćmi i żoną... Znowu gniewał się, że pani i Justynka piechotą poszłyście do kościoła. Mówił, że w święto konie nie zajęte...

— To niech odpoczywają, a jak odpoczną, lepiej się potem do gospodarstwa zdadzą... Wieczna głupota! Czy to my księżniczki, żebyśmy pieszo chodzić nie mogły? Uf! Nie mogę!

Kaszel ją porwał, ale trwał krótko, bo wstrzymywała się z całej siły, i nagła myśl jakaś piorunem, zda się, uderzyła o całą jej istotę. Głośno splasnęła rękami i do okna poskoczyła.

— A dzieci jak nie ma, tak nie ma! — zawołała.

Teresa tymczasem liczyła na stole nakrycia.

— Na dziesięć osób, jak mamę kocham, na dziesięć osób nakryto! — piskliwie zawołała. — Czy więcej gości dziś przyjedzie? Bo nas domowych sześć, a dwóch panów — to osiem... a tu na dziesięć... czy kto jeszcze przyjedzie?

— Dwóch konkurentów do ciebie przyjedzie! — z gniewną ironią krzyknęła Marta. — Alboż mało naczekałaś się jeszcze na nich? No, to dziś trzech będziesz miała od razu. Pan Różyc już jest, a dwóch jeszcze przyjedzie...

Zaczęła śmiać się tak, że aż łzy nabiegły do szyderskich[43], ognistych jej oczu. Teresa, zarumieniona trochę, dobrodusznie jej w twarz patrzała:

— Co też pani wygaduje! Pan Różyc... gdzieżby on tam mógł... taki wielki pan... choć, doprawdy, tak jakoś patrzał... ej! oni wszyscy tacy... ci mężczyźni... Ale naprawdę, kto więcej przyjedzie?... moja droga pani, proszę mi powiedzieć, kto przyjedzie?

I szczupłymi ramionami swymi z dziecinną prawie pieszczotliwością objąć usiłowała grubą kibić i cienką, żółtą szyję towarzyszki. Ale ona gwałtownie wyrwała się z jej objęć.

— A dzieci! — krzyknęła. — Toż Widzio i Leonia powinni już od godziny być tutaj... Może choć na obiad nadjadą...

— A, prawda — z widocznym uczuciem rozczarowania szepnęła Teresa — zapomniałam...

— Zapomniała, zapomniała... — gniewnie ku szafie kredensowej idąc zamruczała Marta. — Może i matka zapomniała także... o dzieciach zapomniała... Co im w głowie? Romanse i apteka... Wieczna głupota!... A dzieci jak nie ma, tak nie ma!... O Boże mój, Boże! gdyby tylko nie jaki wypadek... bo z tymi kolejami żelaznymi wszytko być może...

Znowu stanęła twarzą ku oknu, głową wielkim grzebieniem sterczącą trzęsła i pęk kluczy głośno dzwonił w jej ręku.

W tejże chwili za przymkniętymi drzwiami sali jadalnej dało się słyszeć szybkie ze wschodów zbieganie, potem szamotanie się jakieś, mocowanie, dwa głosy męskie, z których jeden zdawał się o coś nalegać, a drugi od czegoś wypraszać... struna jakaś kilka razy brzęknęła, na koniec, dalej już, w głębi domu, wybuchnął głośny śmiech Kirły... Marta, zapatrzona w szlak drogi, zza rozwartej bramy dziedzińca widzialny, na szczególny hałas ten nie zwróciła żadnej uwagi, ale Teresa rzuciła się ku drzwiom i naprzód przez nie ciekawie głowę wychyliła, a potem, z cienkim i uszczęśliwionym chichotem, drobnym swym dziewczęcym krokiem przez sienie i salon pobiegła. W głębi salonu drzwi od pokoju pani Emilii otworzyły się głośno i zjawił się w nich Kirło śmiejący się i ciągnący za sobą kogoś bardzo pociesznie w samej rzeczy wyglądającego. Był to staruszek średniego wzrostu, ale tuszy dobrej i w środku figury szczególniej wydatnie zaokrąglonej, z okrągłą, białymi jak mleko włosami okrytą głową, z okrągłą także, pulchną, rumianą twarzą. Wśród tej twarzy pulchne, rumiane usta

uśmiechały się teraz z pełną zmieszania dobrodusznością i błękitne jak turkusy oczy patrzały z wyrazem wstydu i zalęknienia. To zmieszanie i zalęknienie źródło swe mieć musiało w ubiorze bardzo niestarannym, bo składającym się tylko z szerokiego, z kwiecistej materii sporządzonego szlafroka. Jedną ręką trzymając smyczek i zarazem powstrzymując od rozchylania się poły szlafroka, drugą ten białowłosy i łagodny starzec przyciskał do piersi skrzypce. Przy tym broniąc się przeważnej sile, która go naprzód pociągała, usiłował wciąż cofać się i ramię swe z dłoni Kirły wyrwać.

— Puść mnie pan… — szeptał i wykrzykiwał głośno — jakże można? przy damach… w szlafroku…

Ale Kirło wciągnął go do pokoju, przy czym do Różyca zwrócony perorować zaczął:

— Przedstawiam nowemu sąsiadowi naszemu najznakomitszego muzyka okolicy naszej… przepraszam! Litwy… a może i Europy… Zaniedbany ubiór jego przebaczą mu nawet damy, ponieważ jest artystą. Od urodzenia podobno aż do dnia dzisiejszego pracuje nad muzyką. Majątek, panie, przepracował… Ale gra za to… gra…

— Puść mnie pan… przy damach… przy nieznajomym człowieku… — wypraszał się i w celu wyrwania się nowe, a coraz śmieszniejsze wysilenia czynił staruszek.

Nieznajomy człowiek, czyli Różyc, ze zdumieniem na tę scenę patrzał i nie tylko nie śmiał się, lecz delikatne wargi jego przybrały wyraz niesmaku. Korczyński, oswojony znać z dobrym humorem Kirły i jego objawami, spoglądał przez okno na klony i rzekę; panie, Emilia i Teresa, śmiały się: pierwsza cichutko i z niejakim zawstydzeniem, druga głośniej i z rozkoszą. Kirło, zachęcony powodzeniem swym wobec dam, a na obecnych mężczyzn już nie zważając, z komicznymi gestami i minami dalej prawić zaczynał:

— Idę sobie na górę, aby naszego kochanego artystę odwiedzić… słyszę: gra! Dobrze, myślę, niechże przyjdzie zagrać dla nas… Wymawia się, że nie ubrany… Co tam! Tym lepiej… artyści podobno, panie, zawsze nie ubrani i nie umyci…

Wtem zza pleców szamoczącego się i już widocznie udręczonego starca wysunęła się młoda kobieta w czarnej sukni, wybornie uwydatniającej jej silną i zgrabną kibić. Wyprostowana była i głowę otoczoną czarnym warkoczem wysoko podnosiła. Wśród śmiałej twarzy szare jej oczy wydawały się teraz prawie czarne i w twarz Kirły cisnęły płomienie gniewu. Na nikogo z obecnych nie spojrzawszy zwróciła się ku otwartym drzwiom salonu i zawołała głośno:

— Mars[44]! Mars!

Na to wołanie zjawił się w progu pies myśliwski, ulubieniec pana domu, wielki, czarny ponter[45]. Kobieta krótkim gestem wskazała go Kirle.

— Oto jest Mars — rzekła — wybornie umie on warować, aportować i przez kij skakać. Zawołałam go tu dla zabawy pana!

Głos jej trochę drżał, usta zbladły i z oczu znowu trysnęły płomienie. Powoli jednak i łagodnie ujęła ramię starca.

— Chodź, ojcze! — rzekła.

Kiedy wyprostowana, z podniesioną głową i bladym, lecz niezmąconym profilem prowadziła przez wielki salon siwowłosego, trochę przygarbionego i skrzypce swe do piersi przyciskającego starca, przypomnieć mogła Antygonę[46]…

— Wspaniała! — zza binokli swych ścigając ją spojrzeniem szepnął Różyc.

Kirło nie zmieszał się ani na chwilę i z nowym śmiechem szeptał do ucha Teresy coś, od czego rumieniła się i najmilszym uśmiechem rozjaśniała jej okrągła, rumiana, w owalną ramę chusteczki ujęta twarz. Korczyński motał wąs na palec i parę razy, do siebie więcej niż do innych, przemówił:

— Dzieci nie ma! Dziwna rzecz! Dzieci nie ma!

Różyc gospodynię domu nie mógł długo w osamotnieniu zostawiać. Toteż z wyrazem współczucia zapytał ją, czy na nerwy przeważnie choruje, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, z żywszą jeszcze sympatią mówić zaczął o ogólnym teraz usposobieniu do chorób nerwowych i trudności znalezienia na nie radykalnego lekarstwa.

— Co do mnie — rzekł — znam jedną tylko paliatywę[47], która niechybnie o wczesną śmierć przyprawia, ale chwilowo przynajmniej zaspokaja potrzebę wrażeń i daje zapomnienie… o wszystkim…

Pani Emilia jak do modlitwy ręce złożyła.

— O, cóż to jest? — zawołała.

— Morfina — z niedbałym uśmiechem szepnął gość.

Ze zniechęceniem ręką skinęła.

— Nie — rzekła z cicha — mnie się zdaje, że jedynym lekarstwem pewnym byłoby zadowolenie wyższych potrzeb istoty naszej, potrzeb serca… wyobraźni… szlachetnych gustów… Ale któż jest tak szczęśliwy, aby móc spełniać wszystkie marzenia swoje, aby dysonanse życia nie zatruwały mu ducha i ciała?…

— Bywają też ludzie, którzy spełniają wszystkie swoje marzenia i od zbytku tego szczęścia stają się… nieszczęśliwi… — z ledwie dostrzegalną ironią odparł gość.

Znowu drzwi od salonu otworzyły się z łoskotem i zjawiła się w nich na oka mgnienie wielka postać Marty.

— Dzieci jadą! Dzieci… jadą! — krzyknęła swym grubym, ochrypłym głosem i wnet jak wicher rzuciła się w kierunku sieni.

W uszach obecnych zabrzmiał tylko głos jej jakąś ogromną radością nabrzmiały, a w oczach wionęły końce mantyli i zamigotały czerwone róże pantofli. Korczyński, jakby wybuchem jakiejś palnej materii z krzesła poderwany, dwoma krokami przesadził pokój i zniknął. Pani Emilia bardzo powoli podniosła się z szezlonga.

— Tereniu, droga moja… dajże mi płaszcz, rękawiczki, chustkę na głowę…

Teresa w kilku fertycznych[48] poskokach podała żądane przedmioty i do przywdziania ich dopomogła. Potem zaczęła sama owijać się ciepłym szalem, wsuwać na ręce trochę podarte rękawiczki, zawiązywać na głowie włóczkową chustkę.

Pani Emilia postąpiła parę kroków.

— Tak, doprawdy, osłabiona dziś jestem… — z cicha zaczęła — że nie wiem… czy zdołam wyjść na spotkanie moich dzieci…

Ręce jej wspierające się o stół drżały i słychać było niemal przyśpieszone bicie jej serca. Nie udawała: była istotnie bardzo zdenerwowana i słaba. Kirło pośpieszył z podaniem jej ramienia. Wsparta na nim szła przez salon, jak wiotka trzcina chwiejąc się prawie i z szelestem ciągnąc za sobą zwój jedwabiu.

Wkrótce na ganku utworzyła się grupa osób, na której czele stał Korczyński, do niepoznania prawie zmieniony, bez śladu uprzedniej ponurości w błyszczących oczach, prawie bez zmarszczek na czole, z uśmiechem radości pod długim i w dół opuszczającym się wąsem. Na zapadłe policzki tuż za nim stojącej Marty wybiły się okrągłe, ogniste rumieńce; źrenice jej patrzące na drogę, śród której widać było szybko ku bramie zbliżający się punkt czarny, przygasły i zwilgotniały; zwiędłymi, uśmiechającymi się ustami cichutko szeptała:

— Aniołki! Kotki! Robaczki moje!

Każdy by odgadł, że ci, których tu witać miano, rzucą się naprzód w objęcia tych dwojga ludzi. W głębi ganku, u samych drzwi wchodowych, Teresa z pomocą Kirły ustawiała przyniesiony z salonu fotel, na który wnet bezwładnie opuściła się pani Emilia. Do Teresy szepnęła:

— Trochę laurowych kropli, moja Tereniu..

A do Kirły:

— Wróć pan do pana Różyca. Niepodobna przecież, aby zostawał sam jeden…

Po kilku minutach przed ganek zajechała czterokonna bryczka, z której razem prawie wyskoczyło dwoje młodziutkich ludzi: wysmukły, złotowłosy chłopak i niedorosła, zgrabna panienka. Wybuchły pocałunki i zapytania; głosy zmieszały się. Słychać było huczenie Marty, śmiech podlotka, szybką mowę młodzieńca, spazmatyczne łkanie pani Emilii, piskliwe wykrzyki Teresy przyzywającej pomocy służących dla odprowadzenia pani do pokoju.

Różyc i Kirło z roztargnieniem przypatrywali się tej scenie przez jedno z okien domu. Mało ich ona obchodziła. Nagle Różyc, twarz od okna odwracając, zapytał:

— Któż to jest ta panna Orzelska?

Kirło wybuchnął śmiechem.

— Oho! Wpadła panu w oczko, co? Nieszpetna, co prawda, ale dla mnie niesympatyczna… zimna… rubaszna… oryginalna…

Wzruszył ramionami i usta wydął.

— Gusta są różne — flegmatycznie odparł młody pan i malutką piłką począł bardzo uważnie robić coś około swych pięknych paznokci.

— Biedna? Bez posagu? — zapytał po krótkiej chwili.

— Pięć tysięcy ma na procencie u pana Benedykta. Cóż to za posag… Wcale posagu żadnego nie ma… a dumna przy tym jak księżniczka i zła jak szerszeń.

— Zauważyłem to właśnie przed chwilą.

Ironiczny trochę uśmiech przebiegł mu po cienkich ustach.

— Z temperamentem dziewczyna… — dodał.

Kirło swymi błyszczącymi, świdrującymi oczkami uważnie mu w twarz popatrzał.

— Ej, nie zapalaj się pan tak prędko! — z wyraźnym niezadowoleniem zawołał. — Temperament! Temperament! Był, ale już wywietrzał.

Czarne, wąskie brwi młodego pana silniej niż zwykle drgnęły, a drgnienie to udzieliło się czołu i przebiegło skórę czaszki, aż pod przerzedzonymi i ufryzowanymi włosami. Zupełnie jednak obojętnym a nawet żartobliwym głosem zapytał:

— Cóż tam takiego było?

Kirło znowu filuternym stał się.

— Pamiętasz pan Zygmunta Korczyńskiego, tego malarza, którego spotkaliśmy u Darzeckich?

— Pamiętam, wcale przyzwoity człowiek i podobno nie bez talentu… Żona jego ładna, mała blondynka… Cóż więc?

— No… on i panna Justyna…

— Romans? — dorzucił pan.

— I jaki! — wybuchnął Kirło.

— Już z żonatym?

— Ale gdzie tam! Od dzieciństwa prawie… jak zwykle pomiędzy kuzynami…

— A dlaczegóż więc?…

— Dlaczego nie pobrali się? Ależ i mowy o tym być nie mogło… Familia… i on sam…

Dłużej rozmawiać nie mogli, bo towarzystwo całe z ganku wchodziło już do sieni i zaraz wejść miało do salonu.

Tymczasem po wschodach, niegdyś politurowanych i ozdobnych, dziś tylko czystych i całych, Justyna wprowadziła ojca do górnej części domu, gdzie pośród obszernego strychu urządzony był wąski korytarz z dwoma naprzeciw siebie otwierającymi się pokojami. Jeden z tych pokojów należał do Ignacego Orzelskiego i był zarazem sypialnią nocujących tu czasem gości. Justyna opuściła ramię ojca i wyjąwszy mu z rąk skrzypce, umieściła je w stojącym na stole podługowatym pudle. Czyniąc to, z cicha i trochę szorstko rzekła:

— Dlaczego, ojcze, pozwalasz zawsze temu panu żarty z siebie…

Urwała i uczyniła ręką gest zniechęcenia.

— Po co ja to mówię! Tyle już razy prosiłam… przedstawiałam… Nic nie pomaga… i nic nie pomoże!…

Wzięła dzbanek stojący w kącie pokoju i zaczęła zeń wodę do miednicy nalewać. Stary w rozwartym szlafroku i zupełnym pod nim negliżu stał na środku pokoju, zakłopotany trochę i z jednostajnym wciąż, dobrodusznym uśmiechem na ustach.

— Widzisz, moja Justysiu — zaczął — żebyś ty wiedziała, jak to trudno… zresztą… cóż to szkodzi!

— O! — zawołała — właśnie pragnęłabym, aby ojciec uczuł…

Umilkła znowu, zawiesiła ręcznik obok miednicy i na jednym ze stołów ustawiła małe lusterko. Stary tymczasem drobnymi krokami zbliżył się do skrzypiec i już je z pudła wyjmować zaczął. Justyna delikatnie i powoli instrument znowu na uprzednim miejscu złożyła.

— Trzeba się ubierać, ojcze! Zaraz zawołają nas do stołu…

— A, do stołu! — powtórzył stary. — Dobrze… dobrze… bo już i głodny jestem… A nie wiesz tam czasem, co na obiad będzie?

— Nie wiem — odpowiedziała i ułożyła obok lusterka wszystkie przybory do golenia się i czesania służące.

— Wszystko gotowe, ojcze…

Stary nie ruszał się i z ukosa na skrzypce spoglądał.

— A może bym ja trochę jeszcze pograł?

— A obiad? — zapytała Justyna.

— A prawda… obiad? Pewno dziś co smacznego dadzą, bo goście są… Pytałem się nawet panny Marty z samego rana, co tam na obiad będzie, ale czy ona kiedy po ludzku do kogo przemówi! Burknęła… chrząknęła… czchnęła i na dół poleciała… a mnie już na dół nie chciało się schodzić… wypiłem więc kawę z sucharkami, troszkę szynki zjadłem i grałem sobie… Szynki w tym roku doskonale urządziła… i sucharki jej zawsze doskonałe… w ustach topnieją… caca!

Powoli, leniwie usiadł przed lusterkiem i do robienia toalety swej przybierać się zaczął. Justyna prędko i zręcznie czyściła miotełką surdut ojca. Stary zachmurzył się.

— Otóż to — gderliwym tonem zaczął — jak tylko goście przyjadą albo co tam innego stanie się, Franek u mnie ani nosa nie pokaże… Jeden ten chłopiec do wszystkiego… i przy kredensie, i do stołu usługuje, i mnie, i panu Benedyktowi… Do czego to podobne, aby w takim domu… nie było komu wody podać i surduta oczyścić?

— Już oczyszczony! — odpowiedziała Justyna.

— Oczyszczony… oczyszczony… — gderał stary. — A któż go oczyścił? Ty sama! Czyż to pięknie, aby panienka surduty czyściła?… do czego to podobne?

Po ustach Justyny przemknął uśmiech. Stanęła na środku pokoju i zamyśliła się chwilę.

— Jak ja stąd wyjdę — rzekła — ojciec znowu grać zacznie…

— A może… — odparł stary — to i cóż?

— Teraz nie można — odrzekła — bo jak na obiad zawołają, trzeba, aby ojciec był już ubrany… Lepiej może pudło na klucz zamknąć…

— No, no! Nie zamykaj… nie zamykaj!…

Nic już nie odpowiadając zakręciła mały klucz w zamku, schowała go do kieszeni i wyszła.

Drugi pokój na górze, niezbyt mały i bardzo czysty, o dwu łóżkach i umeblowaniu skromnym, lecz dostatecznym, stanowił od lat kilku wspólne mieszkanie Marty i Justyny. W tym pokoju Justyna stanęła przed otwartym oknem i rozplótłszy warkocze, powolnym ruchem rozczesywać zaczęła gęstwinę czarnych włosów, w które podczas rannej przechadzki wplątały się zielone igły i młodziutkie gałązki sośniny.

Na Niemnie ruch ustał zupełnie. Tratwy przepłynęły, rybackie czółna znikły, samotność zaległa płynące błękity wody, nad którymi czasem tylko w olśniewającej światłości słonecznej szybko i kręto przelatywały połyskliwe jak atłas rybitwy. Na cichą wodę wypłynęła łódź mała, od jednego brzegu do drugiego wioząca dwóch ludzi. Jeden z tych ludzi siedział na dnie łodzi i twarz nad wodą pochylał tak, jakby z zajęciem przypatrywał się podwodnej roślinności, która tu i ówdzie wybijała się na powierzchnię kępami okrągłych liści i żółtych kwiatów wodnych lilii. Drugi, wysoki, w stojącej postawie rozgarniał wiosłem wodę zataczającą dokoła łodzi koliste bruzdy. Justyna spostrzegła, że ten przewoźnik, wstrzymawszy nieco ruch wiosła, z podniesioną twarzą patrzał chwilę na dom, u którego szczytu stała ona w otwartym oknie. Potem, gdy już łódź przybiła do brzegu, człowiek ów, wyskoczywszy na przeciwległe wybrzeże, stanął i znowu w tym samym kierunku spojrzał; ale wnet, na kształt górskiego jelenia, prędko i zręcznie wbiegać zaczął na wysoką, piaszczystą ścianę. Od chwili do chwili zatrzymywał się i podaniem ręki albo podłożeniem dłoni pod łokieć dopomagał towarzyszowi, który wstępował na górę znacznie powolniej, z trudnością, z przygarbionymi trochę plecami i pochylonym karkiem. Pierwszy z tych dwu ludzi ubrany był w kurtę z siermięgowego sukna zielonymi taśmami przyozdobioną, drugi miał na sobie długą kapotę, a na głowie pomimo gorąca wielką baranią czapkę. Wkrótce obaj zniknęli za pierwszymi drzewami boru. Ale zaledwie zniknęli, z boru wybuchnęła i pod same zda się obłoki wzniosła się pieśń męskiego, silnego głosu:

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,
Jak różowy kwiat,
Oczy zapłakała, ręce załamała:
Zmienił się jej świat.
Czego ty płaczesz, czego narzekasz,
Dziewczyno moja?…

Głos śpiewającego oddalał się, oddalał się w głębokości boru i przycichał, natomiast z boru ozwały się powitalne czy wzywające wołania:

— Hu! ho! hej! hop! hop!

Ktoś basowym głosem przeciągle wołał:

— Jan—ku! Jan—ku! bywaj! a bywaj!

Jakaś kobieta cienkim i ostrym głosem u samego brzegu lasu na skoczną nutę zaśpiewała:

Kiedy cię śpiewam, luby walczyku,
Myślę o moim miłym chłopczyku…

I urwała, a cisza wraz ze światłością słoneczną stanęły znowu niezmącone od samego nieba do ziemi.

III

Benedykt Korczyński należał do niewielkiej w jego pokoleniu liczby ludzi, którzy odbyli wyższe naukowe studia. Zawdzięczał to czasom, w których upłynęła młodość jego ojca, tym czasom, które światła swe i wzloty otrzymywały od wielkiego i szeroko promieniejącego ogniska. Ogniskiem tym, w samym sercu prowincji roznieconym, była akademia wileńska, a Stanisław Korczyński, syn napoleońskiego legionisty był przez czas jakiś jej wychowańcem. To zapewne, a może także rodowe skłonności, które nie zawsze, ale często jak krynica w łono ziemi w grunt wielu pokoleń wnikają, uchroniły go od zarazków unoszących się zwykle nad stojącymi wodami. Na gruncie pańszczyźnianym wytwarzającym gotowe dostatki, pod skalistym sklepieniem rozpęd wzroków i ruchy ramion tamującym, społeczeństwo było wodą stojącą, pełną zarazków ogłupienia, zezmysłowienia się, lenistwa i apatii. Organizmy ludzkie — biedne te gąbki, które stosownie do drzewa, na którym rosną, wsiąkają w siebie rozkładające lub krzepiące soki — przeciw zarazkom broniły się, jak mogły. Mnóstwo uległo; pewna jednak liczba uzbrojona do walki w odziedziczone lub zdobyte siły oparła się zwycięsko. Do ostatnich należał ojciec Benedykta. Pośród stref, na których jak złotogłowy, pospolite tkaniny lub ścierki zawieszają się ludzkie życia, to życie nie wzbiło się bardzo wysoko, ale też i na niziny nie spadło. Może ono i miało skrzydła, które w atmosferze gnijącej do niczego służyć nie mogąc, przekształciły się w proste szczudła, użyteczne tylko do chodzenia po bagniskach bez obłocenia się i ugrzęźnięcia. Ale istnienie takich szczudeł w pewnych warunkach gruntu i atmosfery świadczy najpewniej o posiadanych niegdyś zacządkach skrzydeł. Dość, że trzej synowie Korczyńskiego dzieciństwo swe spędzili w atmosferze wolnej od zgniłych oddechów rozpusty i tyranii, oświetlonej nie słońcem wprawdzie, ale przynajmniej gwiazdą cnoty, ożywionej nie czynami, ale przynajmniej utajoną do nich zdolnością ojca. Wielkie wrażenie w całej okolicy i nawet w całym powiecie wywołał postępek Korczyńskiego, gdy synów swych wysłał on po skończeniu przez nich szkół średnich do wyższych naukowych zakładów. Po co? Dlaczego? Nie mieliż odziedziczyć po nim znacznego obszaru pięknej i żyznej ziemi, na którym żyć i panować będą sobie mogli, jak panowali i żyli przodkowie? Nie byliż szlachcicami, obywatelskimi synami? Nie mieliż zatem z prawa urodzenia, przysługującego im stanu, położenia w świecie — punktu wyjścia dla spokojnego życia? Nie wszyscy postępkowi Korczyńskiego nadawali nazwę dziwactwa: byli i tacy, którzy czynili to samo; ale poważna większość wzruszała ramionami. Gdyby wtedy w cienie bliskiej przyszłości zajrzał był wróżbiarz jaki, na całe gardło, na cały świat zaśmiałby się z tych dumnych, ufnych, takich pewnych! Korczyński wróżbiarzem nie był i wszystkiego, co w bliskiej przyszłości stać się miało,

nie przewidywał; tak dalece nie przewidywał, że gdyby ktokolwiek rozwinął był przed nim obraz przeznaczeń jego synów, albo by uniósł się zgrozą i rozpaczą, albo by śmiał się na całe gardło krzycząc: „To niepodobna!” Jednak dzięki temu promieniowi światła, który kiedyś do jego głowy z wielkiego ogniska wniknął, część przyszłości przewidywał on i rozumiał; rozumiał, że prędzej lub później, może wcale prędko, praca niewolnicza stanie się pracą wolną i równiejszymi działami rozpadnie się pomiędzy ludzi. Wtedy życie jego synów wraz z życiem całego ogółu, przelane w formę nową, zapotrzebuje nowych narzędzi. Może też pragnął, aby synowie jego zażyli tych samych rozkoszy nauki, koleżeństwa, zaostrzania wzroku przez szerokość dostrzeganych widnokręgów, których on sam w młodości swej zażywał. Może jeszcze cień nadchodzącej przyszłości dotykał czasem jego głowy, bo na przedstawienia i żarty sąsiadów z namarszczonym czołem odpowiadał:

— Na wszelki wypadek! Na wszelki wypadek!

Na koniec w te starania byłego ucznia akademii wileńskiej o dobre przygotowanie synów do życia wchodziła też i rachuba. Nie mieli oni być tak bogaci, jak się to ze strony[49] wydawać mogło. Z obszaru posiadanej ziemi Stanisław Korczyński należał do średnio zamożnych obywateli. Potem już przez sposób życia powściągliwy i nieco nad inne pracowitszy, z możliwie najmniejszą na owe czasy krzywdą ludzką, do dziedzicznego swego Korczyna dokupił drugi, równej wartości folwark. W całości swej stanowiło to fortunę wcale piękną, która jednak, na cztery części rozdzielona — bo oprócz synów Korczyński miał jeszcze córkę — tych, którzy posiąść ją mieli, bogatymi uczynić nie mogła. W myśli swej Korczyński przeznaczał ojczysty Korczyn najmłodszemu ze swych dzieci, Benedyktowi, najstarszego, Andrzeja, na folwarku nabytym osadzając i na tych dwóch braci wkładając obowiązek wyposażenia siostry i średniego brata, Dominika, który w dalekim, wielkim mieście studiował nauki prawne.

Benedykt skończył szkołę agronomiczną i do swego Korczyna wrócił w roku 1861. Matki nie miał już od dawna; ojciec mu zmarł przed paru laty; siostra była zamężna. W zamian mniej niż o dwie mile od Korczyna, na pięknym folwarku swym gospodarował od lat kilku już ożeniony, starszy brat jego, Andrzej; a młodszy, po skończeniu uniwersyteckiego kursu, tylko co wrócił do rodzinnego domu z zamiarem użycia w nim niedługiego odpoczynku. Oprócz tego znalazł w domu krewną swoją, od dzieciństwa sierotę i przez rodziców jego wychowaną, Martę Korczyńską. Miała ona podówczas lat dwadzieścia cztery i w pełnym znaczeniu tego wyrazu można było stosować do niej nazwę dziewoi. Zanadto może wysoka, ale kształtna i ruchliwa, ognistooka, wesoła i wiecznie czynna, tak mu dom napełniała krzątaniem się swym, ładem i dostatkiem, że opustoszenia jego prawie nie uczuł. Zresztą trzej bracia byli ze sobą zawsze w przyjaźni i zgodzie, a teraz do życia ich wpłynął pierwiastek, który z nich uczynił trzy

niby strzały równym pędem ku jednemu celowi lecące. We wszystkich trzech ozwała się naraz krew żołnierzy spod Baru i Samosierry, to zaś, co w pokoleniu najbliższym zadrzemało było i tylko przez sen niekiedy płakało, w nich uderzone dzwonem czasu krzyknęło i na skrzydłach fantazji wleciało w wysoko gorejący płomień. Hej! Gorączką i burzą przeleciały im te dwa lata! Stojące wody społeczne zaszumiały, wzdęły się i wyrzucały w górę kipiące kaskady; w martwej atmosferze wichry zaśpiewały roznosząc po ziemi złote tumany, a na niebie malując jutrzenki i tęcze. Duch demokratyzmu równającym pługiem orał społeczną glebę. Wyżyny, skruchą zdjęte, pochylały się ku nizinom, gotowe do wynagrodzenia krzywd, żebrzące prawie o życzliwość i ufność. Przyjazne i poufałe stosunki zapanowały były wtedy pomiędzy Korczynem a wsią sąsiednią, noszącą nazwę Bohatyrowicze. Mieszkańcy tej wsi mieli kiedyś pergaminy[50] i przywileje szlacheckie, ale przez zbieg okoliczności różnych utracili je od dość dawna i wiedli znojne, ciasne, ubogie życia małych rolników. Nagle dom korczyński na oścież roztworzył się przed nimi. Hej! Byłoż tam wtedy, było ruchu i tłumu w tym niskim, obszernym domu! Rozlegałyż się tam gwary i krzyki płynąc w dal po falach tej rzeki! Brzmiałyż tam i huczały w głębiach tego boru i na rozłogach tej gładkiej równiny takie stuki i hałasy, jakich ani razu słychać tu nie było od dawnego czasu, od owego czasu, w którym powstały gęsto w pobliżu Niemna rozsiane okopy szwedzkie[51]. Najognistszym z braci Korczyńskich był najstarszy, Andrzej. Mężem i ojcem już będąc, zapominał o żonie, dziecku i gospodarstwie własnym, stale prawie w rodzinnym gnieździe przebywając. Dominik wybierał się w świat dla rozpoczęcia życia na własną rękę, lecz wciąż wyjazd swój odkładał i cichszy, więcej wahający się od innych, z braćmi jednak pozostawał. Marta przebywała wtedy złotą chwilę swego życia. Krzątała się dwa razy więcej niż zwykle, bo gości bywało mnóstwo; pełną piersią oddychała upalnym powietrzem chwili; wraz z innymi spodziewała się i pragnęła, i jak ptak zdjęty radością wiosny często śpiewała… Głos miała prosty i nieuczony, lecz silny i czysty. Z namiętnym i w owej porze rozmarzonym wyrazem swych płomiennych oczu zawsze coś do mówienia i do śpiewania miała z Anzelmem Bohatyrowiczem, przystojnym chłopcem w grubym obuwiu i surducie z domowego sukna, który śmiał się tak głośno, że aż się po całym domu rozlegało, z błękitnych oczu iskry sypał, potężnym barytonem tysiąc pieśni śpiewać umiał, przynosił dla niej do ogromnych mioteł podobne bukiety polnych kwiatów, a gdy obok niej przy obiedzie lub wieczerzy siadał, rumienił się tak, że aż uszy stawały mu w ogniu jak czerwone maki. Brat Anzelma znowu, Jerzy, przyjaźnią bardzo szczególną połączył się z najstarszym Korczyńskim. Szczególna była ta przyjaźń wobec różnic w wykształceniu i przyzwyczajeniach dwu tych ludzi zachodzących. Andrzej był synem obywatelskim, w dostatkach wzrosłym, w szkołach wykształconym, z najbogatszą w okolicy dziedziczką ożenionym, a przez to ożenienie i osobisty majątek swój bogatym; Jerzy posiadał zagrodę mającą

około dwudziestu morgów przestrzeni, w szkole żadnej nie był, ziemię swą własnymi rękami uprawiał. Skądinąd łączyło ich niejakie podobieństwo położeń; obaj, niewiele więcej nad lat trzydzieści mający, posiadali już rodziny. Mały Zygmunt Korczyński i Janek Bohatyrowicz byli rówieśnikami. I inne jeszcze, głębokie podobieństwa zachodzić musiały pomiędzy tymi ludźmi, tak z wielu względów różnymi, gdyż odkąd poznali się z sobą, to jest odkąd bracia Korczyńscy, w niskich drzwiach pochylając wysokie swe postacie, po raz pierwszy weszli do chaty braci Bohatyrowiczów, Andrzeja i Jerzego zawsze prawie widywano razem. Razem na długie rozmowy wychodzili w szerokie pola, razem szli polować na dzikie kaczki i bekasy, razem rybackim czółnem pływali po Niemnie ku oddalonym wsiom i miasteczkom, razem niekiedy czytali, razem…

Benedykt, wysmukły wtedy, szczupły, z twarzą przez długie przesiadywanie na ławach szkolnych trochę wychudzoną, więcej jeszcze do studenta niż do osiadłego obywatela podobny, przyjmował i gościł w domu swoim braci i sąsiadów; z poważnymi krewnymi, którzy do młodych Korczyńskich przyjeżdżali pełni przestróg i upomnień, staczał zażarte dysputy… Gorączką, gwarem, zapałem zleciały mu te dwa lata!

Wszystko to po upływie pewnego czasu wydawać się mogło snem napełnionym widzeniami prawie nadprzyrodzonymi: tak niezmiernie inne było to, co nastąpiło po nim… Kiedy Benedykt obudził się z tego snu swojej pierwszej młodości, spostrzegł przede wszystkim, że zabrakło mu obu braci. Andrzej Korczyński razem z przyjacielem swym, Jerzym Bohatyrowiczem, zniknął ze świata, a wnet po ich zniknięciu jedno z korczyńskich uroczysk nazwę swą zmieniło. W uroczysku tym znajdował się ów bór zaniemeński, który miał około dziesięciu włók rozległości i z którym łączyły się obszerne lasy, do Andrzeja i paru sąsiadów jego należące. Dotąd z powodu porastających je sosen i jodeł nazywało się ono Świerkowym; teraz powszechnie i we wszystkich warstwach ludności nazywać je zaczęto Mogiłą. Kto pierwszy nowej tej nazwy użył i jakie były pobudki, które ją rozpowszechniły, trudno powiedzieć: lecz utrwalona w okolicznej mowie była ona jedynym grobowcem najstarszego z braci Korczyńskich. Innego nie wystawiono mu nigdy… Pozostała po nim wdowa wraz z małym synem osiadła w posagowym majątku swoim dość znacznym, o parę mil od Korczyna położonym. Dominik żył, ale losy odrzuciły go bardzo daleko i po kilku latach zaledwie przysłał bratu wieść, iż w tych dalekich stronach zdołał nareszcie zdobyć sobie byt skromny przez otrzymanie małego zrazu urzędu. Benedykt zaciągnął dług bankowy, aby bratu wypłacić to, co mu się według ojcowskiego rozporządzenia należało. Na wypłacenie posagu siostrze nie miał środków i zatrzymując go na hipotece Korczyna, ten dotąd czysty jak kryształ majątek obarczył drugim już długiem. Były to długi konieczne, z natury rzeczy niejako, nie zaś z lekkomyślności i marnotrawstwa wynikłe; niemniej, kiedy Benedykt po raz drugi po obudzeniu się ze snu młodości rozejrzał się dokoła, spostrzegł, że

synem bogatego domu obywatelskiego będąc, wcale bogaty nie był… Nie będąc tchórzem i nie mając szczególnych do sybarytyzmu[52] skłonności, bynajmniej by się tym spostrzeżeniem nie przeraził, ale po nim przyszło wnet wiele innych. Nastała była mianowicie pora niezmiernych urodzajów na te kije, które w koła gospodarstw wszelkich włażąc[53], czyniły je podobnymi do wozów przebywających pewnego gatunku jesienne drogi, kiedy to koła po osie, a konie po golenie w gęstym błocie grzęzną. W takim położeniu rumaki, choćby arabskiej krwi, nic zrobić nie mogą: dla posuwania się wozu naprzód — wołów pokornych i cierpliwych potrzeba. Benedykt zrazu wierzgał i z nozdrzy ogień wyrzucał, jak oburzony i zniecierpliwiony rumak, ale stopniowo uspokajał się… Zrazu przyzwyczajeniami młodości pobudzany wytężał słuch w przestrzeń i oczami wodził czasem po obłokach. Ale spostrzegł znowu, że nic wcale przyjemnego nie mógł już tam usłyszeć ani zobaczyć; że śpiewające drzewa i grające zorze jego pierwszej młodości zaliczonymi zostały do bajek, i do takich w dodatku bajek, którymi dzieci straszą, ażeby były grzeczne. Pochylił tedy karku i zajął się tylko wyjmowaniem kijów z kół swego własnego wozu. Robota Penelopy[54]! Co wyjął kij jeden, właziło dwa; wyjął dwa, wyrastało cztery. Z początku czynił to niezgrabnie i zawsze jeszcze ku obłokom trochę zerkając. Wynikło mu stąd wiele strat i nieprzyjemności. Tak na przykład: raz w pierwszych jeszcze latach gospodarowania różne teorie dobrze mu znane wzbudziły w nim chęć, aby mieszkańcy dziedzicznych kiedyś jego wiosek nauczyli się czytać, owocowe ogrody zasadzać, u doktorów leczyć się, karczmy omijać… Lecz bardzo wkrótce wszelkiej roboty około tego zaniechać musiał, bo na kilka miesięcy wyjechał do najbliższego miasta w celu przeprowadzenia dość kosztownej i niebezpiecznej sprawy. Odtąd na ten punkt obłoków nie zerknął już nigdy. Innym razem agronomiczna wiedza jego doradziła mu zmianę istniejącej w Korczynie rasy bydła na inną: zmienił i znaczne korzyści obiecywał sobie z tego na przyszłość, ale tymczasem wydał sporo pieniędzy, a gdy przyszła pora wypłacenia czasowo ustanowionych podatków, nowy dług zaciągnąć musiał. Kiedy indziej jeszcze, mianowicie przed ożenieniem się z panną młodziutką, ładną, pięknie wychowaną i w której serdecznie był zakochany, zachciało mu się ogród korczyński wykwintnie urządzić i cały stary dom swój rodzinny otoczyć zbytkiem kwiecistych kobierców i aksamitnych trawników. Sam posiadał znawstwo roślin, wynalazł sobie bardzo biegłego i również kosztownego ogrodnika. Przez dwa lata potem były istotnie w Korczynie cudne trawniki i osobliwe kwiaty, szparagi zadziwiającej grubości, brzoskwinie i nawet ananasy, ale po dwu latach jawnie i absolutnie okazała się niemożność utrzymania nadal tego świetnego porządku rzeczy bez niebezpiecznego zaniedbania najważniejszych majątkowych potrzeb i interesów. Kilka jeszcze podobnych zerknięć ku obłokom, a Benedykt Korczyński byłby do szczętu zrujnowany. Ale w naturze jego, zapalczywej skądinąd, istniała zdolność do powściągliwości.

Powściągnął się od wszelkiego wierzgania i rozdymania nozdrzy, a lekkie i pełne gracji kształty rumaka powoli, stopniowo przelewały się w grubą i ponurą, ale w równym i cierpliwym stąpaniu swym niezmordowaną postać wołu. Czy ta metamorfoza przyszła mu z łatwością? Nigdy z tym nie zwierzał się przed nikim, a raczej przed jedną tylko osobą zwierzać się kiedyś chciał i próbował…

Dwanaście lat minęło było od owego osierocenia po braciach, majątkowego zubożenia i śmiertelnego rozbicia się młodzieńczych jego ideałów, kiedy pewnego letniego wieczora Benedykt po obszernym ogrodzie korczyńskim szukał swej żony. Resztki dziennego światła padały mu na twarz opaloną od słońca i błyszczącą od potu; szedł prędko i szerokimi krokami: gruby i do czerwoności ogorzały kark nisko pochylał. Coś go dręczyło, bo koniec długiego wąsa do ust wkładał i w zamyśleniu zębami go przygryzał. Po długim szukaniu i kilkakrotnym wołaniu usłyszał na koniec ozywający się w głębi cienistej altany łagodny i srebrny głos żony. Altana z przezroczystej kraty, wdzięcznie zbudowana i pachnącym kapryfolium[55] gęsto opleciona, była jedną z nielicznych pozostałości owych ogrodowych upiększeń, które przed ożenieniem się swym przedsięwziął był Benedykt. Teraz dość było jednego rzutu oka, aby poznać, że myśli o jakichkolwiek ulepszeniach estetycznych na tysiąc mil oddalone od niego były. Wszedłszy do altany Benedykt po kilkakroć ucałował rękę i czoło żony obok niej usiadł. Ładna, trzydziestoletnia brunetka w białym negliżu, w postawie objawiającej znudzenie i znużenie, siedziała na wygodnej ogrodowej ławce i poduszkę mając za plecami, ślicznie obute stopy na niskim stołeczku wyciągała. Na kolanach jej leżała otwarta książka. Wejście męża nie ożywiło jej zasępionych rysów, uchyliła się nieco, aby twarz swą odsunąć od głośnego i gorącego jego oddechu.

— Takem się zmęczył, moja Emilciu — zaczął — że już trochę odpocząć muszę. Niech tam sobie ekonom i robotnicy poczekają, a ja kwadransik przy tobie posiedzę… Uf! Te żniwa! Nim je człowiek przebędzie, sto upałów go spali i sto strachów po nim przejdzie…

— Ja także — z cicha odparła kobieta — czuję się bardzo zmęczona upałem.

— Ale co tam ten upał! — ręką po spoconym czole przesuwając ciągnął Benedykt — fizyczną przykrość każdy znieść może, jeśli jest przy tym spokój…

— A cóż cię znowu tak bardzo niepokoić może? — z ledwie dosłyszalną ironią zapytała żona.

— Hm! Zawsze mnie o to pytasz, zawsze ci wszystko opowiadam i zawsze pytasz znowu…

— Tak niezdolna jestem do zrozumienia i zapamiętania wszystkich twoich kłopotów i interesów…

Z większym niż przedtem znużeniem przechyliła się na poręcz ławki i wygodniej drobne swe stopy na podnóżku ułożyła.

— Jednakże — z trochą irytacji w głosie zaczął znowu Benedykt — rzeczy te są bardzo zrozumiałe i do zapamiętania łatwe… Do końca życia chyba nie zapomnę, w jakim byłem strachu, kiedy przeszłej jesieni z powodu złych zbiorów nie mogłem na czas zapłacić bankowej raty… Wszakże już Korczyn opisywać miano i ledwie nieledwie dostawszy pieniędzy, piorunem z nimi do Wilna leciałem. Całą przeszłoroczną jesień biłem się jak ryba w wodzie… Nie daj Boże takiej drugiej jesieni…

Pani Emilia smutnie wstrząsnęła głową.

— Mnie także zeszłoroczna jesień wcale niewesoło przeszła. Chorowałam na zapalenie oskrzeli… i sama w domu byłam… jak pustelnica…

Benedykt rękę żony pocałował.

— Bieda z twoim złym zdrowiem! Prawda, że dwa miesiące prawie nie byłem w domu, a przez ten czas ty kilka dni chorowałaś obłożnie… Ale przecież sama nie byłaś! Miałaś przy sobie pannę Teresę, Martę, Justynkę, dzieci… a nawet — dodał z uśmiechem — pan Ignacy mógł cię muzyką swoją rozrywać… Jakaż to pustynia?

— Ja ciągle żyję na pustyni — szepnęła kobieta.

— Oj! — krzyknął prawie mężczyzna — bodaj, że lepiej byłoby żyć na pustyni, jak wśród okoliczności takich, z jakimi ja ciągle ubijać się muszę. Ile mnie kosztuje na przykład to ciągłe prawowanie się z chłopami! Człowiek przecież nie urodził się na tyrana i ludożercę… Kiedyś mi do tego naszego ludu serce młotem biło. Ale cóż? Ciemnota to jest, a ja na to nic nie poradzę. Las mi rąbią, zboże spasają, na pastwiska włażą… Czyż mogę własności swojej nie bronić? Gdybym magnatem był, jak Boga kocham, nie dochodziłbym niczego i niechbym tam już mniej miał, byle tych sporów nie zawodzić… Ale samemu ciężko… Tu załatasz, tam dziura; tu zszyjesz, tam się rozporze — i Bóg jeszcze wie, co z nami będzie! Więc muszę, chcąc nie chcąc, włóczyć ich po sądach… a zawsze, dalibóg, we środku mi coś aż płacze!…

Niżej jeszcze pochylił gruby kark, a wielkie wąsy tak mu w dół zwisły, że klap surduta prawie dotykały. Dłonie o kolana opierał i w ziemię patrzał. Pani Emilia, wzniesionym wzrokiem ścigając ruchy gałązek, z którymi wietrzyk jesienny igrał, szepnęła:

— O! I ja także wiem, co to płakać bez łez…

Benedykt podniósł głowę, z uwagą jej w twarz popatrzał, ręką potem machnął i rzekł:

— Tylko, że u ciebie, Emilciu, pochodzi to z nerwów… mnie zaś — no! już tam o wszelkich rzeczach wysokich albo wesołych i marzyć przestałem… Ale chciałbym czasem odetchnąć swobodniej, pewnym być, że wam wszystkim nigdy chleba nie zabraknie…

— O, chleb! chleb! chleb! — z cicha zaśmiała się Emilia.

Benedykt spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

— Czegóż śmiejesz się? Chleb! Najpewniej o chleb mi chodzi! Więc cóż?

Ty nawet bez perfum i tych tam… różnych swoich szlafroczków obejść się nie możesz, a tak ironicznie mówisz o chlebie…

— Ja obchodzę się bez wielu rzeczy, które są tym dla duszy, czym chleb dla ciała — żywiej nieco odparła.

Popatrzał na nią znowu, wzruszył ramionami i pochylił głowę tak nisko, że końce wąsów klap surduta dotykały. Milczał. Ładna brunetka w białym negliżu milczała także, twarz jego, ubiór i całą postawę z wolna wzrokiem obejmując. Z gry jej delikatnych rysów poznać można było, że czyniła w tej chwili bolesne dla siebie uwagi i porównania. Myślała zapewne, że tego człowieka, który teraz obok niej siedział, nie takim wcale poznała i pokochała. Był on wtedy młodzieńcem zgrabnym, ze świeżą twarzą i trochę już smutnymi, ale pełnymi blasku oczami. Wieczorów tanecznych nikt nie wydawał wtedy, więc tańczącym go nie widziała; w zamian kilka razy miała sposobność zachwycić się jego gibkością i siłą, gdy siedział na koniu. Odwaga i zapał jego, dla których wielu nazywało go prawie szaleńcem, a także nieszczęścia dwu jego braci nadały mu aureolę rycerską i poetyczną. Powiadano, że dziwnym tylko zbiegiem okoliczności mógł tu pozostać. Przy ówczesnym braku młodych mężczyzn uchodził za partię świetną. Dumna była, że ją właśnie wybrał, że rozkochał się w niej z całą zapalczywością swej natury, że życie z nią, z nią właśnie, uważał za jedyną zorzę, która na niebie jego zaświecić mogła po zgaśnięciu tylu innych… O tym, że w Korczynie, który uchodził za fortunę wcale piękną, otoczyć ją i po wiek wieków otaczać ją miały wszystkie miękkości dostatku i wyszukanego smaku, prawie nie myślała, bo w domu rodziców swych wśród tego wszystkiego wzrosła i nie wyobrażała sobie, aby ktokolwiek mógł żyć inaczej. Rachuba więc nie powodowała nią bynajmniej, kiedy ze szczęściem rękę swą Benedyktowi oddawała. Po prostu, przyszły mąż podobał się jej bardzo, była w nim zakochana. Czemuż więc teraz… Ba! Byłże to ten sam człowiek, co przed dziesięciu laty? Od konnego jeżdżenia po polach i ciągłego ruchu rozrosły się mu kości i muskuły; pleczysty teraz był, stąpał ciężko, kark miał gruby i zaczerwieniony. Na czole, posiadającym kiedyś białość i gładkość prawie dziewiczą, każdy rok upłyniony zostawił po parę zmarszczek, a teraz, w czasie żniw, było ono wilgotne od potu, od opalenia prawie brązowe. Ubiór jego składał się z wysokich butów i płóciennego surduta, a przynosił z sobą ostry zapach tego znoju, który oblewa ciała żniwiarzy, i tych zielsk dzikich, które na ścierniach czepiają się ludzkiej odzieży. Wprawdzie wszystkie te zmiany nie zaszły nagle, ale oko nawykłe do wykwintnych form życia nigdy oswoić się z nimi nie mogło.

Dlaczego człowiek ten stał się taki, jaki był teraz, ani rozumiała, ani dochodziła. Dość, że od lat już kilku doświadczać zaczęła uczuć rozczarowania i zawodu, które czyniły ją smutną i — chorą. W tym odludnym i cichym Korczynie, przy tym człowieku spracowanym i nie mającym czasu ani chęci do podzielania jej ulubionych rozrywek i zajęć wprost traciła ochotę do życia. Objawiało się to w coraz wzrastającym jej

wstręcie do wszelkiego ruchu. Po cóż by zadawać sobie miała jakąkolwiek fatygę, skoro sobie przez nią żadnej przyjemności zdobyć nie mogła? Parę razy dla wzmocnienia sił i nerwów wyjeżdżała za granicę i wracała istotnie wzmocniona i odrodzona. Ale w kilka miesięcy po powrocie wracały jej z naddatkiem wszystkie słabości i smutki. Przestała bywać u sąsiadów, bo byli dawno znani i niezabawni; nie wychodziła na przechadzki, bo nic ciekawego ani miłego nie znajdowała w widoku nieba, ziemi i wszystkiego, co było na nich. Ogarniało ją coś bardzo podobnego do lenistwa ciała i duszy. Samo przejście z domu do ogrodowej altany nużyło ją niekiedy. Szczęściem było dla niej jedynym, że lubiła czytanie i ręczne robótki. Pochłaniała dużo książek, wyrabiała mnóstwo poduszek, serwet, kołder itd. Przy tym tęskniła i czuła się coraz częściej napastowana przez różne bóle, dolegliwości, osłabienia, które zawsze przewidywała z daleka, spotykała z przestrachem i usiłowała odegnać mnóstwem starań i środków. Takim było jej istotnie nędzne życie…

Kiedy ładna, trzydziestoletnia brunetka w milczeniu to wszystko wspominała i myślała, pleczysty, ogorzały, zmęczony i zgryziony mężczyzna w długich butach i płóciennym surducie zwrócił się do niej twarzą, popatrzał jej w oczy i w zgrubiałe swe ręce biorąc jej narcyzową rączkę zaczął:

— Dlaczego ty, Emilciu, od jakiegoś czasu bywasz dla mnie tak obojętna? Co ja ci złego zrobiłem? Czy masz mi co do wyrzucenia? Ot, i dziś biegłem do ciebie, aby przy tobie uspokoić się… odpocząć… Chciałem wygadać przed tobą, rozpowiedzieć ci wszystko, uścisnąć cię i poweseleć… A ty tylko narzekasz albo milczysz… ot, po prostu, jak wroga mnie traktujesz… Nie pierwszy już raz zauważyłem to w tobie, o! nie pierwszy… Jest już tak od dawna, ale dziś większy mnie żal zdjął nad tym… Dlaczego zobojętniałaś tak dla mnie? Dlaczego wiecznie czujesz się nieszczęśliwa, dlaczego? A? Powiedz, aniołku mój, dlaczego?

Ujął jeszcze i drugą jej rękę, twarz swą blisko do jej twarzy przychylał i z miłosnym prawie spojrzeniem, i prośbą, coraz ciszej i czulej zapytywał:

— Dlaczego, Emilciu? Powiedz! A? Dlaczego, moja koteczko?

Nie broniła się pieszczotom jego, ale delikatną i coraz więcej zasępiającą się twarz swą od jego twarzy oddalając, z przejmującym żalem zawołała:

— O! Gdybyś się ty był tak nie zmienił, Benedykcie, gdybyś się tak nie zmienił! I ja… byłabym może taka, jak dawniej… Ale tyś się tak zmienił… zmienił…

Zastanowił się chwilę nad tym, co powiedziała.

— A tak — potwierdził — zmieniłem się istotnie…

— I tak nadzwyczajnie — dorzuciła — jakby cię dotknęła różdżka jakiegoś złego czarnoksiężnika…

Machnął ręką i zaśmiał się wpółwesoło, wpółgorzko.

— Jaki tam czarnoksiężnik! — odparł. — Życie to, moja duszko, życie

zmienia ludzi. W takich, uważasz, okolicznościach ostatni chyba głupiec utrzymywać się może w roli Adonisa[56]... Ale jeżeli ci idzie o moje serce, charakter...

Z wyjątkową u niej energią wyprostowała się i z głębokim przekonaniem rzekła:

— Nie, Benedykcie, nigdy nie zgodzę się na to, aby życie wymagało od nas takich ofiar. Może ono być piękne i szczęśliwe, ale tylko dla tych, którzy odrzucą jego brzydką i prozaiczną stronę. Ale jeżeli kto tak jak ty zanurzy się w samych materialnych interesach, a wyrzeknie się wszelkiego piękna i wszelkiej poezji... wtedy...

— Więc oboje z tobą zanurzać się będziemy w poezji — przerwał mężczyzna — a tymczasem bank lub lichwiarze sprzedadzą nam Korczyn i wraz z dziećmi pójdziemy w świat o kiju...

Mówił to łagodnie, ale gdy teraz spojrzał na żonę, wyraz lekceważenia przebiegł mu po twarzy.

— Nie rozumiemy się i zrozumieć się nie możemy — ze smutną obojętnością rzekła pani Emilia.

— Ale na koniec — zawołał mąż — czegóż chcesz? Co mi masz do wyrzucenia? Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? Czyżbyś naprawdę wymagała ode mnie, abym nieodstępnie przy tobie siedząc zaniedbywał obowiązki, jakie mam dla dzieci i dla ciebie samej? Abym jak bałwan jaki czytał z tobą romanse, słuchał rzępolenia Orzelskiego i nie dbał o ten nasz kawał ziemi, a na koniec i o swój honor? Bo przecież od interesów majątkowych i honor nieraz zależy! Czyżbyś naprawdę tego ode mnie chciała?

— Ależ nie! — żywo zaprzeczyła kobieta — teraz już tego nie chcę... o nie! Każde z nas ma już teraz świat osobny... zupełnie inny...

— Więc czegóż ci brakuje? Zbytkiem istotnie otoczyć cię nie mogę, Ale i po cóż ten zbytek? A niedostatku dotąd, chwała Bogu, w domu naszym nie ma. Pracy i kłopotów nie masz żadnych... Wiedziałem od razu, że nie jesteś do pracy ani stworzona, ani wychowana, i nie wymagałem jej nigdy od ciebie. Gospodarstwem zajmuje się Marta... ty robisz to tylko, co chcesz... Dzieci masz, przywiązanie moje... książki... robótki...

Powoli ładna kobieta wyprostowywała wątłą swą kibić, aż wyprostowała ją zupełnie i z błyskiem w oczach przerwała:

— Wyliczyłeś wszystko co mam, wyliczże teraz to, czego nie mam... Cóż ja mam? Żyję w tym kącie jak zakonnica, więdnę jak kwiat zasadzony na piaskach. Cóż stąd, że nie doświadczam niedostatku? Moje potrzeby są większe, wyższe... O smaczny obiad nie dbam, ale pragnę dokoła widzieć choć trochę poezji, piękna, artyzmu... A gdzież je tu znaleźć mogę? Ja pragnę wrażeń... natura moja nie może być stojącą wodą, ale potrzebuje błyskawic, które by nią wstrząsały... Ja pragnę nade wszystko podziału uczuć... a czy jest przy mnie choć jedno serce, które by uderzało razem z moim sercem? Mówisz zawsze, że mnie kochasz! Ja to uważam za bolesną tylko ironię! Przebacz, że powiem prawdę. Nie masz natury wytwornej i

zarazem gorącej, abyś mógł kochać tak, jak ja kochana być potrzebuję. Gdybyś mnie tak kochał, nie opuszczałbyś mnie na godziny i dnie całe dla prostych materialnych interesów. Przy mnie, dla mnie zapominałbyś o wszystkim, nie obrażałbyś co chwilę gustów i przyzwyczajeń moich, ale wyrzekłbyś się raczej wszystkiego, zapomniałbyś o wszystkim, byle mnie rozweselić, zająć, uszczęśliwić. Tak ja rozumiem miłość, takiej spodziewałam się od ciebie i dawno już wiem, żem się zawiodła. Cierpiałam nad tym tak, że aż się zachwiało to biedne, słabe zdrowie moje. Na koniec zdobyłam się na rezygnację. Ale za to gdybym ja miała choć rozrywki i przyjemności jakie… Żyję na pustyni… nikogo nie widując, sama przed światem za lasami tymi ukryta… Proza… proza… proza… Ja na niej, tak jak ty, poprzestawać nie mogę… I nuda… Ja nudzę się… Przecież książki i robótki wystarczyć nie mogą nikomu, a choćbym chciała zająć się jeszcze czym innym, nie pozwala mi na to słabe moje zdrowie…

Mówiła to wszystko bez gniewu, cicho i tylko z wielkim żalem. Oczy jej napełniły się łzami, które przecież powściągnęła, i z ruchem zupełnego zniechęcenia dodała:

— Ale po cóż o tym mówić? Ty się nie zmienisz i nic się nie zmieni. Gwiazdy losu różnym światłem świecą. Moja jest ciemna. Z pociechą myślę, że jestem słaba i mam złe zdrowie, może więc wkrótce mogiła…

Woń rezedowej perfumy wionęła od chusteczki, którą na chwilę do oczu swych przycisnęła. Potem odwróciwszy twarz patrzeć zaczęła na powietrzną grę kapryfoliowych gałązek, którymi wietrzyk poruszał.

Benedykt nie przerywał, słuchał i koniec wąsa przygryzał, a gdy umilkła, nie patrząc na nią przytłumionym głosem wymówił:

— Ja… moje… mnie… dla mnie… przy mnie…

Po chwili wstał. Zdawać się mogło, że wysoka i silna postać jego cięższa jeszcze stała się niż wprzódy.

— Prawdę powiedziałaś — rzekł — że nie rozumiemy się i zapewne nie zrozumiemy się już nigdy… Nie jest to już dla mnie nowym odkryciem, tylko że dotąd łudziłem się jeszcze… Cóż robić? Niech jeszcze i to… Tylko pozwól powiedzieć sobie, te twoje „kwiaty na piaskach”, „wstrząsające błyskawice”, „gwiazdy losu”, „mogiły” i tym podobne górności nie są wcale poezją, jak to sobie wyobrażasz, ale przestarzałą i złej wody romansowością. Ja także kiedyś na rzeczach wzniosłych i od pospolitości życia oderwanych znałem się, a wyrzekłem się ich nie dla hulanki i nie dla metresy, ale dla konieczności i obowiązków życia. Może i w tym jest także trochę poezji, ale ty się na takiej nie znasz… Cóż robić? Niech jeszcze i to…

W głosie jego słychać było trochę łez i więcej powściąganego gniewu. Wyszedł z altany.

Długo potem Benedykt w gabinecie swoim i na ganku domu wypłacał tygodniową należność robotnikom, naradzał się z ekonomem, głośny i żwawy spór wiódł z dwoma Bohatyrowiczami, którzy przyszli prosić o zwrot swych koni, w jego zbożu pochwyconych. Ostatnia ta czynność

najwięcej zmęczyła go i zgryzła. Od ludzi, którzy w płóciennych kapotach stali na wschodach ganku, żądał pieniężnej zapłaty za stratę, którą poniósł. Oni prosili zrazu, potem jeden z nich stawił się hardo, zaprzeczając wszystkiemu, wyrzucając mu zbytnią srogość i dla ich położenia niewzględność. Ubodło go to znać do żywego, bo odpowiadając głos tak podnosił, że aż krzyk jego na cały dwór się rozlegał. Ale i jeden z tych ludzi, średniego wzrostu, z twarzą do rydza podobną i zuchwale sterczącymi wąsami, uniósł się także.

— Niechże nas sądy sądzą! — zawołał — niech pan na nas skargę podaje… bez procesu obdzierać się nie pozwolim…

— Podam — krzyknął Korczyński — i także nie pozwolę, abyście mnie okradali…

— Za pozwoleniem pańskim! — krzyknął zagrodowiec — złodziejami nie byliśmy i nie będziemy nigdy… Teraz my na pana podamy skargę za ubligę…

— Podawajcie i do samego diabła, tylko mi z oczu ruszajcie! Zaraz! Jak nazywacie się? To jest… imiona wasze?

Starszy i wyższy, chudy, schorowany i dotąd ciągle prawie milczący postąpił krok naprzód; oczami, które kiedyś błękitne być musiały, ale teraz spłowiały i wyraz miały cierpiący, na Korczyńskiego popatrzał i cicho odpowiedział:

— Anzelm Bohatyrowicz…

Na szczególne spojrzenie i szczególniejszy jeszcze dźwięk głosu, z jakimi to imię i nazwisko wymówione zostały, w gniewie swym najmniejszej uwagi nie zwracając, Korczyński zapytał:

— A drugi?

— Fabian Bohatyrowicz! — jeżąc się i sierdzisto odkrzyknął zapytany:

— No, więc będziecie mieli proces… a teraz… wynoście się… prędzej!

Ten, który nazwał siebie Anzelmem, znowu na Korczyńskiego popatrzał i z cicha wymówił:

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ… jednakowoż nieboszczyk pan Andrzej nie tak pewno postępowałby z nami!

Słowa te ukłuły Korczyńskiego. Zmiękł, ochłonął, ale zachmurzył się jeszcze więcej.

— Nieboszczyk pan Andrzej żył w innych czasach — mruknął i szybko zwrócił się ku drzwiom domu. Na progu stanął, zawahał się i przez ramię do odchodzących ludzi zawołał:

— Połowę kary daruję, ale połowę zapłaćcie…

— Nie zapłacimy nic — odpowiedział młodszy i sierdzistszy — niech pan do sądu idzie i nas ciągnie… co robić!

Sceny takie na ganku korczyńskim powtarzały się bardzo często, bo kilka wsi chłopskich i jedna okolica szlachecka trzymały Korczyn w oblężeniu formalnym i gdyby Benedykt zażarcie jej nie bronił, mnóstwo tych drobnych rybek rozszarpałoby w mgnieniu oka tę większą rybę. Tego

dnia jednak czuł się więcej jeszcze niż zwykle rozdrażniony i zgryziony. Przyczyniła się do tego w znacznej części owa rozmowa w altanie, a w pewnym też stopniu jakieś mgliste wspomnienia, które mu sprowadziły twarz i słowa Anzelma Bohatyrowicza. Według wyrażenia, którym określał pewne uczucia swe, „we środku mu coś płakało". Bo prawdą jest, że ideały młodości, grubym piaskiem wielu następnych wypadków przysypane, przemieniają się w szczypawki, które przy lada poruszeniu kąsają w serce.

W gabinecie swym przy biurku, na którym paliła się lampa i leżały gospodarskie księgi rachunkowe, wziął głowę w obie dłonie i pogrążał się długo w myślach ponurych. Potem wyjął jeden z listów, pod ciężkim przyciskiem leżących, i powoli, z uwagą, z częstymi przestankami czytać go zaczął. Był to list brata jego, Dominika, pisany ze stron bardzo dalekich i brzmiący, jak następuje:

Kochany bracie! *Jak mi nie żal ciebie*[57], że tak męczysz się i gryziesz ze swoim gospodarstwem, ja *winien ci* powiedzieć słowa prawdy. Wy wszyscy nie umiecie dawać sobie rady. Czy człowiek grzybem jest, aby do jednego miejsca przyrastał i choć *jemu tam nie idzie*, gdzie indziej sobie szczęścia szukać nie chciał? Świat szeroki i można na nim znaleźć sobie wygodne miejsce, trzeba tylko mieć energię i trzeźwo patrzeć na rzeczy. Żebym ja wiedział, że ty trzeźwo już patrzysz na rzeczy, to bym postarał się wydobyć cię z tego nieznośnego położenia, w jakim wy wszyscy *postawiliście* siebie. Sprzedaj Korczyn, a ja dam tobie miejsce zarządzającego *w jednych* wielkich tutejszych majątkach. Jestem w bliskich stosunkach *z jednym* księciem, który teraz właśnie potrzebuje człowieka uczciwego i specjalnie wykształconego, aby majątkami jego zarządzał. Pięć tysięcy rubli rocznej pensji, utrzymanie dla ciebie i całej twojej familii, mieszkanie w pałacu, pojazd i sześć koni na rozkazy. *Strona* tu przy tym bogata i różne spekulacje robić można, kto ma pieniądze: drzewem handlować czy *winokurnię*[58] założyć, czy *podrady*[59] brać. Ale to już trzeba umieć robić i nie wiem, czy ty potrafisz, bo mnie dotąd tylko na *służbie* doskonale idzie, a spekulacje udają się nie bardzo. Zawsze lepiej by ci było z taką pensją i czystym kapitałem, który by tobie z Korczyna został, niż teraz. Ja wiem, że tobie to wbić w głowę nie będzie łatwo; ja pamiętam, jak i mnie smutno było *po swojej stronie* i jak ja męczył się, póki sobie tych różnych głupstw z głowy nie wybił. Ale na szerokim świecie człowiek *po niewoli*[60] wiele nauczy się i wiele zapomni. Wszystko jedno, gdzie żyć, byle uczciwie i wygodnie. Ja uczciwie żyję (*temuż* to i w spekulacjach szczęścia nie mam), ale o wygodę swoją i swojej familii dbam i *na służbie* dobrze stoję. Dbajże i ty o to, abyś dla *urojonej celi* reszty życia nie zmarnował. Ja ciebie chcę ratować i wszystko zrobię, aby ci tu dobrze było. Choć wiele ja zapomniał, nie zapomniałem jednak tych czasów, kiedy my z sobą razem rośli, uczyli się, a potem… Ot, biedny Andrzej! Dwóch nas tylko zostało, a ani ja ciebie nie mam, ani ty mnie… Chciałbym, żebyś ty *żył* w tej samej *stronie*, co ja, i żeby

nasze dzieci zapoznały się z sobą. Zastanów się nad tym, co ci doradzam, pomyśl…

Benedykt myślał, że i ten także zmienił się bardzo. Życie! Od kilku lat pisywał do brata rzadko i listy od niego przychodzące z niesmakiem odczytywał. Kilka razy chciał sprzeczać się z nim listownie, ale na długie pisanie nigdy czasu nie miał i wszelka umysłowa robota była mu coraz trudniejszą. Machał więc tylko ręką, więcej namarszczał czoło, myślał, że naprawdę żadnego już brata nie posiada na świecie, i na długie miesiące o Dominiku zapominał. Teraz jednak łagodniej niż zwykle i uważniej list jego odczytywał. Cóż? Życie! Czego ono z ludźmi nie wyrabia? Jednego zmienia tak, drugiego inaczej. Wiele on tam, ten brat, zapomniał; o dawnej przyjaźni ich przecież pamiętał. Może i słusznie doradza? Może to psie życie do niczego istotnie nie prowadzi? Człowiek rdzewieje tylko, duszę w sobie gasi. Gdyby to choć we dwoje… ale tak… z tym domowym jeszcze nieszczęściem ciężko. Tam pracy zapewne będzie wiele, ale praca nie jest bynajmniej straszna, a tylko to jest straszne, co jej tu towarzyszy. Tam obok pracy będzie spokój, pewność jutra i przy tym… tych wiecznych kłótni z ludźmi nie będzie. O, te kłótnie!

„Gdybym magnatem był, jak Boga kocham, nie dochodziłbym niczego i niechbym tam już mniej miał, byle tych sporów nie zawodzić; ale samemu ciężko… A tak i sam uspokoję się, rdzę z siebie zetrę, i ludziom dokuczać przestanę… Niech już tam lepiej dokucza im kto inny! Kto wie? Może i zrobię tak, jak mi bratczysko radzi… Jak ja go dawno nie widziałem! Co tam ta… prawi o swojej pustyni! Ot, ja to na pustyni żyję! Ani wygadać się przed kim, ani u kogo rady albo pociechy zasięgnąć! Tam miałbym blisko brata. Zmienił się? Cóż? Życie! Biedny on taki jak i ja!”

Odkładał list pod przycisk myśląc, że dziś, jutro napisze do Dominika w sensie twierdzącym.

„Trzeba się tylko o wszystkie warunki detalicznie rozpytać i żeby mi pozwalali, choć raz na trzy lata, w te strony przyjechać, bo jeżeli na zawsze… to z tęsknoty zdechnę…”

Wtem z trzaskiem otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadło małe stworzenie skaczące jak konik polny i przy każdym skoku rozwiewające dokoła głowy włosy mające barwę dojrzałej pszenicy, gdy ją ozłaca słońce. Wpadło, poskoczyło, rękami szyję Korczyńskiego objęło i bardzo cienko i głośno wyszczebiotało:

— Ciocia Marta pyta się tatka, czy tatko tu kolację przynieść każe, czy będzie jadł w stołowym pokoju, czy kurczęta i mleko kwaśne, czy maliny… bardzo smaczne, tatku, maliny… Ciocia Marta dała mnie ich dużo, dużo i ciasteczka z malinami pieką się, ale jeszcze nie upieczone. Ciocia Marta mówiła, żeby tatko dziś jadł mleko kwaśne, bo dobre, a wczoraj było niedobre…

Korczyński pochylił się i usta dziecka pocałunkiem zamknął. Był to

jedyny sposób powstrzymania tego ptaszęcego szczebiotu, lecz powstrzymania go tylko na chwilę, bo mały paluszek wnet wyciągnął się w przestrzeń ku białym, małym motylom, które wleciawszy przez otwarte okno dokoła lampy krążyły albo padając na szarych okładkach ksiąg rachunkowych rozpinały swe skrzydła drobne i drżące.

— Widzi tatko? motylki… o! jakie motylki… ale w ogrodzie ładniejsze… Julek mówił, że za miesiąc będą już rybacy łowić *jacicę*[61] … wie tatko, w nocy… na czółnach… z takimi ogniami… Czy tatko kiedy łowił z rybakami *jacicę*? Julek mówił, że te takie malusieńkie, malusieńkie motylki… dla ryb, widzi tatko, na przynętę…

— Widziu! — zaczął Korczyński, w twarz małego syna patrząc tak, jak może dotąd nigdy nie patrzał. — Widziu, słuchaj, Widziu!

— Co, tatku?

— Lubisz ty te malutkie, białe motylki.

— Lubię, tatku, takie ładne…

— A Niemen lubisz?

Dziecko aż nóżkami zatupało.

— Tateczku, żeby tateczko wiedział, jak to dobrze pływać i ryby łowić!… Ja z Julkiem dziś pływałem… on złowił szczupaka… wie tatko, na sznur… a ja na wędę dwa kiełby, takie śliczne, śliczne kiełbiki…

— A las lubisz, ten co za Niemnem?

— Aj, tateczku, my z ciocią Martą i z Justynką w niedzielę do lasu sobie popłynęli, grzyby zbierali i tak było wesoło, wesoło…

Grube ramię mężczyzny coraz silniej obejmowało szczupłe ciałko dziecka i duże, ponure oczy miękły i promieniały topiąc się w czystych, błyszczących, ruchliwych źrenicach dziecięcych.

— A tatka kochasz? A?

Na pomarszczonym czole, szorstkich policzkach i długich wąsach Korczyńskiego nie było takiego miejsca, którego by nie ucałowały śmiejące się i świeże usta jego syna. Był to swawolnik i wisus, jakich mało; nie tylko w całym domu, ale i w całym Korczynie słychać go było. Kiedy go do nauki napędzano, krzyczał: „Nie dręczcie mnie!” i biegł co siła na folwark do parobkowskich dzieci czy w pole do żeńców albo pastuszków; ale czasem sam, z dobrej woli, zaczynał uczyć się żarliwie, z książką zaszywał się w takie kąty, że go wynaleźć było trudno, a gdy mała siostra raz zachorowała, niańczył ją i bawił całymi dniami, tak że aż sam pobladł i schudł… Korczyński na to dziecko swoje patrzał teraz długo i z zamyśleniem głębokim. Myślał, patrzał i uśmiechać się zaczął.

— Oj, ty, nadziejo moja!

Chłopczyk aż krzyknął, tak mocny i szorstki całus przygniótł mu mały policzek. Korczyński z rozweseloną twarzą rzekł:

— Poproś cioci Marty, aby mi tu przysłała kurcząt, mleka kwaśnego, malin i wszystkiego, co chce… Jeść mi się zechciało diabelnie!

Tej nocy jeszcze bratu odpisał w sensie przeczącym.

Nazajutrz oboje z Martą wstali jak zwykle o piątej z rana i jak zwykle oba ich głosy przez dzień cały huczały po całym dworze. Mieli oni z sobą oprócz innych i to rodzinne podobieństwo, że głosy ich stawały się z latami coraz grubsze i krzykliwsze. Oprócz pracy kłopotliwej i drobiazgowej, której się oddawali z coraz ciaśniejszą wyłącznością, oboje mieli w życiu swym jakiś pierwiastek, który obudzał w nich częste rozjątrzenia. To usposobienie do gniewu i ponurości wzrosło u Korczyńskiego od dnia, w którym znowu stoczył on z żoną krótką, ale dla niego niezapomnianą rozmowę. Tym razem ona to weszła do gabinetu jego i więcej jeszcze niż przed paru laty smutna i osłabiona oznajmiła, że pomówić z nim chce o interesach. Korczyński zdziwił się i ucieszył. Zawsze jeszcze spodziewał się trochę, że żona jego prędzej czy później weźmie jakiś udział w jego myślach i zajęciach, że nastąpi pomiędzy nimi, jeżeli nie zupełne, to przynajmniej niejakie porozumienie. Pośpiesznie więc przysunął jej najwygodniejszy fotel, oświadczając zupełną swą chęć i gotowość do pomówienia z nią o interesach. Cicho, płynnie, łagodnie wypowiedziała mu, że życzy sobie, aby od połowy jej posagu wypłacał jej procent, który ona użyć chce na osobiste swe potrzeby. Posagu wniosła dwadzieścia tysięcy: prosi o procent tylko od dziesięciu i tylko osiem od sta, choć wszyscy teraz dziesięć i dwanaście płacą z największą ochotą. Może nawet tę sumę otrzymywać w dwóch albo trzech ratach. Słowem, na rzecz wspólnego życia ustępuje połowę swoich dochodów i w wypłacie drugiej połowy uczyni wszystkie dogodności i ustępstwa, ale pieniądze te musi posiadać w swym ręku i do swego rozporządzenia, ponieważ ma potrzeby swoje i gusta, którymi jego obarczać wciąż nie chce, a bez których zadowolenia na tej pustyni i wśród tych nudów po prostu żyć nie może. Chciałaby przyozdobić trochę swoje gniazdko, to jest te pokoje, w których najwięcej przesiadywać lubi: słabe jej zdrowie potrzebuje wielu lekarstw; lubi przy tym czytać i zajmować się robótkami. Będzie więc sobie za te pieniądze przyozdabiać swoje gniazdko, kupować lekarstwa, książki, włóczki, bawełnę i nawet suknie.

— Spodziewam się — zakończyła — że nie zechcesz mi odmówić tej drobnostki… Wszak i dotąd zawsze kupowałeś mi wszystko, czego zażądałam, ale sprawiało ci to kłopot, a ja znowu odmawiałam sobie wielu rzeczy, byleby ci prośbami mymi nie dokuczać. Tobie to więc nie zrobi różnicy żadnej, a mnie, w moim smutnym życiu, przyniesie trochę ulgi i przyjemności…

Czy proponowany układ zrobić mu miał jaką różnicę, tego Korczyński najmniejszym ruchem twarzy nie okazał. Łagodnej i długiej mowy żony wysłuchał z uwagą, ze spuszczonymi oczami i długi wąs na palec zakręcając. Gdy skończyła, ukłonił się jej z tak wykwintną grzecznością, jakby przed nim siedziała nie kobieta, z którą pod jednym dachem żył już od lat kilkunastu, ale jakaś łaskawa dlań kredytorka, i również z wyszukaną grzecznością odpowiedział:

— Życzenie twoje starać się będę spełniać jak najakuratniej. Proszę

tylko, abyś zechciała ściśle oznaczyć mi terminy wypłat…

Odpowiedziała, że ten punkt sprawy jest dla niej zupełnie obojętny, ale wytworna forma obejścia się, jaką dnia tego z nią przybrał, tak ją ujęła, tak jej może dawne czasy i dawnego Benedykta przypomniała, że z powłóczystym spojrzeniem i prawie namiętnym ruchem obie ręce ku niemu wyciągnęła.

Gdyby on był wtedy pochwycił ją w objęcia i okrył gorącymi pocałunkami, gdyby potem zaprzestał ciągłego chodzenia około gospodarstwa i jeżdżenia za interesami, a w wykwintnym i modnym ubraniu przesiadywać zaczął w jej „gniazdku" razem z nią czytając w trzech językach powieści i podróże i długimi godzinami miłośnie w oczy jej patrząc — kto wie, jakie zmiany w pożyciu ich zajść by mogły; kto wie, czy tym sposobem zmysłom jej i wyobraźni uczynić by zadość nie mógł… Ale on znowu tylko ukłonił się jej bardzo grzecznie i jednej tylko z wyciągających się ku niemu rączek dotknął z lekka końcami swych palców. Ona też odwróciła się szybciej daleko, niżby się tego po jej osłabieniu spodziewać było można, i odeszła. Wtedy ten pleczysty i silny mężczyzna zaśmiał się zrazu krótkim, nerwowym śmiechem, potem dłuższym, a potem tak długim i ustać nie mogącym, że aż na kanapę z łoskotem upadł i oczy sobie obu rękami zakrył…

Od tej pory pani Emilia przestała już i do ogrodowej altany uczęszczać. Za pieniądze z zegarkową akuratnością otrzymywane od męża okleiła swą sypialnię papierem błękitnym, a gabinet białym w polne kwiatki. Tu ustawiła meble błękitne, tam pąsowe, toaletę przyozdobiła puchem muślinów i koronek, etażerki napełniała coraz nowymi książkami i cackami, coraz nowe sprowadzała materiały do ręcznych robótek. Teresę umieściła obok sypialni swej, aby zawsze mieć pod ręką lektorkę, powiernicę i podawaczkę lekarstw. Tak żyła, z łóżka przenosząc się na szezlong i z szezlonga na łóżko, cicha, łagodna, nie tylko nikomu nie dokuczając, ale cienia przykrości nigdy nie czyniąc, dniami i tygodniami czasem nikogo z domowych nie widując i ani wiedząc, co się w dalszych pokojach domu dziać mogło. O tych dwóch swoich ulubionych, ustrojonych wszystkim, co lubiła, usłanych pokojach poufnym swym mawiała:

— To cały mój świat!

Światem zaś Benedykta stał się obszerniejszy od pokojów jego żony, ale także niezbyt obszerny Korczyn. Stopniowo i coraz prędzej te czterdzieści włók gorszego i lepszego gruntu zasłaniały przed nim całą kulę ziemską ze wszystkim, co na niej jest i było. Usiewał co rok dwieście morgów zbożem i pastewnymi trawami; na piaskach sadził kartofle i wyprzedawał je z zyskiem sąsiednim gorzelniom, inwentarze starannie utrzymywał, we dworze zawsze miał coś do naprawiania i podtrzymywania, z sąsiadami o każdy pręt[62] ziemi, o każdą spasioną trawkę i każdą w lesie zrąbaną gałąź przed sądami i bez sądów ujadał się coraz zacieklej. Z kilku tysięcy przez całą tę pracę otrzymywanego dochodu wypłacał raty bankowe, procenty od

posagu siostry i z największą już regularnością procenty od połowy posagu żony. Potem płacił za syna w szkołach i za córkę na warszawskiej pensji. Co zostawało pieniędzy na utrzymanie domu, tym rządziła Marta. Co zostawało czasu od gospodarstwa i interesów, tego używał Korczyński na polowanie z wyżłem i czytanie gazety, przy którym najczęściej zasypiał. Gazeta mówiła o głośnych i dalekich sprawach, które coraz więcej wydawały mu się obce i jałowe. Wszystkie siły swe przelewał na ten warsztat, na którym od lat tylu i z takim trudem tkał byt własny i przyszłość swych dzieci. Nici tkaniny rwały się ciągle i uciekały w głąb pasma; chwytał je, związywał i drżał o to, aby kiedykolwiek nie porwały się ze szczętem. Lękał się też wielu innych jeszcze rzeczy. Czasem zdawać się mogło, że zapominał mówić, tak był milczący. Kiedy zaś rozgadał się, nie o wszystkim mówił jasno. Nabył zwyczaju zastępowania niektórych zdań lub imion własnych trzema nic nie znaczącymi wyrazami: „To… tamto… tego…” Nie były one jego przysłowiem, bo nie używał ich zawsze, ale czasem, gdy zaciąwszy się w mowie i trochę jąkając się zaczynał swoje: „To… tamto…” słuchaczom się zdawało, że mądry i filuterny błysk przelatywał mu w piwnych, posępnych źrenicach…

IV

Ustawiczne kłopoty i zajęcia pana Benedykta z jednej strony, a z drugiej słabe zdrowie pani Emilii i sposób życia, jaki wiodła ona od lat już wielu, nie dozwalałyby na utrzymywanie szerokich stosunków towarzyskich. Oboje też, choć dla przyczyn różnych, nie pragnęli ich wcale. On unikał wydatków i przeszkód w gospodarskich pracach, ona lękała się ruchu, gwaru i wszelkiej fatygi. Jednak zupełnie wyosobnionymi spośród ludzi być nie mogli. Dawne stosunki sprowadzały im niekiedy odwiedziny krewnych i sąsiadów; raz w rok, na imieniny pani domu przypadające w ostatnim dniu czerwca, zjeżdżała się do Korczyna znaczna ilość gości. Był to już zwyczaj przyjęty od tak dawna, że zmienić go było niepodobna bez uchybienia najprostszej przyzwoitości i narażenia się na niechęć wielu osób.

W wielkiej jadalnej sali około czterdziestu osób wstawało od stołu okrytego staroświeckimi naczyniami z porcelany i kryształu, i ciężkim, również staroświeckim srebrem. Światło słoneczne, łagodzone przez zapuszczone u okien story, nadawało tej zastawie bogate połyski. Jak w całym dworze, tak i tutaj widać było obfite pozostałości dawnych dostatków tego domu. Nic nowego, ale wszystko, cokolwiek przez trafy losu wydarte nie zostało, ze starannością świadczącą o czujnych i czynnych głowach i rękach zaoszczędzone i przechowane.

Gospodyni domu, cała błyszcząca od dżetowych ozdób, które ją okrywały, dała znak wstania od stołu. Z najstarszego przy stole miejsca powolnym ruchem podniosła się wdowa po Andrzeju Korczyńskim, kobieta na wiek swój jeszcze zadziwiająco piękna. Matka trzydziestoletniego syna, mogłaby prawie podbijać serca ludzkie, ale jak ogólnie w okolicy tej wiedziano, wszelka zalotność była jej zawsze i zupełnie obca. Od owej przed dwudziestu trzema laty wydarzonej straszliwej chwili, w której dowiedziała się, że jest wdową, nie zdjęła z siebie ani razu sukien żałobnych i w posagowym swoim majątku, wychowaniu i pieszczeniu jedynaka wyłącznie oddana, żyła jak zakonnica, świata unikając, a wszelkie przypuszczenia o możliwości powtórnego wyjścia za mąż odpierając nieprzezwyciężonym chłodem. Toteż cnoty czystości i poświęcenia zdawały się od stóp do głowy przyoblekać jej wysoką i bogato rozwiniętą kibić, którą malowniczo opływała czarna i ciężka suknia. Czarne koronki i gładkie pasma jasnych, siwiejących włosów żałobną ramą otaczały twarz jej o rysach wydatnych i prawidłowych, delikatną bladością okrytych i zmąconych ledwie dostrzegalnymi zmarszczkami, które zbiegały się w drobne snopy około wielkich, smutnych oczu i chłodnych, dumnych ust. Najdrobniejsza błyskotka nie ożywiała jej wdowiego stroju; uśmiech wesoły bardzo rzadko oświecał zamyślone rysy. Gdy szła albo do kogo przemawiała, głowę podnosiła wysoko i powieki spuszczała, co rzucało na

nią podwójny wyraz wyniosłości i skromności, w którym przemagała wyniosłość. Jak wysoce poważali ją członkowie jej rodziny, świadczył o tym lękliwy nieledwie pośpiech, z którym gospodarz domu, gdy tylko powstała z miejsca, podawał jej ramię.

Jakiś otyły i na jowialnego gastronoma wyglądający sąsiad ofiarował się na towarzysza siostrze pana Benedykta, pani Jadwidze Darzeckiej, całkiem do brata niepodobnej, przysadzistej, rumianej, gadatliwej i zanadto bogato w aksamit i brylanty strojnej kobiecie, która rękę swą bransoletami okrytą kładąc na ramieniu sąsiada, zza tłumu osób z krzeseł powstających dojrzeć usiłowała, z kim dwie dorosłe i dwie niedorosłe córki jej od stołu odchodzić będą. Mąż jej, człowiek wysoki, sztywny, siwiejący, z arystokratycznymi rysami twarzy, który w czasie obiadu płynnie i kwieciście mówił o Włoszech, Paryżu, Ostendzie i różnych innych wsławionych punktach Europy, za gospodarzem domu i jego bratową szedł z panią Emilią. W ogóle na rodzinie Darzeckich znać było niepospolite w tych stronach bogactwo. On miał ruchy i mowę człowieka silnie stojącego na złotych nogach; panie były strojne i mówiły wiele o zagranicy i zabawach.

Równie bogaty albo i bogatszy jeszcze Teofil Różyc siedział był przy stole obok małej, zgrabnej, młodziutkiej blondynki, która szeleszcząc swą jasną atłasową suknią, żywo poruszając głową ubraną w kwiaty, z dziecinnymi prawie ruchami obnażonych śnieżnych ramion, szczebiotała mu po francusku: *comme quoi*[63] przed dwoma laty męża swego, Zygmunta Korczyńskiego, na wodach[64] poznała; *comme quoi* podobał się jej od razu, ale rodzice jej, w odległych stąd stronach mieszkający, długo zgodzić się nie chcieli, aby ona tak wcześnie za mąż wychodziła; *comme quoi* matka Zygmunta, pani Andrzejowa Korczyńska, tam przyjechała, za synem się wstawiła i wszelkie przeciwności zwyciężyła; *comme quoi* przed dwoma laty z Zygmuntem do tej okolicy przyjechała, ale okolica nie podoba jej się bardzo, naturę ma monotonną i prozaiczną, towarzystwa i rozrywek wcale nie ma; Zygmunt malować tu nie może, bo mu brakuje natchnień i tematów, więc pewno oboje wkrótce do Monachium lub Rzymu wyjadą, gdzie talent malarski Zygmunta *etc., etc*. Różyc, ze swą wykwintną postawą i białą jak welinowy papier twarzą, grzecznie słuchał tego ptaszęcego szczebiotu, podtrzymując go rzucanymi czasem słowami, a często zza szkieł swych binokli patrząc ku przeciwległemu punktowi stołu, na którym Justyna, po francusku także, rozmawiała z niemłodą i bardzo w tym towarzystwie osamotnioną cudzoziemką, nauczycielką młodszych panien Darzeckich. Parę razy spojrzenia jego, wracając od Justyny, zbiegały się w drodze ze spojrzeniami siedzącego po drugiej jego stronie Zygmunta Korczyńskiego, przystojnego, choć trochę zbyt bladego i na wiek swój chmurnego bruneta. Obaj spoglądali często w jedną stronę, co na cienkie wargi Różyca sprowadziło szybki, ironiczny uśmiech. Ale młodziutka Klotylda, szczebiocząc, gestykulując, często w twarz męża wlepiając długie spojrzenia, nic wcale nie spostrzegała, a kiedy wstawać od stołu zaczęto, z

dziecinną prawie wesołością ramię Zygmunta pochwyciła i wznosząc ku niemu swą zgrabną główkę i swe szafirowe oczy, do niego znowu szczebiotać zaczęła.

Tak utworzyły się cztery naczelne pary, za którymi posunęło kilka innych, daleko skromniej wyglądających, złożonych z kobiet i mężczyzn, których ubranie i twarze zdradzały walkę z losem dość ciężką. Byli to sąsiedzi Benedykta Korczyńskiego, mniej więcej w takim jak i on położeniu będący i podobny prowadzący sposób życia. Kobiety tam były w podstarzałych materiach i tanich błyskotkach; mężczyźni ogorzali, wąsaci, ubrani wcale nie według ostatniej mody. Pomiędzy tymi kilkunastu twarzami kobiecymi i męskimi znajdowały się takie, którym spracowanie czy zgryzoty wychudziły policzki i przedwczesnymi zmarszczkami okryły czoła; teraz jednak, wśród licznego zebrania, czuli się i oni czy usiłowali okazać się wesołymi, a w dodatku jeszcze eleganckimi. Chód i ruchy ich zdradzały, że takie ceremonialne odchodzenie od jadalnych stołów zwyczajne im nie było, że jeśli i znali kiedyś podobne parady, to od dawna od nich odwykli. Mężczyźni nie czynili sobie nawet wielkiego przymusu, ale panie krygowały się nieco, próbowały ruchów majestatycznych lub polotnych, uśmiechami ozdabiały przywiędłe usta, przez co nabierały charakteru obcej im może kiedy indziej nadętości lub gapiowatości.

Za tymi skromnymi parami, na których najwyraźniej odbijało się piętno czasu i miejsca, nastąpiło znowu kilka par świetnych. Różyc prowadził strojną pannę Darzecką, która miała wysoki wzrost Korczyńskich i chłodne rysy swego arystokratycznego ojca, a której narzeczony, blady blondyn z angielskimi bokobrodami i tytułem hrabiego, podawał ramię siostrze jej, młodziutkiej i żywej, zalotnej brunetce. Potem szedł jeszcze Kirło prowadząc Teresę Plińską, która dnia tego już nie twarz, ale gardło obwiązane miała batystową chusteczką, a prowadził ją w ten sposób, że kilka patrzących na to osób uśmiechnęło się albo nawet zaśmiało głośno. Krygował się, ramię jej do boku swego przyciskał, o czymś jej szeptał; widocznie towarzyszkę tę wybrał sobie dla żartu i śmiechu. Na koniec w nieładzie już posypała się młodzież płci obu pod przewodnictwem dwudziestoletniego syna i czternastoletniej córki gospodarstwa.

Justyna, powstawszy z miejsca, szybko przybliżyła się do ojca, który na ogólne wstawanie od stołu nie zważając, pilnie i chciwie dojadał ogromną porcję galarety i biszkoptów. Ku schylonej nad talerzem i srebrem siwizny okrytej głowie jego schylając swą głowę, ubraną tylko w czarny warkocz i parę świeżych kwiatów, z lekka ramienia jego dotknęła.

— Chodźmy, ojcze!

— Zaraz, zaraz — odmruknął — tylko widzisz… skończę…

— Wszyscy odchodzą — bardzo cicho nalegała — samemu tak przy stole zostawać nie wypada…

Błękitne, wilgotne, z rozmarzonym wyrazem oczy starego znad talerza podniosły się na pochyloną twarz córki.

— Nie wypada… to prawda, że nie wypada; a kiedy nie wypada, to nie ma już co… chodźmy…

Raz jeszcze spojrzał na pozostałą pośród talerza galaretę, starannie serwetą otarł swe pulchne, pąsowe usta i siwe wąsy, wstał, właściwym sobie ruchem, wysuwając nieco naprzód żołądek, wyprostował się. Justyna wsunęła mu rękę pod ramię. Poszli za innymi, lecz w znacznej od innych odległości.

— Dobry był obiad — mruczał stary — bardzo dobry… Polędwica trochę, nie te… ale kurczęta i szparagi… caca! Jadłaś, Justynko, a?

— Jadłam, ojcze — odpowiedziała.

— Che, che! — zaśmiał się filuternie i na córkę spojrzał — albo to ty na takie rzeczy uważasz? U ciebie jeszcze fiu! fiu! w głowie! Słyszałem dziś, jak Kirło mówił Benedyktowej, że ten Różyc w tobie… te… a i Zygmuś znowu dojeżdżać zaczyna… dawne dzieje… przypominają się może? a? choć już żonaty… ale serce to te… sługa… wiem ja to sam… pamiętam.

Justyna szła zwykłym swym równym krokiem, z głową nieco podniesioną i patrzyła w ziemię; można by myśleć, że słów ojca nie słyszała.

W sali jadalnej pozostało tylko parę lokajów, którzy, z gośćmi przybyli, pomagali w usługiwaniu przy stole jedynemu w tym domu lokajczykowi. Pozostała tam także Marta, w dniu tym świątecznie ubrana, z kolorową kokardą na szyi i wysokim grzebieniem we włosach. Do obiadu prawie nie siadała, chociaż nakrycie dla niej znajdowało się na stole; nadzorowała przynoszenie półmisków, kolej podawania wszystkiego, dokładność i szybkość usługi. Zapewne już i na parę dni pierwej przed tym dniem, zupełnie w domu wyjątkowym, panna Marta sporo do czynienia mieć musiała, bo gdy wszyscy wyszli już z sali, ciężko na jedno z krzeseł opadła i splecione ręce na kolana opuściła. Zgarbiła się przy tym i pochyliła głowę tak, że wydawała się skurczona i jakby w sobie zwinięta. Spod schylonego czoła, na które zbiegło mnóstwo zmarszczek, zamyślonym spojrzeniem wodziła po długim stole i w nieładzie około niego stojących krzesłach. Powoli głową trząść zaczęła tak, jak ktoś, kto wspomina i wśród miejsc tych samych pamięcią ściga wcale inne obrazy i twarze. Powoli też ogniste oczy jej przygasały, nieruchomiały i zachodziły wilgotną mgłą. Nagle odezwał się za nią ostry dyszkant domowego lokaja, Franka:

— Kawę przyniosłem!

Jak sprężyną podniesiona z krzesła wstała i dwoma szerokimi krokami przystąpiła do bocznego stołu, na którym tylko co postawiono wielki imbryk ze zgotowaną kawą. Chwyciła imbryk i nalewać poczęła kawę do starych porcelanowych filiżanek.

— Franek! — zagrzmiał na całą salę głos jej basowy i trochę ochrypły — po jakiemu to filiżanki wytarte! Pył na spodzie! Podaj mi tu czystą serwetę, niedołęgo, słyszysz?

Tymczasem odchodzące od stołu pary przebyły wielki przedpokój i do

połowy salonu doszedłszy, rozstawały się ze wzajemnymi ceremonialnymi ukłonami. Pani Andrzejowa, nie podnosząc powiek, cieniem uśmiechu i lekkim pochyleniem głowy, którą wnet znowu wysoko podniosła, podziękowała szwagrowi. Darzecka rękę otyłego sąsiada, który jej świetnego wydawania córki za hrabiego winszował, ściskała tak mocno, że aż bransolety jej głośno zadzwoniły. Młodziutka i malutka Zygmuntowa Korczyńska złożyła przed swoim chłodnym i zachmurzonym mężem dyg żartobliwy, a tak głęboki, że aż prawie do ziemi przysiadła, po czym wnet znowu pochwyciła jego ramię, jakby ani na chwilę rozstawać się z nim nie chciała.

— *Tu fais des folies, Clotilde*[65] — z cicha upomniał ją mąż.

— *Mais puisque je suis folie de toi*[66] — tuląc się mu do boku i oczy ku niemu wznosząc odszepnęła.

Pani Emilia, wiodąc panie ku głównym kanapom i fotelom, kończyła rozmowę z wysokim i sztywnym szwagrem swego męża, który z galanterią zwracając ku niej swą delikatną, bladą, w wąską ramę siwiejących bokobrodów ujętą twarz, płynnie i ozdobnie mówił tym razem o Szwajcarii.

— Gdyby bratowa chciała kiedy wyrwać się z tego zakątka i czas jakiś przepędzić w uroczej Szwajcarii, zdrowie jej i humor uległyby niezawodnie bardzo szczęśliwym zmianom.

Jednak zdrowie jej i humor wydawały się dziś doskonałe i patrząc na jej z lekka zarumienione policzki, promieniejące oczy i pąsowe usta, nikt by nie odgadł męczarni, które przez kilka dni poprzednich przebywała. Już przyjazd dzieci na wakacje, mieszając w zwykły tryb jej życia trochę ruchu i gwaru, stał się dla niej przyczyną wzmożonego bicia serca i paru bezsennych nocy. Wobec mającego wkrótce nastąpić w domu jej zebrania śmiertelnie lękała się na ten dzień właśnie dostać migreny, chrypki, newralgii, żołądkowej niedyspozycji, czegokolwiek słowem takiego, co by jej fatygę przyjmowania gości uniemożebniło. Z tą obawą przebywała dnie i budziła się nocami, biorąc zdwojone dozy bromu, laurowych kropel i magnezji, płucząc gardło roztworem różnych soli i kor, smarując maściami zagrożone bólem miejsca. Trwało to aż do dzisiejszego ranka, w którym przy bardzo starannym i długim ubieraniu się przypomniała sobie dawne, lepsze czasy i zapragnęła znowu być choć przez dzień jeden taka, jak niegdyś, niegdyś… Wyszła do salonu dziwnie wzmocniona i podniecona, z żywością ruchów, których wczoraj jeszcze nikt by się w niej ani domyślił, z tym samym rozpromienieniem oczu i uśmiechu, z jakim teraz zwróciła się ku dwom sąsiadkom, które zapytywały ją o jej słabe i tak bardzo, bardzo delikatne zdrowie.

Za otwartymi na oścież szklanymi drzwiami stała wysoka ściana zieloności, w której klony, wiązy, lipy, jawory, w nierozwikłany chaos mieszając potężne swe gałęzie, zdawały się tłumnie tłoczyć i następować na siebie. Gęste sploty dzikiego wina, tworząc grube kolumny i przezroczyste festony, ocieniały obszerny i kilku wschodami z ogrodem

rozdzielony ganek, na który gospodarz domu wyprowadził starszych sąsiadów swych i krewnych, częstując ich tam cygarami. W jednym z rogów salonu, przy otwartym fortepianie, Różyc, młody hrabia z angielskimi bokobrodami i Zygmunt Korczyński, którzy znać cygar palić nie chcieli, bo na ganek nie wyszli, rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, ale bardzo uprzejmie. Mało sobie znani, zeszli się oni z sobą, pociągnięci niby prawem naturalnego doboru. Pomimo bowiem wielkich różnic powierzchowności, z ubiorów swych, gwałtownie na pamięć przywodzących żurnale mód, z postaw i ruchów, nic pod względem wykwintności nie pozostawiających do życzenia, ze sposobu mówienia, wyróżniającego się lekkim cedzeniem sylab i przymieszką francuskich wyrazów, z kobiecego prawie wydelikacenia cery i rąk — byli oni bardzo do siebie podobni, przedstawiali niejako jeden typ, przez pewne warunki urodzenia, wychowania i majątku wyrabiany. Tylko że hrabia cedził sylaby i francuszczyzny używał najwięcej, a Zygmunt Korczyński najmniej; przy tym u tego ostatniego w układzie włosów, wyrazie twarzy i przybieranych pozach było coś marzącego i jakby nałóg do malowniczości zdradzającego, co koniecznie przypominać musiało artystę.

Istotnie, opowiadał on w tej chwili dwom towarzyszom swym o paroletnim pobycie swym w Monachium, który więcej mu przyniósł korzyści i artystycznych uciech niż kilkuletnie studia odbyte w szkołach sztuk pięknych, wiedeńskiej naprzód, a potem trochę w paryskiej i dusseldorfskiej. Hrabia chwalił także Monachium, Wiedeń, Paryż, ale przekładał Włochy, gdzie wśród najpiękniejszej natury znajdowały się według niego najpiękniejsze w świecie kobiety. Różyc znowu najdłużej mieszkał w Wiedniu, to miasto znajdował najweselszym i w nim — jak o tym z ironicznym uśmiechem nadmienił — najpiękniejsze swe pozostawił wspomnienia. Po kilku minutach podobnej rozmowy razem jakoś podnieśli powieki i uważniej niż przedtem wzajemnie na siebie popatrzyli. W spojrzeniach ich, oprócz zwiększonej uwagi, przemknął cień ironii i wszystkim trzem razem błyskawiczny uśmiech przemknął się po ustach.

— Pomyślałem sobie właśnie w tej chwili — więcej jeszcze niż zwykle cedząc sylaby zaczął hrabia — jak to dziwnie i… trochę… ambarasująco[67]… poznawszy te wszystkie miejsca, o których tylko co mówiliśmy, spaść na jakąś jałową i głuchą pustynię…

Najpewniej wszyscy trzej razem o tym samym pomyśleli. Różyc nerwowym ruchem pociągnął sznurek od binokli i uwalniając na chwilę od szkieł oczy swe, których czarne źrenice przygasłe były i smutne, niedbale wymówił:

— *Tout lasse*[68].

— Ale pan — zwrócił się do Różyca Zygmunt Korczyński — nie miałeś jeszcze czasu zmęczyć się tą głuchą i nudną pustynią, o której wspomniał hrabia, od trzech miesięcy dopiero mieszkając w swoich tutejszych majątkach. Ja, który obywatelskiego nowicjatu liczę już dwa lata, mogę powiedzieć panu, że… ambaras mój, jak wyraził się hrabia, granic nie ma i

że dotąd jeszcze nie doszedłem do zrozumienia, jakim sposobem pośród tych stodół, obór i tak zwanych interesów wyżyć potrafię…

— Na pociechę swą i uprzyjemnienie czasu masz pan przynajmniej piękny talent — uprzejmie podjął Różyc.

Po bladej, ciemnymi bokobrodami otoczonej twarzy Zygmunta, przebiegł bolesny prawie niepokój.

— Zaczynam wątpić, czy go posiadam — z pozorną niedbałością, ale przykrym zagięciem ust odpowiedział.

— Jakież teraz płótno przygotowujesz pan… — zaczął hrabia.

I nie dokończył, gdyż zza Różyca i Zygmunta wysunął się w tej chwili młodziutki, dwudziestoletni chłopak, w którym na pierwszy rzut oka można było poznać studenta. Średniego wzrostu i bardzo zgrabny, poruszeniami ciała i grą fizjonomii zdradzał organizację niezmiernie żywą i nerwową. Rysy twarzy miał delikatne i piękne, ale cerę bladawą i zmęczoną; drobny, jasny wąsik zaledwie zaczynał osypywać mu górną wargę, a z wielkich, piwnych oczu, zupełnie do oczu Benedykta Korczyńskiego podobnych, zdawały się sypać iskry i tryskać płomienie. Z żywością i zapałem, które widocznie zwyciężać musiały trochę nieśmiałości i zmieszania, z rękami w tył założonymi i lekkim ukłonem, zwrócił się ku Różycowi.

— Przepraszam pana — zaczął głosem prawdziwie młodzieńczym i trochę więcej niż wypadało podniesionym — ale tak chciałbym wiedzieć, jakie reformy i urządzenia wprowadzić pan zamierza w swojej Wołowszczyźnie. Słyszałem, że są to dobra bardzo zaniedbane, i jak dowiedziałem się, że pan w nich sam zamieszkałeś, ucieszyłem się nadzwyczajnie. Tak cieszyłem się, doprawdy, że będę miał przyjemność poznać pana, i tak obiecywałem sobie obszernie o tym z panem pomówić… że… że nie mogłem sobie odmówić…

Przed kilku godzinami młodziutki syn gospodarstwa został przez ojca swego tym z gości, którzy go jeszcze nie znali, przedstawiony; wiedząc więc, kim był ten, kto go teraz z widocznym połączeniem żarliwości z nieśmiałością napastował, Różyc uśmiechnął się uprzejmie i po chwili wahania odpowiedział:

— Bardzo mi przyjemnie i chciałbym prawdziwie życzenie pańskie spełnić… tylko… tylko, że o wprowadzeniu reform czy ulepszeń w Wołowszczyźnie dotąd nie pomyślałem…

Szczere, naiwne, głębokie zdziwienie odbiło się na ruchliwej i wyrazistej twarzy studenta.

— Jak to!… — zaczął — a ja myślałem, że właśnie tacy ludzie jak pan, młodzi i możni… dawać muszą inicjatywę… przykład… naukę…

— Ależ ja wcale nie jestem już młody! — z silnym drganiem czoła i trochę przykrym śmiechem zawołał Różyc.

— *Quand on a mange un million, on se sent un siecle sur le dos, n'est-ce pas*[69] — z trochą koleżeńskiej poufałości szepnął do Różyca hrabia.

Ale młodziutki Witold Korczyński na przerwy te nie zważał i mówił znowu:

— Mnie to, widzi pan, niezmiernie interesuje… Od dwóch lat nie byłem w domu, bo w przeszłym roku ojciec pozwolił mi spędzić wakacje na praktyce agronomicznej w pewnych wielkich i wzorowo zagospodarowanych dobrach… Teraz skończyłem w szkole kurs drugi i mam już niejakie wyobrażenie o tym, jak być powinno, wiedząc dobrze skądinąd, jak w naszych stronach jest… Mnie się zdaje, że jest bardzo źle pod każdym względem, i że panowie powinniście ogromnie wziąć się do pracy i nad ziemią, i nad ludem, aby…

— Widziu — z pewnym zakłopotaniem do stryjecznego brata przemówił Zygmunt — głowę masz tak napełnioną teoriami, że wygłaszać je potrzebujesz zawsze i wszędzie… Jest to zwykłą cechą pierwszej młodości…

— Naturalnie — prostując się i głowę podnosząc przerwał Witold, a z oczu posypały się mu iskry — i nie obraziłeś mnie wcale, Zygmuncie, przypominając, że jestem bardzo młody. Ty zresztą także młody jesteś i nie masz prawa usypiać na swych malarskich laurach. Cóż byś, na przykład, odpowiedział mi, gdybym cię zapytał: jak w twoich Osowcach stoi lud wiejski… tak… na przykład… pod względem oświaty… moralności, ekonomicznego bytu?…

— Odpowiedziałbym, że stoi on pod tymi wszystkimi względami jak najgorzej… — z niedbałym uśmiechem odparł Zygmunt.

— I ty o tym możesz tak lekceważąco mówić! I panowie możecie tak obojętnie względem tego się zachowywać! — oburzył się chłopak i znowu zwrócił się do Różyca. — Mnie się zdaje, że pan chyba inaczej myślisz o tym niż Zygmuś… on tak był wychowany… zresztą… artysta! Ale pan pewnie zechcesz zstąpić do klas niższych, tak długo zaniedbanych, a którym wszystkie idee naszych czasów przyznają prawo…

— Mój Widziu — z widocznym już znudzeniem przerwał znowu Zygmunt — idee czasu są rzeczą bardzo piękną…

— I szanowną — z uśmiechem dorzucił hrabia.

— Ale spytaj się swego ojca, w jakie położenie popadł był kiedyś, kiedy to zamierzał zstępować… dźwigać.

Witold zarumienił się jak zmieszana dziewczyna, spuścił oczy i wyjąkał:

— Mój ojciec… nie jest dość możny… nie posiada może dość środków…

Widocznie ta wzmianka o ojcu sprawiła mu przykrość, wnet jednak z odrodzoną żarliwością zwrócił się do Różyca:

— Ale pan… — zaczął.

Tu przecież głos młody także, choć trochę grubszy od jego głosu, przerwał mu wykrzyknikiem:

— Witold ma słuszność, zupełną słuszność! Któż, jeśli nie panowie, powinien naprawiać błędy starszych, a nam młodszym drogi torować?… Gniew przejmuje, kiedy przybywając z szerokiego świata widzimy, jak

wszystko zastojowi okropnie ulega. Gospodarstwa rutyniczne albo zrujnowane, ziemia z rąk waszych ucieka, lud dziczeje, a nikt ani palcem nie poruszy, aby cokolwiek podnieść… udoskonalić…

Z tymi słowami w sukurs Witoldowi przybywał nieco starszy od niego kolega szkolny, student tak jak i on, syn jednego z obecnych tu i w tej chwili na ganku siedzących obywateli.

— Temperatura podnosić się zaczyna — szepnął do Różyca hrabia.

Ale Różyc wszystkich tych przemów studentów słuchał ze spuszczonymi oczami, nerwowym ruchem palców igrając ze sznurkiem od binokli, z drgającym, tak drgającym czołem, że drgania te dosięgały skóry czaszki pod rzadkimi, ufryzowanymi włosami. Coś go dręczyło i jakby zamierzał koniec położyć sytuacji dla niego przykrej, zwrócił się do Zygmunta z prośbą, aby przedstawił go on matce swojej.

Hrabia podążył z wolna ku punktowi salonu, w którym znajdowała się jego narzeczona; dwaj studenci, wraz z trzecim, który się do nich przyłączył, żywo rozmawiając i gestykulując usunęli się na stronę, a Zygmunt Korczyński i Różyc przebywali całą długość salonu zmierzając ku fotelowi, na którym w gronie pań, ale milcząca i nieco wyosobniona, siedziała pani Andrzejowa. Na ukłon przedstawianego jej dystyngowanego pana odpowiedziała zwykłym sobie powolnym pochyleniem głowy, która ani na chwilę nic ze swego wyniosłego i surowego charakteru nie utraciła. Dopiero kiedy Różyc obok niej usiadłszy mówić zaczął o tym, że widział i podziwiał na jednej z wielkomiejskich wystaw obraz, który przed trzema laty wyszedł był spod pędzla jej syna, podniosła powieki i w twarzy stojącego przed nią Zygmunta z nieopisanym spojrzeniem zatopiła swe oczy, jeszcze bardzo piękne, choć widać było, że barwę ich i blaski przez długie lata gasiły tęsknoty i łzy. Przy tym surowe jej usta rozwarły się nieco i zarysowały uśmiech niewymownej tkliwości i słodyczy. Był to jednak przelotny błysk, po którym grzecznie, ale chłodno rozmawiać zaczęła ze swym nowym znajomym o talencie Zygmunta, o przeszkodach, jakie znajduje on w rozwijaniu go, odkąd mieszka w domu, o trudności połączenia zawodu gospodarza wiejskiego z natchnieniami i potrzebami artysty… Przy tych ostatnich uwagach wbrew zwyczajnemu układowi swemu uczyniła parę niespokojnych poruszeń i znowu oczy na syna podniosła, tym razem przecież badawcze i trochę strwożone. Ale do ramienia Zygmunta pośpiesznie uczepiła się już młodziutka jego żona i z zalotnymi minkami coś do niego szepcąc, uprowadziła go na stronę. Niektóre z pań siedzących na kanapie i fotelach nieznacznie ukazywały sobie młodą parę, oględnie i z cicha robiąc uwagi, że w tym małżeństwie czułość żony o wiele stopni przenosi czułość męża, że ona, dość posażna, świetnie skoligacona i wychowana, wydaje się zakochana w nim bez pamięci, a on ma bardzo minę człowieka położeniem swym znudzonego. Wieści chodzą, że gospodarstwem prawie się nie zajmuje i interesy swe wcale nieosobliwie prowadzi, a pani Andrzejowa żałować już zaczyna, że

wychowała syna w nadzwyczajnych pieszczotach, z dala od kraju i tego kawałka ziemi, na którym żyć mu wypadało.

— Dobrze jej tak, bo jest dumna jak udzielna księżna i syna za półbożka miała… — zagadała jakaś żywa i mowna sąsiadka, jedna z tych, których jedwabne suknie nosiły na sobie widoczne ślady dawności i kilkakrotnych przerabiań.

Druga, łagodniejsza, z długą, mizerną twarzą na dłoń opartą, inaczej o tym sądziła. Głową ubraną w dziwne jakieś pióra powoli wstrząsając, smutnie zaczęła:

— Bez ojca chowany… bez ojca!… Co to jest chłopców wychowywać bez ojca, to ja wiem, bo i mnie w tym samym czasie, co i pani Andrzejowej, opiekuna dla synów zabrakło!…

— Ciotkę miał za to — sprzeciwiła się pierwsza — tę Darzecką, co to wypadkiem za bogatego człowieka wyszedłszy, sama nie wie, jak dąć się i stroić… Ona także synowczykowi poduszeczki pod boki podkładała i geniusz wmawiała…

— Przez pamięć dla brata może — broniła druga — przez pamięć dla brata… i jakiegoż brata i człowieka!… Sierotę po nim pieściła i jak najwyżej wyniesionym widzieć pragnęła.

Kawa czarna i towarzyszące jej napoje już przez lokajów rozniesione zostały, ale tacę z likierami Kirło pochwycił z rąk służącego i na bocznym stole w salonie ją postawił. Kościste policzki jego rumieniły się trochę, oczy błyszczały, najjowialniejszy w świecie uśmiech otwierał wąskie usta. Był w tej chwili upostaciowaniem doskonałego zadowolenia ze zjedzonego obiadu, wypitego wina i najbardziej może z panującego dokoła towarzyskiego gwaru. W dwóch palcach jednej ręki trzymając zgaszone przez wzgląd na panie cygaro, drugą trzymał flakony napełnione płynami różnych barw i wabił nimi ku sobie wszystkich, którzy się znajdowali w pobliżu. W pobliżu tacy z likierem znalazł się naprzód ów otyły i na wesołego gastronoma wyglądający obywatel; podążyło ku niej potem z ganku paru innych sąsiadów, stanął też przy niej z opróżnionym kieliszkiem w ręku stary Orzelski.

— A co pan piłeś? maraskino? różany? kawowy? — zagadał Kirło. — Może innego teraz? którego? służę!

— Kawowego kropeleczkę, jeżeli łaska!

— Dobrze, a który to?

— Drugi! — z dobrodusznym uśmiechem i rozkosznie ustami cmokając odparł ojciec Justyny.

— Bóg trójcę lubi! — zawołał częstujący i przed starym, którego okrągła twarz rumieniła się coraz bardziej, postawił jeszcze jeden napełniony kieliszek.

Wszyscy blisko stojący zaśmieli się wiedząc, że żartowniś zmierza do zupełnego upojenia starego, ale on wymawiał się i jeden kieliszek do ust niosąc, drugi na środek stołu odsuwał.

— Nie… nie… nie… — tłumaczył się — gdybym jeszcze ten wypił, to nie mógłbym te…

— Czego byś nie mógł? — spytało na raz ze śmiechem kilka głosów.

— Grać — odpowiedział.

— Racja! — odrzekł Kirło. — No, to kiedy pić pan nie chcesz, idź przynajmniej do panienek. Widzisz pan, jaką smutną minę ma panna Teresa… ot, tam, z gardłem obwiązanym siedzi i marzy… pewno o panu… Bo panowie może nie wiecie, jaki to z naszego muzyka bałamut i amator płci pięknej… ho, ho! Kiedyś był sławny z tego… a i teraz jeszcze… panna Teresa wie o tym najlepiej…

Ktoś mu przerwał zapytaniem jakimś, więc zaczął o czym innym mówić i żartować z kogo innego. Orzelski zaś w dwóch palcach trzymając kieliszek, do połowy jeszcze zielonym trunkiem napełniony, drobnym krokiem, z dobrodusznym wyrazem oczu i uśmiechu, wyprostowując się i wyginając naprzód okrągły żołądek, zmierzał istotnie ku gronu panien, które wielkim półkolem obsiadły stół, piętrzący się albumami i ilustracjami w zniszczonych oprawach.

W gronie tym złożonym ze starszych Darzeckich i kilku innych panien, mniej lub więcej wykwintnie ubranych i wesoło rozmawiających, znajdowała się i Justyna. Ciemny i niekosztowny jej ubiór uderzająco wyróżniał się pośród różnobarwnych i jasnych strojów, a głowa, tylko czarnym warkoczem i parą świeżych kwiatów ozdobiona, prawie surowego charakteru nabierała od wszystkich tych strojnych, ruchliwych i wesołych główek. Ona wesoła nie była. Już Darzeckie, bliskie jej krewne, uczyniły jej uwagę, że jak zazwyczaj ubrała się niewłaściwie i w ubraniu tym, a także ze swym milczącym usposobieniem, wygląda jak desperatka.

Uczucia desperacji może nie doświadczała, ale w toczących się rozmowach o zagranicy i wyprawie młodej narzeczonej, o różnych towarzystwach, zabawach, nowych książkach i słynnych w tej chwili kompozycjach muzycznych prawie żadnego nie przyjmowała udziału. Chwilami, gdy zamyślała się i nieruchomym wzrokiem patrzała w przestrzeń, można było zgadnąć, że czuła się zupełnie na zewnątrz tego wszystkiego, co dokoła niej zajmowało i rozweselało innych. Ciężka nuda spłynęła jej na oczy i usta, czyniąc w tej chwili twarz jej daleko starszą, niż była istotnie. Znużenie i zesztywnięcie rysów nie pierzchło wtedy nawet, gdy zobaczyła swego ojca około tacy z likierami i usłyszała głośne żarty Kirły wraz ze wtórzącymi im śmiechami sąsiadów. Nie uczyniła tym razem nic, aby przeszkodzić tej zresztą dość pospolitej igraszce, i w poczuciu bezsilności własnej nieruchoma pozostała. Tylko brwi jej ściągnęły się nad oczami, które znudzone, znużone, napełniały się wyrazem niepocieszalnego smutku. Ale jakichkolwiek w tej chwili doświadczała uczuć, nikt ich nie spostrzegał i nie odgadywał. Widoczne było, że obojętna dla wszystkiego, co ją otaczało, nawzajem żadnej takiej nie przedstawiała cyfry, z którą by ktokolwiek dla jakichkolwiek przyczyn liczyć się tu chciał

czy musiał. Towarzyszki i kuzynki dla milczącego jej humoru i może skromnego stroju trochę się od niej odwracały, hrabia tuż obok niej prowadzący ze swą narzeczoną dowcipną szermierkę ignorował ją zupełnie; dwaj ludzie, którzy w czasie obiadu szturmowali ją przelotnymi, ale znaczącymi spojrzeniami, przed chwilą salon opuścili. Różyc, którego stopniowo, ale bardzo widocznie opanowywało dziwne dla wszystkiego zobojętnienie, ze ściemniałą nagle cerą i zgasłymi oczami nieznacznie wysunął się w kierunku sali jadalnej. Zygmunt Korczyński, po cichej, ale dość żywej rozmowie z żoną, którą na koniec obok matki swej umieścił, wyszedł na ganek.

Na ganku rozstawiono już stoły kartowe, ale grono poważnych panów jeszcze do gry nie zasiadało. Kończyli picie likierów, palili cygara i gwarnie rozmawiali. Wprzódy nieco do salonu dolatywały z rozmowy ich niektóre słowa, rzec by można techniczne czy profesjonalne, jako to: tyle i tyle kopiejek za pud[70] takiego i takiego zboża; tyle i tyle za wiadro wódki; taki i taki umłót; taka i taka orka, siejba, kośba itd. Teraz jednak mówili już o polityce. Przedmiotu tego dotknął pierwszy Darzecki, który pod grubą kolumną zieleni sztywnie stojąc i kręte nitki cygarowego dymu z cienkich warg wypuszczając, płynnie i kwieciście mówił o różnych w gazetach wyczytanych przewidywaniach i kombinacjach. Niektórzy z sąsiadów żywszymi albo i rubasznymi uwagami i wykrzykami mowę tę przerywali. Najbardziej nawet ogorzali i zgrubiali, najmniej z pozoru do czynienia mieć mogący z jakimkolwiek drukiem, przy tej okoliczności mówili o krajach dalekich i ludziach potężnych, zapalając się przy tym, rozprawiając i zawzięte zawodząc sprzeczki. Gospodarz domu w rozmowie tej najmniejszy przyjmował udział. Prawie pośrodku ganku siedział on na żelaznym krzesełku w takiej pozie, że od ogarniającej go płachty światła postać jego odcinała się w pełni swych silnych i ciężkich zarysów i że można mu było prawie policzyć wszystkie zmarszczki na czole i policzkach i wszystkie białe nitki w gęstych i ciemnych włosach. Z ramieniem położonym na stojącym przed nim stoliku, machinalnie bawiąc się kieliszkiem, w którym łamał się promień słońca, odzywał się rzadko, a pochyloną nieco głowę wstrząsał czasem i uśmiechał się to filuternie i niedowierzająco, to smutnie. Raz jednak, wśród najbardziej ożywionej rozmowy, jakby sobie coś nagle przypomniał, głowę podniósł, uśmiechnął się, kieliszkiem o stół uderzył i zawołał:

— Te gazety, moi panowie, to czyste zawracanie głowy i nic więcej! Jak się ich człowiek na noc naczyta, to potem śnią mu się takie rzeczy, że wolałby wcale nie spać.

Spod zielonej kolumny trochę ironiczny głos Darzeckiego zapytał:

— Cóż takiego? Czy miałeś, panie Benedykcie, z powodu gazet straszny sen jaki?

— Naturalnie — odparł Korczyński — i jak jeszcze straszny!

Uśmiechnął się żartobliwie, ale zarazem długiego wąsa mocno w dół

pociągnął.

— Nie jestem przecież babą, abym snami miał się przerażać — zaczął — ale miałem jeden taki, że każdemu by od niego włosy dębem na głowie stanęły. Ot, jak było. Przed dwoma jakoś miesiącami naczytałem się był wieczorem o wojnach takich, co były, są, będą i licho już zresztą wie jakich. Zaraz potem położyłem się, usnąłem i śni się mnie… uważacie, panowie, że do Korczyna naszło mnóstwo wojska bismarkowskiego… słowem, pruskiego wojska… Dziedziniec i ogród pełen żołnierzy, dom pełen oficerów… Ja w strachu! Zniszczą Korczyn, myślę sobie, do góry nogami przewrócą, spalą, stratują, rozerwą, jeżeli nie przyjmę ich tak, jak tego żądają… Co robić? Wola, niewola, przyjmuję… Tak, zdaje się, zwijam się, tak częstuję, karmię, poję, zapraszam, w oczy patrzę, czy kontenci… A oni piją, jedzą, hałasują, hulają… Chwała Bogu, kontenci, myślę sobie, i sam kontent jestem… Ot, myślę, zaraz pójdą sobie z Panem Bogiem, objadłszy mnie, co prawda, dziedziniec i ogród zdeptawszy, ale resztę w całości zostawiając… Już zdaje się i odjeżdżać sobie mają… żołnierze na konie siadają, oficerowie szable przypasują… już zaraz i cicho u mnie będzie… Wychodzę, zdaje się, na ganek, z wielkim ukontentowaniem, aż tu, panie, patrzę, z tych pagórków, co to wiecie, tam het, za równiną… drugie wojska…

Tu zaciął się.

— To… tamto…

Promień słońca filuternym błyskiem przebiegł mu w piwnych źrenicach.

— Cóż? Strach mnie do szpiku kości przejął… lecą! to… tamto… panie, pędzą… także do Korczyna… wprost do Korczyna… a tamci jeszcze nie wyjechali… Masz! myślę sobie… Przyjmowałem jednych, aby mi dworu z dymem nie puścili… a teraz to… tamto… i będzie mnie tu ostatni amen! Jak chcesz, człowiecze, kręć się i wierć się, nie wykręcisz się i nie wywiercisz. Z tej strony ci w skórę i z tamtej… także w skórę! O Jezus, Maria! Obudziłem się cały w potach i nazajutrz chodziłem jak struty.

— Sen mara! — tonem pocieszenia odezwał się ktoś z obecnych.

— Prawdziwie typowy sen! — zawołał Darzecki z tak głośnym śmiechem, jakby w tej chwili zwykła dystynkcja zupełnie wyszła mu z głowy; ale zarazem szyję, zazwyczaj sztywnie wyprostowaną, zgarbił nieco, przez co kółka cygarowego dymu, dotąd triumfująco sobie w górę ulatujące, ciężko jakoś wionęły ku ziemi.

— Co tam! — zaczął w kącie ganku jakiś widocznie zgryźliwy i mocno przez życie gryziony sąsiad — co tam te Prusaki! Bez Prusaków najbliżsi sąsiedzi ogryzą nas jak psy kości… Jeszczem jednego procesu z chłopami o pastwisko nie ukończył, a już mi drugi o grunt pod leśnictwem wytoczyli!…

— Oj, te procesy! — stęknął pan Benedykt.

— Napłodziło się ich u nas jak robactwa w mokre lato! — zauważył ktoś inny.

— *A propos*! — zaczął Darzecki — jakże tam jest z tym twoim procesem, panie Benedykcie, który ci ta szlachta… jakże się nazywa?… wytoczyła?

— Bohatyrowicze! — podjął Korczyński — a cóż? złupić chcą ze mnie pięćdziesiąt dziesięcin wygonu… ktoś w nich wmówił, że one do nich należeć powinny… Wnieśli do sądu… i w pierwszej instancji przegrali… Zanoszą teraz apelację… trwa to już dwa lata i co mnie ta historia pieniędzy i zgryzoty kosztuje!…

— Czy nie mają żadnej racji? — przerwało parę głosów.

— Taką chyba, że paszy mają mało, więc chcą moją własnością paść swoje inwentarze — bronił się pan Benedykt. — Planami i wszystkimi dokumentami dowieść mogę…

Zapalać się zaczął i byłby pewno długo rozwiódł się nad procesem, o którym mowa sprowadziła mu na czoło zdwojoną ilość zmarszczek, ale zobaczył kilka osób z przedpokoju do salonu wchodzących i pośpiesznie zerwał się z krzesła. W tej samej chwili jedna z pań na kanapie siedzących i wszystkim, co je otaczało, bardzo zajętych rękę do czoła podniosła.

— W imię Ojca… — cicho do sąsiadki szepnęła. — Toż to Kirłowa zjawia się tutaj! A skądże jej się to wzięło! Już chyba lat z dziesięć nigdzie w sąsiedztwie nie bywa! Ależ zmieniła się, zmieniła, o, moja pani!

W progu salonu pan Benedykt z widocznym i szczególnym uszanowaniem podawał ramię kobiecie, za którą postępowała młodziutka, niespełna może szesnastoletnia dziewczyna i dwóch młodszych od niej chłopców w szkolnych ubiorach. Średniego wzrostu, szczupła, prosta, z wdzięczną linią szyi i ramion, żona Kirły wyglądała z daleka na kobietę bardzo młodą, a złudzeniu temu dopomagały włosy niezmiernie jasnej barwy, z tyłu głowy w prześliczny, ogromny warkocz upięte. Z bliska dopiero uderzał i prawie zadziwiał kontrast, który z młodością kibici jej i warkoczy tworzyła twarz tak ogorzała, że od włosów ciemniejsza, z czołem przerżniętym kilku poprzecznymi zmarszczkami, ze zwiędłymi, choć bardzo kształtnymi ustami. Była to po prostu zgrubiała i sterana twarz kobiety jeszcze młodej, bo trzydziestoparoletniej, z natury wcale ładnej. Bardzo zgrabna pomimo swej starej i niemodnej sukni, szła przez salon na ramieniu gospodarza domu wsparta, nieśmiała jakaś, prawie zlękniona, z niepokojem oglądająca się na postępujące za nią dzieci. Kiedy pani Emilia, powstawszy z kanapy i szeleszcząc suknią okrytą bogatym i błyszczącym haftem, wprowadziła ją do grona najpoważniejszych kobiet, ze zmieszanego jej spojrzenia, roztargnionego uśmiechu i wahających się, lękliwych ruchów poznać można było, że od wszelkich towarzyskich zebrań bardzo odwykła, a z odległych wspomnień wiedząc dobrze, jak wśród nich znajdować się należy, trwożyła się ciągle, aby czegoś niewłaściwego i nieprzyzwoitego nie popełnić. Drżała trochę i spiesznie oddychała siadając obok wytwornej i wyniosłej pani Andrzejowej, która jednak dość przyjaźnie, choć zawsze trochę z wysoka, oświadczała jej swoje przyjemne zdziwienie nad tym, że na koniec spotkać ją mogła, ją, która od tak dawna nie ukazuje się nigdzie. Ośmielona trochę, jednak przyciszonym jeszcze głosem odpowiedziała:

— Pan Benedykt był tak łaskaw, że zapraszał mnie razy kilka i sam, i przez Justynkę, którą do mnie przysyłał. A jakżebym ja takiemu dobrodziejowi odmówić mogła?

— Szwagier mój ma więc przyjemność widywać panią czasem?

Kirłowa splotła ręce, okryte zbyt wielkimi i niezupełnie świeżymi rękawiczkami.

— O, mój Boże! — zawołała — a jakżebym ja sobie z gospodarstwem i interesami rady dać mogła bez pomocy zacnego sąsiada? Teraz to już nic: nauczyłam się i przywykłam. Ale z początku byłabym przepadła razem z dziećmi, gdyby pan Benedykt nie pomagał mi radami, a czasem i osobistym dojrzeniem tego i owego…

Teraz, gdy w zapale mówić zaczęła głośno, w głosie jej parę razy zabrzmiały nuty grube, z delikatnością kibici jej i ruchów dziwnie sprzeczne; użyła też paru wyrażeń wcale niewykwintnych.

— Jak Boga kocham — dokończyła — takiego dobrego człowieka jak on chyba na tym podłym świecie nie ma…

Toteż na twarz pani Andrzejowej wybiło się trochę niesmaku, a u boku świekry swej siedząca śliczniutka Klotylda szeroko oczy otworzyła i z trudnością powściągnęła latające po jej pąsowych ustach uśmieszki. Gospodyni domu pośpieszyła wyrazić ubolewanie, że tak bliska sąsiadka przybyła dziś do jej domu tak późno. Kirłowa zmieszała się znowu, zgrabną swą kibić pochyliła w trochę niezgrabnym ukłonie i widocznie zdobywając się na śmiałość, zbyt głośno odpowiedziała:

— A jakże ja, moja pani, mogę tak w każdej chwili zostawiać w domu dzieci? Troje starszych odważyłam się wziąć z sobą, bo myślałam, że mi państwo tego za złe nie weźmiecie; ale dwoje młodszych nie mogłam przecież na rękach sług zostawić i musiałam czekać przyjścia Maksymowej, która je wyniańczyła i taką jest poczciwą babą, że byle tylko posłać po nią, zaraz przychodzi… Z małymi dziećmi to jak ze szkłem, ostrożności trzeba… ale moja babula Maksymowa dobrze ich tam dopilnuje…

Za plecami świekry swej Klotylda wpychała koronki chusteczki w parskające śmiechem usta; pani Andrzejowa jak grób umilkła; pani Emilia podniosła rękę do czoła i gardła, jakby w tej chwili dostawać zaczynała migreny i globusu. Jedna z tych pań, które ciągle ciche uwagi nad wszystkim czyniły, szepnęła do drugiej:

— Jak ta Kirłowa zgrubiała i sprościała, o moja pani! A jaka z niej przed zamążpójściem śliczna panienka była!… Różycówna z domu przecież!

Kirło biegł z ganku na powitanie żony. Po prostu biegł. Przybiegłszy pochwycił obie jej ręce i okrył je najczulszymi pocałunkami. Twarz jego, silnie zarumieniona od trunków, takie wyrażała zadowolenie, że aż mu oczy zwilgotniały.

— Jak to dobrze, jak to dobrze, że choć raz w świat się wybrałaś! — wołał, a potem zwrócił się do otaczających: — Moja Marynia to taka domatorka, że ją od gospodarstwa i dzieci ani wyciągnąć…

Ona, z podniesionym ku niemu wzrokiem, serdecznie też ręce mu uścisnęła.

— A dawno państwo nie widzieliście się z sobą? — żartobliwie ktoś ze strony zagadnął.

— A z tydzień już będzie, jak w domu nie byłem! — z zupełną swobodą odparł Kirło.

— Mąż mój ma już taki charakter, że potrzebuje rozrywek i nudzi się w domu; ja go więc we wszystkim z największą ochotą wyręczam — pośpiesznie dodała Kirłowa.

Kirło szedł witać dzieci. Dwaj chłopcy, w gimnazjalnych bluzach i przeraźliwie stukającym obuwiu, z wiszącymi u boków czerwonymi rękami, przyparli się do fortepianu i wytrzeszczonym wzrokiem na wszystkich i wszystko patrzali. Dziewczynkę Justyna przywiodła do grona panien i obok kilku podlotków umieściła. Niezupełnie jeszcze długa suknia z białego muślinu, różową wstążką przepasana, śliczna musiała wydawać się w domu i matce, i córce; tu jednak obok bombiastych i z mnóstwa fatałaszek złożonych strojów młodszych panien Darzeckich i żółtawej, na bladaczkę widocznie chorej córki Korczyńskich wyglądała bardzo skromnie i ubogo. Spod tej sukni ukazujące się małe stopy w skórzanych, grubych bucikach dziwnie odbijały przy szeregu wykwintnych stopek, okrytych ażurowymi pończoszkami i pantofelkami takimi, że każdy z nich ozdabiać mógł jako cacko ładną etażerkę. Właścicielka tego biednego stroju nie przedstawiałaby także nic osobliwego, gdyby nie posiadała przedziwnej świeżości twarzy i nieporównanej dziewiczości spojrzenia i ruchów, które ją czyniły zupełnie podobną do świeżo rozkwitłej i zza zielonych liści ciekawie wyglądającej róży polnej. Ciekawie spośród różowej twarzy patrzały oczy jej, błękitne jak niezabudki; gruby i tak jasny jak u matki warkocz wił się po spływających w dół jej ramionach; ręce zbyt ciasnymi rękawiczkami jak pączki zaokrąglone na kolanach splotła i — milczała. Panienki, obok których usiadła i którym Francuzka nauczycielka pomagała w rozpatrywaniu ilustracji, rzuciły na nią parę ukośnych spojrzeń i zajęcia swojego wcale dla niej nie przerwały; ale w zamian z przeciwległego końca salonu biegł ku niej młody i zgrabny chłopak, z dziecinną prawie radością w ładnych, lecz już trochę zmęczonych rysach. Pochwycił obie jej ręce, po koleżeńsku mocno nimi zatrząsł i szybkim ruchem obok niej usiadł.

— Jak dawno ja panią… pannę Marię… czy można jak dawniej mówić: Maryniu?

— Można — odszepnęła rumieniąc się po brzegi jasnych włosów i ukazując w śmiechu rząd śnieżnych zębów.

— A pani… Maryniu, będzie mi mówić po imieniu?

— Czemuż by nie? — ze zdziwieniem odpowiedziała.

— Dawno cię już nie widziałem, moja droga, kochana Maryniu! Dwa lata nie byłem w domu… Jak ty od tego czasu urosłaś…

— I ty, Widziu, zmieniłeś się trochę… zmizerniałeś…

— Pracuję… uczę się… myślę… A ty co porabiasz?

— To co i dawniej: mamie w gospodarstwie pomagam, młodszą siostrę uczę… ogród warzywny i nabiał zupełnie już do mnie należą…

Ostatnie słowa z dumą wyrzekła.

— A stara Maksymowa czy żyje? — zapytał Witold.

— Żyje, zdrowiuteńka!

— To dobrze! A też dzieciaki, nad którymi dwa lata temu tak ślęczałaś?

— Już czytać umieją…

— Moja ty droga, dobra!… jak ja się cieszę, że zobaczyłem ciebie! Ile ja tobie do powiedzenia mieć będę.

— Przyjedziesz do Olszynki?

— A jakże! Przyjadę, przyjadę! Nie raz, sto razy!

Z dziecinnym uszczęśliwieniem, od którego oboje drżeli prawie, Witold Korczyński i Marynia Kirlanka patrzyli sobie w oczy. Wtem, jakby wtór do ich radości, rozległy się w salonie naprzód fortepianowe akordy, a potem przeciągłe tony skrzypiec. Przed chwilą pani Emilia uczuła, że dalsze rozmawianie z gośćmi stawało się dla niej coraz trudniejsze; sztuczne podniecenie, które z rana uczyniło ją żywą i mówną, ustępowało przed znużeniem i osłabieniem; szczupła jej kibić garbiła się i opadała na poręcz kanapy, po prostu siły ją opuszczały. Gasnącymi oczami porozumiała się z Justyną, która wstała i zbliżyła się do fortepianu. Orzelski, który po wysączeniu z kieliszka ostatniej kropli likieru i kilku krygach wykonanych przed rumieniącą się Teresą Plińską, drobnymi swymi kroczkami kręcił się dokoła swych leżących na fortepianie skrzypiec, ujął je teraz powoli, z lubością, jak najmilsze dziecię, i z oczami rozkosznie przymrużonymi, smyczkiem po strunie powiódł.

Dźwięki muzyki napełniły salon. Ojciec i córka grali jakąś piękną, długą i trudną kompozycję, przy której stopniowo, ale zadziwiająco Orzelski zmieniał się i przetwarzał. W miarę rozwijania się i potężnienia tonów, spod smyczka jego wychodzących, stary muzyk także wyrastał, usubtelniał się, szlachetniał. Niewielka i pękata postać jego nabierała linii prostych, niskie i białe czoło, z którego w tej chwili zniknęły wszystkie zmarszczki, wysoko podnosił, wzrok promienny, natchniony daleko kędyś posyłał. Lotne marzenia i skrzące zapały, morza rozkoszy i smutku, ze strun skrzypiec lejąc się w jego piersi, co chwilę zmieniały grę jego rysów, ścierając z nich wszelki ślad pospolitości i głupoty. W tym natchnionym artyście ani by poznać było podobna tego smakosza i zmysłowca, który przed chwilą nie mógł rozstać się z talerzem i słodkie oczy robił do starej panny z obwiązanym gardłem; ani tego dobrodusznego, głupowatego starca, który bez cienia urazy poddawał się drwinom znajomych. Było to prawie czarodziejstwem, a tą czarodziejką, która go różdżką swoją dotknęła, była wielka, całe długie już życie tego człowieka przenikająca namiętność.

Justyna swój trudny i zawikłany wtór wykonywała z precyzją i

czystością, świadczącą o znacznej muzycznej wprawie, ale nie widać było po niej najlżejszego miłego albo przykrego wrażenia. Zupełnie obojętna, trochę nawet sztywna, z twarzą, w której żaden rys ani razu nie drgnął, widocznie spełniała obowiązek swój starannie, umiejętnie, ale zimno. Grała na pamięć; powieki miała spuszczone, a kiedy je podnosiła, wzrok jej był tak samo jak przedtem znużony i przygasły. Raz jednak odbiło się w nim wrażenie przykre. Naprzeciw siebie ujrzała stojącego we drzwiach salonu Różyca. Przez ostatni upłyniony kwadrans zaszła w nim dziwna zmiana. Opuścił był salon osłabionym krokiem, pożółkły i cierpiący; wrócił odmłodzony, świeży, promieniejący, z błyszczącymi oczami i lekkim nawet zarumienieniem na welinowych policzkach. Stanął w drzwiach, pociągnął w dół binokle i na grającą patrzał z takim wyrazem, że prędko spuściła ona oczy i ani razu już ich nie podniosła. Był to wzrok taki, jakim śmiały i pewny siebie zdobywca niewiast ogarnia, rozbiera i niejako w posiadanie swe obejmuje kobietę, której zażądał.

Muzyka trwała długo; niektórzy słuchali jej z uwagą i przyjemnością, a niektórzy z pootwieranymi od zdziwienia albo skrycie poziewającymi ustami. Na ganku nawet gwarne przedtem rozmowy przycichły. Gospodyni domu, nie potrzebując mówić, odpoczywała. W chwili, kiedy skrzypce i fortepian grzmiały świetnym i wybornie wykonywanym brio[71], Różyc nieznacznie i na palcach przesunął się przez salon i na niezajętym krześle obok Kirłowej usiadł. Ona przyjaźnie i poufale uśmiechając się podała mu rękę. Wszyscy wiedzieli, że ten trzydziestoletni pan, który już stracił pół miliona, i ta spracowana kobieta w starej sukni byli z sobą dość blisko spokrewnieni. Z właściwą sobie gracją ruchów nachylił się on do samego prawie ucha sąsiadki.

— Kuzynko — szepnął — czy znasz dobrze pannę Orzelską?

Twierdząco skinęła głową.

— Bywa ona u ciebie?

Znów głową kiwnęła i z ciekawością na niego spojrzała.

— Chcę cię prosić… abyś nas kiedy razem do siebie zaprosiła… żebyśmy tak wypadkiem… spotkali się kiedy u ciebie… Tu nie wypada mi bywać tak często… jak bym tego potrzebował…

Oczy szeroko otworzyła i naprzód wpatrzyła się w niego z nieopisanym zdziwieniem, a potem tak głośno, że aż kilka osób na nią się obejrzało, wybuchnęła:

— A toż co?…

I dźwiękiem własnego głosu przelękniona cicho dokończyła:

— Czy nie myślisz czasem tej biednej dziewczyny bałamucić? No, to spotykaj się z nią w swoim Wiedniu, ale u mnie jej pewno nie spotkasz…

Różyc śmiał się cicho.

— Parafiańszczyzna, kuzynko — szepnął.

Wiedział zapewne, że wyraz ten ją ukole. Jakoż na mgnienie oka zmieszała się i zasmuciła. Ale potem energicznie odpowiedziała:

— Niech sobie będzie parafiaństwo! Lepiej byś i ty wyszedł na tym, kuzynku, gdybyś był sobie parafianinem.

Nagle zamyślając się odpowiedział:

— Może…

Ale w tej chwili nie mógł znać długo ani zamyślać się, ani smucić.

— Moja droga kuzynko — szepnął znowu — żebyś wiedziała, jak ona mi się podoba!… Ślicznie zbudowana kobieta i takiego coś ma w sobie… te szare oczy przy czarnych włosach…

Patrzała chwilę na nienaturalny blask jego oczu i zwiększające się rumieńce. Czuła się zwierzeniami, które jej czynił, obrażona, ale obrazę zwyciężała litość…

— Biedny ty jesteś, kuzynku… a dziś w dodatku i upiłeś się jeszcze czy co?

Znów z zamyśleniem odpowiedział.

— Może…

Muzyka umilkła, kilka osób otoczyło Orzelskiego, dziękując mu i chwaląc odegraną kompozycję. On prostował się, promieniał.

— Caca uwerturka! — mówił — caca!…

Justyna powstała z wolna i odejść od fortepianu zamierzała, kiedy Zygmunt Korczyński Orzelskiego opuszczając, drogę jej zastąpił. Pięknej istotnie muzyki słuchał on był stojąc w pozie jakby z przyzwyczajenia malowniczej. Smutny wydawał się i rozmarzony. Teraz z niepewnym i przymuszonym uśmiechem na bladej twarzy, półgłosem przemówił:

— Zdaje mi się kuzynko, że nie lubisz muzyki tak, jak lubiłaś ją dawniej…

Na ostatnim wyrazie położył znaczący nacisk. Ona stała przed nim ze spuszczonymi powiekami, nieruchoma, ale wzruszenia swego ukryć zupełnie nie mogła.

— Nie — odrzekła z cicha — nie, nie lubię już muzyki wcale…

Stał ciągle tak, aby odejść i rozpoczętej rozmowy przerwać nie mogła.

— O, gust kobiet zmienny jest! — zawołał. — Ale w tobie zaszłą zmianę przypisuję temu, że oprócz muzyki ojca swego, która zresztą jest wyborna, żadnej innej nigdy nie słyszysz… Gdybyś słyszała…

Tu ożywiając się coraz, mówić jej zaczął o mistrzach muzycznych, których grę słyszał w wielkich europejskich miastach. Potem opowiadał o nowych słynnych operach. Sposób mówienia miał łatwy, obrazowy, okazujący niepospolite znawstwo muzyki i w ogóle sztuk pięknych. Ona słuchała go wciąż w nieruchomej postawie, kiedy niekiedy paru słowy odpowiadając, ale bledsza niż zwykle i z szybko podnoszącą się piersią. Widać było, że głos jego ją upajał i że zbliżenie z nim poruszało do głębi całą jej istotę. On w jej bladej i zamyślonej twarzy zatapiał oczy, tak jak u wszystkich Korczyńskich duże, w podłużnej oprawie i z piwną źrenicą. Zręcznym poruszeniem salonowego strategika dokonał takiego półobrotu, że ją sobą od kilku w pobliżu stojących osób odgrodził i malowniczo

wspierając się o fortepian zapytał: dlaczego, gdy on do Korczyna przyjeżdża, ona bywa najczęściej niewidzialna lub ukazuje się tylko na krótko?

Odpowiedziała, że czasem wuja w gospodarstwie wyręcza, a czasem ojca pielęgnować musi.

Zaśmiał się.

— Po cóż mówisz nieprawdę? — szepnął. — Nie chcesz mnie widywać, wiem o tym! Masz do mnie urazę i pogardzasz mną! Słusznie, ja sam sobą pogardzać zaczynam!

W głosie jego było tyle goryczy i żalu, że prędko odpowiedziała:

— Nie, nie… nie to!

Chciała mówić dalej, ale urwała nagle, bo w drugim końcu salonu ujrzała parę oczu utkwionych w nią z nieopisanym wyrazem. Były to oczy Klotyldy, więcej jeszcze błyszczące i szafirowe jak zwykle, ale wcale inaczej niż zwykle patrzące. Obok młodziutkiej kobiety ze swym wiecznie jowialnym, a trochę złośliwym uśmiechem na twarzy siedział Kirło. Przed chwilą ukazał jej rozmawiającą przy fortepianie parę i żartobliwie zapytał:

— Czy pani nie zazdrosna?

— O kogo? O co? — zapytała, ale patrząc we wskazanym jej kierunku zarumieniła się jak wiśnia.

— Pani nie wie? — ciągnął żartowniś — toż to pierwsza miłość mężulka… Panna Justyna… pierwsza miłość… a pani zna przysłowie…

Tu przerażającą francuszczyzną zaczął:

— *On… on rewien… tużur…*

— *A ses premiers amours*[72] — dokończyła żona Zygmunta i z niedbałym śmiechem dodała: — Wiem, wiem dobrze o tej pierwszej miłości… wszyscy mi tu o niej opowiadali… A pan może zna inne przysłowie polskie: Pierwsze kotki…

— Za płotki! — dokończył Kirło i zaśmiał się szczerze i z całego serca.

Ale na ustach Klotyldy prędko zamarł uśmiech i sama ona zmartwiała jakby, oczy swe wlepiając w tę wysoką i pysznie rozwiniętą kobietę, do której z ożywioną i wzruszoną twarzą mąż jej przemawiał tak długo… długo… drogę jej zastępując i od innych ludzi odgradzając ją sobą. Justyna spotkała się z tym wlepionym w nią spojrzeniem, które zdawało się ją osypywać żarem gniewu i nienawiści. Ale dziewiętnastoletnie serce, które spojrzenie to jej posyłało, zdjąć musiały zarazem trwoga i żałość, bo Justyna widziała, jak szafirowe, rozżarzone zrazu oczy Klotyldy zaczęły wilgotnieć i mglić się, aż stanęły w nich wielkie, szklanne, z całej znać siły wstrzymywane łzy. Zarazem, ładną tę i świeżą jak wiosna twarz okrył wyraz cierpienia, który uczynił ją podobną do twarzy bezbronnego, a dotkliwie udręczonego dziecka. W tej chwili Zygmunt Korczyński, ramieniem swym dotykając prawie rękawa sukni Justyny, z cicha zapytywał:

— Czy zupełnie, zupełnie już przeszłość naszą wyrzuciłaś ze swej pamięci? Czy nie przemówisz do mnie nigdy jak do przyjaciela swego, do

brata?

Z trudnością odrywając oczy od zmienionej twarzy Klotyldy, podniosła głowę i zimno spojrzała na stojącego przed nią, a wzrokiem błagającego ją mężczyznę.

— Zupełnie i nigdy — odpowiedziała z taką pewnością głosu, że zraniony czy obrażony oddał jej lekki ukłon i usunął się na stronę.

W salonie zrobiło się trochę chaosu; ktoś zaproponował przechadzkę po ogrodzie, panie wstawały z kanap i fotelów, młodzież z pierwszego hasła korzystając zbiegała ze wschodów ganku, na którym poważni panowie już przy kartowych stołach do gry zasiadali. Pan Benedykt wraz z innymi gotował się do rozpoczęcia winta, ale widocznie bez zapału i tylko przez grzeczność. Kirło za to tak chciwie na zielone sukno i karty spoglądał, że na chwilę śmiać się i innych śmieszyć przestał. Znać było, że tę rozrywkę namiętniej jeszcze lubił niż inne.

Pani Emilia wraz z innymi paniami zbliżała się ku drzwiom na ganek prowadzącym. Przechadzka po ogrodzie, w którym i wiatr powiewał, i słońce jeszcze silnie dogrzewało, przejmowała ją obawą. Ruchem głowy przywołała Justynę i słabym swym głosem poprosiła o przyniesienie płaszcza, chustki na głowę, parasolika, rękawiczek... Justyna śpiesznie zwróciła się ku drzwiom przedpokoju, Różyc poskoczył za nią.

— Pani pozwoli, że ją wyręczę...

Po rozmowie swej z Zygmuntem, blada i zmieszana, słów tych, z doskonałą galanterią wymówionych, nie usłyszała i nie spostrzegła, że do przedpokoju wbiegł za nią Różyc i razem z nią zbliżył się do wieszadeł złożonych z rogów łosich i jelenich, na których wprzódy już przygotowano rzeczy, teraz przez panią Emilię zażądane. Podniosła ramiona dla zdjęcia płaszcza i na jednej z rąk swoich uczuła dotknięcie jakiejś gładkiej jak atłas ręki. Zarazem zobaczyła obok siebie zbyt cienką, ale wytworną postać młodego pana, który z pełną pośpiechu usłużnością, zwoje koronkowej chustki niby rozplątując, ręką swoją ścigał jej rękę i w twarzy jej zatapiał takie samo spojrzenie jak to, które raz już przed kwadransem była spotkała. Wyrzekł przy tym po cichu kilka słów, których nie dosłyszała; może szum w uszach i ogień w głowie uczuła, bo spąsowiała aż po brzegi czarnych włosów. Odwróciła się prędko i niosąc ozdobny płaszcz pani domu, z krwistym rumieńcem na policzkach i obrazą w oczach do salonu powróciła. Za nią, doskonale nad sobą panujący, szkłami binokli pobłyskując, z koronkową chustką i parasolikiem w rękach szedł Różyc. Zapewne w towarzystwie tym zauważono dość wyraźne zajęcie się tego ostatniego ubogą krewną gospodarstwa, bo kilka osób spojrzało na nią ciekawie i z zadziwieniem, a Klotylda już na ramieniu męża swego zwieszona, z ironicznym uśmieszkiem na ustach obrzuciła ją od głowy do stóp jednym z tych spojrzeń, które z namiętnych i wymownych oczu wypadają jak strzały obelgi. Ale to młode serce, o szczęście swoje strwożone, tylko co jeszcze przyjmować w siebie zaczęło truciznę życia, więc gniew i pogarda

ustępowały w nim prędko przed smutkiem i rozżaleniem. U stóp wschodów gankowych stojąc Klotylda mocno, mocno tuliła się do boku swego męża i podnosiła ku niemu rozżalone oczy. On na nią nie patrzał. Oczekując na zejście z ganku matki swej i gospodyni domu, z niecierpliwością w zaciśniętych wargach, wzrok pełen niespełnionych marzeń topił w gęstwinie ogrodu. U brzegu ganku gospodyni domu dalszy pochód gości swych zatrzymywała. Płaszczem owinięta, z głową koronkami gęsto omotaną, z rozpiętym parasolikiem, mężnie wyszła na ganek, ale przed wschodami rozdzielającymi go z ogrodem zawahała się i stanęła. Wyraz cierpienia i zakłopotania twarz jej okrył.

— Doprawdy… — zaczęła — nie będę mogła… nie, nie będę mogła za nic zejść z tych wschodów.

Nikt się temu nie dziwił; wiedziano powszechnie o sposobie życia, który wiodła, i jej niezmiernie słabym zdrowiu. Kilku panów z pośpiechem pomoc swą ofiarowało, ale ona jej nie przyjęła. Bardzo dobrze wiedząc o tym, że wygląda jeszcze młodo i powabnie, nie chciała okazać się niedołężna. Jednak wschody te były dla niej straszne… Najbliżej stojącym osobom mówiła, że doświadcza takiego uczucia, jakby przebywając je koniecznie, koniecznie upaść musiała… Zbliżała się ku nim i odstępowała, wyciągała naprzód śliczną nóżkę i z lekkimi wykrzykami cofała ją jakby na widok rozwartej paszczęki węża; walczyła z sobą tak, że aż okryła się rumieńcem wysilenia. Na koniec, z krótkim, nerwowym śmiechem nie zeszła, ale zbiegła ze wschodów prędko, lekko, z wdziękiem. Powodzenie to ośmieliło ją znać i ucieszyło, bo pośród kilku kobiet i mężczyzn, którzy ją otoczyli szła dalej aleją ogrodu równym i silnym krokiem, z ożywieniem rozmawiając. Darzecki, który zza kartowego stołu przypatrywał się tej scenie, ironicznie trochę zauważył:

— Ależ twoja żona, panie Benedykcie, nie jest tak bardzo osłabiona, jak się jej zdaje…

— At! — rozdając karty odrzucił Korczyński — z nudów zasiedziała się i od chodzenia odwykła… Zresztą, zawsze słabe zdrowie miała!…

W pustym zupełnie salonie Justyna, przed otwartymi drzwiami stojąc, patrzała na towarzystwo rozsypujące się w różne strony ogrodu, aż odwróciwszy się ku sali jadalnej zmierzała. Zaledwie jednak kilka kroków uczyniła, usłyszała za sobą szybkie stąpanie i z cicha wymówione swe imię. Zygmunt Korczyński szedł za nią, niespokojne spojrzenia rzucając na fortepian, krzesła i stoły.

— Zapomniałem wziąć swój kapelusz… kapelusza szukam… — ze zmieszaniem i drżącymi usty wyszeptał.

Prędko, zanim usunąć się zdołała, zbliżył się ku niej i rękę jej pochwycił.

— Kuzynko — zaczął — czy nie cofniesz tych słów, które tylko co powiedziałaś?… Zupełnie i nigdy! Więc o przeszłości zapomniałaś zupełnie i nigdy niczym dla mnie nie będziesz… nawet przyjaciółką… siostrą? Ależ

ja nie mogę…

Osłupiała zrazu, oblana gorącem jego słów i wzroku, prędko jednak i ruchem gwałtownym rękę swą z dłoni jego wyrwała.

— Czego chcesz ode mnie? — zawołała. — Jakim prawem, za co robisz sobie ze mnie zabawkę całego swego życia? Dość już… proszę cię, kuzynie… czego chcesz?

Słowa plątały się jej w ustach i głos zamierał w gardle.

— Duszy twojej chcę, Justyno… przyjaźni… ufności…

— Duszy! — zaśmiała się przeciągle i bolesna ironia mignęła jej w oczach. — Czy myślisz, że jestem takim samym dzieckiem, jakim byłam wtedy, kiedy mnie te wszystkie twoje piękne… o! takie poetyczne słowa…

Nie dokończyła. Nagle opanowała siebie i postąpiwszy parę kroków naprzód, rękę ku ogrodowi wyciągnęła.

— Idź, kuzynku, i podaj ramię żonie swojej, która jest ślicznym i zapewne dobrym dzieckiem, twemu sumieniu powierzonym. Ona cię kocha… a moja dusza…

Od stóp do głowy drżeć zaczęła.

— Moja dusza — dokończyła — nie przyjmie nigdy tego, co ty jej teraz ofiarować możesz!

Chwiejnym trochę, ale śpiesznym krokiem, jakby nie tylko od niego, lecz i od samej siebie uciekała, z salonu wyszła.

W sali jadalnej zobaczyła Martę, która nisko schylając się nad stołem i głośno sapiąc, pogrążona była w układaniu na kryształowych podstawach owoców i konfitur. Stanęła i patrzała chwilę na szerokie, zgarbione plecy i w tysiąc zmarszczek pogiętą twarz starej panny. Przybliżyła się prędko i dotknęła ciemnej, kościstej ręki, która z niezmierną starannością bujnym, czerwonym głogiem warstwę białych porzeczek przyozdabiała.

— A toż co? — głowę podnosząc krzyknęła Marta. — Czego ty chcesz ode mnie? — łagodniej zapytała.

Drżąca jeszcze i ze łzami w oczach Justyna szepnęła:

— Może pomóc… przynieść… cokolwiek zrobić?

— Ot, jeszcze czego! Wiesz dobrze, że nie lubię, aby kto wtrącał się do moich interesów… Sama sobie zawsze radę daję i teraz dam… Baw się, kiedy ci wesoło…

— Mnie niewesoło… — odpowiedziała.

— A co ja na to poradzę? Melancholiczka jesteś! Do głowy po rozum pójdź, chłopców bałamuć, to i wesoło będzie…

Mówiła to zwykłym sobie tonem, szorstko i ironicznie, ale zmarszczki jej czoła przerzedziły się trochę, a wzrok ognisty i chmurny nabierał przyjaźniejszego wyrazu. Zdawało się, że wnet podniesie swą rękę, po której ściekało trochę konfiturowego soku, i ruchem pieszczoty przesunie ją po rozognionej twarzy stojącej przed nią dziewczyny. Ale w tej chwili u końca sali rozległ się przy bufecie brzęk padającego na ziemię i rozbijającego się szkła wraz z piskliwym wykrzykiem kobiecym. Była to

panna służąca pani Emilii, wystrojona i fertyczna, która tu niby Marcie w zajęciach jej pomagała, ale daleko więcej eleganckim kamerdynerem Różyca niżeli robotą swoją zajęta, jeden z niesionych ku stołowi przedmiotów z rąk wypuściła.

— Wieczna niedola! — porywając się z miejsca i do bufetu przyskakując krzyknęła Marta — kryształową karafkę stłukła! Otóż to wasza pomoc! Idź mi stąd zaraz, frygo, i ani pokazuj się więcej! Ruszajcie stąd wszyscy! Sama wszystko własnymi rękami robić wolę niż do takich szkód dopuszczać! Od garnituru[73] karafka!… Sto lat może garnitur był cały, a teraz, masz!… Wieczna niedola! Uf! Nie mogę!

Zgryziona tak, że aż jej ręce drżały, rozgniewanym, a więcej jeszcze rozżalonym głosem na służbę krzyczała, dla zebrania szczątków karafki na ziemi przysiadła i zakaszlała się długim, przeraźliwym, grzmotowym kaszlem.

V

Justyna bocznymi drzwiami wybiegła z domu i brzegiem warzywnych ogrodów szła w kierunku pola. Wkrótce też znalazła się na ścieżce, kręto biegnącej pomiędzy zbożem i mającej pozór wąskiego korytarzyka, którego ściany tworzyło żyto wysokie, gęste, jeszcze zielone, ale już w bujne kłosy wypływające i szafirowymi cętkami bławatków usiane. Było coś tajemniczego i pociągającego w tej ścieżce utopionej na dnie kłosistego morza, która, zaczynając się u stóp zabudowań dworskich, biegła w głąb równiny, biała i twardo udeptana. Wydłużając się, to skracając, zwracała się ona w różne kierunki; zdawało się nieraz, że już, już kończy się i urywa, aż za zawrotem albo za zieloną miedzą ukazywała się znowu, wabiąc i wiodąc — nie wiedzieć dokąd. Nikt widzieć jej nie mógł oprócz tego, kto nią szedł, a ten, kto nią szedł, nie widział także nic oprócz gęstwiny łodyg i kłosów dokoła siebie, a nad sobą błękitnej kopuły nieba. Była to niska puszcza, u szczytów swych samotna i cicha, a w dole wrząca życiem niewidzialnym, które ją napełniało mnóstwem szelestów, ćwierkań, fruwań, brzęczeń, świergotów zlewających się w nieustanny, przy samej ziemi kipiący szmer.

Justyna wypadkiem znalazła się na tej ścieżce i nie myślała wcale o tym, dokąd ją ona zawiedzie. Więcej instynktownie niż rozmyślnie uciekała od tego wszystkiego, co ją raniło, nudziło i poniżało. Od kilku lat cierpiała wiele i coraz więcej... Dlaczego czuła się tak głęboko i bez ratunku nieszczęśliwa? Jakim sposobem życie jej taki kierunek przybrało? Dlaczego z gorącego snu pierwszej młodości obudziła się nie tylko samotna i smutna, ale zarazem obrażona i z nie wyschłą dotąd kroplą goryczy w sercu? W tłumnym nieładzie odłamy przeszłości zbiegały do jej pamięci; szła prędko, ze schyloną głową i myślała, że kiedy była dzieckiem, już tylko słyszała o tym, że kiedyś ludzie bywali weseli i szczęśliwi, że im żyć było łatwo; teraz zaś życie stało się próżne uciech, a pełne trudów i przeszkód. Te przeszkody przełamywano dokoła niej z wyrzekaniami, których treść coraz lepiej rozumiała, i z wysileniami, od których ludzkie ciała chudły i zmarszczkami okrywały się twarze. Ale jej ojciec czuł się spokojny i szczęśliwy, tak jak i dawniej; nie przełamywał nic i żadnych wysileń nie czynił. Wprawdzie ten wychowaniec minionej minuty czasu, którego przez całą młodość dla pięknej gry na skrzypcach pieściły i wychwalały wszystkie dostępne mu towarzystwa i za którego rozmarzonymi oczami przepadało wiele kobiet, nie był zawsze taki, jaki stał się w ostatnich dziesięciu latach, ale posiadał wszystkie zadatki tej przyszłej swojej postaci. Justyna pamiętała, jak stopniowo zaokrąglał się i nabierał pulchności rąk i policzków, smutnym albo zagniewanym nie widziała go nigdy. Jakimikolwiek były otaczające go okoliczności, cokolwiek jego albo bliskich mu spotykało, zachowywał on zawsze wraz z niezmąconą pogodą,

dziecięcą prawie łagodność. Unosił się i płonął wtedy tylko, kiedy grał. Grał ciągle, z przerwami przez nieuchronne konieczności sprowadzonymi. Można by myśleć, że ukochana sztuka zużywała wszystkie jego siły i zaspokajała pragnienia. Tak przecież nie było. Miał drugą jeszcze namiętność. Pod złotawym, a potem już siwiejącym wąsem zawsze purpurowe, zmysłowe jego usta układały się w wyraz lubości, ilekroć zobaczył jakąkolwiek ładną twarzyczkę lub zgrabną kibić niewieścią. Można było nawet uczynić to spostrzeżenie, że obie jego namiętności podsycały się wzajemnie. Im dłużej grał, tym posuwiściej i z większym rozmarzeniem przybliżał się do przedmiotu miłosnych swych wzruszeń, im silniejsze i bardziej przez przeciwności rozdrażniane były te wzruszenia, tym więcej i zapamiętalej grał. Wiele wspomnień mętnych i urywanych, ale o których teraz jeszcze z podniesionymi powiekami myśleć nie mogła, pozostało Justynie z czasu tego, kiedy jej matka często i gorzko płakała, a o jej ojcu domowi z cichym śmiechem wiele pomiędzy sobą szeptali. Wtedy jeszcze dziwiła się nie rozumiejąc, ale niebawem zrozumieć musiała. Dokładnie, plastycznie, dziś jeszcze wyobrazić sobie mogła tę kobietę, chudą i zwinną, z włosami jak krucze pióra czarnymi i ognistymi oczami, czasem gadatliwą i zalotną, częściej ponurą... Była to jej nauczycielka Francuzka... Uczyła ją krótko i prędko dom opuściła, a prawie jednocześnie w podróż, która długo trwać miała, wyjechał i Orzelski. Zabrał z sobą swoje skrzypce. Nie tylko skrzypce — bo przed wyjazdem zaciągnął dług nowy i znaczny. Czy nieobecność ojca trwała kilka miesięcy lub cały rok, Justyna nie pamiętała, ale o jej przyczynie wtedy już wiedziała dokładnie i jasno, bo w przeraźliwym rozstroju domowym i majątkowym nikt jej przed nią bardzo nie ukrywał. W zamian pamiętny był dla niej dzień, w którym pośród krzyczącej, znieważającej albo żałośnie wyrzekającej gromady kredytorów siadała z matką do powozu. Pojechały do Korczyna. Z pamięci Justyny nigdy nie wyszła rozmowa matki jej z Benedyktem Korczyńskim, w której kobieta od dawna już na siłach upadająca, a teraz śmiertelnie zagrożona, błagała krewnego o zaopiekowanie się jej córką w razie jej rychłej zapewne śmierci. Zwątlała i bezsilna, drżała na całym ciele, ręce wychudłe i jak wosk żółte załamując, a twarz jak opłatek przezroczystą strumieniami łez oblewając. Pan Benedykt mówił niewiele, końce długiego wąsa do ust wkładał i przygryzał, ponuro przed siebie patrzał, aż na koniec chylące się przed nim czoło krewnej ucałował i ku niemu wyciągnięte, biedne, żółte ręce mocno uścisnął. Kiedy powróciły do domu, na dziedzińcu już usłyszały tony skrzypiec. Pan tego domu powrócił, nie na długo. Wkrótce wiadomością o śmierci swej krewnej przywołany, pan Benedykt przyjechał, z mnóstwem trudów interesy majątkowe Orzelskiego uregulował, małą sumkę z ogólnego rozbicia uratował i owdowiałego ojca wraz z czternastoletnią córką do Korczyna zabrał. Orzelski okazywał się przez ten układ rzeczy zupełnie uszczęśliwiony. Po swej ostatniej romantycznej przygodzie postarzał się znacznie, więcej tyć zaczął i dla płci pięknej

zobojętniał. Nie pozbył się przeto wszelkich przyjemności życia. Kuchnia korczyńska dzięki Marcie była wcale dobra, a dnie całe zostawały wolne, zupełnie wolne od wszystkiego, co przedtem ciążyło niekiedy na nich. Mógł je bez żadnej już przeszkody i odpowiedzialności poświęcać muzyce.

Teraz przed pamięcią Justyny powstała kobieta z majestatyczną postawą, z głową wyniośle podniesioną i skromnie spuszczonymi powiekami, w wiecznie czarnym, wdowim ubraniu. Była to po panu Benedykcie druga jej dobrodziejka. Zobaczywszy dziewczynkę, która jeszcze nosiła żałobę po matce, przyciągnęła ją ku sobie i serdecznie ucałowała. Zawsze smutne jej oczy napełniły się litością. Do obecnego pana Benedykta rzekła, że krewna Korczyńskich nie może być dla niej obca, że obowiązek wychowania jej na jednym tylko z braci ciążyć nie powinien, że ona, w imię Andrzeja, prosi o danie jej w nim udziału. Gdy wymawiała imię zginionego męża, chłodne zawsze jej usta drżały.

— Ty wiesz, bracie — dokończyła — jak niezachwianie chowam w mym sercu miłość i wierność dla tego bohatera mego. Niewidzialny cielesnym oczom, jest on zawsze duchowi memu obecny. Często rozmawiam z nim w ciszy nocnej i błagam Boga, aby pozwolił mu słuchać słów moich; kto wie, może prośba moja wysłuchana bywa! Dziś mu powiem, że w rodzinie jego jest biedna sierota, której losem, wspólnie z tobą zajmę się w jego zastępstwie.

Zajęła się, nawet szczerze i starannie. Na spółkę z panem Benedyktem opłacała nauczycielki Justyny, sprawiała jej coraz nowe i ładne suknie, sprowadzała dla niej książki i nuty. Czasem dorosłą już dziewczynkę na tygodnie i miesiące zabierała do swoich niegdyś pięknych i obszernych, a dziś znacznie zmalałych i powoli w ruinę upadających Osowiec.

Tu umysł Justyny napełnił się mnóstwem obrazów, składających główny moment dotychczasowego jej życia. Młody chłopak, o sześć lat od niej starszy, w domu przy drogo opłacanych nauczycielach chowany i przez matkę starannie od wszelkich powszednich zajęć i zjawisk życia uchylany, wypieszczony, delikatny, z przepowiadaną mu przez wszystkich otaczających słoneczną przyszłością genialnego artysty... Z tym na wpół wykwintnym paniczem, a na wpół rozegzaltowanym artystą, łączyły się dla Justyny wspomnienia tych wszystkich wydarzeń i wzruszeń, które zazwyczaj stanowią wątek miłości świeżej, szczerej, lata trwającej i obustronnie uczuwanej. Były tam ranki majowe i księżycowe wieczory, długie przechadzki, ciche rozmowy, wspólne czytania poetycznych i wzniosłych utworów, płacze pożegnań, kiedy on dla kształcenia talentu swego odjeżdżał w dalekie kraje, rozłączenia napełnione palącą tęsknotą i kojącymi ją nadziejami, listy wysyłane i otrzymywane, namiętne radości powitań, przyrzeczenia, przysięgi, plany wspólnej przyszłości, upojenia, po których dniami i tygodniami czuła na swych ustach ogień i słodycz jego pocałunków. Dziś jeszcze o tym wszystkim wspominając, stanęła śród ścieżki i w dłoniach ukryła twarz, do której dawna, silna i jedyna jej dotąd

miłość uderzyła falą wzburzonej krwi. Prędko przecież pobladła, z gniewem w oczach wyprostowała się i szła dalej. Jakże skończył się ten poemat? O, bardzo prozaicznie! Wprawdzie bohater poematu wymówił głośno wyraz: „Małżeństwo!” i nawet przez całe dwa miesiące, zrazu energicznie i uparcie, a potem coraz słabiej go powtarzał. W tych dwóch miesiącach Justyna pamiętała każdy dzień i prawie każde do niej i o niej wymówione słowo. Myślała wtedy, że idzie o jej życie, więc wzrokiem i słuchem, które stały się nagle bardzo przenikliwymi, badała wszystko, co działo się wkoło niej. Wiedziała też o wszystkim. Wkoło niej wrzało. Pani Andrzejowej ubyło coś z jej majestatycznej postawy, tak czuła się zrozpaczona postanowieniem syna. Mogła ona z wielką dobrocią i hojnością wychowywać ubogą sierotę, związkiem krwi połączoną z człowiekiem, którego w miarę upływającego czasu coraz więcej, jak utraconego kochanka i świętego męczennika, kochała i czciła. Ale kiedy potem tę nawet lubioną przez siebie dziewczynę przymierzała z synem swoim, znalazła ją tak malutką i położeniem w świecie, i wychowaniem, i urodą, i rozumem, że po prostu pojąć nie mogła takiego związku. O majątek mniej dbała, chociaż i pod tym względem, pomimo rzetelnego oderwania się od materialnych spraw świata i bardzo małego rozumienia majątkowych interesów, czuła, że upadające Osowce potrzebowały wzmocnienia i podpór. Ale przede wszystkim pragnęła dla syna kobiety wysoko urodzonej, z rozległymi koligacjami, z wychowaniem świetnym, jakiejś na koniec muzy, która by niewątpliwemu dla niej geniuszowi jego dopomagała do wzrostu i lotu. Wszystko to, bez gniewu i uniesienia, bo z krewną Andrzeja źle obejść się nie mogła, owszem, smutnie, ale też i dumnie wypowiedziała Justynie.

Daleko mniej powściągliwa była ciotka Zygmunta, kobieta bardzo żywa i wysoko ceniąca bogactwo.

— Powinnaś była wiedzieć, moja Justynko — mawiała — że tacy ludzie jak Zygmunt z takimi jak ty dziewczętami romansują często, ale nie żenią się prawie nigdy!

Na głowę pana Benedykta posypały się gromy. Pani Andrzejowa co parę dni wzywała go do Osowiec; Darzecka przyjeżdżała sama i z szelestem jedwabnych sukien, wzburzona, głośno swe gniewy i niechęci wyrażająca, wpadała do gabinetu brata. Wdał się też w sprawę i sam arystokratycznie wyglądający Darzecki, monotonną i płynną mową swą bratu żony oświadczając, że wcale nie zgadza się z jego chęciami i gustami, aby tak bliski mu przez żonę krewny żenił się — nie wiedzieć z kim… Pan Benedykt wpadał w gniewy tak głośne, że w całym domu go słyszano, gdy zapytywał: „Czy ma dziewczynę utopić albo zastrzelić?” Na koniec zażądał rozmówić się o tej sprawie z Zygmuntem. Rozmówił się i na zakończenie z chmurną żartobliwością rzekł:

— Wiesz co, gagatku? jedź sobie znowu za granicę i ucz się malować… Osowce wprawdzie zrujnują się do reszty, ale tobie samemu serce pewno nie pęknie, bo… bo prawdę mówiąc, sam nie wiesz, czego chcesz!

Wyjechał — a po dwóch latach spędzonych w ogniskach sztuk pięknych, przeważnie w Monachium, wrócił żonaty.

Całe to zajście było dla Justyny ciosem zrazu, który wtrącił ją w rozpacz, a potem policzkiem, pod którym uczuła, że jest dumna i że godność ludzka okrutniej jeszcze zraniona w niej została niżeli miłość. Było ono także ostrą strzałą, która serce jej przeszywając, otworzyła zarazem jej oczy. Spostrzegła i zrozumiała wiele rzeczy umykających dotąd wzrokowi jej i rozwadze. Zrozumiała przede wszystkim położenie własne i dla swej marnej teraźniejszości wzgardą zdjęta, zlękła się przyszłości... Dotąd miłość, uciechy jej, cierpienia i marzenia pożerały jej czas i do syta karmiły myśli i serce. Gdy tego pokarmu zabrakło, spostrzegła i uczuła, że nie posiada żadnego innego dla nasycenia ciężko wlokących się godzin i dni; że w niej i dokoła niej nie ma nic takiego, na czym by mogła zawiesić kotwicę nadziei jakiejkolwiek, choćby z pospolitego metalu ukutej. Czasem, gdy zamykała oczy i myślała o tym, co z nią jest i być może, zdawało się jej, że patrzy w jakąś bezmierną pustkę, po której niby widma strapione i wątlejące błąkały się młode siły jej ciała i ducha... Teraz człowiek ten chce znowu w tej pustce rozpalić płomień, który już raz tak srodze opalił jej skrzydła. Przed kilkunastu zaledwie minutami do głębi istoty swej czuła się wzruszona samym tylko dźwiękiem jego głosu. Była już zapomniała, a teraz... czyż znowu... czyż znowu? Sto głosów zdawało się w niej wołać: Nie! A jednak w nudzie i bezcelowości życia swego może kiedy... może... Nie była dzieckiem, miała lat dwadzieścia cztery i kiedyś bardzo kochała — wiedziała, czuła, czym bywa i jakie przemoce wywiera szał krwi i serca... Przerażenie dreszczem po ciele jej przebiegło. Zarazem czoło jej zapaliło się wstydem. Przypomniała sobie spojrzenia i zaczepki tego drugiego, wykwintnego pana, z wychudłym ciałem, chorobliwie drgającym czołem i atłasową ręką, która tak bardzo znacząco szukała i dotknęła jej ręki. Cóż to było? Podobała mu się? Widziała to aż nadto, ale czyliż także z doświadczenia nie wiedziała, że „tacy ludzie jak on z takimi jak ona dziewczętami romansują często, ale nie żenią się prawie nigdy”. Kimże więc była? Jakie było jej miejsce i znaczenie pośród tych, z którymi upływało jej życie? O! Naturalnie, powiedziano jej to kiedyś i sama to przyznawała — była ona nie wiedzieć kim!

Obu dłońmi schwyciła się za rozpaloną głowę, w gardle uczuła dławienie żalu, a na podniebieniu palącą gorycz upokorzonej dumy. Jednak uspokajała się powoli. Z szerokiej przestrzeni przylatywały świeże powiewy i łaskawie muskały jej włosy i szyję. Zza łez widziała wpatrzone w nią litościwie szafirowe oczy bławatków i kłosy zielone, prawie nieruchome, po których przecież cicho płynął kojący szmer. Przed sobą, o kroków kilkanaście, zobaczyła wznoszącą się nad zbożem, rozłożystą i całą w słońcu stojącą gruszę polną; pień, gałęzie i wszystkie liście tego drzewa były złote. Oglądała się dokoła, na wzburzoną twarz jej spływał wyraz ulgi. Widać było, że powoli o sobie i troskach swoich myśleć przestawała.

Pochyliła się i rozchyliwszy gęste łodygi zboża, z zajęciem popatrzała na fioletowe lady i rohule, gęstymi splotami obejmujące łodygi żyta. Gdy podnosiła głowę, jeden z kłosów szorstko przesunął się po jej twarzy; wzięła go w rękę i ostrożnie obejrzała napełniające go młode ziarna. Liliowy motyl wzbił się jej spod stóp i kręto wyleciał nad zboże; ścigała go wzrokiem, póki nie zniknął. Była już teraz o parę tylko kroków od gruszy polnej i ogłuszył ją krzyk drobnych ptaków, których ilość nieprzeliczona skakała, fruwała, kołysała się pośród złotych liści. W tej samej chwili, za zbożem, niedaleko, rozległ się głos ludzki. Był to silny i czysty głos męski, który zawołał:

— Hej, kasztan, hej, hej!

A w minutę potem po raz drugi:

— Wolniej, gniada, wolniej!

W wołaniu tym, rozchodzącym się po ciszy polnej, nie było nic smutnego; owszem, brzmiało ono raźnie i ochoczo. Wnet potem rozległo się gwizdanie, w którym wyraźnie rozpoznać można było nutę piosenki zaczynającej się od słów:

Przy drodze, przy drodze jawor rozkwitnąwszy
Gdzie pojedziesz, mój Jasieńku, konia osiodławszy?

Jaworu tam nie było, ale u stóp gruszy polnej urywał się wąski korytarzyk i w prostej, długo ze stron obu wyciągniętej linii wysokie żyto stawało nad płachtą nagiej, ciemnej, świeżo zoranej ziemi. Justyna wyszła ze zbożowej puszczy i pod gruszą stanęła. Z jednej strony w znacznej odległości widać było długą i szaro stąd wyglądającą wieś, z drugiej dość blisko stały wzgórza porosłe drzewami; naprzeciw, jak okiem sięgnąć, niski owies i groch biało kwitnący okrywały ziemię. Ta sama ścieżka, którą Justyna zaszła aż w głąb równiny, przerwana płachtą zoranej roli, uparcie odradzała się wraz za nią i białym paskiem przerzynając puszystą zieloność grochu, znowu w owsie przepadała.

Od jednego ze wzgórz ku gruszy polnej posuwał się pług, ciągnięty przez parę koni, z których jeden był kasztanowaty, z konopiastą grzywą, drugi — gniady, z białą nogą i białą łatą na czole. Za pługiem, z rękami opartymi na wysoko sterczących *rączkach* pługu, szedł wysoki i zgrabny człowiek, w białym płóciennym surducie, długim do kolan obuwiu i małej czapce, która skórzanym daszkiem osłaniając mu czoło, nie zasłaniała z tyłu głowy jasnozłocistych włosów. Szedł prosto, równym krokiem bez żadnego widocznego wysilenia; lejce z grubego sznura mocno z sobą połączone i wzdłuż boków końskich wyprężone, poniżej ramion opasywały mu plecy. Idąc wygwizdywał trzecią już strofę piosnki:

Rybacy, rybacy, sieci zarzucajcie,
Nadobnego Jasia na brzeg wyciągajcie.

Pług posuwał się dość prędko; lemiesz[74] głęboko pogrążał się w rolę, po żelaznej, błyszczącej policy[75] nieustannie przepływały strumienie ciemnej, w miałki piasek rozsypującej się ziemi. Niewielkie konie z połyskującą sierścią szły równo i raźnie, a w niejakiej od nich odległości kilka wron, zdając się zaglądać im w oczy, tu i ówdzie skakało albo poważnie i ze spuszczonymi dziobami siadało na grudach.

Nagle oracz gwizdać przestał i o kilka kroków spostrzec już można było, że uczuł się zdziwiony. Prędkim ruchem czapkę zdjął z głowy, konie zatrzymał i na kobietę, która tak niespodzianie dla niego wyszła spomiędzy gęstego zboża, patrzał ze zmieszaniem na twarzy i w postawie. Usta mu otworzyły się i pod złotawym wąsem ukazały śnieżne zęby. Uśmiechnął się, twarz odwrócił, zawahał się, chrząknął, na koniec, bojąc się znać zbyt głośno przemówić, prawie po cichu przemówił:

— Czy panienka potrzebuje czego? Może drogę dokąd pokazać lub robotnikom pana Korczyńskiego coś powiedzieć? oni tam za górką…

Odjął ręce od pługa, do odejścia gotów. Justyna postąpiła parę kroków po wąskim, zielonym pasie, rozdzielającym ścianę żyta z płachtą zoranej ziemi.

— Dziękuję — odpowiedziała — wyszłam na przechadzkę i sama nie wiem, jakim sposobem aż tutaj zaszłam…

Ruchem głowy wskazał na białą ścieżkę spośród żyta wyglądającą.

— Ta ścieżka przyprowadziła — zauważył. — Ale to nic — dodał — że panienka tak daleko od dworu zaszła. Można wrócić krótszą drogą, tamtędy… między owsem trzeba iść i wyjdzie się na wprost okolicy, a stamtąd to już do dworu krótka droga.

Mówił teraz głośniej już, prędko i z widocznym pragnieniem okazania się grzecznym i usłużnym. Wyciągniętym ramieniem wskazywał owies, przerzynającą go zieloną drogę i szarzejącą u jej końca okolicę. Justyna patrzała na żywe jego ruchy, którym kształtność ciała nadawała szczególną zręczność i giętkość; nie mogła też nie spostrzec, że z błękitnych, roziskrzonych oczu, zza zmieszania i zawstydzenia, wybuchała mu tajemna, lecz nie dająca utaić się radość.

— Pan Jan Bohatyrowicz? — trochę nieśmiało zapytała.

Odkryte i od reszty twarzy bielsze jego czoło zaszło rumieńcem, z rumianych i ogorzałych policzków ledwie krew nie wytrysnęła.

— A jakże! — odpowiedział i palcami dotykając rączek pługa, ze spuszczonymi oczami zapytał: — Skąd panienka wie, kto ja jestem?

— Widuję pana czasem… ciotka Marta mówiła mi o ojcu i stryju pana…

Znów twarz na chwilę odwrócił i chrząknął, ale śmielej już odpowiedział:

— Pewno o stryju Anzelmie, bo on kiedyś dobrze znał pannę Martę…

Urwał i po krótkim milczeniu, zdobywając się widocznie na nową śmiałość, dodał jeszcze:

— I ja też kiedyś w Korczynie bywałem… ociec mnie tam brał z sobą… ale już potem nigdy nie byłem. Czego chodzić, kiedy żadnej przyczyny nie ma?

I jakby mu nagle przyszła na pamięć jakaś obraza czy niechęć, głowę podniósł trochę butnie, brwi zmarszczył, ręce na rączkach pługa położył i zawołał na konie, aby szły naprzód. Lejce tylko, które mu plecy opasywały, ściągnął i parę razy do koni przemówił:

— Wolniej, kasztan! Wolniej, gniada, wolniej!

Pług posunął się znowu, tylko daleko powolniej niż wprzódy, i znowu lemiesz głęboko rył się w pulchną rolę, a po błyszczącej policy spływały strumienie ciemnej, miałkiej ziemi. Justyna wąskim brzegiem żytniego łanu szła obok pługa, z niejakim zdziwieniem na zachmurzoną nagle twarz towarzysza patrząc. Po chwili, wskazując rolę, zapytała:

— Po koniczynie?

— A jakże — odpowiedział.

— Pod pszenicę?

Rzucił na nią szybkie spojrzenie, w którym błysnęło trochę niedowierzania i obawy. Pomyślał może, że ona chce z niego żartować.

— Panienka niby to zna się na gospodarstwie?

Zmieszała się z kolei. Istotnie bardzo mało posiadała wiadomości o tej ziemi, po której stąpała i której zjawiska, obrazy i plony budziły w niej często ciekawość i zachwycenie. To i owo z rozmów toczonych dokoła niej zapamiętała, ale z bliska pracom rolniczym nie przypatrywała się nigdy. W tej chwili dziwiła ją pozorna przynajmniej łatwość, z jaką młody rolnik pracę swoją spełniał. Wyobrażała sobie, że orać jest bardzo ciężko.

— Wszelako bywa — odpowiedział. — Bywa, że ciężko, bywa, że letko. Po pierwsze, to od gruntu zależy, a po wtóre, od uzwyczajenia i od siły. Do tego i pługi teraz insze jak dawniej. Dla mnie mórg zaorać to tak, jak prawie na spacer pójść.

Przy ostatnich wyrazach głową rzucił raźnie, w górę spojrzał i znowu w uśmiechu, ale tym razem jakby triumfującym, białe zęby mu pod złotawym wąsem błysnęły. Widocznie w poczuciu siły własnej i uzdatnienia do tej pracy, którą przez całe życie spełniał, uczuł się dumny i wesoły. W ogóle w postawie, mowie i całym obejściu się jego dziwnie mieszały się z sobą i ruchliwie jedna przed drugą ustępowały: dzika nieśmiałość i harda butność, kobieca prawie wstydliwość i męska dojrzała siła. Znać w nim też było wielką żywość i mówność, powściągane przez chęć okazywania się grzecznym i przystojnym[76]. W tej chwili przecież żywość i mówność wzięły górę nad nieśmiałością. Coś u pługa poprawiwszy wyprostował się, na konie, które były stanęły, cmoknął i z promieniejącą twarzą zawołał:

— Prędzej bym śmierci spodziewał się w tym momencie niż panienkę śród pola zobaczyć. Wszyscy mówili, że dziś we dworze bal…

— Niewesoło mi było na tym balu i wolałam iść w pole — żywo też i zupełnie mimo woli odpowiedziała Justyna.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Dłużej i śmielej niż dotąd popatrzył na nią.

— Ja to już dawno wiem — ciszej znowu odpowiedział — że panience nie zawsze tam bywa wesoło. Ludziom gąb nie zatknąć, a i twarz człowieka wygada czasem, co się w sercu kryje. Jaż panienkę, choć z daleka, a często widuję…

Wstrzymał się. Głos jego, ten silny głos, który na całą okolicę rzucał dźwięki rozgłośnych pieśni, zmącił się i urwał. Po chwili dopiero dokończył:

— Może panienka gniewa się na mnie, że tak śmiele powiedziałem?…

I niespokojnie, głowę pochylając, spojrzał w twarz idącej obok niego kobiety. Zarumieniona była, ale nie rozgniewana; owszem, spod spuszczonych powiek wzrok jej podniósł się na niego ciekawie i przyjaźnie. Znowu okrągłe i rumiane jego policzki w ogniu stanęły. Odwrócił twarz, zawahał się, chrząknął i dokończył:

— Panienka i wiedzieć o tym nie może, że ja na panienkę czasem patrzę i różne myśli przychodzą mnie do głowy. Słonko małego ptaszka nie widzi, jednakowoż on śpiewać zaczyna, kiedy ono wzejdzie, i nikt jemu tego zabronić nie może, bo choć on w niskim krzaku mieszka, ale swoje śpiewanie i swoją wolność ma!

Znowu, pomimo woli może, podniósł głowę, oczy błysnęły mu dumą czy zapałem i u końca wyoranej bruzdy pług zatrzymując, raźnie zawołał:

— Co tam! Ja panience powiem, że nie trzeba nadmiar troskać się i smęcić. Są na świecie złe ludzie, są i dobre. Podczas smętno bywa, a podczas może być i wesoło. Najgorsza to jest rzecz, kiedy człowiek nic nie robi, a tylko o swoich biedach myśli!…

— To prawda — uśmiechnęła się Justyna — ale jeżeli kto na świecie nic do robienia nie ma?…

— To nie może być… — zaczął i nie mógł dokończyć, bo z niejaką trudnością zawracał pług, aby poprzeczną bruzdą odgraniczyć zaoraną rolę od kwitnącego grochu. Jakkolwiek utrzymywał, że wyoranie morga ziemi było dla niego tym samym prawie, co przechadzka, jednak, zatrzymując pług u początku drogi owies przerzynającej, ocierał sobie pot, który bujną rosą wystąpił mu na czoło.

Justyna pogładziła konopiastą, gęstą i wypieszczoną grzywę kasztanka.

— Ładne i zgrabne koniki — zauważyła.

— Silne i bardzo głaskliwe — widocznie pochwałą jej uradowany odpowiedział — głos mój znają, do ręki idą… Wszelakie zwierzę — dodał — ugłaskać można, byle jemu lubienie i dobre staranie okazać. Dla mnie zaś nic w gospodarstwie nie ma nad konie. Tak już widać przywodziłem się do ojca, bo nieboszczyk ociec za końmi aż przepadał…

Przewrócił pług w ten sposób, aby bokiem sunąć się mógł po ziemi, lejce zdjął z pleców i cmoknął na konie, które weszły na nieszeroką, trawą i dzikimi kwiatami porosłą drogę.

— Czy pan ojca swego pamięta? — zapytała Justyna.

— Dlaczego nie? Czasu śmierci jego siedem lat miałem i do nikogo, zdaje się, tak jak do niego, przywiązany nie byłem…

— A matka żyje?

— Żyje, chwała Bogu, ale ja z nią tak jak prawie nigdy nie byłem…

Mówił teraz żywo i prędko, coraz więcej pozbywając się nieśmiałości. Można by nawet myśleć, że zapytania Justyny sprawiały mu radość, jakąś głęboką radość, która wilgotną mgłą przyćmiła na chwilę roziskrzony blask jego oczu.

— Prawdę powiedziawszy — dodał — to stryj Anzelm był dla mnie i ojcem, i matką; ale kiedyściś zachorował i kilka lat nie tylko co, ale z łóżka podźwignąć się nie mógł. Wtenczas na mnie wszystko spadło: i gospodarstwu, i choremu stryju, i małej siestrze, i samemu sobie rady dawać musiałem, sam tak jak prawie dzieckiem jeszcze będąc. Najadłem się też w czasie niemało biedy, a w czasie i ludzie niemało mnie nakrzywdzili…

Machnął ręką i znowu brwi trochę zmarszczył, ale zaraz z powracającą wesołością dokończył:

— Teraz za to wszystko u nas odmieniło się na dobre, i tyle tylko mojej biedy, co jej we własnych żądaniach wynajdę.

— Jakież to żądania? — z żartobliwym uśmiechem zapytała Justyna.

On zmieszał się znowu, odwrócił twarz, chrząknął i po chwili dopiero odpowiedział:

— Różne u człowieka bywają żądania: podczas i takie, co nigdy spełnić się nie mogą. Już, zdaje się, i wygnasz je z serca, i zapomnisz, a smętek i tęsknota, wszystko jedno, po nich ostają…

Spojrzał w górę i zamyślił się, ale w tej chwili w owsie zaszumiało i o kilka kroków przed końmi ukazała się na wąskiej miedzy, dość szczególnie wyglądająca kobieta. Była to dziewczyna dwudziestoletnia, wysoka, z potężnymi rozmiarami ciała i twarzą tryskającą świeżością i zdrowiem. Kasztanowate włosy, słońcem przeniknięte, jeżyły się dokoła jej głowy jak złota gęstwina; gruby, plątany warkocz opadał na szerokie plecy, okryte jaskraworóżowym kaftanem. W dużej płachcie, przymocowanej do pasa, niosła mnóstwo polnego ziela, szła wyprostowana, szerokim i silnym krokiem, a spod kraciastej samodziałowej spódnicy wyżej niż do kostek ukazywały się jej duże, bose nogi. Z dala już widać było bławatkowy szafir jej oczu, które pod brwiami kasztanowatymi zaświeciły, rozbłysły i w twarzy Jana jak w tęczy utkwiły. Kiwnęła ku niemu głową i obojętnym spojrzeniem powiódłszy po Justynie, z szerokim uśmiechem pąsowych warg zawołała:

— Pan Jan widać czasu ma dużo, kiedy sobie tak pomału idzie!

Uchylił trochę czapki.

— A panna Jadwiga co takiego w fartuszku niesie?

— Ziele dla krów! Czy to pan Jan nie poznał? Widać, że na słońce spojrzał, to w oczach pociemniało!

— Może panna Jadwiga i zgadła! — z cichym śmiechem odpowiedział.

Teraz ogromna dziewczyna z szafirowymi oczami i szeroko śmiejącymi się usty drogę mu zajść musiała i przechodząc raz jeszcze z bliska spojrzała na niego. Uśmiech jej zmącił się i zniknął, głowę trochę pochyliła i wymówiła prędko:

— Dlaczego to pan Jan niełaskaw nigdy nas nawiedzieć? Zdaje się, że nie na końcu świata żyjem. Już i dziadunio o panu wspominał…

Nie zatrzymując się ani na sekundę, pług i konie wyminęła i przodem poszła, a gdy z wielkim swym fartuchem, pełnym zieleni, z bogato rozwiniętymi kształtami ciała i jeżącą się nad głową złotą gęstwiną włosów szła prosto i prędko, można by ją było porównać do ogromnej, silnej i w sile swojej ponętnej Cerery[77].

— Kto to? — zapytała Justyna.

— To jest panna Domuntówna, najbogatsza w okolicy aktorka…

Justyna szeroko oczy ze zdumienia otworzyła. Jan uśmiechnął się.

— Państwo nie rozumieją naszych nazwań — objaśnił. — Aktorka, czyli sukcesorka… to jest… dziedziczka… Dziadunio panny Domuntówny, Jakub Bohatyrowicz, miał tylko jedną córkę, którą wydał za Domunta. Córka i zięć prędko pomarli i tę jedną wnuczkę jemu zostawili. Całe tedy gospodarstwo, wcale piękne, na nią spadnie, a o starym gadają, że i pieniądze jeszcze ma…

Justyna uśmiechnęła się. Spostrzegła była rozkochane spojrzenie, jakie Domuntówna przez mgnienie oka zatopiła w twarzy Jana.

— Piękna panna! — ścigając wzrokiem oddalającą się, zauważyła.

— Co do piękności, to bynajmniej! — z widocznym niezadowoleniem odpowiedział — owszem, zdaje się, że nadmiar wielka i gruba! Ale — poprawił się spiesznie — pracowita i z dobrym sercem, to prawda! Czy panienka uwierzy, że gospodarstwo u niej idzie nie gorzej jak u jakiego mężczyzny?… I wszystko ona robić zdoła, taka silna… Przeszłego lata o najemników trudno było, to, aż śmiech powiedzieć, sama z parobkiem kosiła i orała… Wtedy mnie stryj powiedział, żebym jej pomagał, bo starego Jakuba bardzo szanuje i do tego głowę sobie nabił…

Zamilkł, widocznie czegoś nie dopowiadając; zmieszał się znowu, chrząknął i prędko zagadał:

— Ten Jakub to może już prawie dziewięćdziesiąt lat ma… Francuzów pamięta[78], a więcej jak pięćdziesiąt lat temu z dziadem pana Benedykta Korczyńskiego na wojnę chodził. Po wojnie ożenił się, już w późnym wieku, i doświadczył wielkiego nieszczęścia. Żonka go porzuciła, a on to sobie tak wziął do serca, że od tego czasu troszkę zwariował. Nie to, żeby całkowicie wariatem był, ale troszkę… Jadwiśka pięknie staruszka dopatruje, lubi jego i pieści jak małe dziecko…

Czuć było, że zbliżali się do wsi dużej i ludnej. Głosy ludzi i zwierząt coraz wyraźniej dawały się słyszeć. U brzegu kończącego się owsa trzej chłopcy, bosi i w białych z grubego płótna ubraniach, z niewielkiej przestrzeni pola zbierali koniczynę. Jeden, barczysty, tęgi i rudowłosy,

kosił, a dwaj, młodzi, niedorośli, grabili i zgarniali ściętą trawę w małe kopice. Jan uśmiechnął się, otworzył usta dla powiedzenia czegoś i powściągnął się, na koniec, nie mogąc znać powstrzymać się zupełnie, do kosarza, którego kosa pobrzękiwała i na słońcu pobłyskiwała, zawołał:

— Adaś! A spóźniliście się z koniczyną, aż wstyd patrzeć! Będzie wam za to od ojca!…

Zaczepiony, nie odwracając się, z gniewem odkrzyknął:

— Ciągnij się za swój nos, a o cudzy nie dbaj!

Jeden z młodszych chłopców grabiami rześko ziemię drapiąc, cienkim głosem zawołał:

— E! Ociec dziś na nas i nie patrzy! Z miasta tylko co powrócił i o procesie gada!

— Ja po swojej koniczynie już dziś i zaorałem! — filuternie sprzeciwił się jeszcze Jan.

— Wiadomo! Żebyś ty czego lepiej nie zrobił! Znać dudka z czubka! — sarknął znowu kosarz.

— W ojca wrodził się — zauważył Jan do Justyny — taki gniewliwy jak i ociec. Oni mnie streczno-streczni przychodzą, Fabiana Bohatyrowicza synowie… i pomiędzy nami kłótni żadnej nie ma. Tylko tego Adasia najwięcej teraz to gryzie, że mu w jesieni do wojska trzeba iść… Jak sobie na to wspomni, gadziną staje… Jeszcze i czwarty brat u nich jest, Julek, ale taki zawzięty rybak, że go z Niemna ani ściągnąć… Za Niemnem i za swoim psem, Sargasem, świata nie widzi, a do tego troszkę głupi. A siostrę ich, Elżunię, panienka widziała…

Wtem stanął, zatrzymał konie i smutnie wymówił:

— Ot już i okolica, i droga do dworu…

Zdjął czapkę i w wahającej się postawie na Justynę patrzał.

— Może bym ja — zaczął nieśmiało — panienkę do domu odprowadził, żeby podczas jaki zły pies albo bydlę nie nastraszyło!…

Może jedno z tych nie spełnionych żądań, o których przed chwilą mówił, smutkiem napełniło mu oczy. Może żałował ubiegłej godziny czasu, przedłużyć ją pragnąc Z niepokojem patrzał na tę, tak mu z pozoru obcą kobietę, która w tej chwili wcale go nie słuchając, głowę podała naprzód, ciekawe i zachwycone oczy wlepiając w obraz tylko co ujrzany. Był to raczej mały i skromny obrazek wiejskiej zagrody, ale który dziś i z bliska widziany, powiał na nią czarem ciszy i świeżości.

— Śliczna zagroda! — zawołała — kto tu mieszka?

— Stryj Anzelm, czyli my wszyscy troje, bo pomiędzy nami we wszystkim jest wspólność.

Mówiąc to, dwoma skokami przebył białą drogę wieś z polem rozdzielającą, jednym ruchem ręki otworzył na oścież zamykającą ogrodzenie, przezroczystą i niewysoką bramę. Przez bramę tę właśnie Justyna ujrzała część zagrody; teraz, gdy wnętrze jej szerzej odsłoniło się przed nią, szybko postąpiła naprzód.

Jan Bohatyrowicz z czapką w ręku i schyloną w ukłonie głową stał u bramy, wyciągniętym ramieniem wnętrze zagrody ukazując…

— Proszę wejść, bardzo proszę wejść i spocząć. Stryj będzie bardzo kontenty i siestry zaraz zawołam… proszę, bardzo proszę…

Nieśmiałość jego zniknęła bez śladu. Na swoich śmieciach puszył się trochę i dumniał, grzeczną przy tym gościnność okazać pragnąc.

Zagroda była dość obszerna. Płot, z niewysokich i gładko ociosanych desek zrobiony, obejmował dobry mórg ziemi, na której z zielonej jak szmaragd łąki wyrastała setka młodych, przed kilku laty zaledwie zasadzonych grusz, śliw i jabłoni. Gdzieniegdzie te wysmukłe i z widoczną starannością piastowane płonki osypane już były zawiązkami owoców, a tu i ówdzie pomiędzy nimi stare wiśnie stały, całe w potopie czerwonych jagód. Środkiem ogrodu koła wyżłobiły na trawie dość szeroką drogę i gęsto zasiała się na niej biała dzięcielina. Za owocowymi drzewami ze dwadzieścia ulów, na błękitno pomalowanych, do połowy kryło się w łanie biało i różowo kwitnącego maku, zza którego wystrzeliwały malwy obrosłe płaskim i różnobarwnym kwiatem i ukazywała się gęstwina melisy, bladej na tle ciemnozielonych wysokich i rozczochranych konopi. Dalej nisko na zagonach rosły lub wiły się warzywa, żółte słoneczniki wzbijały się nad delikatnym lasem białego kminku; tu i ówdzie pod grzędami wyrastały czerwone gaszty i rozpierały się rozłożyste krzaki wieczorników. Stuletnia może sapieżanka[79] gałęzie swe już bezpłodne, ale nieprzeniknioną gęszczą[80] listowia okryte kładła na oknach i ścianie domu, którego okiennice i narożniki, na biało pomalowane, wesoło zza niej wyglądały. Dom, w samej głębi tej sporej przestrzeni stojący, niski był, szary, słomą pokryty, z jednym kominem i słomianą strzechą. Do ogrodu stał boczną ścianą, w której świeciły dwa spore okna, a mały ganek z zębiasto wyrzeźbionym okapem i niskie drzwi do wyjścia miał od dziedzińca, na którym zza niziutkiego opłotku widać było świron[81] z wystającym i na kilku słupkach opartym dachem i stajnię, przed którą leżała brona, stały kozły do piłowania drzewa i żółciało trochę rozsypanej słomy. Stodoła wyglądała zza domu i kilku tuż przy sobie rosnących lip, a jeszcze dalej, za dziedzińcem i lipami, ledwie widzialny z wysokiej góry, migotał wąski pas Niemna z żółtą za nim ścianą i u samego skłonu nieba ciemną wstęgą boru. Promienie słońca, które pochylało się już do zachodu, igrały po trawie i w gałęziach rozżarzały barwy kwiatów, a wiśnie w wielkie rubiny zmieniały. Nad tym wszystkim w głębokiej ciszy dzwonił w drzewach świergot wróbli, brzmiało monotonne, basowe brzęczenie pszczół i wzbijało się morze woni z przemagającym wszystkie inne zapachem świeżo skoszonej trawy.

Świeżo skoszoną trawę grabiami zgarniał i w małą kopicę na dziedzińcu składał człowiek dość wysoki, bosy, w ciemnej, do kolan sięgającej kapocie i wielkiej, baraniej czapce. Ta czapka tworzyła mu jakby drugą głowę i uderzający stanowiła kontrast z resztą ubrania. Stary być musiał czy osłabiony, bo ruchy miał powolne i przygarbione plecy. Grabie jego

nieustannie, ale powoli posuwały się po ziemi, a od połowy ogrodu słyszeć już można było rozmowę, którą prowadził z kimś niewidzialnym, za domem znać i płotem dziedzińca stojącym.

— Apelacja już, chwalić Boga, podana i mucha poniesie to, co pan Korczyński w wyższej instancji wygra! — prędko i zapalczywie mówił głos niewidzialnego człowieka.

— A ja sto razy Fabianu mówiłem i sto pierwszy powtórzę, że mucha naje się tym, co my od pana Korczyńskiego wygramy — powoli i monotonnym głosem odpowiedział człowiek grabiący skoszoną trawę.

— Czemuż to tak? — wybuchnęło zza płotu popędliwe zapytanie. — Czy to Anzelm dla naszej powszechności dobra nie życzy?

— Życzę — brzmiała odpowiedź — ale powiadam: po cudze nie sięgaj!

— A jak pokaże się, że wygon nie cudzy, tylko nasz? A Bóg mnie ubij na duszy i ciele, że pokaże się tak, a nie inaczej…

— Fabiana adwokat zbałamucił i Fabian wierzy…

— Jeszcze ten nie urodził się, kto by potrafił mnie zbałamucić! Do sąsiada po rozum nie pójdę i nawet u Anzelma jego nie poproszę, choć Anzelmowi jeszcze ta mądrość z głowy nie wywietrzała, co jej kiedyś od wielkich panów nabrał…

Głos niewidzialnego człowieka przybierał wciąż popędliwości, aż przy ostatnich słowach stał się rozgniewany i zgryźliwy. Grabiący trawę z jednostajną wciąż powolnością zaczął:

— Niechaj mnie Fabian wielkimi panami oczu nie wypieka… ja ich dwadzieścia lat nie widziałem i do śmierci już pewno nie obaczę…

— Wszystko równo. Czego się człowiek za młodu nauczy, to i na starość mruczy — dojadał głos zza płota.

Wtem niewielki, kudłaty pies z żółtą sierścią i wydłużonym tak jak u lisa pyskiem, który dotąd spokojnie leżał na rozrzuconej przed stajnią słomie, zerwał się i z głośnym szczekaniem ku ogrodowi poskoczył. Z ogrodu na dziedziniec wbiegła para koni, ciągnąc za sobą pług w ten sposób, że łatwo mógł zaczepić o płot albo świron i zepsuciu ulec. Człowiek w baraniej czapce głowę podniósł.

— A toż co? A gdzież Janek? — na widok samopas pędzących koni żywiej przemówił.

Ale w tejże chwili za czepiającym się już płotu pługiem przyskoczył Jan, bez czapki, która w ogrodzie na trawie leżała, zaczerwieniony i zdyszany. Jednym zamachem rąk pługowi nadał właściwy kierunek, lejce podjął i konie, które głosowi jego posłuszne były jak dzieci, przed stajnią zatrzymał. W mgnieniu oka przy stryju znalazł się i za ramię go pochwycił.

— Stryjaszku! Żeby stryjaszek wiedział, jakie mnie dziś szczęście spotkało…

Ręce jego drżały, głos dygotał — w palcach ściskał kapotę starego, który z rąk grabie wypuścił.

— A toż co? Kto tam w sadzie?

Żółty pies, minąwszy pług i konie, ze szczekaniem wpadł do ogrodu.

— Mucyk! — rzucając stryja wołał za nim Janek — pójdź tu, Mucyk!…

— Daj pokój Mucyku! Kto to taki? Pani jakaś? Czego ona…

Z dłoni sobie daszek nad oczami robił i w głąb ogrodu patrząc, usiłował rozpoznać rysy kobiety, dokoła której zwijał się poszczekując uspokojony już Mucyk.

Jan stryja za rękę chwycił.

— Z Korczyna… panna Justyna. Stryj wie… ta, co to ja stryju zawsze opowiadałem… Niech stryj idzie i przywita się…

Ze zdziwieniem i prawie przerażeniem przygarbiony człowiek cofnął się ku domowi.

— A toż co? — zawołał — z Korczyna… na co? Po co? Dla jakiej przyczyny?…

— Bardzo jej upodobało się u nas, przyszła spocząć… niechże stryj idzie…

Ale stary plecami przyparł się do ściany domu.

— Na co mnie? Nie pójdę… kiedy ją przywiodłeś, to idźże do niej sam…

— Kiedy mnie konie odprząc i nakarmić trzeba! — gwałtownie szeptał Jan i za obie już ręce opierającego się pociągał. — Stryjku, stryjaszku, mój mileńki! Mój rodzony! Proszęż iść… prędko… ona w gościnę do nas przyszła… proszę iść…

— Wariat ty, Janek, czy co? Ze wszystkim jak u wariata oczy błyszczą… czego ty mnie tam ciągniesz?… sam idź!

— A konie! I czy to pięknie, żeby stryj sam gościa w swojej chacie nie przywitał?… Proszęż już iść… prędzej… mój rodzony!…

Bosy i przygarbiony człowiek otulał się swą kapotą, głową w wielkiej baraniej czapce trząsł przecząco, do ściany wciąż się przypierał, ale przemoc, którą ten oszalały w tej chwili chłopak na nim wywierał, była widoczna. Wyrywając ręce swoje z jego dłoni, wpół z gniewem, wpół ze zgryzotą zawołał:

— A puśćże już! Niechajże choć buty wdzieję! Ze wszystkim wariat!

— Pójdzie stryj?

— A już pójdę… ale niech buty wdzieję…

Zniknął w głębi domu: Jan wpadł jeszcze od ogrodu.

— Niech panienka będzie łaskawa, siędzie, zaraz stryj przyjdzie… ja konie odprzęgę…

I rzucił się ku stajni, do koni.

W dużym tym ogrodzie, który był zarazem owocowy, warzywny i kwiatowy, a także łąką i pasieką, znajdowała się jedna tylko ławka, przy ścianie domu pod dwoma oknami stojąca, z wąskiej, na dwu słupkach opartej deski złożona i tak długa, że dziesięć osób rzędem na niej usiąść by mogło. Tuż przed nią wyrastał z trawy szereg sztywnych malw, a nieco na prawo pszczoły nad błękitnymi ulami i różowymi makami brzęczały. Z tej ławki podniosła się wysoka i kształtna kobieta, z głową czarnymi

warkoczami owiniętą i śniadą twarzą, o rysach wydatnych, którą rzeźwiące powietrze pola oblało teraz świeżym rumieńcem. Pomiędzy malwami, sama do pysznie rozwiniętego kwiatu podobna, stała w nieśmiałej trochę postawie, a szare jej oczy z dala już wpatrywały się w zbliżającego się ku niej człowieka. Nie był on dla niej całkiem nieznany. Zasłyszała coś była o przeszłości jego, wspólnej z przeszłością Korczyńskich, z tą przeszłością, o której teraz prawie nigdy nie wspominano w Korczynie, lecz której niestarte pamiątki tkwiły w sieroctwie Zygmunta, w wiecznej żałobie jego matki, w położeniu, sposobie życia i posępności oczu Benedykta. Domyślała się także czegoś, czegoś więcej nad przelotną znajomość, co niegdyś zachodzić musiało pomiędzy człowiekiem tym i Martą. Z bliska, pomimo ruchów ociężałych i przygarbionych pleców, mniej staro wyglądał on niż z daleka. Z twarzy jego o rysach ściągłych i regularnym profilu poznać można było, że nie miał więcej jak lat pięćdziesiąt, ale była to twarz cierpiąca i zamyślona, z cerą od słońca trochę zaróżowioną, z zapadłymi policzkami i spłowiałym błękitem oczu. Ze sposobu, w jaki zbliżył się do nieznanej sobie kobiety, z ukłonu, jaki jej oddał, znać było, że dworne obyczaje nie były mu całkiem obce. Uchylił nieco baraniej czapki, lecz wnet ją znowu włożył na głowę.

— Jestem Anzelm Bohatyrowicz — powolnym swym i monotonnym głosem wymówił — przepraszam, że w czapce ostanę, ale taką mam głowę, która lęka się przeziębienia…

Było w nim coś obojętnego i przymuszonego, kiedy dłonią swą dotknął ręki, którą śpiesznie podała mu Justyna. Wzrokiem twarz jej omijał, a pod krótkim, siwiejącym wąsem bladawe jego usta zarysowywały linię surową. Jednak dwornym znowu gestem wskazał ławkę mówiąc:

— Proszę, bardzo proszę sieść i odpocząć…

Sam w stojącej postawie pozostał i daleko kędyś patrząc milczał. Pomimo usiłowań, które czynił, aby okazać się grzecznym i gościnnym, czuć w nim było dzikie boczenie się od ludzi i ukrywane, lecz niepozbyte uczucie niechęci. Spostrzegła to Justyna i ze zmieszaniem zaczęła:

— Przepraszam, że weszłam, ale ogród ten wydał mi się tak świeży i pociągający, a pan Jan tak mnie uprzejmie zapraszał…

Trudno byłoby zgadnąć, czy pochwała jego zagrody albo też poufałe nazwanie po imieniu synowca nieco go rozpogodziły.

— Owszem — rzekł — bardzo dziękuję… Już i nie spodziewałem się takiej promocji[82], ażeby kto z Korczyna moją ubogą chatę nawiedził…

Znowu uchylił czapki.

— A jakże miewa się panna Marta Korczyńska? — zapytał.

— Często i przyjaźnie o panu wspomina — żywo odpowiedziała Justyna.

— Być nie może — zaprzeczył — pani tak tylko, z łaski swojej… Tyle lat… Widziałem ja ją… będzie temu lat trzy, w kościele… u! zmieniła się, postarzała… ze wszystkim już insza, jak była.

— Od wielu lat wujowi memu pomaga i ciężko pracuje — wtrąciła

Justyna.

Trochę urągliwy uśmiech po ustach mu przemknął i ciszej rzekł:

— A lękała się pracy! Ot, wszystko jedno, pracować wypadło…

Zamyślił się, długą, bladą ręką poprawił nad czołem czapkę i daleko kędyś bladymi oczami patrząc, monotonnym swym głosem wymówił:

— Poranek widział kwitnącą, rumianą, a wieczór babą obaczył…

Czy ta krótka rozmowa zajęła go i ożywiła lub też sposób wyrażenia się Justyny przypomnieniem czegoś dawno minionego pociągał go ku niej — postąpił krok naprzód i na ławce, dość jednak daleko od niej, usiadł.

Wtem zza węgła domu ukazał się Jan, na rozmawiających spojrzał i nie zbliżając się przemówił:

— Stryju, panience sad nasz bardzo się upodobał!

— Chodźże tu! — zawołał Anzelm.

Chłopak widocznie walczył z sobą.

— Kiedyż jeszcze koniom nie wszystek owies zasypałem…

— To idź i zasypuj!

A zwracając się do Justyny, znowu trochę czapki uchylił:

— Bardzo kontenty jestem, że się pani mój sadek upodobał. Wszystko to pochodzi z mego własnego sadzenia i starania. Gdyby pani dziesięć lat temu tu przyszła, obaczyłaby same rudery, badyle, śmiecie i paskudztwo…

Justyna powiedziała mu, że słyszała o jego długiej i ciężkiej chorobie.

— A… a… a… od ko… kogo?

Zdziwił się tak, że aż jąkać się zaczął. Blade oczy jego z wytężeniem w twarzy jej utkwiły.

— Czyżby w Korczynie kto jeszcze o mnie wspo…wspo… mi…

Machnął ręką i prędko dodał:

— A to pewno Janek pani o tym mówił… Żeby nie! Dobrze jemu zapamiętało się to niedołęstwo moje, bo wiele on podtenczas biedy przecierpiał, tego i opowiedzieć trudno… A co to był za defekt, o tym jeden Pan Bóg wiedzieć może, dość, że zwalił mnie z nóg jak kłodę i dziewięć lat bezwładnym i w bólach trzymał… U doktorów radziłem się ze trzy razy, ale nie pomogli i nawet nic zepsutego w ciele moim nie wynaleźli… Mówili, że hipokondrię[83] mam… hipokondrykiem mnie nazywali… Duszna to podobno była choroba więcej niżeli cielesna…

Rozgadał się i powolnym, monotonnym swym głosem opowiadać zaczął minione swe cierpienia. Z tego, co opowiadał, i nawet z wielu trwających jeszcze cech jego powierzchowności łatwo można było odgadnąć jedną z tych strasznych chorób nerwowych, które dla samej nauki do określenia i zwyciężenia wielce trudne bywają. Jakim sposobem pochwyciła ona tego człowieka prostego i tak ściśle z życiem natury spojonego, o którym Marta mawiała Justynie, że miał kiedyś postawę dębu i twarz do kwitnącego maku podobną? Widać, że on sam nieraz zapytywał siebie o to, bo w zwykły sobie sposób zamyślając się i kędyś daleko patrząc dokończył:

— Różne na świecie bywają zdarzenia… Bywa to, że człowieka przez

pole idącego szkodliwy wiatr obejmie i reumatyzmu albo innej choroby go nabawi. A bywają i insze wiatry, nie te, co w polu świszczą, ale te, co przez drogę życia człowieka przelatują…

Potrząsł głową i kędyś daleko patrzał.

Powolnym ruchem podniósł się z ławki i znowu czapki nieco uchylił.

— To może pani będzie łaskawa sadek mój obejrzeć, kiedy się tak upodobał…

Po niedawno skoszonej i gładkiej jak kobierzec trawie od drzewka do drzewka przechodząc, opowiadał jej wiek i pochodzenie każdego z nich, tłumaczył sposoby hodowania i gatunki.

— To jest bonkreta… a to panny jesienne… to francmadama…[84] tam trzy sapieżanki… tam jabłka oliwne, zimowe papierówki… kalwinki… sztetyny…[85] a tamten gaik cały śliwowy…

Wyprężenie jego rysów, mające w sobie coś obojętnego i razem bolesnego, miękło i znikało; w bladym błękicie źrenic pobłyskiwać zaczęły nikłe, lecz prawie wesołe iskry. Po Justynie znać też było, że w tej zagrodzie, napełnionej urodzajnością i ciszą, swobodniej i szerzej oddychała niż przed godziną w napełnionym gośćmi salonie.

Znajdowali się właśnie przy sporej grupie śliwowych drzewek i Anzelm opowiadał, w jaki sposób chroni renklody i mirabele przed zimowymi śniegami i mrozami, kiedy Jan wybiegł znowu z dziedzińca i o kilka kroków stanąwszy słuchał przez chwilę ich rozmowy.

— Czy panienka da wiary — zawołał — że stryj to wszystko własnymi rękami zasadził i teraz dopatruje?… Zdaje się taki słaby, a wielką ma siłę i wytrwałość…

Anzelm obejrzał się.

— Chodźże tu, Janek! — po raz drugi zawołał.

Ale chłopak wahał się znowu, to ku dziedzińcowi, to na Justynę patrząc. Widoczne było, że pragnął być tu i tam.

— A kiedyż jeszcze konie napoić trzeba…

— Pewno, że trzeba — odpowiedział Anzelm.

I zwracając się do Justyny, zwykłą sobie powolną i czasem przerywaną mową, ale coraz swobodniej opowiadać zaczął, jak w ciężkiej słabości leżąc, nieraz nawet na świętą Wolę Bożą szemrał za to, że go bezczynnym i niepożytecznym uczyniła; jak gryzł go i przestraszał los tego chłopca, sieroty po bracie, którego źli sąsiedzi krzywdzili i z własności obdzierali, z sieroctwa i dziecinnego jego wieku korzystając; jak na koniec, kiedy już dźwignął się z niemocy, ręce paliły się mu do roboty.

— Już to też dziesiąty rok, jak zmartwychpowstałem i chłopiec mój dorósł… Najpierw od sąsiadów wyprocesowaliśmy to, co nam odebrane było, potem zbudowaliśmy ten oto domek, a potem już wszystko poszło: i pasieka, i sadek. Janek nauczył się pszczelnictwa od jednego takiego człowieka, co sam na naukę do wielkiego miasta jeździł; ja znów od młodu przyuczony byłem do stolarstwa i jego przyuczyłem.

Szerokim gestem zatoczył dokoła:

— Wszystko to jest robota własnych rąk naszych: i ten płot z desek, i ten ganeczek, i ule. W potrzebie najemników do pomocy bierzem, ale sami my rolniki i sadowniki, i pasieczniki, i stolarze… W biednym stanie inaczej nie może być, kiedy człowiek żąda nie tylko nasycenia ciała, ale i tych różnych elegancji i przykrasek, co i niekoniecznie potrzebne, ale dla oczów miłe…

Śmiał się teraz cichym, piersiowym śmiechem, przygarbione plecy prostował; nikłe iskry zlały się mu w źrenicach w spokojny i ciepły promień. Jednak w głębi tego człowieka było coś, co falą smutku czy zniechęcenia rychło gasiło jego wesołość. Pochylił znowu głowę, przygarbił się i powoli dodał:

— Wszystko to jest doczesność i znikomość. Nie na takie roboty człowiek patrzył, a wniwecz poszły; nie takimi nadziejami karmił się, a najadł się trucizny… Każda rzecz na świecie jak woda przepływa, jak liść na drzewie żółknie i gnije…

Patrzył w ziemię, mówił to monotonnie i coraz ciszej; można byłoby myśleć, że słowa te były pacierzem, który odmawiał od lat wielu, po wiele razy co dzień i może co nocy. Powoli jednak podniósł twarz i daleko patrzeć zaczął.

— Ale nie każdy ma jednostajną łaskę u Boga i jeden więcej, drugi mniej szczęśliwości na tym świecie użyje. Może z tego wszystkiego Janek, dzieci jego i wnuki słodko i mile korzystać będą… Do tego — dodał — każdemu gniazdo swoje miłe, a osobliwie nam…

Tu wzrok jego przesunął się po twarzy Justyny.

— Panowie to co inszego — dokończył — do wielkich miast jeżdżą, za granicami przemieszkują, różne zabawy i rozkosze mają… A dla nas co? Dla nas ani Paryżów, ani honorów, ani pięknych muzyczek, ani wesołych asamblów[86] nie ma. Gniazdo nasze — wszystko nasze… i dla tej przyczyny trzymamy się jego zębami i pazurami.

Justyna spuściła oczy. Było w nim znowu coś niechętnego i trochę urągliwego, kiedy słowa te wymawiał, a przed jej wzrokiem, nie wiedzieć czemu, stanął w tej chwili młody człowiek w ubraniu żurnal mód przypominającym, z postawą z przyzwyczajenia jakby malowniczo ułożoną, z wyrazem wiecznego niezadowolenia w pięknych oczach, a na ustach ze wspomnieniami cudów cywilizacji, widzianych i słyszanych w dalekich krajach. Ona tego człowieka kiedyś bardzo kochała, ale wydało się jej w tej chwili, że było to bardzo, niezmiernie dawno. W tej chwili także uczuła, że pomiędzy nią, stojącą wśród tej zagrody, a nim, przesuwającym swą twarz bladą i niezadowoloną po korczyńskim salonie, leżała wielka przestrzeń. Uczuła się daleko, daleko od Korczyna — gdzieś na jakimś zupełnie innym świecie.

Kiedy podniosła oczy, u końca dziedzińca zobaczyła wybiegającego zza góry kasztanka, a tuż za nim jechał na gniadej Jan. Konie napojone i wykąpane w rzece, otrząsały z siebie gęste krople wody wesoło parskając.

Jan z gniadej zeskoczył, a w minutę potem z wnętrza stajni zawołał:

— Antolka! Antolka!

Wołał tak na młodziutką dziewczynkę, która w krótkiej spódnicy, w różowym kaftanie i bosa ukazała się zza góry, niosąc na ramieniu koromysło[87] z dwoma pełnymi wiadrami. Wysmukła i wątła, przechylała się trochę na bok pod tym ciężarem i jedno ramię dla utrzymania równowagi z dala od ciała trzymała.

— A co? — cienkim głosem odkrzyknęła.

— Weź kluczkę i wisien z drzewa nazdejmuj! Prędzej tylko!

— Na co?

— Dla gościa.

I ciszej dodał:

— W sad popatrzaj!

Dziewczynka spiesznie wiadra z wodą na ganku postawiła i koromysło z ramienia zdjęła, po czym na ogród spojrzawszy, ręką twarz zasłoniła i do domu wpadła. W minutę wybiegła znowu, ale już w trzewikach i z długą, u końca zakrzywioną tyczką w ręku. Jak sarna przez ogród ku największej wiśni biegła, zagony przeskakując, ze wstydliwie spuszczoną głową. Ciemny warkocz aż do pasa spadał po szczupłych i gładkich jej plecach, u końca czerwoną wstążeczką związany. U początku warkocza sterczał czerwony kwiat gasztu. Podskoczyła, kluczką gałąź przechyliła i prędko wiśnie rwać zaczęła.

— Przyrodnia jego siostra — z cicha rzekł Anzelm do Justyny — z jednej matki, nie z jednego ojca… Jaśmontówna… Jego matka, po bracie moim owdowiawszy, drugi raz za Jaśmonta poszła i o trzy mile stąd w Jaśmontowskiej okolicy żyła.

Siedzieli znowu na ławce, pod ścianą domu, ale dokoła nich mniej cicho i samotnie stawać się zaczynało, niż było wprzódy. W szczelinach płotu zaświecił jeszcze jeden jaskraworóżowy kaftanik, zupełnie taki sam, jak te, które miały na sobie Domuntówna i Jaśmontówna, a nad niewysokimi deskami ukazało się czoło kobiece; oczy pod czołem tym umieszczone, przez szczeliny zaglądać musiały do wnętrza zagrody Anzelma. Po chwili, dalej nieco, wysunęła się znad płotu cała głowa mężczyzny, z krótko ostrzyżonymi włosami, sterczącymi wąsami i okrągłą różową twarzą, w miejscu zaś, gdzie kończyło się ogrodzenie z desek, nad niskim płotkiem, od kilku minut już stała, nie postrzeżona dotąd przez nikogo, podstarzała kobieta, w ciemnym, krótkim ubraniu i w chustce na kształt czepka na głowie związanej. Ciekawa znać była także zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie sąsiada, jednak stała nieruchomo, w postawie zamyślonej, z podłużną i bladą twarzą na dłoni opartą. Anzelm na ciekawych sąsiadów nie zwracał żadnej uwagi i powoli, ale z zajęciem zapytywał Justynę o sposoby, w jakie zasadzają i pielęgnują owocowe drzewa we dworskim ogrodzie. Mało o tym wiedziała, gdyż ogrodem korczyńskim, z wyłącznością sobie właściwą, zajmowała się Marta.

Uśmiechnął się znowu i głową pokiwał.

— A lękała się pracy!... — z cicha powtórzył.

Jan wbiegł z dziedzińca, zupełnie już widać o wyprzężonych z pługa ulubieńców i współpracowników swych spokojny. Pobiegł do siostry i za ramię ją wziąwszy, do ławki pod domem stojącej prowadził. Z koszykiem pełnym wisien w ręku i z pochyloną ciągle głową przed Justyną stanęła. Widać było, że gdyby ją brat nieco powyżej ręki mocno nie trzymał, pierzchnęłaby wnet i schowała się gdziekolwiek. Ale wysmukła i cienka jej kibić była tak do młodej brzózki podobna, drobna schylona twarz miała tyle łagodnego wdzięku, a w oczach, które na chwilę oderwała od ziemi, błysnęła taka dziecinna ciekawość, z taką dziecinną bojaźliwością złączona, że Justyna ruchem zupełnie instynktownym za rękę ją pochwyciła, na ławie przy sobie posadziła i objąwszy, w białe, ciemnymi włosami zarzucone czoło pocałowała. Daleko ognistszy rumieniec niż ten, który oblał twarz jego siostry, wytrysnął na czoło i policzki Jana. Uszy jego nawet stanęły w ogniu! Stojąc pod sapieżanką, o pień jej plecami wsparty, spojrzał na niebo, na szczyty drzew, dokoła siebie i ręką przetarł czoło i oczy. Coś znać w tej chwili wezbrało w tej szerokiej i silnej piersi, a przed oczami iskry sypiącymi świat może zakręcił się wirem. Justyna, patrząc na wiotką i zaledwie dorosłą dziewczynkę, przypomniała sobie to koromysło i te dwa ciężkie wiadra z wodą, które przed chwilą na plecach jej widziała.

— Czy to nie ciężko wodę nosić... na tak wysoką górę? — z cicha zapytała.

— Żeby nie! — kręcąc w palcach brzeg fartucha odszepnęła Antolka.

— Krwawa u nas woda — wtrącił Anzelm — z góry po nią iść trzeba i nieść ją pod górę.

— Toteż, zimową porą osobliwie, częściej ja wody przyniosę niźli ona — jakby usprawiedliwiając się rzekł Jan.

— Częściej on przyniesie niżli ja — podnosząc głowę i na brata patrząc potwierdziła siostra. — Ale — dodała prędko i z wzrastającym zawstydzeniem — ja takoż mogę... czemu nie! Już ja w tym roku drugie lato żąć będę...

Justyna zamyśliła się — o czym? Może przed jej pamięcią stanęła kobieta wątła także i delikatna, którą dziś widziała wysuwającą i cofającą drobne nóżki z niewymowną trwogą uczuwaną przed zejściem z kilku wschodów.

— Żaden człowiek sił swoich nie zna, dopóki ich w potrzebie... — zaczął Anzelm, ale nie skończył, bo w tej chwili rozległ się u płota głuchy stuk, podobny do tego, jaki by sprawiła spadająca na ziemię ogromna kluska. Niewysoka i krępa dziewczyna w różowym kaftanie, podobna istotnie do pulchnej i zarumienionej kluski, przez płot przeskoczyła i szybko zbliżała się do rozmawiających. Z dala już wśród okrągłej i tłustej jej twarzy śmiały się do nich jej białe zęby, błyszczące oczy i zuchwale zadarty nosek. Z dala też na powitanie głową kiwała i wołała:

— Dobry wieczór! Wszystkim państwu dobry wieczór!

— Czego? — patrząc na nią zwięźle zapytał Anzelm.

Tuż przed nim stając, głośno zaszczebiotała:

— Przyszłam do Antolki wody pożyczyć…

— Czy w garść wody nabierzesz? — flegmatycznie zapytał gospodarz zagrody.

Dziewczyna spojrzała na czerwone ręce swe, które wzdłuż jej kraciastej spódnicy wisiały, i wybuchnęła śmiechem.

— Bardzo słusznie! — przestając śmiać się, ale wciąż białe zęby ukazując odpowiedziała. — Wody w garść nie nabiorę, nie po wodę też przyszłam, ale żeby panienkę z Korczyna zobaczyć… Panienka mnie zna!

— O! Już zna! Raz ciebie na wozie jadącą widziała i już zna! — zapominając o bojaźliwości swej oburzyła się Antolka.

— Bardzo słusznie! Bo kto na kogo kwiatami rzuca, ten tego nie tylko zna, ale pewno i lubi!

— To jest prawda, że panienki bukiet wtedy wprost na nią upadł! — potwierdził Jan.

— Takie już moje szczęście! Bardzo słusznie! — na całe gardło zaśmiała się znowu dziewczyna.

I wszyscy śmiać się zaczęli, nawet Anzelm ze słabym uśmiechem zwrócił się do Justyny:

— Elżunia Bohatyrowiczówna, Fabiana córka… najpuściejsza dziewczyna z całej okolicy…

— Bardzo słusznie! I pan Anzelm nie był pewno taki smętny, kiedy był młody — odcięła się Elżunia.

— A warto by było rozumu troszkę nabrać, kiedy już tak jak prawie zaręczona — zażartował Jan.

— Nieprawda, jeszcze nie zaręczona, jeszcze ociec na oględziny pojedzie…

— Tak jak prawie zaręczona! Tak jak prawie zaręczona! — rozszczebiotała się nagle Antolka. — Jaśmont ze swatem przyjeżdżał… nasza mama tobie go wyswatała… Może nie mówiłaś, że ładny?

I koszyk z wiśniami pod samą prawie twarz przyjaciółki podsunęła.

— Na, jedz wiśnie!

Elżunia pełną garścią zaczerpnęła z koszyka czerwonych jagód i wnet je do ust poniosła, ale od płotu zabrzmiał męski głos, z gniewnym i groźnym akcentem wołający:

— Alżunia! A ty tu czego? Czy to tobie w chacie roboty nie stało?… Alżunia!

Człowiek, który przed chwilą głowę znad ogrodzenia ukazywał, przestąpił niski płotek w tym miejscu, gdzie stała podstarzała, mizerna kobieta, i poważnymi, ale szerokimi kroki dążył ku domowi Anzelma, ustawicznie dziewczynę przywołując. Córka tu przyszła niby po wodę, ojciec przychodził niby po córkę. Nie zlękła się ona bynajmniej, tylko

umilkła, może dlatego, że usta miała pełne wisien, i usunęła się trochę pomiędzy wysokie malwy. Żółty Mucyk z gwałtownym szczekaniem zabiegł drogę przybywającemu, ale on go końcem buta odtrącił i z fantazją w postawie wśród obecnych stanął. Średniego wzrostu był, krępy, w surducie z grubego sukna i wysokich butach, z twarzą bardzo podobną do takiego rydza, w którego by wprawiono zadarty nos, kępkę sterczących wąsów i małe, błyszczące oczy.

— Niechże i mnie będzie pozwolone przywitać Anzelmowego gościa — zaczął z niejaką nadętością w głosie i wymowie, a oczki jego drwiąco trochę świeciły. — Dawne to już czasy, kiedy przez nasze ubogie progi przestępowały takie znakomite nogi, a nie wiadomo, co by to pan Korczyński powiedział, gdyby wiedział, że siostrzenica jego znajduje się w Bohatyrowieckiej okolicy, tak jak prawie w samym gnieździe jego największych wrogów!...

Jan głowę w tył odrzucił i parę kroków naprzód postąpił.

— My nikomu wrogami nie jesteśmy... — żywo zawołał.

— Czy Fabianu język tak świerzbi, że przyszedł tu nie w czas o takich rzeczach gadać? — ze zwykłą sobie powolnością zapytał Anzelm, ale żywszym trochę ruchem czapkę poprawił.

— A niby to Anzelm żadnego żalu do pana Korczyńskiego w sercu swoim nie chowa i żadnej ubligi od niego nie otrzymał? — znacznie już popędliwiej rzucił przybyły i coraz prędzej, z coraz więcej błyszczącymi oczami ciągnął: — Czy to Anzelm już nie pamięta, jak pan Korczyński przed całym swoim dworem mnie i Anzelma złodziejami nazwał? Czy Anzelm nie pamięta, jak pan Korczyński na nas różne kondemnacje[88] u sądów wyjednywał? Czy Anzelm nie pamięta, jak pan Korczyński do góry nos podejmuje, kiedy koło okolicy przechodzi albo przejeżdża?

Ale Anzelm wyprostował się trochę, baranią czapkę bladą swą długą ręką na czole przesunął i przerwał:

— Co ja pamiętam o panu Korczyńskim wspominając, Fabian ze wszystkimi swymi synami na plecach by nie poniósł. Jednakowoż źle nie życzę nikomu i między niczyimi wrogami nie jestem... Niech pan Korczyński żyje i zdrów będzie długie lata... Ja jemu przekleństwa nie posyłałem i nigdy nie poszlę...

Spłowiałe jego oczy spojrzały kędyś daleko i plecy wnet przygarbiły się znowu. Fabian obie dłonie na kłębach oparł i zjadliwie wybuchnął:

— Anzelm zawsze taki, jakby wczorajszego dnia z Panem Bogiem gadał. Ale ja inszy: ja panu Korczyńskiemu do śmierci nie daruję i tego, że mnie złodziejem przezwał, i tych krwawych rublów, co ze mnie na różne sztrafy[89] wycisnął... Nie zlęknę się ja i przed siestrzenicą jego powiedzieć, że ten proces, który z Bohatyrowiczami ma, przeze mnie ma. Ja szlachtę do niego namówił, ja adwokata znalazł, ja staram się i zabiegam. Niech zna, że i biedna mucha odejmuje się, kiedy ją ubijają. Czy wygramy, czy przegramy, ale on tymczasem naje się kłopotów i koszta położy. Dobrze mnie i to.

Dobra kozie brzoza. On arystokrat i w złotnych pokojach mieszka, a ja ubogi szlachcic, z niskiej chaty, ale bywa, że mała mucha wielkiego konia do krwi ukąsi. Może ja w tym procesie darmo zdrowie położę i fortunkę swoją nadwerężę, może mnie głupie ludzie i kląć będą na wypadek przegrania. Ale mam nadzieję, że tak nie będzie, bo Bóg kotwica moja, a kogo on ma w swojej obronie, ten w złej nawie nie utonie…

Mówiąc to wszystko, brał się w boki, szeroko rozmachiwał rękami, głos coraz podnosił, cały wewnątrz kipiał, a na twarzy spotniał. Zdawać się mogło, że nigdy mówić nie przestanie: ale Jan, który niespokojne wejrzenia na Justynę rzucał, głową kręcił, usta przygryzał i widocznie powściągał się z trudnością, teraz na ramieniu rękę mu oparł.

— Niech pan Fabian upamięta się… — przez zaciśnięte zęby wymówił.

Stary obejrzał się i głowę podnieść musiał, aby w twarz wysokiemu chłopakowi spojrzeć.

— A co to? — krzyknął.

— Niech pan Fabian do upamiętania przyjdzie! — głośniej powtórzył Jan, a z oczów jego tryskały takie błyskawice gniewu i z całej siły tłumionej groźby, że stary zmieszał się i nagle ochłonął.

— A co ja takiego nagadałem? — ciszej zapytał.

— Głupstw, głupstw ociec nagadał! — krzyknęła wyskakując zza malw Elżusia i chwytając go za połę surduta, energicznie dodała: — Bardzo słusznie! Niech już sobie ociec stąd idzie, bo jak jeszcze troszkę tu postoi, znów pan Korczyński na język ojcu wlezie…

Córkę usunął i ze zmieszanym wzrokiem rzekł:

— Jeżeli co nie w czas naplotło mi się w gębie, to przepraszam… przepraszam… Język bez pamięci, sekretu nie strzyma… Przepraszam… dobranoc państwu!

Zdjął czapkę i miał odchodzić, ale zatrzymał się jeszcze, na Jana patrząc. W rozgniewanej i rozognionej przed chwilą jego twarzy wszystko teraz śmiać się zdawało: i czerwone policzki, i małe oczy, i zadarty nos, i ruszające się wąsy. Czapką ku Janowi machnął i zawołał:

— Kiedy Jezus przed Herodem do Egiptu ubieżał, to i mnie przed tobą ubieżać nie wstyd; ale to sobie pamiętaj, że jaja kur nie uczą. Pierwej doznaj, potem gań… Dobranoc!

Machnął czapką i ku płotowi poszedł. Elżunia biegła tuż za jego plecami, podskakując, przyśpiewując i pestki od wisien z ust wypluwając. Wtem nad ogrodzeniem przesunęła się w powietrzu błyszcząca kosa i rozległo się basowe, niegłośne nucenie:

A kto chce rozkoszy użyć,
Niech idzie do wojska służyć…

Czuć było, że ten, kto słowa te nucił, smutny był czy nadąsany.

Fabian przyśpieszył kroku i znowu najgroźniejszym swym głosem

zawołał:

— Adaś! A nie mogłeś to koniczyny skosić, kiedy ja w mieście byłem! Wszystkie zęby ci w gardło wepchnę, gamuło!

— Już skoszona i niech ociec na darmo swego gardła nie mocuje! — wcale nie przestraszonym głosem odpowiedział tęgi, rudawy, ale prosty i przystojny chłopak, który wraz ze swą kosą ukazał się za niskim płotkiem. Nieruchomo dotąd stojąca mizerna kobiecina odwróciła się ku szaremu domkowi, nie opodal od zagrody Anzelma, za płotem, drzewami i kawałkiem ogrodu ledwie widzialnemu.

— Alżusia! Po wodę zbiegaj! — piskliwie i bardzo przeciągle zawołała.

Z daleka już ozwał się rozkazujący głos Fabiana:

— Nie trzeba! Imość zawsze tylko byś się Alżusią posługiwała, a chłopcom wszystkie folgi robiła. Niech Adaś po wodę schodzi, a dziewczyna i bez tego wieczerzę gotować będzie!

— Adaś! Schodzisz? — zawołała, a raczej zaśpiewała znowu matka.

— Zaraz! — odkrzyknął niewidzialny już za drzewami chłopak i głośniej zanucił:

Tam on rozkoszy użyje,
Krwi jak wody się napije…

W ogrodzie Anzelma znowu zapanowała cisza. Jan nieśmiało zbliżył się do Justyny.

— Czy pani nie gniewa się za te… nieprzyjemności, które on mówił o panu Korczyńskim?

Słyszał, że stryj nazywał ją panią, i w ten sam sposób mówić do niej zaczął. Stryj lepiej od niego wiedział, jak mówić i z każdym obchodzić się trzeba, bo przez lat parę codziennie prawie bywał we dworze. Ale Anzelm niespokojny się stawał. Raz w raz poprawiał czapkę i na słońce mrużącymi się oczami spoglądał. Stało ono u skłonu nieba, w bliskiej już od ciemnego boru odległości; niewiele więcej nad godzinę do zachodu zostawało…

— Janek!

Spod baraniej czapki blade oczy z niepokojem wznosił ku twarzy synowca.

— Czy my już dziś nie pójdziem do Jana i Cecylii?

Jan zmieszał się także.

— Może nie pójdziem… co tam, że jeden dzień opuścim!…

Stary głowę pochylił.

— Źle! Źle będzie — szepnął — jeżeli do jesiennej pory krzyża nie skończym…

— Czy pani była w parowie Jana i Cecylii ? — zapytał Jan Justynę.

Przypominała sobie. Zdawało jej się, że coś o miejscu nazwę tę noszącym słyszała, ale nie była tam, nie, najpewniej nie była tam nigdy.

— A pewno, pewno… co państwa takie rzeczy obchodzić mogą! — rzekł

Anzelm.

Justyna wstała. Znać pierwszą jej myślą było pożegnać tych ludzi i odejść. Ale rysy jej wyprężyły się, zesztywniały i twarz przybrała w mgnieniu oka pozór daleko starszej, niż była istotnie. Tak z nią stawało się zawsze, gdy uczuwała silne dotknięcie jakiejś wielkiej nudy czy żałości. Łatwo można było odgadnąć, że pomimo zdrowia i siły, które z niej całej uderzały, należała do organizacji, które rychło głodnymi sercami swymi młodość swoją pożerają. Nie chciała stąd iść ani tam wracać. Co ona tam będzie robić? Znowu sztywnie siedzieć obok wystrojonej i szczebiocącej narzeczonej hrabiego, znowu patrzeć na poniewierkę siwych włosów ojca, znowu spotykać podejrzliwe spojrzenie pani Andrzejowej lub łzą oszklone oczy Klotyldy, znowu przy każdym zbliżeniu tego człowieka, którego kiedyś pragnęła jak szczęścia, drżeć przed nim, przed nimi, przed trucizną własnego wzruszenia! Po co tam ona? komu potrzebna? Kto jej powrotu tam pragnie? A jeśli pragnie ktokolwiek, o! po tysiąc razy bodajby to pragnienie we wstręt się zmieniło! A tu? cicho, bezpiecznie i tak świeżo, jakby dla niej, rodzącej się na nowo, rodził się jakiś świat nowy.

Wzrokiem przechodząc ze zmęczonej i cierpiącej twarzy Anzelma ku pochylonej w nagłym zamyśleniu głowie Jana, z prośbą wymówiła:

— Weźcie mnie z sobą!

Anzelm uważnie i ciekawie na nią popatrzył.

— A dla ja… jakiej przy… przyczyny? — zapytał jąkając się, jak zwykle bywało, gdy był zdziwiony albo wzruszony.

Zaraz jednak potwierdzająco głową skinął i czapkę prawie zupełnie nad głową podniósł.

— Owszem, owszem — uprzejmie zaprosił.

VI

Szlakiem wzdłuż ogrodu przez koła wyżłobionym i białą dzięcieliną usianym wyszli na nieszeroką drogę, która okolicę z polem rozdzielała. Długi dzień letni zbliżał się do swego końca, w cichej i świetnej glorii pogody. Na całej przestrzeni niebieskiego sklepienia ani jednej chmurki, ani nawet jednego obłoczka nie było. Szafirowe w środku, bladło ono u skłonów, na zachodzie świecąc ogromną tarczą słoneczną, samotnie ku ciemnemu borowi płynącą. Długo rozciągnięta i wraz z brzegiem rzeki w półkole nieco zginająca się okolica stała cała w złotawej mgle utworzonej z lekkiej kurzawy, na wskroś promieniami słońca przepojonej. Z dala można by mniemać, że był to tylko gęsty pas roślinności, ale co kilkanaście lub co kilkadziesiąt kroków ukazywały się wśród tej zielonej powodzi coraz inne ludzkie siedliska. Były to szare, niskie i słomą pokryte domy, w pobliżu domów stojące świrny z wystającymi i na kilku słupkach opartymi dachami, stodoły, stajnie, obory, podwórka i sady. Niewysokie albo i całkiem niskie płoty z desek, kołków lub wzdłuż umieszczanych żerdzi nierozwikłaną dla oka plątaniną rozdzielały pomiędzy sobą te zagrody, które nie stały w szeregu prosto wytkniętym, ale wypadkiem jakby rozsypane cofały się w głąb lub wysuwały naprzód, czasem znacznymi przestrzeniami osamotnione, a czasem jedne zza drugich do połowy zaledwie wysunięte i wzajem na siebie następować się zdające; czasem zepchnięte aż na skraj wysokiej, ku rzece staczającej się góry, czasem krańcami ogrodów i tyłami stodół dosięgające przypolnej drogi. O wielkiej dawności tych siedlisk opowiadała wielka starość otaczających je drzew. Jedne z domów tonęły prawie w rozłożystych i srebro przelewających topolach, zza innych ciemne lipy wznosiły wysoko poważne swe wierzchołki; tu płaczące brzozy kładły na ściany i okna swe wiotkie gałęzie, ówdzie popielate wierzby wykrzywiały we wsze strony mnóstwo swych węzłowatych i powyszczerbianych pni albo przysadzisto po ogrodach rozsadały się odwieczne grusze, albo najrzadsze i najwynioślejsze wyrastały na dziedzińcach słupiaste jawory. Niżej, młodsze od owych prastarych towarzyszy i stróży wsi, wiśniowe i śliwowe gaje nęciły wzrok głębokim cieniem swych bujnie rozrosłych wierzchołków i pozłacaną przez ruchome promienie słońca trawą swych podścielisk. Niżej jeszcze, tuż przy płotach albo pod ścianami świrnów i stodół, pełno było niskich leszczyn, zdziczałych malin i gęsto splątanych wiklin, wonnej piłowiei, krzaczastego żywokostu i brudnożółtych blekotów, zmieszanych ze śnieżnymi powojami lulku i kolczastymi kwiatami ostów. Tej dzikiej zarośli spod płotów i ścian wypleniać nikt tu znać nie miał czasu albo chęci, ale w zamian ogrody płynęły istotnym chaosem zmieszanych z sobą uprawnych roślin. Wszędzie tu nad zielenią niskich warzyw delikatnym lasem powiewały cienkie kminy i lebiody, maki różowo i biało kwitły, gęstą ścianą

stały wysokie konopie, na wysmukłe tyki fasola rzucała zielone girlandy. U końca ogrodów, tuż przy domach, na większych lub mniejszych grzędach mieniły się mnóstwem jaskrawych i łagodniejszych barw zmieszane, zwikłane, wzajem głuszące się i jedne nad drugimi bujające gaszty, wieczorniki, malwy, nagietki, żółte gwoździki, wysokie kiciaste rezedy, krzaczyste boże drzewka, pomarańczowe nasturcje, różowe grochy pachnące.

Wszystko to związane z sobą było podwójną siecią płotów i ścieżek. Te ostatnie w niezliczonych skrętach biegły od domu do domu, przerzynały ogrody, przeskakiwały płoty, prześlizgiwały się pod ścianami, urywały się, znikały i z gęstej zieleni wypływały znowu, przed myśl i wyobraźnię przywodząc jakieś tłumne, spójne, gromadne życie. Jak obrazek za obrazkiem, zagrody te ukazywały się jedna za drugą, z daleka i z bliska, samotne lub ściśle jedna ku drugiej przysunięte, podobne do siebie, a przecież rozmiarami swych domów, gatunkami drzew i przemagającymi barwami roślin ze sobą różne. Wspólne tło błękitu i zieleni, wśród którego rozsiane były, czyniło z nich jeden obraz rozległy i bijący w otaczające powietrze stugłośnym rozgwarem.

Justyna szeroko otwartymi oczami dokoła siebie patrzała. Znajdowała się teraz w samym niejako wnętrzu okolicy, spajającymi ją dróżkami i ścieżkami postępując. Kilkadziesiąt domów, które okrążała albo przez których dziedzińce i ogrody przechodziła, zamieszkiwało kilkaset istot ludzkich, które wszystkie u końca tego dnia pogody i pracy wysypywały się na zewnątrz. Mnóstwo kraciastych spódnic i kolorowych kaftanów kobiecych migotało wszędzie… Na dziedzińcach, wśród ogromnego gdakania kur, kobiety cienkimi głosami do nocnych siedlisk zwoływały domowe ptastwo. Inne siedziały na zagonach pieląc warzywo, inne jeszcze szły z wiadrami wody na ramionach albo w wielkich fartuchach niosły dzikie zielsko, albo przed domami myły domowe statki, albo po grzędach rwały do koszów liście sałaty, lebiody, buraków. Jednokonne i dwukonne pługi, na szeroko rozkraczonych włokach[90] położone, wracały z pola, a idący za nimi mężczyźni, starzy i młodzi, w kapotach i surdutach, w wysokich butach i bosi, w czapkach małych i zgrabnych albo wielkich i kosmatych, pokrzykiwali na konie, z daleka zamieniając się urywkami rozmów; z łąk albo od łanów pastewnych roślin powracający pobłyskiwali kosami albo wznosili w powietrze zębiaste profile grabi. We wnętrzu domów huczały obracane żarna i stukały krosna. Na każdej drodze, za każdym płotem ożywał się tętent koni, które chłopcy wyprowadzali na nocną paszę. Jedne z nich biegły luzem, na innych jechały bose niedorostki, w płóciennych ubraniach i z rozweselonymi twarzami pod zsuniętymi na tył głowy daszkami starych czapek. Na każdym dziedzińcu szczekał lub bawiąc się z dziećmi wesoło skomlił jakiś Mucyk, Żuczek, Sargas, Wilczek, których imiona, głośno przez dzieci wykrzykiwane, rozlegały się daleko. Pod gęstymi warzywami śmigały bure i czarne koty;

butne koguty z płotów i gałęzi rzucały światu przeciągłe dobranoc; stada kaczek powracających z rzeki wylatywały zza góry i z krzykiem padały na trawy. W wiśniowych gajach dziewczęta podskakiwały ku okrytym jagodami gałęziom, a w pobliżu tych miejsc cienistych niejeden pług zatrzymywał się na chwilę i niejedna koza z brzękiem wikłała się wśród gałęzi, gdy jej właściciel pochylał głowę — nie wiadomo, czy ku zerwanej wiśni, czy ku uchu dziewczyny rumieniącemu się pod wetkniętą we włosy nagietką. Czasem pod ścianą domu kilka podstarzałych kobiet siedziało na długiej ławie gwarząc spokojnie, z bezczynnie na kolana opuszczonymi rękami. Czasem na koniu, prowadzonym do kuźni, przesunęła się postać młodzieńcza, tak wysmukła i zgrabna, jakby przez natchnionego snycerza wykuta, z doskonale pięknymi liniami ogorzałego i przez słońce pozłoconego profilu. Czasem siwowłosy starzec powoli przeszedł pod szeregiem wysokich lip. Lecz w ogólności był to rój ludzki do roju pszczół podobny, ciężki i własnoręcznie pracujący, w grubej odzieży, z grubymi rękami, z ciemną ogorzałością na twarzach i z potem na czołach — nie ponury jednak, owszem, tu i ówdzie rzucający w powietrze wybuchy śmiechów kobiecych, młodzieńczych, dziecinnych. Pieśni zaczynane i przerywane pracą wzbijały się jedną lub kilku nutami i milknąc tu, odzywały się ówdzie, to bliżej, to dalej, to skoczne, to tęskne, aż pojedynczy męski głos jakiś przetrwał wszystkie inne i rozgłośnie na dziedzińce, ogrody i aż na pola rzucił strofę tej samej pieśni, którą niedawno wygwizdywał idący za pługiem Jan…

Przy drodze, przy drodze jawor rozkwitnąwszy,
Gdzie pojedziesz, mój Jasieńku, konia osiodławszy…

Może śpiewałby dalej, ale około najbliższego domu powstał krzyk zmieszany z lamentem i śmiechem. Na drodze ściśniętej pomiędzy płotami dwóch zagród ukazała się para ludzi, z których jeden był małym, przygarbionym starcem, w płóciennej, aż do stóp zapiętej kapocie, a drugą — wysoka, pleczysta dziewczyna w różowym kaftanie i z kasztanowatymi włosami. Śnieżnie biała kapota nie była bielsza od włosów staruszka, z rzadka rozsianych po żółtej jego czaszce, a twarz jego bezzębna, malutka od ściągających ją zmarszczek, okryta była w tej chwili wyrazem nieprzytomnego przerażenia, które objawiało się także w widocznym drżeniu rąk jego i całej szczupłej, zwiędłej postaci. Nie mógłby był pewnie ustać na plączących się i podrygujących nogach, gdyby go wielka i silna dziewczyna wpół nie obejmowała, twarz swą ku twarzy jego pochylając i czasem łagodnie, a czasem z wybuchającą energią przemawiając:

— Niech dziadunio uspokoi się! Niech dziadunio do chaty powraca! Pacenko nie przyjechał! Pacenki nigdzie nie ma. On już po babulkę nie przyjedzie! On już umarł i babulka umarła! Proszę nie dziwaczyć i do chaty wracać!

Ale stary prostował się z całej siły i na perswazje dziewczyny nie zważając, dygocącym głosem bełkotał i wykrzykiwał:

— Pójdę! Znajdę! Zabiję zwodnika! Babulki nie dam. Gdzie on jest? Chodźmy, Jadwiśku, szukać! Prędzej chodźmy!

Dziewczyna podtrzymując wciąż jego chwiejącą się postać powtarzała:

— Pacenki nie ma! Pacenko umarł i nigdy już nie przyjedzie! To tylko te złe chłopcy Ładysiowe dziadunia tak straszą.

Ale stary rwał się naprzód i swoje powtarzał, a coraz więcej trząsł się i zwiędłą ręką w powietrzu wygrażać zaczynał. Za nim dwaj chłopcy, bosi, gołogłowi, z minami wiejskich urwisów, wyskakiwali śmiejąc się głośno i powtarzając:

— Pacenko przyjechał! Pacenko przyjechał i dziadulkowi babulkę odbierze!

Dziewczyna głowę swą, zjeżoną gęstwiną kasztanowatych włosów, podniosła, a z szafirowych jej oczu na pełne i rozognione policzki ciekły łzy…

— Co ja pocznę! — lamentowała — straszą i straszą, a ten idzie i idzie… Znowu narazi się na klepkowanie ludzkie albo upadnie i stłucze się tak, jak wtedy…

Jan do Justyny szepnął:

— Stary zawsze tak wariuje, jak tylko kto mu powie, że Pacenko przyjechał… To ten Pacenko, co mu kiedyś żonkę zwiódł i w świat powiózł.

Ale Anzelm przyśpieszył kroku i przed starcem stanąwszy powolnym swym głosem zapytał:

— A gdzie to pan Jakub idzie?

Małe oczy starca spod czerwonych i nabrzmiałych powiek wzniosły się ku jego twarzy.

— A… a… a… zdaje się… pan Szymon?

— Ja, Szymon, ale gdzie to pan Jakub idzie?

— Szymon — objaśnił Jan Justynę — to był mój dziadunio, stryja i ojca ociec. Jakub żyjących ludzi nie rozpoznaje, tylko ich wszystkich za pomarłych ojców i dziadów przyjmuje… tak samo zupełnie, jak żeby śród nieboszczyków żył…

— Pacenko przyjechał! — prędko mrugając powiekami i głosem skarżącego się dziecka powtarzał starzec.

Anzelm wyprostował się i stanowczym głosem przemówił:

— Pacenko nie przyjechał i nigdy nie przyjedzie, bo już na tym świecie wcale go nie ma.

Bezbarwne i bezzębne usta starca otworzyły się szeroko, ale drżeć i naprzód wyrywać się przestał.

— Nie przyjechał? Pan Szymon mówi, że nie przyjechał!… To te chłopcy znów mnie zwiedli. Przybiegli i krzyczą: „Przyjechał!” Ale czy na pewno nie przyjechał?

— Nie przyjechał! — powtórzył Anzelm.

— Czy słowo uczciwości? — z niepokojem jeszcze pytał.

Anzelm z uroczystością w głosie odpowiedział:

— Słowo uczciwości!

Starzec uspokoił się zupełnie, dziewczyna wielką, czerwoną rękę do Anzelma wyciągnęła.

— Dziękuję — rzekła — bardzo dziękuję. On zawsze panu Anzelmu wierzy; kilku takich ludzi jest w okolicy, którym zawsze uwierzy... Dziaduniu — znowu nad starcem schylając się dodała — proszę do chaty wracać... Mleczko dziś na wieczerzę będzie i pierożki z wiśniami zrobię...

Chciała zawrócić go ku bramie zagrody, ale on uśmiechał się i z widoczną fantazją wyprostować się usiłował.

— A... a... pan Szymon gdzie idzie?

— Do Jana i Cecylii — odpowiedział zapytany.

Jakby nagle blask słoneczny oświecił wyłysiałe czoło i wygładził zmarszczki starca. Uśmiech jego stał się szeroki, błogi, oczy usiłowały spojrzeć w górę, wskazujący palec, cienki i żółty, wzniósł do wysokości swej głowy i drżącym trochę, ale podniesionym głosem mówić zaczął:

— Jan i Cecylia! Aha! Jan i Cecylia! Było to w starych czasach, w sto lat albo może jeszcze i mniej po tym, jak litewski naród przyjął chrześcijańską wiarę[91], kiedy w te strony przyszła para ludzi...

Mówiłby pewno dłużej, ale Jadwiga ręce wzdłuż spódnicy opuszczając, z szerokim uśmiechem przed Anzelmem dygnęła.

— Może panowie będą łaskawi, przy bliskości do chaty naszej zajść...

Szafirowe jej oczy parę razy z ukosa ku Janowi zerknęły.

— Subiekcji[92] czynić nie chcemy — odpowiedział Anzelm.

Ona dygnęła znowu.

— O subiekcję bynajmniej... proszę, bardzo proszę, dziadunio kontent[93] będzie...

Ale Anzelmowi pilno było do celu wycieczki. Z grzecznym ukłonem i czapkę wysoko nad głową podnosząc, odszedł. Jadwiga posmutniała, dziadka wpół objęła i ze schylonymi nad nim szerokimi plecami, ze spadającą na nie roztarganą kosą, wprowadziła go do zagrody, której dom, stary, ale z gankiem i czterema oknami, zaledwie był widzialnym zza gęstwiny srebrnych topoli.

Anzelm powolnym ruchem zwrócił się do Jana, który z kilku stolarskimi narzędziami w ręku z dala i biernie na tę scenę patrzał.

— Poszedłbyś i dopomógł Jadwiśce dziadunia uspokoić...

Chłopak wydął nieco usta, spojrzał na dach najbliższego budynku, chrząknął i odpowiedział:

— Już uspokojony!

W tej chwili bardzo blisko zagrody starego Jakuba i jego wnuczki na sporym podwórku rozpoczynała się gwarna rozprawa pomiędzy kilku ludźmi, którzy stali ściśnięci w ciasną gromadkę i spomiędzy których wybijał się donośnie zapalczywy głos Fabiana. Prędko znać przebiegł

okolicę i naprędce kilku sąsiadów pochwyciwszy, ze wspólnego procesu i tylko co odbytej podróży do miasta sprawę im zdawał. Słychać tam było wykrzyki jego:

— Bóg mnie ubij na duszy i ciele!

A drugi raz:

— Niech mnie mizerne ciało opuści, jeżeli mu nie pokażę, skąd kozy gonią!

Parę pługów i bron z niewyprzężonymi końmi stało u wrót podwórka. Właściciele ich słuchali wymownego sąsiada w zaciekawionych i niespokojnych postawach. Niektórzy odzywali się czasem z zapytaniem jakimś lub powątpiewaniem, ale jeden, wysoki i poważnie wyglądający w swej siwej, baraniej czapce, chudą twarz na dłoni opierał i spod czarnego wąsa ciągle, monotonnie, potwierdzająco powtarzał:

— A jakże! A pewno! Żeby nie! A ma się rozumieć!

Inny, bardzo znać ubogi, bosy i w siermiędze, z szerokim, pięknym czołem i bujną, płową czupryną, ale z chłopska zarywającą mową, co moment jękliwie wymawiał:

— Oj, biedne my, panoczku, biedne bez tego wygonu! Oj, *kab*[94] to prawda była, panoczku, że my jego wygramy!

Trzeci, młody i przystojny, ze starannie uczesaną bródką i zawadiacko zakręconymi wąsami, pokrzykiwał:

— I koniec, i kwita! Wygon powinien do powszechności naszej należeć i koniec, i kwita!

— Od Adama i Ewy do nas przynależał — wzbił się znowu nad wszystkie inne i popędliwie zagadał głos Fabiana.

Anzelm kroku przyśpieszał. Z ruchów jego widać było, że trwożnie boczył się od wszelkich gwarów i swarów. Na hałasującą gromadkę prawie lękliwe rzucał spojrzenia. Prędko przesunął się pod ścianą jakiegoś świrna.

— Wygon nie był nigdy nasz i święcie do pana Korczyńskiego przynależy — zaczął z cicha — ale oni na każdą garść ziemi aż mrą z chciwości…

Czapkę na czole przesunął, głową potrząsał.

— Chociaż względem niektórych — dodał — to powiedzieć można, że na ziemię przymierają dlatego właśnie, że jej tak jak prawie wcale nie mają… Między nami wszelako bywa: jednym gody, drugim głody…

Przechodzili teraz około malutkiej chatki, bez komina, bez ganku, bez płotu, z piędzią ogrodu, na którym rosło mizerne warzywo, i z jednym tylko ogromnym dębem, który litościwie jakby zarzucał na nią szerokolistne gałęzie. Zaduch, brud, nędza tchnęły z otwartej sionki, w której ciemnawym wnętrzu pokwikiwało prosię i blada kobieta siedząc na ziemi skrobała kartofle.

— To jest Ładysiowa, czyli Władysławowa chata, tego samego Ładysia, co tam stał z Fabianem i z chłopska mówił; z chłopką ożeniony, czworo dzieci ma i pewno nie więcej jak półtora morga gruntu. Wszelako — powtórzył — między nami bywa…

Istotnie, każdy mógł łatwo poznać, że rozmaicie pomiędzy nimi bywało. Takich chatek nędznych i nagich jak Ładysiowa znajdowało się niewiele, ale i pomiędzy zamożniejszymi znać było różnice dostatku i pomyślności. Znać było, że ziemia, ta jedyna podstawa, na której stały te zagrody, ulegała tu licznym i nierównym działom, że od dawna, może od wieków, pokolenia i rodziny kroiły pomiędzy sobą ten chleb dla nich święty i najdroższy: że w tę przepaść zieleni i kwiatów spływała obfita rosa nie tylko potu, ale i łez. Tylko drzewa odwieczne szerokimi swymi gałęźmi otulały zarówno dostatek i nędzę, a przyroda, miłosierna czy obojętna, zarzucała na wszystko welon rajskiej poezji.

Nagle Anzelm opuścił okolicę i z drogi, która w tym miejscu szybko w dół spadać zaczęła, skręcił w stronę, w której płynął niewidzialny stąd jeszcze Niemen. Było to tak, jakby z powierzchni ziemi oblanej światłem i ciepłem słonecznym weszli w ocieniony i chłodny korytarz. Roztworzył się przed nimi parów tak długi, że końca jego najbystrzejsze oko dosięgnąć nie mogło, a tak głęboki, że dwie jego ściany podnosiły się nad nim jak wysokie góry. Zrazu ściany te miały pozór nagich, piaszczystych skał, przez niewiadome siły przyrody pogiętych w niezliczone garby i jamy, śród których gdzieniegdzie wyrastał krzak jałowcu albo cienka sośninka pochylała się nad przepaścią. Powoli przecież żółte ich tło usiewać zaczynała roślinność coraz obfitsza, aż wybuchały one morzem zieloności wszelkich odcieni, usianej kwiatami wszelkich barw. Jak okiem sięgnąć, naprzód i ku górze, po stromych spadzistościach i łagodnych stokach rosły tam olszynowe i brzozowe gaje, jasne i przezroczyste nad nieprzeniknioną gęstwiną berberysów, ożyn[95], dzikich porzeczek, kwitnących głogów, wilczyn osypanych purpurowymi gronami jagód, kaliny śnieżnymi kwiatami jak wielkimi płatami śniegu bielejącej, które za podścielisko swe miały całe lasy krzaczystej lucerny, ogromnych pokrzyw, ostrą woń wyziewających piołunów, wysokich i gwiaździstych rumianków i słoneczników polnych, dzikiego chmielu plączącego się z mnóstwem nierozwikłanych i nigdzie, zda się, początku ani końca nie mających wiklin. Wszystko to ze stron obu i z wielkiej wysokości ogromną i w różne kształty wzdymającą się falą spadało aż ku dołowi. U samego szczytu światło słoneczne przeciągało po tej gęstwinie szeroki pas złoty, w którym delikatne olchy zdawały się drżeć z rozkoszy i biała kora srebrniała na brzozach. Ale niżej słoneczny ten pas bladł i przygasał, aż znikał zupełnie, a w głębie parowu zsuwały się stopniowo chłodne i wilgocią napojone cienie. W głębi, na dnie, sunął kręty, puszysty szlak łąki. On to zdradzał tajemnicę przyrody i wieków; opowiadał, że tym czymś nieznanym i dawnym, co w tym miejscu ziemię na tę ogromną szczelinę rozłamało, było gwałtowne ramię wielkiej rzeki. Kiedyś, kiedyś uderzyło ono o ląd i przedarło w nim sobie łożysko, którego wody zniknęły od dawna, ale które dotąd jeszcze wilgocią przejęte zabarwiało tę łąkę zielonością wiecznie majową i bajeczny nieledwie rozrost dawało roślinnym tłumom

wyściełającym te wysokie góry. Jednak łagodne i wdzięczne zakręty łąki zwężały się coraz, aż ustąpiły miejsca wąskiej rozpadlinie, a ścieżki w głąb parowu prowadzące zaczęły piąć się po stokach gór, to nagie, skaliste, ostrymi rozpęknięciami poprzerywane i kolczystą wikliną zjeżone, to zielone i tajemniczo pod sklepieniami liściastej zarośli przepadające. W rozpadlinie czuć było zbliżanie się do miejsc mokrych i żywymi wodami przejętych. Leżały tam wielkie, wilgotną pleśnią obrosłe kamienie, błękitnymi kępami kwitły niezapominajki, szeroko rozpościerała się leszczyna, a pod miękką pościelą, którą tworzyły trójzębne łotocie[96] i okrągły podbiał, toczył się cichy, ledwie słyszalny szmer. Wtem coś zawarczało i zadzwoniło na kształt gotującego się kipiątku[97]. Była to krynica, której kryształowa szyba przebłyskiwała pod sklepistym pokryciem leszczyny i cienką nić strumienia rzucała pomiędzy gęste łotocie i czerwonawe kamienie. W gęstwinę leszczyn uplątane, wysoko tam kwitły błękitne cykorie, śniegiem bielały puszyste kity kotuszników, krzaczysty, liliowy dzięgiel[98] z groniastych koron swych rozlewał mocną woń heliotropu. I jakby w tym miejscu natura prawo głosu dawała tylko srebrnej strunie wodnej, cisza panowała tu nieskazitelna. Ptaki mieszkały u szczytów tych ścian wysokich, wśród jasnych olszyn i brzóz, ale w tej głębi nie było ich prawie. Krynica warczała, strumień dzwonił i czasem w berberysowym czy wilczynowym krzaku dało się słyszeć frunięcie skrzydeł lub od strumienia przeleciał rzeźwy powiew i z cichym szelestem strącił z głogowej gałęzi liście dzikiej róży.

Justyna pomiędzy leszczyną stanęła i naprzód pochylona patrzała przez chwilę na utopioną w liściach i kwiatach krynicę. Za nią przystanął Anzelm i z brodą opartą na dłoni przesuwał wzrok dokoła. Cierpiące jego oczy były teraz bardzo pogodne, z żartobliwym uśmiechem wymówił z wolna:

Luby wietrzyk trawę pieści,
Strumyk mruczy, liść szeleści…

Było to niewyraźne echo, przynoszące mu z odległej młodości urywek na wpół zapomnianego wiersza. Zaraz przecież zaczął iść dalej, a raczej wspinać się na górę, po naturalnie wyżłobionych, korzeniami drzew i wrosłymi w ziemię kamieniami najeżonych wschodach. Szedł powoli, z przygarbionymi plecami i z widoczną trudnością, ale Jan, torując sobie drogę wśród gęstych krzewów, dopomagał mu do przebycia miejsc najtrudniejszych. Dla wejścia na stromą górę nie potrzebował on wschodów. Wysoka i kształtna jego postać kołysała się w obie strony, jakby w wesołym i triumfującym poczuciu swej siły. Czasem znikał zupełnie w wysokiej zarośli lub ukazywała się z niej tylko głowa jego małą czapką ocieniona i ramię w białym rękawie, troskliwie wyciągające się ku staremu. W pamięci Justyny błysnęło wspomnienie. Widziała już tych dwóch ludzi w ten sam sposób wstępujących na wysoki brzeg Niemna; wtedy jeden z nich

przystawał czasem i twarzą zwracał się ku otwartemu oknu, w którym ona stała. Ale to przypomnienie błyskawicą tylko przemknęło jej przez głowę; zatrzymała się i z ciekawością patrzała dokoła siebie.

Znajdowali się w miejscu o kilka stóp zaledwie oddalonym od szczytu góry, na łagodnym skłonie, który tworzył małą, nieco spadzistą równinę. Trzeba było tylko trochę wzrok podnieść, aby zobaczyć ruchomą frędzlę zboża rosnącego nad samym brzegiem parowu. U końca cienistej i w nierówne wschody powyszczerbianej alei, którą wspięli się aż tutaj, leżał olbrzymi kamień, pełen wgłębień i wypukłości, za siedzenia służyć mogących, miejscami siwym i brunatnym mchem obrosły, a miejscami zwieńczony gibkimi gałęźmi ożyn i rozchodników. Kilka cienkich sosen z szerokimi u góry koronami i rozłożysta grusza z gęstwiną drobnych liści wyrastały tam z ziemi okrytej rzadką trawą i osypanej igłami sosen. Pod sosnami i gruszą coś czerwieniało, błękitniało i bielało: trzeba było wejść pomiędzy drzewa, aby rozpoznać, że to grobowiec.

Był to grobowiec bardzo prosty i ubogi, ale takiego kształtu i w taki sposób przyozdobiony, że aby móc podobny mu zobaczyć, trzeba by cofnąć się wstecz o kilka wieków. Składał się on z sześciokątnego, grubego u podstaw a zwężającego się ku szczytowi krzyża, na którego czerwonym tle bielała postać Chrystusa, a którego boki okryte były różnobarwnymi godłami i figurami. Były tam białym pokostem powleczone i ściśle do krzyża przylegające trupie głowy i różne narzędzia Chrystusowej męki, płaskie popiersie Marii z tkwiącymi w nim siedmioma pozłacanymi niegdyś i w kształt miecza wyrzeźbionymi strzałami, wsparte na rękach i w zamyśleniu na podstawach z drzewa lub gliny siedzące wypukłe figury świętych. Z chudości tych figur, ze szkieletowej długości ich członków, z okaleczeń, którymi czas zatarł rysy ich twarzy, poznać można było smak i robotę odległych czasów. Krzyż był tak spróchniały, że rychłym upadkiem groził, ale rozpięta na nim postać Chrystusa i boki jego okrywające figurę, przez czas okaleczone, ze spłowiałymi barwami i pozłotami, zachowywały niezmącenie główne zarysy swe i cechy. Osłaniał je i od zupełnego zniszczenia chronił rozpięty u szczytu gontowy daszek. Na szerokiej podstawie krzyża bielał wyraźny jeszcze, choć miejscami zacierający się już napis:

JAN I CECYLIA, ROK 1549
memento mori[99]

Tylko nazwiska nie było tam żadnego. Z bezimiennego tego grobowca, osłoniętego przed światem ścianą nadniemeńskiego parowu, przeszło trzy wieki patrzały na przepaść zieloną z warczącą w głębi krynicą, na olbrzymi i cały w mchach swych i wiankach leżący kamień, na wielki trójkąt Niemna, odsłonięty tu przez wyginające się w tył ściany przepaści i stojący w tej cichej pogodzie szybą błękitu i srebra. Za nieruchomą, zda się, rzeką

wielka, samotna tarcza słoneczna wisiała nad samym już szczytem boru i tak go światłem swym przenikała, że żółte pnie sosen wyraźnie oddzielały się wzajem od siebie pod ciemnym pokryciem koron stojąc nieprzejrzanymi szeregami.

Teraz ciszę tu panującą przerywać począł monotonny szmer hebla, przesuwającego się po leżącej na ziemi i do połowy już obrobionej kłodzie drzewa. Anzelm wielką czapkę swą zdjął przed grobowcem, ale wnet znowu głowę nakrył i w milczeniu, z nasępionymi brwiami, pogrążył się w swej robocie. Powoli i jakby automatycznie, nieprzerwanie przecież, długa i blada jego ręka przesuwała narzędzie po powierzchni drzewa. Krzyż próchniejący, który pierwsze jesienne wiatry obalić mogły, musiał być zastąpiony przez inny. Kilkadziesiąt lat temu taką samą robotę spełnił zgrzybiały dziś i na wpół obłąkany Jakub. Teraz jemu przypadło w udziale stróżować nad tą pamiątką, drogą zapewne licznym pokoleniom, skoro z nich każde znalazło wśród siebie kogoś, kto jej z powierzchni ziemi zniknąć nie pozwolił. Nowy krzyż okryją stare godła, krótki napis wyraźniej zabieleje na czerwonej podstawie grobowca i wszystko tu znowu będzie tak samo, jak było przed trzema przeszło wiekami, jak było w tej porze dalekiej, gdy dwoje jakichś ludzi o nieznanych nazwiskach i dziejach złożono w jednej mogile.

Justyna wpatrywała się w stary grobowiec i w pamięci jej uparcie powtarzać się zaczęła strofa pieśni, którą niedawno uniesiona wspomnieniem wydeklamowała przed nią Marta:

A gdy kto przyjdzie albo przyjedzie
Pomyśli sobie:
Złączona para, złączona para
Leży w tym grobie!

Jan i Cecylia! Czy kochali się oni? Czy świat ich rozłączał, a połączyła mogiła? Jak żyli? I dlaczego, gdy umarli, tak na długo, na wieki, pozostali w sercach i pamięci ludzi?

O parę kroków od niej na obalonym pniu sosny siedział Jan i uśmiechał się wpół filuternie, wpół tajemniczo.

— Stryj wie wszystko — zaczął — i bardzo lubi historię tę opowiadać. Trzeba go tylko pięknie poprosić… opowie.

Istotnie, po Anzelmie widać było, że walczyć zaczynał z ogarniającą go chęcią mówienia o czymś, co go do milczenia raczej skłaniało. Zatrzymał raz hebel pośrodku kłody, spojrzał na Justynę i z cicha rzekł:

— Na co? Dla jakiej przyczyny?

Po chwili jednak znowu podniósł oczy i dłużej popatrzał na zbladłą nieco i smutną w tej chwili twarz młodej kobiety. Czarowne marzenia grobowiec ten budzić musiał w jej młodej głowie. Nie śmiała prosić o nic tego nieznajomego człowieka, który ze swą pracowitą niezależnością i

przeszłością pełną jakichś wielkich cierpień wydawał się jej dziwnie poważny i surowy. Ale on prośbę wyczytał z jej oczu. Obejrzał się na słońce: poczerwieniało i do połowy ukryło się za borem.

— Mało już dziś będzie roboty mojej! A wszystkie pustoty od młodych pochodzą! Wymyślają, pytają się, czas bałamucą, a tu i nic tak osobliwego do gadania nie ma!

Nigdy jeszcze pod siwiejącym wąsem nie uśmiechał się tak łagodnie; mówił też wesoło i prawie z odcieniem filuterności. Czapkę nad głową podniósł.

— Dlaczegóż nie? — dodał — jeżeli pani żąda posłyszeć tę historię, to o moją fatygę bynajmniej... Ja owszem... Nikt jej nie opisywał i w książkach nie drukował... Jeden człowiek opowiadał ją drugiemu i tak ona z daleka, jak rzeka przez różne kraje, przez przeddziadów, dziadów i ojców naszych przepłynęła aż do nas. Mnie jej nauczył stary Jakub, gdy jeszcze boso latałem i cielęta pasłem, a jego uczył nie wiadomo kto, może dziadek, może przeddziadek, bo w ich familii wszyscy długo żyją.

Stolarskie narzędzie położył na stronie i na jednym z wgłębień olbrzymiego kamienia siedząc, uśmiechał się jeszcze.

— Gadaj gadkę! Bajki babom, a to, co ja powiem, nie bajka!

Wysoki zrąb kamienia, siwym mchem w tym miejscu porosły, służył za oparcie przygarbionym jego plecom, a na baranią czapkę i aż na ramiona opadały mu cienkie gałęzie ożynowego krzaku.

— Było to w starych czasach, w sto lat albo może jeszcze i mniej po tem, jak litewski naród przyjął świętą chrześcijańską wiarę, kiedy w te strony przyszła para ludzi. Niewiadomego oni byli nazwiska, niewiadomej kondycji[100] i to tylko można było poznać i z mówienia ich, i z ubioru, że przyszli z Polszczy. Dla jakiej przyczyny porzucili oni swój kraj rodzony i aż tu przywędrowali, zarówno niewiadomym było. Kiedy spotykający ich podczas ludzie pytali ich o nazwisko, odpowiadali, że przy chrzcie świętym nadano im imiona: Jan i Cecylia. A kiedy ktokolwiek chciał wiedzieć, dokąd i dla jakiej przyczyny wędrują, mówili: „Szukamy puszczy!" Widać było ze wszystkiego, że bali się jakiegoś pościgu i żądali skryć się przed ludźmi, a żyć tylko pod boskim okiem. Całej pewności co do tego nie ma, ale takie o nich chodziły głosy, że kondycja ich była nierówna, bo on był ciemnej twarzy i bardzo w sobie silny, tak jak to rzadko pomiędzy panami, a najczęściej w pospólstwie bywa, a ona, czy to szła, czy to stała, czy mówiła, czy milczała, wydawała z siebie pańską wspaniałość i piękność. Ale jak tam było z ich początkiem, wszystko jedno, dość że nietrudno znaleźli to, czego szukali. Cały tutejszy kraj zalegała podtenczas nieprzebyta puszcza, w której Pan Bóg nasiał co niemiara jezior błękitnych i łąk zielonych, a ludzie pobudowali troszkę osad, w których trudnili się sobie różną przemyślnością. W jednych miejscach, nad jeziorami lub nad rzeczułkami, siedzieli rybaki i bobrowniki; w inszych, tam gdzie stały lipowe lasy, pszczelniki miód i wosk pracowitym zwierzątkom odbierali; niektórym król

nakazał, aby dla niego hodowali sokoły, i od tego poszło, że nazywali się sokolnikami, a inszych wolnością obdarował, aby tylko wszelkie posyłki jemu sprawiali i dla tej przyczyny mieli oni nazwanie bojarów[101], czyli ludzi wolnych. O uprawianie ziemi było im bynajmniej[102]; ogrody mieli, ale najwięcej rzepę w nich sadzili i len w wielkiej obfitości sieli, bo owiec nie mając i wełny nie znając, odzieży płótnianej tylko używali. Zboże zaś rzadko gdzie zobaczyć można było i to przy miastach, a w głębokiej puszczy jeszcze gdzieniegdzie nikt i nie słyszał o nim. Ale za to byli tacy, co w dębowych lasach żyjąc, trzody świń na żołędziach hodowali i od tego dane im było brzydkie przezwisko świniarów, i tacy, co przy łąkach mieszkając, bawoły obłaskawiali i dla tej przyczyny nazywali się bawolniki. O pieniądzach to jeszcze gdzieniegdzie i nic nie wiedzieli, a jak kto chciał co sobie potrzebnego kupić, dawał skóry zdarte z ubitych bobrów, niedźwiedzi, lisów, kun i inszych zwierząt albo troszkę miodu i wosku, albo przyswojonego bawoła, karmną świnię i co tam zresztą kto miał. Chaty ich nazywały się numy i były bardzo biedne i smrodliwe, bez pieców i kominów, bo tym leśnym ludziom nieznajoma jeszcze była mularka[103]. W Boga chrześcijańskiego niby to wszyscy już uwierzyli, a jednakowoż w głębokościach puszczy wiele jeszcze kłaniało się bałwanom i żyło z kilkoma żonami. Jan i Cecylia wzdłuż puszczę przeszedłszy poznali różne jeziora i łąki, zachodzili do rybaków, do bobrowników, do sokolników i do bojarów, zachodzili także do świniarów i do bawolników, ale nigdzie im nie podobało się tak, jak tutaj, nad brzegiem tego Niemna, i na tym właśnie miejscu, gdzie teraz ten pomnik stoi... Widać zobaczyli, że tu najmniej ludzie doścignąć ich mogą, a najlepiej im będzie pod jednym boskim okiem pozostawać. Może już tak im było przeznaczone, ażeby właśnie ten kawał ziemi zaludnić i nasz ubogi, ale długowieczny ród ufundować.

Powolny i przyciszony głos opowiadającego brzmiał na wysokim stoku góry, monotonnością swą podobny do mruczącego u dołu strumienia. Czasem jednak zatrzymywał się i szukał w pamięci wyrazu lub nazwy, których w życiu codziennym nie używał prawie, ale jak słowa z pacierza, ze starej gadki wyrzucić nie mógł. Teraz z widocznym naprężeniem rysów wiązał przez chwilę w swej głowie wątek opowiadania, bojąc się splątać go albo część jego uronić.

— Podtenczas — zaczął znowu — nie było na tym miejscu żadnego kawałka zoranej ziemi ani żadnego ludzkiego plemienia. Z tej strony rzeki i z tamtej strony rzeki, na prawo i na lewo, naprzód i w tył, rosła jedna tylko puszcza. Jan i Cecylia upatrzyli sobie właśnie to miejsce, gdzie teraz ten pomnik stoi, a gdzie podtenczas stał dąb taki stary, co może i tysiąc lat miał wieku, bo w jego wydrążeniu bawoła skryć byłoby można, i pod tym dębem zbudowali sobie najpierwej chatę, czyli takąż numę bez pieca i komina, nędzną i smrodliwą. Od razu inszej zbudować nie mogli. Lepiej mówiąc, on zrąbywał drzewa, oprawiał kłody i budował, a ona zbierała orzechy i dzikie jabłka, gotowała rybę, doiła bawolicę, którą on rychło sobie

obłaskawił, naprawiała odzież, a gdy wieczór przyszedł i on położył się pod dębem, z oszczepem i łukiem napiętym przy boku, by zawsze od dzikiego zwierza się obronić, siadała przy jego głowie śpiewając i grając na harfie. Z wysokiego domu pewno była, bo po anielsku grała i śpiewała, i ręce z początku miała takie białe, by lilie[104]. Ale krótko tego było, bo pracując ciężko, w niewygodach i niebezpieczeństwach straszliwych, prędko pociemniała na twarzy i rękach, wyrosła, zmężniała w sobie, że podobną stała się do płowej łani, której trudności i samotności leśne najmilsze. Jak pierwsza matka ludzkiego rodu, miała ona podobno włosy złociste i takie długie, że pokryć nimi mogła siebie i swoją harfę: gdy też późnym wieczorem nad senliwym mężem śpiewała, on, choć senliwy, pieścił się z jej włosami, a potem o wschodzie słonka zdrowy i wesół do roboty wstawał, bo siły miał wzmocnione i serce pocieszone przez nią. Jednakowoż pomimo kochania i wszelakich jego rozkoszy nachodziły ich takie potrzeby i strachy, że inszym ludziom i pomyśleć o nich byłoby trudno. Wszystko tu było nie tak, jak teraz, ale okropniej i dziczej. Po puszczy chodziły stada żubrów, turów, niedźwiedziów, dzików i wilków, w gałęziach czaiły się drapieżne jastrzębie i krogulce, szerokimi skrzydłami łopotały krzywodzióbe orły. Nocami wyły puszczyki i po drzewach wieszały się rysie, w ciemności oczami jak latarniami świecące. Czasem kruki i kawki czarną chmurą zakrywały niebo, a dzikie konie napełniały zaciszności leśne grzmotem swoich kopyt i przeraźliwym wiżdżeniem. Nad rzeką i na wszelakich mokrych miejscach lęgło się wielkie mnóstwo obrzydłych żab, tarakanów[105], wężów i jaszczurek. I rzeka ta nie była taka jak teraz. Głębinę i prędkość miała ogromniejsze. Wody były wtedy nadmiar silne i gniewliwe. Rozlewały się daleko i o ziemię biły, koryta w niej sobie prując, czego do dzisiejszego dnia te parowy pamiątką ostały. A po zimie, wiosenną porą, kry szły ogromne by stada koni dęba stających albo szklanne góry przez słonko, co się w nich przeglądało, tęczami nalane. Jak oni to wszystko znieśli i przemogli, Bogu świętemu wiadomo, dość że znieśli i przemogli. Już to jest pewne, że żaden człowiek siły swojej nie zna, nim jej w potrzebie z siebie nie dobędzie. Prawda i to, że wiele rzeczy i stworzeń podtenczas człowiekowi do pomocy stało. Narzędzia do wszelakich robót i myślistw przynieśli z sobą albo różnym sposobem zrobili sobie, dobre i mocne. Las dawał dzikie jabłka, orzechy, jagody i grzyby; do rzeki po napój przybiegały jelenie, daniele i sarny, które ze stad wielkich łatwo ubijać było; u góry żył lud wiewiórek, a u dołu w gęstwinach skrywała się mnogość zajęcy, łasic i kun; w wodach mieszkały wydry i bobry domki sobie budowały. A trzeba było tylko wędę, sieć albo oszczep w rzekę zanurzyć, ażeby z niej wyłowić tyle ryb różnych, jakich już teraz wcale ona nie ma. Do tego i lubości bywało tu nadmiar. Słowicze śpiewy umilały noce, a jaskółcze i gołębie gminy same przez się szukały przytułku pod dachem numy. Podczas[106] ze sznura żurawi spadł jeden i łaskawie ostał już towarzyszem człowieka, podczas płochliwa sarna ugłaskać się pozwoliła,

wiernie potem chodząc przy boku swej pani. Wszelako tam bywało: ciężko i mile, straszno i bezpiecznie. To tylko jest pewne, że nacierpieli się oni nadmiar głodu, chłodu, strachu i zasępu najedli się do sytości; że wiele razy od upału i mozołu skóra z rąk i z nóg im złaziła, a od wiatrów i mrozu piekące bąble obsiadały ciała. Może dwadzieścia roków minęło im w tej męce, kroplami rozkoszy słodzonej, aż po puszczy puściły się pogłosy o tej parze ludzi, że przemyślnością swoją i krwawą pracą kawał duży lasu wyplenili, zboża nasieli i inszych różnych roślin nasadzili; że dom sobie zbudowali widny i czysty, z którego też dym przez komin wychodził; że nabyć u nich można niektórych takich rzeczy, których na szeroki okół nikt jeszcze nie miał. Poszli tedy do nich ludzie z różnych dalszych osad dowiedzieć się, jakże tam czyniły się takie cuda. A jak raz przyszli, to już na długo przy nich ostawali, przypatrując się różnym niewiadomym do tego czasu dziełom i przemysłom. Niektórzy prosili się, aby ze wszystkim już ostać przy nich dla wspólności i pomocy, ale Jan i Cecylia wprędce rodzonych doczekali się pomocników. Sześciu synów i sześć córek urodziło się im i wyhodowało nad brzegiem tej wody, w cienistościach tej puszczy, pod okiem jednego Boga. Jeden z tych synów pojął sobie żonę u rybaków, drugi ją wybrał pomiędzy sokolnikami, trzeciemu przeznaczenie dało bojarkę, czwartemu bobrowniczkę, piątemu pszczelarkę, a szósty handlując rybami, do których łapania wielką miał ochotę, przywiózł sobie dozgonną towarzyszkę aż z miasta Grodna, które podtenczas, dla przyczyny mnóstwa rosnących tam ogrodów, po rusińsku Horodnem zwano. Rusinką też dziewka owa była, ale podtenczas dwie krwie na jednej ziemi mieszkające nierzadko mieszały się z sobą i nie wynikała z tego nikomu żadna obraza ani ujma. Skąd synowie pojmowali żony, stamtąd przybywali mężowie dla córek i poślubiwszy je nie odjeżdżali nigdzie, tylko tu sobie budowali chaty, a tnąc las coraz dalej, uprawiali pola. Tak przeminęło lat osiemdziesiąt albo może i więcej od tego dnia, kiedy Jan i Cecylia pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili…

Umilkł Anzelm, zmęczony niezwykłym wysiłkiem pamięci i myśli, kilka kropel potu zaświeciło na jego zapadłych i rozognionych policzkach, spłowiałe zwykle i blade oczy pobłyskiwały pod wielką czapką. Obejrzał się w stronę słońca; znikło już ono za borem, lecz Niemen teraz stał żółtawą taflą i jasne smugi rozciągnięte u zachodu nieba jaskrawo oświecały sunący od wschodu zmrok.

— Dzień kończy się i moja gadka także do swego końca idzie — wymówił z uśmiechem. — Ale — dodał — w tym końcu także są rzeczy, które walor mają…

Głośniej trochę i żywiej niż wprzódy mówił dalej:

— Osiemdziesiąt lat albo może i więcej przeminęło od tego dnia, kiedy Jan i Cecylia pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili. Aż jednego razu znaleźli się tacy ludzie, którzy samemu królowi donieśli, jakie to dziwy dzieją się gdzieściś, w kraju litewskim, w najgęstszej puszczy nad

samym brzegiem Niemna. Panował podtenczas ostatni Jagiellon, dwoma imionami: Zygmunt i August nazywany. Zapalczywy był on myśliwiec i właśnie w tej porze, kiedy mu to doniesienie zrobionym było, bawił się polowaniem w swoich knyszyńskich lasach. Zmiarkował zaraz, że od Knyszyna do tego miejsca, o którym jemu rozpowiadali ludzie, droga była nie bardzo daleka. Łowczym na apel zatrąbić, a panom jechać za sobą rozkazał i puścił się w drogę. Jechał i jechał, jechał i jechał, a panowie za największym z panów jechali, aż raptem zobaczyli jakoby koniec puszczy. Drzewa rzedniały i rozstępowały się, jakoby jadącym z drogi ustępując. Król pojrzał przez te szerokie otwory, krzyknął aż z zadziwienia i żartobliwie do panów swoich zawołał:

„Hej! hej! Waszmoście panowie, widzi mi się, że ktoś tu dla mnie nowe królestwo gotuje!"

Aż tu wszyscy wyjechawszy z lasu stanęli, oczom własnym wiary nie dając. Tam, kędy dawniej panowała dzicz drzewiasta, bezludna i głucha, srogim zwierzom tylko przytułek dająca, leżała wielka równina, żółtością ścierniska po zżętym zbożu pozostałego okryta. Na ściernisku, by wysokie domy lub też by słupy z pozwężanymi wierzchołkami, stały sterty wszelkiego zboża; sto par wołów orało pole pod przyszły zasiewek, a śród pola na gładkich łąkach hasały stada obłaskawionych koni, pasły się trzody krów ryżych i białych owiec. Na dwóch pagórkach dwa wietrzne młyny łopotały swymi wielkimi skrzydłami, lipowe gaje rozlegały się od bączenia nieprzeliczonych rojów pszczelnych, a w olszynach i brzoźniakach na wszystkich gałęziach wisiały wielkie jak czapki gniazda gawronie. Sto domów, przedzielonych ogrodami, sznurem wyciągało się w podłuż rzeki, a z ich kominów, by z kościelnych kadzielnic, sto złotnych dymów podnosiło się prosto do nieba. Na jabłoniach i śliwach liścia widać nie było za czerwonością i liliowością owocu, po zielonych trawach suszył się len i bieliły się sztuki płócien, w chatach krosna stukały i huczały terlice[107], przed domami na gałęziach i płotach wysychały ufarbowane przędziwa wełny, a na dachach po stronach do słońca wystawionych dojrzewały żółte, ogromne dynie. Ptastwo[108] domowe, ziemne i wodne, grzebało się w piasku lub z hałasem leciało nad rzekę, od której powracający rybacy wychodzili zza góry, niosąc po kilku sieci i niewody[109] z rzucającymi się w nich rybami. Co do rzeki, tej w dole płynącej, król z oddali zobaczyć nie mógł, ale rozpoznał, gdzie ona płynęła, po wysokiej piaszczystej ścianie, nad którą stał bór, przez nikogo nie ruszany.… ten sam!

Tu opowiadający wskazał palcem pas boru rozciągnięty nad złotawym trójkątem Niemna. Zająknął się i głos mu zadrżał.

— Te… te… ten sam! — powtórzył.

— Tymczasem — mówił dalej — król jechał naprzód, oglądając się wokół i wesoło dziwiąc się wszystkiemu, co tu obaczył. Młody był podonczas i tylko co na tron swój wstąpił. Koń był pod nim arabski, ognisty, z rzędem kapiącym od złota i drogich kamieni. Nad czołem królewskim świeciło na

kołpaku brylantowe pióro, a drogie purpury i gronostaje spadały z królewskich ramion aż prawie po końskie pętlice. Wokół niego i za nim jechali hetmany, senatory i insze panowie, a każden z koni, które pod sobą mieli, piękniejszy był od drugiego, a od kolorów ich szat i drogocenności siodeł aż ćmiło w oczach. Za nimi jechali także sokolniki, na dłoniach trzymając zakapturzone sokoły, pieściwe pazie z różami na licach, hardonosa służba i bystrookie strzelce. A łowczowie złotne trąby wciąż do ust swych przykładali i rozgłośnym graniem rozgłaszali królewskie przybycie szerokiej równinie, długiemu Niemnu i aż zaniemeńskim głębokościom boru... Jako też ze stu domów i ze stu ogrodów, z pola, z łąk, z rzeki pozbiegali się wszyscy ludzie patrząc na niewidziane rzeczy i nie lękając się prawie, tylko podziwiając i oczekując: co z tego będzie? A król ich zapytuje:

„Czy żywie jeszcze rodziciel was wszystkich?"

„Żywie i w zdrowiu przebywa" — odpowiedział najstarszy syn Jana i Cecylii, który przed króla wystąpił, sam zmarszczkami cały poorany i siwy jak gołąb.

„A rodzicielka czy żywie?" — pyta znów król.

„Żywie i w zdrowiu przebywa".

Król podonczas rzekł:

„Rad bym na nich pojrzał!"

Wedle królewskiego żądania wnet stać się musiało. Z najpiękniejszego domu synowie i córki, wnuki i prawnuczki wyprowadzili parę rodzicielów. Więcej niźli stuletnie te starce szli same przez się, niczyjej pomocy nie potrzebując, w śnieżystych płótnianych sukniach, by dwa białe gołębie, jedno przy drugim. On opierał się na toporze w długim kiju oprawionym; ona zsiwiałe włosy po pas rozpuściwszy, głaskała biegnącą przy niej sarenkę. Kiedy już wobec króla stanęli, wszyscy zdumieli się, bo król kołpak swój zdjąwszy z głowy, powiał nim przed starcami tak nisko, że aż z brylantowego pióra sypnęły się gwiazdy.

„Kto ty, starcze? — zapytał Jana — odkąd przyszedłeś? Jak zowiesz się i z jakiej kondycji pochodzisz?"

Starzec, jak przystało, pokłoniwszy się królowi, śmiele odpowiedział:

„Przyszedłem tu od stron onych, którymi przepływa Wisła; nazwisko swoje oznajmię tylko jednemu Bogu, kiedy przed świętym sądem Jego stanę, a kondycja moja niską była, pokąd do puszczy tej nie zaszedłem, gdzie wszystkie stworzenia są zarówno dziećmi powszechnej matki ziemi. Z gminu pochodzę i pospolitakiem na ten świat przybyłem: ale oto ta pani i małżonka moja z wysokiego domu zstąpiła, aby moje wygnańcze życie podzielać".

Odpowiedź tę posłyszawszy król myślał długo, aż odwróciwszy się do panów, co wokół zgromadzeni byli, rzekł:

„Dufam, że waszmościowie uprzejmie pochwalicie, a przyszły sejm sprawiedliwie zatwierdzi dekret, który zaraz chcę tu ogłosić".

Panowie myśl królewską odgadując i potakując głowami razem krzyknęli:

„Inaczej nie może być, miłościwy panie! Sami tego żądamy i o to waszą królewską mość upraszamy”.

Wtedy król odwrócił się do Jana:

„Ty starcze, wedle własnego żądania bezimiennym ostaniesz i jakeś się urodził, tak w grobie legniesz pospolitakiem. Ale żeś był bohatyrem mężnym, który tę oto ziemię dzikiej puszczy i srogim zwierzom odebrał, a zawojowawszy ją nie mieczem i krwią, ale pracą i potem, piersi jej dla mnogiego ludu otworzył, a przez to ojczyźnie bogactwa przymnażając, przeto dzieciom twoim, wnukom i prawnukom, aż do najdalszych pokoleń i samego wygaśnięcia rodu twego, nadaję nazwisko od bohatyrstwa twego wywiedzione”.

Tu z prawicą wyciągniętą nad zdumiałym ludem król donośnym głosem wypowiedział:

„Oto ten ród, idący od człowieka z kondycji pospolitego urodzenia, idzie w porównanie ze szlachtą rodowitą krajową i wszystkich praw stanowi rycerskiemu odpowiednich odtąd aż do wygaśnięcia swego używać ma i takowe wykonywać. Nobilituję[110] was i nakazuję, abyście nosili nazwisko Bohatyrowiczów, a pieczętowali się klejnotem[111] Pomian, który jest żubrzą głową na żółtym polu osadzoną, jako pierwszy rodziciel wasz pokonał żubra i z odwiecznego jego siedliska uczynił to wdzięczne i obfitością ciekące pole…”

W tym miejscu umilkł opowiadający; wyprostowana teraz postać jego z wielką czapką na tył głowy nieco zsuniętą wypukle odrzynała się od wysokiego złomu kamienia. Rękę w górę podnosił i słychać było, jak szeroko i głośno oddychał. Po chwili wymówił jeszcze:

— Działo się to w roku, na tym pomniku wypisanym, tysiącznym pięćsetnym czterdziestym dziewiątym…

Na zachodzie, nad borem, gasły pozostawione przez słońce pasy świetliste; zmrok sunący od wschodu z wolna obejmował całe sklepienie, na którym tu i ówdzie zabłysły nikłe gwiazdy. W zmroku naprzeciw umilkłego Anzelma widać było dwoje ludzi siedzących blisko siebie, pomiędzy cienkimi sosnami, na pniu obalonego drzewa. Kobieta opuściła ręce na kolana, mężczyzna twarz oparł na dłoni. Słuchali jeszcze, czekali. Po chwili też człowiek na kamieniu siedzący ozwał się znowu:

— Taka jest historia fundatorów naszych, taki nasz tutaj zaczątek i oto dla jakiej przyczyny my na tej ziemi siedzimy.

Potem głosem człowieka, który w głębi pamięci swojej budzi drzemiące wspomnienia, mówił jeszcze:

— Wszelako późniejszym czasem w tym naszym rodzie przez Jana i Cecylię ufundowanym różnie bywało. Włości nie mieliśmy nigdy i krwi ani potu z nikogo nie wyciskali. Bywało, że niektórzy z nas na wojnę chodzili; bywało, że za panami z gardłami i szabelkami na sejmiki i sejmy ciągnęli.

Jeden i drugi przebywał na pańskich dworach, o urzędnikowskie lub oficjalistowskie posady zaskakując. Jeden i drugi fortuny przyrobiwszy, gdzie daleko na osobnym folwarku siadał i pański już ród fundował. Ale najwięcej i tak jak prawie wszyscy, siedzieliśmy w swoich zaciszkach, własnymi rękami od matki naszej powszechnej chleb dobywając. Szmaty ziemi, by Chrystusowe szaty, rozdzielały się wciąż pomiędzy nami, a podczas, zrządzeniem boskim albo niedobrym charakterem ludzkim, wcale przepadały. Jednakowoż po większej części trwaliśmy przy swoich gnieździech większych czy mniejszych i dotrwaliśmy do tej pory. Teraz szlachectwo przeddziadów zdjęte z nas zostało; chłopami nazywamy się i jesteśmy... Ale o to bynajmniej. Wszyscy my kołki jednego płota i stworzenia czasowe. Bieda jedynie, że ubóstwo nasze rośnie i duszne[112] zamroki ogarniają nas coraz większe...

Trząsł głową.

— Nikt prawie nie da wiary, że i tę historię fundatorów naszych w całej okolicy umie może trzech, może czterech ludzi. Umie ją stary Jakub, ale on już jest tak jak prawie nie żyjący; umiem ja, umiał kiedyś Fabian, umie może ten młody Michał, co tam stał wystrojony, z wąsami do góry. Insze o takie rzeczy nie dbają i w biedzie, w zasępie pamięci o nich mieć nie mogą... Chłopami być czy panami, to za jedno; ale w bydło obrócić się, to smętnie i tęskno...

Widać było, że zgarbił się znowu i że głowa jego z wielką czapką oderwawszy się do kamiennego złomu pochyliła się nisko. Powolnym, zamyślonym szeptem dokończył:

— Szczęście wywyższa, szczęście poniża, wszystko na świecie czasowe i przemijające... każda rzecz by woda przepływa, by liść na drzewie żółknie i gnije...

Z obalonego pnia drzewa powstała kobieta i szybko zbliżywszy się ku zasmuconemu, pochylona, usta swe przyłożyła do szorstkiego rękawa jego kapoty.

— Dziękuję! — wymówiła gorącym szeptem.

On cofnął ramię, w tył się uchylił i przez chwilę w milczeniu na nią poglądał. Potem jąkając się, ze zdumieniem wymówił:

— Do... do... dobra!

Kobieta prędko odeszła, objęła ramionami cienki pień brzozy i w szarzejącą przestrzeń patrzała rozmarzonymi oczami. Myślała pewno, że szczęśliwymi, o! jak szczęśliwymi byli ci ludzie, którzy takie miłości w piersiach swych nosili i takie na ziemi pełnili zadania; że ona także z ochotą i dumą poszłaby na krańce ciemnej jakiej puszczy i pod dach jakiej ubogiej numy, byle by nie mieć w sercu i życiu pustyni, byle czuć się kochana serdecznie i wiernie widzieć przed sobą cel, choćby drobną migocący gwiazdą! Myślała pewno, że miała dziś sen cudowny, w którym zjawiło się przed nią jakieś długie, czyste, wysokie szczęście... Gdy oderwała wzrok od przestrzeni, zobaczyła obok siebie wysokiego

mężczyznę, który, tak jak ona, stał wsparty o drzewo i długo, uparcie patrzał, nie w przestrzeń — lecz na nią. Krewki i wzburzony rzucił czapkę o ziemię i zawołał:

— Bodaj to takie życie i szczęście! Przeklęta dola, która człowiekowi daje tylko to, co bydlęciu! Orz[113] dlatego, abyś jadł, buduj na to, abyś miał gdzie zasnąć! I bydlę ma takie szczęście! Kiedy prawdziwego kochania zażądasz, to ono dla ciebie za wysoko rośnie; kiedy dla ludzi uczynić co zechcesz, to nie masz sposobów ani wiadomości. Na zgubę tylko małym mrówkom Bóg skrzydła daje!

Odwrócił się i czoło do drzewa przycisnąwszy stał rozżalony, gniewny jakichś wyższych przeznaczeń i uczuć pragnący.

Justynie się zdawało, że słuchając tej popędliwej skargi młodzieńczej słucha samej siebie. Myśl, dotąd jej obca, błysk domysłu przebiegły jej przez głowę. Szybko przebyła kilka stóp dzielących ją ze szczytem góry i na tym szczycie przy uśpionym zbożu stanęła ze śpiesznie oddychającą piersią i osłupiałym prawie zdziwieniem na twarzy. Na żółciejące pola noc już spłynęła, ale z tego wysokiego punktu oko mogło sięgnąć daleko i rozeznać wśród ciemnej przestrzeni szary szlak Niemna i ciemny pas wysoko nad nim rozciągniętych zagród.

W okolicy życie dzienne ustawało; tu i ówdzie tylko pobłyskiwały w oknach drobne światła, wzdymały się fale oddalonych głosów, ożywał się tętent konia albo turkot kół. W jednym miejscu dziecinna widocznie ręka wydobywała z harmonijki jęczące tony, z innego kiedy niekiedy dolatywało urywane śpiewanie skrzypiec.

Justyna spojrzała w górę i wyobraźnia ukazała jej pod gwiazdami postać kobiety ze złocistymi włosami okrywającymi ją i jej harfę, z łaskawą sarną u boku. Płynęła górą, potężna i cicha, z ręką ku ciemnemu pasowi zagród opuszczoną. Błogosławiłaż je czy komu ukazywała?

Tom II

I

W Olszynce, za olchowym gajem, od którego zapewne folwark ten wziął swe nazwanie, na łagodnej wyniosłości gruntu dom niewielki, drewniany, nieotynkowany, niby z kosza zieleni wychylał się ze starych, ogromnie rozrosłych bzów i z gęstego rzędu fasoli, która, tuż przy ścianie posadzona, gęste i teraz kwitnące swe sploty zarzucała na tyki sięgające prawie niskiego dachu. Z tyłu domu znajdował się spory sad owocowy, prostym częstokołem[114] ogrodzony, bez dróg i upiększeń żadnych; z przodu, za małym, trawą i gdzieniegdzie chwastami porosłym dziedzińcem, po łagodnej spadzistości spływały aż ku olchowemu gajowi duże i urodzajne ogrody warzywne. Gaj był świeży, czysty, z grubymi i cienkimi drzewami rzadko rozstawionymi na wilgotnej i gładkiej murawie. Za rzadko rozstawionymi i gładkimi pniami przebłyskiwał w płaskich brzegach płynący tu Niemen i ukazywało się gdzieniegdzie przeciwległe wybrzeże[115], okryte, jak okiem sięgnąć, gładkim, wilgotnym pastwiskiem. Gdzieniegdzie, niby drobne obrazki w zielonych ramach, widać było zza drzew pasące się na tej zarzecznej płaszczyźnie trzody albo pastuszków skupionych dokoła roznieconego ognia, albo nędzne, nie wiedzieć czyje, samotnie śród przestrzeni stojące chaty. Za domem i sadem leżały gładkie pola; z obu stron warzywnych ogrodów zieleniały niskie łąki, na których rosły grupy wierzb, a w mokrych zagłębieniach gruntu rozrastał się jasnozielony ajer[116] i stały wysokie łozy[117] z długimi, obwisłymi liśćmi i wierzchołkami podobnymi do aksamitnych kołpaków. Było to miejsce ciche, skromne i prawie odludne. Z domu i całego jego otoczenia od razu wnieść było można, że wśród średniej własności ziemskiej Olszynka była posiadłością możliwie najmniejszą. Wniosek ten potwierdzała wieś chłopska pomiędzy łąkami do grupy wierzb przyparta[118]. Składało ją chat kilkanaście, dość czysto i dostatnio wyglądających. Z bliskości, w której znajdowała się od dworku, łatwo było zgadnąć, że kiedyś do Olszynki należała. Był to więc kiedyś mająteczek kilkunastochatowy, czyli znajdujący się na granicy, za którą już do najdrobniejszych ułamków ziemi spływała własność mała.

Ostry chłód zapanował po niedawno spadłym gradzie; silny wiatr kołysał wierzchołkami kilku rosnących na dziedzińcu topoli włoskich; deszczowe chmury szybko biegły jedna za drugą, to zasłaniając, to odkrywając błękit nieba. Jednak w Olszynce wszystkie okna domu, otoczone kwitnącą fasolą, były na oścież otwarte. Stały na nich pomiędzy

kilku mirtami[119] i rozmarynami[120] kwitnące fuksje i róże miesięczne. Na ganku jedna z ławek zastawiona była hładyszami[121] pełnymi zsiadłego mleka, na drugiej stał naprędce znać tu umieszczony kosz z sałatą i jarzynami. Długa sień, przedpokojem zarazem będąca, rozdzielała dom na dwie połowy, z których w jednej znajdowały się pokoje mieszkalne, w drugiej kuchnia i izba czeladna. W głębi sieni wielki zamek wiszący u drzwi niskich i wąskich oznajmiał spiżarnię. Za starą szafą widać było drabiniaste schodki na strych wiodące; pod ścianami stały proste, drewniane skrzynie i stołki, kosze z łoziny[122] uplecione, a na miejscu najwidoczniejszym — niecki[123] pełne świeżo upranej bielizny. Miano ją zapewne na strych wynosić, ale tymczasem tu jeszcze pozostawiono. Zapach mydlin z kuchennymi woniami złączony napełniał sień pomimo drzwi na ganek otwartych; w kuchni trzeszczał ogień i rozlegały się głosy kobiece i dziecinne; w pokojach mieszkalnych cicho było zupełnie i tylko czasem dolatywało z nich monotonne mruczenie, z którego można było odgadnąć pracowicie uczące się dziecko.

Po sieni, kuchni i izbie czeladnej krzątała się Kirłowa. Dla chłodu i panujących w domu ciągów miała na sobie rodzaj sukiennego tołubka[124], spod którego widać było tylko brzeg perkalowej[125] spódnicy. To nawet gospodarskie, grube ubranie uczynić jej nie mogło grubą i niezgrabną. Ze swą kibicią[126] prostą, wysmukłą, o wdzięcznej linii biustu i ramion, która nadawała jej z daleka pozór pierwszej młodości, z ogorzałą[127] cerą twarzy, silnie odbijającą od zawiązanej na szyi białej chustki, ze ślicznym warkoczem jasnych włosów, niedbale z tyłu głowy skręconym — zaglądała ona do dzieży[128], w której dziewczyna miesiła żytnie ciasto, albo przechodząc do izby czeladnej naglądała[129] prania bielizny, albo od płonącego w wielkim piecu ognia odstawiała hładysze, w których mleko zsiadłe zamieniło się już na twaróg, i zastępowała je coraz innymi, które z ganku przynosiła. Miała dnia tego wiele zajęcia około trzech razem odbywających się robót: prania bielizny, pieczenia chleba i robienia serów. Była niezadowolona z siebie samej, bo takie zbieganie się na dzień jeden robót kapitalnych uważała za błąd i złe rozporządzenie się gospodarskie. Należało inaczej, wcale inaczej czas i zajęcie rozłożyć; takim sposobem wszystko razem robiąc, nic się prawdziwie porządnie nie zrobi. Chodząc, krzątając się, naglądając wszystkiego, a to i owo własnymi rękami dokonując, żale swe wypowiadała dwóm pomocnicom swym, dużym i silnym dziewkom[130], z których jedna chleb miesiła[131], a druga bieliznę prała. Nie znaczyło to wcale, by te dziewczęta o cokolwiek obwiniać miała. Wcale nie. Sama była winna wszystkiemu; czy zaleniła się trochę, czy też jej tak jakoś pomieszało się w głowie. A tu i Marynia plecia ogrodów warzywnych doglądać musi, i pomocną jej być nie może! Ostatni ten wykrzyknik oburzył trzynastoletnią dziewczynkę, która kosz z jarzynami tylko co z ganku przyniósłszy i zawinąwszy po łokcie rękawy starej perkalowej sukienki zabierała się właśnie do mycia sałaty i skrobania

marchwi.

— A ja, mamo? — zawołała — przecież ja tu jestem! Czy to tylko Marynia jest mamy córką?

Przechodząc Kirłowa ręką gorącą od hładyszy, które w tej chwili od ognia odstawiała, pogładziła jasne, krótko ucięte włosy córki. Wszystkie one miały takie jak len jasne włosy: i ona sama, i szesnastoletnia Marynia, i trzynastoletnia Rózia, i nawet chłopcy. Nie wiedziała tylko, i nieraz nawet aż w głowę zachodziła, skąd ten najmłodszy jej dzieciak, ta czteroletnia Bronia, która jak cień za człowiekiem krok w krok za nią chodziła, wzięła swoją cygańską cerę razem ze swymi czarnymi jak atrament włosami i oczami. Było to w jej rodzinie pod każdym względem wyjątkowe stworzenie. Żadne z jej dzieci, gdy było małe, tak stale i nieustannie nie trzymało się jej spódnicy, jak ten mały i czarny rozczochraniec, bo włosy jej nie tylko były czarne, ale i wiecznie rozczochrane; kręciły się one jak wióry i żeby tam nie wiedzieć ile razy na dzień je czesać, zawsze wszystkie do góry powstawały albo na śniade czoło opadały, a spod nich jak żużle gorejące czarne oczy patrzały na matkę, ciągle na matkę. I teraz oto tuż przy jej tołubku nieustannie z kuchni do sieni, z sieni na ganek, z ganku do izby czeladnej drepce a drepce w starych zrudziałych trzewikach, których tasiemki, żeby je sto razy na dzień najmocniej związać, zawsze rozwiążą się i wloką po ziemi za malutkimi nóżkami. W takim samym jak matka, tołubku, bo najmłodszą będąc najłatwiej zaziębić się może, drepce i gada, tak samo nieustannie gada, jak drepce, choć nikt jej słuchać ani myśli, a tylko jedna Rózia od kuchennego stołu, na którym sałatę myje, odzywa się do niej czasem, z żartobliwą przekorą rozpoczynając sprzeczki czy napomnienia, o które znowu ona wcale nie dba. Wtem potknęła się i jak długa upadła. Zaraz przecież zerwała się z ziemi, wystraszonymi oczami patrząc, czy przez czas jej padania matka jej nie uciekła. Kirłowa na ziemi przysiadła i spełniać zaczęła robotę Penelopy[132], czyli związywanie u trzewików tasiemek, które były przyczyną upadku.

— Żebyś to ty, Broniu, choć na moment gdziekolwiek przysiadła…

Dziecko zaśmiało się na całą kuchnię, a potem niespodzianie, z zadziwiającą logiką swej czteroletniej, rozczochranej główki odpowiedziało:

— Kiedyż ja, mamo, jeść chcę!

— Masz tobie! — wstając stęknęła Kirłowa — godzinę temu przecież obiad jadłaś…

Dziewczynka tym razem ramiona swe w grubych rękawach tołubka szeroko rozłożyła i bardzo poważnie usprawiedliwiła się:

— Kiedyż ja jeść chcę!

Kirłowa z szafy wyjęła bochen razowego chleba, odkroiła zeń kawał spory, miodem posmarowała i małej podała. Ząbki jak perełki drobne i białe zatopiły się chciwie w czarnym i osłodzonym chlebie macierzyńskim, ale właścicielka ich, głośno przeżuwając i różowe policzki miodem sobie

osmarowując, nie mniej wytrwale niż wprzódy[133] przy tołubku, tuż przy matczynym tołubku dreptała, a tasiemki jej trzewików znowu rozwiązane i wijące się w różne esy ciągnęły się za nią po ziemi. Jak tam przecież było, to było z córkami, ale co robią chłopcy, mianowicie młodszy Boleś, którego w bawialnym pokoju co dzień na parę godzin na klucz zamykała, aby już od książki odejść nie mógł. Starszy, Staś, pewno tam z chłopskimi dziećmi po łące czy drodze hasa i powróci z czołem pełnym guzów. Ale jemu więcej wolno, bo z promocją do czwartej klasy na wakacje przyjechał. Boleś zaś dwa lata już w drugiej klasie przesiedział i jeszcze promocji nie dostał. Zlękła się była tego ogromnie. Na rok trzeci w tej samej klasie pozostać nie wolno. Pójdzie precz ze szkoły i co ona z nim potem zrobi? Pojechała do miasta i wyprosiła, wychodziła, wyjęczała dla niego pozwolenie zdania powtórnych egzaminów po wakacjach. Powinien się więc do nich przygotowywać, a nie chce. Swawolny i leniwy. W ojca się wrodził. Cóż robić jednak? Napędzać dziecko trzeba, bo bez szkół — zginie. Ile ją już ten chłopiec bezsennych nocy kosztował! Ciekawość, czy teraz zamknięty w pokoju na klucz uczy się albo pustuje? Wyszła do sieni, aby przez drzwi posłuchać, co się w bawialnym pokoju dzieje, ale w tejże chwili dał się słyszeć stuk, brzęk i na dziedzińcu tętent szybko biegnących nóg. Kirłowa, a za nią malutka Bronia i większa Rózia na ganek wybiegły. Okazało się, że więzień, długim zamknięciem zniecierpliwiony, przez okno wyskoczył, wazon z kwitnącą fuksją stłukł i za bramę uciekał. Rozległy się wołania matki i sióstr, na które przecież był głuchy, z rozrzuconymi włosami, w swej przeszłorocznej[134] podartej bluzce szkolnej co sił uciekając i w ucieczce tej ukazując podarte podeszwy butów. Gdyby Kirłowa na bunt ten zrezygnowała się[135] pobłażliwie, macierzyńska powaga jej ucierpiałaby na tym wielce. Nie pierwszy to już raz zresztą Olszynka była świadkiem podobnych skandalów. Dziewka od dzieży zbiega dogoniła, który z pogardą eskortę jej łokciami odpychając, nadąsany, ale i zawstydzony, do domu wrócił. Kirłowa z rozpaczą w oczach i gestach ze skrzyni stojącej w sieni i będącej składem przeróżnych rupieci gruby sznur dostała.

— Chodź! — z wielką powagą do syna rzekła i za rękę go wziąwszy do bawialnego pokoju wprowadziła, drzwi za sobą zamykając. Słychać było, że mówiła tam z gniewem i krzykiem, to znowu tonem upominania i przekonywania; wyszła po chwili z twarzą w ogniu, z drżącymi trochę rękami i ustami. Widać było po niej, że to srogie mentorstwo, które zmuszona była względem dzieci swych okazywać, wiele ją kosztowało. Drzwi na klucz już nie zamykała, a na wystraszone i pytające spojrzenie Rózi odpowiedziała:

— Przywiązałam go do kanapy i kazałam uczyć się… Mocno przywiązałam…

Ale wnet uderzyła w nią troska nowa.

— Żeby tylko Staś nie zaziębił się w taki zimny dzień latając… Dziś z rana gardło go bolało. A nie widziałaś, Róziu, w czym Marynia do ogrodu

poszła?

— Marynia poszła w tołubku, ale Staś poleciał w jednej płóciennej bluzce i mówił Rózi, że gardło go coraz gorzej boli.

— Masz tobie! — za głowę schwyciła się Kirłowa. — Poszłabym go szukać, ale czasu nie mam…

Istotnie, nie miała ani chwili czasu, bo oto i teraz we drzwiach od kuchni zjawił się młody oficjalista[136], namiestnikiem[137] tytułowany, jedyny jej w gospodarstwie pomocnik, który oznajmił, że ci kupcy, którzy tu tydzień temu zajeżdżali, przybyli znowu i życzą sobie zobaczyć wełnę. Ucieszyła się tą wiadomością bardzo. Miała około dwustu owiec, merynosów, z których co roku sprzedawała mniej więcej dziesięć pudów[138] wełny. Był to jedyny grosz, który wpływał do jej kieszeni w miesiącach letnich nie licząc nabiału i warzyw, których sprzedażą w najbliższym miasteczku opędzała potrzeby domowe[139]. Przy zbliżających się żniwach, które znacznego wydatku na robotnika potrzebują, kupcy na wełnę byli jej niezmiernie pożądanymi. Zapomniała na chwilę o chlebie, serach, praniu, przywiązanym do kanapy Bolku i chorym na gardło Stasiu, z wielkim kluczem wyszła z domu i skierowała się ku spichrzowi[140], przy którego drzwiach oczekiwali na nią przybyli kupcy.

Jednokonny ich wózek stał przy bramie; za bramą i dziedzińcem widać było ogród warzywny, na którego zagonach[141] siedziało kilka kobiet wiejskich. W pobliżu tych kobiet, na zagonie także, siedziała młodziutka dziewczyna w sukiennym[142] tołubku, na który spadał gruby warkocz jasnych włosów. Siedziała na zagonie i podnosiła głowę ku siedzącemu na płocie młodemu człowiekowi w myśliwskim ubraniu. Młody ten człowiek miał na plecach fuzję[143] i z wielkim ożywieniem o czymś rozprawiał. Pomiędzy dwojgiem młodych ludzi leżał wielki, czarny wyżeł i pąsowymi czapkami świeciło kilkoro drobnych chłopskich dzieci. Kirłowa patrząc na ten dość daleki, ale wyraźnie widzialny punkt przestrzeni uśmiechnęła się. W rozmawiającej i dziecięcym drobiazgiem otoczonej parze rozpoznała najstarszą córkę swoją i młodego Witolda Korczyńskiego. Nie miała jednak czasu przypatrywać się im długo; z ciężkością wielkim kluczem spichrz otworzyła i we wnętrzu jego wraz z kupcami zniknęła. Zabawiła tam dobry kwadrans, potem ukazała się znowu na dziedzińcu. Wiatr zadął silniejszy jeszcze jak wprzódy i nisko giął szczyty topoli. Olchowy gaj szumiał, za nim przebłyskiwały burzące się fale Niemna; ciemna i gruba chmura w otoczeniu mniejszych i lżejszych sunęła samym środkiem nieba; ostry i zimny deszcz padać zaczął. Kirłowa obejrzała się na ogród warzywny i zobaczyła młodą parę wraz z gromadką dzieci i czarnym wyżłem szybko dążącą ku małemu budynkowi, który u końca ogrodów warzywnych do płotu dziedzińca przyparty, służył na skład ogrodowych nasion. Kobiety pielące z zagonów nie wstając podniosły głowy i patrząc na dziecinny drobiazg, który zapewne do nich należał, a teraz pod dach był uprowadzony, śmiały się głośno i z uradowaniem. Kobieta pomiędzy

dwoma kupcami od spichrza ku domowi idąca uśmiechnęła się znowu, ale wnet do towarzyszy swych zagadała. W burzliwej fali wichru i deszczu, z mokrymi włosami, zziębłe ręce w rękawy tołubka chowając, szła jak zwykle prosto, zgrabna i z dala dziwnie młodo i delikatnie wyglądająca, ale mówiła głosem podniesionym, z coraz większą energią i zaciętością; słychać ją było na całym dziedzińcu i aż w kuchni. Targowała się z kupcami, którzy jej dawali po osiemnaście rubli za pud wełny, a ona żądała po dwadzieścia. Coraz głośniej i energiczniej dowodziła przymiotów[144] swego towaru, zsyłała się na Korczyńskiego i innych sąsiadów, którzy za tę cenę wełnę swą sprzedawali, przysięgała na dzieci, że taniej nie odda. Tak doszła aż do ganku, na którym jednak, gdy stanęła twarzą ku dziedzińcowi zwrócona, umilkła, a potem wykrzyknęła:

— A toż co?

Drogą pomiędzy gajem olchowym a warzywnymi ogrodami szybko jechała i już ku otwartej bramie dziedzińca zawracała zgrabna, błyszcząca od szkieł i posrebrzeń, czterema pięknymi końmi ciągnięta kareta. Konie były w angielskich szorach[145], na koźle siedział brodaty stangret i młody lokaj w zielonej, pozłacanymi taśmami szamerowanej[146] kurcie. Poznała karetę i konie Różyca. Kupcy na widok przybywającego grzecznie oświadczyli, że do odjazdu gościa na zakończenie interesu czekać będą. Ale Kirłowa nie słyszała tego, co mówili. Zmieszała się tak, że przywiędłe policzki i drobnymi zmarszczkami porysowane czoło okrył aż po brzegi jasnych włosów świeży jak u młodej dziewczyny rumieniec. Wielki Boże! Trzy hładyszki z mlekiem zsiadłym na ławce ganku, w sieni niecki z mokrą bielizną i zapach mydlin, a ona sama w starym tołubku i białej muślinowej[147] chustce na szyi! Do sieni wpadła i z energicznymi gestami przywoływała dziewkę kuchenną, półgłosem rozkazując jej wnieść do izby czeladnej niecki z bielizną. Dziewka bosa, w grubej koszuli i krótkiej spódnicy, z czerwonymi, po łokcie obnażonymi i twarogiem poplamionymi rękami, wypadła z kuchni, porwała niecki i biegła z nimi przez sień właśnie w chwili, kiedy Różyc wysiadłszy z karetki w progu domu stanął. Za nim, na ganku, widać było zieloną, złotym galonem oszytą czapkę i trochę hardą, a trochę drwiącą twarz młodego lokaja. Dziewczyna z nieckami jak wryta stanęła, szeroko oczy i usta otwierając, i żadne mrugania ani gesty gospodyni domu zruszyć jej z miejsca nie mogły. Ale Różyc zdawał się wcale nie spostrzegać kłopotu, którego był przyczyną, i twarzą ku wieszadłom zwrócony, bardzo powoli, z pomocą lokaja paltot[148] zdejmował. Potem zwrócił się ku gospodyni, która milcząc ze zmieszania rękę mu na powitanie podawała. Zrazu mniemać by można, że z niejaką przykrością przyjdzie temu wykwintnemu panu ścisnąć tę opaloną, widoczne ślady bliskich stosunków z kuchnią i praczkarnią noszącą rękę kobiecą. Przed chwilą właśnie od dotykania worów z wełną przylgnęło do niej trochę białawego pyłu, a przy zakręcaniu wielkiego klucza w zamku spichrza gwóźdź jakiś ją zadrasnął i pozostawił długą, czerwoną kresę.

Jednak Różyc, nisko pochylony, złożył na tej ręce pocałunek nie ceremonialny, ale długi i przyjacielski. Bardzo ładne i jeszcze różowe usta Kirłowej zarysowały pośród zwiędłej twarzy uśmiech serdeczny. Otworzyła drzwi bawialnego pokoju.

— Proszę wejść, kuzynku, bardzo proszę; tak cieszę się, że cię widzę… tak dawno u nas nie byłeś!

Widać było, że cieszyła się istotnie, ale zaledwie przestąpiła próg pokoju, rumieniec znowu zalał jej twarz i czoło. Na kanapce przed rozłożoną książką siedział nadąsany, jak piwonia czerwony Boleś z nogą do nogi kanapy przywiązaną. Ten okropny chłopiec wyskakując przez okno rozlał atrament i w kilku miejscach poplamił nim pomalowaną na czerwono podłogę; w dodatku tuż przy jej tołubku znalazła się znowu Bronia, ta czarna, rozczochrana Bronia ze swymi utrapionymi tasiemkami od trzewików, które ciągnęły się po ziemi. Mniejsza już o te tasiemki, ale chłopca odwiązać trzeba, choćby dlatego, że siedzi na jedynym miejscu, na którym z gościem swym zasiąść ona może!

Pobiegła ku kanapie, przysiadła na ziemi i drżącymi trochę rękami rozwiązywała sznurek, który sama z przebiegłością więziennego dozorcy w mnóstwo węzłów była splątała. Różyc i tego jej kłopotu zdawał się wcale nie spostrzegać. Nachylił się do Broni pytając, czy zdrowa i dlaczego sobie czarnych oczu lepiej nie umyła, a potem nawet wziął dziecko na ręce i w oba miodem usmarowane policzki je ucałowawszy, z wolna znowu na ziemi postawił. Podniesienie tego małego ciężaru sprawiło mu znać zmęczenie, bo ręką powiódł po drgającym czole i głęboko odetchnął. Binokle[149] opadły mu na piersi. Uśmiechał się do dziecka, ale wyraz oczu jego był smutny. Na koniec, uwolniony z więzów chłopiec, czerwony i zawstydzony, w kształcie ukłonu szasnął przed gościem nogami, z pokoju wypadł i drzwi za sobą ze stukiem zatrzasnął. Różyc trzymając ciemną rączkę dziewczynki zwrócił się do Kirłowej:

— Ta faworytka[150] moja wyrośnie na niepospolicie piękną kobietę; zobaczysz to, kuzynko. Już ja się na tym znam!

— Zawsze jesteś łaskaw dla małego rozczochrańca tego, kuzynie — ze swym ponętnym uśmiechem odpowiedziała Kirłowa, ale oczy jej miały ciągle wyraz roztargniony i postawa była wahająca się i zmieszana. W małej bawialni swej spostrzegła nieporządki, które ją zawstydzały. Kwieciste perkalowe pokrycie skromnych sprzętów swawolni[151] jej synowie poplamili piaskiem i atramentem, pył okrywał stojącą pomiędzy oknami mahoniową[152] komodę, i była to już wina Rózi, do której codziennie sprzątanie mieszkania należało. Z pośpiechem zamykała drzwi, przez które widać było sypialny pokój z dwoma usłanymi łóżkami i toaletą mahoniową, wielkim lustrem i rzeźbami przyozdobioną. Łóżka były czyste i nawet ozdobnie usłane, a staroświecka wyprawna jej toaleta stanowiła sprzęt dość osobliwy i kosztowny. Ale Kirłowa pamiętała dobrze o tym, że sypialnia, nawet najozdobniejsza, nie powinna ukazywać się oczom gości.

Cóż, kiedy w tym domku były po stronie mieszkalnej tylko cztery pokoje: bawialny, sypialny, dziecinny i mała jadalnia, w której teraz sypiali chłopcy i kilka kur siedziało na jajach. Nie sposób było w takiej ciasnocie zachować wszystkie przepisy przyzwoitego urządzenia domu. Właśnie w chwili kiedy drzwiami otwierającymi się z jednej tylko strony widok sypialnego pokoju przed gościem zasłaniała, Różyc prawie pieszczotliwym ruchem rękę jej zdjął ze starej, żelaznej klamki i zatrzymując ją w swych chudych, ale jak atłas białych i gładkich rękach, z uśmiechem zaczął:

— Widzę, kuzynko, że przyjazdem swoim sprawiam ci zawsze kłopot, i to mnie martwi… Będę w tym wypadku, o! tylko w tym wypadku, lepszy od ciebie, bo zupełnie otwarty, i poproszę, abyś mnie szczerzej uważała za krewnego swego, przed którym nie czuje się potrzeby ani ukrywać czegokolwiek, ani czegokolwiek się wstydzić… Dobrze, kuzyneczko? Proszę powiedzieć, że tak nadal będzie. Dobrze?…

Rękę jej ciągle w dłoniach swych trzymając mówił to z tak serdecznym połączeniem żartu i czułości, że Kirłowa, uradowana i ujęta, znowu po brzegi włosów zarumieniona, ręce jego mocno ściskała.

— Dziękuję ci, Teosiu — zaczęła — bardzo dobry jesteś… ale ja, widzisz, mam dawne przyzwyczajenia moje, których nigdy pozbyć się nie mogę…

— Niechże ci więc te przyzwyczajenia brużdżą w stosunkach z innymi, ale nie ze mną — żywiej niż zwykle zawołał Różyc. — Zresztą — dodał — powinnaś wiedzieć, że tyle już widziałem i zaznałem wszelkiego rodzaju zbytków, że mnie największe bogactwa zadziwić nie mogą. Gdybyś była taka, jakimi zwykle bywają kobiety bogate, mniej bym się czuł do ciebie pociągniętym…

Zupełnie już ośmielona, z figlarnym błyskiem oczu, który zdradzał, że kiedyś, w pierwszej może młodości, zalotność zupełnie obca jej nie była, zauważyła:

— Lubisz rozmaitość, kuzynku, i temu to widać względy twe zawdzięczam!

Siadając obok niej na kanapie, z uśmiechem odpowiedział:

— Jestem, moja droga kuzynko, wielkim nicdobrego, który choruje od objedzenia się marcepanami[153] i z uszanowaniem spogląda na chleb razowy…

— O! — śmiejąc się zawołała — bardzo trafne nazwanie dla siebie wymyśliłeś! Trzeba rzeczywiście być wielkim nicdobrego, aby tak ślicznie urządzić się ze wszystkim…

— Otóż to — potwierdził — otóż tak obchodź się ze mną zawsze! Jesteś jedyną w świecie osobą, która mi w oczy gorzkie prawdy mówi. Z początku mnie tym zdziwiłaś, a potem zachwyciłaś. Chciałbym, abyś mnie więcej jeszcze łajała[154]. To coś na kształt uczucia owych dawnych pokutników, którym się zdawało, że za każdym uderzeniem dyscypliny jeden grzech spadał im z pleców…

— Gdyby wszystkie twoje grzechy z pleców ci zrzucić trzeba by ręki

silniejszej niż moja — zaśmiała się jeszcze.

Śmiech jej przecież, z początku swobodny i trochę rubaszny[155], topniał w żalu, który napełnił jej oczy. Wzięła rękę krewnego i patrząc mu w twarz zapytała:

— Cóż? Jakże? Czy nie chorowałeś bardzo w tych czasach? Może już obejrzałeś swoje majątki? A z tym okropnym przyzwyczajeniem[156]… wiesz! co słychać? Może choć trochę starasz się przezwyciężać?…

Różyc uśmiechał się niedbale, ale zarazem i przyjaźnie.

— Tyle mi naraz pytań zadałaś, moja droga spowiedniczko — rzekł — że nie wiem, na co wpierw odpowiadać. Nie chorowałem gorzej niż zwykle, ponieważ jedyną chorobą moją jest nieopisana apatia, mam się trochę lepiej, bo znalazłem coś, co mnie w ostatnich czasach trochę podniecać zaczęło. Majątków swoich nie tylko jeszcze nie obejrzałem, ale mnie sama myśl o tych oględzinach w rozpacz wprawia. Wiesz dobrze dlaczego. Lenistwo nieprzezwyciężone, zupełne do podobnych rzeczy i ludzi nieprzyzwyczajenie, na koniec i może najbardziej wieczne i nieodparte pytanie: po co?

— Na koniec i najbardziej — z żywością przerwała — to twoje dziwne, okropne, z paskudnego tego świata, w którym żyłeś, przywiezione przyzwyczajenie…

Zaśmiał się głośno.

Kirłowa brwi zmarszczyła, energicznie jednak ściśniętą ręką o dłoń drugiej uderzając zawołała:

— Śmiej się, ile chcesz, a ja zawsze powiem, że to jest jakaś niesłychana i niewidziana okropność… Już nasi chłopi lepsi, co się po prostu wódką upijają…

— Niesłychana i niewidziana rzecz dla ciebie, moja kuzynko, i dla was wszystkich w odludnych kątach żyjących, ale na szerokim świecie rozpowszechnia się to bardzo, staje się prawie epidemicznym…

Bystro zmęczonymi oczami na niego popatrzała:

— Czy nie mogłeś uniknąć tej epidemii? Skąd ją wziąłeś? Nigdyś mi jeszcze o tym nie mówił.

— Bardzo prosto — odpowiedział. — Pojedynkowałem się i byłem raniony w taki sposób, że cierpiałem okropnie… Z początku zadawano mi znaczne dozy narkotyku tego dla zmniejszenia bólów, a potem przywykłem… Jedyne to już dla mnie wyjście, przez które uciekam od ciężkiej nudy, od upadku sił i może jeszcze od… od czegoś podobnego do rozpaczy!

Przykrył binoklami oczy, w których przebiegły gorączkowe błyski. Ona słuchała go ze zdziwieniem i ciszej jak wprzódy wymówiła:

— Pojedynkowałeś się! Jezus, Maria! I to więc prawda, że pojedynkowałeś się! Z kim? O co?

Z ostrym, nerwowym śmiechem odrzucił plecy na tylną poręcz kanapy. Po drgającym czole i dokoła śmiejących się ust przebiegła mu błyskawica

cynizmu[157], gdy odpowiedział:

— Z kim? Mniejsza o to! O co? Wiesz? O ścierkę!

Kirłowa obie dłonie do głowy podniosła.

— A niechże diabli wezmą ten wasz wielki świat, na którym rosną takie szkaradztwa i takie trucizny! Wolę już ja być głupią parafianką[158], gęsią, owcą, a takiego wielkiego świata nie znać!

— I masz słuszność — krótko rzekł Różyc.

Słowa te z prostotą wymówione ułagodziły ją w mgnieniu oka. Z powagą jednak mówić zaczęła:

— Ponieważ, kuzynie, zwierzyłeś się przede mną ze wszystkim, uważałabym się za podłą, gdybym ci pobłażała i przytakiwała…

Urwała i zmieszała się trochę, bo uczuła nagle, że w mowę jej wplątywać się zaczęły wyrażenia grube i które dla siebie za niewłaściwe uważała. Tych wyrażeń i pewnych szorstkich dźwięków głosu nabrała w ciągłej styczności ze służbą, z parobkami, z robotnikami, a tak przy tym była żywa, że uniknąć ich nie mogła wtedy nawet, kiedy tego chciała najbardziej.

— Jak wprzódy w swoim domu, tak teraz w swojej mowie coś nieeleganckiego spostrzegłaś, prawda? — zapytał przybyły.

Zarumieniła się znowu trochę, ale wnet od siebie myśl odwracając, z zamyśleniem wymówiła:

— Dziwna rzecz! Jesteś jednak i dobry, i rozumny… To tak zupełnie wygląda, jakby w jednym człowieku było dwóch ludzi…

Różyc w rękę ją pocałował.

— Powiedziałaś jak filozof. Widzisz, to ta dwoistość jest kluczem do odgadywania wielu na świecie zagadek…

Splotła ręce na kolanach i kołysała głową w obie strony.

— Wiesz co, kuzynie? — zaczęła — zdaje mi się, że byłbyś daleko szczęśliwszy, gdybyś się takim bogatym nie urodził.

— Albo — przerwał — gdybym się był urodził… bardzo głupi.

— Jak to? — zapytała.

— Zgadnij! — zażartował i z ciekawością na nią patrzał.

Przez chwilę myślała.

— Cóż to tak trudnego do odgadnięcia! Gdybyś był głupcem, nie dbałbyś o nic i do końca hulałbyś sobie wesoło, a ponieważ, choć późno, do rozumu przyszedłeś, zrozumiałeś, coś zmarnotrawił i stracił!

Śmiał się.

— Nie masz pojęcia, kuzynko, jak lubię z tobą rozmawiać. Zupełnie rozumne rzeczy wypowiadasz w taki sposób…

Zamyślili się oboje. Kobieta znowu roztargniona stawać się zaczęła. Dość długa już rozmowa o przedmiotach obcych codziennym jej zajęciom zmęczyła ją nieco. Przypomniała też sobie swoje dzisiejsze roboty i interesy, myślała: czy też chleb posadzono już do pieca i czy kupcy na wełnę nie zniecierpliwili się czasem i nie odjechali? Wstała z kanapy, a

zupełnie jednocześnie z nią podniosła się z ziemi siedząca dotąd u jej kolan mała Bronia.

— Każę zaraz podać herbatę…

Różyc z żywym poruszeniem upewnił, że herbaty nigdy prawie nie pija. Popatrzyła na niego trochę przenikliwie, a trochę ze zmieszaniem. Po chwili jednak śmiało rzekła:

— Mówisz nieprawdę. Herbatę lubisz i pijasz jej wiele… wiem o tym od męża. Ale raz już spróbowałeś naszej i wiesz, że nie jest tak wyborna, jak ta, do której przywykłeś…

Różyca prawdomówność jej widocznie bawiła i ujmowała.

— Moja wina! — zawołał. — Złapałaś mnie na kłamstwie. Wszelkiej rzeczy niesmacznej lękam się jak ognia…

— Trzeba było powiedzieć tak od razu. Po co kłamać? I bez tego już pewno nakłamałeś w życiu jak ostatni faryzeusz[159]. Przyniosę ci więc konfitur, bo o konfiturach moich nie będziesz mógł powiedzieć, że są niesmaczne. Nauczyłam się kiedyś przyrządzać je od Marty Korczyńskiej… Niewiele ich zwykle smażę, ale lepszych pewno i w swoim Wiedniu nie jadłeś!

Prędko wyszła z pokoju, a razem z nią, tuż przy jej tołubku, podreptała Bronia, w ręce klaszcząc i wołając:

— Konfiturzki będą! Konfiturzki! I ja, mamo, chcę konfiturzek!

Z całej, dość osobliwej rozmowy dwojga krewnych dla tej małej, rozczochranej, czarnookiej istotki ten jeden wyraz posiadał sens zrozumiały.

W gruncie rzeczy oprócz szczerej chęci uczęstowania krewnego Kirłowa pałała żądzą zajrzenia na drugą stronę domu. Musiało tam coś w jej nieobecności zepsuć się czy niezupełnie udać, bo do bawialnego pokoju doszedł po chwili podniesiony nieco głos, którym przemawiała do służących. Potem jeszcze zamieniła już w sieni kilka słów z kupcami i na koniec do bawialnego pokoju weszła niosąc na tacy kilka pełnych konfitur spodków. Tuż obok niej, potykając się co chwilę o rozwiązane tasiemki trzewików, przydreptała Bronia. Za nią Rózia wniosła talerz pięknych malin i miałki cukier w staroświeckim, kunsztownie wyrobionym kubku. Takie kosztowne i piękne przedmioty, jak mahoniowa komoda pod ścianą, dwa olejne portrety na ścianie, toaleta[160] z wielkim lustrem i rzeźbami, srebrny, osobliwego kształtu kubek, dziwnie odbijały na skromnym aż do ubóstwa tle tego domu, przypominając zarazem, że gospodyni jego pochodziła ze starego i niegdyś bogatego domu.

Postawiwszy na stole maliny i cukier Rózia, poważnie prostując swą jak u matki zgrabną i już wysmukłą kibić z jasnymi, krótko uciętymi włosami, które przy każdym jej kroku w górę nieco podlatywały, wyszła z pokoju. Matka szepnęła jej coś o bieliźnie, kupcach i Stasiu.

Różyc prędko i z pewną gwałtownością w ruchu ręki podnoszącej do ust łyżeczkę, jedząc konfitury mówić zaczął:

— Wyborne, istotnie wyborne! Przepadam za słodyczami i paru godzin obejść się bez nich nie mogę! Więc nauczyłaś się smażyć konfitury od panny Marty Korczyńskiej… od tej oryginalnej starej panny… Bardzo to jest szanowna osoba, skoro takie umiejętności posiada… Ale, *à propos*, dawno widziałaś pannę Justynę?

Kirłowa, spodek, na który położyła trochę konfitur, wkładając w ciemną rączkę Broni, żywo odpowiedziała:

— Zdaje się, że nikt jej tak niedawno, jak ty, kuzynku, widzieć nie mógł. Przyjechałeś tu przecież z Korczyna.

— Skądże wiesz?…

— Słyszałam, jak o tym w kuchni mówił twój lokaj, i przyznam ci się, że zła jestem na ciebie za to ciągłe podjeżdżanie do Korczyna…

— Naprzód nie ciągłe, bo byłem dotąd zaledwie kilka razy, a potem, czegóż zła jesteś?

— Wiesz o tym dobrze — sarknęła.

— Łaj mnie więc — odpowiedział — pozwalam i nawet proszę. Ale cóż ja temu winien jestem, że panna Justyna bardzo mi się podoba?

— Otóż to! — zawołała. — Dla ciebie i tobie podobnych jedna jest tylko ważna rzecz na świecie: podoba się albo się nie podoba. Zresztą nic.

— Masz słuszność — odrzekł.

— Ale na koniec — z coraz większą irytacją wołała — z czego ona, na nieszczęście swoje, tak bardzo ci się podobała? Przystojna jest, to prawda, ale tysiąc piękniejszych widziałeś pewno na świecie. Kokietką[161] nie jest…

— Otóż to — potwierdził Różyc.

— Edukowali ją wprawdzie krewni, ale znowu ta edukacja nie jest tak bardzo świetna…

— Otóż to — powtórzył.

— Szczególniej od tej swojej historii z Zygmuntem Korczyńskim zrobiła się bardzo poważna, nie stroi się, nie zaleca do mężczyzn, nie szczebiocze…

— Otóż to — raz jeszcze wymówił.

— Więc cóż? Wy tam przecież na świecie do wcale innych kobiet przywykliście i dla wcale innych głowy tracicie!

Przestał jeść konfitury, których prędko zjadł bardzo wiele, i o poręcz kanapy plecy opierając, z na wpół żartobliwą, a na wpół szczerą powagą mówić zaczął:

— Przede wszystkim masz wiedzieć, że takie kryształowe, jak ty, osoby[162] wcale się na takich rzeczach nie znają. My tylko, wiesz? nicponie, wiemy dobrze, dlaczego do tej lub tej kobiety pociąg czujemy… Rozumiesz? Pociąg, czyli instynkt, który daje nam wiedzieć, że z tą właśnie kobietą wychylić możemy w pełni tego słowa znaczeniu kielich rozkoszy… Otóż i rumienisz się teraz jak pensjonarka[163]… Ach! ach! cóż to za boska rzecz taki rumieniec na twarzy matki pięciorga dzieci!

Rumieniła się istotnie, po swojemu, dziewiczo płomiennym i świeżym rumieńcem, ale przezwyciężając zawstydzenie, poważnie rzekła:

— Nic nie szkodzi. Mów wszystko. Chcę wiedzieć, co myślisz o Justynie…

— Zatem — mówił dalej — na pierwszym miejscu stoi tu pociąg, czy jaśniej dla ciebie wyrażając się, sympatia. Do panny Justyny uczułem od razu sympatię… wyznaję nawet, że bardzo, bardzo żywą… Masz słuszność, że wiele, wiele piękniejszych kobiet znałem na świecie i nawet… zdrowie i majątek na całopalenie[164] przed nimi składałem… Ale w tym kontraście czarnych włosów i szarych oczu, jaki się znajduje u panny Justyny, w jej kibici, ruchach etc, etc. jest coś… coś takiego, słowem… ale *passons*[165], ty tego nie zrozumiesz… ta dziewczyna ma temperament, upewniam cię, ma nawet wiele temperamentu…

— *Passons*! — powtórzyła Kirłowa. — Cóż dalej?

— Dalej jest to właśnie, co przed chwilą wyliczyłaś. Kokietek, szczebiotek, histeryczek, prawdziwych i fałszywych księżniczek miałem dosyć, zanadto; *toujours des perdrix*[166] nie było nigdy dewizą moją. Dla zmiany, widać, zacząłem przepadać za zdrowiem ciała i duszy, czego najlepszym dowodem jest ta admiracja[167] i to rzetelne przywiązanie, które dla ciebie, kuzynko, powziąłem.

Parę razy zdjął swe binokle i znowu nimi oczy zasłonił. Znowu też machinalnie zaczął jeść konfitury. Nagle, przerywając sobie jedzenie, zaczął:

— Dziś, na przykład, siedziałem obok niej przy obiedzie. Dopóki dawałem jej to i owo do zrozumienia, okazywała się chmurna i odporna, prawie nie odzywała się, nie patrzała na mnie. Zmieniłem taktykę i zacząłem z tonu obiektywnego… ożywiła się natychmiast i rozmawiała bardzo przyjemnie. Opowiadała mi o naturze otaczającej Korczyn, o jakimś parowie nadniemeńskim i wcale pięknym przywiązanym do niego podaniu ludowym… w taki sposób, że byłem… byłem prawdziwie zajęty. Bardzo, bardzo jest rozsądna i kiedy mówi o takich rzeczach, które ją zajmują, ma takie ogniki w oczach i coś takiego w układzie ust… Tylko… Szturmem jej wziąć nie można… Dyplomacji cnota potrzebuje… i jest to jedyną jej przywarą, a zarazem i najsilniejszą ponętą…

Kirłowa była tak zamyślona, że ostatnich słów krewnego zdawała się nie słyszeć. Nagle podniosła głowę i tonem takim, jakby znakomitego odkrycia dokonywała, rzekła:

— Kuzynie! Jeżeli Justyna tak bardzo ci się podoba, ożeń się z nią…

Różyc rękę z łyżeczką na stół opuścił, binokle zwykłym sobie prędkim ruchem w dół pociągnął, wpółzdumionym a wpółprzerażonym wzrokiem na krewną popatrzył i śmiechem wybuchnął.

— Wyborny pomysł, kuzynko, wyborny, nieoceniony! — wołał. — Toż bym dopiero niespodziankę urządził światu i samemu sobie! A papa Orzelski? Czy ja bym tę chińską figurkę na kominku u siebie postawił? A francuszczyzna panny Justyny, *entre nous*[168], dość kulawa? Gdyby się oko w oko spotkała z moją księżną ciocią, chybaby biedna ciotka śmiertelnego

ataku spazmów dostała…

Śmiejąc się jeszcze dodał:

— Pomysł twój, kuzynko, świadczy o doskonałej dobroci twego serca i zupełnej zarazem nieznajomości świata… W takich amfibiach[169], jak panna Justyna, kochać się bardzo można, ale żenić się z nimi — *impossible*[170]…

— Amfibie! — zawołała Kirłowa. — Kobietę do żaby przyrównywać!…

— Naturalnie — przerwał Różyc. — Sama pomyśl: urodzona i nie urodzona, wychowana i nie wychowana, biedna i nie biedna… słowem, nie wiedzieć kto…

Z błyszczącymi od gniewu oczami Kirłowa zapytała:

— Więc po cóż jeździsz do Korczyna?

— Bo mnie ta niespodziewana dla mnie samego sympatia ożywia trochę, podnieca, i doprawdy, zjawiła się ona bardzo w porę, kiedym już zwątpił o wszelkich urokach życia…

— Ale jakiż koniec? — uparcie zapytywała kobieta.

— Moja kuzynko — odpowiedział — za mało jestem filozofem, abym myślał o końcu każdej rzeczy… *Advienne ce que pourra*[171]… I chwila przyjemności do pogardzenia nie jest…

Kirłowa z wielką powagą i stanowczością rzekła:

— Nic z tego nie będzie, mój drogi. Justyna nie da się zbałamucić[172]! Przeszła już ona przez smutne doświadczenie, znam dobrze jej charakter i sposób myślenia…

Słuchał z zajęciem; czoło i brwi mu drgały.

— Znasz ją dobrze? Jesteś pewna tego, co mówisz?

— Najpewniejsza.

Zamyślił się, ręką powiódł po czole, źrenice mu zaszły wyrazem dalekiego jakiegoś marzenia. Kirłowej zdawało się, że westchnął.

— Ale ty, kuzynie, naprawdę zajęty jesteś Justyną! — zawołała.

— O ile jeszcze mogę być czymkolwiek albo kimkolwiek zajęty. Wyznam ci, że sam się dziwię… Ale niepodobne do przewidzenia są kaprysy serca czy tam wyobraźni…

— Więc ożeń się z nią! — nie dbając jakby o wszystko, co przed chwilą mówił, zaczęła znowu.

Ale przerwało jej otworzenie się drzwi od sieni i głos Rózi, który zawołał:

— Mamo, Staś wrócił i ma okropną chrypkę…

Kirłowa, jak sprężyną podjęta, skoczyła i z pokoju wybiegła. Wraz z nią, naturalnie, podobna do myszki wysunęła się Bronia. Różyc sam jeden pozostawszy, z czołem na obie dłonie opuszczonym, słyszał z głębi domu tu dochodzące napomnienia przelęknionej matki i odpowiedzi malca wypowiadane głosem tak od ochrypnięcia cienkim, że podobne były do najpiskliwszych tonów jakiegoś zepsutego flecika. Trzask ognia, stuk siekiery, pluskanie wody, głosy kuchennych dziewek dochodziły tu przez

wąską sień z drugiej połowy domu. Na dworze pogoda stawała się cichsza i jaśniejsza. Wiatr ustawał, chmury rozbiegały się szybko we wszystkie strony nieba; przez gęste, wysokie bzy przedarł się promień zachodzącego słońca i pozłocił kwitnące na oknie skromne fuksje i róże miesięczne. Czy ten wysoki i chudy człowiek w wytwornym ubraniu, z ufryzowanymi[173] włosami nad białym czołem i wiszącymi u piersi binoklami w złotej oprawie wsłuchiwał się w odgłosy tego małego domu i odgadywał z nich to życie, które w nim płynęło wiecznie tym samym, pracowitym i skromnym potokiem? Czy nasuwało mu ono porównania, uwagi, myśli tak dotąd nie znane, jak nie znanym dlań był cały rozległy rząd podobnych istnień? Wydawał się głęboko zamyślony w chwili, gdy Kirłowa do małej bawialni wracając w zakłopotaniu swym zapomniała nawet o zamknięciu za sobą drzwi sypialnego pokoju. Nie myślała już także wcale o przedmiocie przerwanej przed kilku minutami rozmowy.

— Syn mi zachorował — ze zmartwieniem rzekła — gardło ma słabe i w przeszłym roku dostał był tak silnego zapalenia, że doktora wzywać musiałam. Lękam się, aby znowu nie było to coś złego, i kazałam Rózi, aby lipowy kwiat przygotowała.

Trwoga i zgryzota[174] czyniły twarz jej daleko starszą, niż była przed kwadransem. Różyc rękę do niej wyciągnął.

— Biedna ty moja kuzyneczko — rzekł — ile ty mieć musisz pracy, trosk i zmartwień z tym małym mająteczkiem, z dziećmi…

Do głębi ujęta usiadła obok niego na kanapie, policzek oparła na dłoni i o wszystkim, co ją obchodziło, mówić zaczęła. Rada może była, że znalazła w krewnym współczującego jej powiernika. Opowiadała mu, jak przed laty dwunastu, we cztery lata po swoim wyjściu za mąż, spostrzegłszy, że w Olszynce wszystko szło bez żadnego ładu i dozoru i że wcale bliska groziła im ruina, wzięła się sama do gospodarstwa i interesów. Dla kobiety była to rzecz niezwykła, ale nie święci garnki lepią. Uczyła się u sąsiadów i sąsiadek, szczególniej u Korczyńskiego i Marty; z każdym rokiem przybywało jej energii i umiejętności, i jakoś to poszło i idzie, wcale dobrze nawet idzie, tylko z wychowaniem dzieci bieda.

— Pięcioro — mówiła — pomyśl tylko, kuzynie, na tym kawałku ziemi, który około tysiąca rubli dochodu przynosi… Trzebaż to wykarmić, ubrać i czegokolwiek nauczyć!

O edukacji córek już i nie marzyła. Sama je nauczyła, czego mogła, a zresztą niech dobrymi gospodyniami będą! Ale synów kształcić pragnęła i do szkół ich oddała marząc sobie, że jeden z nich gospodarzem na Olszynce zostanie, a drugi w świat z zawodem jakim pójdzie. Ale szkoły drogo kosztują. Czasem sobie włosy z głowy wydziera przemyśliwając, czym i jak za nich zapłaci. Dotąd znajdowała źródła i środki, ale nie jest pewna, czy tak do końca będzie. Lada niepowodzenia, lada klęska w gospodarstwie, a jej najdroższe nadzieje przepadną! Tymczasem robi, co może, i gdyby tylko Bolek większej ochoty do nauki nabrał, a Staś tak często nie chorował… Ot,

jaka bieda! jeden zdrów, ale nie bardzo zdolny, drugi zdolny i chętny, ale słabego zdrowia.

Wszystko to opowiadała z policzkiem na dłoni opartym i gęsto, gęsto w tej chwili drobnymi zmarszczkami okrytym czołem. Końce jej ładnych ust opuszczały się czasem w dół, rzucając na dolną część twarzy dwie głębokie bruzdy.

— Ile ty lat masz, kuzynko? — zapytał wpatrujący się w nią ciągle Różyc.

— Trzydzieści cztery — z niejakim zdziwieniem odpowiedziała.

— Czy wiesz o tym, że kobiety w twoim wieku i tak jak ty urodzone używają jeszcze życia na swoją rękę, błyszczą w świecie, łowią w locie różowe godziny wesołości i szczęścia?…

Niedbale skinęła ręką.

— Mniejsza o to! Inne ja rzeczy mam na głowie…

I dalej jeszcze opowiadałaby o swoich biedach i nadziejach, gdyby Różyc jej nie przerwał. Powoli, z przestankami, bo znużenie ogarniać go już zaczynało, mówić jej zaczął o zupełnej swej niezdatności do osobistego zarządzania Wołowszczyzną, o tym, że niepodobna mu w tych stronach osiedlać się stale, że pragnie i potrzebuje koniecznie kogoś do zarządzania majątkami tymi i chciałby, aby tym kimś był mąż jej, Bolesław Kirło. Układ ten — mówił — byłby korzystny dla stron obu. Wołowszczyzna pod zarządem życzliwego krewnego zaczęłaby prosperować[175] i większe dawać dochody; krewny zaś otrzymywałby za swą pracę wynagrodzenie, które by znakomicie podniosło dobrobyt jego rodziny: trzy tysiące rocznej pensji, tantiema[176]od zwiększających się dochodów i inne różne zyski, które teraz leni się przypominać sobie i wyliczać…

— Jeżeli nic przeciwko układowi temu nie masz, droga kuzynko, pomów o nim ze swoim mężem. Niech przygotuje kontrakt, umowę czy tam coś podobnego i przywiezie mi do podpisania. Za parę miesięcy będzie mógł przyjąć rządy majątków od teraźniejszego rządcy, który stał się zupełnie już niemożliwy.

Kirłowa słuchała z uwagą, potem dość długo milczała i myślała. Widać było, że perspektywa przedstawiona jej przez krewnego uśmiechała się do niej prawie rajskim powabem. Odpocząć nieco po kilkunastoletniej ciężkiej pracy, gospodarstwo w Olszynce ulepszyć, synom i młodszym córkom staranne wychowanie zapewnić! Co za złote marzenie! Nic nad to na ziemi nie pragnęła. Ale po długim namyśle wyraz głębokiego smutku twarz jej pokrył. Głową przecząco wstrząsnęła.

— Dziękuję ci — zaczęła z cicha — dziękuję, dziękuję, ale to być nie może… Ja… ja nigdy nie zgodzę się na to…

Widziała, że patrzał na nią ze zdziwieniem, więc ze spuszczonymi powiekami, tak prędko, jakby pilno jej było pozbyć się tego przedmiotu rozmowy, ale zarazem z częstym wahaniem się głosu mówiła:

— Byłoby to dla nas wielkim szczęściem i rozumiem dobrze, że właśnie dlatego propozycję tę zrobiłeś… ale widzisz… dla ciebie nie wynikłoby z

tego układu nic dobrego… Jest to ostatni już twój fundusz… trzeba, aby ktoś zajął się nim na dobre, a Boleś… mój mąż… gdzie tam! ani myśleć o tym nie można!

Nagle pochwyciła jego ręce i podniosła ku niemu wzrok pełen trwogi i prośby.

— Tylko — zawołała — nie myśl o nim nic złego… proszę cię, nie myśl o nim nic złego! Ja wcale nie mówię, że jest on nieuczciwy czy coś podobnego. Wcale nie! Nic przecież złego nikomu nie zrobił, spytaj się wszystkich, a każdy ci powie, że nic złego nie zrobił i że to dobry człowiek, poczciwy…

— Więc dlaczegóż? — pytał Różyc.

— Dlaczego? Mój drogi kuzynie, każdy człowiek ma swoje wady, wiesz o tym dobrze. I on je ma… Nie są to nawet wady, tylko przyzwyczajenia… Pracować nie lubi, bez towarzystwa i rozrywek żyć nie może. Gdybyś wiedział wszystko: jak go wychowywali i jak pierwszą młodość swoją przebył, sam byś przyznał, że są to tylko przyzwyczajenia… Ojciec jego, mając ten tylko folwarczek, trzymał się wiecznie pańskich klamek, od komina do komina jeździł i syna z sobą woził. W szkołach trzy klasy tylko skończył i zaraz za skończonego obywatela uchodzić zaczął. Potem, kiedy ożenił się ze mną i moim posażkiem długi opłacił, ja sama starałam się wyręczać go we wszystkim i kłopoty od niego usuwać… Tak już przywykł… ale z tymi przyzwyczajeniami jakżeby on mógł tak wielkiej pracy podołać? Podjąłby się może, ale wiem, że nic by dobrego z tego nie wynikło… Nie chcę! Wolę już tak, jak jest! Proszę cię na wszystko, abyś jemu o tym projekcie nigdy nie wspominał i sam o nim nie myślał. Proszę…

Różyc wpatrywał się w nią niby w ciekawe zjawisko.

— Moja droga — zaczął — ty kochasz tego człowieka?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Jakże?… — zaczęła. — Poszłam za niego z miłości, nikt mnie nie zmuszał, owszem, rodzice sprzeciwiali się, familia odradzała i paru innym dla niego odmówiłam. Czy ty, kuzynie, wyobrażasz sobie, że my, tak jak wy tam, na waszym wielkim świecie, dwadzieścia razy w życiu kochać i przestawać kochać możemy?

— Dwieście razy! — poprawił.

Ale ona żartobliwej poprawki tej nie słysząc mówiła dalej:

— Nabiera się przecież przyjaźni i przywiązania dla człowieka, z którym choć czas jakiś przeżyło się szczęśliwie. Zresztą, dzieci!… Mój kuzynie, jeżeli ożenisz się kiedy i zostaniesz ojcem, zrozumiesz, jaki to węzeł!

— Z tym wszystkim nie chcesz, abym twemu mężowi powierzył…

— Nie! — żywo zawołała — nie chcę, stanowczo nie chcę, bo on by nie podołał i wynikłaby z tego szkoda dla twoich majątków… wiem o tym!

Różyc wstał. Niejaka zdolność do sympatii i współczucia istnieć jeszcze musiała w tym apatycznym i chorym człowieku, bo wyraz, z jakim patrzył na krewną swą, był bardzo podobny do wyrazu uwielbienia.

— Cóż robić? — rzekł — kiedy tego żadną już miarą nie chcesz… ale musisz przynajmniej pozwolić…

Obie jej ręce w swoich trzymając i w twarz jej patrząc z widoczną nieśmiałością dokończył:

— Abym ponosił koszta wychowywania twoich synów, dopóki… dopóki oni nauk nie skończą albo ja reszty majątku nie stracę.

Przy ostatnich wyrazach próbował uśmiechnąć się żartobliwie, ale nerwowe drgania tak mu wstrząsały czołem, brwiami i ustami, że twarz jego przybrała wyraz bolesny, prawie tragiczny.

— Proszę — dokończył ciszej — proszę…

Stała chwilę ze spuszczonymi oczami, płomiennie zarumieniona i milcząca. Może ze swymi także przyzwyczajeniami w tej chwili walczyła, dobrodziejstw od nikogo przyjmować nie chcąc. Dwie duże łzy wypłynęły spod jej spuszczonych powiek i na pięknie zarysowanych, przywiędłych policzkach przeciągnęły wilgotne bruzdy. Ale wnet potem podniosła na krewnego spojrzenie pełne głębokiej wdzięczności.

— Dziękuję — rzekła z cicha — i przyjmuję… od ciebie! Zresztą, dla dzieci… wszystko…

Pocałował obie jej ręce, a gdy wyprostował się, twarz jego wydawała się daleko spokojniejsza niż wprzódy, choć pociemniała jakoś i bardzo zmęczona.

— Zrobiłaś mi prawdziwą łaskę… Na ciemnej przestrzeni, którą ciągle widzę przed sobą, będę miał choć jeden punkt jaśniejszy… O szczegółach tyczących się tych kochanych chłopców pomówimy innym razem… Teraz muszę już jechać…

Spojrzał na zegarek.

— Już przeszło sześć godzin, jak z domu wyjechałem.

— Boże mój! — westchnęła Kirłowa — a więcej niż sześć godzin trudno ci obejść się bez…

— Bez czego? Nazwijże choć raz rzecz po imieniu! Po prostu, przez usta ci przejść to nie może, co?

Próbował znowu żartować, ale było coś rozpaczliwego w geście, jakim dłoń po czole przesunął, i wymówił:

— Trudno… niepodobna!

Ona z bólem na niego patrzała.

— Wiesz co? — rzekła — jedyny dla ciebie ratunek byłby w ożenieniu się z kobietą rozsądną, szlachetną i którą byś kochał…

— Wracasz do swego…

— I ciągle powracać będę! — zwykłym sobie ruchem ściśniętą rękę o dłoń uderzając zawołała i z wesołym znowu spojrzeniem dodała: — *Ce que femme veut, Dieu le veut*[177]. Francuszczyzna moja pewno tak samo kulawa, jak u Justyny, ale przysłowie sprawdza się często. Zresztą, najlepiej po prostu mówić: gdzie diabeł nie może, tam babę pośle… Zobaczysz, że ja cię namówię…

Przy drzwiach jeszcze, ściskając mu ręce, mówiła:

— Jak tylko złapię swobodną godzinę, sama do ciebie przyjadę i znowu o tym pomówimy. I jeszcze coś na myśl mi przyszło. Jeżeli chcesz dla Wołowszczyzny prawdziwie dobrego rządcy, zrób tę propozycję Korczyńskiemu. To, to ale. Doskonały gospodarz, jak wół pracowity i perła uczciwości, mówię ci, że perła… Spróbuj…

Niedbale machnął ręką. Widać było, że śpieszył bardzo z odjazdem i że wszystko na świecie obchodzić go przestawało, ale Kirłowa zbiegła z ganku i przy stopniu karety zgrabnym ruchem uczepiwszy się jego ramienia, szepnęła mu jeszcze na ucho:

— Pomyśl nad tym, co mówiłam ci o Justynie. Kpij z cioci księżny i ze wszystkich światowych głupstw! Łajdactwo cię nie uszczęśliwiło, spróbuj poczciwego życia!…

Jakkolwiek zobojętniały i znużony aż do bezsilności, zaśmiał się połową drgających ust.

— Oto co znaczy prawdziwie rzeczy po imieniu nazywać! Dobrze, przyjedź do Wołowszczyzny, o wszystkim pomówimy.

Zaledwie karetka wytoczyła się za bramę, Kirłowa do domu wpadła, w kuchni i izbie czeladnej kilka rozporządzeń wydała i do tego pokoju pobiegła, w którym znajdowali się jej synowie. Tu trafiła na gwarną scenę. Swawolny Boleś i niedomagający Staś zawzięcie bawili się z najmłodszą siostrą, strasząc ją niby tupaniem nóg i hukaniem nad samymi jej uszami; ale więcej niż kiedy rozczochrana i z tołubka swojego rozebrana Bronia znała się dobrze na podobnych żartach i udając tylko, że się lęka, z zanoszącym się śmiechem w różne kąty pokoju uciekała. Naprawdę przelękły się tylko siedzące w kotuchach[178] kury, które przecież stanowisk swych nie opuszczając, z postawami pełnymi powagi, wniebogłosy gdakały. Uspokojona trochę o syna, boć nie mógł czuć się bardzo chory, skoro bawił się tak wesoło, Kirłowa kupców do bawialnego pokoju wprowadziła i po krótkiej jeszcze z nimi sprzeczce prędko, z niejakim rozmachem pióra umowę napisała, zadatek pieniężny wzięła i chwilę jeszcze bardzo grzecznie o urodzaju i cenach zboża porozmawiawszy, na ganek wyszła.

Na dworze zimny wiatr przez dzień cały szalejący zupełnie ustał, powietrze było chłodne jeszcze, ale ciche i mniej ostre. Daleko, kędyś na krańcu zaniemeńskich pastwisk, słońce zachodziło pogodnie i jaskrawo, ulewą świateł napełniając przezroczysty gaj olchowy, zza którego rzadkich pni widać było pstrą trzodę na przeciwległym wybrzeżu rzeki rozsypaną. Z wilgotnej łąki, która spływała ku szarzejącej w pobliżu wiosce, od wód stojących, których istnienie zdradzały jasnozielone ajery i ciemne kołpaki łozy, dochodziły przeciągłe i coraz bliższe ryczenia krów. Ścieżką, która środkiem łąki biegła od dworu do wsi, szła gromadka kobiet, które od plecia warzywnych ogrodów powracały. Był to wijący się pośród zielonej przestrzeni sznur jaskrawych chustek kobiecych, pąsowych[179] czapek dziecinnych i szybko migocących bosych stóp. Sposób, w jaki ta ścieżka

wydeptaną była, opowiadał o częstych i licznych stosunkach zachodzących pomiędzy tym niewielkim dworem i tym niedługim szeregiem chat. Teraz także z gromadką powracających do wsi kobiet i dzieci rozminęło się kilku chłopów do dworu dążących. Kirłowa na ganku stojąc z daleka ich spostrzegła. Wiedziała, z czym przychodzą, ale w tej chwili nie mogła cierpliwie czekać nadejścia gospodarzy, którzy po trochu byli jej wspólnikami, bo obrabiali w Olszynce część gruntów, najbardziej od dworu oddaloną, po połowie dzieląc się zbiorami z ich właścicielką. Po prostu, trudno jej było w tej chwili stać na miejscu. Niespokojna czuła się widocznie; ze zmarszczonym czołem i wytężonym wzrokiem patrzała w stronę warzywnych ogrodów. Roboty dzienne były już tam ukończone: dlaczegóż więc córka jej nie wracała? Dlaczego ten ładny i taki żywy chłopak tak często tu przebywał, ani na krok dziewczynki tej nie opuszczając? I ojcu jego może się nie podobać, że co dzień prawie dla Olszynki Korczyn opuszcza. I Marynia… taka młodziutka i tak głębokie, niewymowne szczęście tryska z jej twarzy, gdy spostrzeże czarnego Marsa, który w szerokich poskokach na dziedziniec wpada, pana swego poprzedzając.

— Co ja z tym fantem pocznę? — z widoczną troską szepnęła do siebie kobieta. — Wypowiedzieć mu dom albo niegrzecznie przyjmować go… niepodobna! Bo i za cóż? Poczciwy chłopak i syn najpoczciwszego sąsiada! Znają się z sobą od dzieciństwa, więc może to taka przyjaźń… ale dlaczegóż już nie przychodzą!

Zbiegła z ganku, prędko przeszła dziedziniec i niedaleko małego spichrza za kilku bzowymi krzakami stanęła. Zobaczyła córkę swą siedzącą na niskim progu małej budowy, do której wnętrza parę godzin temu przed padającym deszczem uprowadzała chłopskie dzieci.

Z warkoczem lnianych włosów opadającym na wąski tołubek szesnastoletnia dziewczyna różowy swój policzek na dłoni wspierała i błękitne oczy wznosiła w górę ku twarzy stojącego przed nią towarzysza. W myśliwskim ubraniu swym, wysmukły i zgrabny, z lufą fuzji zza ramienia mu sterczącą, Witold Korczyński rozprawiał o czymś z ożywieniem wielkim i częstymi, żywymi gestami. Nadawało mu to z daleka pozór niepospolitej żywości i wybuchliwości, jakkolwiek w zmęczonej trochę cerze jego twarzy znać było długą już i wytężoną pracę książkową. Znać było w tym młodzieńcu dziecię chwili pełnej udręczeń serc i niepokoju umysłów. Nie rozrósł się on na kształt dębu szeroko i potężnie w ciszy i dostatkach rodzicielskiego domu, ale na ławach szkolnych we wczesnych trudach pamięci i myśli wybujał jak młoda topól[180], giętka i poddająca się ruchom otaczającego ją powietrza. Czoło miał dziewicze: białe i gładkie, oczy myśliciela, a zarys ust zdradzający nadmierną wrażliwość i czułość. W ruchach jego głowy była zbyteczna nieco śmiałość i duma; można by czasem rzec, że tuż, tuż, za parę dni lub godzin, wybierze się w podróż naokoło świata albo i na podbój całego świata. Znajdując się tu już od paru

godzin, wiele zapewne z towarzyszką swą mówić musiał, przyniósł dla niej książkę, która teraz leżała na jej kolanach; jednak ani ochoty do mówienia nie stracił, ani ona przestała go słuchać z ciekawością w ożywionych rysach i wzniesionych ku niemu oczach. Zaniepokojone serce matki na widok tej młodej pary uspokoić się mogło. On miał pozór nauczyciela, ona uczennicy; wyglądali jeszcze na parę dobrych przyjaciół zgadzających się z sobą we wszystkim i razem układających jakieś plany. Dziewczynka czyniła głową potakujące ruchy oznaczające zrozumienie albo wysoki stopień zapału, co zdawało się uszczęśliwiać i do dalszego mówienia zachęcać młodzieńca. Z oddalenia, w jakim się znajdowała, Kirłowa słyszała tylko oderwane wyrazy: lud, kraj, gmina, inteligencja, inicjatywa, oświata, dobrobyt itd. Parę razy tylko do uszu jej doszły całe okresy żywcem jakby z mądrej jakiejś książki wyjęte, a prawiące coś o pracach podstawowych i minimalnych[181], o poprawieniu historycznych błędów itd. Uśmiechnęła się prawdziwie po macierzyńsku, trochę żartobliwie, a trochę dumnie.

— Dobrze — rzekła — kiedy tak, to dobrze! Niech sobie gwarzą o takich pięknych rzeczach!

I miała już odejść ku gankowi, ale jeszcze młoda para wzrok jej do siebie przykuła. Marynia z wolna podniosła się ze swego niskiego siedzenia i z powolnością ruchów zdradzającą głębokie zamyślenie wsunęła rękę swą pod ramię towarzysza. Powoli przeszli ogród warzywny i wzdłuż olchowego gaju kierowali się ku ścieżce do wsi wiodącej. Nieraz już Kirłowa widziała ich idących w tamtą stronę. Zdawało się, że machinalnie i bezwiednie prawie ciągnęła ich tam wewnętrzna jakaś siła uczucia i myśli. Teraz postacie ich i profile, blisko ku sobie przysunięte, plastycznie odbijały od zielonego tła gaju, po którym przesuwały się powoli. On więcej niż kiedy miał pozór apostoła idee swe wygłaszającego i myśliciela z chmurnymi trochę oczami pod dziecinnym czołem, ona szła z pochyloną nieco głową, z opuszczonymi w dół powiekami i tym zachwyconym uśmiechem na różowych ustach, który towarzyszy budzeniu się młodej myśli i woli. Za nimi szedł poważnie wielki, czarny wyżeł, a przed nimi zachodzące słońce kładło na drogę szerokie szlaki różowych, ruchomych świateł.

II

Paru godzin do południa brakowało, gdy Justyna z olśniewającej ulewy słonecznego światła wchodziła do przyciemnionej nieco sieni korczyńskiego domu. W rękach, więcej niż kiedy ogorzałych, trzymała wielką więź polnych roślin, która w połączeniu z jasną barwą jej sukni i ognistymi rumieńcami policzków czyniła z niej upostaciowanie rozkwitłego lata. Na wschody ganku wbiegła żywo, ale potem stanęła i długo popatrzała kędyś daleko za bramę dworu, na pole. Zamyślenie to przecież smutnym być nie musiało, bo znowu zwracając się ku domowi, prawie głośno zanuciła:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne[182]...

Ale zaledwie weszła do sieni, przerwała nucenie i przyśpieszyła kroku, bo w sali jadalnej słychać było ożywioną rozmowę i nawet jakby sprzeczkę paru głosów. W głębi sali, plecami o bufetową szafę oparta, wielka i trochę przygarbiona, stała Marta, a przed nią młody chłopak i niedorosła panienka mówili jej o czymś oboje razem, o coś na nią nalegali, prosili. Chłopak miał na sobie krótkie i dość zaniedbane ranne ubranie, panienka zaś, wątła i z żółtawą cerą, cała w muślinach, wstążkach, lokach, przypominała bladego, ale ładnego motyla. Oboje bardzo prędko mówili.

— Moja ciociu, czyż ciocia dla nas tego nie zrobi? Kiedy my tak prosimy, tak lękamy się o zdrowie cioci... Doktor powiedział, że cioci koniecznie leczyć się trzeba... że w tym kaszlu jest coś złego... Niech ciocia pozwoli, aby doktor tu przyszedł... my go przyprowadzimy... Czyż ciocia dla nas tego nie zrobi?...

Cieniutkimi ramionami panienka usiłowała objąć kościstą kibić starej panny, a utrefioną swą główkę wysoko podnosiła, aby móc patrzeć w jej twarz, po której przepływały fale uczuć najsprzeczniejszych: gniewu i rozrzewnienia. Gniew przemógł.

— A dajcież mi święty pokój! — rozległ się po sali głos basowy i ochrypły. — Oto mnie napadli! Wieczna niedola! Doktor wasz głupi... co on tam takiego w moim kaszlu usłyszał? Niech Emilkę i Terenię leczy, bo one chore, a ja zdrowa, zdrowiuteńka, mury łamać mogę i żadnych doktorów nie potrzebuję. Jeszcze czego! Wieczne głupstwo! Uf!...

Miała zakaszlać się, tak jak bywało zwykle, ilekroć mówiła ze wzburzeniem, ale wstrzymała się i tylko krztusiła się głośno. Wtem spostrzegła wchodzącą Justynę i rzuciła się ku niej jak ku zbawieniu.

— Spacerujesz sobie, kochanko, spacerujesz, nie wiedzieć gdzie przepadasz i nic nie wiesz, co się w domu dzieje. Wieczna bieda! Emilka

zachorowała na nerwy, na piersi, na serce, na wszystko… doktora sprowadzili… Benedykt tak zląkł się i tak prędko wieźć go kazał, że konie, powiadam ci, całe w pianie przed gankiem stanęły. Pół godziny temu przyjechał i powiedział, jak zawsze, że to nic strasznego… Wielkie rozdrażnienie nerwów i troszkę kataru, bronchitów[183], jak zawsze, powietrze jej zalecił, ruch, rozrywki, dwie recepty zapisał… Ale ja tam do jej pokoju weszłam z kawą i przekąską dla doktora i trzebaż nieszczęścia, zakaszlałam… troszkę tylko, mówię ci, że troszkę… A on popatrzył na mnie i powiada, że to zły kaszel, że mnie leczyć się trzeba… Ja w nogi, a dzieci za mną! „Lecz się, ciotko, i lecz się, pogadaj z doktorem i pogadaj!" A żeby on choć przez trzy dni ust nie otwierał, daj Boże! Chora… chora… wieczne głupstwo! Już jeżeli ja chora, to któż zdrowy? Powiadam ci, że w tej ścianie pięścią dziurę zrobię, jeżeli zechcę!

Kiedy Marta prędko, z rozmachiwaniem ramion i trzęsieniem głowy, nad którą sterczał wysoki grzebień, wszystko to mówiła, Witold i Leonia prędko także i z ożywionymi gestami cicho porozumieli się ze sobą; z sali wybiegli. Justyna powolnym ruchem wzięła rękę Marty, cicho ją pocałowała i długo w oczy jej patrzyła.

— Ja to wszystko rozumiem, ciotko — wymówiła z cicha.

— Już?… rozumiesz? — z trochę zjadliwym śmiechem zadziwiła się Marta, ale wnet spostrzegłszy, że coś niepotrzebnego powiedziała, wybuchnęła: — Cóż ty rozumiesz? Tu najmniejszej rzeczy do rozumienia nie ma! Zdrowa jestem zupełnie i wcale nie potrzebuję, aby mi jak indyczce gałki do gardła rzucali… A ty zaraz w melancholię wpadasz… „Rozumiem!" Nic nie rozumiesz… Wieczne…

Umilkła, bo wzrok jej upadł na snop roślin, które przyniosła Justyna i na stole położyła.

— A toż skąd? — wskazując bukiet bardzo do różnobarwnej miotły podobny zawołała.

— Niech ciotka zgadnie — uśmiechnęła się Justyna.

Czy zgadywała? Wąskie jej wargi zacisnęły się i pośród zmarszczek prawie zniknęły; górną połowę swej ciężkiej postaci naprzód podała, a rozpłomienione przed chwilą oczy jej przygasły i w więź roślin wpatrzyły się tak, jakby ktoś wpatrywał się w nagle przed nim powstałe widmo czegoś, co niegdyś było żyjącym, znanym, może drogim.

— Justyna!

Na dnie stłumionego jej głosu czuć było jakieś wewnętrzne warczenie.

— Co, ciotko?

— Gdzie ty byłaś?

Młoda panna spokojnie odpowiedziała:

— W Bohatyrowiczach.

— A któż ci dał… to…?

Ciemnym, pomarszczonym palcem wskazywała bukiet, jeszcze odeń wzroku nie odrywając. Tym razem Justyna głowę nad więzią roślin

pochyliła.

— Jan Bohatyrowicz — ciszej odpowiedziała.

Jakby ją to nazwisko w pierś uderzyło, Marta wyprostowała się i ze szczególnym połączeniem śmiechu i tego samego, co wprzódy, wewnętrznego warczenia wybuchnęła:

— Cha, cha, cha! No, to już u nich familijne! Wiecznie bukiety wiążą, a co który zwiąże, to miotła. Czysta miotła! Widywałam ja kiedyś takie bukiety często, a ten do tamtych podobny jak dwie krople wody! Ależ pachnie, aż się po całej sali rozeszło! Znałam ja kiedyś i te zapachy... Uf... nie mogę...

I nie mogła już wstrzymać się, zakaszlała; pomarszczone jej czoło nabiegło krwistym rumieńcem. Z tym rumieńcem na czole i krztusząc się jeszcze wymówiła znowu:

— Justyna!

— Co, ciotko?

Stała teraz przed młodą panną prosta i ciężka, podobna do słupa umieszczonego na wielkich, w kwieciste pantofle obutych stopach, i wprost jej w twarz ostro patrzała. Po chwili wskazujący palec do wysokości swej twarzy podniosła i poruszyła nim w powietrzu prawie groźnie.

— Cóż ty sobie myślisz, panienko?... — z cicha zaczęła. — Może ty myślisz, że jednym ludziom Pan Bóg daje serca, a drugim kamienie?... Pewno tak myślisz, ha? U ciebie serce, bo ty panienka, a u niego kamień, bo to chłop! Ha? Pobaw się z kamuszkiem, pobaw się, co to szkodzi? Z nudy, z melancholii! Na pociechę po pańskich karmelkach chłopskie miotły, tymczasem, póki Pan Bóg znowu jakiego panicza nie ześle, ha?

W sposób ten mówiłaby może więcej, ale do sali wbiegł lekki, strojny, głośno śmiejący się podlotek i z radosnym błyskaniem oczu przylgnął cały do niej, jak blady motyl do ciemnego słupa.

— Otóż i postawimy na swoim! Otóż ciocia będzie musiała z doktorem porozmawiać! Już go Widzio tu prowadzi!

W salonie słyszeć się dały kroki dwu mężczyzn, z pokoju pani Emilii ku sali jadalnej zmierzające. Marta, jak wybuchającą miną podrzucona, porwała się z miejsca i kilku susami salę przesadziwszy wpadła we drzwi do dalszych pokojów wiodące. Za nią biegła Leonia, a potem i Witold, który doktora w salonie pozostawiwszy próbował jeszcze ciotkę dogonić i do zamiaru swego namówić. Ale Marta, pochylona, piętami suknię wysoko za sobą podrzucając, z głośnym tętentem stóp przebiegła parę pokojów, w których parę krzeseł na drodze jej stojących przewróciła, aż wpadła na dość długi korytarz, u którego końca znajdowała się spiżarnia. Biegnąc już wydobyła z kieszeni wielki klucz, który dopadłszy drzwi spiżarni drżącą z pośpiechu ręką w zamku obracać zaczęła. Oddychała przy tym głośno i coś po cichu mruczała. Ale tu dopędziła ją Leonia i, zdyszana także, za suknię ją pochwyciła.

— Ciociu! — zabrzmiał na cały korytarz cienki i prawie płaczący głos

podlotka. — Ja cioci śliczne pantofle wyszyję! Ja ciocię co dzień tak wycałuję… tylko proszę…

Marta odwróciła się i wątłą dziewczynkę nad ziemię uniósłszy, namiętnymi pocałunkami jej włosy, oczy i usta okryła. Zarazem do wnętrza spiżarni ją wciągnęła, prawie wniosła, za sobą i za nią drzwi z trzaskiem na klucz zamykając. Dopadł do nich teraz i Witold.

— Ciotko! — zawołał. — Proszę iść do doktora!…

Pod ściągniętymi brwiami oczy gniewnie mu już błyskać zaczynały. Ale we wnętrzu spiżarni słychać było wiele naraz odgłosów: śmiech, całusy, brząkanie szklanych naczyń. Widocznie w fortecy tej bawiono się wybornie. Z czołem do drzwi przyciśniętym Witold zawołał:

— Czy ciocia nie zrobi tego, o co proszę?

Za drzwiami głos gruby, ale w tej chwili miękki i pokorny, mówić zaczął:

— Kotku ty mój, robaczku złoty, miły! Nie trzeba, jak Boga kocham, mnie nic nie trzeba! Czyż ja mogę komu ambaras jaki robić i sobą ludziom głowy kłopotać?… Nie gniewaj się na mnie, mój mileńki! Może chcesz co przekąsić?… Serek mam doskonały i świeże powidła. Chcesz? Ha? Chodź do nas!

— Niechże ciocia otworzy!

Po chwili wszyscy troje znajdowali się w spiżarni. Ileż chwil, odkąd tylko pamięcią sięgnąć mogli, przepędzili oni w tym miejscu z tą wielką, gderliwą i często szyderską kobietą, która ich tu całowała, na ręku swym nosiła, przysmakami najrozmaitszymi karmiła, czasem tak pasła, że aż potem chorowali, a ona doglądała ich znowu, leczyła, drżąc o nich tak, że aż gorączkowe rumieńce żółte policzki jej paliły, a do snu i dla rozrywki śpiewając im grubym swym głosem te stare pieśni, które z dala od dworu unosiły się nad polami.

Wcale co innego działo się w sypialni pani Emilii. Błękitny ten pokój błękitna lampa u sufitu zwisająca co nocy napełniała światłem do księżycowego bardzo podobnym. Oprócz tej lampy do późna zwykle paliła się tam jeszcze jedna, tuż przy łóżku pani Emilii umieszczona i czytającej Teresie przyświecająca. Codziennie do późna Teresa czytywała głośno powieści, pamiętniki, podróże w trzech językach pisane, bo ta mizerna, podstarzała panna, z twarzą przypominającą uwiędłą różę i chorobliwie erotycznym wyrazem ust i oczu, wcale dobrze znała trzy obce języki. Tej nocy książką, którą czytały, była podróż po Egipcie. Tyle naczytały się razem o wszystkich krajach Europy, że od jakiegoś czasu powędrowały już dalej, do innych części świata. Egipt podobał się pani Emilii do tego stopnia, że obudził w niej uczucie niewysłowionej tęsknoty. Wszystko, co o nim czytała, było tak nowe, uderzające wyobraźnię, ponętne. Czemuż nie urodziła się w Egipcie? Byłaby tam najpewniej szczęśliwsza! Zarzuciła nad głową szczupłe ramiona, wzdychała, oczy jej zdawały się rozszerzać, powiększać. Przerwała na chwilę czytanie.

— Jak myślisz, Tereniu? Ja bym tam pewno mogła wiele chodzić, ruszać

się, żyć, kochać?

— O, tak! — odpowiedziała Teresa. — Jakże tam ludzie wśród takiej natury i takich widoków gorąco kochać muszą!

I jej blade źrenice w daleki punkt utkwione napełniły się także marzeniem. Stanął przed nimi wysmukły fellach[184] z oliwkową cerą, ognistym wzrokiem i mówił takie rzeczy, które usłyszeć ona pragnęła zawsze i których nigdy nie słyszała. Na świecie już świt błękitny zamieniał się w dzień biały, kiedy Teresa długo i gorąco ucałowawszy panią Emilię odeszła do sąsiedniego pokoiku, w którym sypiała. Ale zaledwie długim czuwaniem zmęczona połknęła parę codziennych pigułek i ułożyła się do snu, zaledwie przed usypiającym jej wzrokiem zjawił się i przemówił do niej ów oliwkowy fellach, zbudziło ją i z łóżka zerwało wołanie pani Emilii. Było ono tak żałosne, że prawie bosa, w narzuconym naprędce szlafroku, wbiegła do sypialni, którą jeszcze księżycowym blaskiem oświecała błękitna lampa. W tym łagodnym blasku pani Emilia wiła się na pościeli w męczarniach silnego ataku nerwów. Dusiła się, śmiała się i razem płakała, obu dłońmi przyciskała serce, które biło tak, że o parę kroków uderzenia jego słyszeć było można. Oprócz tego wszystkiego kaszlała jeszcze i czuła kłucie w piersi. Może to nie był tylko atak nerwowy, ale także skutki przeziębienia i zgryzoty. Przed dwoma bowiem dniami Witold uprosił ją, aby przeszła się z nim po ogrodzie. Wahała się długo, ale usilnym prośbom syna oprzeć się nie mogąc, poszła. W czasie przechadzki użalała się przed nim na swoje smutne życie i zapewniała, że już długo chodzi i że rosa padać zaczyna. Przy tym syn nie okazał jej dość współczucia, na skargi jej odpowiadał milczeniem, i to ją zgryzło, bo raz jeszcze dowiodło, że nikt, nawet własne dziecko, ani zrozumieć, ani kochać jej nie umie. A potem znowu ten Egipt!... Słowem, dawno już nie cierpiała tak silnie jak teraz. Teresa utraciła zrazu przytomność; od toalety do szafy biegając rozbiła flakon z perfumą i flaszkę z lekarstwem, ale co pewna, to że zupełnie zapomniała o sobie i ze współczuciem gorącym, z gorliwością nieopisaną poiła i karmiła chorą różnymi zaradczymi środkami, grzała dla niej wodę, ocierała ją, pocieszała. Z przyzwyczajenia już tylko fruwała drobnym i lekkim kroczkiem, ale zrobienie jakiejkolwiek toalety ani nawet obawa przed rannym chłodem na myśl jej nie przyszły, kiedy o wczesnej rannej godzinie biegła budzić Martę i Benedykta. Oboje już nie spali. Marta doglądała froterowania posadzek dokonywanego przez kredensowego chłopca, polewała wazony u okien i jednocześnie przyrządzała herbatę dla Benedykta, którego osiodłany wierzchowiec stał już pod gankiem. Była to pora żniw, której część znaczną właściciel Korczyna spędzał zazwyczaj na koniu. Kiedy Teresa, w luźnym i mocno przybrudzonym szlafroku, z trochą własnych włosów rozczochranych nad pomarszczonym czołem, wbiegła do sali jadalnej, na żółtoróżowej jej twarzy malowało się tyle przerażenia i żalu, że Marta i Benedykt domyślili się wszystkiego. I rzecz szczególna! Pomimo że wypadki podobne dość często powtarzały się w jego domu,

pomimo że od lat kilku nic już na pozór nie łączyło go z żoną, Benedykt dowiedziawszy się, o co idzie, kilku skokami znalazł się na ganku, a gdy wydawał rozkazy tyczące się zaprzęgania koni i przywiezienia lekarza z bliskiego miasteczka, wielkie ręce jego trochę drżały. Wnet potem pobiegł do pokojów żony i wkrótce z nich wybiegł, obu dłońmi głowy swej dotykając. Do Marty, która śpieszyła na górę po zażądane przez chorą ziółka, w przechodzie[185] zagadał:

— Nieszczęście z tymi babami! Biedna kobieta! Męczy się okropnie! A ta znów druga klęczy przy łóżku i fontanną płacze! O nic u żadnej dopytać się nie można!

Z ganku potężnym swym głosem krzyczał na służbę o jak najprędsze zaprzęganie koni i lecenie błyskawicą po lekarza i z lekarzem.

Około południa jednak pani Emilia uspokoiła się znacznie i była już tylko tak osłabiona, że aby usłyszeć, co mówiła, trzeba było ucho do ust jej przykładać. W białych muślinach i haftach leżała na pościeli z zamkniętymi oczami, z wyrazem tak cichego i łagodnego cierpienia na twarzy, że w każdym na nią patrzącym istotną litość budzić musiała. Toteż Teresa, tuż przy jej łóżku siedząca, wpatrywała się w nią wzrokiem żałosnym, a Leonia, która cichutko wsunęła się tu po odjeździe doktora, smutnie z robótką w ręku w kąciku siedziała. Wtem do cichego pokoju doleciał turkot zajeżdżającego przed dom powozu, drzwi uchyliły się i dał się słyszeć szept Marty:

— Pan Darzecki przyjechał z młodszymi panienkami, Benedykt prosi, aby Leonia przyszła panienki bawić…

Marta mówiła, jak tylko mogła najciszej, jednak świszczący szept jej doszedł do uszu chorej, która otworzyła oczy, niespokojnie palcami poruszyła i wymówiła:

— Darzeckie… Jak Leonia ubrana?

— Chodź do mamy! — pośpieszenie zaszeptała Teresa.

Panienka na palcach do łóżka matki przybiegła; pani Emilia ogarnęła ją wzrokiem, który, przed chwilą omdlały i zagasły, teraz nabrał trochę bystrości i blasku.

— Suknia dobra — zaszeptała chora — ale kokarda zmięta i buciki brzydkie.

Oczami dała znać córce, aby pochyliła się nad nią, i w czoło ją pocałowała.

— Nie trzeba, aby moja córka była gorzej ubrana od Darzeckich… które stroją się…

W tej chwili na pochylonej ku niej głowie córki spostrzegła coś takiego, co ją tak przeraziło czy podnieciło, że dość prędkim ruchem podniosła się i na łóżku usiadła.

— Loki rozfryzowane! — jęknęła.

A potem spiesznie do Teresy mówiła:

— Moja Tereniu, niech Zofia co najprędzej przypnie Leoni świeżą

kokardę i włoży jej na nogi warszawskie pantofelki… Ale z włosami? Co tu robić z włosami?

— Zwiążę je wstążką! — zaproponował podlotek.

— Cóż robić? Zwiąż wstążką! — odpowiedziała matka. — Tylko — dodała — żeby wstążka tego samego koloru była co kokarda.

Kiedy Leonia odbiegła, z dala i już głośno panny służącej przywołując, chora ruchem zmęczenia i nadzwyczajnej słabości osunęła się znowu na pościel i ledwie dosłyszalnym głosem poprosiła:

— Moja Tereniu, pilnuj tylko, aby nikt tu nie przychodził, nikt a nikt… Nie mogę teraz znieść najmniejszej fatygi. Poczytaj trochę o Egipcie… tylko niegłośno czytaj…

W błękitnej sypialni Teresa stłumionym głosem czytała francuskie podróże po Egipcie, chora czytania tego słuchała w bezwładnej nieruchomości, po salonie zaś przechadzało się dwóch mężczyzn, których wysokie postacie rozmijały się wciąż z przechadzającymi się także trzema niedorosłymi panienkami. Darzeckie i córka Korczyńskich trzymając się pod ręce chodziły wyprostowane i mierzonymi krokami, ale nad ich sztywnymi postaciami, rogi gorsetów zdradzającymi, małe, utrefione głowy bardzo ruchliwie zwracały się ku sobie w bardzo ożywionej pogadance. W rogu salonu z otwartą książką w ręku siedział Witold, ale nie czytał, tylko bystrym, uważnym i coraz chmurniejszym wzrokiem wpatrywał się w ojca i z kolei w siostrę. Widać też było, że przysłuchiwał się pilnie rozmowom przez obie te osoby prowadzonym. Istotnie, zaciekawiająca była zmiana, która zaszła w ruchach, fizjonomii i sposobie mówienia Korczyńskiego. Mogło się zdawać, że zmalał trochę i wyszczuplał, tak nisko głowę pochylał i porywcze swe i rozmachliwe zazwyczaj gesty powściągał. Sposób, w jaki do szwagra swego przemawiał, powściągliwy był także, jakby staranny, a wyraz oczu i ust zdradzał wyraźną chęć przymilenia się i przypodobania. Tylko może właśnie ten umizg i ta staranność o stanie się przyjemnym gościowi pogłębiły grube fałdy jego czoła i policzków, a długie wąsy opuściły aż na klapy płóciennego surduta, w którym przed chwilą zamierzał udać się w pole. Doskonałe przeciwieństwo z panem domu przedstawiał gość. Wysoki, cienki, tak sztywny, że można by go wziąć za chodzący posąg, wytwornie ubrany, chodził on po salonie krokiem mierzonym, trochę drobniejszym, niż by z natury wypadało, z lekkim poskrzypywaniem błyszczącego obuwia. Ręce trzymał w kieszeniach, a blada, wąska, delikatna i krótkim, siwiejącym zarostem otoczona twarz jego okryta była wyrazem głęboko uczuwalnej i wielostronnej wyższości majątkowej, rodowej, cywilizacyjnej. Mową płynną i monotonną wyrażał on Korczyńskiemu głębokie swe ubolewanie nad tym, że niepokoić go musi upomnieniem się o dług swój, czyli o niewypłacony mu dotąd posag żony. Korczyński przy pierwszych zaraz słowach jego tej sprawy tyczących się drgnął, jak gdyby mu kto ostrze jakieś za skórę zapuścił, nagle i dziwnie lekko do bocznego stolika poskoczył i z uśmiechem prawie zalotnym wzięte stamtąd cygaro

szwagrowi podał:

— Dziękuję, przed obiadem nie palę nigdy — rąk z kieszeni nie wyjmując i przechadzki swej nie przerywając odmówił Darzecki.

Benedykt z wyrazem prośby popatrzył mu w oczy.

— A może?… Wcale dobre… Przywiozłem takich parę pudełek z miasta na wypadek takich gości, jak kochany szwagier… tylko takich gości!

— Dziękuję, nie — powtórzył gość z ledwie spostrzegalnym i pierwszym, odkąd tu przybył, poruszeniem głowy, a zaraz potem mówił dalej: — Właściwie, te kilkanaście tysięcy rubli są bagatelką, o której i mowy pomiędzy nami być nie powinno… Pojmuję dobrze solidarność obywatelską, będącą niejako fundamentem społecznej budowy. Powinniśmy podtrzymywać się wzajem, chociażby z ujmą własną… tak, cho-ciaż-by z uj-mą. Człowiek cywilizowany nie może doświadczyć większej przykrości, jak kiedy mu przychodzi pogwałcić w najmniejszej rzeczy te węzły, te sympatie, te najlepsze chęci, które uczuwa dla swoich bliskich, tak, dla swo-ich blis-kich…

— Procenty płacę regularnie — nieśmiało i cicho przerwał Benedykt.

Mała, siwiejąca głowa, na sztywnym karku osadzona, uczyniła drugie z rzędu, zaledwie dostrzegalne poruszenie, tym razem twierdzące.

— Regularnie, tak, re-gu-lar-nie. Jesteś, kochany szwagrze, człowiekiem honoru i serca i za prawdziwe szczęście uważam sobie, że ci to przyznać mogę…

— Więc może i nadal… — szepnął Benedykt.

Błyszczące obuwie gościa głośniej trochę skrzypnęło i była to jedyna oznaka, że czuł się cokolwiek zakłopotany.

— Niepodobna, kochany panie Benedykcie… Gdyby człowiek mógł zawsze być panem okoliczności, bezwarunkowo miałbym sobie za punkt obywatelskiego honoru, tak, ho-no-ru, a także za miłą powinność pokrewieńską i przyjacielską, uczynić ci i nadal, jak dotąd czyniłem, folgę, ustępstwo, ułatwienie w twoich interesach… tak jak dotąd czyniłem…

— Za co ci, kochany szwagrze, najpokorniej wdzięczny jestem — przerwał znowu Benedykt, a głos jego był istotnie bardzo pokorny. — Dobroć i względność twoja… — ciągnął — ośmiela mię…

Wtem jak jasne motyle pomiędzy nagie ciernie w rozmowę tę wpadły trzy panienki. Trzymając się pod ręce, drogę dwom rozmawiającym mężom zabiegły i na paluszkach wstecz przed nimi idąc, chórem srebrzystych głosików zaczęły:

— Papciu, kuzynki mówią, że salon nasz jest bardzo pusty i wcale nieładnie wygląda… I ja jestem tego samego zdania…

— Wujaszek mógłby już, doprawdy, nowe meble sprowadzić i lepsze dywany sprawić… — jednogłośnie przywtórzyły dwie niedorosłe córki Darzeckiego.

— U nas na pensji nawet salon daleko jest piękniejszy, a ja bym tak chciała, aby nasz był choć taki, jak tamten…

— Pomiędzy oknami powinny być lustra i konsole[186]… — zadecydowały kuzynki.

— Papciu, mój papciu, proszę sprowadzić lustra i konsole, bo doprawdy, mnie aż wstyd, że u nas takie nagie ściany… — żałośnie i prawie ze łzami ojcu w oczy patrząc wołała Leonia.

Benedykt z rodzajem osłupienia na te trzy śliczne istotki patrzał, aż krzyknął prawie:

— No, nie przeszkadzajcie nam rozmawiać! Lalkami wam jeszcze bawić się, a nie salony urządzać…

Panienki trochę rozśmieszone, a trochę zagniewane, frunęły ku tej stronie salonu, w której siedział Witold. Pierwszy raz, z siedzenia swego nie powstając, wmieszał się on do ich rozmowy.

— Może byś ty, Leoniu, mozaikowej posadzki i fresków na suficie chciała…

Gniewnej ironii, z jaką to wymówił, nie dosłyszawszy, cmoknęła bledziutkimi wargami tak, jakby czegoś smacznego skosztowała.

— Czemuż by nie! — zawołała — to prześliczne… ja to widziałam…

I prędko, z zachwyceniem takim, że aż oczy jej błyszczały, opowiadała kuzynkom o wszystkich pięknościach, które czasem w wielkim mieście widywała. Ale kuzynki daleko od niej więcej o tym przedmiocie mówić mogły; bywały przecież u ciotecznej babki swej, bardzo bogatej hrabiny, która to właśnie skojarzyła małżeństwo pomiędzy ich najstarszą siostrą a swym krewnym, niebogatym hrabią. O nim to w tej chwili, o tym przyszłym zięciu swoim, mówił Darzecki Korczyńskiemu.

— Zrozumiesz to łatwo, kochany szwagrze, że do takiej rodziny wchodząc córka moja musi posiadać wyprawę odpowiednią przyszłemu otoczeniu i stanowisku, tak, sta-no-wisku. Tę sumkę właśnie, o którą z przykrością, z rzetelną przykrością upominam się u ciebie, przeznaczamy z żoną na jej wyprawę…

— Tak wielką sumę na wyprawę! — nie mogąc już powściągnąć się, tubalnym swym głosem wykrzyknął Benedykt i ręce szeroko rozpostarłszy jak wryty stanął. Ale zaraz musiał naprzód postąpić ze swym gościem, który ani na sekundę swych drobnych i poskrzypujących kroków nie zwalniając uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie całą, nie całą… ale połowę pewno… Cóż szwagier myśli? Srebra, futra, koronki i inne tam różne kobiece fatałaszki to są rzeczy kosztowne… bardzo kosztowne. Fortepian z Paryża sprowadzić musimy. Żona moja chce i ja się na to zgadzam, aby córka nasza miała fortepian własny, a kiedy już kupować, to coś pięknego, wykwintnego, doskonałego, tak wy-kwint-ne-go i do-sko-na-łe-go! Prawda? Szwagier sam pewno przyzna mi rację, najzupełniejszą rację.

Czy Korczyński wszystkim koniecznym potrzebom przez szwagra wymienionym rację przyznawał — sam on tylko wiedzieć mógł o tym, ale co pewna, to że z pozoru wyglądał na osłupiałego i całkiem pognębionego

człowieka. Milczał, myślał, ze spuszczoną głową długi wąs do połowy prawie w usta wpychał i zębami zawzięcie przygryzał, aż na koniec z cicha wymówił:

— Może byście więc w tym roku na połowie tej sumy poprzestali… Kilka tysięcy mógłbym jeszcze jakimkolwiek sposobem dostać, ale kilkanaście, od razu…

Uderzył się w czoło tak silnie, że po całym salonie rozległo się jakby klaśnięcie z bicza, a po wąskich ustach Darzeckiego przebiegło drgnienie niesmaku. Jednak tym samym zupełnie co wprzódy głosem zaczął znowu:

— Niepodobna, kochany szwagrze, tak nie-po-do-bna! Oprócz wyprawy córki mamy inne potrzeby i wydatki, a sam przyznasz, niezawodnie to przyznasz, że czasy teraz są ciężkie, bardzo ciężkie…

— Niech diabli wezmą takie czasy! — coraz trudniej w tonie delikatności utrzymać się mogąc wykrzyknął Benedykt, ale zaraz głos zniżając i nader uprzejmie dodał: — Szwagierek przynajmniej na ciężkie czasy wyrzekać nie możesz…

— Kto wie? — ze sfinksowym uśmiechem i melancholijnym spojrzeniem w dal zaczął Darzecki — tak, kto wie…

Znowu w rozmowie dwu mężczyzn ta sama, co wprzódy, zaszła przeszkoda. Trzy panienki drogę im zabiegły i na paluszkach przed nimi idąc, z oczami ku Korczyńskiemu wzniesionymi, chórem zaszczebiotały:

— Papciu! Wujaszku, wpadłyśmy na wyborny, doskonały pomysł!

— Śliczny pomysł! — wzbił się nad inne głos Leoni. — Niech papcio sprowadzi cztery posągi, koniecznie cztery: dwa pomiędzy oknami staną, a dwa po rogach salonu!…

— Teraz modnie salony posągami ubierać…

— U nas na pensji są posągi, wprawdzie gipsowe, ale to nic nie szkodzi… zawsze to bardzo zdobi salon… Mój papciu, mój złoty, proszę do naszego salonu sprowadzić cztery posągi, choć gipsowe…

Z nowego osłupienia budząc się Benedykt krzyknął prawie:

— Zwariowałaś, Leoniu, czy co? Ruszaj mi zaraz z drogi i rozmawiać nie przeszkadzaj!

Znowu z tym samym połączeniem śmiechu i obrazy podlotki frunęły w inną stronę salonu i znowu Witold, którego oczy iskrzyły się pod ściągniętymi brwiami, do siostry przemówił:

— No, poprośże jeszcze ojca, żeby ci jaki pałac królewski do Korczyna sprowadził!

Darzecki zaś za odbiegającymi córkami patrząc, z pobłażliwym uśmiechem mówił:

— Wesoła, swobodna, różowa młodość, wiek szczęśliwy, marzeń pełny!…

A potem zaraz do ostatniego wyrazu przerwanej mowy swej powrócił:

— Kto wie? Kto na pewno wiedzieć może, dla kogo los łaskawy jest lub surowy? Nie narzekam, nie narzekam; w porównaniu z innymi w interesach

stoję dobrze, tak, bardzo do-brze. Jednak równowaga ich trochę w ostatnich czasach zachwiana została… trochę…

W na wpół spuszczonych oczach Korczyńskiego przeleciał przy tych słowach gościa zjawiający się w nich czasem błysk mądrej i nieco złośliwej filuterności[187], lecz zgasił go natychmiast gruby cień troski.

— W zeszłym roku potrzebowaliśmy dom nasz powiększyć i trochę przyozdobić… żonie mojej zachciało się małej oranżerii, do której by wychodzić było można prosto z jadalnej sali… córki moje pragnęły inaczej umeblować swoje pokoiki… ja znowu popełniłem szaleństwo, tak, przyznaję to, sza-leństwo — powiozłem je wszystkie za granicę… Podróż sześciu osób kosztowała wiele, ale sprawienie im tej przyjemności było prawdziwą potrzebą mego serca, której odmówić sobie nie mogłem. Słowem, od lat kilku, to jest od czasu, kiedy starsze córki moje dorosły, wydawałem trochę za wiele, tak, za wie-le, i dlatego równowaga trochę się zachwiała…

Wzburzeniu, które szeroką pierś jego podnosiło, folgi trochę dając, z całych sił przecież hamując się, Korczyński zauważył:

— Ależ, kochany szwagrze, zawsze byłem zdania, że to powiększanie domu, te oranżerie i te wojaże były dla was wcale niepotrzebne!…

O jedną czwartą tonu głos podnosząc i z widoczniejszym niż kiedy wyrazem własnej wyższości na twarzy, Darzecki odpowiedział:

— To względne, kochany panie Benedykcie, tak, bardzo względne. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, a cywilizacja stwarza w nas potrzeby, gusty, przyzwyczajenia, dążenia, tak, dą-że-nia, które są naszym życiem, których wyrzekając się gwałcimy niejako własną naturę, samą naszą duszę. Człowiek ucywilizowany rozkochany jest w pięknie, w harmonii, w rzeczach wykwintnych, wzniosłych; pragnie on także wrażeń, duchowego zasiłku, umysłowego wzrostu, których bez wytwornego otoczenia, bez podróży i tym podobnych zbytków życia posiadać nie można. Zresztą, mam córki i nikt mi tego za złe brać nie powinien, że pragnę dla nich losu najświetniejszego, tak naj-świet-niej-sze-go. Na koniec, znasz dobrze, kochany szwagrze, moje stosunki familijne. Jedna z ciotek moich wysokie zajmuje miejsce w kołach arystokratycznych… stryjeczny brat mój, powiększywszy znacznie swą fortunę, posiada dom po książęcemu prawie urządzony. Z tych dwóch źródeł płyną liczne moje znajomości i kuzynostwa. Stosunki zaś do wielu rzeczy obowiązują, niejako zmuszają. Jest to moralna presja, której poddajemy się chętnie, bo daje nam w zamian znaczną, bardzo zna-czną sumę przyjemności zupełnie wyższych. Eksplikuję się[188] przed tobą, kochany szwagrze, ponieważ z przykrością, z rzetelną przykrością przychodzi mi kłopotać cię o tę sumkę… Ale znam cię, kochany szwagrze, jako człowieka honoru, serca i rozumu, więc nie wątpię, że gdy nad pozycją moją zastanowić się zechcesz, przyznasz mi rację, najzupełniejszą rację!

Z powierzchowności sądząc nie widać było, aby Korczyński przyznawał

szwagrowi najzupełniejszą rację; nic jednak o tym nie powiedział. W zamian, zniżonym i prawie pokornym głosem mówić zaczął o tym, że długu tego ani na chwilę uważać nie przestał za najsprawiedliwszy, że procenty regularnie opłacał i nawet przed kilku laty na żądanie szwagra stopę ich podniósł, że za wielkie wyświadczone mu dobrodziejstwo uważa, iż tak długo nie żądano od niego wypłacenia tej sumy. Potem, z kolei, eksplikował się z przyczyn, które tę wypłatę czynią dla niego niezmiernie trudną i prawie rujnującą, wyliczał dochody swe i wydatki, ciężary obarczające Korczyn, starania swe o zachowanie i ulepszanie majątku. Mówił długo, a ponieważ nie chciał, aby dzieci słyszały wszystko, co mówił, głos zniżał prawie do szeptu, co mowę jego podobną czyniło do odbywanej spowiedzi. Była to spowiedź widocznie męcząca, bo plecy garbiły mu się coraz więcej i wzrok coraz nieruchomiej tkwił w ziemi, a na sfałdowane czoło występowały krople potu. Na koniec, Darzecki u jednej z kanap otoczonych fotelami zatrzymał swe drobne, poskrzypujące kroki i na jeden z fotelów opuścił się w ten sposób, że można go było wziąć za siadający posąg. Benedykt usiadł także i przestając mówić słuchał długich i płynnych wywodów szwagra o różnych źródłach kredytu istniejących, a także takich, które by tylko istnieć mogły; o kapitale, który ludzie nie dość postępowi znieruchomiają w niewycinanych lasach, o zyskach, które on sam spodziewa się osiągnąć z powiększonej swej gorzelni i nowo przez się założonej olejarni, o łączeniu przemysłu z gospodarstwem rolnym; o różnych systemach gospodarskich we Francji, Niemczech, Belgii, Holandii. Skończył na tym, że doradzał szwagrowi albo sprzedanie zaniemeńskiego lasu, albo pożyczenie wiadomej sumy u jednego z kapitalistów miejskich, z którym on sam posiada niejakie stosunki i szwagra zaznajomić gotów, który wprawdzie zażąda procentu wyższego, daleko nawet wyższego nad ten, jaki Benedykt płacił dotąd siostrze, co jest smutną, ale nieuniknioną koniecznością budzącą w nim samym żal, rzetelny żal, ale jeżeli tylko kochany szwagier zastanowić się zechce, nie tylko tego nalegania i tych strat, które poniesie, za złe mu nie poczyta, ale pozycję jego i jej potrzeby wyrozumiawszy przyzna mu niezawodnie rację, naj-zu-peł-niej-szą ra-cję. Korczyński jednemu tylko z tych punktów rację przyznawał: winien był siostrze kilkanaście tysięcy i oddać je, skoro tego stanowczo żądano, było jego bardzo naturalnym i prostym obowiązkiem. O sprzedaży lasu myśleć będzie i z kapitalistą zaznajomi się. Prawdopodobnie drugiego środka użyje raczej niż pierwszego, chociaż jakim sposobem z tej lichwy wylezie, gdy raz w nią wlezie, sam nie wie i nie rozumie. Szwagier utrzymuje, że racjonalniej byłoby las sprzedać; może i jest w tym słuszność, ale są znowu względy, które…

Umilkł i zamyślił się najmłodszy z trzech niegdyś braci Korczyńskich, tak zamyślił się, że przypuścić było można, iż na chwilę o szwagrze i ciężkim kłopocie swym całkiem zapomniał. Po chwili twarz swą do samej prawie twarzy Darzeckiego przysuwając, jak tylko mógł najciszej, szepnął:

— Szwagier może pamięta, że tam jest… to… tamto… mogiła…

— Jaka mogiła? — zadziwił się Darzecki.

— Andrzeja… i to… tamto… tego… tych, którzy z nim razem…

Po chwili dokończył.

— Wszystko to przeszło i wiadoma rzecz, że nawet wspominać o tym nie trzeba. Ale wie szwagier, czasem, kiedy na to… tamto… spojrzę i przypomnę sobie, zdaje mi się, że to kościół…

Teraz Darzecki milczał chwilę, przypomniał sobie także, i oczy, których blade źrenice zmąciły się trochę i zamigotały, wzniósł ku sufitowi. Potem z westchnieniem zaczął:

— Sentymentalność… tak, jest to, kochany szwagrze, sentymen-tal-ność, której, na nieszczęście, każdy z nas mniej albo więcej ulega, a która już nam tyle złego narobiła…

— Pewno, pewno! Tyle złego! — głośno przerwał Benedykt i z przekonaniem, prawie z zapałem dokończył: — Szwagier ma pod tym względem rację, najzupełniejszą rację!

Umilkli, salon napełniały już tylko cienkie i mieszające się z sobą głosy panienek, które na trzech krzesłach w rząd ustawionych siedząc, z ptaszęcymi ruchami ładnych główek po ptaszęcemu świegotały:

— Najmodniejsze teraz pantofelki z szarego płótna ze skórzanymi deseniami…

— Nie cierpię płóciennych… dla mnie najpiękniejsze z wyzłacanej skórki… tylko trzeba koniecznie, aby miały wąskie nosy…

— Ach, wąskie nosy… koniecznie! Koniecznie! U moich są za szerokie, prawda?

I podnosząc nieco małą nóżkę Leonia ze smutkiem na twarzy, ze zmarszczonym trochę czołem ukazywała kuzynkom pantofelek swój na ażurową pończoszkę włożony.

Darzecki powstał i odmawiając śniadania, na które zapraszał go Benedykt, wymawiając się tym, że dziś jeszcze córki swoje zawieźć musi do jednej ze swych ciotek o trzy mile stąd mieszkającej, brata żony żegnał i bratowej najgłębsze swe ubolewanie nad jej chorobą oświadczyć polecał. W przedpokoju mówić zaczął o Zygmuncie i nowym zajęciu, które ten młody człowiek dla siebie znalazł, a które raz jeszcze świadczyło o jego wyższych, niepospolitych zdolnościach. Zabrał się on mianowicie do rozkopywania tak zwanych okopów szwedzkich znajdujących się w bliskości osowieckiego dworu i niezmiernie się do tej roboty zapalił. Znalazł już nawet jakiś od rdzy podziurawiony pałasz i kilka monetek ze szwedzkimi napisami.

— Zadziwiająco zdolny… wielostronnie utalentowany młody człowiek… genialny, tak, powiedzieć można… ge-nial-ny!

Te pochwały synowcowi jego oddawane nie zdawały się bardzo Benedykta uszczęśliwiać. Słuchał ich z trochę posępnym, a trochę żartobliwym wyrazem twarzy.

— Szkoda tylko — zauważył — że do gospodarstwa to już, jak się zdaje,

najmniejszego talentu nie posiada.

— Cóż szwagier chce? — z niezwykłym ożywieniem ukochanego siostrzeńca żony bronił Darzecki. — Cywilizacja ma swoje prawa. Jest to chłopak ucywilizowany, tak, wysoko nawet ucy-wi-li-zo-wa-ny. Przy tym artysta! Czy podobna wymagać, aby go te rzeczy… te małe i niziutkie rzeczy interesowały?…

— Kiedyż bo — zarzucił znowu Benedykt — on podobno i nic nie maluje teraz…

— A nie, a nie! Szkoda, tak, nieodżałowana szko-da! Ale inaczej być nie może… Artyście trzeba wrażeń, swobody, ciągłych widoków piękna… Gdzież on to wszystko tu znaleźć może? Przy tym pomiędzy tymi oborami, stajniami, parobkami etc, etc. czuje się on przygnębiony, obniżony, unieszczęśliwiony…

Rozmowa ta o synowcu, zamiast łagodzić, wzmagała jeszcze wzburzenie i rozdrażnienie Benedykta.

— A, na miłosierdzie boskie! — zawołał. — Czy to ziemia jest rajem, żeby od niej wszystkiego dobrego razem wymagać było można! Czegóż ten gagatek więcej od losu swego żąda? Ma majątek, talent, matkę, która za nim świata nie widzi, młodą i śliczną żonę, tak w nim rozkochaną, że aż czasem ludzi śmieszy…

Na ganku już stojąc, w płaszczu jakiegoś przedziwnego i zapewne bardzo wytwornego kroju, z lekka na ramiona zarzuconym, Darzecki pochylił się ku uchu szwagra tak, jakby to czynił posąg, i szepnął:

— Nie mów tylko nic o jego żonie! Ładna i dobra kobiecina… koligatka[189] przy tym i niebiedna… ale zdaje się… że Zygmusia już znudziła… Cóż szwagier chce? Natura artystyczna! Nudzi go to, co posiada, pragnie tego, czego nie ma…

Z tymi słowami i przy odgłosach pożegnalnych całusów panienek do powozu wsiadał.

Korczyński zawołał z ganku na stajennego chłopca, aby mu konia siodłano, i szerokimi krokami, wąs na palec matając, do salonu wrócił. Musiał jeszcze przed wyjechaniem w pole z synem się rozmówić. Innym razem może by tę rozmowę na później odłożył, polu i odbywającym się śród niego robotom pierwszeństwo dając. Ale teraz świeżo nań spadłą troską rozjątrzony musiał wypowiedzieć synowi uczute względem niego niezadowolenie.

— Witold! — od drzwi salonu zawołał. — Czemuś to nie był łaskaw porozmawiać trochę z wujem i na ganek go przeprowadzić?

Młody człowiek, który plecami do salonu zwrócony stał przed jednym z okien, powoli zwrócił się ku ojcu, ale przez chwilę nie odpowiadał nic. W delikatnych i ruchliwych rysach jego malował się niepokój.

— Dlaczego obchodzisz się z wujem tak, jak gdyby to był twój koleżka, z którym wolno ci rozmawiać lub nie rozmawiać, grzecznym być albo niegrzecznym? Dziesięciu słów do niego nie przemówiłeś, gdy odjeżdżał,

ukłoniłeś mu się z daleka i nie wyszedłeś nawet do przedpokoju, aby mu pomóc do włożenia płaszcza? Czy dlatego tak postępujesz, że jest to człowiek, którego ja łaski potrzebuję? Który mnie jednym swoim słowem może teraz z największego kłopotu wybawić? Czemuż nie odpowiadasz?

Jeszcze nie odpowiadał, ale nie przez nieśmiałość; owszem, mnóstwo wyrazów cisnęło mu się na usta, które kilka razy zadrżały, otworzyły się i zamknęły znowu. Głębsze jakieś uczucie nad nieśmiałość wstrzymywało go od mówienia. Powieki miał spuszczone, ale gdy raz na ojca wzrok podniósł, był on pełen żalu i dręczącego wahania.

— Czemuż nie odpowiadasz? Czy oniemiałeś? — krzyknął już Benedykt.

— Nie chciałbym, ojcze, rozgniewać cię i zmartwić.

Benedykt z irytacją wybuchnął:

— Facecja[190]! Już to zrobiłeś! Rozgniewałeś mnie i zmartwiłeś, a teraz przynajmniej powiedz: dlaczego tak postępujesz z wujem?

Smutne dotąd oczy Witolda błysnęły; zwyczajnym sobie ruchem ręce w tył założył i podnosząc czoło prędko i dość głośno wymówił:

— Dlatego, mój ojcze, że dla pana Darzeckiego nie mam szacunku, a nigdy nie zniżę się do nadskakiwania człowiekowi, którego nie szanuję.

Zdumienie Benedykta granic nie miało; wpatrzył się w syna osłupiałymi oczami i po chwili dopiero zdolnym był wymówić:

— A toż co? Skąd? Dlaczego?

Ale ani wiedział, ani pomyślał o tym, że natarczywymi pytaniami swymi otwierał ujście potokowi wartkiemu i naciskał grunt przepojony ogniem.

— Dlatego — z kolei wybuchnął Witold — że jest to pyszałek, sybaryta[191], egoista, nie dbający o nic oprócz własnej pychy i wygody, nie widzący dalej niż do końca swego nosa, który zadziera pod obłoki dlatego, że ma większy od innych majątek, ciotkę hrabinę i stryjecznego brata wzbogaconego nie wiedzieć w jaki sposób, zapewne potem i krzywdą swych bliźnich. Nie tylko ludziom tego rodzaju sam nadskakiwać nie myślę, ale bolało mnie, o! jak mnie bolało, że ty, mój ojcze, nadskakiwałeś jemu i robiłeś się przed nim taki mały, pokorny…

Boleć go to musiało istotnie, bo i teraz ręką powiódł po czole, a wzrokiem już znowu nie rozgniewanym, lecz rozżalonym, twarz ojca mijając, kędyś daleko patrzał. Ale u Benedykta zdziwienie przytłumiło wszystkie uczucia inne, nawet gniew.

— Patrzcie, jaki mi sędzia! — z ironią wymówił. — Jeszcze ci nie pora…

— Pora, ojcze — popędliwie przerwał młody chłopak.— Zawsze jest pora i widzieć, i mówić prawdę. Młody jestem, ale właśnie dlatego czuję się w prawie sądzić tych, których sposób myślenia, życie, wszystko znajduje się w przeciwieństwie absolutnym ze wszystkimi ideałami młodego, lepszego, mojego świata!

O rzeczach takich, jak ideały, lepsze światy itp., Benedykt od tak już dawna nie myślał, nie mówił i nie słyszał, że i teraz ominęły one organy jego słuchu, żadnego na nich nie czyniąc wrażenia. Głęboko w zamian

dziwiło go i oburzało to, co syn jego powiedział o Darzeckim i o nim samym. Szwagra przywykł lubić i szanować nie pytając wcale, za co lubi go i szanuje; był wdzięczny mu istotnie za wieloletnie nieupominanie się o wypłacenie długu; na koniec, obejście się Darzeckiego, jego wykwintność, koligacje, sam nawet sposób mówienia imponowały mu nieco bez własnej o tym jego wiedzy. Wszystko to było przyczyną, dla której wobec słów syna czuł przede wszystkim zdziwienie. Był przecież i rozgniewany.

— Raczysz więc mieć mi za złe — zaczął — że byłem uprzejmy dla człowieka, który uszczęśliwia moją siostrę i mnie wyświadczał dotąd ważną przysługę?

— Nie uprzejmy, ojcze — z cicha poprawił Witold — ale nadskakujący, pokorny!

— Głupiś — rzucił Benedykt, którego jednak posępne źrenice zmąciły się przy słowach syna i na chwilę utkwiły w ziemi — alboż ty znasz życie i jego konieczności? Zapewne, może z Darzeckim obchodzę się trochę… trochę inaczej niż z innymi, ależ on prawie los nas wszystkich w rękach swoich trzyma… Zresztą szanuję go istotnie…

— Za co? — bystro w same oczy ojca patrząc zapytał Witold.

Było to pytanie, którego Benedykt sam sobie nie zadał był nigdy i które dlatego właśnie sprawiło mu wielką przykrość.

— Jak to za co? Co za co? Jakie za co? Choćby za to, że jest dobrym mężem i ojcem i interesy swoje dobrze prowadzi!

— Czy jesteś pewny, ojcze, że choć to jedno dobrze czyni? A też oranżerie, wojaże, paryskie fortepiany, stosunki z tym kapitalistą i za-chwia-nie rów-no-wa-gi…

Ostatnie wyrazy młody chłopak wymówił z tak wybornym naśladowaniem układu ust i akcentu mowy Darzeckiego, że Benedykt odwrócił się na chwilę, by ukryć uśmiech mimo woli wybiegający mu na usta. Bardzo jednak poważnie i z powracającym gniewem odrzucił:

— Głupiś? Co ty tam znasz się na tym! Dlaczegóż przynajmniej kuzynek swoich bawić się nie starałeś? One chyba żadnych jeszcze ciężkich grzechów nie popełniły, za które czułbyś się w prawie wysyłać je do piekła?

— One same, mój ojcze, są całe jednym grzechem przeciw zdrowemu rozsądkowi i postępowi kobiet popełnionym… — z wybuchającym na nowo zapałem zaczął Witold. — To są, mój ojcze, konsumentki, które z pewnością nic nigdy dla cywilizacji nie wyprodukują. Co ten stary kołek w płocie prawił o cywilizacji, fałszem jest i potwarzą na cywilizację rzucaną. Córki jego nie są ucywilizowane kobiety, ale światowe sroki, które w swoich ptasich główkach dwóch ucywilizowanych myśli nie mają, choć czasem o literaturze i muzyce mówią…

— Witold! — zawołał Benedykt. — Nie pluć mi tak na krewnych!

Ale chłopak tego wykrzyku ojca może nawet nie słyszał. Po czole przepływały mu rumieńce i zwilgotniały oczy.

— Siostra moja na tej samej znajduje się drodze — coraz prędzej i

zapalczywiej mówił. — Dawno już, mój ojcze, mówić z tobą chciałem o niej, ale wahałem się… nie śmiałem… Teraz powiem. To mój obowiązek i moje prawo. Jestem jej bratem i kochaliśmy się od dzieciństwa. Kierujecie ją na lalkę, na taką samą światową srokę…

— Witold!

— Tak, mój ojcze, na lalkę i światową srokę, która jeszcze od ziemi zaledwie odrosła, a już jej w głowie pantofle i posągi! Pantofle i posągi! Oto uczucia i myśli, na których gruncie wzrasta przyszła kobieta i obywatelka…

— Witold!

— Tak, mój ojcze! Marnujecie mi siostrę i to mnie boli, bo nie jest ona ani zła, ani głupia, ale takie niestosowne do ducha czasu wychowanie, takie przykłady zrobią ją najpewniej, jeżeli nie zupełnie złą, to przynajmniej głupią sroką, gęsią, papugą…

— Witold! Milcz!

Tym razem wykrzyk był tak namiętny i głośny, że młody człowiek umilkł.

— Milcz! Milcz! Milcz, błaźnie! — coraz namiętniej powtarzał Korczyński i z oczu ciskał błyskawice. Długo nic więcej przemówić nie mógł, aż na koniec zdławionym głosem rzucił:

— Jesteś złym i zarozumiałym chłopcem, który nic nie szanuje i nikogo nie kocha. Nikogo nie kochasz i wszystkich krytykujesz, krewnych, siostry, nawet ojca… ojca, który jednak ciebie… w tobie… no! Cóż robić?… Niech jeszcze i to…

I prędko odwróciwszy się, szerokim krokiem wyszedł z salonu. Witold pozostał jakby do miejsca przykuty, bardzo blady, z zagryzioną wargą i gorejącym wzrokiem. Dwa wybuchliwe temperamenty, dwie rozdrażnione dusze: ojca i syna, starły się z sobą i scenę tę wykrzesały. Byli bardzo do siebie podobni, a podobieństwo to stało się jedną z przyczyn gwałtowności starcia, przygotowującego się zresztą od kilku tygodni. Od kilku tygodni, od pierwszego prawie dnia przyjazdu Witolda do domu po dwuletniej w nim niebytności, syn spostrzegał w ojcu i w ojcowskim domu mnóstwo rzeczy, które dawniej wcale go nie raziły, a teraz kłuły w oczy, w serce i w mózg; ojciec zaś uczuwał ze strony syna przymus, przemilczenia, chłód… Teraz gorzka uraza, którą w dumnego chłopca uderzyły krzyki i obelżywe słowa ojcowskie, mieniła się na pobladłej jego twarzy z wyrazem gryzącego żalu. Widział dobrze, że w oczach odwracającego się od niego ojca zamigotały łzy. Uraza jednak przemogła.

— Milczeć! — przez zaciśnięte zęby zawołał. — Dobrze! O, pewno, że będę milczał i na takie ubliżenia nie narażę się już nigdy.

Ale w tej samej chwili, innym znowu uczuciem zdjęty, rzucił się ku drzwiom i bez tchu prawie na ganek wypadł. Zobaczył ojca na konia wsiadającego i zbiegłszy ze wschodów ganku, tuż prawie przy koniu stanął:

— Mój ojcze! Może weźmiesz zamiast czapki swój kapelusz z szerokimi brzegami, bo słońce dziś bardzo dopieka…

Nie podnosząc schylonej twarzy, z której długie wąsy aż na surdut mu spadały, i na syna nie patrząc, Benedykt krótko ofuknął:

— Idź precz!

I w tejże chwili ku bramie dziedzińca pocwałował. Wybornym był jeźdźcem; wysoki, silny, z grzbietem końskim jakby zrośnięty, pomimo ciężkości swej pięknie na koniu wyglądał. Niegdyś, w dziecinnych i pacholęcych swych latach Witold zachwycał się widokiem pędzącego na koniu ojca. Uwielbiał go on wtedy więcej jeszcze niż zwykle i pragnął stać się do niego podobny. Ale dziś daleki był bardzo od poetyzowania tej postaci, która na domowym, lecz zgrabnym wierzchowcu z siłą i mimowiedną fantazją osadzona, miała w sobie istotnie jakąś szlachetną, dzielną, z błękitnych mgieł przeszłości wyłaniającą się rycerskość. Ofuknięty znowu, zbladł jeszcze więcej niż wprzódy, cofnął się i do krwi prawie przygryzając wargę, wzrok utkwił w ziemię. Z gorzkiego i gniewnego zamyślenia obudził go głos tajemniczo i jakby trwożnie wołający:

— Witold! Witold!

Podniósł wzrok i zobaczył wyglądającą zza węgła domu głowę, na pierwsze wejrzenie dość szczególny pozór mającą. Była to głowa mężczyzny dwadzieścia dwa lub trzy lata mieć mogącego, wielka, obrosła niezmierną gęstwiną rudawych i mocno rozczochranych włosów, z twarzą wielką, o rysach kształtnych, ale grubych, okrytych cerą tak ogorzałą, że prawie jak krew czerwoną, i u dołu policzków obrosłych również rudawą i rozczochraną gęstwiną włosów. Pośród tej grubej, czerwonej, obrosłej twarzy jaśniał szereg zębów białych jak śnieg a ukazujących się w uśmiechu trochę gapiowatym, a trochę jak u małego dziecka niewinnym i wesołym, i niewinnie, wesoło, przyjaźnie, błękitem i srebrem świeciła para wielkich, podłużnych oczu. Te to właśnie połączenie dziecięcej prawie niewinności i wesołości z grubością rysów, czerwonością cery i obfitością jaskrawych włosów nadawało charakter szczególny i zaciekawiający tej głowie należącej do potężnie wzdłuż i wszerz rozrosłego, ciężkiego, muskularnego, w krótką, szarą siermięgę[192] i wysokie, zrudziałe buty ubranego ciała. Z szerokich pleców tego wielkiego, niewinnie i gapiowato zębami i oczami śmiejącego się chłopca sterczały dwie wysokie i suche linie w grube sznury zaopatrzonych wędzideł[193].

— Julek! A co? — zawołał Witold, którego chmurna twarz rozpogodziła się w mgnieniu oka.

Ale wielki chłopiec nie odpowiadał nic, tylko tajemniczymi gestami ręki i głowy przyzywał go ku sobie. Witold paru skokami znalazł się przy nim, a wtedy i on grubym szeptem mówić zaczął:

— Jeżeli Witold chce dziś na kiełby[194] jechać, to proszę teraz, bo pod wieczór może deszcz spadnie…

— Dobrze! Dobrze! Ale czegóż ty, Julek, tak szepczesz i chowasz się za ścianę?…

Rudy chłopiec wielką swą głowę wtulił w ramiona i z gapiowatym

śmiechem zaszeptał znowu:

— A jakże! Czy ja wiem? Tak jak prawie sześć lat we dworze nie byłem… może tu kto na mnie gniewać się będzie…

— A dlaczegóż czapki na głowie nie masz?

Z tą samą mimiką chłopiec odpowiedział:

— Czy ja wiem? We dworze? Może kto będzie gniewał się na mnie?

— Włóż zaraz czapkę i mów głośno — zadyrygował Witold i widać było, że go znowu coś w serce ukłuło. Ale spojrzał na wędy i zwracając się ku dziedzińcowi zawołał:

— Mars! Mars!

Wielki, czarny ponter wyskoczył z kuchni, w pobliżu której stali dwaj młodzi ludzie.

— Chodźmy! — zawołał Witold.

— Chodźmy! — głośno już i raźnym gestem starą czapkę na ogromną czuprynę swą wkładając, powtórzył chłopiec w siermiędze.

Przez furtkę do ogrodu wbiegłszy od starych klonów, długą ścianą stojących nad samym brzegiem wysokiej góry, szybko z niej zstępować zaczęli ku Niemnowi. Mars cwałował przed nimi.

— A gdzież Sargas? — zapytał Witold.

— He, he, he! Łódki pilnuje! — zaśmiał się jego towarzysz.

— W domu u was wszyscy zdrowi?

— A zdrowi, chwała Bogu!

— Już z pięć dni w okolicy waszej nie byłem..:

— A jakże! Już my mówili, że Witold może przestanie do nas chodzić, bo może Witoldu ociec zabronił…

— Mnie nikt zabronić nie może przestawać z wami i być przyjacielem waszym — oburzył się Witold, ale tym razem wszelkie przykre uczucie krótko w nim trwać mogło. Dzień był taki pogodny, upalny, Niemen u stóp wysokiej góry toczył się taki błękitny i złoty, a u brzegu stała łódka mała, w której wnet z towarzyszem swoim usiądzie, aby na środek rzeki wypłynąć i koniec wędy w błękitach utopiwszy patrzeć mniej może na pływające po ich powierzchni i obecność małej rybki drżeniem swym zdradzające piórko, jak na ten mały, piękny, nad wszystko milszy mu kawałek świata. Oddychać będzie pełną piersią świeżością powietrza i wody i gwarzyć całym sercem z tym towarzyszem swym, z którym ileż razy w dziecinnych swych i nieco nawet późniejszych latach zbiegał razem z tej góry i tak jak teraz siadał razem do łódki, przy której w tej chwili na kształt posążka z czarnego marmuru siedział na straży wyprostowany i nieruchomy, czarny, kudłaty, sporej wielkości Sargas. Niezmącona, dziecinna wesołość okrywała delikatne, inteligentne, trochę już zmęczone rysy Witolda Korczyńskiego i grubą, czerwoną, rudawymi włosami obrosłą twarz Julka Bohatyrowicza. Gdy wiosłami zgodnie uderzyli oni o wodę, łódka zakołysała się na błękitnej i złotej toni, a dwa czarne psy, wyżeł i kundel, każdy naprzeciw swego pana siedząc, wesołymi także oczami ścigały niskie loty nadwodnych

muszek, strzelistych babek[195] i złotym miodem obarczonych pszczół…

Salon korczyńskiego domu rozbrzmiewał teraz muzyką skrzypiec i fortepianu. Pani Emilia po całogodzinnym przebywaniu wyobraźnią w Egipcie i zjedzeniu paru łyżek rosołu uczuła się znowu tak cierpiąca i smutna, że zapotrzebowała jakiejkolwiek rozrywki, jakiejkolwiek moralnej podniety. Czerpała je niekiedy w usposobieniach podobnych z muzyki Orzelskiego. Uszczęśliwiony wezwaniem przez Teresę przyniesionym mu, stary z pomocą córki ubrał się co najprędzej i wraz z nią na dół zszedłszy, z rozkoszą wygrywał teraz jedną po drugiej długie i zawiłe kompozycje. Justyna akompaniowała mu wprawnie, dokładnie i jak od dawna już bywało, obojętnie, prawie machinalnie. Trwało to dobrą godzinę. Orzelski, niezmordowany, zachwycony, rozmarzone oczy topił w rozciągniętej za oknami gęstej zieleni ogrodu, wysubtelniał się, pięknią, unosił się czasem na palcach nóg, jakby miał wnet oderwać się od ziemi. Justyna stawała się przeciwnie coraz bledsza, rysy jej sztywniały, oczy gasły, kilka razy ziewnęła głośno, czego jednak Orzelski, ekstazą porywany, nie spostrzegł. Niezmiernie trudnymi i mistrzowsko wykonanymi pasażami zakończył czwartą czy piątą z rzędu odegraną kompozycję i koniec smyczka do błogo uśmiechniętych ust przykładając, z rozkosznym cmoknięciem wymówił:

— Caca nokturnek[196]! Prawda, Justysiu? Cukierek! A teraz te… może sobie rapsodie zagramy… dobrze?

I już skrzypce pod pulchną brodę podłożywszy, okrągłym ruchem ramienia smyczkiem w powietrzu powiódł i na struny spuścić go miał, a Justyna, cierpliwa, bierna, ze spuszczonymi powiekami, palce swe ku właściwemu miejscu klawiatury kierowała, kiedy w progu przedpokoju zjawiła się Marta. Nie zważając wcale, że czyni przerwę w domowym koncercie, oznajmiła ona, że z podaniem obiadu na powrót Benedykta oczekiwać będzie, a tymczasem dla tych, którzy się czują głodni, śniadanie podać kazała.

Usłyszawszy wyraz śniadanie Orzelski jakby się ze snu obudził i chwilę tylko jeszcze ze smyczkiem na struny opuszczonym osowiałymi oczami za odchodzącą Martą popatrzał. Potem ostrożnie, z pieczołowitością troskliwej piastunki, skrzypce swe w podłużnym pudle składając, z innym nieco jak wprzódy, lecz również błogim uśmiechem zamruczał:

— Śniadanie! O! Dobra rzecz śniadanie! Z rana, przy kawie, tylko troszkę sucharków zjadłem! Żeby to panna Marta tego syrka dała z kminkiem i szyneczki… bo bifsztyk u nas robią nie te…

Z tymi słowami, wyprostowany, i okrągły żołądek naprzód podając, uśmiechnięty, szczęśliwy, do sali jadalnej wszedł, a po chwili przy stole już siedział z serwetą na piersi rozpostartą i nad talerzem szynki, którą z taką samą starannością i uwagą, z jaką na skrzypcach wygrywał pasaże i trele, oblewał i zaprawiał oliwą i musztardą.

Justyna przy fortepianie pozostała. Rzecz szczególna! Trudny i zawiły akompaniament do wielkich muzycznych sztuk wygrywając, czyniła to

widocznie z musu tylko i konieczności, a myślami gdzie indziej przebywała. Teraz zaś nie tylko fortepianu nie opuściła, ale ze schyloną nieco nad klawiaturą twarzą, z zajęciem, szukać na niej zaczęła akordów, którymi widocznie zawtórzyć chciała nucie jakiejś, we wnętrzu jej zapewne śpiewającej. Zamyślona była, oczy jej w klawiaturę utkwione miały wyraz pytania, które może powtarzało się w jej myśli tak uparcie, jak uparcie wiła się po niej owa daleka nuta, do której szukała wtóru. Znalazła go wkrótce; spod palców jej wyszło kilka przyciszonych akordów, przy których z cicha też zanuciła:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne…

Rumieńce powoli opływały znowu śniadawe jej policzki, oczy błysnęły.

Nagle z krzesła zerwać się chciała, ale wnet znowu usiadła. Zamyślenie jej, marzenie, tę nutę dalekiej pieśni, którą dziś wraz ze snopem dzikich roślin z pola przyniosła, przerwał jej turkot kół na dziedzińcu. Po chwili usłyszała w przedpokoju głos Kirły, który, rzecz dziwna! nie zażartował wcale z siedzącego naprzeciw otwartych drzwi Orzelskiego, ale owszem, przesłał mu z dala bardzo uprzejme powitanie. Do salonu wszedł z kapeluszem w ręku, ze sztywnym jak puklerz i śnieżnie białym przodem koszuli, szeroko wyłaniającym się spośród cienkiego i starannie sporządzonego ubrania. Na widok Justyny nie posunął się ku niej, jak to bywało najczęściej, z żartobliwą galanterią, nie spojrzał jej w oczy z drwiącą admiracją, ale przeciwnie, zbliżył się z zupełną powagą w postawie i na twarzy i rękę swą kościstą, lecz białą i wypielęgnowaną, ruchem serdecznym po jej rękę wyciągnął. Podała mu ją bardzo chłodno, ale on z głębokim prawie ukłonem złożył na niej pełen uszanowania pocałunek. Przy tym bez cienia uśmiechu przemówił:

— Winszuję, z całego serca winszuję i proszę, abyś pani była pewna, że nikt nade mnie goręcej szczęścia życzyć pani i szczerszym jej przyjacielem być nie może…

Mówił to ze wzruszeniem, które małe, świecące jego oczka wilgotnymi uczyniły. Justyna lekceważąco ramionami wzruszyła. Powagę, uszanowanie, powinszowania i oświadczenia brała ona za nową formę drwin wesołego sąsiada.

— Zapewne mam wujence oznajmić przyjazd pana? — obojętnie zapytała.

— Jeżeli łaska, jeżeli łaska! — prawie pokornie poprosił Kirło.

Pani Emilia słuchała była muzyki Orzelskiego nieruchomo na pościeli wyciągnięta, z zamkniętymi powiekami, spod których czasem na blade jej policzki spływała łza. Teresa, bezsennością i krzątaniem się około chorej znużona, siedząc na krześle, co chwilę usypiała i z gwałtownymi ruchami głowy budziła się w trwodze, czy nie drzemała za długo; Leonia zaś w kątku

pokoju, przy szczupłym świetle dochodzącym tu zza spuszczonej sztory, zawzięcie wyszywała na kanwie pantofle dla Marty. Od czasu do czasu szeroko poziewała albo z wyrazem znudzenia i niezadowolenia wydymała bledziutkie wargi. Oznajmienie o przybyciu Kirły wywołało w tym dusznym i przyciemnionym pokoju ruch niespodziewany. Pani Emilia dość raźnie i z uśmiechem, który od razu zmęczoną twarz jej odświeżył, usiadła na łóżku i oświadczyła, że czuje się znacznie lepiej, ubierze się i do buduaru swego wyjdzie. Teresa z radości nad polepszeniem się jej zdrowia w ręce ją całowała, chichotała, od łóżka do toalety i na powrót biegała, przynosząc mnóstwo przedmiotów do ubierania się potrzebnych. Przy tym i sama rzucała w lustro spojrzenia to przelotne, to dłuższe.

Kirło samotnie w salonie przesiedział prawie godzinę, którą pani Emilia w asystencji Teresy i panny służącej spędziła przed zwierciadłem swej toalety, otwierając i zamykając pudełka i flakony; a w pracy tej czasem tylko i dla odpoczynku czyniąc krótkie pauzy. Kiedy na koniec wstała od toalety i na spotkanie wchodzącego do buduaru sąsiada postąpiła, chód jej powolny był i trochę jeszcze osłabiony, ale z ubrania i twarzy prawie niepodobna byłoby odgadnąć świeżo przebytych cierpień. Jednak nie udawała nic: ani choroby, ani polepszenia zdrowia. Zmiany te zachodziły w niej pomimo jej woli i wiedzy, mocą wpływów i wrażeń działających na jej nerwy. Z Kirłą łączył ją stosunek bardzo osobliwy. Był to jej przyjaciel, wielbiciel, powiernik. Myślała zawsze o nim jako o jedynym człowieku, który ją rozumiał i czynił wszystko, co od niego zależało, aby dopomóc jej w dźwiganiu smutnego życia. W głębokich tajnikach swej myśli była też przekonana, że kochał się on w niej od dawna, stale, wiernie… Nie dziw więc, że teraz przybycie jego obudziło w niej tę samą siłę, jaką przed kilku tygodniami znalazła była w sobie, aby przez cały dzień i część nocy przyjmować licznych gości i lekko zbiegać ze wschodów, z których zazwyczaj ją znoszono. Miała mu zawsze mnóstwo rzeczy do powiedzenia o sobie, wiedziała, że zawsze zabawi ją, rozerwie, coś miłego jej szepnie, jakimś wzruszeniem rozgrzeje.

Istotnie też, na samym już wstępie przyjemnie ją rozczulił długim i pełnym współczucia ubolewaniem nad stanem jej zdrowia, a potem rozśmieszył ścigając przez dwa pokoje Teresę, którą dziś koniecznie chciał pocałować. Następnie, gdy wygodnie i miękko ułożyła się już na swym pąsowym szezlongu, z udaną powagą oznajmił, że przywiózł ciekawą, dla panny Teresy szczególniej niezmiernie ciekawą nowinę. Obie kobiety z upragnieniem wpatrzyły się w niego; on zaś z odpowiednią okoliczności mimiką opowiedział, że przybywa z Wołowszczyzny, której dziedzic, Teofil Różyc, zakochany jest po uszy w pannie Teresie, że wychwalał dziś jej figurkę, oczy, skromność, dobroć, że słowem, kto wie, czy pomimo wszystkich różnic majątkowych i innych na serio o niej nie pomyśli. Dziś właśnie ma do Korczyna przyjechać i Kirło pośpieszył z oznajmieniem paniom tej wizyty. Usta pani Emilii drżały powstrzymywanym uśmiechem,

ale Teresa rumieniła się, to bladła na przemian; wszystkie nerwy jej twarzy drżeć zaczęły i oczy napełniły się łzami. Ze śmiechem i razem z płaczem rzuciła się ku pani Emilii, przysiadłszy na ziemi kolana jej ucałowała i z pokoju drobniejszym jeszcze kroczkiem niż zwykle wybiegła. Kiedy salon i przedpokój przebiegała, można by ją było wziąć za istotę nieprzytomną; jednak spotkanego lokajczyka zdyszanym głosem o Martę zapytała, a dowiedziawszy się, że znajduje się ona w swoim pokoju, jak wicher wschody przebyła i do tego pokoju wpadła.

— Moja pani, moja złota, moja najdroższa, proszę mi na dziś swoich liliowych kokard pożyczyć! — obejmując Martę wyjęczała.

— Pfuj! Zgiń, maro, przepadnij! Toś mnie dopiero przestraszyła! Któż to widział z takim impetem wpadać! — ofuknęła stara panna. — Na co ci te kokardy? Owszem, pożyczę, ale na co ci dziś kokardy?

— Trzeba, trzeba. Podobno mi w nich do twarzy… Pan Orzelski i pan Kirło mówili, że mnie w nich było do twarzy…

— Cóż to? Czy konkurent jaki przyjeżdża? — dostając z szuflady żądany przedmiot zapytała Marta.

— Może i przyjeżdża! — z figlarnym mruganiem i kręceniem głową odpowiedziała Teresa.

A gdy dwa jedwabne łachmanki znajdowały się już w jej ręku, stanęła przed małym, na ścianie wiszącym lusterkiem i poczęła nimi sobie włosy i stanik przyozdabiać. Oprócz tego układała na głowie zrudziały warkocz i brzeg stanika odchylała w ten sposób, aby zza niego ukazywała się jak najwięcej szyja, w samej rzeczy niepospolicie ładna. Ta głowa w brzydkim, zrudziałym warkoczu i twarz, która kształtem i barwą przypominała uwiędłą różę, osadzona na tej młodej, białej, delikatnej szyi, sprawiała wrażenie prawie bolesne. Marta, znająca dobrze usposobienie swej towarzyszki, a przy tym pogrążona w liczeniu sztuk stołowej bielizny, którą dziś do prania oddać jej było trzeba, najmniejszej uwagi nie zwracała na przystrajającą się i mizdrzącą przed lustrem kobietę. Ale i ona sama przystrajać się i mizdrzyć przestając, splecione swe ręce, małe i chude, na stolik opuściła i zamyśliła się. Wyraz nieskończonej, lecz cichej radości i wdzięczności twarz jej oblał i przyozdobił. Wyglądała teraz na słodką, dobrą, Bogu i ludziom wdzięczną istotę. Można by mniemać, że odmawiała w myśli gorącą, dziękczynną modlitwę. I jakże mogło być inaczej? Wczoraj jeszcze marzyła o oliwkowym fellachu, a dziś oznajmiono jej, że kocha ją lub bardzo, bardzo bliskim ukochania jest Europejczyk, młody, wykwintny, interesujący. O tym, że był także bogaty, nie myślała wcale. Nie za bogactwem tęskniła, lecz za miłością. Miłości jej było trzeba, miłości! Miłości! Rzuciła się ku siedzącej na ziemi Marcie i przysiadłszy przy niej ręce jej, z których brudne serwety wypadły, całować zaczęła.

— Moja droga, moja najmilsza! — szeptała — jeżeli Bóg w dobroci swojej to sprawi, że ja kiedy szczęśliwą będę, nigdy, nigdy o was i o domu waszym nie zapomnę, nigdy wam wdzięczna być nie przestanę za to, że

przytuliliście mnie sierotę i ze słabym zdrowiem.

— Czy ty, Tereniu, blekotu dziś najadłaś się, czy co? — burknęła Marta, ale wielką swą rękę pieszczotliwie przesunęła po tulącej się do jej piersi, rozpalonej, wyrazem szczęścia oblanej, a jednak tak biednie, biednie wyglądającej twarzy.

— No, no! Dość już tego! — łagodnie dokończyła. — Wiadomo, że jesteś dobrą dziewczyną, a tylko masz bzika…

Trzydziestokilkoletnia dziewczyna porwała się z ziemi i chichocąc, skocznego walczyka nucąc, figlarnie głową kręcąc, najdrobniejszym swym kroczkiem z pokoju wyfrunęła.

W buduarze pani Emilii wnet po wyjściu stamtąd Teresy dwoje ludzi rozśmiało się głośno i wesoło.

— Uwierzyła! — wśród śmiechu zawołał Kirło.

— Uwierzyła! — ze śmiechem także powtórzyła pani Emilia.

Bawiła ją łatwowierność i naiwność towarzyszki, jednak zaczęła Kirle wyrzucać, że z niej żartował.

— Ona jest dla mnie bardzo dobra… tak czule pielęgnowała mnie dziś, gdy cierpiałam… Jedyna to istota, przez którą kochana jestem…

— Jedyna! — z wyrzutem zaszeptał Kirło i rączka użalającej się kobiety znalazła się w jego ręku. Delikatne jej policzki opłynął blady rumieniec, powieki spuściła i cicho wymówiła słów kilka o swoim biednym sercu i smutnym, smutnym życiu. Zwierzanie się z jednej strony, a wyrażanie najgorętszego współczucia i uwielbienia z drugiej trwało kilka minut, po czym Kirło budząc się jakby z upojenia, w które go zbliżenie się do sąsiadki wprawiało, z westchnieniem i omglonymi jeszcze oczami wypowiedział, że jednak ma istotnie do oznajmienia jej ciekawą i ważną nowinę. Dla niej nowina wszelka była prawdziwym dobrodziejstwem, więc niecierpliwie dowiadywać się o nią zaczęła. Widać było także, iż wieść, którą oznajmić miał, całkiem odbierała Kirle usposobienie tak do żartów, jak do zalotów. Zupełnie poważnie opowiedział, że wszystko, co Teresie mówił o Różycu, stosuje się w rzeczywistości do Justyny; że ten dziedzic starego nazwiska i wcale pięknego jeszcze majątku bardzo żywo zajęty jest panną Orzelską; że z nasuniętej myśli ożenienia się z nią śmiał się zrazu i żartował, ale teraz zaczyna się nad nią zastanawiać i kto wie? czy nie wyniknie z tego naprawdę ta dziwna niespodzianka, że prędzej lub później oświadczy się o jej rękę.

— W głębi duszy — mówił Kirło — jest to desperat lamentujący nad ruinami swego zdrowia, majątku i życia. Może być więc, że jak deski ratunku schwyci się ożenienia z osobą, która mu się bardzo podoba. Sam przez się nie uczyniłby tego zapewne nigdy, ale żona moja, której jest wielkim admiratorem, nad skłonieniem go ku krokowi temu pracuje, a wiadoma to już rzecz, że *ske la fam we*[197]…

— *Ce que la femme veut*… — dopomogła pani Emilia.

— Otóż to! A jeszcze taka *fam* jak moja Marynia; bo pani i wyobrazić

sobie nie możesz, jaka to energiczna baba! Zawczoraj była w Wołowszczyźnie, długo z nim rozmawiała i przyjechała do domu tak uszczęśliwiona, jakby skarb na drodze znalazła… Dowiedziałem się też od niej, że swoje swatostwo na dobrą już drogę wprowadziła.

Z postawy i sposobu wysłowiania się Kirły widać było, że rzecz tę uważał za bardzo ważną dla Korczyńskich, dla siebie, a przede wszystkim dla Justyny, której imię wymawiał teraz z uszanowaniem, może mimowolnym, ale takim, że głowę przy nim nieco pochylał. Pani Emilii taki mezalians zrazu w głowie pomieścić się nie mógł, a potem samo jego przypuszczenie zachwyciło ją i rozrzewniło do stopnia najwyższego. Dla Justyny byłoby to szczęściem wielkim, niespodziewanym, o którym nawet marzyć ona nie mogła, ale ta strona nowiny niewiele ją zajmowała. Główny interes jej zawierał się w wielkości, wzniosłości i gorącości uczucia, które Różyca do tak nadzwyczajnego kroku skłaniać mogło.

— O, Boże! Cóż to za szczęście musi być dla kobiety obudzić taką miłość, miłość, która wszystkie przeszkody łamie i depcze, której się nic oprzeć nie może, która… dla której… przez którą… Dlaczego każdej nie danym jest spotkać na drodze swego życia takiego serca, takiej namiętności, takiego poświęcenia…

Długo na temat ten fantazjując nie zauważyła niedorosłej, lekkiej jak motyl panienki, która wszystkiego przez otwarte drzwi sypialni wysłuchawszy kanwę z wyszytą różą na ziemię rzuciła i na paluszkach do dalszych pokojów wybiegła. Po chwili cienki głosik Leoni rozlegał się na wschodach, na których spotkała schodzącą na dół Teresę, i w pokoju panny Marty i Justyny, gdzie usłyszaną nowinę z niezmiernie żywymi gestami i błyszczącymi oczami opowiadała.

W kilka minut potem w tym samym pokoju Teresa leżała na jednym ze znajdujących się tam łóżek, z wykrzywioną na głowie kokardą, spłakana i tak do poduszek przytulona, jak chore dziecko tuli się do piersi matki lub piastunki. Skoczne walczyki i dziękczynne modlitwy dalekimi już od niej były. Od czasu do czasu cicho i jękliwie wymawiała:

— Co ja złego jej zrobiłam, że pozwala ona tak żartować ze mnie!

A potem z żałosnym westchnieniem:

— Ja ją tak kocham, a ona dla mnie nie ma żadnej sympatii!…

Zaczęła znowu płakać i śród łkań mówiła jeszcze:

— I jakiż to zresztą sens tak żartować ze mnie? Gdybym już była taka stara i straszna… Dwadzieścia dziewięć lat mam, dlaczegóż bym więc uwierzyć nie mogła, że się komuś podobałam!

Po chwilowym uspokojeniu się jęknęła znowu:

— Ja ją tak kocham, tak kocham, a ona żartuje ze mnie! O Boże, jak mnie głowa boli!

Wtem zerwała się i na łóżku usiadła.

— O mój Boże! — krzyknęła — wszakże to ja jej lekarstwa nie dałam! Która godzina, Justynko? Pewno już pora minęła, a ona zagawędziła się i

nie wzięła. Ten pan Kirło taki przyjemny… jak zagawędzi się z nim, pewno o lekarstwie zapomni… Która godzina, Justynko? Trzeba biedaczce dać tej mikstury, bo jeszcze znowu duszenie schwyci… A ja i zapomniałam, o Boże!

Drżącymi rękami, żółtsza niż kiedy i od płaczu zaczerwieniona, warkocz i kokardę na głowie poprawiała i machinalnie już osuwała brzeg stanika, aby białą i kształtną szyję lepiej odsłonić. Potem za bolącą głowę chwytając się, na zapomnienie się swoje wyrzekając, nad chorą, o której zapomniała, użalając się, z pokoju wybiegła. Marta podniosła się wtedy znad stosu bielizny, którą już przeliczyła, i na siedzącą u okna Justynę popatrzała.

— Cóż? — ozwała się. — Winszuję! Może cię świetny los spotka. Ten Różyc, słowo honoru, musi być uczciwym człowiekiem, kiedy naprawdę żenić się myśli z biedną dziewczyną. Cieszę się, życzę, winszuję…

Z rozjaśnionego jej czoła i mniej niż zwykle ostrego spojrzenia widać było, że cieszyła się naprawdę. Jednak ku drzwiom idąc, znowu oburkliwie i z ironią rzuciła:

— Nie melancholizuj tylko i nie kapryś, ale Panu Bogu dziękuj, bo jeżeli cię ten Różyc weźmie, nie będziesz miała nigdy szczęścia zrobić się cholerą albo synogarlicą. Cholera, uważasz, to ja, a synogarlica to Teresa…

Z tymi słowami z pokoju wyszła. Justyna u otwartego okna siedząc naprawiała swoją znoszoną suknię. Od dawna robiła to zawsze sama, starając się jak najmniej usługi potrzebować i kogokolwiek sobą zajmować. Ale teraz igła wypadła jej z palców. Lepiej od wszystkich wiedziała ona, że w wieści przez Kirłę przywiezionej wiele było prawdy. W czasie ostatnich odwiedzin Różyca zajmowanie się nią młodego pana zaprawione było tym uszanowaniem i tą badawczością, z jakimi mężczyzna zbliża się do kobiety, względem której tworzy poważne zamiary. Może więc być, że lada dzień złoty owoc z czarodziejskiej jabłoni szczęścia spłynie jej do rąk. Myśląc o tym nie wyglądała jednak na szczęśliwą. Z pobladłą cerą, zmarszczonym czołem i zesztywniałymi rysami wydawała się znowu daleko starsza, niż była. We wzroku jej tkwiło uparte, naprężone, bolesne pytanie. Zadawałaż je sercu swemu, przeszłości swej czy przyszłości? Chwilami widać było, że przez własne myśli czuła się upokorzona: rumieńce po czole jej przepływały i opuszczały się w dół powieki. Może wstydziła się własnych wahań i namysłów. Wypadkiem oczy jej spotkały się z leżącą na stole niewielką książką, której kosztowna okładka połyskiwała dwoma wyzłoconymi literami: Z. K. Wczoraj książkę tę wraz z małym, pachnącym listem przywiózł dla niej posłaniec z Osowiec. Przysunęła ją ku sobie, wyjęła z niej pachnącą, cieniutką kartkę i chmurny wzrok powoli przesuwała po okrywającym ją piśmie:

Przestałaś lubić muzykę, Justyno, ale może jeszcze kochasz poezję. Czy jeszcze cokolwiek lub kogokolwiek kochasz? Cóż stało się z tą, którą niegdyś nazywałem moją iskrą i moim światłem księżyca? Jakie ty piękne, Justyno, miałaś niegdyś zapały i marzenia! Teraz spotykam istotę zimną i

trzeźwą, z pospolitością życia pogodzoną, z prawami świata liczącą się i zapytuję: co stało się z tamtą? Próbuję wskrzesić cię, dawna Justyno moja! Weź do ręki tę książkę, idź do grabowej altany, czytaj i wspominaj! Może we wspomnieniach choć na chwilę dla ciebie z martwych powstanę, może cię one skłonią do przebaczenia, może zapragniesz, aby znowu, jak dawniej, oczy nasze razem na tych kartach spoczywały… Czy pamiętasz, Justyno, czy pamiętasz? Pozwól mi kiedy długo sam na sam z tobą porozmawiać. Wytłumaczę ci zagadkę mego złamanego życia, a wtedy zrozumiesz, że duszom naszym wolno zawsze do siebie należeć. O, nie lękaj się! Ja duszy tylko twojej pragnę, ale o nią, jak o swą dawną własność, nigdy upominać się nie przestanę. Gdybyś wiedziała, jak głęboko i bez ratunku jestem nieszczęśliwy!

Zygmunt

Czy pamiętała? Mocna, prawie trująca woń wspomnień biła jej do głowy z tej małej książki, którą dawniej tyle razy trzymali oboje, jakby jej ciężar wspólnych ich sił wymagał, z głowami ku sobie pochylonymi, z oczami utkwionymi w te francuskie wiersze, tam, u końca ogrodu, w grabowej altanie. Czy pamiętała? Każdy wiersz, każdy niemal wyraz tej książki był dla niej niby zmartwychwstającym słowikiem. Oczy jej zachodziły łzami i pierś podnosiła się wysoko, gdy zobaczyła dwa wiersze, silnie niebieskim ołówkiem podkreślone:

Je viens de m'incliner, madame, devant vous,
Mon orgueil tout entier est encore a genoux[198]

Dwie jej łzy upadły na dwa te wiersze. Wyobraźnia ujrzała go klęczącego przed nią i z dumą u jej stóp złożoną pokornie jej tłumaczącego zagadkę swego życia i ich rozłączenia. Przerzuciła kilka kartek i czytała znowu:

Aimer c'est douter d'un autre et de soi-même, C'est se voir tour á tour dédaigné et trahi[199]…

Tym razem wiersze te uderzyły w nią czymś innym niż wspomnienie. Oczy jej oschły, podniosła głowę, myślała. Nie, nie! Kochać nie jest to wątpić o sobie i o drugich ani czuć się gardzoną, zdradzaną… Nie jest to przede wszystkim plamić się i krzywdzić! Kochać to ufać i w dwa serca na raz spoglądać jak w czyste zwierciadła, razem iść drogą długą i czystą, a u jej końca móc dwa swe imiona wypisać złotem przywiązania niezłomnego i zwyciężonych wspólnie postrachów życia…

— Jan i Cecylia!

Dwa te imiona Justyna prawie głośno wymówiła, książkę Musseta[200] porywczym prawie ruchem zamknęła i powstała. Wszystko na świecie mówić umie. Wymowę swą posiadają także zapachy. Wielka więź polnych roślin, która w prostym naczyniu z polewanej gliny stała na stole, zapachem swym napełniała pokój. Justyna rozgarniać zaczęła splątane ze sobą łodygi i kwiaty. Z rana Benedykt Korczyński, chorobą żony

przelękniony i stroskany, wysłał ją w pole z zapytaniem do rządcy o ilość zebranych na dzisiaj żeńców. Wrócić mogła w kwadrans, wróciła po paru godzinach. Spędziła je na zielonych miedzach rośliny te zrywając. Zawsze je lubiła, ale nie znała nazw ich ani dziejów. Teraz każdą z nich nazwać mogła po imieniu, powiedzieć, kiedy rozkwita i w jakich dniach późnego lata lub jesieni znika z ziemi, którą stroiła. Czy podobna, aby ten słuszny, zgrabny chłopak z błękitnymi jak turkusy oczami, który, gdy nadchodziła, wiązał w snopy zżęte zboże, mógł czegokolwiek ją nauczyć? Jednak nauczył. Długo razem chodząc po miedzach i układając ten bukiet, bardzo do różnobarwnej miotły podobny, nieustannie ze sobą rozmawiali, nie o sobie jednak, tylko o tej naturze, której wtedy wydawali się wolnymi i szczęśliwymi dziećmi. Teraz Justyna pamięta całą tę lekcję wziętą z tak rumianych, a tak przecież niekiedy wzruszonych ust Jana Bohatyrowicza. Ta delikatna łodyżka z mnóstwem trójkątnych i w przedziwne fugi[201] wyrzniętych wisiadełek u szczytu to drżączka, która ręką ludzką poruszona wydaje się żywą, trwożliwą istotą. A to lenek kukawki, szorstki i twardy, z szafirowym kwiatkiem służącym do uściełania gniazda miłemu ptakowi wiosny. To szelestuszka o liściach prawie złotych i przy każdym dotknięciu zdających się coś tajemniczo szeptać, a to w bujny, śnieżny kwiat ustrojona trująca gałąź psianki. Ten liść szkarłatny jest więdniejącą lebiodą, która na trawy zielone rzuca krwiste plamy, a ta wijąca się gałązka drobnym, różowym kwiatem osypana to szczęście. Nazywa się ona szczęściem dlatego, że wróży dziewczętom. We włosy wpleciona, jeżeli rozkwitnie, ukochany kocha wzajemnie. A wzajemność w kochaniu czyż nie jest szczęściem?

Z zamyślonym na ustach uśmiechem Justyna wyjęła z wielkiego bukietu gałązkę szczęścia i wplotła ją w czarny swój warkocz. Potem stanęła przed otwartym oknem z cieniutką i uperfumowaną kartką papieru, którą ze stołu wzięła. Przez chwilę szemrała ona w jej ręku, jakby była złotawą gałązką szelestuszki, aż powoli, z namysłem — któż odgadnie? może z walką — Justyna rozdarła ją na kilkanaście drobniutkich płatków, które rozsypały się za oknem i w morzu słonecznego światła zniknęły. Jak giętka roślina polna w jej warkoczu, tak na jej ustach wiła się cicha nuta:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne…

III

W porze żniw na tej rozległej równinie ziemia wydawała się złotym fundamentem dźwigającym błękitną kopułę i okrytym ruchliwym mrowiem drobnych istot. Właściwa barwa ziemi ukazywała się tylko tu i ówdzie na drogach porosłych rzadką trawą i na wcześnie zaoranych małych szmatach pola. Zresztą, wszędzie, od wzgórz obrosłych drzewami do wysokiej ściany nadniemeńskiej, dojrzałe zboża płynęły gorącą żółtą lawą, która miejscami wyginała się w zagłębienia, okryte również gorąco żółtym ścierniskiem[202]. W tych to zagłębieniach, rozszerzając je coraz i okrywając wypukłościami zżętych snopów, mrowiły się drobne, ku ziemi schylone istoty. Na linii poziomej spostrzegane, wydawały się one drobnymi, bo rozsypane śród wielkiej przestrzeni pełzały przy samej ziemi. Ale widziane z góry, spod obłoków, wydawać by się musiały niezawodnie tłumem rzeźbiarzy urabiającym w przeróżne wzory złoty fundament świata. One też to były, które go uczyniły złotym; ich to ręce w mgliste dnie jesieni i wiosny miesiły ten wosk cudowny, aż przy letnich skwarach spotniał on tą złotą lawą, która sokiem życia przeleje się w żyły ludzkości. Ulewą żaru błękitna kopuła oblewała ich zgięte plecy, a gorący ten oddech nieba, skraplając się na ich twarzach, spadał na ziemię deszczem potu. Z poziomu spostrzegane, były to malutkie, przyziemne robaki. Z góry widziane — jubilerowie obracający w swym ręku najdroższy metal ludzkości, artyści urabiający postać świata, pośrednicy otwierający łono ziemi dla zapładniających uścisków słońca.

Na rozległej przestrzeni pola, którą wąska droga z bohatyrowicką okolicą rozdziela, żniwiarze wydawali się rojem istot nie tylko ruchliwych, ale i różnobarwnych. Wyglądało to tak, jakby malarz jakiś gorąco żółte tło bez ładu i symetrii osypał kroplami różnych farb. Biała i różowa przemagały wszystkie inne. Były to koszule mężczyzn i kaftany kobiet. Białość pierwszych była śnieżna, różowość drugich - gorąca. Przez parę tygodni poprzedzających porę żniw w Bohatyrowiczach panował wielki ruch prania i szycia. Do kilkunastu najmozolniejszych dni w roku przygotowywano się tam jak do wielkiego święta. Cała ludność okolicy jednocześnie wylec miała w pole, dla każdego więc było to wystąpienie publiczne, o którego przystojność, a nawet i niejaką wykwintność niezmiernie dbano. Kobiety dłużej niż zwykle przesiadywały nad brzegiem rzeki, stukami pralników napełniając powietrze, a pranie to jeszcze poprawiały w domu dopóty, dopóki koszulom mężów i braci nie nadały prawie olśniewającej białości. Otwierały one skrzynie i wydobywały z nich najnowsze i z najlepszym smakiem, na domowych krosnach z lnu i wełny wytkane spódnice. Szyły też nowe kaftany i bardzo biedna była już ta, która, jak żona Ładysia z chatki pod dębem stojącej, nie miała wtedy na

palcu mosiężnego naparstka, a w ręku kilku łokci liliowego, błękitnego lub różowego perkalu. Bardzo też biedny był ten, który, jak ów Ładyś z chłopska mówiący a bujną, złocistą czuprynę w górę zaczesujący nad szerokim czołem, nie mógł na tę porę przywdziać nowego obuwia, cholewami kolan sięgającego, i czarnych spodni, których szelki ciemnymi liniami przerzynały na krzyż olśniewającą białość koszuli. Ale młody Michał, pierwszy elegant okolicy, który nosił spiczasto przystrzyżoną brodę i w górę zakręcone wąsy, od stóp do głowy ubrał się w dymkę koloru kanarkowego i w zgrabnej czapce, w nowych butach, z fantazją stał na pustym wozie, galopem prawie przez parę koni ciągniętym od jednego z domostw ku polu. Zwolnił nieco bieg koni krzyżując się z innym wozem spiętrzonym górą snopów, na szczycie której siedział Jan Bohatyrowicz, w podobnież nowej czapce, z szelkami skrzyżowanymi na śnieżnej koszuli, z lejcami w rękach.

— Matka pomagać przyszła? — gromko zapytał kanarkowy lew okolicy.

— A jakże! — odkrzyknął wiozący snopy.

— Szczęśliwemu i aniołowie ku pomocy stają! Do mnie nikt nie przyszedł! Niechby choć panna Antonina troszkę pomogła?

— A to dla jakiej przyczyny? — z trochą obrazy w głosie wykrzyknął Jan.

— Psie kawalerskie życie! Jak kobiet w domu nie ma, człowiek bez rąk prawie! Ale ja sobie trzy najemnice wziął; żną, aż szumi, i basta!

— Hej! Z drogi — za wozem Jana rozległ się głos basowy i trochę gniewny. — Stanęli na drodze i językami mielą! Z drogi, hrabiowie!

Był to nadjeżdżający syn Fabiana, tęgi, rudawy, jak zwykle chmurny Adam. Za nim nadjeżdżało jeszcze kilka wozów, z których, przy jednym, ciągniętym przez mizernego konika, ciężkim krokiem szedł bosy i cały w płótno ubrany Ładyś; na drugim, pustym, z grubą kasztanowatą kosą na plecach, w różowym kaftanie, z rozognioną twarzą, stała dziewczyna wysoka, prosta, silna.

— Dzień dobry pannie Domuntównie! — z galanterią czapki uchylając zawołał rozmijający się z nią Michał.

W odpowiedź dziewczyna brwi sobolowe ściągnęła i pogardliwym nieco śmiechem wybuchnęła:

— O Jezu! Wszak to pan Michał! A ja myślałam, że to wilga na wozie siedzi!

I ze zręcznością, której niejeden mężczyzna mógłby jej pozazdrościć, parą tęgich koni kierując, starała się przegonić wóz Jana, który przecież raźnym kłusem w bramę zagrody Anzelma wjechał i środkiem ogrodu, drogą białą od dzięcieliny, ku domowi pod sapieżanką[203] stojącemu dążył.

Kiedy na drodze rozlegał się turkot kół, gwar urywanych i głośnych rozmów, a czasem nawet zapanowywał ścisk wymijających się albo usiłujących wzajem przegonić się wozów, nad polem mrowiącym się gromadkami żniwiarzy, wraz z upałem i blaskiem słońca, stała wielka cisza. Gromadki żniwiarzy, nieprawidłowo śród szerokiej przestrzeni rozrzucone,

nierównej wielkości, z wolna, lecz nieustannie posuwały się naprzód, w różnych kierunkach. Jedne z nich postępowały od okolicy ku wzgórzom, inne — od wzgórz ku korczyńskiemu dworowi; inne jeszcze poruszały się naprzeciw piaszczystej rozpadliny stanowiącej wejście do wielkiego parowu Jana i Cecylii. Czasem tylko wzbijał się nad nimi krótki wybuch śmiechu lub powietrzem przeleciało głośno wykrzyknięte imię, stado wróbli podjęło się z krzykiem, tu, tam, ówdzie szybko mignęły stalowe błyskawice sierpów. Zresztą, opróżnione wozy, jedno i dwukonne, zbaczając z drogi i bez szelestu prawie tocząc się po ściernisku, stawały w zagłębieniach otoczonych dokoła złotym lasem nietkniętego jeszcze zboża; owady ćwierkały, czasem przelękniony ptak trwożnie zaświegotał, a wszędzie, szeroko, jak okiem zajrzeć i uchem zasłyszeć, płynął po polu suchy, nieprzerwany szelest przecinanych i na ziemię kładnących się kłosów.

Paru godzin do zachodu słońca brakowało, kiedy Jan, po raz dziś może dziesiąty, wóz swój na ściernisko zawrócił i wjechał w szerokie i długie zagłębienie, w którym pracowała jedna z najliczniejszych gromad mężczyzn i kobiet. Była ona tak liczna, bo składało ją rodzin kilka. Chuda i chorowito[204] wyglądająca żona Fabiana, w sztywnej chustce osłaniającej głowę i część mizernej jej twarzy, prędko jednak i wprawnie żęła obok swej córki, pulchnej i przysadzistej Elżusi, z dala świecącej jaskrawą różowością swego kaftana i mnóstwem polnych maków sterczących nad jej czołem, tak prawie jak one pąsowym. Za nimi dwaj niedorośli chłopcy żęli także, a jeden wielki, pleczysty, rudy chłopak, z czerwoną twarzą i rzędem białych zębów w wiecznym, gapiowatym uśmiechu ukazywanych, wiązał snopy, układał je w dziesiątki i pomagał do naładowywania nimi wozu nieco młodszemu, lecz również pleczystemu[205] i silnemu bratu. Wszystko to czynił powoli, z leniwymi ruchami, jakby sennie. Za nim, jak nierozłączny cień jego, siedział lub chodził czarny, kudłaty kundel. Pan i pies jednostajnie często garbili się, wyciągali, poziewali. Czasem pies podnosił głowę i wtedy patrzali sobie w oczy. Pan śmiał się do psa wszystkie zęby ukazując.

— A co, Sargas? Na Niemen może pójdziem? Na Niemen lepiej, he, he, he!

Pies wyciągał się i głowę w stronę rzeki zwracał.

— Nie można, Sargas, nijak nie można! Nie puszczają nas na Niemen, he, he, he!

— Julek! — zabrzmiał głos zawsze czegoś rozgniewanego Adama — zasnął stojąc czy co? Snopy dawaj! Hrabia!

— Julek! — po kilku minutach donośnie wołała Elżusia — położyłeś się już czy co? Bardzo słusznie! Leż sobie, a żyto niech gnije na ziemi!

Wielki chłopiec, który istotnie jak długi rozciągnął się był na ścierni[206] i leniwą rękę zatopił w kudłach Sargasa, wstał, wyciągnął się i począł znowu snopy wiązać.

Dalej, co kilka i kilkanaście zagonów, różowiały i błękitniały kaftany

kobiet i dziewcząt, iskrzyły się na głowach kwieciste chustki, czerwone i żółte kwiaty; pod jedną ścianą stojącego jeszcze zboża widać było kilka żwawo zwijających się najemnic Domuntówny i ją samą, to żnącą, to góry snopków uwożącą ku domowi, a na przeciwnym krańcu wydrążonego w zbożu zagłębienia, z dala od wszystkich, wlokła się smutnie uboga, samotna para ludzi. Mężczyzna był tam bosy i cały odziany w grube, szarawe płótno; kobieta w ciemnej, starej odzieży starą chustkę miała na głowie. Na ich zagonie stał wóz zaprzężony jednym mizernym konikiem i owinięte w płachty leżało kilkomiesięczne dziecko. Nikt im nie pomagał, nikt nawet z tych, którym obok nich z sierpem lub snopem przechodzić wypadło, z nimi nie rozmawiał. Był to najuboższy z Bohatyrowiczów, mieszkaniec chatki bez komina i ogrodu, stojącej pod dębem, i jego żona-chłopka.

Wszyscy ci ludzie znajdowali się tak blisko siebie nie dlatego, aby zagony, na których pracowali, były jedyną ich własnością, ale dlatego, że własności pojedyncze mieszały się na tej szerokiej równinie w chaos samym tylko właścicielom znany, a dla wszelkiego obcego oka i pojmowania do rozwikłania niepodobny. Żaden z nich gruntu swego nie posiadał w jednej ściśle odgraniczonej całości ani w bezpośrednim z domem swym sąsiedztwie. Rzekłbyś, paciorki do mnóstwa osób należące i na traf w najróżniejsze kierunki rozsypane, a w przeciągu czasu na drobne ułamki rozbite i rozpierzchnięte. Każdy z nich wiedział, gdzie szukać swoich ułamków, i od jednego do drugiego przechodził z pługiem, siejbą, kosą i sierpem. W tym miejscu ułamek Jana i Anzelma znajdował się tuż obok tego, na którym pracowała rodzina Fabiana. Dwie tylko żniwiarki znajdowały się na nim: młodziutka, wiotka dziewczyna, której delikatnej twarzy nawet ciężki, całodzienny mozół zaczerwienić nie mógł, okrywając ją tylko słabym rumieńcem i lśniącą wilgocią potu, i tęga, muskularna, prosta jak świeca kobieta na pięćdziesiąt lat wyglądająca. O lat pięćdziesiąt można ją było posądzić tylko z powodu zmarszczek, gęsto jej czoło okrywających i ciemnej skóry, która jej drobne, chudawe rysy okrywała. Ale z ruchów sprężystych i trochę nawet nerwowych, z blasku małych, ciemnych oczu, z białości zębów, co chwilę ukazujących się zza przywiędłych warg, wydawała się prawie zupełnie młoda. Żęła prędko, z zapałem, wybornie, zabierając na raz wielkie garście żyta i tnąc je równo, nisko przy ziemi. Jednak ile razy prostowała się i nieco w tył odgięta ściętą garść do innych, już na ziemi leżących przyłączała, tyle razy do kogoś zagadywała, z żartem zawsze, ze śmiechem, z filuternymi spojrzeniami i zamaszystymi ruchami ramion, od których sierp jej rzucał w powietrze błyskawice wesołe i częste. W białej koszuli, osłoniętej nieco skrzyżowaną na piersi chustką, w krótkiej spódnicy w czerwone i granatowe pasy, w małym czepku z białego perkalu na siwiejących włosach, wydawała się najweselszą, najżwawszą i najrozmowniejszą ze wszystkich żniwiarek, choć była pomiędzy nimi najstarsza. Kobiety i dziewczęta odcinały się jej,

czasem z chwilowym gniewem, gdy jednej dogadywała, że żnie powoli, i na wyścigi z sobą wyzywała; drugiej kawalerem jakimś, który ożenił się już, w oczy kłuła; trzeciej o weselu zaraz po żniwach nastąpić mającym przypominała. Chłopcy śmieli się z niej, o zdrowie trzeciego jej męża i o to, wiele jeszcze razy za mąż wyjść myśli, zapytywali. Teraz przed kilku minutami przerwała znowu pracę swoją i stojąc przed kimś na snopach siedzącym głośno prawiła:

— Bo to, widzi panienka, po czym poznać głupiego? Po śmiechu jego. Kpinkują sobie ze mnie, że trzeciego męża mam. Owszem! Ja temu nie winna, że mnie Pan Bóg towarzyszów życia odbierał, a takie już moje przyrodzenie, że nijak bez kochania i bez przyjaciela dozgonnego żyć nie mogę. Kiedy Jerzego, ojca Janka, ten przypadek spotkał…

Tu ręką w stronę zaniemeńskiego lasu rzuciła.

— Niezupełnie we dwa lata za Jaśmonta wyszłam. Ludzie różnie gadali. Pusta baba, tak prędko towarzysza swego zapomniała! Owszem. Bo to wy jedno wiecie, a ja drugie. Co umarłym z tego, kiedy żyjącym w zasępie[207] życie ubiega? Niech tamtemu Bóg najwyższy królestwo niebieskie dać raczy, a my sobie z tym wieczne kochanie przed ołtarzem zaprzysięgniem. Jedno zachodzi, drugie wschodzi, a ze smętku, jak z kozła, ani wełny, ani mleka!

Zaśmiała się tak, że aż głowę na bok odkręcała, i wnet prawiła dalej:

— Panienka śmieje się. Owszem. A jak Boga kocham, ja prawdę mówię. Bo to u mnie dwie rzeczy największy walor mają: kochanie i dozgonny przyjaciel. Takie już przyrodzenie mam. Jaśmonta, Antolki ojca, w dziesięć lat po ślubie odebrał mi Pan Bóg najwyższy. Tak samo jak po tamtym, Jerzym, desperowałam[208], ale kiedy rok ubiegł, zdarzył mi się Starzyński ze Starzyn. Ludziom znów na języki padłam. Owszem. Wy wiecie jedno, a ja drugie. Noc po dniu następuje, a dzień po nocy. Śmiech od płaczu smaczniejszy. Bieda mnie tylko była z dzieckiem. Ze Starzyńskim my jedne do drugiego chylili się jak dwa gołębie, ale wdowcem on był, gromadę wielką w chacie miał, z przyczyny córki mnie nie chciał brać. „Bo to gdzie ja tam będę — powiada — do siedmiorga swoich jeszcze jedno cudze przyprowadzał!” Boże najwyższy! Nie już mnie tak bez kochania i przyjaciela dozgonnego na całe życie przepadać! Wzięłam Antolkę i do Janka ją przywiodłam: „Masz tobie, synku, siestrę. Hoduj ty ją, a ona tobie do pomocy stanie”. Jemu było wtedy lat dwadzieścia, a jej sześć. Anzelm był strasznie gniewny. „Dla jakiej to przyczyny — mówi — sama dziecka swego hodować[209] nie możesz? Zachciało się babie trzeci korowaj[210] piec! Chłopca i bez tego brud zjada, że go dopatrzyć nie ma komu!” Ale Janek jak przystał do niego: „Wezmę, stryjku, siestrę, i wezmę. Co ma u ojczyma w poniewierce ostawać, niech lepiej u nas rośnie, a jak troszkę podrośnie, to i nas dopatrywać będzie”. Antolka! Może nieprawda, że on tak mówił? Ot, jaki on! Bo to drugi odepchnąłby, a on przygarnął, na rękach ją nosił, karmił, odziewał i do mnie jeszcze przez okazję raz wraz nakazywał:

„Mamie powiedzcie, że Antolka zdrowa i dobrze sobie rośnie!" Ot, jaki on! Antolka, może nieprawdę ja mówię?

Do błyszczących, wesołych jej oczu nabiegły łzy. Rozczuliła się tak, że aż usta do płaczu skrzywiła i fartuchem całą twarz otarła. Wysmukła Antolka jak wiotka trzcina odgięła się znad ziemi i obie ręce, z których w jednej sierp błyszczał, ruchem zmęczenia nad głowę wyciągając odpowiedziała:

— Lepszego jak on to już prawie na całym świecie nie ma. Żadnego ja smętku przy nim nie doznała. *Horujem*[211] razem i hulamy razem, a częściej on co ciężkiego zrobi jak ja…

Zgięła się znowu ku ziemi i stara, gadatliwa kobieta także ku żytu zwrócić się miała, gdy żona Fabiana, żąć nie przestając, jękliwym i śpiewającym głosem swym przemówiła:

— A koniec taki, że pani Starzyńska masz dwoje dzieci i żadnego sama nie wyhodowałaś…

W mgnieniu oka spracowana i sucha ręka Starzyńskiej oparła się na jej kłębie. Cieńszym trochę niż wprzódy głosem odkrzyknęła:

— Nie wyhodowałam, a najśliczniejsze ze wszystkich mam… Owszem!

I zaniosła się od śmiechu.

— Jak ku-kaw-ka[212]! — z ironią zaśpiewała znowu Fabianowa.

W tej chwili wóz ciągnięty przez kasztanka i gniadą cicho wtoczył się na ściernisko.

— O Jezu! — zanim jeszcze konie stanęły, z woza zeskakując krzyknął Jan i paru skokami znalazł się przy kobiecie na snopach siedzącej, którą usuwając się odsłoniła przed nim matka, a której suknia słomianej barwy złocisto na słońcu jaśniała. Więcej niż wesołością, bo serdeczną radością jaśniała twarz Justyny, kiedy z niskiego siedzenia swego oczy na przybyłego wzniosła i żywym, pośpiesznym ruchem rękę ku niemu na powitanie wyciągnęła. On tę rękę w obie dłonie pochwycił i nisko schylony, na chwilę do niej ustami przylgnął.

— Troszkę spodziewałem się, że pani dziś do nas przyjdzie, bo mówiła, że chce na naszą robotę z bliskości popatrzeć; ale wszystko jedno, jak zobaczyłem, że pani tu siedzi, jakby mnie słońce przed oczami zaświeciło…

— Przecież dziś słońce nie tylko świeci, ale aż prawie oślepia — z łuną rumieńca przepływającą po czole jej i policzkach zaśmiała się Justyna.

Można by myśleć, że twarz Jana od jej śmiechu sposępniała.

— Pani żartuje — opuszczając ręce rzekł ciszej.

— Bo to on prawdę mówi — wmieszała się stara podnosząc się znów znad zboża i obok syna stając. — Tydzień już dziś, jak do niego przyszłam, i ciągle patrzę, jaki to zasęp na niego padł. Taki pochmurny zrobił się, że podczas przez całą godzinę gęby ani razu nie otworzy. Wszystko robi, co trzeba, owszem, ale smętliwie… ani pożartuje, ani zaśpiewa, a jak spytam się: „Co tobie takiego, Janku?" — to mówi: „Bo to mnie, mamo, ciemno robi się w oczach…"

— Co tam o tym gadać, mamo! — z niezadowoleniem przerwał Jan — chodźmy lepiej do roboty.

Łokciem czyniąc ruch taki, jakby odtrącić go chciała, z nogi na nogę przestępując, głową kręcąc, filuternie oczami błyskając, tajemniczo szeptać zaczęła:

— Owszem. Ja wiem, skąd ten zasęp na niego przyszedł i dla jakiej przyczyny ciemno mu robi się przed oczami. Bo to trzydzieści lat ma i bez kochania żyje. Żenić się czas…

— Co tam o takich rzeczach gadać! — z żywością tym razem i gniewnym błyskiem oczu przerwał Jan.

— Owszem, czemu nie gadać? — żywo poruszając rękami i głową zagadała stara. — Bo to, widzi panienka, z Jadwiśką Domuntówną tak jak prawie od dzieciństwa lubili się… stryj tego tylko czeka, żeby pobłogosławić… i jej dziadunio pobłogosławi…

— Chodźmy do roboty, mamo! — wykrzyknął prawie chłopak.

— Owszem, dziewczyna jak raz dla niego para… pracowita, poczciwa, śliczna… i aktorka… Bo to całe gospodarstwo na nią po dziaduniu spadnie, a mówią, że może i z pięć tysięcy rubli warte…

Daremnie tym razem odtrącała go łokciem: silnie, żelazną niby obręczą syn ramię jej ścisnął.

— Bo to — próbowała mówić jeszcze — był taki czas, że pomiędzy nimi zaczynało się już kochanie…

Ale teraz twarz Jana od brzegu włosów aż po ogorzałą szyję krwią nabiegła i z turkusowych jego oczu sypały się błyskawice.

— Niech mama lepiej żąć idzie, co głupstwa ma wygadywać! — krzyknął i ku na wpół zżętemu zagonowi ją pociągnął, sam także ku wozowi odchodząc.

Wesoła baba wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Bo to wstydliwy zrobił się! O kochaniu i żenieniu się ani przypomnieć nie pozwala. Wszystko jedno, w czasie ożenisz się!

— A jak nie ożenię się?… Otóż pewnie nigdy nie ożenię się! — czapkę na ściernisko rzucając i snop z ziemi podnosząc zawołał. — Jeszcze tego nie było, żeby mnie kto do czego przymusił!

Hardo głowę podnosił, usta wydął i gdy silnymi, namiętnymi ruchami snopy na wóz rzucać zaczął, łatwo było uwierzyć w to, że dumę i wolę swą miał. Nietrudno byłoby także wyczytać z jego twarzy ten zasęp i tę smętliwość, o których opowiadała jego matka. Pod okrywającą je czerwoną ogorzałością policzki jego schudły i wydłużyły się nieco, a gdy uspokojonymi już i prawie rytmicznymi ruchami snopy na wóz rzucając zamyślił się, na czoło jego znacznie bledsze od policzków wybiegła gruba, poprzeczna zmarszczka.

Po chwilowych rozmowach znowu na łanie zapanowała praca milcząca i gorliwa. Lekkie przedwieczorne wiatry muskać poczęły wierzchołki niezżętych jeszcze zbóż i urywanymi akordami szmeru wtórować temu

suchemu, monotonnemu, nieustannemu szelestowi, jaki wydawały łamiące się pod sierpami kłosy i z ziemi podnoszone snopy. W tym szeleście i w tych szmerach postacie żniwiarek, różnobarwne, milczące, wysokie i niskie, grube i wysmukłe, prostowały się co chwilę i w tył nieco odgięte podnosiły w rękach garście długich, kłosistych łodyg, które na rozciągniętym powróśle[213] złożywszy, znowu ku ziemi przypadały. Czasem ta lub owa szybkim ruchem rękaw odzieży po spotniałym czole przesunęła lub odetchnęła głośno. Do stóp im wraz z kłosami upadały różowe kąkole[214], pąsowe maki i szafirowe bławatki; za nimi niskie, liliowe grochy, drobne rumianki, kosmate kotki zostawały nietknięte śród ostrych kolców ścierni; spod ich rąk niekiedy wznosił się i w powietrzu igrał biały puch przekwitłego brodawnika[215]; przed nimi, o kilka czasem kroków od pochylonych ich głów, zrywał się ptak spłoszony i przelęknionym lotem przerznąwszy powietrze, nie wiedzieć gdzie, może w gęstwinie zbóż jeszcze stojących przepadał.

Na kilku snopach w jednym miejscu złożonych Justyna siedziała w zamyślonej postawie, z twarzą na dłoń spuszczoną. Uważnie, ciekawie przypatrywała się ruchom pracującego przed nią mrowiska ludzi. Ona także od dnia tego, w którym po raz pierwszy weszła do zagrody Anzelma i Jana, od wieczoru tego, w którym wraz z nimi wróciwszy z parowu Jana i Cecylii, pod dachem ich parę wieczornych godzin spędziła, odbywała podróż po kraju nieznanym. Przedtem w bezpośrednim jego sąsiedztwie żyjąc, wiedziała o nim to tylko, że istnieje, i wiedziała to w sposób obojętny, niewyraźny. Teraz przenikała w coraz dalsze jego głębie. Jak imion i dziejów wielu z tych roślin dzikich i pachnących, po które zawsze sięgała chciwie okiem i ręką, tak imion i dziejów wielu z tych ludzi już się nauczyła. Ta podróż po kraju natury, ku któremu zawsze pociąg czuła, i ludzi, których dotąd nie znała, budziła jej ciekawość i zajmowała umysł. Jak bujne kwiaty, rzeźwą rosą operlone i nieskończoną ilością barw jaśniejące, te poznawane z bliska widoki, prace, dzieje wpadały do tej wielkiej, ciemnej pustki, którą od dawna widywała ona, ilekroć przymknąwszy oczy patrzeć usiłowała w siebie i swoje życie. Teraz pełnym, bystrym, na wszystko uważnym okiem patrzała na to, co działo się przed nią. Czasem napełniało ją wielkie rozradowanie podnoszące się, kto wie skąd? Może z łanów złotych, ze ścierni przetykanej kwiatami, z powietrznych ruchów sprawianych przez skrzydła ptasie i powiewy nadrzecznych wiatrów. Czasem wspaniała, choć prosta malowniczość widoku uderzała w nią falą zachwycenia, w której prostowała ona swą kibić tak, jakby sama, na wzór żniwiarek podnoszących w rękach kłosiste więzie, wnet powstać miała i niecierpliwie czy błagalnie nad głową wyciągnąć puste swe dłonie. Były też chwile, w których nieustający, suchy szelest kłosów wydawał się jej mową ziemi. Nie darmo dawny jej kochanek wspominał o jej dawnych marzeniach i zapałach. Była do nich skłonna i teraz, bo pochylona, z blaskiem w oczach i uśmiechem na wpółotwartych ustach wsłuchując się w szepty ziemi

uczyniła ruch taki, jakby zaraz zsunąć się z niskiego siedzenia swego i do jej łona przypaść miała.

Pod rękami coraz gorliwiej pracujących żniwiarek szelest kłosów stawał się coraz głośniejszy, coraz żwawiej rzucane snopy upadając na wozy wydawały głuche, szemrzące stuki… Od ziemi oblanej wonią świeżej słomy i okrytej ścierniskiem wyhaftowanym w drobne kwiaty Justyna podniosła twarz, zbladła nieco, zesztywniała, przez kilka minut postarzałą o lat kilka, ze źrenicami przygasłymi, które wilgocią zachodziły. Z dziwnym zmieszaniem, jakby nagle uczuła się w tym miejscu gościem natrętnym, istotą obcą i niepotrzebną, chwastem w kłosy wplątanym, uczyniła ruch do powstania. Usiadła jednak znowu i zmieszane, niespokojne spojrzenia rzucała dokoła siebie. Jedno z tych jej spojrzeń spotkało się ze stojącą w pobliżu, znieruchomiałą postacią Jana. Od kilku minut już robotę swą przerwawszy, u samego woza do połowy snopami napełnionego stojąc, wpatrywał się on w Justynę z takim wytężeniem, że aż głowę podawał naprzód, a na białe czoło wystąpiła mu znowu gruba, poprzeczna fałda. W rękach jego długie widły ukośną linią opuszczały się ku ziemi, badawcza ciekawość znieruchomiała i pogłębiała błękitne jego źrenice. Nagle widły mu z rąk wypadły i namiętnym niepokojem zadrgały rysy. W mgnieniu oka znalazł się przy niej, pochylił się, uczynił ruch taki, jakby rękę jej chciał pochwycić, lecz tylko przyciszonym głosem przemówił:

— Co pani takiego? Taka pani raptem zrobiła się smętna? Aż łzy w oczach stanęły… Dla jakiej przyczyny?…

Wyrazy, śpieszne zrazu, prawie gwałtowne, stopniowo miękły mu w ustach, prawie mdlały.

— Może nadmiar śmiały jestem? — dokończył bardzo cicho.

Podniosła na niego oczy napełnione blaskiem i łzami i cicho odpowiedziała:

— Po co ja tu między wami? Wstyd mi! Taki wstyd!… Poszłabym sobie, ale i w domu także nic… nic…

Umilkła, lecz on chciwie jeszcze słuchał chwilę, a potem z tą głęboką bruzdą, która w ostatnich dniach na czole jego zjawiać się zaczęła, wyprostował się i przed nią stanął. Nie wydawał się wcale zdziwiony, tylko w zamyśleniu, ze wzrokiem w ziemię utkwionym końcami palców dotykał czoła. Potem milcząc zrobił parę szerokich kroków, pochylił się nad matką, szepnął do niej słów kilka, a gdy do Justyny powrócił, sierp trzymał w ręku. Ona podniosła się z niskiego siedzenia swego i przed nim stanęła. Przez kilka sekund patrzali sobie w oczy, jakby wzajem myśli swe odgadnąć usiłowali, potem Jan śmiałym ruchem głowę podniósł i podając Justynie sierp, w którym słońce krzesało srebrne błyskawice, z cicha wymówił:

— Proszę!

Z pochyloną trochę głową wyciągnęła rękę i z poważnym na ustach uśmiechem połyskujące narzędzie z ręki jego wzięła.

Na całe ściernisko pokryte mrowiskiem istot ludzkich, na cały ten łan

szumiący upadającymi kłosami, rozległ się dźwięczny, donośny, pełną drżeń i uśmiechów radością nabrzmiały głos Jana:

— Mamo! Proszę tutaj! Mamo! Mamo! Proszę!

Żwawa, wesoła kobieta w perkalowym czepku na siwiejących włosach biegła już ku Justynie, rękami machając i językiem trzepiąc:

— Dobrze, panieneczko! Dobrze, robaczku! Owszem. Bo to i nie bardzo trudna robota! Kiedy ja stara mogę, to dla jakiejże przyczyny nie mogłaby młoda? Nie święci, panieneczko, garnki lepią… Owszem… proszę tylko nachylić się, popatrzyć, a potem i samej spróbować…

Antolka, Elżusia, dwie inne jeszcze dziewczyny wyprostowały się na zagonach i z uśmiechami, z niedowierzaniem, ale bez zdziwienia, patrzały na schylającą się ku zbożu pannę, w sukni z takiegoż perkalu, jak ten, z którego uszyte były ich kaftany, ale modnie skrojonej i przybranej, a obcisłością swą rysującej wydatnie kibić wysoką, silną i kształtną. Nagle przysadzista Elżusia zawołała:

— Bardzo słusznie! Panienka żąć może tak, jak i my… jeszcze prawie silniejsza od nas… tylko gorset zdjąć trzeba, bo w nim i godziny wytrzymać nie będzie można…

— Bardzo słusznie! — chórem zaśmiało się kilka kobiecych głosów i rzecz dziwna! z kilku par oczu trochę złośliwe i pogardliwe wejrzenia strzeliły na obcisły i wyraźnie rogi gorsetu zdradzający stanik Justyny.

Z ognistym rumieńcem Justyna pochylała się ku ziemi obok matki Jana.

— Jutro niedziela — rzekła z cicha — ale pojutrze przyjdę wcześnie i ubiorę się stosownie, a dziś, tymczasem, proszę mi pozwolić choć trochę… ile będę mogła…

— Owszem, robaczku, dobrze! — zagadała stara — bo to nie słuchaj tego, co te sroki kraczą! Taka sama ty dobra, panieneczko, jak i one, tylko w poniedziałek kaftan sobie taki luźnieńki, szerokieńki włożysz i jak zaweźmiem się, to we dwie z dziesięć kop użniem Jankowi… Owszem…

Jan teraz znajdował się na wozie, w połowie snopami napełnionym, a że więcej już snopów do zbierania nie było, stojąc na tym kłosistym, żółtym, sprężyście pod stopami jego uginającym się posłaniu, ze ścierniska zjeżdżał na drogę. W tej samej chwili z drogi na ściernisko wjeżdżała Domuntówna. Przestrzeń paru morgów przedzielała dwoje tych ludzi, których postacie na wozach stojące, jednostajnie wysokie, wyprostowane i silne przypominały ścigających się na arenach klasycznych atletów. Śnieżna białość jego koszuli na błękitnym tle powietrza odpowiadała gorącej różowości jej kaftana. Jego włosy w słonecznym blasku miały złotawą płowość zaczynającego dojrzewać żyta; jej bujna roztargana kosa wydawała się snopem gorąco brunatnej pszenicy. W takim od siebie znajdowali się oddaleniu, że rozmawiać z sobą nie mogli. Jednak dziewczyna w stronę jego wozu, z wolna jeszcze toczącego się po zagonach, patrząc rozpoczęła rozmowę taką, którą prowadzić z sobą od najmłodszych lat swych byli zapewne przywykli, która płynęła górą, nad złotym łanem i pochylonym

nad nim mrowiskiem ludzi, w powietrzu czystym, gorącym, rozchodząc się czystą, rozgłośną nutą pieśni:

O góro! O góro! Zielony lesie!
O drzewa zielone, liście spadające!
O serce strwożone, do ciebie pragnące!
O góro! O góro! Zielony lesie!

Jan Bohatyrowicz, skręcając na drogę brzegiem ścierniska sunącą, męski swój głos połączył ze śpiewem dziewczyny, w której stronę przecież nie patrzał. Jechał powoli i twarz obracał ku temu zagonowi, na którym obok białego czepka jego matki pochylała się młoda kobieca głowa, czarnymi warkoczami owinięta. Do niej, dla niej, o niej śpiewał:

Jak drzewo od mrozu pęka lub usycha,
Tak serce do ciebie śmieje się, to wzdycha,
O góro! O góro! Zielony lesie!
Jak kwiatek na słońcu kwitnie lub więdnieje,
Tak serce do ciebie pali się, to mdleje,
O góro! O góro! Zielony lesie!

Umilkł, a Domuntówna czystym, silnym kobiecym kontraltem sama ciągnęła:

O drzewa zielone, liście spadające,
O serce strwożone, do ciebie pragnące,
O góro…

Strwożone może było jej serce, bo głos jej zemdlał i na zatrzymanym wozie stała nieruchoma, na ten sam punkt łanu patrząca, ku któremu Jan z dala jeszcze twarz zwracał i wzrok wytężał. Z drogi, z daleka już, ale wyraźnie i rozgłośnie znowu na łan zleciały i po nim płynęły długie, namiętne dźwięki pięknego głosu Jana:

Jak słowik na drzewie zaczyna swe pienie,
Zasyłam do ciebie serdeczne westchnienie,
O góro! O góro! Zielony lesie!
O piękna kalino, prześliczna malino,
Najdroższa z klejnotów ma luba dziewczyno,
O góro! O góro! Zielony lesie!
Odchodzę od ciebie, tyś zawsze mi w oczach,
I w myśli, i w sercu, i we dnie, i w nocy.
O drzewa zielone, liście spadające,
O serce strwożone, do ciebie pragnące…

O góro… o góro…

Wesoła baba, w białym czepku nad Justyną schylona, błyskając oczami gadała:

— Bo to, widzi panienka, on pierwszy śpiewak w okolicy, a ona pierwsza śpiewaczka. I na gitarze dziadunio ją grać nauczył… Zimową porą, jak cała młodzież zejdzie się wieczorem do takiego domu, w którym największa jest świetlica, tańczą sobie, a jak nie tańczą, to Jadwiśka gra na gitarze, a mój Janek śpiewa… Owszem. Niech kochają się robaczki, niech kochają się! Niezadługo pewnie i pobiorą się… bo to słońce pierwej wzejść musi, nim dopiekać pocznie… Tak i kochanie zaczyna się pomaleńku, niby to jest, niby to nie ma, aż dopiecze i do ołtarza doprowadzi! Ha, ha, ha!

W tej chwili Justyna, która pod dyrekcją starej kilkanaście już garści żyta z trudnością i niezręcznie zżęła, ostrzem sierpa drasnęła się w rękę. Może sama przed sobą nie umiałaby zdać jasnej sprawy, dlaczego przy słowach i chichocie matki Jana ostre narzędzie drgnęło w jej silnym i bynajmniej jeszcze niezmęczonym ręku. Draśnięcie było niewielkie i kilka tylko kropel krwi wystąpiło na ogorzałą, lecz delikatną skórę jej ręki; przecież wydało się jej, że ból dolegliwy uczuła, nie w ręku jednak, lecz w piersi. Tak jak tamte wszystkie robiły, wyprostowała się i dużą garść kłosistych łodyg w dłoniach podniosła, aby je za sobą na zagonie złożyć. Ale mimo woli wzniosła ręce wyżej, niż to czyniły tamte, i w tej postawie nieruchoma przez chwilę została. Myślała, że istotnie ta para ludzi młodych, silnych, jak poranek wiosenny świeżych i żadnym, zda się, południowym pyłem życia nie dotkniętych, stworzona była dla siebie. Nadejdzie południe i piekące kochanie zaprowadzi ich do ołtarza, przed którym staną czyści i szczerzy, aby potem przez długie lata razem żyć w tym domku pod sapieżanką albo w tamtym pod lipami, który ona jemu bogatym wianem wniesie, razem tę ziemię złotymi plonami okrywać i razem je zbierać, a w zimowe wieczory przy szumie nadniemeńskich wiatrów i bieli śniegiem okrytych rozłogów, przy blaskach księżyca srebrzących bór odwieczny i brylantami szronów okryte ściany parowu, dźwiękami gitary i dwu swych połączonych głosów napełniać białą świetlicę.

— Bo to panienka skaleczyła się! — zabrzmiał głos gadatliwej baby. — Boże Przenajświętszy! Ale to nic! To z nieuzwyczajenia! Ha, ha, ha! Nim panienka za mąż wyjdzie, zagoi się! Ha, ha, ha! Ej! Bo to panienka i sama na paluszek swój nie dmucha, kiedy znowu do roboty bierze się! Owszem! To tak prawie, jak ja. Klepkują[216] ze mnie ludzie, że kochliwa jestem, ale o to mnie bynajmniej! Za toż o lenistwo nigdy na ludzkie języki nie padałam! I w swojej chacie wszystko zrobię, i synkowi na pomoc przybiegnę! Wiele zaś razy sierpem albo nożami do krajania zielska, albo tam czym innym ręce sobie pokroiłam, to by już tego i Bóg Przenajświętszy nie zliczył. A przy kochaniu wszystko dobrze. Tak i panience rączka zagoi się, jak tylko

luby pocałuje. A czy jest luby?

— Nie ma — z uśmiechem odpowiedziała Justyna.

— Oj, to źle! Trzeba, żeby był! Ale ja cościś słyszałam, że i był… tylko… niestały! Bo to ludziom gęby nie zatknąć. Gadali! A ja, owszem, dziwowałam się temu panu, że takiej ślicznej panienki nie wziął… i Jankowi za przykład stawiałam: „Nie bądź ty taki, synku! Jadwiśki swojej nie porzucaj!" A on jak ofuknie: „Ja — mówi — nic Jadwiśce nie przyrzekał, a ten pan tej pannie przyrzekał i nie dotrzymał. A kiedy tak, to on jest prawie łajdak i do tego jeszcze głupi, bez oczów, bo panna śliczna i taka po nim teskliwa[217], że mnie, zdaje się, łój roztopiony do serca kapie, kiedy ją gdzie obaczę!" Ot, jaki on! do mnie przyrodził się… czuły i taki romansowy…

Ciemną, mnóstwem istotnie śladów skaleczeń okrytą ręką oczy sobie otarła, bo zawsze płakała albo przynajmniej na płacz się jej zbierało, ilekroć o rzeczach czułych i romansowych mówiła.

W tej chwili na brzegu ścierniska rozległo się pozdrowienie, męskim głosem wymówione:

— Dopomóż Boże!

— Dziękujemy! — odpowiedziało kilka męskich i kobiecych głosów, a matka Jana wyprostowała się i rękę na kłębie opierając zaśmiała się do przybyłego całym rzędem swoich białych zębów.

— Pan Fabian widać do hrabiów zapisał się, kiedy w taki roboczy czas spaceruje sobie. Owszem. Bo to wygoda w chacie wielką gromadę mieć. Żonka i dzieci wszystko zrobią, a ociec muchy po drogach łapie, ha, ha, ha!

Na brzegu ścierniska rumianością rydza jaśniała twarz Fabiana, szorstkim wąsem zjeżona i parą małych, bystrych oczu połyskująca.

— Ot, i poruszyła baba rozumem jak cielę ogonem! — z wolna postępując naprzód odkrzyknął. — U pani Starzyńskiej zawsze gęba wiatrem nabita… Kiedyż to ja od pracy ubiegałem? A że dziś przy robocie nie stoję, to z przyczyny takich interesów, których taka głowa, jak pani Starzyńskiej, pojąć nawet nie zdoła. Teraz zaś idę do moich snopków, co pod laskiem na mnie czekają, i tu zaszedłem dla obaczenia, wiele mego żyta na przyszły tydzień pozostanie.

— Nic, tatku, nie pozostanie! Wszyściutko dziś zeżniem! — zawołała Elżusia.

— Taki koniec, że bez jegomościa obeszło się i jednego naszego kłosa na tym kawałku dziś nie pozostanie! — zaśpiewała matka rodziny.

Rodzina ta, z dwu kobiet i czterech mężczyzn złożona, już i przedtem gorliwie pracowała, ale wraz z nadejściem zwierzchnika swego gorliwość tę zdwoiła. Nawet wielki, pleczysty Julek, który przedtem stanął był na zagonie jak słup nieruchomy i sennym, tęskliwym wzrokiem w stronę Niemna patrzał, teraz z podniesionymi ramionami, głośno sapiąc i bardzo pośpiesznie widłami snopy z ziemi podnosił i układającemu je na wozie bratu podawał. Fabian coraz dalej po ściernisku powoli i z powagą postępował, a na widok kilkunastu swych zagonów zupełnie już ze zboża

obranych z widocznym zadowoleniem kępką sterczących wąsów poruszał. Puszył się zaś coraz więcej, szerokie, czerwone ręce w kieszeniach czarnych spodni zatopił i coraz dumniej po tej części państwa swego kroczył, na której tak pomyślnie gospodarowała jego rodzina. Wtem stanął, rękę z kieszeni wyjął i czyniąc z niej sobie nad oczami daszek, w stronę dwojga ludzi samotnie u brzegu ścierniska pracujących patrzał.

— Hej! Ładyś! — na całe ściernisko rozległ się krzyk jego popędliwy i głośny — a czyje to żyto żonka twoja sierpem zaczepia? Niby to na swoim zagonie żnie, a obok rosnące skubie! Bóg mnie ubij na ciele i duszy, kiedy te chamy ćwierci mego prawowitego zagonu nie spustoszyli!

Krew zalała mu czoło, policzki i nawet białka oczu, które niepohamowaną złością zagorzały. Na widok szkody dobru jego wyrządzanej powaga jego i pycha zniknęły w mgnieniu oka i tak lekki, jakby miał lat dwadzieścia, z pięściami tak zaciśniętymi, jakby na śmiertelnego wroga godził, biegł, leciał prawie, zagony przeskakując i wysoko za sobą podrzucając ciężko obute nogi. Żona i córka jego żęły dalej, ale dwaj dorośli i dwaj niedorośli synowie, przerywając robotę swą, patrzali za nim z widocznym przestrachem w oczach, któremu jeden z nich tylko, zapalczywy i także do gniewu skłonny Adam, nie uległ. On także na widok szkody zbożu ojcowskiemu wyrządzonej gniewem zapłonął i na wozie pełnym snopów stojąc, z brwiami ściągniętymi i oczami błyskającymi, cały podał się naprzód, do skoku i rzucenia się ojcu z pomocą gotowy. W połowie drogi Fabian stanął, ku synom się zwrócił i obu rękami machnąwszy, z całej piersi jeden tylko wyraz im rzucił:

— Gomuły[218]!

Dwa zagony jeszcze przeskoczywszy, znowu obejrzał się i krzyknął:

— Harbuzy[219]!

Znowu poskoczył naprzód i raz jeszcze krwistoczerwoną twarz swą odwracając wrzasnął:

— Z dopustu bożego durnie!

Adam z wozu skoczył; niedorosłe chłopcy, z których jeden lat piętnaście, drugi siedemnaście liczyć mógł, sierpy na ziemię rzucili i wszyscy trzej wielkim biegiem puścili się za ojcem. Czas też był, aby z pomocą mu pośpieszyli, bo młodszy o lat kilkanaście, barczysty Ładyś i żona jego, wysoka, muskularna, z wielkimi rękami, choć z wychudłą twarzą kobieta, z krzykiem też, z pięściami i widłami na spotkanie napastnika biegli. Adam z wozu zeskakując widły z rąk Julka pochwycił. Dwie minuty zaledwie od rozpoczęcia się sporu minęło, gdy na ściernisku, tuż przy zagonie Fabiana, który stał się kością niezgody i którego brzeg istotnie przez sierp Ładysiowej żony w dziwne zęby i wykąsy poszczerbionym został, powstał kłąb zwikłanych z sobą ciał ludzkich, strasznymi krzykami buchający a ramionami i widłami na kształt miotanych przez wicher skrzydeł młyńskich rozmachany. Żniwiarki z sierpami w opuszczonych rękach na zagonach stanęły i w stronę bójki zwróciły twarze z

przelęknionymi oczami i porozwieranymi ustami. Widowiska takie nieczęsto zdarzać im się musiały, skoro czyniły na nich silne wrażenie. Zdarzały się jednak; bo i teraz niektóre szeptały pomiędzy sobą, że może Fabian Ładysia tak zbije, jak dwa lata temu zbił Klemensa, który mu łączkę spasał[220], albo sam okaleczony zostanie tak, jak mu się to zdarzyło w wypadku jakimś, w którym innemu sąsiadowi swemu przez pomstę za jakąś ubligę[221] drogę zaorał.

— Bo to — zagadała matka Jana — on i sam krzywdy ludziom robić umie… Te pólko Jankowe był już sobie przywłaszczył, kiedy Janek był mały, a Anzelm chory, aż go, owszem, procesować musieli…

— Pani Starzyńska bardzo już wszystko pamiętająca — zajęczała żona Fabiana, która tak drżała, że aż zęby jej głośno uderzały o siebie. — A taki koniec, że ten Ładyś, złodziej, na wszelki kłosek, na wszelką trawinkę cudzą przymiera z chciwości.

— Bardzo słusznie! Z chamką ożenił się i sam schamiał, a teraz ojca jeszcze skaleczy! — popędliwie krzyknęła Elżusia. — Julek! — krzyczała dalej rozpaczliwie, oglądając się na wszystkie strony. — Julek! Biegaj ojcu pomagać!

I zaraz czerwone ręce załamała.

— Bardzo słusznie! — jęknęła. — Uciekł.

— Owszem, bo to na Niemen drapnął! Ha, ha, ha! — roześmiała się Starzyńska.

Istotnie, widać było z dala ogromnego, rudego chłopca biegnącego co sił przez ogrody i podwórka okolicy ku rzece. Z głową w tył odrzuconą, z miotającymi się w obie strony ramionami, przeskakiwał niskie płotki i pędem strzały obiegał domy, a za nim biegł też, pod płotkami prześlizgiwał się, zagony ogrodów przeskakiwał radośnie i rozgłośnie skomlący Sargas.

Ale wrzawa kłótni przyciągnęła kilku ludzi z pobliskich łanków; Jan także, który na ściernisko pieszo już wrócił, z gniewnie ściągniętymi brwiami biegł ku walczącym. Po cichym przed chwilą polu rozlegały się krzyki trwogi i oburzenia.

— Pozabijają się! Wstyd! Obraza boska! Biją się jak chamy! Fabian, upamiętaj się! Ładyś, rzuć widły!

W kilka minut walczący rozbrojeni i rozłączeni zostali; napastnicy sapiąc i jeszcze krzycząc na swe zagony odchodzili; napastowani, z głośnym płaczem kobiety i dziecka, zjeżdżali ze ścierniska na swym mizernym, jednokonnym wozie, na którym siedział Ładyś w podartym nieco odzieniu i ze śladami uderzeń na twarzy. Rozjemcy pośpiesznie do pracy wracali. Jan oddając Adamowi widły, które mu z rąk był wydarł, ocierał pot z twarzy, okrytej wyrazem goryczy i pogardy.

— Oj, wy, wy, złośniki, drapieżniki, wstydu w oczach i Boga w sercu nie mający! — głośno i z gniewem do Fabiana i synów jego mówił. — Czy wy psu oczy sprzedali, żeby takie rozbójnictwa i awantury wyrabiać? I za co? Dla jakiej przyczyny? Za garść żyta…

— Nie garść, ale pół zagona! — krzyknął Fabian — a ty w cudze garnki nie zaglądaj, żeby czasem na twojej głowie nie pękły! Ot, z dopustu bożego pośrzednik i jednacz jaki!

Zaperzony był jeszcze, na czole miał czerwoną szramę, około nasrożonej kępki włosów siną plamę; jednak ze zmieszaniem na twarzy coś około wozu swego poprawiał i oczu nie podnosząc, coraz ciszej mruczał:

— Kruk z rodu złodziej! Bodaj go marnie zabito, chama tego! Bodaj on na psa zszedł!

Adam na wóz wskakując, jak piwonia czerwony, krzyczał:

— Kto hrabia, dla tego pół zagona nic nie znaczy, ale ubogiemu i prosiątko drogie! Jan arystokrat, to może swoje darowywać, ale my biedne mrówki, które swój gniew mają, gdy krzywdy ponoszą!...

Jan parsknął szczerym, głośnym śmiechem.

— Oj, Adaś, Adaś! — wśród śmiechu tego wołał — chyba ty na morzu rozum swój zostawiłeś, kiedy takie głupstwa gadasz! Jakiż ja arystokrat? Ja tylko to wiem, że nijaki porządny gospodarz nie zubożeje, kiedy mu biedny człowiek jaką tam garść zboża zeżnie albo trawinę spasie, i materia do zwady, a osobliwie do takiego rozbójnictwa z tego wynikać nie powinna. Ale twój ojciec na wszelką pylinkę[222] ziemi i na wszelkie ziarneczko mrze z upragnienia, a ty znów w tym roku sępa ludziom pokazujesz ze strachu, że cię w sołdaty zaraz wezmą[223]. W cudze garnki zaglądać nie lubię, ale to wam powiedzieć musiałem. Bić się z wami ani z nikim, jak Bóg jest na niebie, nie będę, ale językiem nie poruszyć, kiedy takie haniebne postępki widzę, to już nijak nie mogę.

Głośno z gniewu i oburzenia sapnął, ręką machnął i wyzywającym ruchem czapkę na głowie przesunąwszy, na swoje zagony wrócił.

Nic już prawie na tych zagonach do robienia nie pozostawało; trochę stojących jeszcze na nich kłosów za krótki kwadrans upaść miało pod sierpami żniwiarek. Starzyńska mówiła o pszenicy, której zbieranie w poniedziałek zaczynać trzeba, bo tak już dojrzała, że wnet wysypywać się zacznie.

— Bo to panienka — gadała dalej — pewno już do nas drugi raz nie przyjdzie, takie grubiaństwo dziś obaczywszy. Nadmiar panienka przelękła się i już nawet uciekać chciała... ha, ha, ha!

Istotnie, hałaśliwy spór w polu wybuchający strwożył był Justynę tak bardzo, że sierp z ręki upuściła. Oprócz trwogi doznała może jeszcze i innych przykrych uczuć. Niesmak odmalował się był na jej pąsowych ustach, brwi ściągnęła i zdawać się mogło, że wzgardliwie na ten kłócący się i do bójki zrywający się motłoch ramionami wzruszywszy, spiesznie i zaraz odejdzie. Ale było to tylko mgnienie oka, po którym coś w sobie widocznie zwyciężała i nad czymś myślała. Z chciwą ciekawością patrzała na Jana, gdy usiłował rozbrajać walczących, i słuchała gniewnych jego wyrzutów, Fabianowi i synom jego czynionych. Teraz zupełnie spokojna, z twarzą od ciągłego pochylania się rozognioną, złożyła na ziemi garść

użętego zboża i prostując się odpowiedziała:

— Albożto tutaj tylko zdarzają się rzeczy niedobre i smutne? Wszędzie są takie, i daleko jeszcze gorsze, a jedyna różnica — w formie!

W słowach tych wypowiedziała myśl, która przed kwadransem zwyciężyła w niej przestrach i niesmak i od ucieczki stąd ją powstrzymała. Wypowiedziała ją po prostu, łagodnie, z lekkim wzruszeniem ramion głębokie przekonanie objawiającym.

— Z daleka patrząc — z mimowolnym, na Korczyn spojrzeniem dodała — można wyobrażać sobie, że tam, wyżej, nic złego ani brzydkiego nie ma, ale z bliska… jeżeli nie jedno, to drugie, i może jeszcze gorsze… jedyna różnica w formie!

Starzyńska w grube i pokaleczone, ale kształtne, suche ręce klasnęła i zawołała:

— Bo to panienka prawdę mówi. Owszem. Wszędzie znajdą się złe ludzie… tylko jedni inaczej, a drudzy inaczej złość swoją okazują… A Bóg najwyższy na jednym polu i barana, i kozła cierpi…

— Jaki ja kontenty[224], jaki ja kontenty, że pani tak sobie pomyślała — zabrzmiał obok Justyny głos Jana — a to już mnie do głowy przychodziło, że pani Bóg wie za kogo nas poczyta, może za rozbójników jakich…

Promieniał cały, śmiał się i nie wiedzieć czemu, pochyliwszy się nagle, kilka kwiatów ze ścierniska zerwał. Nie myślał o nich wcale, ale chciał ukryć płomienie, które mu czoło, policzki, uszy i aż ogorzałą szyję opłynęły. Z tym jeszcze powoli spływającym pożarem krwi i ze szczególnie przy nim odbijającym zamyśleniem w oczach powtórzył słowa Justyny:

— Jedyna różnica w formie… czyli że wszelakie charaktery wszelako bywają objawiane: u jednych pięknie, u drugich brzydko… ale to jest forma, czyli powierzchowność i znikomość, a prawdziwy walor człowieka w tym, co on we środku ma…

Zrozumieli myśl Justyny, wybornie ją zrozumieli oboje i syn, i matka. Antolka wpół gołębie, a wpół dziewicze swe oczy z ciekawością niezmierną i ze słodyczą głębokiego lubowania się ku Justynie wzniosła.

— Żeby to Justynka w poniedziałek bez gorsetu przyszła, tobyśmy może i cały dzień razem żęły… — szepnęła.

Przed dwoma już dniami zawarły pomiędzy sobą umowę, że wzajem po imieniu nazywać się będą.

— Bo to i robotnica tobie, Janku, przybyła! Facecja, dalbóg, facecja! Ha, ha, ha!

Głośnym, filuternym śmiechem, na wsze strony oczami błyskając, zaniosła się Starzyńska, a potem nogą o ziemię uderzając i szeroko ramionami rozmachując zawołała:

— A teraz, owszem, do roboty, dziatki! Bo to jeszcze jaki kwadransik i calutkie te pólko Jankowi ogolim! Żwawo, dziatki, żwawo! A i ty, Janek, za ten sierp chwycić się możesz, który Alżusia tam na zagonie rzuciwszy, sama za ojcem pobiegła! To nic, że takim wielkim mężczyzną wyrosłeś,

swoim babom dopomóc nie wstydno! Żwawo, dziatki!

Wyrazem dziatki i nową robotnicę swą ogarniała. Żwawo wszyscy czworo rzucili się ku zbożu, żwawo i milcząc żęli; tylko raz Antolka zachichotała z mimowolnych stękań, które niekiedy wydzierały się z piersi Justyny. Justyna zaśmiała się tak głośno, jak nie śmiała się nigdy, i zaledwie oddychać już mogąc upewniać zaczęła, że wcale a wcale zmęczona się nie czuje, a Jan, z ogromną garścią zboża prostując się w całej swej wysokości, dziwnie w tej chwili poważnym i zamyślonym ruchem odgarniał z czoła opadające na nie włosy i w górę, wysoko, ku samym obłokom patrzał oczami napełnionymi srebrzystym światłem.

Wtem tuż za nimi rozległ się gwar kilkunastu grubych głosów, z którego wyróżnił się głos jeden, młodzieńczy, dźwięczny i wesoły, ze śmiechem i klaskaniem rąk wołający:

— Brawo, Justynko, brawo! Boże dopomóż robotnicy nowej! Jak się masz, Janku! Jak się ma pani Starzyńska! Brawo, Justynko, brawo!

Szczupłym, lecz giętkim ramieniem znad ziemi podniesiona Justyna zobaczyła młodego krewnego swego, Witolda, który z głośną, dziecinną prawie wesołością w śmiechu, w oczach i na promieniejącym czole kilka razy ją po zagonie okręcił.

— Dużoś nażęła? Długoś żęła? Czy naprawdę żąć umiesz? Przecież choć raz nie brząkasz na fortepianie i nie tułasz się po domu jak Marek po piekle. Bo przecież na świecie każdemu coś robić trzeba! Prawda, Janku? Pamiętasz, Janku, jakeś mnie niegdyś z Niemna wyłowił, kiedym jeszcze malcem będąc pod sekretem przed Julkiem wybrał się na pływanie? Julek to pływać mnie uczył! A panna Antonina czy mnie nie poznaje? Przecież dwa lata temu, i przedtem jeszcze, ile razy zbieraliśmy razem grzyby i poziomki! Ale z ciebie, Justynko, zuch! Znudziłaś się klepaniem po klawiszach i romansowymi książkami i żąć poszłaś — brawo!

Śmiejąc się i w różne strony zwracając ściskał ręce Starzyńskiej, Antolki, Jana, który przyjaźnie i poufale śmiał się także, przypominając sobie, jak o lat blisko dziesięć młodszego od siebie Witoldka raz z wody wyciągnął.

— Czemu Witold nigdy do nas nie zajdzie? — z wyrzutem zapytał. — Do Fabianów ciągle chodzi i do Walentych, nawet u Ładysiów raz był, a o nas zapomniał.

— A kiedy twój stryj podobno chory i nie lubi widywać się z nikim! Ale zajdę, dziś jeszcze zajdę. Ja dziś na polu prawie cały dzień przesiedziałem, tam pod laskiem, i tak nagadałem się z ludźmi, że aż mnie język piecze…

Tu, jak swawolne dziecko, język z ust wysunął i wnet poskoczył za gromadą z kilkunastu mężczyzn złożoną, która minęła już ściernisko Jana i z gwarem grubych głosów postępowała drogą wzdłuż okolicy sunącą nieszerokim szlakiem.

Wieczór zresztą nastawał. Za okolicą i rzeką słońce połową ognistej tarczy iskrzyło się nad borem. Ostatnimi promieniami jego przeniknięty, kołami wozów i licznymi stopami ludzi podniesiony, złoty tuman pyłu

owinął znowu długi szereg domostw i ogrodów, potężne grupy drzew rozłożystych, splątaną sieć płotków i ścieżek. Biały pas drogi i wszystkie ścieżki, podwórka, wąskie przejścia pomiędzy ścianami świrnów i stodół napełniły się powracającym do domów mrowiem ludzi i zwierząt. W powodzi zieleni i tumanie pozłoconego pyłu pojedynczo i gromadnie przesuwały się, krzyżowały się z sobą, tu ukazywały, tam znikały barwiste kobiece ubrania, głowy w czapkach, chustkach i warkoczach, twarze zmarszczkami pokryte, mizerne, smutne lub rumieńcami kwitnące i pomimo przebytego dnia ciężkiej pracy w wesołych uśmiechach ukazujące perłowe rzędy zębów, ale wszystkie ciemną brunatnością ogorzelizny obleczone i wszystkie lśniące od potu, zaledwie poczynającego wysychać na daleko bielszych niż policzki czołach. Powietrze huczało od gwaru ich głosów, od ryku krów, meczenia owiec, turkotu kół i szczekania psów. Słychać było głuche postękiwania kobiet usiłujących prostować zbolałe plecy pod odzieżą, na której ciemniały mokre plamy potu, i chichoty dziewcząt, którym niesione sierpy nie przeszkadzały w grubych i ciemnych rękach układać małych wiązanek lub wianków z zerwanych po drodze kwiatów. Słychać było cienkie głosy dzieci wybiegających na spotkanie matek, swawolne krzyki podrostków, gdakanie kur, gruchanie gołębi i pianie kogutów.

W zagrodzie Anzelma czerwone blaski słońca długimi szlakami kładły się na puszystym kobiercu po raz drugi podrastającej koniczyny i ukośnymi strzałami wślizgując się między gałęzie drzew, zarumieniały gęsto osypujące je owoce. Pszczoły ułożyły się już do snu w błękitnym tłumie przysadzistych ulów, za którymi w migotliwych światłach zachodu cicho stały rozłożyste wieczorniki i wysokie malwy. Ogród był pełen świegotu ptastwa i zapachu kwitnącej rezedy zmieszanego z ostrymi woniami mięty, piłowiei i bożego drzewka. Za gęstym listowiem stuletniej sapieżanki dwa okna w błękitnych ramach gorzały jak rozpalone rubiny. Przez otwartą na oścież bramę na szeroką, śladami kół zbrużdżoną i od dzięcieliny bielejącą drogę z rykiem i meczeniem wchodziły małe trzódki krów i owiec.

Pomiędzy drzewami Anzelm w grubej swej sukiennej kapocie i wielkiej baraniej czapce przechadzał się z Witoldem Korczyńskim zwykłym sobie powolnym krokiem, młodego swego gościa od drzewa do drzewa prowadząc. Od wielu już lat na robotę w pole nie wychodził, dla czego w okolicy nosił przezwisko hrabiego. Wszyscy jednak wiedzieli dobrze, że nie pracy unikał, lecz tłumu i gwaru, które znać sprawiały mu dolegliwą przykrość, bo ilekroć wśród nich się znalazł, wyraz niepokoju, bolesnego niemal rozdrażnienia okrywał jego zmęczone rysy i napełniał bladobłękitne oczy. Prawie z przestrachem w postawie i ruchach otulał się wtedy swoją kapotą, cofał się i usuwał. W zagrodzie swej za to cichy był jak otaczająca go tutaj cisza i od wschodu słońca aż do jego zachodu czynił wszystko, co do czynienia było: kosił, grabił, sadził, podlewał, grodził, dopatrywał bydła i owiec, a w zimie cepem[225] bił o klepisko, heblem, piłą,

młotkiem i siekierą pracował około ulów, parkanu i domu. Wszystko to robił powoli, lecz nieustannie z monotonnymi ruchami, w których tkwiło wieczne jakby zamyślenie duszy, daleko od obecnej rzeczywistości ulatującej. Dziś przez dzień cały z pomocą najętego parobka układał w stodole snopy przez synowca z pola przywożone, a gdy już snopów zabrakło, parobkowi po wodę zejść kazał do rzeki, sam zaś dopatrywał kasztana i gniadej, których Jan po raz pierwszy może w swym życiu sam nie dopatrzył, z gorączkowym pośpiechem na pole wracając. Wyszedłszy ze stajni Anzelm jak wryty stanął przed wrotami i z ręki daszek sobie nad oczami robiąc, w głąb ogrodu patrzał. Żółty Mucyk, z lisim pyskiem i ogonem, miotał się tam jak szalony, ujadając i zarazem trwożliwie cofając się przed wielkim, czarnym wyżłem, który poprzedzał dwóch środkiem ogrodu postępujących ludzi. Jednego z tych ludzi Anzelm poznał od razu. Był to fanfaron[226] i elegant Michał, w ubraniu z dymki kanarkowego koloru, idący tu pewno w nadziei zobaczenia Antolki, do której od przeszłej zimy widocznym był aspirantem[227]. Ale drugi… Tego drugiego poznał Anzelm wtedy dopiero, kiedy się znalazł przed nim o kilkanaście kroków, i nie poznał nawet, raczej domyślił się, kim on był, i mimowolnym, instynktowym ruchem otulając się kapotą, cofnął się nieco. W oczach jego zagrał bolesny niepokój, a cienkie, blade wargi ironicznym uśmiechem drgnęły pod płowym, siwiejącym wąsem.

— Korczyński — szepnął — młody Korczyński… Na co? Po co? Dla ja… ja…kiej przyczyny?

Jednak, tak jak i w ów wieczór, gdy po raz pierwszy zobaczył Justynę, krokiem powolnym, ale uprzejmie naprzód postąpił, gestem grzecznym i dwornym czapkę nad głową podnosząc. Zdawać się mogło, że pomimo cierpienia, jakie sprawiało mu wszelkie zetknięcie się z ludźmi — z tymi może szczególniej ludźmi — ukazywanie się wobec nich uprzejmym, nawet wytwornym za konieczność dla własnej swej osobistej godności uważał. Jak wtedy ręki Justyny, tak teraz śpiesznie ku niemu wyciągniętej dłoni Witolda końcami palców zaledwie dotknął i nie na gościa, lecz kędyś daleko patrząc przemówił:

— Nie spodziewałem się, nie spodziewałem się takiej promocji i ta… ta…kiego miłego spotkania!

— Widzi Witold — zaostrzonego wąsika pokręcając triumfująco zawołał przystojny, śmiały chłopak w kanarkowym ubraniu. — Czy ja Witoldu nie mówiłem, że będzie grzecznie i jak się należy przyjętym? A to Anzelm tak już za swoją dzikość na ludzkie języki padł, że Witold nijak do Anzelma iść nie śmiał. „Chcę, a nie śmiem" — powiada. Aż ja wziąłem, przyprowadziłem, zaznajomiłem, i koniec, i basta! A gdzież to panna Antonina?

I skoczył ku domowi, w którego sieni słychać było śmiejące się głosy i huk obracanych żaren. W małej, przyciemnionej sieni Starzyńska żwawo obracała okrągłym kamieniem żaren.

— Ot, tak, panieneczko, ot, tak, robaczku, okręcać trzeba i okręcać…

Siwiejące włosy spod białego czepka opadały jej na twarz rozognioną i spotniałą, ale po całodziennym żęciu nie wyglądała wcale mniej sprężystą i żwawą.

— O, ciężko! — zawołała Justyna, gdy kamienne koło zaturkotało pod jej rękami.

Oparty o odrzwia wysoki mężczyzna, którego śnieżna koszula bielała, lecz rysy znikały prawie w półzmroku sionki, śmiał się cichym, w głębi piersi szemrzącym śmiechem.

— Rączki już nadmiar zmęczone, niech już odpoczną sobie, te miłe, śliczne rączki… Do takiej pracy nie wzwyczajone.

Przez drzwi otwarte widać było kuchnię dość obszerną, w której po samym środku siedziała gromadka królików, tak ułaskawionych, że ludzkie głosy i kroki wcale ich nie płoszyły. Tylko w nierozwikłanej tej mieszaninie długich uszu i czarnej, białej, szarej szerści z dziesięć par oczu błyszczało na kształt czarnych paciorek w koralową oprawę ujętych. Przed niewielką kuchenną płytą, ogromnym kapturem osłoniętą, stała Antolka, cała w świetle rozpalonego w piecu ogniska. Złotawe blaski obejmowały jej wątłą, wysmukłą kibić, drobne rysy różowej twarzy i włosy pełne więdnących kwiatów. Stawiając na płycie garnek pełen wody nagle drgnęła. Kanarkowy kawaler, wybornie naśladując kukawkę, za plecami jej zawołał:

— Kuku! Kuku! Kuku!

— O Jezu! — zawołała i usta nieco wzgardliwie wydęła, choć w ciemnych jej oczach przebiegły wesołe błyski — czy to pan Michał nic dziś nie zmęczony, że aż tu jeszcze dokazywać przyszedł?

— Ja okropnie zmęczony! Oj, oj! Oj! jaki ja zmęczony! Chyba mnie panna Antonina usieść przy sobie pozwoli, bo jeżeli nie, to tak zaraz, hrym! I z wielkiego zmęczenia do nóżek padnę!

— Nie zapraszam i nie zabraniam — uśmiechnęła się dziewczyna — tylko ciekawość, dlaczego pan Michał na wieczerzę do domu nie idzie. Czy to pan zwykle wieczerzy nie jada?

— Kiedy ja biedny człowiek jestem, sierota bezżenny, i nie ma dla mnie komu wieczerzy gotować!

— A ciotka?

— E! Jaki tam smak w ciotczynej wieczerzy! Ja tu przyszedłem w nadziei, że na tę wieczerzę zaproszony będę, którą panna Antonina własnymi rączkami zgotuje. Czy mnie do tych przynależeć przeznaczono, którzy nadzieję za matkę sobie mają?

— Nie potwierdzam i nie zaprzeczam — filuternie odpowiedziała dziewczyna.

On podłużnymi, z szarą źrenicą oczami śmiało i razem czule na nią patrząc, dalej rozmowę ciągnął:

— A żebym ja był kotkiem, toby pani inaczej mnie przyjmowała, bo bardzo kotków lubi. No, to ja zrobię się kotkiem.

I z wiernością niezmierną przeciągłe miauczenie kotów naśladować począł. Na ustach coraz różowszej dziewczyny przelatywały i drgały uśmiechy. Spuszczała jednak powieki, wargi przygryzając.

— I kotka panna Antonina dobrym słówkiem pogłaskać nie chce? No, to ja siędę sobie na drzewie i przemienię się w płaczącego puchacza!

Siadł na ławce u pieca stojącej, głowę nisko zwiesił, ramiona u piersi skrzyżował, nogi daleko przed siebie wyciągnął i zaniósł się żałośliwym, a do złudzenia podobnym lamentem puchacza. Było to już więcej niż znieść zdołała powaga dziewczyny. Wybuchnęła takim śmiechem, że aż na ziemi pod piecem przysiadła.

— Ha, ha, ha, ha, ha! — dźwięcznym, nieposkromionym, szesnastoletnim chichotem śmiała się Antolka.

— Puha! puha! puha! — wtórował jej śmiechowi coraz zawziętszy i żałośniejszy krzyk puchacza.

W ogrodzie, w pełnym jeszcze słonecznych blasków świetle, Anzelm ogród swój gościowi ukazywał. Witold bacznie i z zajęciem oglądał młode drzewka, częste czyniąc uwagi nad niezupełnie dobrym ich hodowaniem. Tu gałęzie nie były obcięte, jak należało, gdzie indziej zbyteczne pędy pozostawione zostały, tam nie odjęto pąków, których istnienie wyniszczało drzewo. Anzelm ciekawie słuchał i uważnych, zamyślonych oczu nie spuszczał z twarzy Witolda. Twarz ta, ożywiona, nerwowa, z bladawą cerą i trochę zmęczonym czołem, tę miała właściwość, że jakimikolwiek były myśli, które w chwili jakiejś napełniały głowę młodego człowieka, płonęła w nich cała, jakby w łunie z wewnętrznego pożaru bijącej.

— Pan tego wszystkiego uczy się teraz — powolnym, monotonnym swym głosem zaczął Anzelm — i widać, że uczy się nieobojętnie. Ja bez żadnej nauki sadek ten założyłem, a i poradzić się także nie było u kogo. Toteż i dowiaduję się ze słów pana, że niejedną zrobiłem pomyłkę… Wierzę… wierzę… Nauka ludzkim czynnościom przyświeca…

Mówił z widocznym roztargnieniem, o czym innym myśląc, a wzrok jego coraz przenikliwiej i głębiej zatapiał się w twarzy młodzieńca. Nagle policzek na dłoń spuszczając, cicho szeptać zaczął:

— Ale jaki pan jest podobny do stryja swego, pana Andrzeja! Chryste, jakiż podobny! I czoło, i oczy, i głos, i mówienie, wszystko takie… jakby pan Andrzej z mogiły powstał…

Blade źrenice jego wejrzeniem pobiegły daleko, ku zaniemeńskiemu borowi, a potem znowu w twarzy Witolda utkwiły.

— Tylko — zaczął jeszcze — nie daj Boże panu takiego… lo… lo… losu!

Zająknął się dlatego może, że we wnętrzu swym zaraz słowom swym zaprzeczył. Podniósł pochyloną dotąd głowę, czapkę na niej poprawił, powoli wyprostował przygarbione plecy.

— Albo i nie — ze srebrnym błyskiem oczu poprawił się — albo i nie! Daj Boże każdemu dobremu tak żyć i tak umrzeć, choćby i przedwcześnie!

Serdecznym i zarazem ostrożnym jakby ruchem Witold w obie swe

dłonie wziął jego rękę.

— Za drugie życzenie dziękuję! — wzruszonym głosem wymówił. — Życia bez wyższych uczuć i myśli nie chcę i wolałbym umrzeć z wielkim ogniem w piersi niźli z kamieniem lub mętną wodą żyć wieki!

Zrazu przy dotknięciu młodego człowieka Anzelm uchylił się nieco i zwykłym sobie trwożnym ruchem otulił się kapotą. Nie uścisnął też ręki Witolda, ale w słowa jego cały wsłuchany, usta w zdziwieniu otworzył i z cicha wymówił:

— Nie spodziewałem się… nie spodziewałem się już w swoim życiu mowy takiej słyszeć… Chryste! Czy ubici mogą drugi raz ożyć?

— Nie — zawołał Witold — oni sami śpią na wieki, ale uczucia ich i myśli krążyć nie przestają w przestrzeni i płonąć w powietrzu, aż wejdą znowu w żywych, młodych, silnych, kochających ziemię i ludzi!

— Amen! — dokończył Anzelm, po czym oba stali przez chwilę wzruszeni, milczący i wzajemnie w siebie wpatrzeni.

— Może być — zaczął Witold — że kiedykolwiek, gdy po skończeniu nauk do Korczyna wrócę, w wielu względach o pomoc pana prosić będę.

— Mnie? — zadziwił się Anzelm i cofnął się znowu trochę. — Ej, nie! — ze spokojnym już zamyśleniem mówił dalej — ze mnie już żadnej pomocy nikomu nie będzie. Lata sił ujmują i ubiegłej wody nie wrócisz. Ale to jest prawda, że kiedy pan w Korczynie osiędziesz, trudno będzie, trudno… uskuteczniać dobre zamiary. Mnie, w moim zaciszku siedzącemu, zdaje się podczas, że jakieś wielkie lody świat ten pokryły i zrobiło się na nim nadmiar już zimno. Z nieba na nas leje się pochmurność, a my w tej pochmurności tak jak prawie groch rozsypany, którego każde ziarnko toczy się po osobno i po osobno gnije… plonu nie wydając. Kiedyś to były między ludźmi insze myślenia i insze zamiary, ale wszystkie czasy mają swój czas i każda rzecz przed oczami człowieka jak woda ubiega, jak liść zwiędnięty żółknie…

— Dziwnie pan smutny jesteś i zdawać się może, że już o wszystkim dobrym zwątpiłeś — z palącą ciekawością w twarz mówiącego wpatrując się przerwał Witold.

Zamyślony uśmiech przewinął się po ustach Anzelma.

— Zasmęciłem się ja raz w życiu swoim tak, że i na zawsze smętny już ostałem, to jest prawda. Ale co do zwątpiałości[228], to bynajmniej! Widziałem ja, owszem, stare drzewa, co próchniały i waliły się po lasach, swoje przeżywszy, ale naokoło nich wychodziły z ziemi latorośće zielone i swoją koleją w silne drzewa wyrastały. Ot, i pan teraz taką prawie jest latoroślą, co nowy las przepowiada, a jeżeli panu w jakiej trudności czy w jakich zamiarach pomocy będzie trzeba, to nie ode mnie pan ją weźmiesz, ale od mego Janka, który zarówno jest jak latorośl, co na mogile silnego dębu wyrosła. Tymczasami…

Nagle ożywił się i prędzej nieco mówić zaczął:

— Tymczasami ja cościś już i słyszałem o różnych pańskich rozmowach

z ludźmi i radach, które pan dajesz. Ot wczoraj Walenty przyszedł do nas i mówił, że pan z usilnością ludzi namawiał, żeby złożyli się wszyscy i ze cztery studnie w okolicy wykopali, to by nam woda tak prawie krwawa nie była. I Michał rozpowiadał, że pan zbudowanie spólnego młyna doradzasz, aby już na żarnach mleć potrzeby nie było, i różne tam insze myśli ludziom do głów podajesz. Owszem. Mnie tylko dziw brał, skąd to wszystko wzięło się u syna pana Benedykta Korczyńskiego, który dla nas wszystkich prawie taki jest obojętny, jakby on tylko był człowiekiem z duszą przez Pana Boga jemu daną, a my kamieniami, które nogami potrącać i odpychać trzeba.

— Niech pan tego nie mówi. O, niech pan tego nigdy przede mną nie mówi! — porywczo zawołał Witold i płomienne rumieńce uderzyły mu do czoła.

— Sam to już czuję, że zbyt śmiele przed synem na ojca powiedziałem, i o wybaczenie proszę — ze słabym też rumieńcem na chudych policzkach i znowu trwożnym ruchem owijając się kapotą przemówił Anzelm.

— Nic to, nic! Pan nie byłeś zbyt śmiały, tylko, widzi pan, ja ojca mego… dla mnie ojciec… no, ale nie mówmy już o tym! Lepiej ja panu opowiem niektóre z moich myśli, czego bym dla was pragnął i o czym myślę, że być powinno…

Przechadzali się teraz z wolna pomiędzy drzewami w jaskrawych blaskach zachodu, którego ukośne strzały ślizgały się po ich głowach i twarzach. Witold mówił jak zwykle prędko i popędliwie, z gestykulacją żywą, z ruchliwą grą rysów o czymś towarzyszowi swemu opowiadając, coś mu tłumacząc. Anzelm z przygarbionymi plecami i twarzą prawie nieruchomą słuchał go z uwagą i ciekawością, rzadko kilka słów zapytania lub odpowiedzi w rozmowę wtrącając. Parę razy jak w tęczę wpatrzony w twarz młodzieńca, cicho do samego siebie przemówił:

— Jaki do stryja podobny! Chryste! Jakiż podobny!

I w miarę przedłużania się rozmowy ściągła, chuda, z lekka zaróżowiona twarz jego pod wielką, baranią czapką okrywała się wyrazem dziwnie z sobą zmieszanych uczuć: marzycielskiej radości i niezgłębionej tęsknoty. Wejrzenie jego coraz częściej biegło daleko, ku zaniemeńskiemu borowi, a długie, blade ręce, do połowy w rękawy kapoty wsunięte, splatały się palcami silnie — trudno było odgadnąć, czy w radości niespodziewanej, czy w żałości wspomnień.

Na długiej ławce u ściany domu stojącej, pod sięgającą dachu, ogromną gałęzią sapieżanki, za wysokimi malwami i wieczornikami, w woniach rezedy i piłowiei dwoje młodych ludzi rozmawiało z sobą długo i z cicha. Dlaczego z cicha? Oni jedni tylko przyczynę tego znać mogli, jeżeli sobie o niej sprawę zdawali, bo tajemnicy żadnej w rozmowie ich nie było. Mężczyzna trzymał w ręku garść dzikich kwiatów i ziół, które jedne po drugich kobiecie podawał.

— Widzi pani, jak bławatki już posiwiały! A takie były szafirowe, śliczne! To tak prawie, jakby i jasne lato starzało razem z nimi… A to

przekwitły brodawnik; zdaje się tylko taka kulka puchu, a przy słońcu wygląda, jakby z najpiękniejszego szkła była zrobiona. Szkoda, że jak dmuchnąć, rozleci się zaraz na wszystkie strony i zniknie. Może to i szczęście człowieka takie samo, jak ta kulka puchu. Dziś jest, a jutro przeciwny wiatr powieje i daleko odegna wszystko, co człowiekowi nad życie miłym było. Jak pani myśli, panno Justyno, czy szczęście człowieka zawsze jest takie niestałe?

— Nie wiem — odpowiedziała kobieta — ja myślę czasem o szczęściu takim, którego by żadne najprzeciwniejsze wiatry rozwiać nie mogły, i innego — nie chcę.

— To panna Justyna myśli, że ludzie mogą ciężko pracować i wszelakie biedy znosić, a szczęścia swego nie utracić?

Wpół poważnie, wpół ze śmiechem odpowiedziała pytaniem:

— A Jan i Cecylia?

Chwilę milczeli.

— Ot, ta gałązka z tymi ładnymi kitkami nazywa się tymotka, a ten różowy kwiatek to zajęczy lenek, a te żółte, takie jak prawie ogień żółte kieliszki…

Z głębi domu, z kuchni, w której Antolka wieczerzę gotowała, doleciało grube i długie bełkotanie indyka, przy którym wybuchnął srebrny i nieposkromiony śmiech dziewczęcy.

— Ha, ha, ha, ha, ha! — nieskończoną, zda się, gamą śmiała się dziewczyna.

— Bołtu-bołtu-bołtu! — śmiechowi jej wtórowało wyborne naśladowanie indyczego krzyku.

— Michał, widzi pani, już z rok do Antolki chodzi i chce z nią żenić się. Może co z tego i będzie, tylko nie zaraz, bo stryj i ja nie pozwolimy jej w szesnastu latach za mąż wychodzić. Jeżeli wiernie kocha, to niech jakich lat dwa albo i trzy poczeka, póki dziewczyna wzmocni się w sobie i pomądrzeje. Drugiemu smętny byłby ten odkład[229], a jemu nie! Zawsze wesoły i wszelakich konceptów pełno mu w głowie. Ja temu dziwuję się, bo choć z przyrodzenia smętliwy nie jestem, ale kiedy w jakich zamiarach swoich przeciwności doświadczam, to, zdaje się, do grobu poszedłbym zaraz.

W kuchni wesoło i donośnie zagwizdała wilga, a jakby w odpowiedź jej z zagrody Fabiana doleciało także gwizdanie na nutę pieśni:

A kto chce rozkoszy użyć,
Niech idzie do wojska służyć.

— Te kieliszeczki, takie prawie żółte jak ogień, to kwiat mokrzycy, a ta gałązka, widzi pani, ja ją do rączki pani przyłożę i zaraz przylepi się tak, że i oderwać będzie trudno, dla tej przyczyny i nazywa się ona lepka.

Ostrożnie, z uśmiechem na ręku jej położył zieloną gałązkę, która też

istotnie mnóstwem swych drobniutkich, zaledwie widzialnych kolców do niej przylgnęła.

— Czy pani doprawdy popłynie z nami jutro na Mogiłę?

Pochylił się trochę i nieśmiało w twarz jej spojrzał.

— Bo to troszkę i wstydno, że do tego czasu nigdy jej pani nie odwiedziła…

Śmiałość tego zarzutu w dziwnej była w sprzeczności z nieśmiałością, z jaką na mgnienie oka w twarz jej spojrzał. Ona zamyślonym wzrokiem daleko gdzieś patrzała.

— Iluż, iluż ja rzeczy w życiu swoim wstydzić się muszę — powoli i ze zsuniętymi brwiami wymówiła — a nigdy — dodała — nigdy tego tak mocno nie uczułam jak teraz.

— Pani pewno popłynie jutro z nami?

— Najpewniej.

— A jeżeli czasem stryj zostanie w domu?

Spojrzała na niego pogodnie, ufnie i odpowiedziała:

— Popłynę z panem.

Tuż obok zielonej gałązki na ręku Justyny czerwieniła się szrama od draśnięcia sierpu pochodząca. Jan patrząc na tę różową szramę, tak jakby oczu od niej oderwać nie mógł, z cicha mówił:

— Bo to, widzi pani, już ja dziś z twarzy stryja widzę, że go jutro chandra schwyci. A kiedy go już ta pochmurność napadnie, to za nic z domu nie wyjdzie, nie je, nie pije i z nikim gadać nie chce… Tak czasem przeżyje dzień jeden, a czasem dwa i trzy dni… My podtenczas z Antolką na palcach chodzim i cicho gadamy, tak jakby umarły w domu leżał… Taka już u niego duszna choroba jakaś!

W tej chwili Anzelm, niezwykle spiesznym krokiem Witolda wyprzedzając, zbliżył się do jednego z otwartych okien domu.

— Ja panu zaraz te książki pokażę — mówił — zaraz po… po… po…każę!

Wąska ławka nie broniła wcale przystępu do okna; owszem, Witold przyklęknął na niej i do wnętrza zajrzawszy, jednym spojrzeniem ogarnął dość szczególnie wyglądającą izdebkę. Był to tak zwany przeciwek, dlatego tę nazwę noszący, że sień go rozdziela z obszerną świetlicą. Malutka to była izdebka, więcej długa niż szeroka, z niskim, belkowanym sufitem i chropowatymi, skąpo pobielanymi ścianami. Drewniany tapczan z siennikiem, poduszką i na domowych krosnach wytkaną kołdrą, prosty stół pod oknem, zielona skrzynia, zapewne z odzieżą, i jedno stare krzesło z drewnianą tylną poręczą stanowiły wszystkie sprzęty znajdujące się w tej izdebce. Nad łóżkiem wisiały trzy spore obrazy: najwyżej, prawie pod sufitem, Ostrobramska Maria w ramach, złoconym i dość jeszcze błyszczącym papierem oklejonych; niżej, prawie nad samą pościelą, dwa szare, w drewnianej oprawie, wizerunki siedzących na koniu rycerzy. Zza ramy świętego obrazu wychylał się pęk palm święconych; na szare wizerunki opadała na ćwieczku zawieszona mała korona cierniowa. U okna,

na stole, stał niewielki dzban z wodą i stała przy nim dnem do góry przewrócona szklanka, a dalej, przy samej ścianie, za lampką z wysokim kominkiem leżało kilka książek w zniszczonej oprawie. Po te książki Anzelm rękę wyciągnął i jedną po drugiej podawał je Witoldowi. Przy tym powoli czytał ich tytuły:

— *Psalmy* Kochanowskiego[230]... Niech pan spojrzy na te dwa wyrazy, co na boku wypisane.

— Andrzej Korczyński — głośno przeczytał Witold.

— *Pan Tadeusz*... Niech pan spojrzy na te dwa wypisane wyrazy...

— Andrzej Korczyński...

— *Ogrody północne*... [231]... Niech pan spojrzy...

W ten sposób kilka tytułów przeczytał, bladym swym palcem wskazując napisy im towarzyszące, z jednostajnym zawsze brzmieniem. Jeden tylko był nieco dłuższy. Zawierał się w czterech wyrazach: „Andrzej Korczyński — Jerzemu Bohatyrowiczowi".

— Ojcu Janka, jego ojcu — ze szczególnym ku Witoldowi mrugnięciem szepnął Anzelm, a potem książki znowu na stole złożył.

— Wszystko to od niego, i tyle tylko u nas światłości jest, ile jej on zostawił. Gdzie tam! I tyle już nie ma, bo jedni pomarli, drudzy zgłupieli i zapomnieli, a są i tacy nawet, co bez uszanowania i wdzięczności, owszem, z pośmiewiskiem, go wspominają. Z mułu ziemskiego zlepieni jesteśmy i o to tylko dbamy, co tyczy się mułu tego, czyli naszego ciała. Ale kto raz, choć troszkę, duszne radości i żałości poznał i dusznego światła zapragnął, ten dla niego ma wieczną wdzięczność i czuje za nim wieczną tęsknotę. On tu siał, on oświecał, on ten ogień, o którym pan tylko co mówił, w sercach ludzkich podtrzymywał, on za niego i młodą głowę swoją oddał... Niechże mu światłość Twoja niebieska, o Boże sprawiedliwy! świeci na wieki wiekuiste, amen!

Głowę ku rękom splecionym pochylił i dwie grube łzy ściekły na dwie ogniste plamy, które przy ostatnich słowach wybiły się mu na policzki. Witold wpółklęcząc na niskiej ławie, o ramę okna ramieniem oparty, wpadł w zamyślenie długie i posępne. Dość dziwną było rzeczą, jak ta twarz młodzieńcza mieniła się stosownie do wewnętrznych poruszeń duszy. Przed godziną wesoły, prawie swawolny jak dziecko, potem cały oblany łuną apostolskiego zapału, teraz wyglądał tak, jak gdyby skąpał się cały w cierpieniach, klęskach, upadkach i urąganiach napełniających całe lat dziesiątki. Istotnie, był on w nich skąpany, wzrósł wśród nich, zaprawiły mu one krew i myśl, aż teraz, dziecko prawie, stał z chmurnym czołem twardo doświadczonego męża i ponurym wzrokiem kogoś, kto patrzy w ciemne i niezgłębione otchłanie. Długo przecież trwać to u niego nie mogło i po chwili ciekawie znowu przypatrywał się wnętrzu izdebki Anzelma.

— Izdebka pana przypomina klasztorną celę — zauważył.

Anzelm także poskromił wzruszenie swe albo je ukrył i ze spokojnym już uśmiechem odpowiedział:

— A tak. Ja też ją celką swoją nazywam. W jednej piosence są takie słowa… śpiewałem ja tę piosenkę, często śpiewałem, kiedy jeszcze pogoda i upał na świecie panowały:

Ty będziesz panną, ty będziesz panną
Przy wielkim dworze;
A ja będę księdzem, a ja będę księdzem
W białym klasztorze…

IV

Czółno, wysłane gałęźmi srebrnej topoli, Jan silnie od brzegu odepchnął, a potem sam w nie wskoczył. Z wiosłem w ręku, z czołem na wpół tylko daszkiem czapki osłoniętym, w krótkiej, kolan nie sięgającej siermiędze, zielonymi taśmami przyozdobionej, z uśmiechem towarzyszkę swą zapytał:

— Czy wygodnie?

— Wybornie — odpowiedziała.

Zielone i wonne posłanie z liści było istotnie wygodne; przykrywała je do połowy jej biała suknia. Kilka lat już minęło, odkąd ani razu nie pomyślała o przybraniu się w ten strój prosty i tani, ale świeży i zalotnie odkrywający szyję jej i całe prawie ramiona. Od dawna też nie układała swych czarnych włosów w sposób tak dobrze uwydatniający piękne linie niskiego jej czoła i nie zwijała ich z tyłu czaszki w węzeł tak ciężki i malowniczo opuszczający się na kark, z lekka przez ogorzeliznę pozłocony. W kilka godzin po południu zstąpiła z wysokiej góry ku rzece i na chwilę stanęła w tym miejscu, gdzie w równej prawie linii z zagrodą Anzelma, pośrodku góry, na małej jej wypukłości, wyrastała gruba, rozłożysta topól. Pod topolą stanęła, pochyliła się i w dół spojrzała. W dole, na wąskim, piaszczystym wybrzeżu, tuż przy czółnie wysłanym zielenią, Jan spostrzegłszy ją, wysoko wzniósł czapkę nad jasnozłotymi włosami.

— Dzień dobry! — donośnie zawołał.

Woda pod dotknięciem wiosła zaszumiała, czółno zakołysało się i z przybrzeżnej mielizny na toń spłynęło.

— A stryj? — zapytała.

— Chory. Wczoraj po pożegnaniu się z państwem do swojej izby poszedł i drzwi na kruczek[232] zaszczepił. Przez okno tylko widać, że na tapczanie leży oczy sobie ręką zasłoniwszy, senliwy taki czy w myślach utopiony? Bóg to wie!

W górę rzeki powoli płynęli. Nad rzeką wznosiła się z jednej strony naga, żółta ściana, z nieruchomym borem u szczytu; z drugiej wysoka, zielona góra, u której wierzchu białe i szare domostwa okolicy, z gankami swymi, świecącymi oknami i dymiącymi kominami, jak paciorki jedno po drugim wychylały się zza zieleni potężnych drzew i przezroczystych gajów. Od każdego z domostw biegły ku rzece wydeptane ścieżki i łamiąc się w różne kierunki, rysunkiem białych linii okrywały zielony, w garby i płaszczyzny pogięty stok góry. Upalne słońce osypywało nieścigniony szlak wody ulewą iskier, a tu i ówdzie łamiące się w falach promienie jego tworzyły ogniska olśniewających świateł. Chwilami te ogniska wyrzucające z siebie niskie snopy promieni bladły lub całkiem gasły, a w błękitach wody, pod delikatnym rysunkiem drobnych fal, sunęły ciemne odbicia

przepływających pod niebem chmur. Nie były to chmury natychmiastową burzą grożące, ale raczej białe obłoki mętną szarością wydęte, wydłużające się wciąż i przybierające, z brzegami przelewającymi się w coraz nowe linie i kształty. W cichym i parnym powietrzu powoli i nisko sunąc, co chwilę przysłaniały one, to odkrywały rozżarzoną tarczę słońca, sprawiając tym w powietrzu zmienną grę promiennych jasności i nagłych przyciemnień. Tam gdzie rzeka daleko przed pomykającym czółnem za bór skręcała, zgromadzały się one, łączyły i skłon nieba zasłaniały ścianą wełnistych, ciemnych, srebrem obrębionych kłębów.

— Może dziś deszcz albo i burza będzie — zauważył Jan, który na wąskiej ławeczce w sam prawie dziób czółna wprawionej siedział, w wodę patrzał i z pochyloną nieco głową powoli wiosłem fale jej rozganiał.

Na wysokiej, zielonej górze zniknęły ostatnie domy okolicy, a tuż za nimi góra rozszczepiła się na rozpadlinę głęboką i długą, otwierającą się od strony rzeki olbrzymim trójkątem ścian w tył odgiętych i ku szczytom rozwierających się coraz szerzej. Jan ruchem głowy wskazał Justynie parów Jana i Cecylii i napełniające go nieprzebite, różnymi odcieniami zieloności mieniące się, jaskrawymi barwami kwiatów i jagód nakrapiane gęstwie roślinne. Podniosła się trochę na swym siedzeniu, w tym chaosie linii i barw pragnąc odkryć stary grobowiec.

— Schowany on jest przed światem i z nijakiej strony zobaczyć go nie można — rzekł Jan. — Chyba jesienią, kiedy drzewa i krzaki wszystkie liście swe utracą, zamajaczy on przed oczami tego, kto tędy płynie. Czy pani nie uprzykrzyło się płynąć?

Opowiedział, że do Mogiły z Korczyna i Bohatyrowicz dwie drogi prowadzą. Można przeprawić się na przeciwną stronę rzeki naprzeciw dworu lub okolicy i potem dobrą godzinę iść lasem; albo płynąć trzeba dłużej, z pół godziny, i wylądować na piaskach, od których do tego miejsca i wiorsty nie będzie. Powiózł ją tą drugą drogą, bo chciał jej pokazać piaski.

— Później powiem — dodał — dla jakiej przyczyny zechciało mi się, aby pani na tych piaskach była. Dla mojej pamięci to takie miejsce…

Nie dokończył, bo z uwagą, mrużącymi się nieco przed blaskiem oczami, przypatrywać się zaczął pszczole, która z głuchym brzęczeniem nisko nad wodą leciała. Z przeciwnego brzegu rzeki wracające pszczoły od czasu do czasu nad głowami płynących przelatywały, ale ta opuszczała się coraz niżej, okrywającą ją żółtą lepkością jak kroplami roztopionego bursztynu na słońcu błyszcząc. Jan chwiejnego jej i coraz niższego lotu z oczu nie spuszczał i zręcznym ruchem, w chwili gdy skrzydłami muskać wodę już zaczynała, posunął ku niej wiosło, na które z głuchym stuknięciem osiadła. Potem ostrożnie, troskliwie omdlały owad z wiosła na brzeg czółna zsunął.

— Szkoda pracowitego zwierzątka, aby utonęło marnie — zauważył. — Może ty moja? — uśmiechnął się do pszczoły nieruchomo na brzegu czółna siedzącej.

Za wielkim trójkątem otwierającym parów Jana i Cecylii zielona góra

przemieniła się w stromą, gładką i nagą wyniosłość, od pokładów marglu[233] zaczerwienioną i u samego szczytu wystającą szerokim, pogarbionym gzymsem twardej, gorąco-żółtej gliny. Pod tym gzymsem ciemniały otwory z niezmierną regularnością zaokrąglone i w równych od siebie odległościach ciągnące się długim szeregiem.

— Co to? — ukazując je zapytała Justyna.

Ale zanim towarzysz jej miał czas odpowiedzieć, w jednym z tych ziemnych wydrążeń zaczerniało coś, bielą błysnęło i ptak wysmukły, ze śnieżną piersią i długimi skrzydłami szafirową czarnością połyskującymi, błyskawicznie szybko na dół spłynąwszy, krętym lotem prawie nad ich głowami przeleciał.

— Jaskółka! — zawołała Justyna.

— To są jaskółcze gniazda — na okrągłe otwory patrząc potwierdził Jan. — Taką ten ptak ma przemyślność, że w tej twardej i gołej skale mieszkania sobie wykuwa. Kiedyś nadmiar ciekawy byłem tych pałaców, i czy pani da wiarę? Przekonałem się, że one tam sobie, te ptaki, prawdziwe pokoje i korytarze budują... Ot, i druga leci, i trzecia, i czwarta!...

Z pokojów i korytarzy w nagiej i gładkiej ścianie wykutych ptaki wylatywały coraz liczniej, czarnymi skrzydłami i śnieżnymi piersiami na jej czerwonawym i żółtym tle migocąc i szybko spuszczając się nad wodę. Szelestem ich skrzydeł spłoszona pszczoła z odzyskaną w spoczynku siłą zerwała się z brzegu czółna i z głośnym, tryumfującym brzęczeniem wzbijając się w powietrze, w kierunku parowu i okolicy uleciała. Jan patrzał za nią.

— Ot, i uratowane pracowite, dobre zwierzątko! — z pogodnym, zadowolonym uśmiechem w oczach i na ustach z wolna wymówił.

— Zawsze to o jedną śmierć mniej, a o jedną krople słodyczy więcej na świecie — dodała Justyna, i zdawać się mogło, że pogodne zadowolenie z uśmiechu Jana na jej twarz spłynęło.

— Prawdę pani mówi! — wiosło w wodzie zatapiając odparł — umierania i goryczy wszelakich pełno na świecie, a słodycz na nim bardzo jest droga...

— Skąd pan wie o tym? — żywo zapytała.

Popatrzył na nią długo, dziwnie, z trochę ironicznym uśmiechem w oczach.

— Państwo myślą — zaczął — że człowiek w prostym stanie będący uczucia swego i swoich myśli nie ma. Ale może w tym jest pomyłka...

Chciał coś jeszcze mówić, ale powstrzymał się, usta mu tylko drgnęły, krewkim ruchem czapkę na czole poprawił i żywiej wiosłować zaczął.

— Wiem i wierzę — z powagą rzekła Justyna. Uśmiechnął się znowu i ręką skinął.

— Co pani wie? — trochę porywczo rzucił.

— To prawda — odpowiedziała i cała rumieńcem spłonęła.

Jemu we wpatrzonym w nią wzroku zagrał żal.

— Nie ma czego wstydzić się ani smęcić — łagodnie już przemówił — tak już pani urodziła się i uczyła się też czego innego…

W tej chwili usłyszeli żałosne skomlenie psa i przewlekłym, gapiowatym głosem wymówione:

— Dobry wieczór państwu!

O kilkadziesiąt kroków od brzegu, w malutkim czółnie przymocowanym do tyki w dnie rzeki utkwionej, siedział z wędą na wodę puszczoną Julek Bohatyrowicz, a na małym, zielonym przylądku, w wyciągniętej postawie i z oczami w pana swego wpatrzonymi, czarny Sargas coraz głośniej i przeciągłej skomlił. Ten pleczysty człowiek, z wielką, czerwoną twarzą i wydobywającą się spod czapki gęstwiną ognistych włosów, w malutkiej łupince nieruchomo nad wodą siedzący, miał w sobie coś prawie fantastycznego. Wziąć by go można było za bajecznego mieszkańca wód, który na chwilę tylko i w połowie przybrał postać ludzką, drugą połową ciała tkwiąc w swym rodzinnym żywiole. Ale zupełnie ludzki był uśmiech, którym człowiek ten witał nadpływających. Widać było zresztą, że takim samym uśmiechem, szerokim, dziecinnym, rząd śnieżnych zębów ukazującym, witał on wszystko, cokolwiek na niebie i ziemi spotykał wzrokiem podłużnych, pełnych, szafirowych oczu, tak samo, jak usta, śmiejących się dziecinnie, niewinnie i przyjacielsko.

— A dokąd? — na płynącą parę patrząc, lecz najlżejszego poruszenia nie czyniąc zapytał.

— Na Mogiłę — odpowiedział Jan.

— He, he, he, proszę tylko nie bawić się długo!

— A dla jakiej przyczyny?

— A dla tej, że przed zachodem słońca ulewa spadnie, he, he, he!

Czółno Jana otarło się prawie o to, na którym siedział śmiejący się wciąż wodny atleta.

— Czemu Sargasa do czółna nie wziąłeś?

— Przeszkadza.

— Głupie zwierzę! Przypłynąć mógłby do swego pana, kiedy tak już tęskni…

— Nie pozwoliłem!

Prędkim ruchem targnął wędę i mała rybka trzepocząca się u jej końca srebrną iskrą błysnęła w powietrzu.

Jan i Justyna płynęli dalej. Jan mówił o Julku. Dziwny to był chłopak. Od dzieciństwa durniem go nazywali, ojciec nawet często go bił za nierozgarniętość i w familii był on zawsze ostatni. Toteż przyrósł do Niemna; zdaje się, jakby duszę swoją w tej rzece zostawiał, tak pilno mu wracać do niej, ilekroć opuścić ją musi. Rzadko też ją opuszcza.

— Na wodzie jada, na wodzie albo przy brzegu często i nocuje. Do roboty gospodarskiej nadmiar leniwy i niezdatny, ryb mnóstwo łowi, w bliskim miasteczku je sprzedaje i pieniądze regularnie ojcu odnosi. Niemen i jeszcze ten pies Sargas to całe jego kochanie. Kiedy trzy lata temu do

wojska iść miał, to po całych dniach lamentował, jak on bez Niemna wyżyje i traf! Skurczyły się mu dwa palce u prawej ręki. Ni z tego, ni z owego skurczyły się; okaleczał. Wszyscy dobrze wiedzą, co o tym okaleczeniu myśleć. Na to mu rozumu wystarczyło. Głupi niby, a chytry. Teraz za niego drugi z rzędu syn Fabiana do wojska pójdzie i dla tej przyczyny u nich tam wielka niezgoda w familii panuje.

— Ale ot! — przerwał sobie opowiadanie Jan — już i piaski widać!…

Brzegi rzeki stawały się coraz uboższe i dziksze. Z jednej strony, tam gdzie przed kwadransem sielsko i malowniczo uśmiechały się szare i białe domki *okolicy*, a potem wielki parów wspaniale rozchylał wargi swe zielonością po brzegi nalane, nad nagą, gładką czerwonawą ścianą widać było stojące rzadkie zboża, tu i ówdzie ocienione krzywą wierzbą albo starą gruszą. Z drugiej strony brzeg zniżał się, do równego z rzeką poziomu spływał, a gęsty bór nie znikał wprawdzie, lecz cofał się, usuwany jakby przez rozległe, białe, małymi wzgórzami zbałwanione piaski. Czółno wiozące dwoje młodych ludzi skierowało się ku tym piaskom i wężowymi skrętami prześliznąwszy się pośród wielkich kamieni, nad płytką wodą z piaszczystego dna wystających, u lądu stanęło.

— Proszę stanąć i naokoło spojrzeć — głosem cichszym niż zwykle rzekł Jan.

Justyna usłuchała i zatrzymawszy się wzrokiem dokoła powiodła.

Znajdowali się wśród piaszczystego rozłogu[234], którego część nie bez trudności już przebyli. Podobne to było do jeziora, z jednej strony ujętego w ciemne półkole boru, a z drugiej rozdzielonego z rzeką, zasłaniającym ją pasmem piaszczystych pagórków. Jak powierzchnia wody, tak piaski te pokryte były nieskończonymi łańcuchami zmarszczek, a choć z pozoru powietrze wydawało się nieruchome, unosiły się z nich tu i ówdzie niskie tumany i poziomym lotem przebywając małe przestrzenie, opadały na ziemię pyłem cichym i tak miałkim, że prawie ziarnko od ziarnka rozróżnić w nim było można. Bór niechętnie jakby usuwając się w głąb widnokręgu, zostawiał za sobą szerokie pasy karłowatych, kolczastych, białością piasku przeświecających zarośli i za nimi dopiero powoli wzbijał się znowu w wysoką, ciemną ścianę. U stóp zarośli różowate wrzosy rozciągały daleko swe suche, smętne girlandy, a potem już od krańca do krańca tej pustki nie było nic prócz pomarszczonych, głębokich piasków i małych tumanów, które tu i ówdzie wzbijały się na płaszczyźnie lub na kształt znikomych dymów wytryskiwały i nikły nad okrągłymi, nagimi czołami pagórków. Ani drzewa, ani kwiatu, ani najdrobniejszego ziółka. Żadnego też dźwięku oprócz krakania wrony, która ciężko i wysoko wyleciała znad rzeki i w borze przepadła; żadnej barwy oprócz białości piasku i szarawej różowości wrzosów, żadnego ruchu oprócz sunących po niebie ciężkich, długich, mętną szarością nabrzmiałych obłoków; żadnej woni oprócz suchego i krztuszącego pyłu, który wydawał się oddechem tego miejsca.

Stopy Justyny pogrążały się całkiem w miałkiej, suchej, gorącej topieli,

a wzrok jej ze zdziwieniem przesuwał się po tej pustyni, której nie widziała nigdy, na którą też prawie nigdy nie patrzało żadne ludzkie oko, bo żadna praca, żaden plon i żadna dokądkolwiek prowadząca droga nie przywodziła tu ludzkich kroków i zamiarów. Ale gdy spojrzała na towarzysza swego, większe jeszcze uczuła zdziwienie. Jan zdjął czapkę i zamyślonymi oczami wodził po nagich szczytach pagórków. Miał postawę człowieka, który stanął na progu kościoła i wpatruje się w ołtarz. Można by myśleć, że nigdzie tyle, ile w tym miejscu, nie czuł się człowiekiem i nigdzie tyle nie doznawał ludzkich, wyższych, od codziennego życia dalekich uczuć i myśli.

— Dawno tu nie byłem — zaczął też takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia. — Może pięć, może sześć lat nie byłem… Stryj woli na Mogiłę tamtą drogą chodzić, bo raz, jak przez te piaski szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał…

— Czegóż tak płakał? — ze wzruszeniem, z którego przyczyn jeszcze sobie jasno sprawy nie zdawała, spytała Justyna.

— Bo długo chorym będąc, z chaty prawie nie wychodził i pierwszy raz wtedy po swoim wskrzeszeniu te miejsce zobaczył, przez które kiedyściś z wielką kompanią jechał…

Zrozumiała i więcej nie zapytała o nic. Jan ciągle na wzgórza patrząc, sam mówił dalej:

— Dla mojej pamięci to miejsce jest bardzo ważne, bo ja tu, z tego pagórka, ostatni raz ojca swego widziałem…

Wskazujący palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek… Dniem i nocą, latem i zimą pusty on stoi i żadne nawet ziółko uczepić się go nie chce. A jednakowoż był kiedyś taki wieczór, że od góry do dołu zdeptały go ludzkie i końskie nogi i łez niemało na niego spadło…

— Pan to wszystko dobrze pamięta?

— A jakże! Pani i wiary dać nie może, jak pamiętam. Siedem lat podtenczas skończyłem, ósmy mi szedł, to może i nie dziwno, że pamiętam.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód; Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Stąd Niemna nie widać — zaczął — ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny albo może i trzy patrzali na rzekę, którą przepływały czółna i łodzie, z jednej strony i z drugiej ludzi przywożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach, nieduży… Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się majowy. Jak dziś pamiętam, że księżyc dobrze już posunął się do środka nieba i tkwił nad samymi piaskami. Cichość panowała na rzece, na brzegach, tylko w borze słowik śpiewał… Wtenczas ojciec pocałował matkę, cościś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach swoich podniósł i całować zaczął. Wprzódy nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym niżeli wesołym i częściej w milczącym zamyśleniu pogrążał

się, niż okazywał to, co miał w sobie. Całkiem inaczej jak stryj Anzelm, który wesoły był, gadatliwy i cały na wierzchu. Podobno też za tę pochmurność i za te utapianie się w myślach tak nadmiar ojca mego polubił pan Andrzej. Ale wtenczas ociec dziecko swe żegnający w zamkniętości swej nie wytrzymał, cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej samej minucie pan Andrzej żegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem; stała też tam panna Marta, która w tę porę młoda jeszcze była, i kiedy troszkę wprzódy stryja żegnała, święcony medalik jakiś na szyi mu powiesiła; stało i więcej ludzi różnych ze dworu i z okolicy, może wszystkich osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, ale wszyscy rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów pszczół brzęczy. Do tego dwa konie osiodłane i pod pagórkiem tym stojące z niecierpliwości prychały, kopytami piasek grzebiąc. Kiedy mnie ociec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam, to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał. Widać bardzo płakałem i za łzami wprzódy zobaczyć go nie mogłem, bo wtenczas dopiero zobaczyłem, kiedy już znajdował się na połowie drogi pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc tkwił wprost nad piaskami, a w jego światłości ociec i pan Andrzej jeden przy drugim na koniach równej piękności jechali. Jechali oni ani bardzo prędko, ani bardzo powoli, czapki ich karmazynowym kolorem świeciły, a konie pod nimi podnosiły się równo, równo, jak przy muzyce… Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos tędy przejechali i tam… widzi pani to miejsce, gdzie jodły mieszają się z sosnami, tam, w tym miejscu z oczu naszych znikli… Słowik w borze śpiewał…

Wyciągniętym ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli. W miarę zbliżania się do lasu piasek twardniał pod ich stopami; szli teraz po szeroko rozpościerających się różowatych girlandach wrzosów. Milczeli chwilę.

— I więcej nigdy już pan ojca swego nie widział?

— Raz już tylko po tym ostatnim rozstaniu o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzewało i gdzieniegdzie żąć je zaczynali, stali my w okolicy, nad samym brzegiem, w tym miejscu, gdzie, pani wie, na naszym podwórku lipy rzędem rosną. Niedużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzali się i, tak samo jak my, kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużej, to krócej, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w te miejsce biły. Słowik już wtenczas nie śpiewał, tylko gdzieniegdzie podejmowały się znad boru chmury wszelakiego ptastwa i jak zwariowane, z przeraźliwymi krzykami latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając albo też lecąc jak najdalej, zdaje się na oślep… Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed

samym wieczorem grzmoty te zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a za to po całym borze poniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiełki. Ja wtedy tak przeląkłem się, że całego mnie trząść zaczęło i mocno uczepiłem się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niej z szeptami przybiegły, po cichu lamentowała. Potem jednakowoż i krzyki zamilkły, noc nastała, widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali albo siedzieli ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie, po całej okolicy w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie, szumienie wiatru naśladujące. W tej cichości i w tym szumieniu posłyszeli my jednakże na przeciwnym brzegu rzeki wielkie pluśnięcie wody, a potem już ciche, ale ciągle jednostajne, jednostajne pluskanie. Ktościś do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął, i spod lip naszych widać było cień jakiś wstępujący pod górę to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka przeżegnała się, krzyknęła: „Anzelm!” — i zakręciła się na miejscu jak nieprzytomna. Ale stary Jakub, który jeszcze wtenczas niezupełnie był wariatem, wziął stryja za rękę, do chaty go zawiódł i światło rozniecił. Kupka też ludzi wcisnęła się do chaty. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spojrzałem. Jezu drogi! Jak on wyglądał! Twarz miał czarną jak u Murzyna i tylko oczami wilczymi błyszczącą, odzież calutką w dziurach, rękę jedną opuszczoną i bezwładną, a z włosów i z odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł, i tylko kiedy niekiedy tak stękał, jakby w nim co pękało. Ludzie koło niego szeptali, pytali, nawet go za ręce i odzież targali, on nic. Raptem na mnie spojrzał i łzy potokiem ściekły mu po uczernionej twarzy. Za kołnierz od koszuli mnie schwycił i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknąłem ze strachu. A potem zaczął do mnie mówić. Z początku niewyraźnie mówił, że i zrozumieć nie mogłem, ale potem, nie wiem czemu, zrozumiałem, że on mnie każe do dworu korczyńskiego lecieć, do pana Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedzieć jemu… „O, Jezu drogi… powiedz ty jemu, że pan Andrzej tu…” i na czoło sobie pokazał… „a twój ociec tu…” i na piersi sobie pokazał. A potem jeszcze dołożył: „Obydwóch nie ma!” i spytał się mnie: „Zrozumiałeś?…” Zrozumiałem… Zrozumiałem tak dobrze, że do dziś dnia…

Do dziś to wspomnienie rwało mu głos w piersi, która kiedy indziej tak rozgłośne pieśni na pola rzucała.

Oboje nie spostrzegli, że już znajdują się w lesie; nie widzieli dokoła siebie drzew, świateł i cieni; nie słyszeli szczebiotu ptastwa, który nad nimi rozlegał się coraz głośniej. On szedł z nisko pochyloną głową, w ziemię patrzał i o towarzyszce swej całkiem w tej chwili zapominać się zdawał; ona, przeciwnie, ku niemu zwrócona, ani na chwilę nie spuszczała z twarzy jego swych szarych źrenic, które spod czarnych rzęs i brwi gorzały ciekawie i chmurnie.

— Żałość mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu drogę znałem dobrze, ociec mnie tam z sobą brał i panna Marta często po mnie przysyłała. Niedługa droga. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem, gdzie lokaj stał i z początku puszczać mnie dalej nie chciał. Ale dziecko całe we łzach obaczywszy puścił. Ja przez salę stołową i drugi jakiś pokój do gabinetu pana Benedykta wleciałem i wprost przed jego nogami na ziemię padłszy, głośno zawyłem. On stał pomiędzy kominem, na którym ogień palił się, i biurkiem, którego szuflady wszystkie powysuwane były. Więcej ja cień jego na ścianie niż jego samego zobaczyłem i zdało się mnie, że na tym cieniu wszystkie włosy jakby rozrzucony snop zboża zjeżone stały. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. „A co?” — zapytał. Ja jemu tchu od płaczu nie mając tyle tylko: „Stryj powiedzieć kazał, że pan Andrzej tu…” i na czoło sobie pokazałem, „a mój ociec tu…” i na piersi sobie pokazałem. I dołożyłem jeszcze: „Obydwóch nie ma!” Tylko co zaś te dwa słowa wymówiłem, jak rozejdzie się po pokoju jakiś okrzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy, i wtenczas dopiero obaczyłem, że w kąteczku pokoju pani Andrzejowa jak martwa kłoda zwaliła się z kanapy czy z krzesła na ziemię. Zwaliła się i leżała z twarzą do sufitu obróconą i taką białą jak kreda, z oczami zamkniętymi. Pan Benedykt tylko obydwoma rękami za głowę złapał się, tasiemkę od dzwonka tak mocno targnął, że mu w ręku została, i jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jej pokazał, a sam pędem wielkim z domu wypadł i prosto do okolicy biegł. Ja też za nim biegłem, ale dopędzić go nie mogłem, bo już i zmęczony byłem… więc kiedy do chaty naszej wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego, co mówili, nie słyszałem. Jedno tylko to posłyszałem, że pan Benedykt zapytał się: „A Dominik?” Stryj zaś znak taki około rąk i nóg zrobił, jakby je czym wiązał, i stał ciągle plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionej twarzy jakby w nieprzytomności wodząc. Nogi pod nim trzęsły się i z włosów jeszcze po kropelce, po kropelce woda ściekała. Pan Benedykt nie zapłakał i nic nie powiedział, tylko do okna poszedł i w nocne ciemności patrząc, kilka razy takim głosem, jak człowiek w momencie konania będący, imienia boskiego wezwał…

— Dziwne, straszne historie! — szepnęła Justyna.

Jan, jakby obecność jej w tej chwili sobie przypominając, nagle zwrócił się ku niej i długo patrzył na kilka łez, które jedna za drugą, cicho i powoli, spod rzęs spuszczonych staczały się na jej policzki. Przed siebie potem spojrzał i żywym ruchem ramienia jej dotknął:

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stanęła i w tej chwili dopiero spostrzegła, że znajduje się w głębi boru. W tej chwili też po raz pierwszy do słuchu jej dostał się ogromny gwar ptastwa, który od początku lasu rósł, wzbierał, a tu wybuchał niepodobnym do rozplatania chaosem dźwięków. Zarazem ogarnęły ją mocne wonie

smoły, jałowcu, cząbrów[235], zmieszane z tym wilgotnym i cmentarze przywodzącym na pamięć zapachem, który wydaje z siebie wiecznym cieniem osłonięta, białą pleśnią kwitnąca ziemia.

— Niech pani przed siebie patrzy — powtórzył Jan.

To, co jej ukazywał, było rozległą polaną czy łąką leśną, objętą regularnym i ściśle zamkniętym kołem falistych wzgórzystości, po których pięły się i spływały coraz gęściej tłoczące się i plączące z sobą stare sosny, jodły i młode zarośla. Miejscami szerokie, aż do ziemi opuszczające się gałęzie jodeł i bujające dokoła nich, mnóstwem sęków zjeżone i girlandami szorstkich widłaków oplatane, młode zarośla jodłowe tworzyły długie ściany i grube kolumny zieloności tak ciemnej, że prawie czarnej. Gdzie indziej sosny wysmukłe, proste, gładkie, u szczytów swych dopiero korony gałęzi rozpościerające, podnosiły się znad kobierca w przedziwne wachlarze paproci i przedziwniejsze puchy mchów różnobarwnych wyhaftowanego. Te paprociowe liście, strzępiaste, wzajem na sobie spoczywające, lekkie, choć ogromne, wszystkimi odcieniami zieloności umalowane, i te wyglądające spod nich lub całkiem je zastępujące mchy seledynowe, brunatne, siwe, z niepojętą delikatnością w miriady drobniuchnych gałązek wyrzeźbione, słały się daleko, jakby w nieskończoność, znikając pod gęstwinami i odrodzonym morzem wypływając znowu na przezroczyste przestrzenie boru. Na przezroczystych przestrzeniach, w rozległym półcieniu, po gładkich pniach sosen, po mchach i paprociach, w górze, u dołu, wszędzie biegały, goniły się, ślizgały, tu pożarem wybuchały, tam rozbijały się w roje iskier, smugi, potoki, strzały światłości słonecznych. Wydawało się to świetną, zawrotną, w tajemnicy i milczeniu odbywającą się grą jasnych i mrocznych geniuszów lasu.

Ale na otoczonej lasem polanie gier tych nie było. W górze zaokrąglał się nad nią błękit nieba, nieustannie przysłaniany sunącymi pod nim chmurami; w dole okrywała ją przyćmiona płachta słonecznego blasku, przerywana długimi, nieruchomymi słupami cieniów, od jodłowych gęstwin padających. Wysłaniem jej była trawa niska i nierówna, którą z rzadka usiewały liliowe cząbry i brunelki, białe krwawniki[236], drobne pączki dzięcieliny i gwiazdki nieśmiertelników[237]. Brzegiem rosły i ku środkowi wybiegały krzaki jadłowców, twardymi jagodami niby czarną, połyskliwą rosą osypane albo czerwonawą rdzawością tu i ówdzie od ciemnej zieleni na kształt krwistych plam odbijające. Z suchych, kolczastych ich splotów wychylały się żółte kwiaty wilczej paszczy i wypełzały daleko po ziemi ciągnące się girlandy mnóstwa odmian powoi, bluszczów i widłaków. Tu i ówdzie pod krzakami i śród niskiej trawy czerwieniły się i żółciły grzyby najszczególniejszych kształtów lub woń stęchlizny z siebie wydając bielała pleśń ziemi. W głębi, pod ciemną kolumną kilku splecionych z sobą jodeł, słupem padającego od nich cienia okryty, wznosił się niewysoki pagórek, kształt podługowaty[238] i łagodne

stoki mający, niby wał, niby kurhan, widocznie kiedyś rękami ludzkimi usypany i jak cała ta polana niską, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły.

Jan w milczeniu pagórek ten Justynie ukazał, ona też milcząc skinęła głową; wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — z cicha zapytała.

— Czterdziestu — odpowiedział, głowę znowu odkrył i kroku przyśpieszył.

Suche, czarne szyszki pod stopami ich zatrzeszczały, kiciasty ogon uciekającej wiewiórki zaszeleścił w jodłach, kos gwizdał donośnie, trochę dalej szczygły zanosiły się od śpiewu, jeszcze dalej gruchały gołębie i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żółn i dzięciołów, skądciś z wielkim szelestem skrzydeł i przeraźliwym ćwierkaniem wzniosła się chmura czyżów i trznadli, krasnoskrzydła sójka mignęła błękitem i na gałęzi sosny usiadła; w powietrzu jak w kadzielnicy olbrzymiej, głuszone zapachem pleśni, kipiały wonie jadłowca, smoły i cząbru, kiedy Jan i Justyna stanęli u Mogiły, na której gdzieniegdzie bujały proste i wysokie łodygi kampanuli[239], mające, zda się, tuż, tuż, przy najlżejszym powiewie, w delikatne liliowe dzwonki uderzyć. Jan z głową odkrytą u stóp Mogiły stojąc z wolna wymówił :

— Zupełnie jak w pieśni:

Chyba czarny kruk zakracze,
Czarna chmura dżdżem zapłacze…

Kwadranse upływały, godzina prawie minęła, a Justyna siedziała jeszcze na stoku Mogiły utopiona w myślach i uczuciach prawie zupełnie dla niej nowych.

Dziecko czasu ciągnącego się pasmem ciężkim i szarym, najdalszym wspomnieniem nie sięgała ona żadnej z tych ognistych i strzelistych chwil, które serca, nawet maluczkich, obejmują pożarem i rzucają w górę. Kolebka jej stała już w katakumbie[240] napełnionej zmrokiem i milczeniem, pośród których szemrały tylko nisko, nisko przy ziemi krzątające się interesy powszednie i jednostkowe lub rozlegały się wzdychania i jęki podobne tym, które wydają wiatry w ciasnych przestrzeniach zamknięte. Rosła w atmosferze trosk i klęsk, domowymi ścianami ogrodzonych, dojrzewała w kole rozkoszy i strapień we własnym jej sercu tylko źródło mających. Wszystko, co otaczało ją, pogrążone było w staraniach, w pracach, w rzadkich nadziejach i uciechach, w częstych obawach i żalach, zawsze i tylko osobistych, ciasnych i powszednich. Dokoła niej myśli ludzkie, jak ptaki z połamanymi skrzydłami, trzepotały słabo, ciężko, zakreślając nieustannie te same malutkie kółka; uczucia ludzkie, jak motyle, po świetnym momencie miłości i wzlotów, skurczone, zgniecione, podarte padały na ziemię. Ani razu w swym życiu nie widziała tych błyskawic, które

z nieba ideałów zlatują w dusze mieszkańców ziemi; ani razu przed jej oczami nie wypadł z ziemi — nieba ideałów sięgający grot bohaterstwa. Nie widziała nigdy bohaterstwa, poświęcenia, dobrowolnie podejmowanych śmierci, walk, których by pole nie mierzyło rozległością majątku czy szczęścia jednostki, a celem były ludzkość, naród, idea. Odwiecznym porządkiem padały na świat błyskawice owe, strzelały z ziemi owe groty, staczały się owe walki, ale daleko, daleko od miejsca, w którym urodziła się, wzrosła i dojrzała Justyna. Ani sztuka muzyczna, w której od dzieciństwa ćwiczył ją ojciec, ani lekcje udzielane jej przez nauczycielki, ani tyczące się obejścia i układu wskazówki i przestrogi, których często udzielała jej pani Emilia, ani czytywane wspólnie z kochanym człowiekiem poezje Musseta i Feuilletowskie powieści[241] — nie podjęły przed nią zasłony, która tu i w tym momencie opadła na rzeczy wielkie, ważne i wysokie. Nieszczęście rzadko bywa mistrzem dobrym, a pognębienie, jak olbrzymia tłocznia, szczyty nawet kruszy i wtłacza w padoły. W życiu jednostek i narodów bywają momenty taką miarą nieszczęść napełnione, że nic już w nich więcej zmieścić się nie może. Takiego momentu dzieckiem była Justyna i dlatego z tej mogiły uderzyły w nią strumienie uczuć i myśli, jeżeli niezupełnie dla niej nowych, to nigdy dotąd silnie nie zaznanych i wyraźnie nie określonych. Pogrążyła się w nich tak, że całkiem zapomniała o sobie. Pierwszy może raz w życiu, zupełnie, absolutnie o sobie zapomniała, i tylko tego nie czuć nie mogła, że serce jej stawało się większe, jakby nabrzmiewało jakąś z tonów bez słów uplecioną pieśnią, i gorętsze, jakby spod tej trawy, do której piersią lgnęła, wydobywał się i w nią wnikał niewidzialny płomień. Byłyżby zaraźliwym żarem spoczywające w samotnych mogiłach prochy zapomnianych? Albo w zamian nie otrzymanych wawrzynów otrzymywałyżby ich kości dar wiecznego pod ziemią gorzenia i wyrzucania na świat niewidzialnych iskier?

Samotność i zapomnienie. Ileż wiosen, ile zim i jesieni przeminęło nad tym pagórkiem wznoszącym się za jeziorem jałowych piasków, w zamkniętym kole starego boru! Ileż przez ten czas przeniosło się po świecie hucznych, tryumfalnych, wesołych szumów, których najlżejsze echo tu nie doleciało! Płynęły dnie za dniami, lata za latami; kędyś, daleko, w wesołe pary łączyli się tancerze i zakochani; pracownicy z plonami w dłoniach wracali do ognisk domowych, wojownicy z chwałą na czołach nieśli zwycięskie sztandary, po cmentarzach płonęły pochodnie żałobnych parad i kwitły róże kochającymi dłońmi zasadzone. Tu, nad tym grobem, wiecznie było cicho i samotnie. Świat o nim nie wie nic i tylko niebieskie sklepienie zapala nad nim w pogodne noce gromnice gwiazd i lampę księżyca, a w dżdżyste i burzliwe rozciąga mokre całuny chmur i huczy potężnym, żałosnym hymnem wichrów. Wiosny i lata grają mu rozgłośną muzyką ptasich śpiewów, a zimy kładąc po drzewach śniegi i szrony zmieniają je w marmurowe i kryształowe grobowce. Wtedy tu bywa zimno i pusto; blade słońce miriadami iskier haftuje śnieżne wysłanie polany, a w kryształowych

koronkach drzew przemienionych w grobowce czerwony gil niekiedy zagwiżdże, sroka uderzy w żałobne skrzydła lub siwe wrony, te kumochy lasu, osiądą na nich i ochrypłymi głosy zagadają o plotkach ziemi… Zupełnie jak w starej pieśni:

Chyba czarny kruk zakracze,
Czarna chmura dżdżem zapłacze…

Chyba też ziemia i drzewa powieją cmentarnymi woniami jadłowcu i pleśni, a w letnie wieczory wysmukłe kampanule, tknięte powietrzną pieszczotą, uderzą w liliowe dzwonki na pacierz żałobny, który wyszepczą chyba niskie trawy…

Justyna podniosła głowę, bo usłyszała szmer monotonny, prawie srebrny, podobny do tego, jaki wydaje łagodnie z wysokości spadająca woda. Podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą spływającą po czarności jodeł szeroką, ruchomą, srebrzącą się wstęgę. Ruchomość jej i srebrzystość podobna była do ściekającej z góry do dołu i wielkimi kroplami przelewającej się wody. Co to było? Czarodziejska kaskada jakaś przez rozrzewnioną dłoń leśnej bogini nad mogiłą tą zawieszona? Była to grupa osin cienkich, blisko przy sobie rosnących, w liście bogatych i gałęźmi w jedną wstęgę ze sobą splecionych. Trafem zdarzającym się dość często wyrosły one wśród iglastej gąszczy, srebrzystym potokiem przerzynały jej ciemność, a listki ich, okrągłe, drobne, gęste, jak srebrne krople w trwożliwym drżeniu błyskające, nieustannie, monotonnie, srebrnie szemrały, szemrały.

W pobliżu osin o gładki pień sosny plecami oparty Jan stał z rękami na piersi skrzyżowanymi, roztargnionym wzrokiem po drzewach wodząc. Justyna z odległości kilkudziesięciu kroków widziała dokładnie profil jego twarzy i całą postać, wypukłe w słonecznej smudze odrzynającą się od tła lasu. Długo na niego patrzała. Parę razy głowa jej zakołysała się jakby pod wpływem zdziwienia. Myślała może o niespodziance życia, która ją z tym człowiekiem niedawno nieznanym, dalekim zapoznała i tu z nim przywiodła. Potem we wpatrzonych w niego jej oczach zamigotały światła coraz żywsze i rozrzewniony uśmiech rozchylił wargi. Coś snuło się w jej myśli i grało w sercu, snuło się coraz prędzej, grało coraz głośniej, aż blady rumieniec wypłynął na jej policzki, a czarne rzęsy nagle w dół opadły i zwilgotniały. Prędkim, prawie porywczym ruchem powstała i nie chcąc znać deptać Mogiły obchodziła ją dokoła, ku niemu idąc. Szła prędko i lekko; suche nieśmiertelniki i zeschłe igły jodłowe szeleściły pod jej stopami. On szelest ten usłyszał, twarz ku polanie zwrócił, ramiona rozplótł i na spotkanie jej postąpił, ale zaledwie uczynił kroków parę, gdy ona przed nim stanęła i z pochylonym spłonionym czołem, ze spuszczoną, wilgotną rzęsą podała mu obie ręce. Nie porywczym ani namiętnym, owszem, miękkim i nieśmiałym ruchem wziął je w szerokie swe dłonie i

nisko schylony przylgnął do nich gorącymi usty. Gdy wyprostował się i ona podniosła powieki, oczy ich po raz pierwszy, odkąd się znali, utonęły w sobie długim, pełnym nieśmiałych żarów spojrzeniem, a potem z trudnością odwracając się od siebie, jednocześnie zwróciły się ku Mogile.

— Chodźmy — rękę pod ramię mu wsuwając rzekła Justyna.

— Chodźmy — powtórzył.

Skierowali się ku wyjściu z polany, a gdy szli jedno przy drugim, krokiem równym i jednostajnym, z twarzami trochę pochylonymi i mieniącymi się niemym wzruszeniem, można by mniemać — rzecz dziwna! — że w tym właśnie miejscu śmierci zdwojonym potokiem wezbrało w nich uczucie życia. Szli po przezroczystych przestrzeniach lasu, przez smugi świateł i cieniów, okrążając miejsca zbyt gęstą paprocią obrosłe, stąpając najczęściej po miękkich mchach, jeżących się gdzieniegdzie młodymi płonkami sosen i osin nakrapianych czerwonością brusznic[242] lub granatową czarnością czernic[243]. Kilka minut milczeli. Justyna parę razy podnosiła wzrok na towarzysza swego, jakby przemówić chciała, lecz wnet spuszczała powieki. Znać w niej było nieśmiałość, która w wyrazie jej twarzy zastąpiła dumę albo raczej hardą odporność, z jaką od dawna i najczęściej stawała przed ludźmi. Zdawać się mogło, że zdjęła z siebie jakiś obronny puklerz, że porzuciła ją wszelka troska o ustrzeżenie swej ludzkiej albo kobiecej godności; że ufna i spokojna, nieśmiała tylko stała się wobec człowieka tego, który szczelnie w szerokiej piersi wzruszenia swe zamykając, z głębokim uszanowaniem wiódł ją przez miejsca bezludne; który, tak jak ona, kochając naturę, znał ją lepiej i zżył się z nią ściślej niż ona; który w ukrytych przed światem głębiach parowu i boru ukazywał jej przedwiekowe grobowce i zapomniane mogiły. Czyżby przez głowę przemknęła jej myśl, że był on od niej wielowzględnie wyższym? Jakkolwiek dziwną, może niepojętą myśl ta komukolwiek wydać by się mogła, powstała ona niezawodnie w głowie tej kobiety, która wiele prawd życia znalazła w gorzkich wodach bólu i obrazy, przed którą życie podniosło znad wielu zjawisk ułudne zasłony. Myśl ta niezawodnie w głowie jej powstać musiała, bo nieśmiało zrazu i urywanymi słowami, a potem coraz ufniej i żywiej mówić mu zaczęła o tym, co było największą męką jej życia i co najgłębiej uczuwała na widok powszednich nawet prac ludzkich; cóż dopiero w obliczu wielkich, spełnionych zadań i poświęceń, z których wspaniałymi widmami oko w oko spotkała się u grobowca Jana i Cecylii i na Mogile. Tę mękę już od lat kilku sprawiało jej uczucie zupełnej, rozpaczliwej bezużyteczności własnej.

Skąd uczucie to w niej powstało? Rozumiała to dobrze, bo nieraz zastanawiała się nad tym długo. Powstało ono naprzód z doświadczeń życia, które serce jej opustoszyły z wielu marzeń i złudzeń; może jeszcze z jakichś myśli i dążeń czasu, które ją z dala dotknęły; może na koniec z tego, że była bardzo dumna. Ci, pośród których żyła, oskarżali ją o dumę. Słusznie. Była istotnie tak dumna, że głęboko upokarzały ją otrzymywane

łaski i przysługi, których niczym odwdzięczyć nie mogła, nade wszystko zaś dnie i lata, które upływały marnie, bezczynnie. Porównywała siebie czasem do kamienia zalegającego darmo kawał pola, na którym by wyrość mogła jakaś garść plonu. Wstyd i nuda. Ciężką nudą przejmowała ją co rana myśl o dniu, który rozciągał się przed nią pustym, bezcelowym szlakiem; z ciężką nudą co wieczór kładła się do spoczynku. Czuła w sobie często bunt młodości, zdrowia i sił, które ją porywały, prawie niosły ku jakimś żywym i trudnym poruszeniom ciała i ducha. Pragnęła iść, biec, komuś w czymś pomagać, na celu coś mieć, ku czemuś zmierzać; pragnęła czasem choćby kamienie z miejsca na miejsce przenosić, choćby piłę żelazną pochwycić i drzewo nią przerzynać, byle to tylko na cokolwiek przydać się mogło, byle rozgrzać stygnące dłonie a ochłodzić rozgorzałe czoło. Ale w jej położeniu i otoczeniu nie było dla jej sił i chęci miejsca żadnego. Stary ojciec wprawdzie potrzebował niekiedy jej usług, ale drobnych, niewiele czasu zabierających, z których najważniejszą było wspólne z nim granie. Zresztą, wszyscy w Korczynie oddawali się swym zajęciom, jej w nich udziału nie potrzebując, nie przyjmując. Ilekroć przemocą prawie wedrzeć się w nie chciała, uczuła się zawsze tym, czym by być mogło piąte u wozu koło. Nikt nawet nie przypuszczał w niej tej potrzeby serca, ciała i duszy, nikomu na myśl ona nie przychodziła. Była ubogą krewną domu, panną mogącą jeszcze wyjść za mąż, i czymże więcej być mogła? Dla zajęcia czasu miała książki, fortepian, przechadzki po ogrodzie, wizyty sąsiadów — czegóż więcej potrzebować mogła? Potrzebowała jednak, tak dalece, że po razy kilka niepokoiła ją myśl opuszczenia Korczyna i udania się gdzieś daleko, do jakiegoś miasta, w którym by znalazła pracę, niezależność, pełnię dni i cel życia. Ale, naprzód, miałaż z sobą na walkę i biedę zabierać ojca, tego rozpieszczonego starca, który w Korczynie czuł się jak w raju albo go pozostawić na barkach krewnych, którzy sami wcale wolni nie byli od trosk i ciężarów? A potem, dziecię wsi, rozłączenia z nią lękała się tak, jak przeraźliwego rozłamania życia na dwie połowy. Raz tylko z panią Emilią była w wielkim mieście, które sprawiło na niej wrażenie ciasnoty, zaduchu, zamętu nie rozwikłanego i blasku nie mającego dla niej ponęty żadnej. Nie znała świata, jego stosunków i wymagań; do rzucenia się w jego chaos i boje brakowało jej odwagi. Na koniec i zdolnościom swym nie ufała bardzo. Nie należała do tych, którzy wyobrażają sobie, że wszystko potrafią; ani do tych, którym rojenia o stanowiskach wysokich sił i odwagi dodają. Namyślała się więc, wahała, wpadała w głuche bunty lub martwą apatię, a dnie i lata, jak błyszczące, lecz wewnątrz puste paciorki, staczały się w przeszłość…

O wszystkim tym mówiła coraz prędzej, żywiej, wzburzoną falą wyrzucając z ust zwierzenia, których dotąd nie czyniła nigdy przed nikim. Coraz śmielsza stawała się i coraz szerzej duszę swą otwierała, bo widziała, czuła, że ten, do kogo mówiła, słuchał jej także wszystkimi siłami duszy i rozumiał ją wybornie. Mimo woli ku niej pochylony, z wytężonym słuchem,

ze skupioną uwagą, Jan od czasu do czasu czynił głową znaki potwierdzenia i zrozumienia.

— A tak! — wymawiał. — A jakże!… Naturalnie! To wszystko prawda!…

Raz, gdy umilkła, z namysłem rzekł:

— Wszystko to prawda. Smętnie to i wstydno bogactwa używać, a nie swego; wysoko stać, a nie na swoich nogach; młodym i silnym być, a jak w zgrzybiałej starości, żyć w wiecznym odpoczywaniu…

Innym razem jakby do siebie samego przemówił:

— Ani ptak, ani mysz… jak nietoperz!

W sposób ten uplastycznił przed sobą to zmieszanie bogactwa i ubóstwa, oświaty i nieuctwa, dość wysokiego stanowiska społecznego i zupełnej życiowej nicości, które ona sobą przedstawiała. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zupełnie, tak nawet subtelnie zrozumiana, jak przez tego człowieka, który do jej życia i położenia przykładał miarę pracowitości i niezależności własnej. Powiedział nawet, że nie pojmuje, jak ona taką mękę wytrzymać może, bo gdyby jemu kazano po dniach całych z założonymi rękami siedzieć i kawałka chleba, dachu, surduta z cudzych rąk wyglądać, utopiłby się niezawodnie albo na pierwszej gałęzi powiesił.

— Dziecko albo stary, to co innego, ale jak pani do tej pory tak wyżyć mogła, dziw mnie bierze… bo, chwała Bogu, zdrowie i siła aż biją od pani i zdaje się, choć wiadra z wodą na plecy zarzucić, to by podniosła pewno…

Zaśmiała się i odpowiedziała, że najpewniej wiadra z wodą dźwigać by zdołała, skoro je dźwiga Antolka, dziecko jeszcze prawie i o połowę od niej szczuplejsza.

Ale on, choć nie pojmował możności takiego życia, za winę go jej nie poczytywał. Tak już urodziła się i tak już ludzie i zwyczaje zrządzili, że stała się jak nietoperz, ni to myszą przy samej ziemi biegającą, ni to ptakiem kołyszącym się pod obłokami. Dawno domyślał się, że nie była ona szczęśliwa; od ludzi to i owo o niej słyszał. Co słyszał? Nie powiedział tego wyraźnie, ale raz ręką gniewny gest uczynił i pomimo woli wybuchnął:

— Ot! Nie przyrodził się do ojca swego ten pan Zygmunt Korczyński!…

Urwał, zmieszał się strwożony, czy jej nie obraził, i z odwróconą od niej twarzą nieśmiało wytłumaczył, że ludziom gąb pozatykać nie można… gadali, a on dziwił się i przez ciekawość przypatrywać się jej zaczął, ile tylko razy zdarzyło się mu ją widzieć. A zdarzało się czasem. Ona go nie widziała, lecz on ją widywał to w kościele, to znowu kiedy z panną Martą albo z gośćmi na spacer szła. Popatrzył tedy na nią raz i drugi przez ciekawość, a potem wiecznie już patrzeć by żądał i ilekroć zobaczył, serce dzwonem w nim uderzało. Czyż on wie, dlaczego tak było? Może i nikt na świecie nie doszedł jeszcze i nie wytłumaczył, co w jednym człowieku dla drugiego taką przyjaźń wznieca, że gdybyś i widłami od siebie ją odpychał, powraca. Zdaje mu się jednak, że pierwszą przyczyną jego dla niej przyjaźni było to, że smętek i ubolenie w niej rozpoznał. Twarz człowieka zdradza to, co się w sercu kryje. Nieraz myślał sobie, że Pan Bóg dał jej tyle piękności i

wysoko ją postawił, a szczęścia nie dał. A ile razy o tym pomyślał, jakby roztopiony łój do serca mu kapał, taką boleść w nim uczuwał i taką łzawość. Gdyby był mógł, byłby wszystko porzucił i na koniec świata skoczył po wodę gojącą dla niej, tak jej żałował. Ale o takiej wodzie bajki tylko gadają i nie ma jej wcale na świecie. Więc tylko, ile razy ją zobaczył, cały dzień potem albo śpiewał, albo miał ochotę zaśpiewać tę piosenkę:

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,
Jak różowy kwiat,
Rączki załamała, oczki zapłakała,
Zmienił jej się świat…

Raz, kiedy to ją wracającą z kościoła spotkał na drodze z panną Martą, popłynął ze stryjem na Mogiłę i z przeciwnego brzegu w oknie stojącą ją obaczywszy nie mógł wytrzymać i tę piosenkę do niej zaśpiewał. Ale pewno ona wtedy ani patrzała na niego, ani słuchała tego, co śpiewał…

Owszem, widziała go, pieśń, którą śpiewał, słyszała i od tego właśnie dnia zapamiętała i rysy jego, i głos tak wybornie, że potem spotkawszy go orzącego w polu poznała od razu.

— Nie może być! — z wybuchającą mu na twarz radością zawołał — to pani choć raz okiem na mnie rzuciła! A ja wtenczas myślałem, że nigdy tego szczęścia nie dostąpię!

Pochylił się trochę, w twarz jej spojrzał i taki ruch uczynił, jakby rękę jej pochwycił chciał. Ale dotknąwszy tylko rękawa jej sukni, ramię w dół opuścił, wyprostował się i z głębi piersi głośno odetchnął. Zarazem, jak najczęściej bywało, kiedy uczuwał się zmieszany lub wzruszony, przelotne spojrzenie rzucił w górę. Justyna w tej chwili ku niemu wzrok podniosła i już go przez kilka sekund nie spuszczała. Spostrzegła, że gdy tak patrzał w górę, błękitne oczy jego wydawały się nalane po brzegi roztopionym srebrem.

Wtem stanęli. Przed stopami ich, bladożółtym pasem zieloność trawy i mchu przerzynając, wśród grubej warstwy białego, drzewnego miału leżała na wpół obrobiona gruba kłoda drzewa.

— A! — stając przed tą przeszkodą zadziwił się Jan — w tamtą stronę idąc koło tej kłody nie szliśmy!

— Nie szliśmy — potwierdziła Justyna.

Rozejrzał się dokoła.

— Co mnie stało się? Zdaje się, że dobrze ten bór znam, a nie tędy, kędy trzeba, panią powiodłem. Ślepota jakaś na mnie napadła… żeby jeszcze, broń Boże, deszcz nas nie złapał…

Pilnie teraz patrzał na niebo, które nad drzewami tu i ówdzie już tylko ukazywało małe kawałki błękitu zza chmur łączących się w coraz większe i ciemniejsze płachty. U spodu boru pogasły wszystkie niedawno tak świetnie igrające światła słoneczne, a po szczytach jego wiatr przelatywał

krótkimi jeszcze, urywanymi szmerami. Ptastwo ze zdwojoną żywością świegotało i gałęzie napełniły się trwożliwym fruwaniem skrzydeł. Jan chwilę jeszcze rozglądał się po lesie.

— Niewielka bieda! — rzekł. — Niezupełnie złą drogą my poszli, tylko dłuższą. Teraz trzeba nam ciągle na prawo iść, to za kwadrans na brzeg wyjdziem, wprost naszego czółna, i przez piaski już przechodzić nie będziem.

Przeskoczył kłodę i wyciągnął rękę, aby do przebycia jej pomóc towarzyszce. Ale ona już także znajdowała się po drugiej stronie i tylko suknią zaczepiła o gałąź zgniecionego przez obalone drzewo jadłowcu. Pochylił się, w mgnieniu oka przezroczysty zwój muślinu uwolnił od czepiających się go kolców i błyskawicznie prędko do ust go przycisnął. Justyna tego spostrzec nie mogła, tym bardziej że wnet prostując się, omglonym, lecz pozoru obojętnym wzrokiem po lesie rzucił i tonem przedmiotowo czynionej uwagi rzekł:

— Piękne drzewa! Pan Korczyński dobre pieniądze mógłby wziąć, gdyby ten las sprzedał. Ale ot, nie sprzedaje jakoś…

Po chwili mówił dalej:

— Do nas też piękny kawałek tego lasu należy, to jest, nie do stryja tylko i do mnie, ale wspólnie do całej okolicy. Wszyscy mają prawo w nim rąbać, a że w tym rąbaniu żaden porządek zaprowadzony nie jest, powstają z tego kłótnie i niezgody. Las niszczą tak, że za lat kilka śladu po nim nie ostanie, i między sobą za włosy się o niego ciągają. Z panem Korczyńskim też z racji tego lasu ciągłe wojny idą i żeby on dobry był, toby już dawno zamianę jaką z nami uczynił, czy tam pewne rozgraniczenie jakie, byle po sądach siebie i ludzi nie włóczyć. Jeszcze by i nam do zaprowadzenia porządku dopomógł. Ale on i gadać z nami nie chce, chyba z przyczyny interesu jak do psów zagada, a inszym razem spotkawszy się i nie spojrzy nawet na człowieka, jak wilk w ziemię patrząc…

Rzucił ręką i usta trochę wydął.

— Co tam o tym gadać! Każdy teraz o sobie tylko myśli i siebie kocha. Pan Korczyński podobno inszy był kiedyś, a potem go coś odmieniło… nie wiadomo tylko, co takiego!…

Justyna próbowała bronić krewnego i opiekuna, o jego uciążliwej pracy gospodarskiej i majątkowych kłopotach opowiadając, ale przed tym sercem świeżym i nienawiścią nie zatrutym długo bronić go nie potrzebowała.

— Pewno! Pewno! — twierdząco wstrząsając głową powtarzał Jan — utrapienia i aprensje[244] złość w człowieku rodzą. Ja sam, pamiętam, kiedy kilka lat temu Fabian mnie prześladował, na kłótnie wciąż wyzywał i pole moje jak swoje zaorywał, w taką złość wpadłem, że do domu przyszedłszy garnek, co na stole stał, o ziemię cisnąłem i roztłukłem, siestrę, małą jeszcze, złajałem i stryjowi jeżem się postawiłem. A wszystko to uczyniłem nie dobrowolnie, tylko przez niecierpliwą zgryzotę i aprensje. Często cierpiąc, zdarza się, że nie ścierpisz!…

Opowiadał, że w okolicy żyjąc wiele zgryzot i krzywd przenieść trzeba. W jednym gnieździe niejednaki ptak się lęgnie. Szczenięta od jednej psicy urodzone niejednostajne mają przyrodzenie. Tak samo i między ludźmi. Są w okolicy ludzie dobrzy i spokojni, są i tacy, co jak psy rozjadają się na sąsiadów. Ale najwięcej złych jest dlatego, że mało mając, z chciwością ubijają się o więcej i blisko siebie żyjąc, fałdów jeden drugiemu przysiaduje.

— Pijactwa pomiędzy nami nie ma ani rozpusty nijakiej, ani złodziejstwa. Chatę choć na cały dzień otworem zostawić można, a nikt marnego węgla z pieca nie wyjmie. Za toż każdą grudkę ziemi jeden drugiemu z gardła by wydarł, a za najmniejszą szkodę albo ubligę do czubów się biorą lub do sądów ciągną. O szkodę zaś i ubligę łatwo tam, gdzie zagony jak groch w worku zmieszane, a okno w okno patrzy…

Stryj i on sam zatargów i procesów, jak tylko mogą, unikają, po prostu za wstyd je poczytując, a także i dlatego, że smaku ani też pożytku w nich nie znajdują. Hojniejsza jedna garść z pokojem niżeli dwie z wojną. Lepiej z małego garnuszka jeść w spokojności, niż morze wychłeptać ze zgryzotą. Cukru garścią nie jedzą, ale niedostatku nijakiego nie cierpią. Prawda, że za bogatych w okolicy uchodzą, a to z tej racji, że gospodarstwo do nich dwóch tylko należy, raczej do stryja, ale to już wszystko jedno. Przy tym i ziemi mają sporo, morgów dwadzieścia. Trzech tylko w okolicy gospodarzy tyle jej ma, ale za to większe u nich gromady, jak u Fabiana na przykład: dusz siedem w domu. Inni daleko mniej mają: po dziesięć, osiem, pięć morgów, a i tacy są, którzy, jak na przykład Ładyś, i ćwierci beczki na swojej ziemi nie wysiewają. Co dziwnego, że w cudze lazą? Pusty żołądek mruczy. I u nich kiedyś bieda była, kiedy stryj był chory, a on jeszcze mały i nie bardzo do czego zdatny. Teraz zaś to już nie tylko że dobrze sobie żyją, ale i Antolka dostanie posag jak za mąż wychodzić będzie, nieduży, pięćset rubli, ale Michałowi, który i bez tego by ją wziął, wielką tym pomoc przyniesie, a zawsze później większej poszany[245] i od męża, i od jego familii doświadczy, jeżeli się choć małą rzeczą do wspólnego dobra przyczyni. Dziewczyna też zasłużyła na to, bo pracowita i choć taka młoda, ze wszystkiego korzyść ciągnąć umie: z krów, z ptastwa, z przędziwa, z tkanin. Krów mają cztery, owiec dwadzieścia; więcej mieć by potrzeba, ale z wypasem i łąką bieda. Dwie ciężkie biedy okolica przenosi, jedną, że łąk i wypasów za mało ma, a drugą, że woda nadmiar krwawa. Zresztą, praca około gospodarstwa nie Bóg wie jaka; człowiek się nią nadwerężyć nie może. Bywają czasy *horowania* i czasy odpoczywania — w zimie na przykład. Robota i wtedy jest, ale nie ciągła; wieczorami to już chyba tam kto około stolarstwa majstruje, inni siecie na ryby wiążą, jest jeden, co obuwie szyje; zresztą, zbierają się po takich domach, gdzie świetlice największe, grają na harmonikach i skrzypcach, śpiewają, czasem tańczą, czasem czytają. Czytaliby więcej i częściej, ale te książki, co u stryja są, dawno poprzeczytywane a insze…

Tu przerwał mówienie i niespokojnie obejrzał się za siebie. Z głębi boru

leciał i kulą w powietrzu toczyć się zdawał szum do głuchego turkotu podobny. Wierzchołki sosen zakołysały się i gałęźmi jak wachlarzami poruszyły; na dno lasu niby welon z ciemnej krepy spadł zmrok szarawy, wszędzie jednostajny i gdzieniegdzie smugami krwistych świateł błyskający. Ptastwo znieruchomiało, ucichło, z rzadka tylko odzywając się urywanym ćwierkaniem; miarowe pukanie dzięciołów i żółn ustało; w krzakach i pod paprociami słychać było pośpieszny szelest owadów; wiewiórka wbiegająca na wysoką sosnę zatrzymała się w połowie drogi i, na sęku zawieszona, z odwróconą głową, czarne, zlęknione oczy w pociemniałą ziemię utkwiła. Nad kołyszącymi się czołami i powiewającymi gałęźmi drzew niebo usłało się puszystą, wzdętą szarością; wrony pod nim chmurą przeleciały, przeraźliwie zakradały i skryły się wśród ruchomych szczytów, nagle milknąc przed toczącym się w głębiach boru szumem i turkotem. Jan niespokojnie na Justynę spojrzał.

— Burza nadlatuje. Czy pani nie lęka się? — zapytał.

Odpowiedziała, że trwogi najmniejszej nie czuje, i ciekawie rozglądała się w szczegółach ponurego w tej chwili obrazu przyrody. Jednak wywierał on znać na nią wrażenie mimowolnej obawy czy przygnębienia, bo zbladła trochę i pod muślinową suknią lekki dreszcz przebiegł jej ciało. Jan rozpaczliwym gestem rękę do głowy poniósł:

— Głupiec czy wariat ze mnie! — zawołał — żeby w lesie zbłądzić i panią na trwogę albo i na przeziębienie narazić…

Wnet jednak poskromił wzruszenie swe i zimną krew odzyskał.

— W lesie pozostać na żaden sposób nie można, bo zaraz wicher gałęzie z drzew strącać zacznie, a niejedne cieńsze, to i z korzeniami z ziemi wyrzuci. Lepiej już płynąć. Z wodą czółno strzałą poleci… minut dziesięć, i pod okolicą staniem. Ulewy może i nie będzie albo bardzo krótka, bo chmury ptakami lecą, a choćby i była, lepiej dostać na głowę wiadro wody niż sosnę. Chodźmy prędko!

Ostatnie dwa wyrazy nagląco wymówił i wziąwszy rękę Justyny w swoją, ku brzegowi lasu biec prawie zaczął. W parę minut stanęli na wąskim, kamienistym wybrzeżu, za którym rzeka, tak jak niebo ciemna, gwałtownym wiatrem gnana, toczyła fale wzdęte, w regularne fugi wyrzeźbione, białe plamy piany wyrzucające. Jan skoczył do czółna, silnym pchnięciem z piasku na wodę je zsunął i wiosłem u brzegu zatrzymując, do Justyny zawołał:

— Proszę!

Zawahała się. Spojrzała na wzburzony szlak rzeki, na małe czółno, które pod silnie przyciskającym je wiosłem woda rwała i targała; pobladła więcej jeszcze i nie wiedziała, co począć. Brwi Jana ściągnęły się nad oczami, z których strzelił błysk zniecierpliwienia.

— Tu czasu do medytacji nie ma. Proszę do czółna siadać! — wymówił, a głos jego w szumie i huku wiatru brzmiał stanowczo, prawie rozkazująco.

Wahanie Justyny zniknęło bez śladu; podbiegła do czółna, wskoczyła w

nie i na dnie jego usiadła. On szybkim ruchem zgarnął jej pod głowę wyściełające czółno gałęzie topoli i szybko, ale łagodniej już przemówił:

— Proszę nie lękać się. W różne ja pory i nie w takie burze jak ta po Niemnie jeździłem, a pływać umiem prawie jak ryba…

Widać było po niej, że lękać się przestała. Z siły jego wlała się w nią ufność. Ale w tej chwili huk i turkot wichru zleciał już na brzeg boru, rozległ się suchy trzask łamiących się gałęzi i zaskrzypiały rozkołysane sosny, a przestrzeń, od skłonu do skłonu widnokręgu, od ciemnego nieba do ciemnej wody, stanęła jedną gęstą i z każdą sekundą przybierającą deszczową mgłą. Justyna znowu od głowy do stóp zadrżała.

— Niewzwyczajona — szepnął Jan — jak dzieciątko!

Błyskawicznym ruchem zdjąwszy siermiężkę swą, rzucił ją na towarzyszkę, którą okryła ona od szyi do stóp, a sam u dzioba czółna stojąc, wiosłem o wodę uderzył. Wicher szalał, ciemne chmury pod niebem białą płachtą zaciągniętym ptakami leciały, z rzadka rozsiane grusze i wierzby wściekle miotały się nad wysokim, żółtym brzegiem. Z drugiej strony stał bór kipiący w głębi, lecz na zewnątrz nieruchomy jak kamienna ściana, a po ciemnym, wzdętym, białymi plamami usianym szlaku rzeki czółno strzałą mknęło, wciąż ukośnie, ukośnie, po falach puszczane, boki im umykając, a dziobem je porąc. Nie było samotne; przed nim, w ten sam jak ono sposób, mknęło drugie, trzecie, czwarte; rybacy to uciekali do domów przed gwałtownym wybuchem przyrody, a na spotkanie tych niby lotnych, czarnych ptaków ciężko z przeciwnej strony sunęły, do wodnych potworów podobne, rudlami[246] jak olbrzymimi płetwami o wodę uderzające, ciężkie, spłakaną żółtością wśród powszechnej szarości smutne płyty.

W niespełna kwadrans, jak to przepowiadał Jan, ukazały się nad wysoką górą domy i drzewa okolicy. Rybackie czółna stały już na piasku wybrzeża; w przerzedzającej się mgle deszczowej widać było rybaków spokojnym krokiem wchodzących na górę; za jednym z nich, najbarczystszym i na burzę najobojętniejszym ciągnął się ze spuszczonym ku ziemi pyskiem i ogonem czarny, zmokły pies.

Kiedy Justyna stanęła na wybrzeżu, gwałtowny krzyk, który wydała z siebie przyroda, uciszał się, a płacz jej ustał. Wichrem przygnane chmury wicher przeniósł i pędził coraz dalej po jednej połowie sklepienia, którego druga połowa oblekła się nagle promiennym błękitem i zajaśniała tarczą słoneczną, czystą, wielką, zawieszoną nad zalegającym zachodni skłon nieba pasem roztopionego złota. Pas ten odbił się w rzece, która popłynęła szafirem i złotem, a nad nią z sunących wciąż powoli rozjaśnionych płytów podniosły się kręte, złote sznury dymu. Zielona góra z okrywającym ją rysunkiem ścieżek stanęła cała w kryształowych kroplach, drgających i świecących na każdym źdźble trawy i na każdym liściu chwastów. U szczytu jej wybuchnął świegot ptactwa i z dołu dostrzec można było w napełnionych światłem gałęziach drzew, które u góry rosły, tańczące z radości wróble, pliszki, szczygły i makolągwy[247]. Wiatr słabł, opadał, cicho

jeszcze i z lekka dmąc w jedną stronę; chmury kłębiąc się i mieszając naprzeciw słońca zwijały się w wał półkolisty i srebrem oblany.

Po jednej z krętych ścieżek Justyna wstąpiła na górę i u połowy jej pod rozłożystą topolą stanęła. Jan czółno na piasek ściągnął i kilku skokami przy niej się znalazł. Niespokojny wydawał się i zakłopotany; cienia uśmiechu na twarzy jego nie było. W przemokłej koszuli, ze zmokniętą siermięgą na ramieniu, szybko oddychając, od razu kilka pytań rzucił:

— Przestraszyła się bardzo? Zmokła? Może przeziębiła się? Zdrowiu może zaszkodzi?

Ale dość było jednego na nią spojrzenia, aby zrozumieć, że nie dręczącą wcale, lecz może rozkoszną chwilę przebyła. Odkąd usiadłszy w czółnie w oczach jego blask odwagi a w ramieniu wznoszącym się do walki siłę i zręczność ujrzała, wszelka trwoga w niej znikła, a natomiast przenikała ją do głębi słodycz zaufania. Ufała mu. Gdy stojąc u steru czółna, z brwią ściągniętą, z całą duszą w oczach skupioną, ku wodzie nieco schylony, wiosłem odpędzał żywioł napastniczy i na wodnym bezdrożu niezawodne torował drogi, wydawał się jej samą śmiałością i siłą; uczuła się także śmiała, silna, dumna nim i tym, że zaufać mu potrafiła. Oprócz tego wydawał się on jej i samą dobrocią. Pod gęstą mgłą deszczową z trudnością powieki podnosząc widziała jednak kilka szybkich, zmartwionych, troskliwych spojrzeń, jakie na nią rzucił, i razem z ufnością wdzięczność nieskończona dla tego serca, które tak prosto i szczerze słało się pod jej stopy, upoiła jej serce. Upojona i szczęśliwa stała pod topolą upewniając go, że nie przelękła się, nie zmokła, nie przeziębiła, i tego tylko żałuje, że wycieczka ich dłużej nie trwała.

— To i chwała Bogu! — zawołał.

Widząc ją zdrową i wesołą uspokoił się zupełnie. Widział też, że nie przemokła wcale. Siermięga jego była tak gruba i choć na nim wydawała się krótka, ją tak dobrze osłoniła, że deszcz suknię jej tylko przejął wilgocią. W zamian, mokre włosy zdwojonym ciężarem na kark jej spadały. Wstrząsnęła głową; luźny i w czasie burzy więcej jeszcze rozluźniony węzeł rozwinął się i czarną, wilgotną falą okrył jej plecy. Może sama nie czuła tego, że była w tej chwili zalotna. Ale on do tych opadłych, falistych zwojów przylgnął rozgorzałymi oczami i o krok za nią cofnięty, rękę ku nim wyciągnął, cofnął ją, wyciągnął znowu i lękliwie dotknął ich miękkiej, błyszczącej gęstwiny.

— Że też to Pan Bóg takie cudności stwarza!

Szept ten razem z jego gorącym oddechem ucho jej musnął, na włosach uczuła dotknięcie jego ręki; w tył nieco głowę odgięła i nieruchoma stała, z twarzą różową a wzrokiem utkwionym w szeroki pas złoty, który pod tarczą słońca zdawał się na oścież roztwierać błękitne niebo.

Wtem na tym tle złotym zamajaczyły białe, skrzydlate plamy lecące nad rzeką, to niżej, to wyżej, ku zielonej górze. Były to ptaki dziwne i piękne, duże, niepokalanie białe, szerokoskrzydłe, z dziobami i nogami ognistej barwy. Ze dwadzieścia ich było; wyglądały jak napowietrzne lilie o

ognistych łodygach i strzałach. Od stóp zielonej góry wzbiły się wysoko i ciężkie, milczące, poważnym, lekko szumiącym lotem popłynęły dalej, dalej, znad wody spłaszczając malutkie wobec nich i trwożliwie przed nimi uciekające rybitwy.

Justynę ciekawość o parę kroków naprzód rzuciła. Wydała okrzyk zdziwienia; pierwszy raz w życiu ptaki te widziała.

— To są morskie wrony — zmąconym głosem wytłumaczył Jan — czasowe u nas ptaki i rzadkie. Nie każdego roku przelatują one tędy; podczas i kilka lat ich nie widać, potem pokażą się znowu, przelecą i polecą Bóg wie dokąd!

Z zadumą za śnieżnymi ptakami okiem powiódł.

— Ciekawość podczas człowieka ogarnia dowiedzieć się czego o tych stronach dalekich, do których ptaki latają… Żeby choć w książce albo w rozpowiadaniu jakim zobaczyć te morza, te kraje, te cudności i dziwy…

— Razem o nich czytywać będziemy. Czy dobrze?

Wszystkie promienie słońca w źrenicach mu zaświeciły.

— Żebyż to kiedyś nastąpiło! Żeby to doprawdy…

Wiatr powiał; topól zaszumiała i strząsnęła na nich krótką ulewę kropel. Roześmieli się oboje głośno, jak dzieci.

— Chodźmy do chaty! — zawołał Jan.

— Chodźmy! — ochotnie powtórzyła Justyna. Szereg lip na podwórku Anzelma i Jana stojących raz jeszcze osypał ich chłodną rosą, zanim stanęli przed otwartym oknem przeciwka, czyli izdebki, którą Anzelm celą swoją nazywał.

V

Pod otwartym oknem, na podługowatym, prostym stole, na kilku książkach w zniszczonej oprawie stała lampka z wysokim kominkiem; przy glinianym dzbanku i szklance z zielonawego szkła leżał wśród grubych okruch nie dojedzony kawał razowego chleba.

— Już kiedy okno otworzył i chleb jadł, to prędko i odżyje — szepnął Jan.

W głębi izdebki, pod ścianą okrytą cienkim i chropowatym pokładem wapna, na tapczanie zasłanym kraciastą, domowego wyrobu kołdrą Anzelm w kapocie i butach na wznak leżał, z jednym ramieniem bezwładnie wzdłuż ciała spoczywającym, a drugim na głowę zarzuconym. Szeroki rękaw kapoty zakrywał całkiem górną część jego twarzy i widać było spod niego tylko bladoróżowe, siwiejącym wąsem ocienione usta. Układ tych ust był tak surowy, jakby wnet otworzyć się one miały dla wydania słów gromiących albo gniewnego czy rozpacznego okrzyku. W górze nad leżącym w martwej nieruchomości człowiekiem blado błyskały ramy świętego obrazu i szaro majaczyły wizerunki rycerzy, cierniową koronką zwieńczone.

— Żeby teraz z fuzji mu nad głową wystrzelić, ani poruszy się, ani przemówi, i żadne proszenie albo krzyczenie nic nie pomoże. Sam przez się potem dźwignie się i odżyje…

Odeszli. Z małego ganku, gzymsem w grube floresy wyrzeźbionym otoczonego, widać było ciemnawą sionkę, w której stały żarna, i przez drzwi otwarte w kuchni czysto wymiecionej dwie naprzeciw siebie u białego sosnowego stołu siedzące na stołkach dziewczyny. W niedzielnych sukniach bijących w oczy morderową[248] i granatową barwą, w obcisłych stanikach i kolorowych kokardach u szyi, łokciami o stół oparte, głowy owinięte gładko uplecionymi warkoczami pochylały one ku sobie szepcząc o czymś z ożywieniem i bez ustanku. Pomiędzy nimi leżał na stole zaledwie rozpoczęty bochen chleba i stał gliniany, czarny garnek, z którego one drewnianymi łyżkami czerpały gęsty, biały chłodnik, z mleka, octu i posiekanej boćwiny[249] złożony.

Ujrzawszy wchodzącą Justynę powoli wstały, do progu podeszły, a gdy im ona rękę na powitanie podała, Antolka dotknęła jej nieśmiało i z krótkim dygiem. Elżusia zaś ścisnęła ją tak silnie, że aż całym ramieniem zatrzęsła, i wnet zagadała:

— Panienka znowu do nas przyszła! Bardzo słusznie. Nam bardzo jest miło panienkę widzieć.

Uśmiech, z którym to mówiła, przyjacielski był i wesoły, ale oczy jej, tak jak u Fabiana, małe i błyszczące, zdawały się ze złośliwą trochę ciekawością prześwidrowywać twarz przybyłej i złośliwie też zerknęły za znikającym w drzwiach świetlicy Janem.

— Proszę usieść — przemówiła młodsza z dziewcząt. — Czy Justynka nie bardzo zmokła, w deszcz z Mogiły wracając?

— Oho! — zadziwiła się Elżusia. — Większa poufałość niż znajomość po imieniu panienkę nazywać…

Antolka zawstydziła się i twarz ku ścianie zwróciła.

— Kiedyż prosiła… — szepnęła.

Justyna cienką jej kibić ramieniem otoczyła i w zarumieniony policzek pocałowała.

— Suknia mi tylko zmokła, ale chętnie ogrzałabym się przy ogniu…

— To ja zaraz rozpalę!

Skoczyła i kilka polan z sionki przyniosła.

— Poczekaj — zawołała Justyna i z lekka ją usunąwszy, sama przed piecem na podłodze przysiadła i ogień rozniecać zaczęła.

— Oj, oj! Nie potrafi! — na całe gardło zaśmiała się Elżusia.

— Potrafię. Nie święci garnki lepią! — odpowiedziała Justyna.

— Bardzo słusznie, tylko że panienka nie do tego stworzona!

— Ot, widzicie, że już się pali…

Kawał brzozowej kory płonął istotnie w piecu i językami ognia suche polanka obejmował. Popielaty królik spod pieca wyjrzał. Justyna wzięła go w ręce i ułaskawione, łagodne stworzenie wnet do piersi jej przylgnęło. Za tym pierwszym ukazał się drugi, trzeci, czwarty i wszystkie zwinąwszy się w jeden jedwabisty, pstrokaty kłębek, czarnymi oczami w czerwonych oprawach na nią patrzały.

— A my o panience tylko co mówiły. O wilku mowa, a wilk tu. Bardzo słusznie!

— Ona do Justynki ma wielką prośbę — kruczkiem[250] drzewo w piecu poprawiając uśmiechnęła się Antolka.

Elżusia łokciem ją trąciła i dłonią usta zamknąć chciała. Ale Antolka chichocąc i głowę odwracając, rękę jej odepchnęła.

— Ona Justynkę chce na wesele swoje prosić. Mówi, że wesele większy dla niej walor będzie miało, jeżeli Justynka i młody pan Korczyński na nim będą. I w oczach ludzkich to jej wielką promocję zrobi[251]. Młodego pana Korczyńskiego sam Fabian zaprosi, choć długo ani słuchać o tym nie chciał, ale on ambicjant[252], więc sam nie żartem żąda panów w chacie swojej przyjmować.

Wesele to odbyć się miało w parę tygodni po żniwach, około Matki Boskiej Zielnej. Fabian przed tygodniem na oględziny domu i gospodarstwa konkurenta jeździł i wszystko dobrze znalazł; niezupełnie dobrze, bo w chacie gromada spora, matka, dwóch braci, siostra, ale za to ziemi u nich morgów[253] z piętnaście, inwentarz piękny, bo aż dwadzieścia sztuk bydła, i familia bardzo porządna: matka Giecołdówna z domu, jeden z braci ekonomem u panów różnych służył, a teraz żeni się z Zaniewszczanką, aż tysiąc rubli posagu bierze i zaraz folwark jaki w dzierżawę weźmie.

— A pan młody? — zapytała Justyna.

Dziewczęta znów zachichotały.

— Taki młodzieńki... — szepnęła Elżusia i rozrzewnienie napełniło jej małe błyszczące oczki.

— Może więcej nie ma jak dwadzieścia jeden rok, i w sołdaty nie pójdzie, bo dwóch starszych braci już w wojsku odsłużyło — rozgadała się Antolka. — Ładnieńki sobie, tylko że bardzo maleńki...

— A ty by chciała, żeby na świecie same takie herody byli, jak twój Michał! — ujęła się Elżusia. — Niech będzie sobie maleńki, ale milusieńki...

Znowu rozrzewniła się, aż łzy jej w oczach stanęły, lecz zaraz potem opowiadać zaczęła, że ociec jej sześćset rubli posagu przyrzeka, ale od razu dać nie może, bo pieniędzy nie ma. Więc połowę da gotówką, a na drugą połowę weksle wyda. Już to z familią narzeczonego umówione.

— Ale wesele to już huczne sprawi, taki ambicjant! — wykrzyknęła Antolka.

I wyprawę śliczną dostanie. Pościeli i bielizny cały kufer złożyła dla niej matka, a ojciec, jak do miasta jeździł, przywiózł jej kaszmiru[254] na suknię, prawdziwego czarnego kaszmiru, a to już jest najpiękniejsza suknia, jaka na świecie być może. I drugą jeszcze mieć będzie, morderowego koloru, ale tańszą...

O strojach mówić zaczęły. Justyna dopytywała się o cenę sukien, które na sobie miały, kto je szył, czy w święta je tylko noszą albo czasem i na co dzień? Teraz już obie rozgadały się jak czeczotki. Suknie im krawiec szyje. Żydek w miasteczku; mają takich po jednej, po dwie najwięcej, i noszą je tylko w święta. Na co dzień nie używają inszych, jak te, które utkają same, a która więcej i ładniej utka, tej sława i honor. Żadna dziewczyna w okolicy tyle strojów nie ma, co Domuntówna. Bransolety nawet ma, złotne kolczyki i pierścionki, bo i bogata jest, sukcesorką całego dziadowskiego gospodarstwa będąc, i Jankowi nadmiar przypodobać się pragnie. Ale Janek wcale na jej suknie z ogonami i złotne ozdoby nie patrzy; nawet mniej upodobanie w niej znajduje, odkąd nimi popisywać się zaczęła. Raz, jak na hurbie (tak się u nich zebranie z tańcami nazywa) w broszce i kolczykach przyszła, a złotnymi bransoletami tańcząc dzwoniła, cygańskim koniem ją nazwał. Dla tej przyczyny tak ją nazwał, że Cyganie zawsze swojego konia we wszelakie błyskotki i dzwonki ubierają. Przy tym opowiadaniu aż zanosiły się obie od śmiechu. Justyna śmiała się także.

Kiedy Jan, zdjąwszy z siebie przemokłą odzież, w kurcie z domowego sukna i z wywiniętym na nią kołnierzem białej i cienkiej koszuli wszedł do kuchenki, gwarno w niej było i wesoło. Antolka przed chwilą do bokówki była wbiegła i wyniosła z niej tak wielki pęk tkanin, że aż uginała się pod jego ciężarem. Rzuciła go na stół i teraz wszystkie trzy oglądały te wyroby jej rąk; suknie, dywany, kołdry mieniące się najróżnorodniejszymi barwami i wzorami, pasiaste, kraciaste, nakrapiane, z czystej i z lnem pomieszanej wełny. Jan siostrę o matkę zapytał. Powiedziała mu, że do Starzyn poszła, do męża, a jutro raniutko powróci jeszcze na dni kilka, aby im żąć pomagać.

W Starzynach grunta niskie, więc żniwa późniejsze, dlatego może ona przy żniwach dzieciom pomagać, a potem do swoich w porę doskoczyć. Dwie mile ujdzie dziś w jedną stronę, a dwie jutro z powrotem i z sierpem na polu stanie, jakby nie pięćdziesiąt, ale dwadzieścia lat miała.

— Chwała Bogu za taką starość — zauważył Jan — a z tej racji jest ona taka, że matka zawsze wesoła była i żadnych aprensji[255] do serca nie dopuszczała. Ale nie każdy z takim charakterem urodzić się może…

Drzwiczki od przeciwka, w kącie kuchni umieszczone, a tak wąskie, że prawie ich widać nie było, otworzyły się po cichu i ozwał się zza nich głos Anzelma:

— Czy mi się tylko tak wydało, czy doprawdy głos panny Justyny usłyszałem?

Justyna żywo ku drzwiczkom podbiegła.

— Przez próg nie witam! Przez próg nie witam! Bo niezgoda jaka mogłaby z tego pomiędzy nami wyniknąć,a ja sobie niezgody z panią nie życzę… nie życzę! — z rzadką u niego żywością i żartobliwością zawołał gospodarz domu i w kapocie, zza której grubego kołnierza widać było koszulę u szyi tasiemką związaną, wysoki próg przestąpił. Justyna w obie dłonie rękę jego wzięła i chwilę milcząc na niego patrzała. Więc był to ten sam człowiek, któremu na piaszczystym pagórku Marta niegdyś święcony medalik u szyi zawiesiła i który potem, z twarzą uczernioną, z potokami wody ściekającymi z włosów i odzieży… Pierwszy raz zobaczyła go bez czapki. Czoło miał białą i cienką skórą powleczone, wysokie, z mnóstwem zmarszczek, które snopem leżały pomiędzy brwiami i stamtąd cienkimi nićmi rozchodziły się po całym czole aż do przerzedzonych, siwiejących włosów.

Antolka podbiegła i w rękę go pocałowała.

— Jeszcze dziś pierwszy raz stryjka widzę! Dopilnował tej minuty, kiedy po wodę poszłam, i wtedy do kuchni przyszedł, aby sobie kawałek chleba ukroić. Przychodzę do domu, chleb na stole, a drzwi od przeciwka znów zaszczepione… Wszystko zaś dlatego, żeby nie widzieć się z nikim…

— Taka już mnie czasem oblega zgryźliwość, że i najmilszy staje się niemiłym — odpowiedział Anzelm i mocniej niż zwykle ściskając rękę Justyny, uważnie, prawie badawczo na nią patrzał.

— Żęła podobno wczoraj na naszym pólku? Dziś na Mogiłę z Jankiem jeździła? A? — uważnego tego wzroku z niej nie spuszczając przemówił. — Nowiny, prawdziwe no… no… no… winy! — jąkając się dodał jeszcze i uśmiech przyjazny, prawie radosny otworzył mu usta i rozszedł się po całej twarzy, aż na wysokie czoło, którego zmarszczki wyciągnęły się jak ukośne promienie. — Proszę, do świetlicy proszę! Kto widział gościa w kuchni przyjmować? Chata nasza niska, ale nie ciasna, nie ciasna!

Jedną ręką poły kapoty u piersi przytrzymując, drugą na drzwi ukazywał i parę razy jeszcze powtórzył:

— Proszę! Proszę do świetlicy!

W kuchni znajdowało się troje drzwi, z których jedne, zwykłych rozmiarów, otwierały się do sieni, a dwoje innych, wąziutkich i niskich, prowadziło do przeciwka i do bokówki. Justyna zawahała się, niepewna, w którą stronę iść jej wypada, stary to spostrzegł, ramię jej podał i przez sień do świetlicy prowadził. Niegdyś, niegdyś widywał w korczyńskim dworze w ten sposób prowadzące się pary i sam od obiadów, od wieczerzy wstając podawał ramię wysokiej, czarnookiej, wesołej pannie.

Świetlica była izbą niską, lecz bardzo obszerną, bo więcej niż połowę całego domku zajmującą, z trzema sporymi oknami, z których dwa były otwarte, ze ścianami gładko otynkowanymi, z podłogą ułożoną z prostych, sosnowych, lecz gładko wyheblowanych i czystych aż do białości desek. U niskiego sufitu, grube, wapnem pobielone belki, krzyżując się z cienkimi deskami, tworzyły szeregi ciemnych próżni; całą prawie długość jednej ze ścian zajmował piec, do sufitu wysoki, z białych kafli zbudowany, a u dołu mający rząd małych sklepień, z których w zimowe wieczory rozlegać się musiały na całą izbę ćwierkania świerszczy. W kącie samotna, rozłożysta, ogromna, sto lat może mająca stała kanapa z olchowego drzewa, na czerwono pomalowana i kraciastą, domowego wyrobu tkaniną obita; naprzeciw znajdowało się łóżko z sosnowych, białych desek zbite i dostatnią pościelą wysoko usłane, a między oknami komodę olchową i na czerwono pomalowaną zdobiła szkatułka z czeczotkowego drzewa[256] z ukośnie stojącym lusterkiem, mały, czarny krucyfiks wiankiem z żółtego rozchodnika okręcony i mała lampa z grzybiastym szklanym kloszem. Zresztą, pod ścianami stały wysokie, zielone albo w kwiaty malowane skrzynie o bombiastych, żelazem okutych wierzchach, zydle[257] z białych desek, przed nimi olchowe, czerwone stoły, a u stołów kilka krzeseł domowej widać roboty, niedawno sporządzonych, bo niepomalowanych, z drewnianymi siedzeniami i tylnymi poręczami, z giętkiej może grabiny czy klonu w wysokie łuki powyginanymi. Przez drzwi za olbrzymim piecem otwarte ukazywała się bokówka, mała, podługowata izdebka, z jednym znowu, wysoko usłanym łóżkiem. Antolka sypiać tam musiała, bo wśród mnóstwa świętych obrazków, które nad łóżkiem ścianę okrywały, największymi rozmiarami i najjaskrawszymi barwami jaśniał obraz jej patrona, w wianki na Boże Ciało poświęcone, w palmy wielkanocne, w pęki suchych nieśmiertelników i świeżych nagietek ubrany. Przez otwarte okna zapachy kwiatów i ziół wnikając z ogrodu napełniały po brzegi całą świetlicę, a wtłaczające się przez nie gałęzie starej gruszy ocieniały ją zieloną, ruchomą firanką.

Anzelm do jednego ze stołów Justynę przyprowadził.

— Na krześle sieść proszę… wygodniej będzie niż na ławie… proszę na krześle usieść…

I z żywością ruchów, której by nikt po nim spodziewać się nie mógł, zgrabnie, dwornie, krzesło dla niej niósł ku stołowi. Elżusia, która za całym towarzystwem wysoki próg świetlicy jak pulchna kluska przeskoczyła,

śmiechem teraz, na gospodarza domu patrząc, parsknęła.

— Już chyba skończenie świata nastąpi, kiedy pan Anzelm tak się rozruszał! — zawołała. — Takim alegantem ukazuje się, jakby nigdy tetrykiem[258] nie był!

— Ot, i z głupia odezwała się! — żartobliwie odparł Anzelm — bo gdyby mądra była, to by wiedziała, że kto niedźwiedzia przemoże, za nos go wodzić może. Widać, że mnie panna Justyna tak przemogła.

Potem sam na zydlu siadając do Antolki zawołał, aby gościa wieczerzą poczęstowała.

— Sam też — dodał — od wczorajszego wieczora tylko kawałek chleba przełknąłem, a i Jankowi po tej kąpieli, którą na Niemnie dziś wziął, głodno być musi.

Wczoraj jeszcze dowiedział się od synowca, że na Mogiłę z Justyną on popłynie, a teraz dwojga młodych zapytywał, jak w czasie burzy wydobyli się z kłopotu, czy bardzo zmokli, ile czasu w borze spędzili. Opowiedział, że kilka razy spotkał się na Mogile z panią Andrzejową, która to miejsce odwiedza czasem, ale bardzo rzadko i niby przypadkiem. Wielką panią jest i wszystkie oczy na siebie ma zwrócone, to i trudniej jej takich wypraw dokonywać jak na przykład jemu, który przez nikogo niepostrzegany może sobie często pomodlić się i podumać, tam, gdzie brat jego wiecznym snem odpoczywa.

Dwóch ich tylko było i siostra, która do zaniewickiej okolicy za mąż poszła, skąd też i matka ich pochodziła; a Jana matka znów Siemaszczanka z Siemaszek, tak jej zaś wypadło, że aż w czterech okolicach życie swoje pędziła: najpierw w ojczystej, czyli w Siemaszkach, potem w Bohatyrowiczach, gdy za Jerzego wyszła, potem za drugim mężem w Jaśmontach, a na ostatku, za trzecim, w Starzynach.

— Nie wiadomo, czy to już ostatni mąż i ostatnie jej osiedlenie — żartobliwie znowu zauważył. — Bo mnie się zdaje, że gdyby dziś owdowiała, to by za rok poniosła się jeszcze za czwartego!

Justyna zapytywała go o rozległość i ludność okolic, których nazwy wymienił. Odpowiadał jej chętnie i obszernie, o szczegóły, których nie wiedział, bo przez wiele lat nigdzie nie jeździł, do Jana się odzywając.

— Wszystkich ich pani po troszku na weselu Elżusi zobaczy — rzekł Jan — bo Fabian pełno ma wszędzie krewnych i znajomych, a zechce pewno, aby o weselu jego córki cały świat gadał.

Tymczasem Antolka i Elżusia stół szmatą płótna starły i w przeciągu pół godziny zastawiły go wszystkim zapewne, na co w tej chwili zdobyć się mogła chata Anzelma i Jana. Dokoła wielkiego bochna chleba zjawiła się misa kwaśnego mleka, w połowie z różową śmietaną zmieszanego, potem druga z położonym na niej plastrem miodu, tylko co znać razem z drewnianą ramką z ula wyjętego, dwa sery, z których jeden przywiędły a drugi świeży, żółte masło na spodku, na koniec, przez zaczerwienioną od ognia Elżusię przyniesiona patelnia z dymiącą jajecznicą.

— Już jak ja jajecznicę zrobię — zawołała wesoła dziewczyna — to, bardzo słusznie! Sam ociec czasem pochwali, choć jemu dogodzić tak prawie trudno, jak przez ten dom przeskoczyć…

— Ja myślę, że Elżusia kiedykolwiek i przez dom przeskoczyć potrafi, taki z Elżusi kozak — zażartował Jan, ale na miód spojrzawszy brwi ściągnął.

— A kto do ula chodził? — z gniewem zapytał.

— A któż by, jak nie Antolka? Tylkoż siestra i mogła tak śmiele postąpić — odsarknęła córka Fabiana.

— A raz na zawsze tego jej wzbroniłem! — zawołał Jan i po brzegi włosów zarumieniony ręką w stół uderzył. — Nieświadomy wszystko zepsuć może, a ona kiedy nie uczyła się, jak z pszczołami postępować, to niech nosa w nie swoje nie tyka!

Wstawał już, aby do siostry z wymówkami iść, ale z bokówki cicha i zalękniona, wysunęła się dziewczyna, z ustami skrzywionymi i ręką policzek przyciskając.

— A co? Ukąsiła? — zawołał Jan.

— Żeby ją cholera… — ze łzami kręcącymi się w oczach jęknęła Antolka.

Jan, trochę jeszcze nasępiony, nic już siostrze nie powiedział, a Anzelm zażartował znowu:

— Nie dbaj, że pszczoła kąsa, byleś miodu dostał! Co tam, że troszkę boli, nim za mąż wyjdziesz — przestanie!

Kiedy chleb w rękach podniósł i kroić go zaczął, na spodzie bochna ukazały się wyraźne odbicia suchych lipowych liści, którymi gospodynie wkładane do pieca pieczywo od zetknięcia się z gliną i popiołem zabezpieczają.

Na zydlu i krzesłach wszyscy dokoła podługowatego stołu zasiedli nabierając sobie na gliniane talerze jajecznicy i kwaśnego mleka. Przez parę minut nikt nic nie mówił. Anzelm, Jan i dwie młode dziewczyny jedli w sposób dość szczególny. Z grubo pokrajanych porcji chleba małe kąski odłamywali i dwoma palcami do ust je nieśli. Drewniane łyżki trzymali w palcach zgrabnie, delikatnie i zawartą w nich żywność powoli w usta wkładali, powoli też i cicho ją przeżuwając, po czym łyżki na stołach kładli i po kilku sekundach dopiero lub po minucie znowu je delikatnie ujmowali i powoli do ust nieśli. W tym szczególnym, przesadnie powolnym i delikatnym sposobie jedzenia widać było od dzieciństwa nabieraną albo i z krwią dziedziczoną obawę przed okazaniem grubiaństwa i żarłoczności. Anzelm przemówił pierwszy. Spojrzał na Justynę i jakby sobie coś nagle przypominając zapytał:

— A może by pani herbaty wypiła? My ją rzadko kiedy pijemy, ale zaraz można zrobić…

W bokówce, na olchowej czerwonej szafie stał niewielki blaszany samowar[259] i Antolka już się z krzesła zrywała, aby biec go nastawiać. Ale właśnie w chwili, w której Anzelm pytanie swoje uczynił, Jan łyżkę na stole

złożywszy, ręce na kolana opuścił i z uśmiechem głębokiego zadowolenia patrzał na Justynę, która w porcji ciemnego chleba, złotawym miodem posmarowanego, ze smakiem zęby zatapiając, także na niego patrzała. Oboje mieli uśmiechy w oczach i pytanie Anzelma usłyszeli dopiero wtedy, gdy je powtórzył.

— Zdaje się — powoli zauważył Jan — że apetytu po spacerze nie brakuje i może obejdzie się bez herbaty…

— Obejdzie się z pewnością! — zaśmiała się Justyna.

— A ja teraz już na siestrę i nie gniewam się, że sama do ula po miód poszła!

Zaśmiał się tak, jak śmieją się szczęśliwi, bez widocznej przyczyny, głośno, serdecznie, z głową w tył odrzuconą, i bez widocznej także przyczyny siedzącą obok Antolkę po włosach pogładził. Po czym łyżkę ze stołu delikatnie ujął i mleka nią zaczerpnąwszy, powoli do ust poniósł. Rękę miał dużą, w skórę ciemną i grubą, obleczoną, bardzo czystą, o szerokiej dłoni i długich, cienkich palcach.

Dnia tego przecież Anzelm był niepospolicie ożywiony, mówny[260] i każde ciekawe oko długo zatrzymywać by się mogło na tym ociężałym, schorowanym, piętnem wielkich boleści przyobleczonym człowieku, kiedy dziś, pobudzany jemu tylko znanymi uczuciami, dworną uprzejmość i przyjacielską gościnność okazywał, rozmowę z gościem podtrzymać usiłując. Na ręku Justyny zobaczywszy czerwoną szramę zapytał, czy pochodzi ona od sierpa, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, długo, dziwnie migocącymi oczami na nią popatrzył.

— Ciężka praca! A? Chociaż to wszystko od uzwyczajenia[261] zależy. Nie wiem ja tylko i wątpliwości mam co do tego, czy osoba tak pięknie na fortepianie grająca do takich grubych robót uzwyczaić się może.

Opowiedział, że nieraz idąc wybrzeżem rzeki albo przeprawiając się na jej drugą stronę, słyszał ją wspólnie z ojcem grającą.

— Słodka muzyka — uśmiechnął się — uszy głaszcze i serce przenika. To jest prawda, ale druga znów prawda, że tak prawie po całych dniach w instrument stukać to może i nie mniejsza fatyga, jak pleć albo żąć…

Na podwórku rozległo się ryczenie krów; dziewczęta zerwały się z siedzeń i pośpiesznie naczynia ze stołu sprzątać zaczęły; potem Elżusia nie ukazała się już więcej, a Antolkę widać było z dojnicą[262] w ręku prędko przez sień na dziedziniec wybiegającą. Słońce zaszło już było od pół godziny; świetlicę napełnił szarawy zmrok. Jan małą lampę na komodzie zapalił i stryjowi oznajmił, że idzie najrzeć, czy parobek dobrze w nieobecności jego bydła i koni dopatrzył. Anzelm i Justyna zostali we dwoje.

Niespodzianie dla Anzelma i może dla samej siebie Justyna z krzesła swego zsunęła się na zydel i ku staremu pochylona, ustami do ramienia jego przylgnęła.

Nie zdziwił się bardzo, tylko zrazu, jakby przelękniony, w tył nieco

uchylić się i kapotą otulić się spróbował.

— Nowina! — wyszeptał. — No… no… wina!

Ale ona z czoła i ramion wilgotne jeszcze włosy swe odgarniając i z wyrazem pieszczoty oczy ku niemu wznosząc, z cicha mówiła:

— Wiem, stryjku, wszystko, wszystko wiem…

— A skąd? Kto mówił? Pewno już Janek językiem nasiekł… Nic ja w tym złego nie widzę, bo jeżeli pani jest tak łaskawa, że z nim w przyjaźni chce pozostawać, to i nie powinien mieć żadnych przed panią skrytości.

Potrząsł głową.

— Ale żeby ktokolwiek, choćby i on, wszystko to wiedzieć i przeniknąć mógł, o tym wątpię… Głęboko trzeba kopać, aby wodę znaleźć, a tym bardziej człowieka, żebyś nie wiedzieć wiele lat z nim przebywał, jeszcze wszystkich skrytości jego nie rozpoznasz…

Ze wzrokiem kędyś daleko za otwarte okno puszczonym mówił dalej:

— Wszelako zdarza się na świecie. U Boga i mucha, kiedy każe, żołnierzem musi być. Mały ja człowiek jestem, ale na wielkie rzeczy w młodości swojej patrzałem i w nich maleńki udziałek wziąłem, a z tego i całe późniejsze życie moje wyciekło. Korczyn! Oj! I domyśleć się teraz nie można, jakie tam wtenczas rozlegały się mowy i postępki… Zdaje się, że wszystko, co ludziom Pan Bóg dał dobrego, poruszyło się wtenczas i zagadało. Brat obejmował brata, nie zważając na to, czy bogatego albo ubogiego obejmuje, rozumni głupim drogi pokazywali. A przed wszystkimi jeden cel świecił. Nas do tej festyny[263] nie tylko dopuszczono, ale i zapraszano, żądając, abyśmy życie narażali, ale tym, co go nie utracą, takie rzeczy pokazując, że aby je dostać, każdy chętliwie głowę pod niebezpieczeństwa podstawiał… Wiele bym ja mógł w tej materii mówić i opowiadać, ale…

Długo wstrząsał głową, na parę gwiazd przez gałęzie sapieżanki przebłyskujących patrząc.

— Senne widowiska… czasowe mary…

Justyna, blisko do niego przysunięta, z jedną ręką pieszczotliwym ruchem na jego ramieniu złożoną a na drugiej twarz swą opierając, w milczeniu słuchała mowy jego powolnej, częstymi milczeniami przerywanej, w części tylko zwróconej ku niej a daleko więcej do półgłosem smutnych myśli i wspomnień podobnej.

— W książce jednej wyczytałem… „Jak muchy padną w boju syny ludzkie…” A w drugim miejscu tej samej książki, czy może jakiej inszej, napisano: „Jak glina w ręku garncarza, tak ludzie w ręku Stwórcy”. Taka to już być musi kondycja nasza, ale serce człowieka podczas za słabe bywa, żeby ją cierpliwie i pokornie przenieść. Widać za mało cierpliwy i pokorny byłem, bo kiedy już te rzeczy obróciły się na złą stronę i zaćma[264] nieprzenikniona świat ogarnęła, zacząłem doświadczać nieścierpliwego żalu i gniewu, sam nie wiedząc nawet, przeciw czemu i przeciw komu ten gniew obrócić. Odżałować tego, co przeminęło, nie mogłem, ani też

przywyknąć znów do zwyczajnego życia, od którego jakby na skrzydłach mnie odniosło. Co dawniej miłe było — obrzydło; co bawiło i radowało — wydało się samą marnością. Pójdę, bywało, z pługiem w pole i tylko wspominam, co w tamtych złotnych dniach widziałem i słyszałem; twarze różne, postępki, sprzeczki i zdania wspominam i z pamięci swojej umyślnie je wybieram, podobnie jak skąpiec dukaty ze skrzyni wybiera, oglądając je i lubując się nimi. Tak czasem pośród mgły wiosennej i pół dnia na polu przy pługu przestoję o robocie, do której wprzódy chętliwy i zdatny byłem, zapominając. Albo zimową porą do wesołej jakiej świetlicy, bywało, wejdę i patrzę, jak ludzie rychło o wszystkim zapominający śpiewają, weselą się, tańczą. „Czy oni powariowali?” — myślę sobie, słupem niemym i nieruchliwym w kącie stojąc, a im więcej oni weselą się, tym widoczniej przed oczami staje mnie ta polana leśna z tym swoim smętnym pagórkiem i śniegiem, co na nią w ciemności nocnej białymi płatami pada. Co nowy taniec zagrają, to ja zaszepczę: „Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie!” Co nową pieśnię kto zawiedzie, to ja znów: „Wieczne odpoczywanie!” Co głośniejszym śmiechem kto wybuchnie, w mojej głowie rozlega się: „Wieczne odpoczywanie!” Na weselących się ręką machnę i do chaty pod śniegiem padającym idę, a w chacie… Chryste!… Miejsce po bracie jedynym już i zastygło, żonka jego już po drugich weselnych godach, tylko sierotka mały mnie spotyka i tuli się do opiekuna jedynego, który mu na tym świecie pozostał…

W drzwiach bokówki ozwał się szelest; Jan stał na progu, plecami o drzwi oparty, z ramionami na piersi skrzyżowanymi. W cieniu postać jego rysowała się w liniach prostych i wyniosłych. Cała świetlica pogrążona była w cieniu, bo mała lampa na olchowej komodzie stojąca słabe rzucała światło i tylko wąski jej promień spływał na ciemną kapotę Anzelma i na połyskliwe, rozpuszczone włosy Justyny. Po długim milczeniu Anzelm półgłosem i powoli znów mówić zaczął:

— Każdemu jednakże stworzeniu dany jest zmysł ratowania się i od ostatniej zguby ubiegania. Tak i ja w jednym miejscu ratunek dla siebie postrzegając, do niego się udałem. Nie było mnie wtenczas więcej nad lat trzydzieści, nie dziwno tedy, że kochanie tyle prawie dla mnie znaczyło, co życie i szczęście. Widać, że przeznaczonym było, aby wszystkie miody i trucizny z Korczyna na mnie ściekły, bo tam mnie objawiły się te widowiska senne, po których pocieszyć się nie mogłem, i tam też gwiazda kochania mego zaświeciła. Może niejeden powie, że moja nadzieja nierozsądna była i że za wysoko odważyłem się spojrzeć, ale ja tak wtenczas nie myślałem. Wszak już mało nie dwa tysiące lat temu Pan Jezus równość po świecie ogłaszał i dużo o niej gadania w tym samym Korczynie słyszałem. Choć ta panna do pańskiej familii należała, ale ja też od niewolników rodu swego nie wiodłem, a choć ubogi, żonie i dzieciom kawałek chleba dać mogłem, nie gorszy może od tego, który w te czasy niektórzy panowie jadać zaczynali, a może i spokojniejszy, pewniejszy. Do tego, choć z pańskiej

familii ona pochodziła, niewielka z niej była pani… niewielka! Cudze suknie na grzbiecie nosiła, wszystkiego od łaski krewnych wyglądając. Czemuż by jej, zdaje się, własnego domu, choć niskiego, i własnej woli przy mężu kochanym i kochającym nie chcieć? Wzajemność zaś wiedziałem, że mam… wiedziałem. Nie na ślepego przecież patrzała ona swymi takimi ognistymi oczami i nie głuchemu takie rzeczy niejeden raz mówiła, które o wzajemności upewniają. Posunąłem się tedy… i odprawiony zostałem. Nie chciała. Nie można nawet powiedzieć, aby jej familia wielkie przeszkody stawiła. Pewno, że były tam ze strony krewnych perswazje, może i pośmiewiska, ale od ołtarza nikt by gwałtem jej nie odciągał. Sama nie chciała. I widzieć się ze mną nie chciała, aż ją raz w ogrodzie dopilnowałem i za rękę chwyciwszy, o przyczyny tego despektu, który mnie od niej spotykał, zapytałem. Powiedziała przyczyny takie, że tylko na nie plunąć było warto. Perswadować chciałem i przekonywać, ale wyrwała się mnie i uciekła. Z płaczem ode mnie uciekła. I sama desperowała, a jednakowoż nie chciała… nie chciała…

Od tej pory zaczął się najgorszy czas jego życia. Tylko co był świadkiem przeraźliwej zawodności ludzkich walk i nadziei, teraz poznał zmienność ludzkiego serca. Wszystko wydało mu się niepewne, nietrwałe, marne.

— Taka mnie ogarnęła zwątpiałość, że wszystko, na co tylko pojrzałem, okazywało mi się w postaci znikomej mary. Dziś jest, myślałem sobie, a jutro rozwieje się i zniknie. Posłyszałem raz, jak ksiądz w kościele mówił: „Z ziemiśmy poszli i w ziemię przemienić się mamy”, i te słowa nigdy już z głowy mojej nie wychodziły. Gorzej od wszystkiego zwątpiałość ta mnie gniotła, bo żadnej już chęci i żadnego zamiaru do serca nie dopuszczała. Kiedy jeszcze cokolwiek robiłem, to tylko o tym biednym sierotce myśląc, żeby przy mnie z głodu nie zdechł, a dla siebie to bym już i palcem nie kiwnął, bo ciągle mnie na myśli stało: „Na co? Dla jakiej przyczyny o marność i doczesność dbać?” Przed Bogiem się upokarzałem, ale już tylko o zlitowanie dla nieśmiertelnej duszy swojej prosząc, o to zaś, co mnie w tym życiu spotka, bynajmniej nie dbałem, pewnym będąc, że wszystko na zawsze utraciłem, a gdybym znów nabył, zaraz bym znów utracił…

Jednak zbyt młodym był może i zbyt proste, zdrowe dotąd życie prowadził, aby w tym zwątpieniu o trwałości i wartości rzeczy ziemskich zastygnąć mógł i zmartwieć. Owszem, tęsknota za lepszymi dniami i żal po ukochanej kobiecie dręczyły go ciągle.

— Nie zaskórną, ale głęboko w sercu zasadzoną tęskliwość i boleść czułem. Gdyby człowiek mógł łzami do grobu ściec, już bym wtenczas ściekł pewno. Samego siebie lękać się zacząłem, myśląc, że zwariuję albo nieprzyrodzoną śmiercią zginę; bo mi też już gałęzie drzew i głębokości Niemna po głowie chodziły. Wstyd mnie zdejmował, że mocy nijakiej nad sobą mieć nie mogłem, i Pana Boga na pomoc wzywałem, i niedobrowolnie łzy ciekły mnie z oczu. Którego dnia dźwignę się już z myśli ponurych i samego siebie nauczam: „Siły do kupy ściśnij, na biedę oczy zmruż i rzuć ją

pod nogi, a pocieszenia sobie jakiego szukaj, ażeby woli boskiej nie sprzeciwiać się i marnie nie ginąć". Zdaje się, że już i wyperswaduję sobie, desperację odpędzę i dzień, drugi jak wszyscy ludzie przeżyję. Nie, do życia ochota nie bierze i choć tak pracuję, że aż cały oblewam się potem, najmniejszym czasem o miłych nadziejach utraconych i o marności wszystkiego myślę. Raz już nawet zaswatałem się do panny jednej i sam pojechałem do niej. Jadąc myślałem: „Ożenię się i kwita! Chatę zaludnię, rozweselę się i odżyję". Ale kiedym przyjechał i na pannę spojrzał: nie! Szpetna ona nie była ani głupia i to mi też tajnym nie było, że miłym okiem na mnie patrzała. Nie i nie! Tamta przed oczami stoi, a przy tym do czego inszego już uzwyczajony, co inszego poznawszy i pojąwszy, ani w jej mowie, ani w obchodzeniu się, ani w zamiarach, które objawiała, smaku żadnego znaleźć nie mogłem. Dużałem się[265] tak z samym sobą, jak pływacz z wodą, lat może ze trzy, a smętek zdrowia ubierał i czarne myśli siłę zjadały, aż bezsilny i z jakimiś dziwnymi, przechodzącymi i znów powracającymi boleściami na łoże padłem, dziewięć lat potem przez tę chorobę gnieciony, której doktorowie rady dać nie mogli i hipokondrią ją nazywali…

Znaczenia nazwy tej nie rozumiał, ale wytłumaczył mu ją jeden z lekarzy powiadając, że choroba to jest więcej duszna aniżeli cielesna i że ją też duszne lekarstwa więcej niżeli cielesne ukrócić mogą. Zapewne tym dusznym lekarstwem była wielka chęć pomożenia synowcowi w dźwignięciu się z ruiny i biedy, a także pociecha, którą mu sprawiał widok dorastającego sieroty po bracie. Dziewczynka też, którą Jan naparł się wziąć od matki, mileńka była, wesoleńka i zawczasu już porządek w chacie robić zaczęła, a i bratowa, choć płocha i w romansach niepowściągniona, dzieci swoje często nawiedzała i jego doglądała, wesołą swoją gadatliwością babską śmiesząc czasem i rozrywając.

— U Boga i ubity, kiedy każe, drugi raz ożyć może. I ja też wskrzesłem[266], choć niezupełnie… niezupełnie, bo mnie zdaje się, że u ludzi wiele czujących i raz już nadmiar zasmęconych nie tylko na ciele, ale i na duszy robią się takie zmarszczki, które nigdy zupełnie nie znikną. Tak i ja do tej pory nie mogę już ze wszystkim do zwyczajnego życia powrócić. Ruchliwości wszelakiej, hałasów, tłumliwych gadań ubiegam[267], bo śród nich prawie bezprzytomnym się staję. Każdej nieznajomej twarzy ludzkiej najpierw zlęknę się zawsze, nim pokonawszy siebie przybliżyć się do niej zdołam. Podczas i boleści mnie napadają: cielesne i duszne. Od zaziębienia, by najmniejszego, w głowie łamania i bólu doświadczam, a kiedy w starych przypomnieniach i zgryzotach pomimo woli utopię się pamięcią, dwa i trzy dni jak martwy leżę, niczyjego widoku znieść nie mogąc i samego siebie prawie nie czując. Ale o to wszystko bynajmniej. Nieduże to dolegliwości i cierpliwie je przenieść można, spokojność i niejedną przyczynę do uciechy mając…

Cieszyło go teraz wiele rzeczy: domek na miejsce starego i prawie już

walącego się zbudowany; sad, który własnymi rękami założył; pasieka, którą Jan umiejętnie prowadził i powiększył; dorodny i szanujący go chłopak; łagodna i gospodarna dziewczyna; dobrze przez oboje prowadzone gospodarstwo; zresztą, słońce jasne, kwiaty pachnące, jaskółki gnieżdżące się pod okapem, cichość i spokojność panujące w zagrodzie, w tej samej zagrodzie, w której żyli dziady i przeddziady[268] jego, a on sam urodził się, wyrósł i postarzał, więc nie tylko każdy kącik i każde drzewko, ale każdą jej trawkę i prawie każde ziarnko piasku znał, prawie w przyjaźni i poufałości z nimi żyjąc.

— Te wiatry okrutne, które mnie drogę życia zabiegły, przeszumiały, przeleciały i daleko już znajdują się ode mnie. Więcej ja teraz dobrych godzin przepędzam niżeli złych i o to już tylko ubijam się przed Bogiem, aby Jankowi szczęśliwą dolę zesłał. Nic też nigdy przeciw jego sercu i żądaniu nie uczynię, a choćbym sam kiedy cokolwiek inszego myślał i żądał, jego myślom i żądaniom w poprzek nie stanę, owszem, dopomóc w nich postaram się z całej swojej siły i możności. Nie wróg ja jemu, aby mu w czym przeszkody stawić lub go do czego przymuszać, ale przyrodzony zastępca ojca i jak ociec niczego oprócz tylko jego dobra i szczęścia nie żądający…

Jan szerokim krokiem przeszedł izbę, pochylił się i stryja w rękę pocałował. Potem wstrząśnieniem głowy odrzucił z czoła opadłą na nie gęstwinę jasnych włosów.

— Bardzo już państwo zasmęcili się oboje; stryjowi to niezdrowo, a u panny Justyny nawet i łezki w oczach widzę. Co tam tak długo rozwodzić się nad starymi czasami!

Słów tych jeszcze nie domówił, gdy pod oknami dał się słyszeć szelest kroków i słowa dość donośnym, ale dygocącym głosem wymawiane:

— Ho, ho! Znajdę ja go! Znajdę bałamutnika[269] tego, zwodziciela, złoczyńcę! Znajdę i ubiję!… Tak mi Boże dopomóż, że jak psa ubiję!

Drzwi świetlicy otworzyły się szeroko i naprzód wszedł przez nie trzęsący się staruszek, z kijem w ręku, z twarzą, która ceglaną różowością odbijała od śnieżnej białości włosów i kapoty. Trochę tylko za nim, ramieniem go podtrzymując, ukazała się wysoka, barczysta dziewczyna, dość szczególnie wyglądająca. Na pierwszy rzut oka trudno byłoby poznać w niej tę Jadwiśkę Domuntównę, która, bosa i rozczochrana, w ogromnym fartuchu niosła przez pole zielsko dla krów, a w porze żniw żęła aż do skąpania się w strugach potu i snopy do gumna[270] zwożąc, z męską siłą i zręcznością kierowała parą koni. Teraz miała ona na sobie suknię z wełnianej materii tak jaskrawo szafirowej, że patrząc na nią oczy aż mrużyć się musiały, z obcisłym stanikiem i bardzo długim ogonem, który ciągnął się za nią w miękkich, niezgrabnych, od rosy i pyłu zabłoconych zwojach. Na głowie jej piętrzyła się koafiura[271] od sukni jeszcze niezwyklejsza, wysoka, kołysząca się, pomadą nasiąkła, jaskrawymi wstążkami i błyszczącymi szpilkami upstrzona. Błyszcząca, bardzo licha[272] brosza

ozdabiała jej stanik, liche także, ale błyszczące kolczyki i bransolety kołysały się u jej uszu i brzęczały u rąk wielkich i czerwonych. Potężna jej kibić, która śród pola, w stroju pracownicy wiejskiej, przypominała poetyczną i w sile swej dobroczynną Cererę, która na drabiniastym wozie ciągniętym przez rześkie konie do pamięci przywoływała klasyczne atletki, w tym stroju zbyt ciasnym i zbyt długim wydawała się spętana i niezgrabna; twarz jej, pięknie szafirowymi oczami i kasztanowatymi brwiami przyozdobiona, wśród jaskrawych barw i błyskotek uderzała grubością rysów i burakową czerwonością cery.

— Dobry wieczór… — zaczęła w progu, ale gdy spojrzenie jej upadło na stojącą obok Jana Justynę, zdawać się mogło, że nagle oniemiała.

Stary Jakub za to, uwolniwszy się od ramienia wnuczki, dygocącym krokiem ku gospodarzowi chaty postępował srożąc się coraz bardziej.

— Gdzie Pacenko? Niech mnie pan Szymon zaraz powie, gdzie tego krzywdziciela i naigrawcę mojego ukrył… a jeżeli nie powie, to jak mi Bóg miły, chatę zrewiduję i sam znajdę… a jak znajdę, to pomstę na nim wywrę za to, że mi kobietę na całe życie nieszczęśliwą uczynił, a mnie w *gańbie* pogrążył…

— Znowu dziadunia Pacenką nastraszyli? — na Jadwigę patrząc zapytał Anzelm.

— A jakże! — odzyskując mowę zawołała. — Taki był dziś spokojny, grzeczny, rozumny, jak już lepiej i nie potrzeba. Zjadł na kolację kwaśnego mleka i mówi: „Jadwiśka, pójdziem sobie którego sąsiada nawiedzić”. „Może pana Szymona?” — zapytuję, bo już wiem, że gdyby powiedzieć: pana Anzelma, zaraz obruszyłby się i powiedział: „Ja do błaznów nie chodzę”. On zawsze myśli, że pan Anzelm młodym kawalerem jest, a gospodarzem w chacie nieboszczyk pan Szymon. Poszedł i pięknie, grzecznie szedł sobie, nawet siłę dobrą mając, bo tylko troszkę opierał się na kiju; aż tu jak wyskoczą chłopcy zza płotu, jak krzykną mu w same ucho: „Pacenko przyjechał i znów babulkę zabierze!” Aż zatrząsł się cały, i żeby nie ja, na ziemię padłby… i już teraz nijak jego nie wstrzymać ani wyperswadować… drze się naprzód, że i zawrócić go do chaty nie zdołałam…

Stary tymczasem kijem wywijając i groźnie pokrzykując, z kąta do kąta dreptał, we wszystkie pilnie zaglądając, ciemną bokówkę nawet obejrzał i do świetlicy wróciwszy, pod wielką kanapą kijem czas jakiś wodził, aż do pieca przydreptał i chciał zajrzeć w znajdujące się pod nim małe sklepienia. Ale usiłując pochylić się do samej ziemi, równowagę stracił i całym ciężarem swego wyschłego, lecz kościstego ciała na podłogę runął. Najbliżej upadającego znajdująca się Justyna najprędzej znalazła się przy nim i pochylona, już zręcznym ruchem głowę jego podnosiła, gdy rubasznym i wyraźnie rozgniewanym ramieniem odtrąconą się uczuła.

— Za pozwoleniem, proszę dziadunia mego nie ruszać… już ja sama dam rady… już co się tyczy dziadunia, to on pewno do mnie należy… —

prędko i plączącym się ze wzruszenia językiem zagadała Domuntówna.

Jednocześnie z ostrożnością, lecz i niepospolitą siłą dziadka z ziemi podniosła, popędliwym gestem usuwając Jana, który jej chciał przyjść z pomocą.

— Niech pan Jakub uspokoi się — przemówił Anzelm — Pacenki nie ma; ani tu, ani nigdzie nie ma, bo on już dawno z tym światem rozstał się.

— Nie ma? — na kiju wspierając się i jeszcze cały drżący zapytał starzec — czy doprawdy nie ma? czy słowo honoru?

— Słowo honoru! — uroczyście przemówił Anzelm. — Ot, niechaj pan Jakub spokojnie sobie usiędzie i grzecznie z nami pogada…

W tej samej chwili Jan do Justyny szeptał:

— Nadmiar bym chciał, żeby on przy pani opowiedział jedną historię o dwunastym roku… która zdarzyła się z jego bratem, kiedy tu Francuzi byli… On dużo ciekawych historii pamięta…

Anzelm szept synowca może usłyszał, może też wiedział, czym najłatwiej starca zupełnie już uspokoić można, bo posuwając ku niemu krzesło przemówił:

— Proszę usieść, bardzo proszę. Ciekawość mnie bierze, czy też pan Jakub pamięta jeszcze tę historię, co bratu Franciszku wydarzyła się w dwunastym roku… czy może już o niej i zapomniał!

Na pomarszczoną, ceglastoróżową twarz starca spłynęła taka sama łuna odradzającej się i rozczulonej pamięci, jak wtedy, kiedy mu Anzelm wspomniał o grobowcu Jana i Cecylii. Zdawać by się nawet mogło, że nogi jego nabrały nagle większej mocy i skrzepiło się całe ciało, bo nie zważając na podawane sobie krzesło wyprostował się, obie ręce na kiju wsparł, czoło podniósł, ku sufitowi spojrzał.

— A jakże — zaczął — a jakże! Pamiętam… ho, ho! Jakby to wczoraj zdarzyło się… Najstarszy był… pięciu nas było… ja najmłodszy, a Franuś najstarszy… może mnie dziesięć lat było, a jemu dwadzieścia, kiedy go pan Dominik Korczyński, pana Stanisława, teraźniejszego dziedzica Korczyna ociec, do legionów zwerbował… przy Napoleonie obydwa wojować poszli… Z pana Dominika dobry był kamrat[273]… dobry… ja o tym wiem… bo prawie we trzydzieści lat potem i sam z nim na wojnę chodziłem… Nad Franusiem naszym, starszym będąc, opiekę rozciągał, i przez listy my o jego powodzeniach i promocjach wiedzieli… Aż tu dwunasty rok przyszedł… Francuzi idą! Ociec mówi: „Pewno i Franuś nasz z nimi idzie”. A matka głową kiwa i odpowiada: „Pewno idzie! Może i do nas zajdzie! Może my jego jeszcze raz przed śmiercią obaczymy!…” „Może i obaczymy” — mówi ociec… Czekali jego, spodziewali się… Matka najmniejszym czasem w pole, na drogę wychodziła, a my, młodsze bracia, tylko co oczu nie powyślepiali, brata oficera wyglądając.

Gdy stary to mówił, Jadwiga nie spuszczała z Justyny oczu, które coraz więcej zapalały się i roziskrzały. Nie dosłyszała tego, co Jan do niej przed chwilą szepnął, ale spostrzegła dobrze, że kiedy się nachylił ku niej, na

ustach miał taki uśmiech, jakiego ona nie widziała u niego nigdy, a ciągle patrzał na jej rozpuszczone włosy; zdawać się mogło, że po prostu oczu od nich oderwać nie mógł. Justyna zaś słuchała go ze wzniesionym ku niemu wzrokiem, z którego biły promienie cichej, jakby nieśmiałej radości. Z trochę jeszcze dygocącym, ale coraz wzmagającym się i czystszym głosem opowiadającego starca złączył się gruby szept jego wnuczki. Zdawać się mogło, iż szeptem mówiła dlatego, że trudno jej było wydobyć głosu ze wzburzonej piersi lub też że sama lękała się tego, co mówiła.

— Aaaa! — nie spuszczając wzroku z Justyny zadziwiła się — czy to teraz taka moda przyszła, żeby rozpuszczone włosy nosić?… Aaaa! rychło może i taka nadejdzie, żeby panny i gołe albo w jednych koszulach chodziły!

Justyna w opowiadanie starca wsłuchana, może złośliwych słów dziewczyny nie słyszała, a może też udawała, że ich nie słyszy… Jan na mówiącą gniewne spojrzenie rzucił, ale przygryzłszy wargę i ramiona u piersi krzyżując, milcząc plecami ku niej się zwrócił. Starzec prawił dalej:

— Tak my w zaciszku naszym siedząc, wędrownika z dalekich stron po drogach wypatrywali, aż zima naszła, taka okrutna, jakiej nigdy za ludzkiej pamięci nie bywało. Ludzi ledwie kiedy z chaty wychodzących zamrozie po rękach i nogach opadały, a podczas z wielkiego chłodu prawie tchu odwieść nie było można. Śnieg też często sypiąc płoty zasypywał i góry albo, zdaje się, kościoły na polu wystawiał. Jednego razu, samym rankiem, zawołał nas ociec, żeby my czegoś szli za nim w pole… już i nie pamiętam czego… Przez całą noc zawierucha była taka, że o dwa kroki domu albo drzewa byś nie rozpoznał. Śniegu moc nasypało. Idziem my w kożuchach przez ogród w śniegu brnąc, aż na końcu ogrodu ukazuje się nam cościś czarnego, stojącego… ni to goły pień z nagła wyrosły tam, gdzie go wprzód nie było, ni to drzewniana figura, do płotu plecami przyparta. „A co tam takiego stoi?” — mówi ociec. „Nie wiemy” — odpowiadamy. A matka za nami idąca, nie wiadomo na co, ot tak, przez to chyba, że już ją ciągiem niespokojność jakaściś w pole i na drogi parła, powiada: „Może to, nie daj Boże, człowiek zmarznięty!” Wszyscy my poszli prędzej, tak że matka nie zdążywszy iść razem z nami, w tyle ostała. Przyszli my w te miejsce, pojrzeli i tylko co ze strachu na ziemię nie popadali. „Toż to człowiek!” — krzyknął do nas ociec. A ja, choć najmłodszy, ale najśmielszy, przyskoczył i z bliskości na tego człowieka popatrzywszy takoż krzyknął: „Oficer, tatku, oficer!” Mundur na sobie ten zmarznięty człowiek miał cały w dziurach, a czy obuty był, tego i widzieć nie można było, bo śniegu nasypało się jemu aż po kolana i od kolan dopiero wyrastał on z tego śniegu, zupełnie jak drzewniany, plecami do płotu przyparty, żółty na twarzy gdyby wosk i tylko długie wąsy blond na brodę mu spadały, a oczy były jak w głowę wstawione szyby. Jedną rękę miał opuszczoną, a drugą bułkę w ściśniętej garści przy gębie trzymał. Od razu już my domyślili się, że uchrony od zamieci i chłodu szukając, po polu wędrował, nigdzie nie trafił, bułkę, co ją pewno w kieszeni miał, z głodu

gryźć począł, i tak go śmierć od mrozu pod samym płotem naszej chaty schwyciła. Stoim my, patrzym, dziwujem się, ociec żegnać się świętym krzyżem począł, aż tu i matka nadchodzi. W śniegu brnęła, ale szła; cościś ją do tego miejsca parło… Przyszła, spojrzała, rękami klasnęła i okropnym głosem wykrzyknąwszy: „Jezus, Maria! Toż to Franuś!" na śnieg padła… Podtenczas[274] i my wszyscy rozpoznali, kim ten zmarznięty oficer był…

Prawie jednocześnie, gdy stary słów tych domawiał, na uboczu nieco stojąca dziewczyna głośniej już jak wprzódy i z większym rozjątrzeniem zaszeptała:

— Wielka rzecz! Każden, żeby tak włosy swoje rozpuścił, pokazałby, że ich niemało ma… ale nam, prostym dziewczętom, wstydno byłoby tak chodzić!… Oj, oj, włosów dużo, aby rozumu tyle!

Jan prędko teraz ku niej przystąpił.

— Niech panna Jadwiga żadnych przytyków nikomu w chacie naszej nie robi, ja pannę Jadwigę pięknie o to proszę — cicho, ale z czołem poprzeczną zmarszczką przerzniętym zaszeptał.

— To i co, że pan Jan mnie prosi? — z iskrzącymi się oczami odszepnęła. — Może kiedyściś prośba pana Jana i miała dla mnie walor jaki… ale teraz to już widzę, że trzeba mnie zawczasu na ubocz schodzić, aby, broń Boże, pan Jan, z wielkimi paniami przestawając, mnie za swoją poddankę nie poczytał…

Posrebrzane, pozłacane i paciorkowe bransolety dzwoniły u jej czerwonych rąk, które gwałtownymi ruchami splatała i rozplatała; we wzburzonym jej głosie zadrżały i na kasztanowatych rzęsach zawisły łzy.

— Dla jakiej przyczyny panna Jadwiga tak złości się i alteruje[275]? A czy panna Jadwiga wie, że złość piękności szkodzi? — z trochą szyderstwa sprzeciwiał się Jan.

Stary Jakub z wyrazem grozy na podniesionym czole, ze wzniesionym w górę żółtym jak wosk palcem mówił jeszcze:

— Takim sposobem on do swego rodzinnego zaciszka powrócił i jak wartownik nieporuszony u wrót rodzicielskich stanął… Tak już jego, w drzewnianą figurę przemienionego, my wszyscy z ojcem na rękach swoich do chaty wnieśli a matka na tapczanie przy nim położywszy się jak wilczyca wyła…

Do rozgniewanej wilczycy podobną była dziewczyna, która w tej chwili starca ramieniem objęła i usiłując ku drzwiom go zawrócić mówiła:

— Chodźmy stąd, dziaduniu, no! Chodźmy! Dość my już tu pobyli i miłych słów nasłuchali się… Tutaj nasza kompania niepotrzebna… Na co nam w oczy leźć… gardzicielom, co wcale inszej przyjaźni i sławy żądają? Znajomych nam, chwała Bogu, nie zabraknie…

Policzki jej i nawet czoło zachodziły sinym prawie rumieńcem, z oczu sypały się iskry. Dziadka, który w chwilach przytomności posłuszny był jej jak dziecko, ku drzwiom uprowadzając, jeszcze mówiła:

— Jedno wschodzi, drugie zachodzi! Nas już tu nie potrzebują. Tu już

dobre przy lepszym staniało. To i chwała Bogu! Owszem! Aby tylko wszyscy na tym handlu dobrze wyszli, bo wiadoma rzecz, że kto wiele ściga, mało dogoni. Dobranoc państwu! Zdrowia i dobrego weselenia się życzymy!

I gniew nieposkromiony, i ambitna obraza, i łkania z całej siły tłumione odzywały się w jej głosie. Dziadka do sieni wysunęła, flakowaty i zabłocony ogon sukni dla łatwiejszego przejścia przez próg w garść zebrała i z głośnym stukiem drzwi za sobą i dziadkiem zamknęła.

Po wyjściu tych dwojga ludzi pozostali przez parę minut nie mówili nic. Jan pierwszy śmiechem parsknął.

— Ot, języczna! — zawołał. — No, ależ zła! Ja i nie spodziewał się nawet, żeby aż taka była! Może komu taka szparkość i języczność upodobać się może, ale już mnie to — bynajmniej!

Anzelm nie zapytywał o nic i żadnej uwagi synowcowi nie uczynił. Widać było jednak, że zmarkotniał, nad czymś zastanawiał się i czegoś żałował. Ale Jan po wybuchnięciu śmiechem trochę zmieszany do ciemnej bokówki wyszedł, a wkrótce raźnie już do świetlicy wracając zawołał:

— Może panna Justyna chce z bliska popatrzeć, jaka zaraz na Niemnie śliczna iluminacja będzie?

— Jacicę[276] łapią? — zapytał Anzelm.

— A jakże! Tylko co z ogniami wypływać zaczęli…

— Już mnie i do domu pora! — wstając rzekła Justyna.

— Ja panią odprowadzę, bo na dworze zupełnie ciemno…

— Pójdę z państwem i ja — powoli wymówił Anzelm; powoli z zydla wstał i Antolce, która z dzbankiem pełnym mleka do świetlicy weszła, powiedział, aby mu czapkę z bokówki przyniosła.

— Stryjka spacer po nocy sfatyguje[277] — zauważył Jan.

— Nie bój się. Choć i po nocy, kiedy zechcę, jeszcze prędzej od ciebie iść potrafię — zażartował Anzelm.

W świetlicy zrobiło się trochę ruchu. Za Antolką wszedł Michał w kanarkowym ubraniu swym, uświetnionym jeszcze z powodu niedzieli szafirowym, w kształcie motyla związanym krawatem. Nie dokazywał jak wczoraj, ale owszem, z powagą ukłonił się i wszystkim: „Dobry wieczór państwu!” powiedziawszy, z jedną ręką u zaostrzonego wąsika, a drugą na kłębie złożoną w kącie izby stanął i ciekawie na Justynę patrzał.

Antolka z dzbanka do szklanki ciepłe jeszcze mleko nalewała.

— Może Justynka świeżego mleka wypije? proszę, bardzo proszę! — zapraszała.

Anzelm swoją wielką baranią czapkę na głowę kładnąc, powolnym szeptem do synowca mówił:

— Czy sfatyguję się, czy nie, a żeby panna z twojej przyczyny na ludzkie języki padła, nie przystanę. Już niedobrze, że na Mogiłę popłynąć nie mogłem, a nocne spacery we dwoje odbywać i jej za dobroć złością płacić nijak nie wypada…

Jan objął go nagle, okręcił się z nim w kółko i z głośnym śmiechem w

oba policzki go pocałował.

— Każdy młody głupi! — otulając się kapotą i trochę na synowca rozgniewany sarknął Anzelm.

Wieczór był ciemny, bo strzępiaste, wieloramienne, do rozwiewających się dymów podobne obłoki tu i ówdzie zasłaniały niebo i gwiazdy.

— Jeżeli pani chce dobrze widzieć, to trzeba aż pod topolę zejść — ozwał się Jan.

Justyna prędko zbiegła; Jan stryjowi zstępować z góry pomagał.

Spod topoli widać było długi szlak Niemna, z jednej strony, naprzeciw Korczyńskiego dworu, za wysoki brzeg skręcający, z drugiej niknący w przestrzeni za dalekimi piaskami. Justyna czwarty już raz dnia tego widziała go w coraz innej postaci. Naprzód ciężkimi chmurami podszyty, a z powierzchnią wybuchającą promienistymi ogniskami świateł i skrzydłami jaskółek muskaną; potem wzburzony, ponury, wzdęte fale i białe piany toczący, z wlokącymi się w deszczowej zawiei żółtymi płytami i chyżo mknącym stadem czarnych czółen; potem jeszcze, po burzy, najczystszym błękitem i złotem płynący, w złote dymy ubrany, z poważnym nad sobą chórem śnieżnych wron morskich i płochliwą gromadką atłasowych rybitw; teraz, pozornie nieruchomy, słał się on w dole wstęgą na dwie podłużne połowy przeciętą: głęboko czarną pod długim cieniem boru, a z drugiej strony ciemnostalową. W tym pasie roztopionej stali nie błyskały odbicia gwiazd dymnymi, strzępiastymi obłokami przysłanianych, w zamian ślizgały się po nim blade połyski i wypływać nań poczęły czerwone, jaskrawe, z daleka kształt okrągły mające ognie. Spod stóp wysokiej góry wysuwały się one na punktach różnych, aż z rzadka uszykowanym szeregiem rzekę usiały. Gdy płynąć zaczęły, rozpoznać można było, że były to płomienie rozniecone na drobnych czółnach i przez siedzących przy nich ludzi wciąż podsycane. Było ich ze dwadzieścia. W głębokim dole, po nieruchomej z pozoru rzece płynęły bardzo powoli, powoli też ich odbicia kołysały się w ciemnej toni, a w blasku ich zaczerwienione profile ludzkich postaci i twarzy z wypukłością rzeźby i zarazem widmową tajemniczością odrzynały się od ciemnego tła przestrzeni. Lecz najdziwniejszym i prawie fantastycznie wyglądającym zjawiskiem była jakaś mgła gęsta, która niepojętym mnóstwem drobnych, jakby śniegowych płatków osypywała czółna i siedzących w nich ludzi, często blask ogni kulami niby białej pary przyćmiewając. W powietrzu jej nie było, nie było też na przestrzeniach rozdzielających czółna; nie wiedzieć skąd się brała. Jednak wkrótce widoczne się stawało, że składały ją niezliczone roje śnieżnych, malutkich motyli, które na skrzydłach z krepy jakby utkanych wylatywały z wody. Może było ich tyle, ile ziaren piasku na dnie Niemna, w którego głębiach zrodzone opuszczały swój żywioł rodzinny, z żądzą niepowściągnioną i nieścignioną chyżością w blask i upał płomieni wpadając. Podstępni rybacy z żywymi ruchami ramion cicho, szybko zgarniali do worów tę skrzydlatą zamieć, która ich głowy, odzież, czółna okrywała białością śniegu.

Cicho, bardzo powoli, bez najlżejszego odgłosu, który by trwożliwe stworzenia wodne spłoszyć mógł i odstręczyć, nawet bez plusku wioseł, czerwone ognie i siedzące przy nich zaczerwienione profile ludzkie płynęły z dala od siebie w ciemnej przestrzeni po ciemnym szlaku rzeki, aż całą jego widzialną długość zajęły. Cicho było wszędzie: pod niebem, w powietrzu, na ziemi i na wodzie; tylko w górze, kędyś nad drzewami, wysoko wzbite i w ciemności niewidzialne, brzęczały roje nadniemeńskich muszek. Było to brzęczenie nieustanne, monotonne, metaliczne; zdawać się mogło, że wydawała je z siebie struna rozciągnięta i drżąca pomiędzy usianą płomienistymi punktami ciemną wstęgą rzeki a niebem, pod którym wisiały obłoki do rozwiewających się dymów lub do podartej krepy podobne.

Troje ludzi u połowy góry pod topolą stojących w jednym z czółen poznało Witolda. Pierwszy spostrzegł go Jan.

— Ot i pan Witold z Kaziukiem, Walentego synem, płynie! — zawołał.

Nie z Julkiem tym razem, ale z innym jakimś rybakiem Witold płynął istotnie, cały śnieżną mgłą jacicy osypany, w milczeniu i pilnie tę samą robotę co i towarzysze jego spełniając. Delikatny profil jego wyraziście zarysowywał się na tle ognia, naprzeciw grubszej, lecz także młodej i kształtnej twarzy towarzysza.

— Syn pana Korczyńskiego tutaj i siestrzenica jego z nami — z cicha rzekł Anzelm. — Nowina… no… wi… na…! Już i nie spodziewałem się nowin takich o… o… glądać! — cicho i mocno jąkając się dodał.

Niewiele przed północą Justyna bocznymi drzwiami do Korczyńskiego domu weszła i zaraz w garderobie, w której się znalazła, usłyszała bardzo wyraźnie z sypialni pani Emilii dochodzące głośne czytanie Teresy. Przez dwoje drzwi na wpół otwartych widać nawet było część pokoju w błękitne sprzęty ubranego i oświetlonego błękitnym światłem, w którym rozlegał się zbyt pieszczotliwy, ale przyjemnie brzmiący i biegle po francusku czytający głos kobiecy.

— „Znalazłszy się przed królem zrobiłam dyg aż do ziemi głęboki i długo nie śmiałam spojrzeć na tyle uwielbiane oblicze wielkiego Ludwika[278]. Kiedy na koniec wzrok podniosłam, zobaczyłam przed sobą wszystkie wielkości i chwały Francji otaczające monarchę, tak jak gwiazdy otaczają słońce. Był tam wielki Kondeusz, książę de Luynes, książę Montmorency, książę Saint-Simon, książęta Broglie'owie, hrabia de la Rochefoucauld, margrabia Créquy[279] i inni, i inni, a wszyscy oczy swe mieli utkwione we mnie i we wszystkich tych oczach wyraźnie wyczytałam podziw i uwielbienie, którymi ich piękność moja przejmowała. To potwierdzenie świadectwa, które tyle już razy wydawało mi moje zwierciadło, ośmieliło mię do ogarnięcia spojrzeniem twarzy królewskiej, a jakimże był mój zachwyt, gdy i jej także uśmiech, uśmiech króla—słońca, powiedział mi, że na niebie jego dworu wkrótce gwiazdą pierwszej wielkości zaświecę. Doświadczałam uczuć boskich; myślałam, że wstępuję

do raju wielkości, blasku, elegancji i rozkoszy...”

— Moja Tereniu — przerwał czytanie drugi głos kobiecy, słaby, łagodny, tęskny — czy możesz sobie przedstawić podobnie piękną, podobnie promienną egzystencję, jak tej margrabiny!...

— Ach! Takiego życia nawet wyobrazić sobie niepodobna! — westchnęła Teresa.

— Być gwiazdą pierwszej wielkości na dworze wielkiego króla... bawić się, jaśnieć...

— Być kochaną... — przerwała Teresa.

— O, tak! i przez kogóż? Przez takiego margrabiego de Créquy!... Jakąż musiała być miłość tych wykwintnych, pięknych, poetycznych ludzi!

— Ach! Takiego szczęścia wyobrazić sobie nawet niepodobna!

— W takich warunkach ja także byłabym zdrowa, wesoła, zadowolona, mogłabym tańczyć, nie tylko chodzić, pełną piersią oddychać, słowem, żyć! Prawda, Tereniu?

— O!

— Jakże nierówno pomiędzy ludźmi rozdzielone jest szczęście! — raz jeszcze westchnęła pani Emilia i zapewne łza spłynąć musiała po jej chudym i białym jak lilia policzku, bo słyszeć się dały perswazje Teresy:

— Niech tylko najdroższa pani nie denerwuje się, nie płacze, bo znowu atak być może... Moja najmilsza pani, proszę zapanować nad sobą i nerwy oszczędzać... może już kula dusi?...

Tego więc wieczoru pani Emilia i jej towarzyszka zamiast po rozłogach kuli ziemskiej podróżowały po przestrzeni czasu zatapiając się w czytaniu pamiętników jednej ze sławnych w wieku siedemnastym wielkich dam francuskiego dworu.

Justyna weszła do ciemnej sali jadalnej, w której głębi przez drzwi szeroko otwarte widać było gabinet pana domu, obficie dużą na biurku stojącą lampą oświetlony. Przy biurku siedział Benedykt Korczyński i w rozwartej przed nim rachunkowej księdze kreślił długie kolumny cyfr i notatek. W świetle lampy wysoka i gruba jego postać z długimi wąsami, ciemną twarzą i gęstymi, rozrzuconymi włosami uwypuklała się ciężko i ponuro. Było coś smutnego i bardzo poważnego w tym człowieku, samotnie o północy w głębi wielkiego, starego domu pracującym. Wydawał się tak w pracy swej pogrążony, że żadna myśl jej obca, żadna troska nie mająca związku z wychodzącymi mu spod pióra notatkami i cyframi dosięgnąć by go nie mogły. Jednak w sąsiedniej ciemnej sali odgłos stąpania usłyszawszy, żywym ruchem głowę znad księgi rachunkowej podniósł.

— Witold? — głośno zawołał.

Justyna w progu oświetlonego gabinetu stanęła.

— A! To ty! — wymówił takim tonem, jakby tylko co był się ucieszył, a teraz uczucia zawodu doświadczył.

Ręką po drgających od zmęczenia powiekach powiódł.

— Nie wiesz czasem, gdzie... Witold?

Powiedziała, że tylko co widziała go pływającego po Niemnie z rybakami, którzy jacicę łowią.

— A! — rzekł krótko i znowu pochylił się nad rachunkową księgą.

Justyna zbliżyła się ku niemu.

— Dobranoc, wuju — rzekła z cicha i dłużej, serdeczniej niż zwykle rękę jego ucałowała.

Po głowie jej kręciły się słowa:

„Nie krzyknął, nie zapłakał, tylko przed oknem stanął i w nocne ciemności patrząc takim głosem, jaki u konających bywa, kilka razy imienia boskiego wezwał!”

Całując go w rękę, w twarz mu patrzała. Boże! Ileż zmarszczek, ileż zmarszczek tę twarz okrywało! Tworzyły one grube fałdy i cienkie promienie na czole, na policzkach, dokoła wypukłych oczu z piwną, posępną źrenicą. Która z tych zmarszczek była mogiłą jego obu braci? W których pogrzebane leżą nadzieje i uniesienia jego młodości? Które wyrył czas przez dwadzieścia kilka lat długo, ciężko, ołowianymi kroplami na głowę mu ściekający?

— Dobranoc, dobranoc! — z roztargnieniem odpowiedział i szorstkimi wąsami czoła jej dotknął. O nic jej nie zapytał. Nigdy domowych nie zapytywał o nic, co się ich samych tyczyło. Wiecznie zajęty, zafrasowany[280], zamyślony, wydawał się na wszystko, co z gospodarstwem i interesami związku nie miało, obojętny, a zapewne taki był i istotnie. Jednak gdy odeszła, podniósł znowu głowę, odrzucił pióro i długi wąs gwałtownym ruchem w dół pociągnął. Coś w nim wrzało żalem, gniewem, niepokojem.

— Z rybakami po Niemnie pływa… błazen! — gniewnie i prawie głośno sarknął. — Nigdy go w domu nie ma… nigdy przy mnie… nigdy tak, jak dawniej… zły chłopak… bez serca… egoista!

Koniec wąsa do ust włożył, szklannym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i ze zdumieniem, cicho, kilka razy wymówił:

— Co mu się stało? Co mu… co mu… co mu się stało?

Nieopisana tęsknota poruszyła zmarszczki jego czoła, osłupiałe oczy wilgocią zaszły.

Wszedłszy na wschody do górnej części domu prowadzące Justyna uchyliła po cichu drzwi pokoju swego ojca. Rozlegające się w ciemności przeciągłe, głośne chrapanie oznajmiało o głębokim i spokojnym uśpieniu Orzelskiego. Otworzyła naprzeciw znajdujące się drzwi i znalazła się w pokoju swoim i Marty, lampką palącą się na stole oświetlonym.

— Aha! Jesteś! Przecież wróciłaś! O północy panienka ze spacerów wraca. Winszuję, ale nie zazdroszczę! Mnie lepiej w łóżku leżeć. Starość i młodość! Wieczna historia!

Słowami tymi powitał ją gruby i trochę ochrypły głos z kąta dość obszernego pokoju wychodzący. W kącie pokoju stało łóżko, na którym watową kołdrą owinięta i w całej długości swej wyciągnięta, z twarzą ku

sufitowi zwróconą leżała Marta. W półcieniu sztywne jej ciało podobne było do spowitej mumii; żółta twarz majaczyła śród bieli poduszek i oczy jak czarne paciorki błyszczały.

Justyna w milczeniu zbliżyła się do komody, nad którą wisiało przybite do ściany lusterko, i powoli suknię zdejmować i włosy splatać zaczęła. Marta mówiła ciągle:

— Skądże to bogi prowadzą? A miotły żadnej z sobą nie przyniosłaś? Widziałam ja dziś, widziałam, jak stroiłaś się w muślinową sukienkę i z pół godziny włoski sobie przed lusterkiem układałaś. Byłam pewna, że spodziewasz się wizyty bogatego konkurenta. Ot, biały kruk znalazł się, słowo honoru! Biedną dziewczynę, nie tak to wysoko edukowaną i nie tak to nadzwyczajnie piękną, wprost z rezydencji u krewnych za żonę chce wziąć i wielką panią zrobić! „No, no! — myślę sobie — nic dziwnego, że sama nie wie, jak do niego przyozdobić się i ustroić!” Aż tu wzięła, poszła sobie i na pół dnia zginęła. Gdzie ty ginęłaś? Czy znów tam?… I po co to? Wieczne głupstwo! A żeby Różyc przyjechał, ha? Dwom bogom nie można służyć… albo książę… no, nie książę, ale w porównaniu z tobą więcej niż książę… królewicz albo chłop. Po chłopskie miotły chodząc królewicza stracić możesz i lament będzie, i prędko zrobisz się do cholery podobna, jak ja, albo do synogarlicy, wiecznie szyję po cukier wyciągającej, jak Teresa! Wieczny śmiech, słowo honoru! Ha, ha, ha, ha! Uf, nie mogę…

Zaśmiała się, zakaszlała i zaraz znowu mówić zaczęła. Oprócz zwyczajnej żywości i popędliwości czuć było w jej mówieniu niezwykły niepokój. Nogami pod kołdrą czasem poruszała i oczy jej w półcieniu coraz silniej połyskiwały.

— Cóż tam słychać?… Ha? Co ty tam robisz? O czym rozmawiasz? Albożty umiesz z nimi rozmawiać? Oni tam nic o francuskich romansach ani o sonatach[281] i nokturnach nie słyszeli, a przy tym wyrazów takich śmiesznych używają… wszelako, smętek, przeddziady, złotny, siestra… pamiętam… pamiętam! Kiedyś tak byłam do ich mówienia przywykła, że i sama, bywało, omylę się czasem i powiem: przeddziad albo złotny, a potem aż palę się od wstydu. No, co tam! Pewno aż cię korci, tak chcesz dowiedzieć się, czy królewicz dziś przyjeżdżał. Bądź spokojna, nie przyjeżdżał. Kirłowa tylko zaraz po twoim wyjściu przyjechała; Emilka przysłała po mnie, abym ją przyjęła, bo sama spodziewała się migreny i już nawet ziewać zaczynała… W gruncie rzeczy, nie tyle z powodu migreny Kirłowej przyjąć nie chciała, ile dlatego, że leniła się rozmawiać. A Teresa znów mówiła, że jakąś bardzo ciekawą książkę dziś czytają. Wieczne głupstwo! Dość, że z Kirłową godzin ze dwie przesiedziałam, choć mnie aż z kanapy podnosiło, bo bułki dziś piekłam. Od pierwszego momentu o ciebie pytać się zaczęła: gdzie ty? Co robisz? Jak teraz wyglądasz? Czy poweselałaś? Potem delikatnie naprowadziła rozmowę na Zygmusia i po cichutku mnie zapytała: czy ty już w nim ani troszkę zakochana nie jesteś? Aż nareszcie i o kuzynku gadać zaczęła: jakie mu jeszcze majątki i

bogactwa zostały, jaki on dobry, jaki nieszczęśliwy! Zapytałam się: dlaczego taki nieszczęśliwy? „Ot, mówi, żałuje, że młodość, zdrowie i tyle majątku zmarnował, a przy tym…” i cościś mnie takiego powiedziała, że nie zrozumiałam… „Największe jego nieszczęście” — zaczęła i zaczerwieniwszy się, jak to ona czerwieni się zawsze, za język siebie ukąsiła. Mnie ciekawość wzięła. Dopytywać się zaczęłam: jakie to nieszczęście? Ze spuszczonymi oczami jak truśka[282] mruknęła: „Morfina!” I niczego już więcej o tym dopytać się u niej nie mogłam. O tym już tylko mówiła, że pragnęłaby bardzo, aby się ożenił i w Wołowszczyźnie stale osiadł, bo to jedno jeszcze mogłoby go ze wszystkich jego nieszczęść wyleczyć. Trzeba tylko, żeby ożenił się z kobietą dobrą, rozsądną, poważną i taką, która mu się bardzo podoba, Ta kobieta byłaby z nim szczęśliwa, bo dobry jest, rozumny, szlachetny i tyle tylko jego winy, że bogatym będąc za wiele sobie za młodu pozwolił. On sam już to zrozumiał i żenić się postanowił… Słyszysz, Justynko? Już postanowił, a ona, zdaje się, dlatego tylko dziś tu przyjechała, aby wyrozumieć, co ty o tym myślisz i jak postanowisz… Na swachę[283] wykierowała się, ale nic w tym dziwnego nie ma: kuzynka chce od baletnic, bankructwa i jakiejś tam morfiny wyratować, a on podobno dobry dla niej i trochę jej nawet świadczy… Widzisz, co ja tobie naopowiadałam! Może zła koleżanka ze mnie? Teraz możesz spokojnie położyć się i o panowaniu marzyć. Nie rozumiem tylko, słowo honoru, dlaczego dziś w domu nie siedziałaś i na królewicza nie czekałaś? Papcio cały dzień sam grał, a nad wieczór zachciało mu się z akompaniamentem pograć… Jakiegoś nowego nokturna czy diabła nauczył się i ciebie nauczyć chciał… Po całym domu córeczki szukał, a córeczka jak w wodę wpadła. Gdzie ty przepadałaś? Pewno sama jedna jak mara nie włóczysz się po polach i lasach! Nim królewicza do reszty złapiesz, pasterza sobie jakiegoś wynalazłaś. No, przemówże choć słowo! Czy oniemiałaś? Ja do niej gadam i gadam, wszystkie nowiny, które ją interesować mogą, opowiedziałam, od gadania aż ochrypłam, a ona nic powiedzieć mnie nie chce… skryta, harda… niedobra dziewczyna… słowo honoru, niedobra! Uf!

Łatwo odgadnąć było można, że pragnęła, aby ta, do której przemawiała tak długo, odpłaciła jej wzajemnym opowiedzeniem czegoś, co ją zajmowało, zaciekawiało gorąco, namiętnie. Namiętnym blaskiem gorzały teraz w półcieniu jej czarne oczy; ręce spod kołdry wydobyła i czyniła nimi niespokojne, prawie gwałtowne ruchy. W głosie, jakim ostatnie wyrazy swe wymówiła, brzmiał żal do towarzyszki uczuwany.

— Skryta, harda, niedobra! — powtórzyła.

Zakaszlała, umilkła i z oczami w sufit wlepionymi. nieruchomo znowu leżała.

Justyna z warkoczem już splecionym i z tyłu głowy zwiniętym, w białym, luźnym kaftanie, bosa, do łóżka jej podeszła i przy nim uklękła. Rękę jej dużą, kościstą w swoje ręce biorąc, blisko ku niej schylona, cicho zapytała:

— Ciotko, dlaczego ty żoną jego zostać nie chciałaś?

— A? Co? — wzdrygnęła się stara panna i całym swym ciężkim ciałem ku pytającej się zwróciła.

— Co? Dlaczego ja… jego żoną… — głośnym i trochę świszczącym szeptem mówić zaczęła. — Jego?… Czyją? Czy ty go naprawdę widujesz… znasz? Czy to on sam tobie mówił… o mnie mówił… wspominał?… Naprawdę wspominał?

— Wspominał, mówił, wiele przecierpiał, i teraz jeszcze nie stał się zupełnie taki jak wszyscy…

— Przecierpiał! A jaż nie przecierpiałam? Niezupełnie taki jak wszyscy?… a jaż taka? Wieczny smutek… wieczny smutek… wiecz-ny smutek!…

Wielkie, ciężkie, długie westchnienie szeroką jej pierś podniosło; ozwała się w nim chrypka do jękliwego szmeru podobna.

— Dlaczegóż? Dlaczegóż więc? Dlaczego? — rękę jej coraz mocniej w dłoniach cisnąc z gorączkowym prawie pośpiechem zapytywała Justyna.

Rozgorzałe oczy Marty tkwiły w jej twarzy, jakby przeszyć ją chciały i dostać się aż do mózgu, aż do najskrytszych myśli.

— Nie powiedział przyczyn? Wszystko powiedział, a przyczyn nie powiedział? A?

— Nie powiedział.

Długo milczała, potem spokojniej nieco niż wprzódy, od klęczącej przy niej dziewczyny wzrok odwracając, mówić zaczęła:

— A ty chcesz wiedzieć? Chcesz? Przez ciekawość? Zawsze to rzecz ciekawa, dlaczego panna kawalerowi, choćby takiemu, harbuza dała[284]. Pewno myślisz, że o czymś ciekawym posłyszysz? Jakaś osobliwa historia… przymus… przeszkody… awantury… tragedie! Otóż mylisz się. Niczego osobliwego, romansowego, jak na teatrze odegranego nie było. Była to sobie rzecz ordynarna[285], prozaiczna, taka, co wszędzie rośnie, i tam nawet, gdzie jej nie posieją. Było to wieczne głupstwo… moje własne głupstwo… widzisz, jak prozaicznie…

Zaśmiała się.

— Przyczyny… — powtórzyła. — Przyczyny… przyczyny… Dwie ich były: raz, że królewna okrutnie bała się ludzkiego śmiechu; po wtóre, że bardzo też zlękła się ciężkiej pracy. Ot, i wszystko. Zabraniać nie zabraniali, bo nikt też i prawa do tego nie miał. Sierotą byłam i dwadzieścia kilka lat miałam. Ale wyśmiewali, żartowali, kpili! Dopóki na świecie gotowało się jak w garnku i ludzie z pozapalanymi na karkach głowami chodzili, dopóty o równości mowa była; obejmowali się, ściskali, bratali, pan chłopa w karecie swojej woził i pięknie prosił: „Kochaj ty mnie choć troszkę i nazywaj po imieniu, Wasylku! Czy tam Jurasiu albo Anzelmku!” Ale kiedy pożar zgasł, na zgliszczach znowu pokazały się góry i doliny jak dawniej, jak dawniej… góry i doliny! „A ty, Wasylku albo Anzelmku, nie waż się z doliny na góry wchodzić! A ty, królewno, jeżeli z góry na dolinę zstąpisz, to

my cię ani bić, ani prześladować nie będziem, bo za rozumni jesteśmy na to i za delikatni, ale wyśmiejem cię, tak wyśmiejem, że aż kolki nas w bokach zeprą!” Ot, jak było! Nie przeszkadzali, nie prześladowali, tylko wyśmiewali. „Ot, ślicznego konkurenta Marteczka sobie zdobyła!” Darzeccy wyśmiewali, ten błazen Kirło kpił, nawet pani Andrzejowa uśmiechała się na samo wspomnienie, że ja bym mogła wyjść za takiego człowieka, co własnymi rękami orze. Ten błazen Kirło aż zalegał się od śmiechu: „Co to orze! Orać to jeszcze pięknie, poetycznie, ale on sam gnój na pole wywozi i pewno od tego bardzo śmierdzi!” I każdy, kto tylko o tym konkurencie posłyszał, aż kładł się od śmiechu. A ja, wiesz? Jak w ogniu paliłam się we wstydzie. Nocami, bywało, płaczę z tęsknoty za nim i z wyobrażenia, jaka bym z nim szczęśliwa była, jak bóbr płaczę; a w dzień przed krewnymi i znajomymi, słowo honoru! Zapieram się jego jak Piotr Chrystusa, i… wiesz? Wieczna podłość! sama, sama z takiego konkurenta śmieję się, więcej jeszcze niż oni. Czasem łzy gradem leją się mnie po twarzy, ale oni myślą, że to od śmiechu… Jeden Benedykt nie wyśmiewał, bo mu i nie do śmiechu wtedy było i może nie tak prędko, jak inni, zapomniał o tym, że brat tego, którego tak wyśmiewali, do jednej mogiły położył się z jego bratem. Ale on znów z innej beczki zaczynał. Perswadował: „Praca ciężka. Będziesz musiała sama pleć, żąć, krowy doić, gotować, prać…” Całą litanię wypowiadał tego wszystkiego, co ja robić będę musiała. „Nie wytrzymasz, zdrowie stracisz, zgrubiejesz, schłopiejesz!” To mnie i najwięcej odstręczyło, jeszcze więcej niż kpiny i wyśmiewania. W samej rzeczy, jakimże to sposobem, ja, królewna, miałabym pleć, żąć, krowy doić, prać?… Zamęczę się, pewno zamęczę się, nie wytrzymam przy tym i schłopieję! Skąd te moje królestwo pochodziło? Diabli chyba wiedzą, bo goła byłam jak bizun, w dziurawych trzewikach czasem chodziłam; edukację jakąś miałam, ale wcale pewno nieosobliwą[286], a pracowałam w Korczynie od najmłodszych lat, zawsze, i nie na żart, bo całym domem, folwarkiem, ogrodem zarządzałam, szyjąc przy tym odzienie dla siebie i dla innych, dla siebie te tylko, które w prezentach od krewnych dostawałam. Ale z obywatelskiej familii pochodziłam, krewni majątki mieli… Więc tedy i królewna… Naprawdę, takiej pracy, jaką bym tam miała, przelękłam się… „Co tam — myślę — zapomnę, odtęsknię się, odżałuję!” A Darzecka trzepała: „Zdarzy ci się pewno ktoś inny, stosowniejszy, ja ci sama wyswatam!” Nie zdarzył się, nie wyswatała, bo prędko zaczęła własne córki swatać, a czy ja odżałowałam i zapomniałam, o tym już tylko mnie i Panu Bogu wiadomo. Dość, że za chłopa nie wyszłam, nie żęłam, nie płełam i krów nie doiłam… bo co się tyczy gotowania i prania, to zdarzało się, zdarzało się… Korczyn z wielkiego zrobił się małym królestwem i wypadało w nim nieraz ręce przy robocie namozolić… Ale nie żęłam i nie płełam… a to wiele znaczy… dla tego wyrzec się wiele warto… dla tego tylko, aby nie żąć i nie pleć, żyć warto… już to za wszystko wynagradza: i za kochanie, i za dach własny, i za te dzieciaki, które by może pieszczotami życie słodziły,

i za to, że człowiek, zanim jeszcze postarzał, do cholery podobnym się zrobił, za wszystko wynagradza… za wszystko nagrodę sobie znajduję w tym, że nie żęłam, nie płełam i nie schłopiłam się… Toteż kontenta jestem, bardzo kontenta, i całe życie w wielkim ukontentowaniu przebyłam… A przy tym sława i honor mnie należy za to, że wyratowałam się od wstydu i poniżenia… sława i honor… wieczny honor… wieczny honor!

— Ciotko! ciotko! biedna, biedna ciotko! — rękę rozgorączkowanej i coraz spieszniej oddychającej kobiety w dłoniach swych tuląc szeptała Justyna.

Ale ona, zwracając ku niej swą żółtą twarz, na której policzki wybiły się dwie ogniste plamy rumieńców, prędkim, świszczącym szeptem pytać zaczęła:

— Cóż tam z nim? Jak on wygląda? Czy zupełnie wyzdrowiał? Czy z synowcem w zgodzie żyje?

Długo obie z twarzami ku sobie przybliżonymi szeptem z sobą rozmawiały.

— Dom nowy zbudował? Jakże tam we środku? Świetlica duża, czysto? Porządnie?

A gdy Justyna na wszystkie już pytania jej odpowiedziała, zapytywała znowu:

— Wspomina? Jak wspomina?

Czasem zamyślały się obie i chwilę milczały. Potem słychać było znowu szept pytający:

— Wspomina? Czy często wspomina?

Przyjaźnie, łagodnie, z cicha, klęcząca przy łóżku, kwitnąca młodością i siłą kobieta opowiadała drugiej — tej poranionej, zestarzałej, gorzkiej i gniewliwej — jak i kiedy o niej mówił, opowiadał, wspominał.

Po wklęsłych, zwiędłych ustach Marty przewijać się zaczął uśmiech, uspakajały się wzburzone jej rysy, powieki opadały na ukojone, przygasłe, cichą słodyczą omglone źrenice.

— Wspomina! — szepnęła raz jeszcze i uciszyła się zupełnie.

Nie usnęła, ale cicho i nieruchomo leżała, tylko w jej piersi, wzruszeniem i długim mówieniem wzmożona, grała, jęczała, szemrała chrypka.

— Ciotko — szepnęła Justyna — ty chora jesteś naprawdę i ciężko. Dlaczego leczyć się nie chcesz?

Podniosła powieki i znowu ze zwykłą swą porywczością i oburkliwością sarknęła:

— Po co? Na co? Czy nie możesz powiedzieć mi, po co i na co?

A potem dodała prędko:

— Któż ci to powiedział? Wymyśliłaś! I dzieci wymyślają, że ja chora. Zdrowszej ode mnie na świecie nie ma. Dajcie mi pokój z waszym leczeniem i z waszymi doktorami. Idź spać! Dobranoc!

Wymówiwszy to zamknęła znowu powieki i znowu powoli wyrazem

ukojenia i słodyczy oblekły się jej rysy.

Justyna wstała, chwilę jeszcze na nieruchomo leżącą kobietę patrzała, aż pochyliła się i długo, cicho pocałowała ją w usta. Potem odeszła, lampę zagasiła i u zamkniętego okna usiadłszy patrzała na błękitnawe świtanie, wśród którego drzewa, niby zaczarowane straże, stały w nieruchomości kamiennej, blade obłoki krepowym welonem zasłaniały niebo, a na Niemnie bladosrebrnym gdzieniegdzie pluskały ryby, w wielkie koła rozbijając zwierciadlaną powierzchnię wody lub wyrzucając nad nią krótkotrwałe, niskie fontanny. Wkrótce znad boru, we wschodniej stronie nieba, wychylił się różowy rąbek jutrzenki, po gałęziach drzew przebiegły szeleszczące dreszcze, ciszę zmąciło przeciągłe, donośne pianie koguta, które rozległo się blisko domu, potem powtórzyło się dalej i znowu dalej, coraz dalej, a zarazem słabiej. Jak czujni wartownicy na rozległej przestrzeni rozstawieni i kolejno sobie hasło podający, tak ptaki te wśród powszechnego uśpienia powtarzały jeden za drugim wschód dnia zwiastujące, tryumfalne krzyki. Justyna w coraz rozszerzającą się i gorętszą wstęgę jutrzenki wpatrzona, uchem łowiła kogucie piania, które teraz słabym odgłosem dochodziły z okolicy, z najbliższych zrazu jej domów, potem z dalszych, na koniec, zaledwie dosłyszalne, z bardzo daleka, może aż znad parowu Jana i Cecylii. Zamknęła oczy i głowę złożyła na wspartym o okno ramieniu, i marzyła czy śniła? Widziała przed sobą wyraźnie, żywo, prawie jaskrawo zagrodę, blaskiem jutrzenki zaróżowioną, operloną poranną rosą i stąpającego po niskiej trawie dziedzińca młodego, pięknego chłopca. Do stajni poszedł, wrota jej otworzył, wóz drabiniasty wyciągać z niej zaczął. Młodziutka, bosa dziewczynka z wiadrami na ramionach pod szeregiem starych lip przebiegała, ku rzece dążąc; stary człowiek w grubej kapocie, z promienistym snopem zmarszczek na wysokim czole, otwierał okno przeciwka i blade, cierpiące źrenice ku porannemu niebu podnosił. Lecz któż to jeszcze wyszedł na ganek domu i stoi pod jego gzymsem w grube floresy wyrzeźbionym? To ona sama… ona… w krótkiej, kraciastej spódnicy, z kosą spuszczoną na luźny kaftan, z twarzą szczęśliwą jak szczęście tego pięknego chłopca, który ku niej oczy zwrócił, z sierpem w ręku…

Marzyła czy śniła? Wydało się jej znowu, że zmrok panował na świecie, przezroczysty, ale bez dnia i słońca, a ona górą płynęła i szeroki widnokrąg obejmowała wzrokiem, tak szeroki, że widziała wyraźnie dwór korczyński i okolicę, i w gęstej zieleni ukryty grobowiec legendowej pary, i u drugiego końca widnokręgu smutną pustynię piasków, a za nią w zamkniętym kole wzgórzystości leśnych samotną, wielką mogiłę. Wszystko to pogrążone było w przezroczystym zmroku; a ona płynąc górą trzymała w ręku lampę… lampę tę samą, która wczorajszego wieczora na olchowej komodzie Anzelma płonęła. Widać stamtąd ją wzięła i teraz podnosiła wysoko, a promienie jej, skąpe wprawdzie, wąskie, padały jednak na dachy domostw, złote nicie rzucały na spajającą zagrody sieć płotów i ścieżek, dostawały się

z jednej strony aż na prastary grobowiec, z drugiej na opuszczoną mogiłę, oświetlając je i niby je wiążąc, łącząc jak ogniwa jednego łańcucha.

Marzyła czy śniła? Na włosach swych, na twarzy, na ustach uczuła ciepłe, długie pocałunki. Były to promienie słońca, które wytryskując zza różowego pasa jutrzenki rozdarły białą krepę obłoków i końce strzał swoich spuściły na drzewa, na trawę, na wodę, na rozszczebiotane nagle ptaki i — na nią. Lecz sen czy marzenie niosły jej te pocałunki nie od gwiazdy dnia może, ale od kogoś innego, innego… bo twarz jej spłonęła rumieńcem i upojony uśmiech roztworzył pąsowe usta.

Tom III

I

Wielką panią — jak nazywał ją Anzelm Bohatyrowicz — Andrzejowa Korczyńska nie była, ale gdy młodziutka, piękna i posażna przed trzydziestu kilku laty jednego z trzech braci Korczyńskich zaślubiała, powszechnie utrzymywano, że do małżeństwa tego tylko miłość skłaniać ją mogła. Starających się o jej serce, rękę i majątek było wielu; wybrała z nich najmniej bogatego i noszącego nazwisko najskromniejsze. Kochała, z ukochanym łączyła się w uczuciach i dążeniach, które młodość jego napełniły, a wkrótce przedwcześnie życie przecięły. Milionów mu w posagu nie wniosła, ale — majątek znacznie wartością przewyższający ten, który on posiadał, a stanowiący dziedzictwo piękne, do niej, jako do jedynaczki, wyłącznie należące. Osowce — podług ówczesnego rachunku — posiadały około stu chat, ziemi wiele, lasy piękne, dwór z pretensjonalną nieco wspaniałością zbudowany. Od razu poznać było można, że wzniósł go był przed kilkudziesięciu laty zamożny szlachcic, z panami w gonitwę wstępujący. Dom, na wiele mil dokoła pałacem nazywany, był po prostu dwupiętrową kamienicą z dwoma rzędami wielkich okien, czerwonym blaszanym dachem i szerokim, krytym podjazdem, którego arkady oplatała niezmierna gęstwina dzikiego bluszczu. Budowa ta, dość zimno i nago wyglądająca, miała przed sobą ogromny dziedziniec zdobny w klomby i trawniki, a tło jej stanowiły stare aleje i za nimi na znacznej przestrzeni rozciągnięty tak zwany ogród angielski[287], w którego głębokich gęstwinach błyskała sieć wąskich dróżek, bielały w różnych kierunkach rozstawione ławki i wdzięcznymi łukami wyginały się mostki nad wąską, bystrą, wiecznie szumiącą rzeczką zawieszone. Niemna tu nie było, ale rzeczka przebiegając ogród o wiorstę stąd do niego wpadała, i tam w wielkim trójkącie utworzonym przez jedno szerokie, a drugie wąskie koryto, na rozległej łące wznosiły się łańcuchy niewysokich, widocznie sztucznych wzgórz, którym miejscowa ludność dawała nazwę okopów szwedzkich. Podanie niosło, że niegdyś, przed dwoma wiekami, obozowały tu wielkie wojska i staczały się krwawe bitwy. Gdy aleje i zarośla ogrodu w jesieni liście swe traciły, łąkę, okopy i dwie łączące się rzeki, wielką i małą, w dalekiej perspektywie widać było z okien górnego piętra osowieckiego domu czy pałacu.

W tym domu czy w tym pałacu pani Andrzejowa urodziła się, wzrosła i spędziła całe życie, z wyjątkiem ośmiu lat, które jej u boku męża i w jego domu upłynęły. U początku tych lat wyjechała stąd oblubienicą młodą i

szczęściem promieniejącą, u końca ich wróciła wdową, w czarnych szatach, których już nigdy zdjąć nie miała. Nigdy nie była płocha, zalotna ani do zbytku wesoła; w pierwszej nawet młodości i najszczęśliwszych chwilach wyniosła jej postać zachowywała coś z ciszy i powagi znamionujących głębokość i powściągliwość uczuć, a w samym rozpromienieniu, z jakim od ślubnego ołtarza odchodziła, czuć było skupienie się, rozmyślanie, wewnętrzną modlitwę, zdradzające naturę do surowości względem siebie i może do mistycyzmu usposobioną. Ktokolwiek jednak znał ją w owej porze życia, pamiętał, że cera jej twarzy przypominała kwitnące róże, a układ i mowa, jakkolwiek poważniejsze i powściągliwsze, niż powszechnie u kobiet jej wieku i położenia bywało, posiadały wiele uprzejmości i wdzięku zdradzając zarazem zdolność do szlachetnych uniesień i zapałów. Wiedziano powszechnie, że dzieliła wszystkie przekonania i dążenia swego męża. Żona demokraty i patrioty, była mu ona powiernicą, pomocnicą, wspólniczką, a jeżeli w pracy jego zbliżania się do ludu i zawiązywania z nim poufałych węzłów dopomagać mu nie mogła, nie wynikało to z pychy, wzgardliwości albo z kastowych przesądów, ale z zupełnej niezdolności do chwilowego choćby rozstania się z wykwintnymi formami, do cierpliwego znoszenia zjawisk życia grubych i trywialnych. Nikt lepiej i łatwiej od Andrzeja nie umiał zbliżać się do serc prostych, nieoświeconych umysłów, nieokrzesanych postaci ludzkich, i nikt do tej czynności od jego żony mniej zdolnym nie był. On, zakochany w niej i wybornie ją rozumiejący, z łatwością i wesoło jej to pobłażał; ona zgryziona i upokorzona się czuła tym jedynym rozdźwiękiem, który w zupełnej skądinąd zgodzie ich panował. Chciała, usiłowała, pracowała nad sobą, walczyła z przyzwyczajeniami i najgłębszymi instynktami swymi — nie mogła. Wiele, wiele razy wchodziła była do niskich chat z sercem pełnym życzliwych uczuć, z ustami drżącymi od cisnących się na nie słów i zawsze stawała tam ze swą wspaniałą postawą i podniesioną głową, jak bogini, która w progi śmiertelnych wstąpić raczyła, z pozoru dumna i pogardliwa, w głębi rozpaczliwie zmieszana, co czynić i jak mówić niewiedząca, można, a wobec nie znanej sobie siły niedołężna, oświecona, a stającej przed nią zagadki nierozumiejąca, pełna najprzyjaźniejszych uczuć, a drżąca od wstrętu obudzanego w niej przez prozaiczność, prostaczość i chropowatość gruntu na który wstąpiła. Ilekroć przemówiła — nie rozumiano jej, gdy do niej mówiono — nie rozumiała. Ogół ją pociągał, szczegóły raziły i odstręczały. Z nieprzezwyciężoną odrazą spoglądała na brudne ciała, niezgrabną odzież, odymione ściany, zgrubiałe i wykrzywione kształty i rysy. W duszę tego wielkiego, zbiorowego zjawiska wierzyła i zrozumieć ją pragnęła, ale aby do jej powłoki końcem palca dotknąć, ciężko z sobą walczyć musiała. Machinalnie cofała się przed trochą rozsypanego na ziemi śmiecia, do choroby prawie dławiły ją zapachy obór i stajen. Zdolna do zrozumienia najwznioślejszych abstrakcji i do namiętnego przeniknięcia się nimi, jak dziecię zdziwione i przelęknione stawała wobec wszelkiej choć

trochę suchej i twardej realności życia. Wiedziała o tym, że z tych realności: z faktów, z cyfr, z poziomych prac, splata się drabina wiodąca ku ideałom; ideały kochała i rozumiała, ale żadnego szczebla prowadzącej ku nim drabiny własnymi rękami upleść nie mogła. Przeszkadzała jej w tym niezmierna estetycznosć i wykwintność przyzwyczajeń i smaku tudzież duma prawie bezwiedna, ale całą jej istotą rządząca — duma nie tyle wysoko urodzonej i bogatej kobiety, ile istoty czującej, że sercem, myślą, smakiem wzniosła się nad wszelką pospolitość, płochość i prozę, że zdolna była do wielkiej czystości i podniosłości życia. Za dumę tę, nie rodową, nie majątkową, lecz raczej z idealistycznego pojmowania życia pochodzącą, do której jednak mimo jej woli i wiedzy mieszało się coś z arystokratyzmu rodu i majątku — karciła siebie nieraz, wyrzucała ją sobie i ze względu na jedyny rozdział, który ona stawiła pomiędzy nią a ukochanym przez nią człowiekiem i przez głęboką religijność, która wszystkich na ziemi ludzi miłością i pobłażaniem ogarniać nakazywała. Jednak zniszczyć jej w sobie nie mogła — nie dlatego, aby była słaba i dla siebie pobłażliwa, ale może dlatego, że ta jej właściwość ściekła w nią razem z krwią wielu pokoleń, a utrwaliła się w atmosferze komfortu, poezji, wyniesienia się nad wszystkie powszednie sprawy i roboty życia, która napełniała jej dom rodzinny, otaczała ją ze wszech stron, gdy z dziecka wzrastała i dojrzewała. Potem, kiedy Andrzeja nie było już na ziemi, a krąg jej widzenia, stosunków, dążeń ogromnie zwęził się i zmalał, przyszła pod tym względem do zupełnej z samą sobą zgody. Powiedziała sobie, że jak ogień i woda, tak organizmy wyższe i niższe, istnienia poziome i wzniosłe pogodzić się z sobą nie mogą; że arystokracja ducha — polegająca na zamiłowaniu tego, co czyste i piękne, jest i być ma prawo, i że ona to może stanowi całą rację bytu ludzkości; że dla tego, co poniżej mozoli się, grzeszy i choćby z piękną duszą, ale w brzydkim ciele po świecie chodzi lub pełza litość i pobłażliwość mieć, w potrzebie pomoc nieść trzeba, ale spokoju swego, samotnych wzlotów ducha, uszlachetnionych przywyknień i smaków w ofierze składać nie należy. Powiedziała to sobie i ze spokojnym już sumieniem, jak łabędź niepokalany, płynęła życiem wysoko, wysoko nad nizinami, po których zwijały się mrówki, skakały wróble i skrzeczały żaby, jednostajnie od pracowitych owadów, jak od płochych ptasząt i obłoconych płazów oddalona.

Nie była wcale słaba ani dla siebie pobłażliwa. Już z samej jej powierzchowności wyczytać było można energię nie wylewającą się na zewnątrz ruchliwością i czynami, lecz ku wewnętrznemu życiu zwróconą i w ścisłych karbach je trzymającą. Energia ta rozniecała w niej ogniska gorących uczuć, może nawet namiętności, ale zarazem zamykała je w formę spokojną, niby płomień w marmurowym naczyniu płonący. Kiedy w dwudziestym szóstym roku swego życia rozstawała się z ukochanym mężem i jedynego jej dziecka ojcem — niepewna czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy — złośliwi utrzymywali, że usiłowała naśladować Spartanki[288] i

inne tym podobne postacie i historie. W rzeczywistości nie naśladowała nikogo, zbyt silnie kochała, aby w chwili owej o jakichkolwiek dawnych historiach myśleć mogła. Może te dawne historie rządziły jej krwią i nerwami, ale wcale nie pamiętała o nich i sama sobą tylko była, gdy na owym piaszczystym wzgórzu — przez Jana Bohatyrowicza Justynie ukazywanym — wyprostowana, silna, z rozbłysłymi od zapału oczami ramiona zarzuciła na szyję męża, mocno go pocałowała, a wnet z uścisku uwalniając, z uśmiechem wymówiła: „Jedź, jedź!" i kilka innych wyrazów dodała, których już nikt nie dosłyszał. Gdy odjechał, spomiędzy skupionej na wzgórzu gromadki nieco wyosobniona, dała jej przecież hasło do wspólnej modlitwy. Uklękła i głośno zaczęła:

— W imię Ojca i Syna…

Odmawiała modlitwę za podróżujących i w niebezpieczeństwie będących głośno, powoli, wyraźnie, czasem tylko na parę sekund milknąc, jak gdyby słuchając oddalającego się w głębie boru tętentu konia lub znad boru ku niebu wzlatujących trelów słowika. Łzy wielkie i rzadkie jedna za drugą płynęły po jej policzkach, ale w jej głosie nie czuć było płaczu, wyprostowana kibić nie zachwiała się i nie zgięła ani na chwilę, nie wykrzywił się i nie zadrżał żaden rys twarzy. Potem raz przy dźwięku dziecinnego głosu zwiastującego straszną nowinę bezprzytomna padła na ziemię, ale dźwignąwszy się z parodniowej słabości, w której zdawało się, że rozum utraci, nigdy już więcej nie mdlała, nie wybuchała, świadomości i powściągliwości poruszeń i słów nie traciła. Taką też wróciła do rodzinnego domu swego. Na fizyczne cierpienia żadne nie uskarżała się nigdy jednak świeże jej przedtem rumieńce zniknęły bez śladu i na zawsze. Rozpaczy, płaczu jej nikt też nie widywał, ale i wesołego jej śmiechu nie słyszano też nigdy. Ceremonialnie uśmiechała się czasem do obcych, przyjaźnie do krewnych i domowników, czule i nieraz z głębokim uszczęśliwieniem do syna, ale nie śmiała się nigdy. Rażące to w niej nie było, bo w zupełnej harmonii zostawało z powagą i wyniosłością całej jej postaci. Znający ją od dzieciństwa wiedzieli zresztą, że wybuchliwej żywości i wesołości nie posiadała nigdy. Ludzi przecież to usposobienie jej, skupione w sobie, trochę zimne i dumne, onieśmielało i odstręczało, a ona nie czyniła nic, aby ku sobie ich pociągnąć. Owszem, osamotnienie, w jakim żyła, zupełny wkoło niej brak wszelkiego gwaru i żywego ruchu wydawały się jej jakąś wysokością, na której stała nad pospolitymi duszami i istnieniami górując. Łatwiej też w ten sposób ukryć mogła cierpienia moralne, a może i fizyczne, które na jej twarzy od razu zgasiły rumieńce młodości i zdrowia, łatwiej uniknąć zawsze dla niej przykrych zetknięć ze wszelką pospolitością lub brzydotą, łatwiej pogrążyć się bez podziału i przerwy w ulubionych zajęciach i tym trybie życia, który od razu i jak się pokazało, na zawsze sobie wybrała.

Jakie były te zajęcia i ten tryb życia przez dwadzieścia trzy lata pustelniczego prawie jej przebywania w wielkim dwupiętrowym,

murowanym domu osowieckim? Można to było odgadnąć z najbliższego jej otoczenia, gdy w południowych godzinach dnia sierpniowego siedziała ona u wielkiego okna w głębokim fotelu i ręce z robotą na kolana opuściwszy, wzrokiem zamyślonym po zielonych głębiach ogrodu i parku wodziła.

Był to pokój na górnym piętrze znajdujący się, rogowy, z dwoma oknami na istotne morze ogrodowej zieloności wychodzącymi. Wysokość sufitu i prawie okrągły kształt pokoju nadawał mu pozór kaplicy, a wrażenie to wzmagało okrywające ściany stare obicie, w wielu miejscach spłowiałe, ale jeszcze błękitne i złoconymi gwiazdami usiane, zarówno jak znaczna ilość wiszących na ścianach malowideł i w przyćmionym rogu pokoju wznoszący się przed klęcznikiem wielki czarny krucyfiks. Klęcznik był z cennego drzewa, pięknymi rzeźbami okryty; od ciężkiego, czarnego krzyża odbijała białością kunsztownie ze słoniowej kości wykonana postać ukrzyżowanego Chrystusa. Zresztą, oprócz tego krucyfiksu i leżącej na klęczniku bogato oprawnej książki do nabożeństwa świętości żadnych tu nie było. Na ścianach, z wyjątkiem kilku starych portretów i jednego daleko świeższego, który nad ozdobnym kominkiem umieszczony przedstawiał Andrzeja w porze najpełniejszego rozkwitu jego męskiej piękności, powtarzała się wciąż w ramach małych i dużych, rzeźbionych, złoconych, aksamitem oklejonych twarz jedna, dziecinna, pacholęca, młodzieńcza, męska, w różnych porach życia i usposobienia fotografowana, rysowana, szkicowana, malowana twarz Zygmunta. Wizerunek męża pani Andrzejowa posiadała jeden tylko, na żądanie jej w parę lat po ich pobraniu się gdzieś daleko stąd przez jakiegoś biegłego malarza mistrzowsko wykonany; portretów syna różnych rozmiarów i różnego rodzaju miała ze dwadzieścia. Daleko jeszcze więcej znajdowało się tu robót jego, od pierwszych dziecinnych prób ołówka do szkiców, studiów, kopii, które w różnych porach życia rzucał na papier i płótno. Było to małe muzeum z niezmierną troskliwością zgromadzone i które by każdemu bystremu oku istotę i historię jej syna opowiedzieć mogło. Takież samo zamiłowanie w zgromadzaniu pamiątek objawiało całe umeblowanie pokoju, które składało się ze sprzętów cennych i wytwornych, ale nienowych i niemodnych.

Inne części tego domu starannie i wymyślnie odnowiono i przybrano przed ożenieniem się Zygmunta; sąsiedzi nawet złośliwie szeptali, że na te różne odnawiania, ozdabiania, przerabiania użyta została znaczna część posagowej sumy jego żony. Nikt się temu zresztą bardzo nie dziwił, bo powszechnie wiedziano o wysokim estetycznym wykształceniu i nader wymyślnych gustach młodego Korczyńskiego, zarówno jak o szerokich koligacjach i świetnej edukacji kobiety, którą zaślubiał. Ale w pokojach pani Andrzejowej nie zmieniono nic. W domu należącym niegdyś do jej męża od dawna mieszkali ludzie obcy, ale część sprzętów, które ją tam otaczały, znacznym trudem i kosztem przez nią nabyta i teraz znajdowała się wkoło niej. Były to przed trzydziestu laty używane, lśniące włosiennicą lub spłowiałym dziś adamaszkiem[289] obite kanapy i fotele, męskie biurko z

cennego drzewa, piękna szafa napełniona książkami w zniszczonych oprawach. Jednak pomimo tej czci pamiątek znać tu było także żywe zajmowanie się i teraźniejszością. Mnóstwo dzienników i nowych książek napełniało stoły i nosiło na sobie ślady pilnego ich czytania. Długie godziny, całe dnie czasem schodziły pani Andrzejowej na przypatrywaniu się za pośrednictwem druku różnym społecznym drogom i przemianom, na ściganiu okiem nowych strumieni myśli i prac tego ogółu, o który troszczyć się przywykła była niegdyś wraz z ukochanym człowiekiem. Tu i ówdzie na ścianach i stołach rozrzucone wizerunki współczesnych pracowników: niejakiej sławy myślicieli, artystów i pisarzy krajowych, więcej jeszcze przekonywały, że znała i wielbiła tych wszystkich, którzy temu samemu bóstwu, na którego ołtarzu zgorzał Andrzej, choć innymi niż on sposoby, ofiarę z życia swego składali. Przed głębokim fotelem u okna wielki, głęboki kosz pełen był płócien i wełnianych materii, których część i teraz z igłą i innymi przyrządami do szycia na kolanach pani Andrzejowej spoczywała. W godzinach pozostających od czytania szyła odzież dla rodzin ubogich, na których widywanie zdobywała się bardzo rzadko, ale o których przez domowników swych zgromadzała liczne i dokładne wiadomości. Pajęczych robótek i ładnych drobiażdżków nie wykonywała nigdy, ale zręcznie i przemyślnie własnymi rękami sporządzała znaczne ilości różnorodnej niewykwintnej odzieży, która wiele istot ludzkich osłaniała przed udręczeniem chłodu i wstydem łachmanów.

Tak jej zeszło lat dwadzieścia trzy, na których tle jednostajnym uwypuklało się kilka momentów stanowczych, do pewnego stopnia rozstrzygających o całej przyszłości jej i jej syna. Przed osiemnastu mniej więcej laty w tym samym pokoju stoczyła była z bratem zmarłego męża rozmowę długą i burzliwą, która o mało nie nadwerężyła na zawsze panującej w ich stosunkach zgody i przyjacielskiej poufałości. Prawny i przyrodzony opiekun małoletniego bratanka, Benedykt Korczyński, często podówczas bywał w Osowcach. Młody jeszcze w porze owej i niedawno ożeniony, dotkliwie już jednak uczuwać zaczynał ciernie ogólnego i swego życia, w kłopoty różne popadał, grubiał, posępniał. Niemniej, w rządach majątku bratowej czynny przyjmował udział, tym czynniejszy, że ona po szczerze i gorliwie przedsiębranych w tym kierunku próbach zadaniu temu podołać nie mogąc, w imię sieroty po bracie pomocy jego zażądała. Z gospodarstwem i interesami dziedziczka Osowiec doświadczyła tych samych do zwalczenia niepodobnych trudności, którym uległa wprzódy wobec jednego z pełnionych przez jej męża zadań społecznych. Jak tam, tak i tu zetknięcie się z ludzką ciemnotą i nieokrzesanością okazało się konieczne, a tak dla niej przykre, że do zniesienia prawie niepodobne. Rachunki, procesy, gospodarskie prace i plany w żelazne jakby kajdany ujmowały myśli jej i uczucia. Bezwiednie, pomimo nawet najsilniejszego panowania nad sobą, słuchając sprawozdań rządcy przypatrywać się zaczynała malowniczym grom świateł w zielonych gęstwinach parku,

uchem ścigać melodię wiecznie wyśpiewywaną przez przebiegającą go rzeczkę, rozmyślać nad świeżo przeczytaną książką, wspominać jakąś rozmowę, swawolę, słowo, uśmiech małego Zygmunta. Gdyby szło o nią tylko, o nią jedną, wolałaby o wiele poprzestać na najskromniejszej mierności niż troszczyć się o materialne zyski lub straty. Do pewnego stopnia troski takie wydawały się jej nawet obniżającymi godność i wartość człowieka. Do ascetyzmu skłonna, zbytków żadnych nie pragnęła i nie używała, żałobne jej suknie kosztowały niewiele, stare sprzęty były jej najmilsze, próbując samą siebie przekonała się nieraz, że przez czas długi poprzestawać mogła na pożywieniu najgrubszym i najszczuplej wymierzonym. Nieraz chęć życia w dobrowolnym, surowym ubóstwie przybierała w niej rozmiary gorącej żądzy. Wobec skarbu serca, który utraciła i o którym nigdy zapomnieć nie mogła, bogactwa materialne wydawały się jej marnością, po którą schylać się nie było warto, wobec zapałów i poświęceń, których była świadkiem i w których udział wzięła, dbanie o wygody, zbytki poczytywała za poniżenie moralne, co najmniej za płytkość i pospolitość wobec publicznych nieszczęść i nędz, którym ze swej pustelni przypatrywała się chciwie i z bólem, dogadzanie zachciankom własnym i zgromadzanie środków, które je czynią możliwym, stawało przed nią w postaci wstydu i grzechu. Ale nie była sama. Rozumiała dobrze, że dla dobra syna, dla tej przyszłości jego, o której w ciche, szare godziny dziwne dziwy roić lubiła, powinna była przechować w całości to jedno przynajmniej dziedzictwo, skoro drugie, ojcowskie, na zawsze i nieodwołalnie stracone dlań zostało. Znowu więc pracowała nad sobą, walczyła, przezwyciężyć usiłowała przyzwyczajenia swe i najgłębsze instynkty, i znowu — nie mogła.

Na szczęście brat męża przychodził jej z pomocą, którą z wdzięcznością przyjmowała, w inną jednak sprawę, stokroć w jej oczach ważniejszą i sercu jej bliższą, mieszania się jego dopuścić nie chcąc. Benedykt podobny był w tym wypadku do ostrożnego i lękliwego strategika, który po wiele razy i z wielu stron ku obozowi nieprzyjacielskiemu z wojskiem swym podjeżdża, nim bitwę stanowczą wydać postanowi. Dla bratowej miał on szacunek rzetelny i onieśmielał go do niej układ jej pomimo przyjaznych z nim stosunków zawsze nieco dumny i chłodny. Więc po wiele razy o małym Zygmuncie mówić z nią zaczynał, to i owo do zrozumienia jej dawał, na myśl nasunąć usiłował, ale ona zdawała się nie słyszeć go lub nie rozumieć. Na koniec dnia pewnego do tego samego pokoju wszedł więcej niż kiedy zasępiony i pociągając wąsa, który już wtedy długi i w dół opadający twarzy jego nadawał wyraz wiecznego zmartwienia, oświadczył, że zamierza otwarcie i bez ogródek o małym synowcu z bratową pomówić. Zapytała go co by jej dziecku miał do zarzucenia? Odpowiedział, że wyrasta ono na francuskiego markiza, nie na polskiego obywatela, na panienkę, nie na mężczyznę.

Przed panią Andrzejową stał właśnie na stole pięknie wykonany i

oprawiony portret dwunastoletniego chłopca w stroju francuskim zeszłego stulecia z aksamitu i koronek złożonym, z opadającymi na plecy strugami ufryzowanych włosów. Dziecko było istotnie bardzo ładne, delikatne i w malowniczym ubraniu swym wyglądało na książątko. Oczy matki i stryja zbiegły się na tym portrecie, pierwsze wyrażały miłość i uszczęśliwienie, drugie — lekceważenie i zgryzotę. Z lekceważeniem i zgryzotą Benedykt mówił dalej, że panicza tego na przechadzkach guwerner za rękę prowadzi, pilnie go strzegąc od widoku i poznania wszelkiej rzeczy do świata tego należącej, że jest on fizycznie za mało na wiek swój rozwinięty, w gustach wybredny, z otaczającymi często despotyczny i wzgardliwy, że na koniec, jako jedyny środek nadania mu hartu ciała, trzeźwiejszego kierunku umysłowego i przyzwyczajeń lepszych, pan Benedykt doradza oddanie go do szkół publicznych. Wtedy pani Andrzejowa w całej wysokości swej powstała i nie tylko stanowczo, ale z oburzeniem oświadczyła, że nie uczyni tego nigdy. Ona, ona miałaby jedyne dziecko swoje zmieszać z tłumem pełnym najpoziomszych, a może i najbrudniejszych instynktów, zwyczajów, pojęć, wystawić je na niebezpieczeństwo zarażenia się pospolitością, prostactwem, może nawet panującą na świecie gonitwą za zyskiem, karierą, grubym materialnym użyciem! Nie gardzi ona tłumem, owszem, namiętnie pragnie doskonalenia się jego i szczęścia, ale dążeniem jej i celem życia jest to, aby syn jej był nad tłum wyższy, czystszy, doskonalszy. Tam rosną i na los szczęścia kształcą się prości szeregowcy, on, wzorem ojca, stać się powinien wodzem, w tym znaczeniu wodzem, iż kiedyś, w przyszłości, zaświeci tamtym wzorem wzniosłych uczuć i myśli, a może także i natchnionych przez nie czynów. On, przy jej boku, pod jej czuwającym okiem, wzróść musi czysty od wszelkiej moralnej skazy, z duszą tak wybredną, aby wszelki cień brzydoty i pospolitości wstrętem ją napełniał. Umysłowego wychowania jego przecież nie zaniedbuje, drogo opłacani nauczyciele uczą go mnóstwa rzeczy, a z czasem, gdy dorośnie, wyjedzie w świat po wyższą jeszcze naukę, ale tymczasem w dziecinnych i pacholęcych latach, atmosfera czystości moralnej i estetycznego piękna otaczać go nie przestanie. Ten zbytek w otoczeniu i stroju, który tak bardzo razi jego stryja, jest tylko środkiem do nadawania mu tych wytwornych przywyknień ciała i ducha, które przez całe już następne życie chronić go będą od wszelkich nawet pokuszeń ku złemu, będącemu zawsze fizyczną albo moralną szpetotą. Od tego wychowawczego planu, od tych względem syna postanowień nie odwiodą jej żadne rady lub upomnienia dlatego też życzy sobie ona i prosi, aby ją nimi więcej nie niepokojono.

Benedykt zrozumiał, że wszelkie dalsze próby w tym kierunku pozostałyby nadaremne. To, co usłyszał, nie było kaprysem lekkomyślnej wietrznicy ani deklamacją rozromansowanej gęsi, ale przekonaniem i wolą kobiety myślącej i energicznej. Był to plan obmyślany, wyrozumowany, podstawy swe mający w najgłębszych właściwościach umysłu i charakteru tej kobiety, w samej niejako treści własnego jej życia. Ile do rozumowań

mieszało się w tym planie dumy spoglądającej wiecznie ku szczytom dla tłumów niedosięgłym i spomiędzy nich wyosobnionym, nie zdawała ona z tego przed sobą dokładnej sprawy, jakkolwiek wiedziała o tym, że jest dumna, wzniosłymi pobudkami cechę tę swoją nie tylko usprawiedliwiając, lecz ją w sobie wysoko ceniąc. Kiedy Benedykt upierając się jeszcze mówić zaczął o tej właśnie dumie, którą tak przedwcześnie objawiać zaczynał mały Zygmunt, odpowiedziała, że pielęgnować jej w nim nie przestanie, bo z czasem stać się mu ona może puklerzem przeciw wszelkiemu poniżeniu się i bodźcem ku coraz wyższemu życiu. Benedykt w ziemię patrzał, wąsa w dół pociągał i chmurny, niezadowolony, lecz bezsilny, opuścił ten pokój do kaplicy podobny, w którym niedługo potem odegrać się miała jedna ze stanowczych scen życia jego właścicielki.

Bardzo samotne i jednostajne życie prowadząc, pustelnicą zupełną pani Andrzejowa zostać nie mogła. Kiedy niekiedy odwiedzano ją, tu i ówdzie ukazywała się w domach krewnych i sąsiadów. Rzeczą więc było nie tylko naturalną, ale nieuniknioną, że raz ktoś zapragnął posiąść serce jej i rękę. I dlatego tylko wydarzyło się to raz jeden, że sposób jej życia i obejścia się zrażały do niej usposobienia płoche i odbierały nadzieję najśmielszym. Tym razem człowiek świeżo w okolice te przybyły, więc nieuprzedzony, poważny, nieskazitelny, równe jej położenie w świecie zajmujący, coraz częściej samotne Osowce nawiedzać zaczął, gorącą cześć i sympatię właścicielce ich okazując. Zamiary, które względem niej żywił, najbliższym jej krewnym powierzył, o wstawienie się ich i pomoc jak o łaskę największą prosząc. Wtedy cichy ten zawsze pokój stał się miejscem częstych rodzinnych zebrań, narad, namów, perswazji. Nikt prawie zrozumieć tego nie mógł, aby kobieta podówczas trzydziestoletnia, piękna, majętna zagrzebać się miała żywcem w żałobnym prochu wspomnień, wyrzec się na zawsze realnych i każdemu, zda się, niezbędnych uczuć i uciech życia. Nawet rodzina zmarłego Andrzeja nie tylko tego całopalenia od niej nie wymagała, lecz ją od niego wszelkimi siłami odciągała. Ruchliwa i we wszystko mieszająca się Darzecka za swatostwami przepadała zawsze. Benedykt miał nadzieję, że wykształcony i z prawości swej znany ojczym zgodniej z własnymi jego wyobrażeniami wychowaniem Zygmunta pokieruje. Przyjeżdżano więc do Osowiec, namawiano, rozpowiadano o cnotach i zaletach konkurenta, o jego szczerych i gorących dla młodej wdowy uczuciach. Ale najwymowniejszym ze swatów było jej własne serce, które za rozkochanym w niej człowiekiem przemawiało goręcej niżby ona spodziewać się albo nawet przedtem przypuszczać mogła. Pomimo woli przy zbliżeniu się jego uczuwała, że nie jest abstrakcyjną formułą niewieściej cnoty, ale człowiekiem zmuszonym do doświadczania ludzkich pociągów i pokus. Pomimo woli odzywała się w niej żądza jakby zmartwychpowstania, jakby otrząśnięcia z siebie mogilnych prochów i wyjścia na świat słoneczny, pomiędzy kwiaty. Nęcić ją zaczęła myśl posiadania obok siebie rozumnego i kochającego towarzysza wszystkich

chwil życia, tęsknota za ciepłem rodzinnego ogniska, jak smutna lilia o kroplę rosy błagająca, wyrastała z grobu, dotąd samotnie i niewzruszenie wznoszącego się na dnie jej serca. Przyszła na koniec chwila, w której przyjaciele i doradcy ujrzawszy ją słabą i wzruszoną wymogli na niej wahające się jeszcze i warunkowe słowo przyzwolenia. Odjechali, aby co prędzej radosną wieścią obdarzyć tego, kto na nią niecierpliwie i niespokojnie oczekiwał, ale zaraz po ich odjeździe w młodej kobiecie podniosła się burza gwałtownych i gorzkich uczuć. Dopóki rzecz była niepostanowiona i w dalekich zaledwie przypuszczeniach ukazująca się, dopóty wywierała na nią urok odpychany, ale często nieprzezwyciężony. Teraz, gdy wnet życie jej rozłamać się miało na dwie połowy, pierwsza ta, która przeminęła, uderzyła ją w serce i oczy całym blaskiem drogich i świętych wspomnień. Nigdy, nigdy tak jasno i dokładnie nie roztoczyły się przed nią dzień po dniu, godzina po godzinie lata jej pierwszej młodości i miłości, nigdy tak wyraźnie wyobraźnia jej nie odtwarzała postaci jej pierwszego i jedynego kochanka i męża. Jakieś smutne szmery powstawały wkoło niej i napełniały samotny jej pokój, zdając się przynosić długie, wieczne pożegnania, nie wiedzieć skąd, może z tej mogiły wznoszącej się w głębi boru, na którą teraz spadała mgła jesiennego deszczu i na której obraz w wyobraźni jej powstający spłynęły jej rzęsiste, gorące łzy. Nie, ona zapomnieć nie mogła ani wyrzucić z siebie tego, co tak głęboko zapadło w jej istotę i samo jedno dotąd ją wypełniało. Kiedy pomyślała, że wkrótce, prawie zaraz, kibić jej obejmą ramiona, a na ustach jej spoczną usta innego mężczyzny, że nowe obowiązki, a może i uroki życia do reszty rozerwą związek jej z tamtym i miłość dla niego, wspominanie o nim uczynią prawie grzechem i zdradą, uczuła naprzód ból taki, jakby po raz drugi na wieki rozstawała się z Andrzejem, a potem zdjął ją niezmierny wstyd nad małością i słabością własną. Jak to! Dla pospolitych i przemijających rozkoszy, choćby dla trwalszych i wyższych, lecz zawsze samolubnych uciech, miałaby ona własnymi rękoma zdruzgotać ideał jedynej i wiecznie wiernej miłości, porwać nici pamięci wiążące ją z człowiekiem, który dla celów wysokich poświęcił życie, zdjąć z siebie nawet jego nazwisko, strzec się nawet jak zdrady westchnienia po nim! Jak to! Miałaby ona, jak najpospolitsza z niewiast, przerzucić się z jednych objęć w drugie, w jednym istnieniu do dwóch należeć, szczęście sobie zdobywać, gdy tamten życie nawet utracił! Tamtemu więc śmierć wczesna i przez wszystkich, nawet przez nią zapomniana mogiła, a jej wszystkie wdzięki i pomyślności życia! Któż pamięć o nim na ziemi przedłuży, jeżeli ona wyrzuci ją z siebie? Kto przyjmie udział w jego ofierze, jeżeli ona go się zrzeknie? Kto myślą przynajmniej, żalem, uwielbieniem towarzyszyć mu będzie w stronach ponurych, jeżeli ona w słoneczne, kwieciste odleci? Za samo przypuszczenie, że tak stać się mogło, za minutę słabości zmysłów i serca wstydziła się tak srodze, że gdyby była mogła, deptałaby siebie własnymi stopami, że z gwałtowniejszym niż kiedykolwiek wybuchem miłości dla

Andrzeja upadła na twarz przed krucyfiksem, nie do Boga przecież, ale do kochanka o przebaczenie wołając. Bogato rozwinięte, piękne jej ciało wiło się u stóp czarnego krzyża w objęciach upokorzenia i skruchy, a dusza niby sztyletem niewysłowioną tęsknotą przebita, z takim natężeniem wszystkich sił wzbiła się ku temu, za kim tęskniła, że wywołała jedną z tych wizji, którym organizmy ludzkie w wyjątkowych tylko stanach ciała i ducha ulegają. Była to halucynacja posiadająca dla niej wszystkie cechy dotykalnej rzeczywistości. Ujrzała Andrzeja, spłynął ku niej z góry z krwawiącą się plamą na bladym czole i łagodnym ruchem przebaczenia czy tkliwej opieki nad głową jej dłoń wyciągnął. Widziała go wyraźnie, z doskonałą wypukłością kształtów i dokładnością linii. Milczał, ale ona do niego mówiła. Co i jak mówiła, nigdy tego przypomnieć sobie nie mogła, wiedziała tylko, że była to dla niej chwila nieziemskiego zachwycenia, z której obudziła się smutniejsza, ale zarazem silniejsza niż kiedy i której powtórzenia się nigdy pragnąć nie przestała. Ale nie powtórzyła się ona nigdy, tak jak nie powtórzył się wypadek, który ją poprzedził. Umysł miała zbyt oświecony, aby nie rozumieć, że wizja, której doświadczyła, była złudzeniem zmysłów, przez wyjątkowy w chwili owej stan jej ciała i ducha sprowadzonym, niemniej pozostawiła w niej ona ślad niestarty i z upływem czasu pogłębiać się mający.

Na swój sposób i niezupełnie prawowiernie matka Zygmunta religijna jednak była głęboko i żarliwie. Zewnętrzne praktyki dopełniała rzadko, drobiażdżki noszące imię świętości: obrazki, posążki, poświęcane paciorki itp. wydawały się jej oznakami czci błahymi, nieestetycznymi, niegodnymi idei bóstwa. W zamian idea ta była jej nieskończenie droga i święta, wiara w ideał doskonały i niedościgniony, w potęgę i dobroć najwyższą i opiekuńczą stanowiła niezbędną potrzebę jej duszy i nie tylko nie zachwiała się w niej nigdy, lecz w życiu pełnym samotnych rozmyślań i cierpień dościgła niezwykłej mocy. Wierzyła także w istnienie zagrobowe, bo niepodobnym jej się wydawało, aby duchy ludzkie jak zdmuchnięte świece gasnąć mogły i na zawsze bo myślała, że Twórca nie mógł daremnie dać stworzeniu swemu przeczucia i pragnienia nieskończoności, z którego powstały wszystkie jego wielkie dążenia i dzieła. Wierzyła więc niezłomnie w zaświatowe istnienie Andrzeja i zrazu nieśmiało, potem z coraz żywszą nadzieją myślała, że kto wie, czy miłość jej trwałością i siłą swoją nie okupiła sobie prawa wniknięcia w krainę nieznaną i dosięgnięcia tego, ku któremu od tak dawna wzbijała się bezustannym płomieniem ofiary. Jak martwy przedmiot poruszać się zdaje przed oczami tego, kto się weń długo wpatruje, tak cel niedościgły, ale długo i wyłącznie myśli i uczucia człowieka na sobie skupiający, zdaje się ku niemu zstępować i przybliżać. Przez długie godziny klęcząc przed krzyżem, symbolem męczeństwa za ideę poniesionego, które w jej osobistym życiu tak stanowczą odegrało rolę, kobieta, która przez lat dwadzieścia kilka ani razu nie zdjęła z siebie żałobnego stroju, pomimo woli i wiedzy przemawiać nieraz zaczynała do

tego, po kim strój ten nosiła. Przemawiała czasem z zupełną i dziwnie uszczęśliwiającą wiarą, a czasem tylko z nieśmiałą nadzieją, że jest przez niego słyszana. Nikt z ludzi nie słyszał tego, co ona mówiła i opowiadała jemu — nie tylko o sobie, ale i o tym, co on na ziemi najbardziej kochał i za co śmierć poniósł. Był to jedyny powiernik jej cierpień, tęsknot, pragnień, obaw i tego błysku szczęścia, który raz oświecił jej samotne, ciche, prawie klasztorne życie.

Niewiele potem, gdy przekonała siebie i innych, że ani przeszłości zapomnieć, ani w objęcia nowej, chociażby najpromienniejszej przyszłości rzucić się nie może, jeden z nauczycieli małego jej syna odkrył w nim talent malarski. Ile w tym odkryciu z triumfem matce oznajmionym było prawdy, a ile złudzenia lub może chęci przypodobania się pani domu, pani Andrzejowa o tym nie myślała. Od dzieciństwa w kierunku estetycznym starannie kształcona, grać i rysować umiejąca, nie posiadała przecież znajomości sztuk pięknych dość gruntownej, aby przez nią odkrycie to zgłębić i sprawdzić. Może zresztą sprawdzenie takie w stosunku do dwunastoletniego dziecka nie było możebne. Od razu i niezłomnie uwierzyła w miłą sobie wiadomość, przyjęła ją nawet bez zdziwienia, jak coś, czego spodziewała się zawsze i co koniecznie stać się musiało. Zawsze i silnie przekonana była, że w synu jej i Andrzeja prędzej lub później objawić się musi jakaś zdolność nad pospolity poziom go wynosząca, jakaś niby iskra z krwi rodziców przez naturę wzięta i na jego czole w gwiazdę pierwszej wielkości rozniecona. W mniemaniu jej inaczej być nie mogło, syn jej i Andrzeja człowiekiem pospolitym, takim, jacy składają szare i bezimienne tłumy, być nie mógł. Bez zdziwienia więc i uniesień, ale z wewnętrzną głęboką radością wieść o rodzącym się talencie Zygmunta przyjęła i odtąd całe otoczenie jego, wszystkie na niego wywierane wpływy, przedtem już pierwiastkami wykwintu i piękna przesycone, skierowane zostały ku rozwijaniu w nim estetycznych zdolności i gustów.

Pełne delikatnego wdzięku i wybujałych wymagań dziecko, w cieplarnianej atmosferze osowieckiego domu czy pałacu wzrastające i tak od otaczającego je świata oddalone, jakby mieszkańcem jego nigdy być nie miało, rwało się istotnie do ołówka, potem do pędzla, z niecierpliwością przypisywaną ognistemu temperamentowi, z fantastycznością za nieomylną oznakę geniuszu poczytywaną. Biegli i coraz kosztowniejsi nauczyciele wróżyli mu przyszłość wielkiego artysty, o której on słuchał z rozkoszą, każdy szczegół własnej osoby i codziennego życia tak wyjątkowy uczynić usiłując, jak wyjątkową być miała przypadająca mu w świecie rola wybrańca. Jak promienie słońca skupiają się w soczewce, tak wszystko, co go najbliżej otaczało, starania swe i uwielbienia skupiało na nim, i tak z kolei on własne swoje myśli i rojenia na samym sobie skupiał. Wszystko, co istniało poniżej tej wysokości, na której niedorostkiem jeszcze będąc w mniemaniu swoim stanął, wydawało mu się brzydkie, niegodne uwagi, nawet brudne i wstrętne. Nad sobą widział tylko przyszłego siebie. Był

środkowym punktem świata dla wszystkich, których widywał, i dla samego siebie w oczekiwaniu, aż stanie się nim dla ludzkości, to jest dla tej specjalnej ludzkości, która ma gładką skórę na twarzy i rękach, estetyczne ubranie i zna się na sztukach pięknych. O innej słyszał wprawdzie i czytywał nieraz, ale nie żywił dla niej uczuć żadnych ani ujemnych, ani dodatnich. Po prostu nie myślał o niej, nie dbał o nią, nie istniała ona dla niego. W zamian rósł i dojrzewał w absolutnej pewności, że jest jednym z najdostojniejszych członków owej znanej mu i pokrewnej ludzkości i że w przyszłości stanie się jednym z jej ulubieńców i bożyszcz. Przyszłość ta błysnęła mu nieprędko, raz jednak błysnęła. Po wielu latach daleko od rodzinnego miejsca spędzonych, po długich studiach, długo niepomyślnymi tylko próbami wieńczonych, obraz przez niego wykonany wyróżnił się spośród wielu innych i ściągnął na siebie przychylną uwagę znawców. Właściwie, nie był to obraz, ale obrazek, rozmiarami drobny i z pomysłem dość pospolitym, ale w którego wykonaniu, pomimo niejakich usterek technicznych, czuć było pracowicie wybijającą się na wierzch zdolność. Pospolitość pomysłu i techniczne usterki krytykowano, lecz młodą zdolność przychylnie zachęcano do dalszej pracy. Powodzenie obrazka zwiększyła o wiele wiadomość, że malował go człowiek majętny, z bytem niezależnym i dość wysokim towarzyskim stanowiskiem. Spodem płynęły szepty mniej lub więcej wiernie historię jego ojca opowiadające. To i drugie sztucznie wydęło rozgłos imienia młodego malarza i pierwszej roboty, z którą popisywał się on publicznie. Ale ani on sam, ani jego matka o sztuczności tej nie wiedzieli nic, a pochwały i zachęty raz jeszcze w ich umysłach sztucznemu wydęciu i powiększeniu uległy. Dla pani Andrzejowej była to chwila prawie upajającego szczęścia. Ziściły się jej najgorętsze pragnienia. Z ekstazą prawie myślała, że na tym samym ołtarzu, na którym zgorzał Andrzej, syn jego składać będzie ofiary geniuszu i pracy. Będzie on, wspólnie z garstką wybranych, światłem rozniecanym w ciemnościach, chlubą poniżonych, świadectwem życia pozornie umarłym. Jego natchnienia utworzą jedną z desek ratunkowego mostu nad przepaściami unicestwienia i zguby, wytworzą jedną z cegieł do budowania arki, która płomień życia przenosi na drugą stronę gaszącej go powodzi. Ta myśl panowała w niej nad wszystkimi innymi. W okazywaniu uczuć swoich jak zwykle powściągliwa, w głębi szalała prawie z radości i dumy. Na powierzchowność jej wybiło się to promiennością cichą, ale stałą. Częściej niż wprzódy ukazywała się pośród ludzi, żądna może usłyszenia tego, co o jej synu mówiono, a może w radości swej większy do nich pociąg czująca. Ale w długie zimowe wieczory przy świetle lampy obszerny i wysoki pokój oświecającej albo w letnie gwiaździste noce, od których przez otwarte okna płynęły do tego pokoju potoki szmerów i woni, dłuższe niż kiedy godziny spędzała przed czarnym krzyżem na klęczkach. Bogato oprawnej książki na klęczniku spoczywającej nie otwierała prawie nigdy, ale z ust jej płynęły natchnione słowa dziękczynienia i błagania. Tyle lat w tym miejscu z

zamkniętego przed światem swego serca wylewała tyle łez i skarg. Teraz o szczęściu i nadziejach swoich opowiadała duchowi Andrzeja, w którego związek z własnym duchem w miarę upływającego czasu wierzyła coraz mocniej.

Działo się to przed czterema laty. Dziś prawie pięćdziesięcioletnia, pani Andrzejowa wyglądała na daleko młodszą niż była. Kibić jej, zawsze okazała, w ostatnich latach wypełniła się jeszcze i zmężniała biła z niej niepospolita siła i powaga. W wielkiej czystości i regularności prawie zakonnego życia niby w krynicznej wodzie, blada jej cera zachowała delikatność i gładkość, drobnymi zmarszczkami gdzieniegdzie tylko mąconą. W pięknym pokoju, któremu kształt okrągły i ściany obrazami okryte nadawały pozór kaplicy, na tle wielkiego okna, za którym rozlewało się morze zieleni, opłynięta ciężkimi fałdami żałobnej sukni, przedstawiała postać malowniczą i szanowną. Regularny jej profil ocieniały koronki czarnego czepka i dwa gładkie pasma złotawych włosów, z rzadka jeszcze srebrnymi nićmi przetkanych. Piękne, białe ręce na zwoje grubego płótna opuściła, w samotności nawet, gdy była bezczynna, zachowywała najcharakterystyczniejszą cechę swojej powierzchowności, głowę miała podniesioną i spuszczone powieki.

Jednak w wyrazie tej niemłodej, lecz pięknej i szlachetnej twarzy niewieściej nie widać teraz było ani szczęścia, ani spokoju. Cicha promienność, która ją przed czterema laty okrywała, bez śladu znikła. Zamyślenie jej nie było pogodną kontemplacją rzeczy miłych i pomyślnych, lecz niespokojną zadumą nad czymś niezrozumiałym i groźnym. Parę razy dłonią po czole powiodła, westchnęła, z piersi wydała dźwięk do cichego okrzyku zdziwienia podobny, palce jej szybkim, nerwowym ruchem kłuły igłą grubą tkaninę kolana jej okrywającą. Nie wyglądała na kogoś, w kogo by już uderzył cios bolesny i wszystkie jego nadzieje rujnujący, ale na kogoś, kto możliwość takiego ciosu jeszcze z daleka spostrzega i przyczyny jego odgadnąć usiłuje. Od dwóch lat zresztą, prawie od czasu gdy Zygmunt ożeniony do Osowiec wrócił i stale w nich zamieszkał, obcy nawet ludzie ten niepokój i gryzącą, choć żadnym słowem nigdy nie wyjawioną troskę w niej spostrzegali.

Przed kwadransem zobaczyła była przez okna młodą parę ludzi ścieżkami parku dążącą ku owej łące ujętej w trójkąt dwóch rzek i wzdymającej się łańcuchem małych, sztucznych pagórków. Miejsce to stanowiło przed paru miesiącami ulubiony cel przechadzek jej syna, rozpoczął on był w nim archeologiczne poszukiwania, które przez tygodni kilka gorączkowo niemal go zajmowały. Teraz szedł tam znowu w wykwintnym letnim ubraniu, które czyniło go podobnym do obrazka z żurnalu mód wyciętego, z giętką laską w ręku, z twarzą ocienioną szerokimi brzegami fantastycznego nieco kapelusza. Pod jednym ramieniem trzymał sporą tekę rysunkową, u drugiego zwieszała się mała, przedziwnie zgrabna, w lekką, jasną tkaninę ustrojona kobieta. Twarzy tych dwojga ludzi pani

Andrzejowa nie dostrzegała, ile razy przecież wychyliwszy się zza zieleni drzew przebywali widną część ścieżki lub trawnika, widziała dokładnie, że młodziutka kobieta tuliła się do boku męża, strojną głowę ku niemu podnosiła, szczebiocząc, przymilając się, wszystkimi, zda się, siłami serca i wdzięków usiłując niby iskrę z krzemienia wykrzesać z niego jedno słowo serdeczne lub jedno wesołe spojrzenie, on zaś szedł obok niej mierzonym krokiem salonowca, może znudzony, może roztargniony, co pewna, to że milczący i obojętny. Tak przeszli część parku, przepychem starannie uprawianej roślinności otoczeni, blaskiem letniego słońca oblani, lecz dla troskliwie śledzącego ich oka ani szczęśliwi, ani nawet spokojni aż na jednym z białych mostków, wdzięcznie nad szemrzącą rzeczułką zawieszonych, Klotylda gwałtownym ruchem wysunęła rękę spod ramienia męża i na chwilę gestem gniewu czy żalu obie ręce do oczu podniósłszy, szybkim biegiem puściła się ku domowi. On nie oglądając się i kroku nie zmieniając poszedł dalej, w przeciwną stronę, ku wiodącej na łąkę ogrodowej furtce. Jedyną oznaką wzruszenia, którego doznał, było parokrotne ćwiknięcie giętką laseczką rosnących przy ścieżce krzewów. Wkrótce zniknął za gęstym klombem akacji. Klotylda zaś biegła wciąż po trawnikach i ścieżkach parku, do bladoróżowej chmurki podobna. Parę razy stanęła i obejrzała się, jakby miała nadzieję, że ten, z którym rozstała się przed chwilą, obejrzy się także za nią lub ją ku sobie przywoła. Za każdym jednak razem czyniła ręką gest zniechęcenia czy oburzenia, aż przystanąwszy u wspaniale pośród trawnika wyrastającego modrzewia, czoło o gruby pień jego oparła i po ruchach jej pleców poznać można było, że gwałtownie zapłakała. Potem, jak rozżalone dziecko wstrzymując nerwowe drgania rozognionej twarzy, skręciła w ciemną aleję wprost już ku jednym z wchodowych drzwi domu prowadzącą. Potem pani Andrzejowa usłyszała lekkie kroki synowej przebiegające szybko wschody i parę salonów potem jeszcze drzwi jakieś zamknęły się ze stukiem zdradzającym rękę rozgniewaną albo zrozpaczoną — i wszystko ucichło.

Tak było od dawna, więcej niż od roku, tak było ciągle. Dlaczego? Nieskończoną już ilość razy pani Andrzejowa zadawała sobie to pytanie, ale głośno nie wymówiła go jeszcze ani razu. Po wielekroć już chciała iść do niej, do niego, zapytywać, zwierzenia wywołać, może coś poradzić i czemuś zapobiec, ale powstrzymywała się zawsze. Widziała, czuła ranę życia tych dwojga ludzi, a lękała się jej dotknąć przez obawę srozszego jej zaognienia, przez delikatność uczuć szanującą uczucia i tajemnice choćby własnego dziecka. I teraz także powstała, zwróciła się ku drzwiom prowadzącym do salonów rozdzielających jej pokój z pokojem młodej synowej, ale wnet przy stole książkami i dziennikami spiętrzonym stanęła. Był to okrągły stół pośrodku pokoju umieszczony i fotelami staroświeckiego kształtu otoczony. Pośród książek i dzienników stała tam pięknie oprawiona, dość duża fotografia Zygmunta, przedstawiająca go w tej jeszcze porze życia, gdy dwudziestopięcioletnim młodzieńcem przebywał on w stolicy sztuki

malarskiej, w Monachium. Wizerunek ten był jednym z ustępów jego życia, które rysowane, malowane, fotografowane napełniały pokój jego matki. W postawie trochę niedbałej, a trochę wyszukanej, wsparty o zrąb kolumny, ukazywał on twarz młodzieńczą, z rysami dość pięknymi, bez uśmiechu, bez ognia w spojrzeniu, z kapryśnym zagięciem warg cienkich i elegancko zaostrzonym wąsem ozdobionych. Z samego układu stóp jego u dołu kolumny skrzyżowanych można było wyczytać, że z uczuciem własnej wyższości nad wszystkim, co było na ziemi, opierał je o ziemię. Pani Andrzejowa splecione ręce na stół opuściła i długo wpatrywała się w ten portret syna, który przed sześciu laty wzbudzał w niej doskonałe zachwycenie i wzniecał cudowne nadzieje. Dziś nagle w tych ściągłych, ładnych rysach dostrzegła chłód i uderzył ją wyraz kaprysu te wargi otaczający. Uczyniła ręką ruch taki, jakby natrętną marę nie wiedzieć skąd zjawiającą się przed nią odegnać chciała. Ale ta mara wysuwała się nie z próżni urojenia, lecz z długich spostrzeżeń i uwag, które od czasu stałego osiedlenia się w Osowcach Zygmunta na kształt roju ostrych żądeł kąsały jej duszę. Osłupiałymi oczami wpatrywała się wciąż w portret.

„Nie kocha jej! po dwóch latach małżeństwa już jej nie kocha! Czy on naprawdę kogokolwiek i cokolwiek kocha?”

Pytanie to dla tej kobiety, która sama tak niezmiernie i wiernie kochać umiała, posiadało wagę ogromną. Mieszcząca się w nim wątpliwość była dla niej taką wątpliwością, którą ludzie odczuwają u śmiertelnego łoża swoich najdroższych. Nie z większą boleścią nad złożonym ciężką chorobą synem zapytywałaby siebie: „Wyżyje czy nie wyżyje?” Ona widziała ludzi umierających z wielkich miłości i czciła ich jak świętych, człowiek bez miłości, choćby małych, powszednich, wydawał się jej trupem.

Wzrok podniosła na jedną ze ścian w połowie prawie okrytych rysunkami i malowidłami syna w różnych porach życia jego wykonanymi. Widokiem tym chciała może upewnić siebie, że posiada on nie tylko to, co poczytywała ona za życie człowieka, ale i to, co jest życia płomieniem i skrzydłami. Artystą był przecież, kochał sztukę! Ale to, na co patrzała, było tylko pacholęcymi próbami, tu, przy tym stole, pod jej okiem dokonywanymi. Gdzieniegdzie zaledwie, wśród tych dziecinnych prawie zabawek, ukazywały się roboty dojrzalszego wieku z dalekich krajów przesłane lub przywiezione: jakaś główka kobieca, jakieś studium martwej natury, jakiś drobny pejzażyk z niewolniczą wiernością z kawałka obcej ziemi zdjęty. Drobnostki zdradzające bladość wyobraźni i wielkie wysilenia nierozgrzanej ręki. Nicość pomysłów, mozolność, a przecież i niedokładność wykonania, żadnego śmiałego rzutu myśli ani oryginalnego uderzenia pędzla — nic osobliwego. I było to już wszystko, oprócz tego jednego obrazka, który przed czterema laty skrzesał nad jego głową pierwszy promyk sławy. Drugi po nim nie przybył — i nawet nie zaświtał. Dlaczego? Nie byłżeby on naprawdę artystą?

Spokojną zwykle tę twarz kobiecą wykrzywił strach i ból, blade jej czoło

zarumieniło się pod uderzającą w nie falą krwi, białe ręce kurczowo ścisnęły kartę rozwartego na stole dziennika. Widać było, że twierdzące odpowiedzi na pytania, które jak przeraźliwe błyskawice umysł jej przerznęły, byłyby dla niej gromem…

W pełni słonecznego blasku, który tego dnia sierpniowego świetny, ale łagodny spływał z nieba bez skazy, suchą i niedawno skoszoną łąką szedł Zygmunt Korczyński. Równinę, jak okiem sięgnąć szeroką a jak szmaragd zieloną, przepasywały dwie wstęgi rzek zbiegających się ze sobą na dalekim punkcie firmamentu, a usiewały grupy drzew i krzewiastych zarośli, które tę łąkę czyniły podobną do parku rozległego, zasadzonego ręką przez bujną fantazję kierowaną. Pełno tu było blasków i zmroków, rozłożonych na trawach misternych rysunków cieni, złotych deszczów pomiędzy liśćmi, świateł w różnym stopniu natężenia, szczebiotu ptactwa, metalicznego brzęczenia owadów, aromatycznych woni bijących w powietrze nabierające już kryształowej przejrzystości zbliżającego się początku jesieni. Pośród tego wszystkiego Zygmunt postępował mierzonym krokiem doskonale przyzwoitego człowieka, który z przyzwyczajenia i z umysłu w zupełnej nawet samotności nie rozstaje się z umiarkowaniem i gracją poruszeń. Szedł coraz powolniej, a gdy w żurnalowym ubraniu, obcisłym i kosztownym, w płytkim obuwiu, które połyskiwało na słońcu, i ukazujących się zza niego cielistych kamaszach, spod mrużącej się trochę wzgardliwie powieki dokoła spoglądał, każdy wziąć by go musiał za turystę zwiedzającego ziemię obcą i ukazującą się mu w postaci bardzo ubogiej albo za mieszkańca wielkiego miasta wypadkiem pośród natury dzikiej i nieznanej zabłąkanego.

Teka, którą niósł pod ramieniem, zdradzała intencje rysowania. Istotnie, przed kilku dniami spostrzegł tu był o tej samej godzinie w pewnej grupie olch pewne rysunki gałęzi i efekty światła stworzone jakby ku rozkoszy i natchnieniu pejzażysty. Zbyt długo uczył się sztuki malarskiej, zbyt wyłącznie skierowywał ku niej marzenia i ambicje swoje, by mógł nie być zdolny do spostrzeżenia pięknego zjawiska natury i poświęcenia mu choćby chwil kilku uwagi. Dziś właśnie przed wyobraźnią mignął mu pejzażyk przed kilku dniami spostrzeżony; uczuł w sobie dawno nie zaznane ciepło i co prędzej udał się na łąkę. Może, może na koniec przyszła chwila rozpoczęcia po czteroletniej przerwie nowego dzieła, drobnego wprawdzie, drobnego, ale które stanie się przerwą w nudzie i chłodzie jego życia, a zapewne i szczeblem ku dziełom większym. Po półgodzinnym przebywaniu łąki, w czasie którego krok jego stawał się coraz powolniejszy, a wzrok coraz więcej wzgardliwy i znużony, znalazł się tam, dokąd dążył. Stanął i patrzał. Było to zupełnie to samo, co widział przed kilku dniami, te same misterne rysunki liści, te same ciekawe oświetlenia podnóży i szczytów drzew, ta sama żółta wilga kołysząca się na gałęzi w głębokim cieniu. Z rana przez parę minut marzył o tym obrazku, teraz stał przed nim obojętny, samego siebie zapytując, co w nim dojrzeć mógł szczególnego.

Drobna iskierka, którą przed paru godzinami uczuł w sobie, zgasła i nie czuł już nic prócz chłodu i zniechęcenia, które gniotły go od dawna. Oglądał się dokoła i myślał, że wszystko tu takie proste, pospolite, ubogie, blade. Światłocienie w tych olchach są wprawdzie dość piękne i mogą posłużyć za materiał do studium z natury, ale spróbuje przenieść je na płótno potem, kiedykolwiek… Dziś nie. Znudziła go swoją wieczną czułością i nie milknącym szczebiotem Klotylda, ostudził widnokrąg płaski, ubogi, choć niby dość bogatą roślinnością ozdobiony… Przewiduje na koniec jedną z najprzykrzejszych dla niego rzeczy: wieczorną rozmowę z rządcą o gospodarstwie. Przewidywanie to truje go po prostu, odbiera mu chęć nie tylko do malowania, ale prawie do życia.

Opuścił grupę olch i zmierzał ku okopom, które łańcuchem niskich wzgórz część łąki przerzynały. Jedno z tych wzgórz, szeroko rozkopane, z dala świeciło żółtością piasku czy gliny. Stanął przed tym otworem i myślał, jak powolną i nudną jest robota wygrzebywania z ziemi przedmiotów spoczywających w niej przez stulecia. Do tej roboty zapłonął był przed paroma miesiącami, ale wcale czego innego spodziewał się od niej niż to, co otrzymał. W szkole sztuk pięknych od niechcenia przebywanej, od niechcenia przerzucał starożytne księgi, a rysowane na ich kartach wykopaliska niejednokrotnie wzbudzały w nim ciekawość i przyjemne rozkołysanie fantazji. Wiedział wprawdzie, że tu nie po gruncie starożytnej Hellady lub Romy stąpa, jednak wyobrażał sobie, że znajdzie, jeżeli nie czary, ornamenty i posągi, to przecież zawsze coś szczególnego, co fantazji jego poda złotą kądziel. Do poszukiwań tych zachęcał go także mąż ciotki, Darzecki, z urzędu wysoce cywilizowanego człowieka, za jakiego się poczytywał, we wszelkich osobliwościach rozlubowany, a w geniusz żoninego synowca, chociażby dla honoru familii, świętą wiarą wyznający.

Przez pewien tedy szereg dni obaj wytrwale stawali nad wzgórzem, które kilkunastu najemników rozkopywało, potnieli od upału, prawie ślepli od rozpatrywania każdej wyrzuconej przez rydel grudki ziemi, cieszyli się i nużyli, spodziewali się i zniechęcali, aż zniechęcenie i znużenie przemogło, roboty około starych okopów zaniechane zostały. Bo i cóż z nich wynikło? Po kilku tygodniach Zygmunt pomiędzy rupieciami napełniającymi jego pracownię umieścił kilkadziesiąt sczerniałych monetek wpółzatartym herbem Szwecji opatrzonych, a Darzecki uwiózł do domu rdzą przegryziony i podziurawiony pałasz. Rzeczy podobnych w okopach mnóstwo zapewne znajdować się musiało i badacz historii mógłby z nich zrobić niejaki użytek. Dla Zygmunta jednak nie przedstawiały one nic ciekawego ani ważnego. Gdyby to były urny do chronienia popiołów ludzkich, łzawnice[290], dziwnych kształtów naszyjniki, przedhistoryczne czaszki, może by językiem tajemniczości lub malowniczości do wyobraźni jego przemówiły. Stojąc teraz przed żółtym otworem rozkopanego wzgórza, niechętny gest ręką uczynił. Wszystko tu, na tej ziemi, było takie biedne, marne, prozaiczne, nic wcale znaleźć na niej nie mógł takiego, co by dogadzało jego

estetycznym i towarzyskim potrzebom. Marniał tu, po prostu marniał. Jedyną usługą, jaką oddało mu kilkotygodniowe zajmowanie się tymi okopami, było to, że więcej mając fizycznego ruchu schudł był trochę. Myśląc o tym spojrzał po własnej postaci. Utył znowu! Rzecz dziwna! Od czego on tyć może? Nudzi się, martwi się, tęskni, a jednak tyje! Cerę twarzy ma wprawdzie bladą i znużoną, ale postać jego, szczególniej w środkowym punkcie, zaokrągla się i pełnieje. Na lat trzydzieści i jeden jest stanowczo zbyt ciężki. Kto w tym wieku tak wygląda, za lat dziesięć najpewniej będzie otyły. Myśl ta wprawiała go w rozpacz. Otyłość jest szpetnością, a wszelka szpetność budziła w nim obrzydzenie. Czyliż męczarnie duchowe nie przeszkadzają ciału nabywać kształtów prozaicznych? Wprawdzie wyborny osowiecki kucharz mistrzowsko umie łączyć kuchnię francuską z polską…

Nagle odskoczył od rozkopanego wzgórza i daleko żywszym krokiem niż wprzódy z powrotem ku domowi dążyć zaczął. Przyczyną tego szybkiego odwrotu była gromadka ludzi, którzy od strony wsi, na krańcu łąki szarzejącej, ścieżką pomiędzy zaroślami udeptaną kierowali się w stronę okopów. Na ich widok znużone przedtem oczy Zygmunta, piękne, piwne oczy w podłużnej oprawie, napełniły się wyrazem prawie przestrachu. Może ci ludzie nie ku niemu szli, ale może i ku niemu, a on wolał o wiele zejść im z drogi i skryć się przed nimi w ścianach swego domu, w które bez pozwolenia jego wejść nie mogli. Gotowi byli jeszcze zapytywać go o co albo prosić, jak się to już niejednokrotnie ku utrapieniu jego zdarzało. Takie spotkania i rozmowy utrapieniem były mu nie dlatego, aby miał on względem ludzi tego rodzaju nienawiść, niechęć, urazę, ale właściwie dlatego, że byli mu oni tak doskonale obojętnymi, jak na przykład płynące pod niebem stada obłoków. I więcej jeszcze, bo obłoki bywają piękne i on czasem grze ich świateł i barw przypatrywać się lubił, ci zaś ludzie z grubymi kształtami i rysami są zawsze szpetni, a siermięgi[291] ich czy kożuchy śmierdzą. Rozmawiać z obojętnymi rzecz to zwykle fatygująca. Po prostu lenił się fatygę tę ponosić i nie widział najmniejszej przyczyny do zadawania jej sobie. Wprawdzie byli to ludzie, ale najpewniej też wcale innego niż on gatunku. Że ród ludzki rozłamał się na dwie zasadniczo różne z sobą ludzkości: tę, którą składali tacy ludzie, i tę, do której on i jemu podobni należeli, nie przedstawiało to dla niego wątpliwości żadnej. Zresztą, myślał o tym rzadko, przypadkowo, przelotnie i niewiele go to wszystko obchodziło.

Wchodząc na wschody swego domu spotkanemu lokajowi rzucił krótki rozkaz:

— Śniadanie podawać!

Czuł się bardzo nieszczęśliwy i bardzo głodny.

Pracownia młodego pana domu w Osowcach była pięknym pokojem z oknami dającymi tyle i takiego światła, ile i jakiego wymaga praca malarska. Mnóstwo w nim znajdowało się rzeczy różnych: sztalugi z rozpiętym i białą firanką osłoniętym płótnem, stosy tek, rysunków,

szkiców, marmurowe i gipsowe posążki, popiersia, grupy, kawałki spłowiałych makat i staroświeckich materii, kilka oryginalnych kanapek do siedzenia lub do leżenia urządzonych, kilkanaście pięknych roślin w kosztownych wazonach — wszystko to z pozorną niedbałością rozstawione i rozrzucone, na koniec, w jednym z rogów pokoju śliczna szafka świecąca zza szkła różnobarwną oprawą paruset książek. Były to raczej książeczki niż książki małe, ozdobne, lekkie. Panowały w nich poezja i powieść, jedna i druga w specjalnym i prawie wyłącznym gatunku: trochę tylko poetów polskich, zresztą zmysłowy Musset, tu i ówdzie Wiktor Hugo[292], wiele rozpaczliwego Byrona[293], sercowy Shelley[294], uperfumowany Feuillet[295], pesymista Leopardi[296], najniespodziewaniej spotykające się z tym poetą-myślicielem bajki starego Dumasa[297], awantury bezmyślnej Braddon[298], jeszcze coś z dzisiejszych ulubieńców francuskiej arystokracji: Claretiego[299], Craven[300] etc., etc.

Przed tą szafką, śliczną jak cacko, książkami do cacek podobnymi napełnioną, Zygmunt Korczyński stanął po krótkiej przechadzce wzdłuż i wszerz pracowni odbytej. Tylko co zjadł śniadanie w towarzystwie zapłakanej żony i matki, która wprawdzie z zupełnym spokojem jaką taką rozmowę przy stole utrzymywała, ale dziwnie bacznie wpatrywała się w niego. Zapłakane oczy żony i przenikliwe spojrzenia matki do reszty humor mu zepsuły. Czuł gwałtowną potrzebę czegoś, co by go rozerwało, pocieszyło, silnym jakimś wrażeniem omdlewającą istotę jego wstrząsnęło. Chciał malować — malować chciał zawsze, bo w sztuce, o której rojenia pochłonęły mu całą młodość, widział jedyne swoje przeznaczenie i jedyny piedestał, który mógł go umieścić wysoko… Dziś przecież, tak jak od czterech lat zawsze i co dzień, nie mógł wydobyć z siebie nic: żadnego pomysłu, żadnego ciepła, żadnej energii. Po krótkim okresie najpierwszej młodości, w którym zdawało mu się, że tworzy, i raz nawet coś drobnego, lecz niejaką wartość mającego utworzył, nastąpiła impotencja ciągła i zupełna. Wiedział o tym, że po widnokręgach sztuki przelatują często meteory natchnień słabych i niedokrwistych, które raz błysnąwszy nie wracają już nigdy, że w ambitnych szczególniej głowach bywają miraże natchnień, a wytężona ku jednemu celowi praca sprowadza czasem jeden jakiś wysilony i odradzać się nie mogący owoc. Ale nigdy ani na mgnienie oka nie pomyślał, że te meteory, miraże, ułudy jego tyczyć się mogą. O niemotę swego geniuszu oskarżał świat zewnętrzny. Od zewnętrznego świata oczekiwał wszystkiego i na niego zwalał wszystkie winy. Nie przychodził mu na myśl ani Tasso[301] wielką pieśń swoją snujący w celi więziennej, ani Milton[302] śpiewający o raju w wiekuistych ciemnościach ślepoty. Nie przychodziło mu na myśl, że w każdej fali powietrza, światła, woni, w każdym kamyku przydrożnym i każdej trawie polnej, w liniach każdego ludzkiego oblicza i westchnieniu każdej piersi ludzkiej tkwi cząstka duszy świata, niewidzialnymi nićmi połączona z duszą artysty i w ruch ją wprawiać mogąca, jeżeli tylko naprawdę jest to dusza artysty. On

był pewny, tak pewny, jak tego, iż żył i oddychał, że trzeba mu było gór, skał, mórz, puszcz, gorących szafirów niebieskich, nagich modeli, fantastycznych draperii, gwaru, gorączki, gonitwy, aby czuć, myśleć i tworzyć. Gdyby świat zewnętrzny oblał go jakim wielkim bogactwem i ugodził weń jakimi piorunami wrażeń… Tu, niestety, niestety! nic nie czyniło na nim wrażenia żadnego… Chodząc po swej pracowni, obu rękami, jak nieraz już bywało, pochwycił się za włosy… Był to gest gniewu czy rozpaczy, czy obu tych uczuć razem…

Przy tym zjedzone przed chwilą śniadanie uczyniło go nieco ciężkim. Ten kucharz — przed samym ożenieniem się jego do Osowiec przybyły — doskonale gotował. Matka jego poprzestawała dawniej na starych i trochę już niedołężnych sługach, ale dla młodych państwa wszystko w domu odnowione i ulepszone zostało. Z takiej kuchni, jaka tu była teraz, niewidzialnie sączył się w żyły ludzkie ociężający olejek sybarytyzmu[303]. Po półgodzinnym łechtaniu podniebienia wybornymi sosami i słodyczami uczuwało się potrzebę wyciągnięcia ciała na elastycznej kuszetce[304], ponętnie ustawionej śród palm i dracen[305].

Zbliżając się do szafki z książkami Zygmunt spojrzał po swojej postaci. Tyje, stanowczo tyje! Co chwilę porywała go złość lub rozpacz jednak tyje! Wina to braku wrażeń. Czymże, jeżeli nie opasłym wołem, stać się może człowiek wszelkich wrażeń pozbawiony?

Wpółleżąc na elastycznej kuszetce przerzucał tomik poezji Leopardiego, którego niezgłębiony smutek zgadzał się z dzisiejszym od dość dawna zresztą trwającym jego usposobieniem. Wszystkie westchnienia, łzy, zwątpienia wielkiego pesymisty stosował do siebie. Czytając o nicości i rozpaczy powszechnego życia myślał o swoim życiu. Nie spostrzegł, że drzwi pracowni otwierały się parę razy, a zza nich wyglądała i wnet znowu cofała się piękna kobieca główka, w misterne puchy złocistych włosów i różowe astry ubrana. Parę razy główka ta zajrzała i cofnęła się aż na koniec, równie cicho jak przedtem drzwi otwierając, do pracowni weszła Klotylda. Trochę jeszcze zapłakane jej oczy nieśmiało i prawie pokornie utkwiły w twarzy męża, który od kart książeczki wzroku nie odrywał. Na młodziutkiej jej twarzy malowało się pytanie: „Podejść do niego czy nie podejść? Przemówić czy nie przemówić?” Wahała się z tym nie dlatego, aby jeszcze czuła gniew lub urazę… Wprawdzie nie obdarzył on ją dzisiaj ani jednym serdecznym słowem lub choćby spojrzeniem i zdawał się nawet nie słyszeć tego, co ona do niego mówiła, wprawdzie obojętność ta, którą zresztą okazywał on jej teraz prawie zawsze, rozgniewała ją i rozżaliła tak bardzo, że przez całe dwie godziny snuła w ciężko zmartwionej swej głowie mnóstwo dziecinnych zamiarów wyjazdu, rozstania się, nawet samobójstwa. Ale żyć w nieporozumieniu z nim dłużej nad dwie godziny — przechodziło jej siły. Z natury była łagodna i łatwo przebaczająca. Pragnęła teraz pogodzenia się i choć jednej godziny pogodnego przestawania z nim sam na sam. Gdyby tylko wzrok podniósł na nią, z okrzykiem radości

rzuciłaby się mu na szyję. Ale on nie spostrzegając czy udając, że nie spostrzega jej obecności, patrzał ciągle w książkę. Szafirowe jej oczy, blaskiem, głębią, zdradzające temperament żywy i namiętny, były teraz bardzo strwożone, zmącone. Delikatne ramiona wzdłuż zgrabnej kibici opuściła i stała chwilę pośród pracowni, wahająca się, nieśmiała, rozkochana aż na usta jej wybiegł figlarny uśmiech. Na palcach, cichutko, zbliżyła się do sztalug i odchylając zawieszone na nich płótno, odsłoniła własny na wpół wymalowany portret. Posiadać swój portret ręką męża wykonany było od dnia zaręczyn z Zygmuntem ciągłym jej marzeniem. Po roku bezczynnego życia w Osowcach Zygmunt malować go zaczął, lecz dotąd nie skończył, robotę około rozpoczętego dzieła z dnia na dzień odkładając. Przed tym niedokończonym, lecz już dość wyraźnym wizerunkiem swoim Klotylda złożyła naprzód dyg głęboki, a potem przemawiać do niego zaczęła:

— Dzień dobry pani. Dlaczego pani dziś taka smutna? Czy dlatego, że ktoś malować pani już nie chce? Ktoś jest bardzo niedobry. Wie on dobrze, że pani go kocha, kocha, kocha, a nie chce zapomnieć małego pani uniesienia i nadyma się, milczy, w książkę patrzy, kiedy pani przyszła i z całego serca pogodzić się już pragniesz… Biedna pani! Czy pani już nie kochają? O, nie, niech pani tak nie myśli, bo byłoby to zbyt bolesne… Ktoś jest tylko trochę kapryśny, trochę znudzony, ale niestały nie jest… I za cóż miałby przestać panią kochać? Przecież nie zmieniłaś się wcale na gorsze… owszem, trochę wyładniałaś jeszcze, a co do serca, tego nie odebrałaś mu dotąd ani cząsteczki… ani kropelki… ani iskierki…

Łzy kręciły się w jej oczach, a w głosie drżał śmiech. W dziecinnym jej figlowaniu czuć było zaczynające rozdzierać się od zwątpienia serce kobiece, z ruchów jej, gestów, mimiki bił niewymowny wdzięk. Przed dwoma laty ten jej wdzięk wesoły i pełen gracji wprawiał Zygmunta w zachwyt pod jego to wpływem, zarówno jak pod wrażeniem pięknej gry na fortepianie i śpiewu Klotyldy, rozpoczął on był małżeństwem uwieńczone staranie się o wypieszczoną i dość posażną jedynaczkę. Ale od tego czasu minęły dwa lata. Teraz uśmiechnął się wprawdzie, ale ze znudzenia i lekceważenia więcej niż z przyjemności.

— Przeszkadzasz mi, Klociu — przemówił.

Na dźwięk jego głosu frunęła ku niemu i z gracją przed nim przyklękła.

— Przemówiłeś na koniec! Widzisz, ja pierwsza, ja, kobieta, przyszłam, aby pogodzić się z tobą. Powinno być przeciwnie, ale mniejsza o to! Kiedy się kocha, nie zważa się na miłość własną. Popatrz na mnie długo, dobrze, serdecznie, jak teraz rzadko patrzysz i podaj mi rękę…

Nie tylko wziął jej rękę, ale dość czule ją pocałował.

— Więc nie jesteśmy już pogniewani? — z wybuchem radości zawołała.

— Ach, nie! tylko… przeszkadzasz mi trochę…

Znowu onieśmielona zaczęła:

— Zdawało mi się, że nic nie robisz, bo przecież przerzucanie tej

książki, którą znasz dobrze, nie jest robotą…

— Wiele razy już ci mówiłem, że choć żadną pozytywną robotą zajęty nie jestem, nie idzie za tym, abym nic nie robił. Myślę… marzę… Wszak to materiał do przyszłej pracy…

— To prawda — z powagą odpowiedziała — wiem o tym dobrze, ale jestem tak żywa… Czy chcesz zostać zupełnie samotny? W takim razie odejdę…

Może uległością jej ujęty, uprzejmie przemówił:

— Owszem. Miło mi zawsze, gdy blisko mnie jesteś…

Twarz i nawet ręce jego pocałunkami osypała, ale wnet zerwała się z miejsca.

— Dobrze. Mój Boże, jak to dobrze! Wezmę sobie książkę i cichutko tam w kątku sobie posiedzę… Kiedy już będziesz miał czas, razem może poczytamy, a po obiedzie na przechadzkę pójdziemy, znowu razem… la, la, la, la, la!

Piękny jej głos napełnił pracownię radosną, krótką gamą z mozaikowatej płyty stolika wzięła małą książkę i na palcach szła z nią ku kanapce w przeciwległym rogu pokoju stojącej, gdy nagle usłyszała głos Zygmunta :

— *Tiens, tiens! Clotilde*[306]! pokaż mi tę książkę, którą trzymasz… co to?

— Trzeci tom Musseta — z trochą zdziwienia odpowiedziała.

— Skąd on się wziął tutaj? — książkę z rąk żony biorąc badał dalej. — Jakim sposobem mogłem nie spostrzec go na stole?…

Młoda kobieta chmurnie na męża popatrzała. Twarz mu ożywiła się dziwnie nagle, a oczy, przygasłe wprzódy, błyskały.

— Książkę tę — zaczęła z wolna — odwieziono tu przed kilku dniami z Korczyna… Wzięłam ją sama od posłańca i tu położyłam… Musiałeś ją pożyczać stryjence, pannie Teresie czy…

Po ozdobny tomik rękę wyciągnął.

— Daj mi to, a sama do czytania weź co innego, wszak ci to wszystko jedno…

— Zupełnie wszystko jedno — odpowiedziała i podjąwszy tomik Leopardiego, który Zygmunt na posadzkę upuścił, usiadła z nim w przeciwległym rogu pokoju. Wesołość jej, szczęście, jednym serdecznym słowem męża obudzone, znikły bez śladu. Domyśliła się, komu w Korczynie pożyczona była ta książka…

Karty tej książki Zygmunt przerzucał teraz niecierpliwie, prawie gorączkowo, na nich i pomiędzy nimi czegoś szukając. Ta, której poezje te przesłał, pragnąc przez nie wspomnienia jej obudzić i uczucia wskrzesić odesłała mu je przy pierwszej zapewne sposobności bez słowa odpowiedzi na list, który towarzyszył książce. Może jednak pomiędzy jej stronicami znajdzie jaką kartkę albo na stronicach jaki wiersz, wyraz przez podkreślenie w znak porozumienia zamieniony. Szukał, nie znajdował nic, ale w zamian Justyna jak żywa stanęła mu przed wyobraźnią i dreszcz

uczutego wrażenia przebiegł po ciele. Wtem w przeciwległym rogu pokoju głos kobiecy, trochę ostry i szyderski, przemówił.

— Czy słyszałeś o tym Zygmuncie, że panna Orzelska wkrótce zapewne za mąż wyjdzie?

Prędkim ruchem twarz ku mówiącej zwrócił.

— Za kogo? — rzucił krótko.

— Za pana Różyca — odpowiedziała.

Zygmunt wpółleżącą postawę na siedzącą zmienił.

— *Quelle idée*[307]! — zawołał. — Różyc nie ożeni się z nią nigdy!

— Owszem — sucho i ostro twierdziła młoda kobieta — podobała mu się od razu i coraz więcej się podoba. *Elle a de la chance, cette… cette… cette… rien du tout*[308]! Pani Kirłowa, która ma wielki wpływ na kuzyna, nad skojarzeniem tego małżeństwa pracuje i od pana Kirły słyszałam, że zdecydowanie się na nie pana Różyca jest tylko kwestią czasu.

Z krzywym trochę uśmiechem Zygmunt powtórzył:

— *Impossible*[309]! Co? Ona, ten model na silną Dianę[310], miałaby wyjść za tego młodego starca!…

Niedbale śmiejąc się chodzić zaczął po pracowni, ale oczy miał chmurne i błyskające pod ściągającymi się brwiami. Klotylda wodziła za nim wzrokiem i tym samym co wprzódy, suchym, ostrym, ironicznym głosem mówiła, w nieskończoność mówiła o nadzwyczajnym, cudownym szczęściu, jakim takie zamążpójście byłoby dla takiej panny Orzelskiej… Bo czymże ona była? Córką opasłego, idiotycznego ojca, rezydentką siedzącą na łasce krewnych, prostą, zupełnie prostą dziewczyną, bez układu, wdzięku, dowcipu i jakiegokolwiek talentu. Gra nieźle, ale jak po francusku mówić zacznie, to aż uszy bolą… *Une fille sans naissance et sans distinction… une rien du tout…*[311] Nie wiadomo nawet, co Różyc zrobi, gdy się z nią ożeni, i jak ją w świecie będzie mógł pokazać… Chyba przede wszystkim na pensję jaką ją odda… Model na Dianę! Zapewne, zdrowa jest i silna, jakby była przebraną chłopką, ale ręce ma wiecznie opalone, jakby nigdy w życiu rękawiczek nie nosiła… Czy malarze wyobrażają Dianę w postaci rezydentki z opalonymi rękami?

Pierś młodej kobiety szybko podnosiła się i opadała, gdy z drobnych jej ust sypały się te wszystkie złośliwe i obelżywe słowa. Roziskrzonymi oczami nie przestawała ani na chwilę wodzić za mężem, który przechadzając się ciągle, zdawał się nie widzieć jej ani słyszeć. Pociągnął taśmą dzwonka i lokajowi, który zjawił się natychmiast, rzucił w zwykły sobie sposób krótki rozkaz:

— Konie zaprzęgać!

Lokaj zniknął za drzwiami, Klotylda porwała się z kanapki.

— Jedziesz! — z żalem zawołała.

Ironia i złośliwość, które wrzały w niej przed chwilą, znikły bez śladu, czuła już tylko, że mąż jej odjedzie i cały jej plan dnia szczęśliwie z nim spędzonego pierzchnie.

— Muszę — obojętnie odpowiedział Zygmunt.

— Dokąd? — zapytała znowu i ramionami objąć go próbowała, ale on twarzą zwracając się ku oknu, po paru sekundach milczenia odpowiedział:

— Do Korczyna!

Zbladła i znieruchomiała.

— Zygmusiu…

Głos jej był teraz cichy, zdławiony.

— *Que veux tu, chére enfant*[312].

— Ty tam nie pojedziesz, Zygmusiu…

Szybko zwrócił się ku niej i z głębokim zdziwieniem zapytał:

— Dlaczego?

— Dlatego… — zaczęła — dlatego…

I nie dokończyła. Strwożyła się, czy też ogarnął ją wstyd.

— Dawno nie odwiedzałem stryja i mam do niego interes. Czy chciałabyś, abym zerwał stosunki z moim stryjem?

— O, nie, nie! — z wybuchem zawołała — niech Bóg broni, abym wnosiła niezgodę do rodziny, w którą weszłam!

— Czegóż więc sobie życzysz?

Bladła i rumieniła się na przemian. Nie mogła, nie chciała być zupełnie szczera. Duma i skromność usta jej zamykały. Wreszcie z płaczem prawie wybuchnęła:

— Więc przynajmniej weź mnie z sobą!

— I to jest niepodobne — perswadował. — Wiesz dobrze o słabym zdrowiu i dziwactwach stryjenki… częstych wizyt składać jej nie wypada…

— To prawda — szepnęła mnąc i rozdzierając w palcach cieniutką chusteczkę. Najmniej baczne oko spostrzec by musiało, że bardzo cierpiała.

— Jaki ty masz do stryja interes, Zygmusiu? — zapytała jeszcze, a niespokojne jej oczy tonęły w twarzy męża z takim natężeniem, jakby za cenę życia wyczytać z niej chciała prawdę.

Uśmiechnął się.

— Zmuszasz mnie do mówienia ci o rzeczach niezajmujących… Poradzić się chcę stryja co do zmian, jakie zaprowadzić należy przy zamienianiu gospodarstwa ekstensywnego na intensywne…

Znowu zamknął jej usta, że nic odpowiedzieć nie umiała. Po krótkim więc wahaniu zarzuciła mu tylko ręce na szyję i lgnąc do niego całym swym lekkim, zgrabnym ciałem, z błaganiem szeptała:

— Dziś tam nie jedź… o mój jedyny… tylko dziś… proszę… proszę!

Zygmunt łagodnie uwolnił się z jej objęcia, pocałował ją w czoło, dłonią parę razy po włosach jej powiódł i z tabureta biorąc kapelusz wymówił:

— Do widzenia! *Ne déraisonnez pas, ma mignonne*[313]! Za kilka godzin przecież powrócę!

Wyszedł z pracowni. U podjazdu turkotały już koła powozu. Klotylda stała chwilę pośrodku pracowni z obwisłymi na suknię rękami, z przygryzioną wargą, bez kropli, zda się, krwi w twarzy i po kilku dopiero

minutach za głowę się pochwyciła.

— Do niej pojechał! — zawołała.

Z szybkością strzały przebiegła parę salonów i do pokoju matki męża wbiegając wybuchnęła płaczem.

Pani Andrzejowa siedziała na tym samym co przed kilku godzinami fotelu, ale nie nad robotą pochylona. Na kolanach jej leżała rozłożona książka, a u kolan na niskim stołeczku siedziało kilkoletnie dziecko, dziewczynka w grubej spódniczce i perkalowej chustce na głowie. Jednym z zajęć, którym wdowa po Andrzeju Korczyńskim oddawała się od lat dwudziestu kilku, było uczenie wiejskich dzieci. W obszernym dworze i wsiach najbliższych pełno było dorosłych już teraz ludzi, którzy w dzieciństwie swoim codziennie przez czas jakiś wchodzili do jej pięknego pokoju i dłużej lub krócej u kolan jej przesiadywali. Zstępować ku nim, mieszać życie swoje z ich życiem ani mogła, ani chciała. Przechodziło to jej siły i od dawna już przekonała siebie, że obowiązkiem nie było. Ale te dzieci czysto, na tę przynajmniej chwilę, ubrane, czasem ładne, często dobre, nie raziły wcale jej smaku i przyzwyczajeń, pracując zaś nad nimi myślała, że spełnia zakon[314] miłości bliźniego, nade wszystko zaś, że łączy się z Andrzejem w tym, co było jego najukochańszą ideą. Myśl o tej niewidzialnej łączni, którą przez pracę wytwarzała pomiędzy nim a sobą, sprawiała jej przejmującą, mistyczną rozkosz. Od dawna nieobecny i niepowrotny, nie przestawał on być dla niej natchnieniem i celem.

Kiedy drzwi otworzyły się ze stukiem i śliczna kobieta w różowej sukni z nadaremnie tłumionym płaczem do pani Andrzejowej przypadła, dziewczynka cichutko wysunęła się z pokoju. Po raz pierwszy Klotylda powierzała matce męża swoje obawy i żale, ratunku i rady od niej wzywając, a po części za los swój odpowiedzialną czyniąc. Tę odpowiedzialność pani Andrzejowa czuła i uznawała sama. Ona to na wezwanie Zygmunta pośpieszyła w strony zamieszkiwane przez rodziców Klotyldy i wahających się nieco skłoniła do powierzenia jej synowi siedemnastoletniego, pięknego, utalentowanego dziecka. Urodzenie, stosunki rodzinne, posag, same nawet muzykalne zdolności starannie rozwijane i które w przyszłości wzrastać jeszcze mogły, zapowiadały Klotyldzie przyszłość świetną. Miałażby ona teraz, z winy jej syna, być nieszczęśliwa? Wina jego ciężko spadała i na serce jej i na sumienie. Wiedziała aż nadto, że skargi młodej kobiety były słuszne, rozumiała wybornie, że cierpienie jej było dotkliwe i niezasłużone. Drżała na myśl, czym stać się mogło to dziecko zbytku i pieszczot, gdyby miłość jego dla męża, jedyna, na jaką zdobyć się mogło, nieodwzajemniona, zdeptana, zagasła. Na swoim, i więcej niż na swoim, bo na syna swojego sumieniu czuła odpowiedzialność nie tylko już za szczęście, ale i za duszę tej niewinnej dotąd i kochającej istoty ludzkiej. W samej sobie nosząc wierność niezłomną, syna po prostu zrozumieć nie mogła. Przed dwoma laty przecież widziała go zakochanym w Klotyldzie. Jednak o wystygnięciu

tego uczucia wiedziała z większą jeszcze pewnością niż sama Klotylda. Przed dwoma miesiącami odprawiła jedną ze swych służących, którą Zygmunt nazywał modelem do Fryny[315] i w której towarzystwie parę razy spostrzegła go była w parku. A teraz te wycieczki do Korczyna? Kochałżeby on naprawdę Justynę, a miłość dla Klotyldy byłażby w nim tylko omyłką zmysłów czy wyobraźni? Ależ gdyby ją kochał prawdziwie i silnie, byłby ją pojął za żonę! Ona małżeństwa tego nie chciała, sprzeciwiała się mu, to prawda, przymusu jednak na jego wolę, gdyby ją był stanowczo objawił, nie wywierałaby nigdy. Sam wahał się, namyślał, chciał i nie chciał, na koniec odjechał i zdawało się, że o wszystkim, co go z Justyną wiązało, zapomniał. Teraz jednak… znowu… Co to wszytko znaczyło?

Czule, macierzyńsko obejmowała synową, głowę jej do piersi tuliła i z łagodnym spokojem pocieszała ją wszystkim, czym mogła, o jej obawach i cierpieniach poważnie z Zygmuntem pomówić przyrzekała, a na dnie duszy snuła rozpaczliwe myśli i pytania. Kiedy młoda kobieta, której uczynione zwierzenia, a także pieszczoty i obietnice matki ulgę przyniosły, blada i spłakana, ale już znowu uśmiechająca się do życia, wyszła do ogrodu, aby ulubione kwiaty swe obejrzeć, pani Andrzejowa powstała i poruszyła stojący na stole dzwonek.

— Dokąd pan Zygmunt pojechał? — zapytała zjawiającego się we drzwiach lokaja.

Miała jeszcze trochę nadziei, że pojechał nie do Korczyna, a usłyszawszy odpowiedź, która jej tę nadzieję odbierała, po chwilowym milczeniu rzekła jeszcze:

— Kiedy powróci, powiedz, że proszę, aby zaraz przyszedł do mnie.

Po odejściu służącego długo sama jedna stała pośrodku pokoju z rękami splecionymi i opartymi o stół, pełen dzienników i książek. Na blade jej policzki wystąpiły plamy ognistych rumieńców. Wrzała w niej burza zgrozy i niezmiernego żalu. Zbyt wiele w samotności rozważała i myślała, aby miłość i nawet namiętność wzrok jej utrzymać mogły w wiecznej ślepocie. To zaś, co niezupełnie jeszcze dokładnie, ale już spostrzegała, było grubą ciemnością zachodzącą na najdroższe ideały i wszystkie pociechy i chluby.

II

W ostatnich dniach lipca, kiedy część zboża jeszcze niezdjęta stała na korczyńskich polach, Witold i Justyna postępowali drogą z Bohatyrowicz do Korczyna wiodącą. Szli prędko i rozmawiali żywo, tak żywo i z takim zajęciem, że aż na policzki młodej panny wybiły się gorące rumieńce, a oczy jej, zazwyczaj trochę chmurne, jaśniały radością. Nie zatrzymując się i nawet kroku nie zwalniając, do młodego krewnego rękę wyciągnęła.

— Dziękuję ci, Widziu, z całego serca dziękuję — z niezwykłym sobie wylaniem mówiła. — Wszystko, co mi powiedziałeś, przejęło mnie głęboko. Od jakiegoś czasu te same myśli przechodziły mi przez głowę, tylko ich tak wyraźnie układać nie umiałam. Nie jestem, widzisz, ani uczona, ani pod żadnym względem wyjątkowa... sama jednak nie wiem dlaczego, dostrzegłam już w życiu wiele rzeczy marnych i trochę ważnych...

Z wesołym uśmiechem dodała:

— Nudziłam się okropnie i może z nudy wymyślałam sobie to wszystko, o czym ty daleko lepiej i więcej wiesz ode mnie...

Spojrzał na nią z boku i filuternie.

— A teraz nie nudzisz się? — zapytał.

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, od jakiegoś czasu nie! Chociaż, przyznam ci się, że jeszcze dobrze nie rozumiem...

Urwała.

— Czego jeszcze nie rozumiesz dobrze?

Po chwilowym wahaniu się odpowiedziała z cicha:

— Tego, co czuję i tego, co myślę...

— Brak przygotowania — zauważył — ale — dodał wesoło — wyjaśni się to zapewne, bo i doprawdy, dlaczegóż byś nie miała pójść nową drogą...

Zarumieniła się jeszcze ogniściej i z żywością szepnęła:

— Nie wiem... nie wiem... może to tylko złudzenie... lękam się...

— Czego? — ciekawie zapytał Witold.

Ale ona spłonioną twarz ku polu zwróciła i może pod wpływem zakłopotania, jakie jej ta rozmowa sprawiała, silnie ściskała w dłoni sporą wiązankę tylko co znać zerwanych floksów, pośród których tkwiła ogromna czerwona georginia.

— Wcale niewytworny bukiet — patrząc na kwiaty uśmiechnął się Witold. — Rzecz jest jednak godna uwagi, jak ci ludzie kochają się w kwiatach. Nawet ta prozaiczna Elżusia, która na dwa tygodnie przed ślubem liczy sztuki bydła narzeczonego i myśli o *wekselach*, które wyda jej ojciec, mnóstwo ich w ojcowskiej zagrodzie hoduje...

Nagle zwracając się ku towarzyszce zapytał:

— Czy doprawdy będziesz na tym weselu?

— Naturalnie! — z żywością zawołała.

— Drużką Elżusi?

— Naturalnie.

— A tworzącym dla ciebie parę *drużbantem* będzie pan Kazimierz Jaśmont, którego cyfry na cieniutkiej chusteczce wyhaftujesz i tę chusteczkę ofiarujesz mu w zamian podanych ci przez niego bukietów mirtowych… Tak? Umiesz to zapewne na pamięć, jak i wiele innych rzeczy, których ponauczałaś się w czasach ostatnich. Czy wiesz o tym, że wczoraj, kiedy panna Teresa łzawiąc się z czułości opowiadała ci radość swoją i mamy z przypuszczalnego twojego małżeństwa z panem Różycem, śmiejąc się odpowiedziałaś: „Bo to wy wiecie jedno, a ja drugie!” Gdybym wtedy na ciebie nie patrzał, myślałbym, że to stara Starzyńska mówi! Prościejesz, Justysiu, widocznie prościejesz…

Śmiał się głośno, wesoło i patrzał na Justynę bardzo przyjaźnie. Nagle zagadnął:

— Czy to prawda, co pani Fabianowa Bohatyrowiczowa, née[316] Giecołd, mówiła, że już nauczyłaś się żąć wcale dobrze?…

Justyna uśmiechając się pokazała mu obie ręce ze stwardniałymi trochę dłońmi i kilku szramami od ostrza sierpa pochodzącymi.

— Przez cały prawie tydzień po kilka godzin dziennie żęłam… Praca to ciężka, mniej przecież ciężka niż…

— Niż co?…

Z błyskiem oczu dokończyła:

— Niż wieczne gryzienie siebie popielcową myślą: „Prochem jesteś!” z dodatkiem: „Zanim jeszcze w proch się rozsypałaś!”

— Brawo! Masz słuszność! Są na świecie ludzie, którzy od takich myśli naprawdę z rozpaczy w proch rozsypać się mogą i ty widać do nich należysz!

Po chwili z powagą zapytał:

— Czy nie przechodzi to sił twoich?

Kształtną i silną kibić swą prostując odpowiedziała:

— Czy wyglądam na istotę, co ma taką postać, jakby do nieba miała się wnet dostać[317]?

Oboje parsknęli głośnym śmiechem, który przez kilka sekund wtórował ogromnemu, ogłuszającemu ćwierkaniu świerszczy w przydrożnych trawach. Znajdowali się w tej chwili tuż za stodołą korczyńską, która ze starymi już ścianami, lecz murowanymi słupami i starannie utrzymywanym dachem zdrowo i silnie wyglądała.

— Trzeba wiedzieć — zaczął Witold — że ojciec utrzymuje Korczyn w dziwnej całości i porządku. Pracuje też prawdziwie jak wół, tylko że wół takich kłopotów i niepokojów nigdy nie ma… Dobrze, że mu dziś trochę dopomóc mogłem, bo kiedyśmy się w okolicy spotkali, wracałem właśnie z pola, gdzie mię do robotników był posłał. Biedny, kochany ojciec!

W tej samej prawie chwili stanął jak wryty i z nagle ściągniętymi

brwiami słuchać zaczął. Z drugiej strony stodoły na folwarcznym dziedzińcu rozlegał się głośny, gruby, rozgniewany krzyk Benedykta. Słów tego krzyku nie można tu było rozróżnić, ale czuć w nim było groźby i obelgi. Witold rękę podniósł do czoła.

— Jak mnie to boli! Boże, jak mnie to zawsze boli…

Krokiem przyśpieszonym zaczął iść dalej, o towarzyszce swej zupełnie zapominając.

Słońce zaszło już przed kwadransem i tylko nad zaniemeńskim borem pozostawiło szeroki pas jaskrawy, który dachy i szczyty drzew korczyńskiego dworu oblewał do pożogi podobnym czerwonym światłem. Tam, gdzie dziedziniec folwarczny szeroko otwierał się na Niemen, pomiędzy jednym z czworaków a stajnią na tle czerwonych zarzecznych obłoków postać pana Benedykta rysowała się na kształt czarnej sylwetki, wysokiej, ciężkiej, wąsatej, której rysy znikały w oddaleniu, ale ramiona dokonywały gwałtownych gestów i długie wąsy szamotały się u piersi. Naprzeciw tej sylwetki stała druga, również na tle czerwonych obłoków czarna, ale znacznie niższa, z krępymi kształtami i głową, która jeżąc się rozczochraną czupryną, lękliwie wtulała się w ramiona. Pośrodku znajdowało się jakieś narzędzie rolnicze zaprzężone we dwa konie, melancholijnie ku trawie dziedzińca łby pochylające, u drzwi czworaka i wrót stajni stały gromadki ludzi, w milczeniu i nieruchomości krzyków pana domu słuchając.

Witold szybko przebywając dziedziniec kierował się ku dwom czarnym sylwetkom, przez narzędzie rolnicze i parę nieruchomych koni rozdzielonym. Stając, od pośpiechu, z jakim szedł, trochę zdyszany, zapytał:

— Co to, ojcze?

Nie było już na nim ani śladu wesołości i szczęśliwego, młodzieńczego uniesienia, z jakim przed chwilą z Justyną rozmawiał. Ale pan Benedykt na wyraz twarzy syna wcale nie zwrócił uwagi. Rozpaczliwym gestem wskazując mu stojącego o dwa kroki parobka, głośniej jeszcze niż przedtem wybuchnął:

— Skaranie boże! Nieszczęście! Zguba prawdziwa z osłami i łajdakami tymi! Żniwiarkę mi zepsuł! Kilka dni z nią po polu pojeździł i już zepsuł! A czy ty wiesz, gałganie, że ta żniwiarka więcej kosztuje, niż ty cały wart jesteś! Czy ty wiesz, że ja dobrze musiałem sobie głowy nałamać, nim zdobyłem się na jej kupienie?… Ale co to was obchodzi, że komuś szkodę zrobicie? Czy wy macie serce albo sumienie, osły, łajdaki, gałgany!…

— Mój ojcze… — spróbował przerwać Witold.

Ale Benedykt, jakby właśnie próbę tę chciał udaremnić, więcej jeszcze głos podniósł.

— Czy ty myślisz — wciąż do parobka się zwracał — że ja ci to daruję? Żniwiarkę do naprawy poślę, ale co za nią w mieście zapłacę, to ci z pensji wytrącę…

Na te słowa chłop krępy, w siermiędze ubrany, po raz pierwszy kudłatą głowę z ramion wysunął i mrukliwie przemówił:

— Nie wytrącajcie, panoczku, bo z czegóż ja z dziećmi żyć będę…

— Z głodu nie zdechniesz!… — krzyknął Benedykt. — Ordynarię[318] masz… dach nad głową masz… krowę nawet trzymać wam pozwalam… A gdybyś zresztą i ziemię miał gryźć, wytrącę… jak Boga kocham, wytrącę… żebyś nauczył się, łajdaku, własność cudzą szanować!

— Mój ojcze! — głośniej niż przedtem przemówił znowu Witold i wyprostował się znad żniwiarki, której zepsucie bacznie i prędko obejrzał. — Mój ojcze! Ja się na tym znam trochę… w przeszłym roku tam, gdzie lato spędziłem, żniwiarki psuły się często, a ja przypatrywałem się, jak je naprawiano. Tę można będzie naprawić w domu, z małym kosztem i prędko… ja sam się tym zajmę… Maksymowi nie trzeba będzie nic z pensji wytrącać…

Zwrócił się do parobka, który czapkę mnąc w rękach z nogi na nogę przestępował, wzdychał i coś niewyraźnie mruczał.

— Słuchaj, Maksymie, czy ty rozumiesz, jak ta żniwiarka jest zrobiona i jakim sposobem żąć może? Pewno nie rozumiesz i dlatego ją zepsułeś, że nie rozumiesz… Oto, popatrz i posłuchaj, ja ci to zaraz pokażę i wytłumaczę…

Łagodnie, powoli, wyrażeń chłopu zrozumiałych dobierając, z łatwością zdradzającą wielkie oznajomienie się z ludem, Witold mówił przez dobry kwadrans, składowe części narzędzia i połączenia ich żywymi gestami pokazywał. Parobek w postawie pokornej i ociężałej słuchał zrazu leniwie i tylko z przymusu, ale po paru minutach pochylił się i na żniwiarkę, to znowu na mówiącego spoglądać zaczął z ożywieniem i ciekawością. Kiwał przy tym głową w znak zdziwienia lub zrozumienia, z cicha pomrukiwał, wskazywanych mu części żniwiarki grubymi i węzłowatymi palcami dotykał.

— No, widzisz — prostując się kończył student — nic tu takiego mądrego nie ma i tylko w obchodzeniu się z tą maszyną trochę trzeba ostrożności i uwagi. Jutro obydwa wstaniemy o świcie, maszynę do kowala zawieziemy, a w jaką godzinę po wschodzie słońca będziesz już mógł w pole z nią wyjechać. Straty nie będzie żadnej ani nam, ani tobie…

Ostatnie słowa widocznym zadowoleniem okryły ciemną, gęsto obrosłą twarz chłopa. Schylił się i z głośnym cmoknięciem całując rękaw surduta Witolda, z uśmiechem i głośno przemówił:

— Dziękuję, paniczu! Daj Boże zdrowie!

Po czym lejce z ziemi podniósł i cmoknął na konie, które żniwiarkę ku stajni pociągnęły.

Benedykt od chwili wmieszania się syna w scenę pomiędzy nim a parobkiem zachodzącą stał nachmurzony i silniej wąsa w dół pociągał. Po oddaleniu się chłopa wzrok podniósł na syna.

— Dałeś mi lekcję obchodzenia się z ludźmi. Teraz widać takie czasy

przyszły, że jaja kury uczą. Dziwię się tylko, że od tylu lat nad książką ślęcząc umiesz tak biegle i w sposób odpowiedni z chłopami rozmawiać…

— Jeżeli ci się to nie podoba, mój ojcze — żywo odrzucił Witold — samemu sobie chciej winę przypisać. Kiedy dzieckiem pod twoim okiem rosłem i kiedy następnie ze szkół do domu przyjeżdżałem, nie wzbraniałeś mi przestawania z wiejską ludnością…

Zwracając się ku domowi Benedykt sarknął:

— Na siebie samego bicz kręciłem. Według idylli, która w twojej dziecinnej głowie powstała, sądzisz teraz ojca…

— Idylla! — popędliwie zawołał Witold. — Upewniam cię, mój ojcze, że patrzę na rzeczy bardzo trzeźwo i że… na razie… szczytem moich marzeń jest to, aby ludzie nie obchodzili się z ludźmi jak z bezmyślnymi bydlętami… gorzej, jak z kamieniami chyba, bo przecież są na świecie takie dziwaczne usposobienia, które i dla bydląt wyrozumiałość i litość mają…

Benedykt zaśmiał się z lekceważeniem.

— Kiedy już sam poturbujesz się dobrze nad gospodarstwem i interesami, będziesz wiedział, jakie różnice zachodzą pomiędzy teorią a praktyką, rzeczywistością a sielanką.

Witold wpadł mu w mowę:

— Jeżeli kiedy, mój ojcze, przekonany zostanę, że teorie moje z praktyką w żaden sposób pogodzone być nie mogą, w łeb sobie strzelę, ale od teorii nie odstąpię za nic…

Benedykt stanął jak wryty i popatrzył na syna takim wzrokiem, jakby go ujrzał nad brzegiem przepaści. Po chwili przecież uśmiechnął się:

— Dziecko jesteś… Każdemu zdaje się za młodu, że jeżeli gwiazdy z nieba nie zdejmie, w łeb sobie palnie, a potem i przy świetle śmierdzącej łojówki żyje…

— Albo — zaprzeczył Witold — za swoją gwiazdę i aby smrodu łojówek nie czuć, łeb sobie roztrzaskać daje… Ty, mój ojcze, znasz z bliska takie przykłady…

— Nie znam, nie wiem i nic wiedzieć nie chcę… — sarknął Benedykt.

— Stryj Andrzej… — drżącymi trochę usty zaczął Witold.

Ale Benedykt znowu jak wryty stanął…

— Cicho! — stłumionym szeptem zawołał.

Szybko i z trwogą rozejrzał się dokoła, lecz w pobliżu nie było nikogo. Na usta Witolda wybiegł uśmiech bolesnej ironii.

— Nie lękaj się, ojcze — z wolna wymówił — nikt nie usłyszał, że ze czcią imię twojego brata wspomniałem!…

Ciemny rumieniec od siwiejących gęstych włosów aż po kołnierz koszuli okrył twarz Benedykta. Zmieszał się więcej jeszcze niż wtedy, kiedy Witold pokorną jego względem wierzyciela uniżoność zauważył. Złagodniał też i w bramie ogrodzenia, które dziedziniec folwarczny z dworskim rozdzielało, mówić zaczął:

— Każdy za młodu ma swoje marzenia i teorie, którym później praktyka

kurty kroi[319]. Łbem muru nie przebijesz, a tych ludzi gdybyś i miodem smarował, będą oni zawsze leniwi, niedbali i nieżyczliwi…

— Cóż dopiero, kiedy się ich pieprzem karmi! — uśmiechnął się Witold.

— A kto ich tam, do diabła, chce pieprzem karmić? — z odradzającym się rozjątrzeniem rzucił Benedykt.

— Naprzód — zaczął Witold — aż nadto nasypało się im go do garnków z przeszłości, a potem…

Stanął i twarzą zwracając się ku folwarcznemu dziedzińcowi, na czworaki wskazał.

— Wszak nie myślisz pewnie, ojcze, że ludzkie energie i uczucia rozwijać się mogą w tych okopconych i przeludnionych izbach? Mówiłeś przed chwilą, mój ojcze, że dach nad głową mają i ordynarię biorą… w dodatku trzydzieści rubli na rok, które zmniejszają się przy każdej szkodzie uczynionej przez nieoświeconą i niezgrabną rękę… Istotnie, jest to byt mogący wzniecać i rozwijać gorliwość, dbałość, życzliwość…

— A więc — wybuchając przerwał Benedykt — wynajdź sposoby na budowanie dla nich pałaców i żywienie ich pasztetami… bo ja i sam ani pałacu sobie nie wystawiłem, ani pasztetów nie jadam… Tak krawiec kraje, jak materii staje. Kiedy sam z kredką w ręku zaczniesz kroić, przymierzać, łatać i koniec do końca tak ciągnąć, aby je związać, że ci czasem aż ciężkie poty na skórę wystąpią, wtedy przekonasz się, co to jest praktyka i w ogólności, co to jest w naszych warunkach życie… oj, życie!

Roziskrzonymi oczami spojrzał na syna.

— Chciałbym — trochę ciszej dokończył — chciałbym bardzo, abyś po ukończeniu nauk do domu wracając mnie już tu nie znalazł… abym już wtedy był tam, gdzie… to… tamto… gdzie sobie dawno poszedł… to… tamto… Andrzej! I mnie byłoby lepiej, i tobie…

— Mój ojcze! — przerażonym głosem przerwać chciał Witold.

Ale Benedykt przerwać sobie nie dał.

— Tak — kończył — najpewniej byłoby lepiej… bo gdybyś miał do mnie przywiązanie…

— Wątpisz o nim, ojcze!

— Wątpię. Ale ponieważ tego nie ma… nie ma… no, to gdyby stary grat ustąpił, mógłbyś samowładnie w Korczynie rządzić i chłopów za pasterzy przebrawszy razem z nimi położyć się nad strumykiem i w dudkę gwizdać…

Słowa te wymówiwszy koniec wąsa do ust włożył i z pochylonym karkiem, ciężko, prędko, szerokimi krokami ku domowi poszedł. Witold w bramie ogrodzenia stał jak skamieniały. Tak był wzruszony, że ramię mu drżało, gdy rękę do czoła podnosił.

Po kilku dopiero minutach z cierpiącą i bledszą niż zwykle twarzą młody człowiek wszedł do sali jadalnej oświetlonej lampą palącą się nad stołem do wieczerzy nakrytym i dokoła którego dość liczne grono osób już zasiadało. Z wyjątkiem Kirły, który od kilku godzin bawił w Korczynie i po wieczerzy miał odjechać, było to tylko towarzystwo domowe. Ale, co się

zdarzało nieczęsto, pani Emilia, dość zdrowa, w ładnym, letnim szlafroczku, przyszła dziś do stołu, obok niej umieściła się Teresa z lewą ręką, w której czuła reumatyczne bóle, na białej chusteczce u szyi związanej zawieszoną, u końca stołu Orzelski, błogo uśmiechnięty, dla lepszego przyjrzenia się ustawionym na stole półmiskom srebrne swe włosy pod światło lampy wysuwał, przy nim, wyprostowana, z ładną, żółtawą twarzyczką, siedziała Leonia, Kirło zaś ze śnieżystym i wykrochmalonym przodem koszuli, z przymilonym uśmiechem na kościstej twarzy, z rąk pana domu przyjąwszy kieliszek wódki, umieścił się naprzeciw Justyny z takim pośpiechem, jakby się lękał, aby go ktokolwiek w zajęciu tego punktu przy stole nie uprzedził. Od jakiegoś czasu okazywał on Justynie uprzejmość z nadskakiwaniem graniczącą, ani ku niej żartobliwej i lekceważącej galanterii, ani ku jej ojcu wesołych drwin nie zwracając. Teraz naprzeciw niej siedząc nie tylko poruszenia, ale i spojrzenia jej śledzić się zdawał. Przy tym z serwetą na szyi zawiązaną i całą pierś mu okrywającą zajadając ze smakiem kotlety, nieustanną prawie rozmową zajmować usiłował niezbyt ożywione towarzystwo. Mówił o Różycu. W ogólności mówił o tym krewnym swojej żony tak często i z takim zadowoleniem, że można by go było posądzić o szczycenie się tym pokrewieństwem. Zresztą sam nie taił tego, że się nim szczycił. Tym razem przecież mówił o nim nie tylko dla chwalenia się, ale i w innym jeszcze celu.

— Zaręczam państwu — mówił — że gdyby mu żyłę przeciąć, popłynęłaby z niej tak krew błękitna… jak na przykład… jak na przykład niemeńska woda w pogodę…

Teresa zachichotała.

— Ej, doprawdy! Pan zawsze żartuje! Kto kiedy widział błękitną krew!…

— Tak się mówi, moja Tereniu, o dobrych, starych rodach — łagodnie wytłumaczyła pani Emilia.

Benedykt zamruczał:

— Doskonałe porównanie… bo czy tam ta krew błękitna, czy nie błękitna, ale że wody w niej wiele, to pewno…

Witold, ze spuszczonymi powiekami dotąd siedzący i nie dotykający wcale jedzenia, wzrok na ojca podniósł i w twarz jego nad talerzem pochyloną, surową, pomarszczoną długo popatrzał.

— Zawsze to jednak, panie dobrodzieju — ciągnął Kirło — rzecz przyjemna… przyjemna… z takiego, jak Teofil, rodu pochodzić. Wprawdzie tytułu żadnego nie ma… ani książę, ani hrabia… ale takie szlachectwo, jak jego, równa się hrabiostwu, a może i jakiemu kiepskiemu księstwu… a jaka parantela[320]… fiu, fiu! Z najpiękniejszymi familiami… panie dobrodzieju mój… rodzona ciotka za księciem…

Ku Justynie błyszczącymi oczkami spojrzał, a spostrzegłszy, że potrzebowała soli, z pośpiechem i przymileniem ku niej ją posunął. Potem omletu z konfiturami z półmiska nabierając mówił znowu:

— Poczciwy ten Teofilek! Dwadzieścia dwa lata miał, kiedy mu ojciec

umarł… matka żyje jeszcze i w Rzymie na dewocji siedzi[321]… bardzo zacna matrona… a on dwadzieścia dwa lata miał, kiedy stracił ojca i w sukcesji wziął fortunę malutką, maluteńką, ni mniej, ni więcej, tylko, panie dobrodzieju, coś tak około miliona rubli, około jednego, jednego sobie milionka rubli…

— O Jezu! — jęknęła Teresa.

Orzelski językiem mlasnął.

— Caca fortunka… caca… Żeby to te… mieć… choć dziesiątą część tego!

— Aha! Pewno! — podchwycił Kirło — żeby to te… ha! Dziesiątą część… tak ze sto tysiączków… Ale pan omleciku jeszcze nie brał… służę panu!

Ze słabym zaledwie odcieniem dawnej żartobliwości ojcu Justyny półmisek podał.

— Teraz zaś — ciągnął — w trzydziestym pierwszym roku życia swego Teoś posiada już tylko trzysta tysięcy, bo Wołowszczyzna, lekko licząc i na najniższą cenę ziemi, warta jeszcze pewnie trzysta tysięcy. Przez osiem czy dziewięć lat stracił więc chłopak sześćset tysięcy… malutkie sobie sześćset tysiączków przez osiem czy dziewięć lat stracił… Ha? Jak się to państwu podoba… zuch chłopak, co?

I zaśmiał się dobrodusznie, serdecznie, a triumfującym i uszczęśliwionym wzrokiem po obecnych wodził. Kolosalność cyfr wymienianych zachwycała i niejako w dumę wbijała posiadacza malutkiej Olszynki. Śmiech uspokoiwszy i z miną smakosza sącząc z kieliszka tanie francuskie wino, które na korczyńskim stole zjawiało się tylko przy gościach, opowiadał o sposobach, w jakich owe sześćset tysięcy przez Teofilka straconymi zostały. Powtarzał pogłoski i opowiadania, które krążyły po okolicy od przybycia do niej Różyca i które mieszkańców tych stron ciężkim życiem mniej lub więcej steranych w zdumienie wprawiały, Sodomę, Babilon i inne tym podobne miejsca nieprawości im przypominając. Łatwiej byłoby wyliczyć to, czego o Różycu nie mówiono, niż to, co mówiono, a co teraz Kirło z werwą okraszoną dowcipami i dwuznacznikami, ze szczególnym i widocznym lubowaniem się powtarzał. Wille w okolicach Wiednia i Florencji, apartamenty przy paryskich bulwarach, gry w ruletę[322] i sztosa[323], głośne przygody z najgłośniejszymi przedstawicielkami półświatka, w dziennikach aż opisywane zakłady i pojedynki… Ile w tym wszystkim mieściło się prawdy, a ile przesady, trudno zgadnąć, najpewniej przesady było niemało, ale i prawdy wiele. Siedzące przy stole korczyńskim osoby niektóre z opowiadanych szczegółów już znały, innych słuchały z rozmaitymi wyrazami twarzy. Z wyjątkiem przecież Benedykta, który schylał się jeszcze nad talerzem i Witolda, który wciąż blady i smutny powiek prawie nie podnosił, wszystkie spojrzenia nieustannie zwracały się na Justynę. Kirło spostrzegłszy, że ku karafce rękę ona wyciąga, z pośpieszną, lecz i pełną uszanowania galanterią do szklanki jej wody nalał, po czym o wartości i piękności Wołowszczyzny mówić zaczął:

— Pałacyk szyk! Zaniedbany teraz, co prawda, ale gdyby go odrestaurować, urządzić… byłaby rezydencja pańska, rozkoszna…

Końce palców swoich pocałował, a Orzelski, który niegdyś przez Wołowszczyznę przejeżdżał i pałacyk widział, ustami pełnymi omletu cmoknął.

— Caca pałacyk… caca!

Palcem w powietrzu wykręcać zaczął.

— Wieżyczki, balkony, wykrętasy… tylko że z drogi patrząc zdaje się, że zaraz to… runie!

— Nie runie. Pałacyk nie runie, wyrestauruje się, odświeży, urządzi, gdy tylko właściciel tego zechce… a zechce wtedy, gdy zrobi projekt ożenienia się. Ale co grunt, to że Wołowszczyzna posiada osiem folwarków ze śliczną glebą, a w tych folwarkach, jak u Pana Boga w spiżarni, wszystkiego pełno: lasy, stawy, ogrody, pachty[324], młyny, dwie gorzelnie, dawniej fabryka czegoś tam była i przynosiła dużo, a choć upadła, znowu powstać może i dużo przynosić. Wszystko tam, co prawda, podupadło i zrujnowało się, ale podniesione i wyrestaurowane być może, gdy tylko Teofilek zechce, a zechce najpewniej wtedy, kiedy się ożeni, żoneczka rozumna i energiczna do gospodarstwa go zachęci i pieszczotami, rozumkiem, taktem swawolnego ptaszka w gniazdku zatrzyma…

Tak mówił Kirło i wpółżartobliwie, wpół z rzetelną admiracją na Justynę patrzał. Filuternie i uniżenie przymilone jego rysy zdawały się do niej przemawiać: „Uwielbienia godną jesteś już przez to, żeś wzrok jego zwrócić na siebie potrafiła, a gdy to wielkie, cudowne szczęście, które ci prorokuję, posiędziesz, bądź na uniżonego sługę swojego łaskawą!” i wszyscy zresztą, oprócz Benedykta i Witolda, na Justynę spoglądali, a w spojrzeniach i uśmiechach pani Emilii, Teresy, nawet niedorosłej Leoni, którą opowiadania Kirły zaciekawiły i ożywiły, wyraźnie malowały się wykrzykniki: „Dziwne, nadspodziewane szczęście! Cud prawdziwy nad biedną dziewczyną przez Opatrzność okazany!” Pani Emilia myśli te nawet słowami wyraziła:

— Prawdziwy zaszczyt sprawi pan Różyc kobiecie, którą za żonę wziąć zechce. Taki ród, majątek…

— Ach, i takie serce! — przebiła jej mowę Teresa.

— A pałacyk! Ach, mamciu, pałacyk! To najmilsze ze wszystkiego — na krześle podskakując wykrzyknęła Leonia, która przed niewielu dniami tak gorąco a nadaremnie błagała ojca o posągi i nowe meble do korczyńskiego salonu.

Justyna przez cały ciąg wieczerzy milczała. Nie mogła jawnie odpierać ani przyjmować spadających na nią spojrzeń, uśmiechów, półsłówek, bo nie były jawnie ku niej zwracane. Rzadko podnosiła oczy, ale ile razy je podniosła, przebiegał w nich błysk obrazy. Wargi jej, jak dojrzała wiśnia pełne i purpurowe, przybierały chwilami wyraz dumny i wzgardliwy. Nie wiedzieć dlaczego, to, co innym wydawało się pochlebne i zaszczytne, ją

drażniło i obrażało. Wszyscy wprawdzie wiedzieli o tym, że najwybitniejszą cechą jej charakteru była duma. Ale właśnie dumna kobieta powinna była być świetnym zwycięstwem na wpół już odniesionym i otwierającą się przed nią perspektywą czuć się pochlebiona i uszczęśliwiona…

Benedykt, który swoim zwyczajem jadł wiele i długo, a raz w rozmowę słowo rzuciwszy, więcej się już nie odzywał, rozumiał dobrze, iż wszystko, o czym przy stole mówiono, odnosiło się do Justyny. Kiedy po raz pierwszy usłyszał był od żony pełne zdumienia i zachwycenia opowiadanie o prawdopodobnych względem Justyny zamiarach Różyca i o staraniach w celu urzeczywistnienia się ich przez Kirłową czynionych, zdziwił się także i trochę ucieszył.

— Daj Boże! — wymówił. — Daj Boże! Dla biednej dziewczyny świetna to partia i niespodziewana… istotnie niespodziewana!…

Ale później niewiele myślał o tym. Krewnej i wychowanicy swej dobrego zamążpójścia życząc, czynnie doń dopomagać czasu ani ochoty nie miał. Wprzódy jeszcze nieraz przychodziło mu na myśl, że gdyby Justyna za mąż wychodziła, musiałby jej oddać zlokowane na Korczynie a do niej należące pięć tysięcy, co by mu nowych kłopotów przysporzyło. Teraz, przy tej wieczerzy, przyszło mu na myśl, że jeśli wyjdzie ona za Różyca, kłopot ten oszczędzony mu zostanie, bo dziedzic Wołowszczyzny natychmiastowego wchodzenia w posiadanie tej sumki potrzebować nie będzie. Więcej o tym nie myślał wcale, tylko, widać, opowiadania Kirły, a szczególniej brzmiący w nich ton bałwochwalczej dla bogactwa i użycia chwalby zirytował go nieco. Kirło zresztą irytował go zawsze. Podniósłszy więc twarz znad talerza i wąsy serwetą otarłszy, jakby do wstawania od stołu obie ręce o stół opierając, przemówił:

— Wszystko to bardzo piękne i ja panu Różycowi ubliżać nie chcę. Młody jest i poprawić się może, bo jak słyszałem i sam spostrzegłem, rozsądek i dobre serce ma… Ale abym przeszłość jego pochwalał, to nie. Taką fortunę stracić na karty i metresy[325] rzecz niegodna. Tak tylko łajdaki robią…

— Benedykcie! — z cicha jęknęła pani Emilia.

— A tak — nie zwracając oczu na żonę energicznie potwierdził. — Przy tym tak już nic a nic nie robić, jak ci panowie, to także, powiem prawdę, świństwo. Człowiek, który na świecie jedząc chleb nie pracuje, czy tam w nim błękitna krew płynie, czy popielata, czy czerwona, jest darmozjadem i niczym więcej… Jeżeli zaś jeszcze i na marcypanach pasie się, a nawzajem dla świata, który mu marcypany daje, palcem nawet pokiwać nie chce, no, to już go mam za…

Wtem przypomniał coś sobie, pomiarkował się i trochę miększym głosem dokończył:

— Ale ja tego nie mówię do pana Różyca… nikomu ubliżać nie chcę… może on jest i najlepszym człowiekiem… tylko… te wielkie bogactwa, które takie frukta rodzą, te… te… to… tamto…

Chciał widocznie połknąć wyrazy, które wydzierały mu się z gardła, ale nie dokonał tego. Ręką machnął i dokończył:

— Te wielkie fortuny niechby wszyscy diabli wzięli!…

Krzesło ze stukiem odsunął i od stołu wstał. Obok niego, ciche jak westchnienia, rozległy się jęki:

— Benedykcie! Ja nie mogę… o mój Boże… ja nie mogę wyrazów takich słuchać… ja… takich zdań… o takim człowieku… nie mogę… ja…

Pani Emilia usiłowała podnieść się z krzesła, ale nie mogła. W gardle ją dławić zaczęło, nogi chwiały się pod nią.

— A toż co? — ze zdziwieniem zapytał Benedykt — co ci się stało?

Ale już Kirło z troskliwością i współczuciem przyskakiwał do pani domu ramię jej podając, a z drugiej podtrzymywała ją Teresa. Tak we troje przeszli całą długość jadalnej sali, Benedykt zaś jak wryty wzrokiem za nimi prowadził.

— W imię Ojca i Syna… a cóż ja jej złego zrobiłem? Znowu zachoruje czy co?

Ale w tej chwili giętkie dłonie obie ręce jego ujęły i przylgnęły do nich gorące usta.

— Mój ojcze — z cicha wymówił Witold — pocałuj mnie… proszę!…

Coś dziwnie pocieszonego i roztkliwionego mignęło w ponurych źrenicach pana Benedykta, jednak surowo brwi zmarszczył.

— Cóż? Może za to, żem w twoją dudkę zagrał o tym panku mówiąc, raczysz mi winy moje przebaczać?

Witold w dłoniach swoich ręce jego trzymając, powtórzył:

— Pocałuj mnie, mój ojcze…

Na bladawym, smutnie przed nim pochylonym czole syna złożył pocałunek szorstki, ale długi. Uśmiech niewesoły jednak gorzki raczej, pod długim wąsem mu przebiegł.

— Gorącą masz głowę — zauważył.

Ale tej krótkiej, dwuznacznej uwagi Witold może i nie dosłyszał. Ze słowami, które ojciec jego u końca wieczerzy wymówił i z pocałunkiem ojcowskim wróciła mu cała żywość i wesołość. Pochwycił wpół Martę, która do kredensowej szafy kompot i resztę wina chowała i kilka razy obrócił ją w kółko, potem przy wtórze śmiechu, łajania i kaszlania starej panny przyskoczył do stojącej u okna Justyny.

— Wiesz, Justynko — pięścią jednej ręki o dłoń drugiej uderzając prędko i z błyskającymi oczami mówił — ten Kirło to pasożyt, pieczeniarz, błazen, czciciel złotego cielca, hipopotaurus, mastodont[326], przedpotopowe zwierzę! Gdybym mógł, to bym takich ludzi jedną ręką brał tak… za włosy, a drugą za gardło i — trrraf! Karki bym im skręcał!

Justyna parsknęła śmiechem.

— Zrób to naprzód z kurczęciem — zawołała — a wtedy uwierzę, że mógłbyś zrobić z Kirłą!

— Jak ojca kocham! — srożył się jeszcze student. — Bo to, widzisz,

zakała świata! Gdyby nie tacy, jak on, świat by już był daleko… daleko… A nam o to przecież idzie… ty nie masz może pojęcia, jak nam o to idzie… o idee… o ludzką wolność, godność… W ogień bym za to wskoczył, rodzonego ojca mógłbym się wy…

Wstrzymał się, nie domówił, trochę ochłódł. Nagle w twarz kuzynki przenikliwie spojrzał.

— Czy ty, Justynko, za to dziurawe sito pójdziesz?

Zaśmiała się znowu.

— Masz taki sposób pytania, Widziu…

— Wiesz dobrze, o kim mówię… No, za tego welinowego człowieka, jeżeli oświadczy się o ciebie, pójdziesz?

Wzruszyła ramionami.

— Mój drogi — z wolna odpowiedziała — czyżbym mogła odrzucać od siebie tak wielkie, niespodziewane, cudowne szczęście… taki zaszczyt i łaskę? Sam pomyśl, czyżbym mogła?

Zdawało mu się, że w jej głosie dosłyszał tłumiony śmiech, ale twarz miała poważną, surową i niezwyczajnie błyszczące oczy. Ręką rzucił.

— At — rzekł — niczego z kobietami pewnym być nie można! Zdaje się, że rozsądna, a może i pstro ma w głowie, czy ja wiem? Na Buszmanki[327] was wychowują, to i wszystko na świecie gotowe jesteście zrobić, byleby was ładnie ufarbowano. Ale tymczasem, nim wielką panią zostaniesz, na wesele Elżusi pójdziesz… wiesz? Marynia tam także będzie, już ja to u pani Kirłowej uproszę, byleby tylko pod opieką cioci Marty, którą także podejmuję się namówić…

W tej chwili drobne jakieś ręce ramię jego objęły i prawie dziecinny głos tuż przy nim zawołał:

— Widziu, i mnie weźcie na te wesele! Już mnie o nim Zofia tyle nagadała… ona krewna pana młodego i zaproszona… tańczyć będą… i ja chcę potańczyć!

— Z największą ochotą! — zawołał Witold. — Choć raz zobaczysz w Korczynie coś więcej nad dom i ogród!

— Nie żartuj, Widziu — krzywiąc ładne, blade usta skarżyła się dziewczynka — mnie tak nudno, nudno ciągle u mamy w pokoju siedzieć albo po tych alejach w ogrodzie chodzić…

— Patrzcie! — sarknął młody człowiek. — Od ziemi ledwie odrosła, a już nudzi się! Czy nie zaczynasz już i na nerwy chorować, moja ty… przyszła Buszmanko!…

Dziewczynka skarżyła się dalej:

— A pewno! Głowa mnie boli często! Wiesz, Widziu, wolę już być na pensji, bo tam choć rozmaitości więcej… Całe moje szczęście, że dla cioci Marty pantofle wyszyłam…

Tu niedokrwistość zdradzająca żółtawa jej twarzyczka rozjaśniła się uśmiechem prawdziwie dziecinnej radości.

— Śliczne pantofle! — zawołała. — Jutro je cioci oddam! To dopiero

będzie rada! Rada!

Klasnęła w dłonie, podskoczyła, brata wpół objęła i znowu żałosnym głosem prosić zaczęła:

— Weź mnie, Widziu, na te wesele… potańczyć chce się… Zofia mówi, że tam wesoło będzie… taką ładną suknię już sobie przygotowuje!

Witold zamyślił się.

— Mamy o pozwolenie poprosić trzeba…

— Poproś… — błagał podlotek.

— Czemu sama nie chcesz?…

Dziewczynka ruchem przestrachu ręce splotła.

— Lękam się… nie mogę… jeszcze się zmartwi i zachoruje… Mama zawsze choruje, jak tylko co się jej nie podoba… Tobie łatwiej… ty rozumniejszy…

W godzinę potem Marta z trzaskiem otwierając drzwi do pokoju swego wpadła i zobaczywszy znajdującą się tam Justynę wołać zaczęła:

— Awantury! Słowo honoru, arabskie awantury! Na wesele iść z nimi! Przymila się, obejmuje, całuje, prosi… „Idź, ciotko, z nami do Bohatyrowiczów na wesele… idź, idź!” I śmiech, i złość! Co ten chłopiec wymyślił sobie? Stare kości po weselach ciągać! Wieczny śmiech! A co ja na tym weselu robić będę? Na co ja tam potrzebna! Pfuj, zgiń, maro, przepadnij! A to przyczepski z tego Widzia! Uf! Nie mogę!…

Jak huragan, od łóżka do szafy, to znów od szafy do łóżka biegała i trudno było zgadnąć, czy rozgniewana była lub rozśmieszona, bo śmiała się, łajała, rękami machała… Justyna przy świetle lampy u otwartego okna stojącej, szyciem zajęta, przyjazny wzrok na starszą towarzyszkę swoją podniosła.

— Bo też ciocia pójdzie z nami na to wesele — z filuterną przekorą rzekła.

— Wieczny śmiech! — krzyknęła stara panna. — Po co ja tam mam iść? Na co? Dlaczego?

— Naprzód dlatego, że ciocia Witoldowi niczego by odmówić nie potrafiła, a potem dlatego, że są to przecież dawni znajomi cioci…

Jak słup pośrodku pokoju stanęła, czarne jej oczy zapłonęły zrazu jak żużle, a potem zmąciły się wielkim zmieszaniem. Ciszej daleko niż wprzódy zamruczała:

— Dawni znajomi! To prawda… i dobrzy niegdyś znajomi! Ale kiedy to było! I… krótko to było! A teraz… po co? Czy po to, ażeby ludzi straszyć? Jak upiór z tamtego świata przed oczami ich stanąć! Dawni znajomi! Ale… czy poznaliby mnie teraz? Czy ja bym ich poznała? Wieczny smutek…

Nagle uciszona, przygarbiona trochę, naprzeciw Justyny po drugiej stronie stołu usiadła i w twarz towarzyszki wlepiając spojrzenie rozgorzałe i razem dziwnie jakby wstydliwe zagadnęła:

— Jakże to było? Skąd się to wzięło? Czego dziś córka Fabiana tu przylatywała i gdzie biegałyście razem, jak podsmalone? Czy i Witold tam

był? Wieczne dziwy! Czy myślicie przerobić się na chłopów?

Było to tak. Dziś, dużo jeszcze przed zachodem słońca, gdy Justyna po parogodzinnym wtórowaniu na fortepianie ojcu do pokoju tego przyszła i w nadchodzący wieczór jak w pustą jamę patrzała, czym go zapełnić nie wiedząc, w otwierających się drzwiach, zasapana trochę od szybkiego biegu, w swojej odświętnej, bordowej sukni, stanęła Elżusia. Stanęła, krępą figurkę wyprostowała, zadarty nosek podniosła i zagadała:

— Czy tu przyjmują, czy nie przyjmują? Jeżeli przyjmują, to dobry wieczór, a jeżeli nie przyjmują, to bywajcie zdrowi! Bardzo słusznie! Przyszłam panienkę na świeży miód zaprosić…

Na krześle podanym jej przez Justynę siadając trzepała dalej:

— Ten gamuła Julek sprzeczał się ze mną, że nie będę miała śmiałości iść do dworu i z radą wystąpił, żebym koło oficyny szła i w kuchni spytała się, czy do panienki można… Ale ja nie taka! Czy ja pies, żeby koło kuchni chodzić? Bardzo słusznie. Poszłam sobie prostą drogą, przez ganek do sieni, aż tu nie wiem, gdzie iść… na prawo czy na lewo?

Na szczęście do sieni weszła panna Marta, taka sroga, ale ona nie zlękła się jej wcale, bo i czegóż lękać by się miała? Nie przyszła przecież kraść i nie jest psem, aby ją można było wypędzać! Bardzo słusznie. A gdyby i samego pana Korczyńskiego spotkała, nie zlękłaby się również, choć on jest arystokrat. Ale on sobie, a ona sobie. U ojca rodzonego mieszka, cudzego chleba nie je i nikt nad nią żadnego postrachu ani pośmiewiska wywierać nie ma prawa. Jednego tylko Boga lęka się, po Bogu ojca, a więcej to już chyba takiego człowieka na świecie nie ma, którego by ona lękać się mogła.

Ciekawie rozejrzała się po ścianach i sprzętach pokoju.

— Nic osobliwego — zauważyła — w naszej świetlicy może jeszcze i piękniej. Na dole, to prawda, że pokoje piękne, ale nie nadmiar, chyba, ot, że podłogi błyszczą jak szkło i to jest bardzo ładnie. Ale dziw wielki, że u króla żonka piękna! Bardzo słusznie!

Prawdę powiedziawszy i pod sekretem, ojciec kazał jej iść do dworu i spróbować, czy też panna Justyna do chaty ich przyjść zechce. „Idź i niby to na miód zaproś!” Bardzo słusznie. Kto wspólnie z nami pracował, niech z nami i zabawi się, kto naszej gorzkości spróbował, niech i słodkości pokosztuje. Ale ona wie bardzo dobrze, o co jej ojcu idzie. Zachichotała.

— Ojciec ambicjant taki, że już i przenieść nie może, aby w sąsiedztwie państwo bywali, a u niego nie. Powiedzieć, za nic tego przed nikim nie powie, ale już ja wiem, że jemu to smętliwie… A teraz i z tym procesem, co go z panem Korczyńskim zaprowadził, wielką alterację[328] ma. Słyszę, w miasteczku mu powiedzieli, że adwokat apelację, czy coś tam takiego, nie w czas podał i że wszystko przepadnie. Może ociec myśli, że przyjdzie z panem Korczyńskim pojednać się i orędowników u niego chce mieć. Bardzo słusznie.

Ale i na tym wszystkim nie koniec. Elżusia zachichotała znowu, zarumieniła się, oczy na chwilę spuściła i wnet potem śmiało

wypowiedziała:

— Najwięcej, że ociec żąda oświadczyć, że wielkim dla nas wszystkich szczęściem to będzie, jeżeli panna Justyna i pan Witold na moim weselu będą.

Gdy już obie w drodze były, pomiędzy dworem i okolicą Justynie powiedziała, że narzeczony ze swatem dziś do nich przyjechali. Swatem jest pan Starzyński, Janka ojczym. Justyna tedy narzeczonego jej pozna.

— Młodzieńki i mileńki bardzo, a taki pokorny, że zdaje się jak baranek…

Sposób, w jaki to mówiła, zdradzał wyraźnie, że była narzeczonym zachwycona. Jednak i o praktycznej stronie małżeństwa nie zapomniała. Podobało się jej bardzo, że Franuś Jaśmont miał dobre konie, krów aż sześć i spory kawał łąki. Gdyby to jeszcze ojciec mógł jej gotówką cały posag wypłacić! Ale gdzie tam! Połowę tylko wypłaci, a na połowę *weksele* wyda. Na ten proces z panem Korczyńskim wielkie koszta położył i teraz dla rodzonego dziecka kurczyć się musi. Żeby te procesy licho wzięło!

Kiedy wchodziły do zagrody Fabiana, słońce rozścielało po jej trawach złoty kobierzec, a mnóstwem tajemniczych i ruchliwych świateł napełniało gaj śliwowy, w którym sterczało kilkanaście starych ulów, brzęczały pszczoły i na zabój śpiewały szczygły. Za śliwowym gajem, łankiem dojrzałego owsa i zagonami warzywa, u których kresu iskrzyły się krzaczyste floksy i czerwone georginie, dom ku ogrodowi bokiem, a ku małemu podwórku gankiem zwrócony stał pod srebrnymi topolami, które na jego strzechę i jedyny komin lać się zdawały nieustanny deszcz srebrnych kropel. Wszystko tu było tak prawie, jak u Anzelma i Jana, jednak daleko ciaśniej i biedniej. Ule były starej konstrukcji i nie pomalowane, stodoła mniejszą i lasem chwastów dokoła obrosłą, ściany domu od starości trochę wykrzywione, strzecha miejscami od porastającego ją mchu zielona, miejscami żółtą słomą połatana. Z drzew owocowych, oprócz śliwowego gaju, tu i ówdzie pośród zagrody stało tylko kilka prawie zdziczałych grusz i jabłoni.

Ale z ławy stojącej pod wykrzywionymi ścianami domu, spod dwu otwartych okien o małych i mętnych szybach, na widok wchodzącego do zagrody gościa bardzo poważnie podniosła się para ludzi i bardzo ceremonialnym krokiem naprzód dążyła. Mężczyzna, do rydza ze sterczącymi wąsami i błyszczącymi oczami podobny, jedną rękę opierał na kłębie, drugą, w której wytartą czapkę trzymał, spuszczał u boku. Kobieta, cienka, mizerna, w krótkiej spódnicy, przedwiecznej, rozwiewającej się mantyli i *kornecie*, czyli białym czepcu z obfitym i sztywnym wygarnirowaniem, szła cała w takich uśmiechach i krygach, jak gdyby zaraz do ceremonialnego i dygającego menueta[329] stanąć miała. Na ścieżce pomiędzy owsem i zagonami buraków wydeptanej Fabian głośny pocałunek złożył na ręce Justyny, a wnet potem obie już ręce na kłębach opierając zaczął:

— Bardzo jestem kontenty i najuniżeniej dziękuję, że otrzymać mogłem tę promocję, której tak często sąsiedzi moje doświadczają. Bo choć oni troszkę i bogatsi ode mnie, ale ja również sam sobie pan jestem i znacznym nie będąc mogę być zacnym. Proszę panią dobrodziejkę naprzód postąpić… z ukontentowaniem proszę!

Fabianowa zaś usta sznurując dygała i w wyciągającą się ku niej dłoń Justyny wsunęła rękę kościstą, do pomarańczowej prawie barwy ogorzałą, od spracowania twardą. Trochę była zakłopotana i bardzo zajęta tym, aby okazać się nie tylko przystojną, ale i dworną, nad to, co ją otaczało, nieco wyższą. Za mężem powtarzała:

— Proszę… z ukontentowaniem proszę!

I po zagonach buraków idąc stopą w gruby trzewik obutą, suche gałązki zrzucała ze ścieżki, którą szła Justyna.

— Śmiecie u nas — tłumaczyła się — zwyczajnie, jak na małym gospodarstwie… pani do tego nie przywykła i ja kiedyś insze życie i uzwyczajenia miałam. Giecołdówna z domu jestem, ociec mój na takiej zagrodzie nie siedział, ale po dzierżawach chodził… później już, kiedy Pan Bóg nie pobłogosławił, pożary i mory na bydło nawiedziły, na ekonomię zszedł…

Westchnęła i chudy policzek na dłoni oparła.

— Jeszcze i teraz rodzonego mego brata syn, Józef Giecołd, dzierżawę trzyma… może pani słyszała?… od Korczyna niedaleko… A drugi Giecołd w biurze…

Ale przerwał jej mąż:

— A u imości wiecznie tylko Giecołdy w pamięci zasadzone! Wczas już by było znacznemu gościowi zarekomendować przyszłego naszego zięcia. Franuś, panie Franciszku! Proszę tu do nas!

Pod ścianą domu z ławy powstali znowu dwaj ludzie, z których jeden co najmniej dziwnie wyglądał. Dość wysoki, od karku do stóp jednostajną grubość mający, w zielonym jak trawa surducie, a z czerwoną, dobroduszną, śmiejącą się twarzą podobnym był do równo okrzesanego krzaku z zasadzoną u wierzchu piwonią. Drugim był młodziutki, dwudziestoparoletni chłopak, niski, szczupły, w czarnym surducie, z twarzą nieładną, ogorzałą, trochę głupkowatą i bardzo łagodną.

— Pan Starzyński ze Starzyn, mąż dawniejszej pani Jerzowej. A to Alżusi kawaler, Franciszek Jaśmont… — zarekomendował Fabian.

Elżusia, która dotąd w cichości szła za towarzystwem, zza ojca wyskoczyła i zagadała:

— Jezu! A toż to pan Starzyński! Bardzo słusznie! A ja myślałam, że to taki wielki krzak piwonii pod naszymi oknami zakwitnął!

Starzyński po surducie swoim wzrokiem powiódł i zaśmiał się najgłębszym basem, a tak serdecznie, że aż mu tłuste policzki trzęsły się i łzy do małych oczu nabiegły.

— A to mnie tak moja imość wystrychnęła… — śmiać się nie przestając

mówił — utkała sukno i kazała je na zielono pofarbować… Ja do niej: „Czy ty, babo, rozum na drodze straciła?” A ona: „Niech jegomość mnie podziękuje, bo zielony kolor najmilszy, nadzieję oznacza”. Co robić? kiedy choć stara, a romansowa! Wszystko równo! co człowiek wdzieje na siebie, to wdzieje… byle było co do gęby włożyć!

Elżusia do ucha Justynie szepnęła:

— Zdaje się, że dobry, a taki skąpiec, że niech Pan Bóg broni… od gęby sobie i dzieciom odejmuje, a pełną szufladę w komodzie ma asygnatek[330]…

Jednak tusza i barwa twarzy Starzyńskiego nie zdawała się świadczyć, aby miał on sobie bardzo od gęby odejmować.

Przed ławą pod ścianą domu stojącą, na niedużym zydlu stała spora misa z pięknym, złotawym, tylko co z plastrów wyciekłym miodem, a przy niej leżał wielki bochen razowego chleba i szeroki nóż w kościanej oprawie.

Pierwszą po przyjściu do domu czynnością Elżusi było zdjąć trzewiki. Boso teraz po trawie biegała narzeczonemu rozkazy wydając.

— Panie Franciszku! Proszę przynieść krzesło dla panny Justyny!

Chłopak w mig ku chacie się rzucił. Fabian kroił chleb, którego spód, tak jak u Anzelma, okrywały wyraźne rysunki klonowych czy lipowych liści. Przez parę minut panowało trochę kłopotliwe milczenie, przerywane tylko wykrzyknikami Elżusi, która narzeczonego posyłała to po osobną miseczkę dla Justyny, to po łyżkę, to mu rozkazywała przepędzać psa na widok chleba zbliżającego się do zydla, musztrując go przy tym i niby wyśmiewając, to że powoli chodzi, to że niezgrabnie przyniesione przedmioty umieszcza, a wszystko to głośno, rezolutnie, białymi zębami w uśmiechach błyskając a imponująco zadarty nosek podnosząc. On zaś, milczący, pokorny, ze zmieszania niezgrabny, spełniał wszystkie jej rozkazy i komenderówki, a ilekroć na nią spojrzał, z podziwu czy zakochania usta otwierał i na podobieństwo słupa nieruchomiał. Miodu jeszcze ani skosztował, tak go Elżusia ustawicznie pędzała i musztrowała. Za to wszyscy inni, po kolei, nóż w kościanej oprawie brali, miód nim na chleb kładli i kęs jego odgryzłszy porcje na zydlu składali, powoli ze skrzyżowanymi na piersi lub opuszczonymi na kolana rękami przeżuwając. Fabianowa przewlekłym swym głosem opowiadała o pasiece, którą miał ojciec jej Giecołd, kiedy jeszcze po dzierżawach chodził.

— Dzień po nocy, a noc po dniu następuje… — śpiewała — tak i ja… z dostatków takich na te małe gospodarstwo przyszłam, jak robotna pszczoła całe życie *przechorowałam*, i ot… czego dobiłam się!…

— Mruczydło z imości — sierdzisto przerwał Fabian — ze wszelakiej rzeczy materię do lamentów wyprowadzisz. Wiadomo, im gorsze koła, tym więcej skrzypią!

Starzyński śmiał się znowu tak, aż mu łzy do oczu nabiegały. Fabian zaś nagle wzrok utkwił w ścieżce od bramy ogrodzenia przez ogród wiodącej, prostować się zaczął, z ławy wstał i rękę na kłębie oparł.

Od wielkiego zadowolenia, jakie uczuł, rumiane policzki mu zadrgały i poruszyła się kępka twardych wąsów.

— Wesoły nam dziś dzień nastał! — gromko zawołał. — Drugiego już znacznego gościa Bóg nam prowadzi!…

Drugim tym gościem był Witold, który od kilku już minut niespostrzeżony przez nikogo za niskim ogrodzeniem stał, gronu osób siedzących pod ścianą domu przypatrując się z daleka, aż nieprzezwyciężoną widocznie ochotą zdjęty, ku niemu dążyć zaczął. Czarny Mars biegł za nim. Rękę gospodarzowi zagrody podając młody Korczyński przepraszał, że psa za sobą wiedzie. Ale Fabian z uprzejmością niezmierną i z szerokimi zarówno jak niskimi ukłonami wykrzykiwał:

— Nic to! Nic to! Z ukontentowaniem witamy… z ukontentowaniem, spólnie z pieskiem, witamy. A co to szkodzi! Kto pana kocha i jego psa głaszcze. Pies dobry lepszy niżeli zły człowiek!

Łagodnego wyżła gładził istotnie, a Fabianowa z ławy powstawszy, w rozwiewającej się mantyli najpiękniejsze ze swych krygów przed nowym gościem wykonywała. Ale nic ją więcej uszczęśliwić nie mogło nad to, jak gdy Witold o zdrowie jej zapytał. Upatrywała w tym naprzód okazane jej uszanowanie, a potem była to na jej młyn wyborna woda. Uśmiechając się więc od radości, żałośliwym jednak tonem mówić zaczęła:

— Skrzypię… ciągle skrzypię, ale to nic skrzypiącego drzewa dłużej! My z panem dobrodziejem nie od dzisiaj znajomi… takim malutkim jeszcze przybiegał do nas, a i potem z klas do mamy i papy przyjeżdżając, czasem nawiedzał… Pan dobrodziej wie, od czego moje zdrowie na suche lasy poszło… *Chorowałam*, wodę na górę ciągałam… ta krwawa woda najwięcej mnie zgubiła… przy tym nie do tego urodziłam się… uzwyczajenia z początku nie miałam… bo pan dobrodziej przypomina pewno sobie, że Giecołdówna jestem, tego Giecołda, co po dzierżawach chodził… Brata mego syn jeszcze i teraz dzierżawę trzyma, a drugi w biurze…

— Taż baba, też koła! — mruknął Fabian i mowę żonie przebijając począł gościa o żniwa korczyńskie rozpytywać.

Starzyński, który także młodego Korczyńskiego znał od dzieciństwa, wmieszał się do rozmowy, o gospodarstwie, o urodzajach i różnych glebach tej okolicy prawiąc i często rozmowę basowym, dobrodusznym, nieskończonym, zda się, śmiechem przerywając.

Elżusia tymczasem, nieco z daleka, u węgła domu narzeczonemu do ust po odrobinie miodu łyżką wkładała, a on za każdym razem czerwoną jej rękę z głośnym cmokaniem ust całował.

— Niech pan Franciszek tego cmokania zaprzestanie, a po ludzku ze mną pogada — zakomenderowała.

Jak maszyna posłuszny, całowania zaprzestał, a w zamian szeptać ze sobą poczęli, a raczej ona szeptała, on zaś z pokornym wzrokiem wszystkiemu, co mówiła, głową potakiwał.

Wtem u ogrodzenia z desek, rozdzielającego zagrody Anzelma i

Fabiana, coś zaszeleściło. Była to Antolka, która ze szczytu ogrodzenia zsunęła się na ziemię, wywdzięczając się tym sposobem sąsiadce, tą samą drogą nieraz do niej w odwiedziny przybywającej, tylko że gdy tamta spadała jak pulchna kluska, ta, wysmukła i lekka, zlatywała jak piórko. W codziennym stroju była, bo i dzień był powszedni, a tylko u Fabianostwa z powodu odwiedzin narzeczonego stał się świąteczny. Spostrzegłszy Justynę, do głowy obie ręce podniosła:

— Oj, Bożeż mój, Boże — zawołała — toż Jankowi zgryzota będzie, że dziś go w domu nie ma! Po siano na łąkę pojechał… aż o dwie mile!…

Naiwny ten wykrzyk dziewczęcia purpurą okrył twarz Justyny, której właśnie Fabianowa opowiadała o najlepszych sposobach moczenia i suszenia lnu i o lnie mówiąc zupełnie o Giecołdach zapomniała. Witold nachylił się do ucha kuzynki.

— Czegoś się tak zarumieniła? — z filuterną przekorą szepnął.

Antolka, widokiem wielu na raz osób onieśmielona, zbliżała się powoli. O, ta nie potrafiłaby pewno rozkazywać narzeczonemu i do musztry go układać! Lękliwa była, łagodna i dziwnie delikatna w kształtach i ruchach. Ale też i ten młody mężczyzna, którego dymkowy surdut najpiękniejszą kanarkową barwą w tej chwili błysnął w bramie zagrody, pewno nikomu nad sobą przewodzić by nie pozwolił. On także jeździł po siano na łąkę, którą o dwie mile stąd wspólnie z kilku sąsiadami dzierżawił, ale przed godziną już powróciwszy kanarkowy surdut przywdział i tam, gdzie go serce ciągnęło, pośpieszył. Może z drogi zobaczył ukochaną, przez płot do sąsiadów wskakującą. Z podniesionym do góry wąsem i spiczastą bródką, w wysokich butach i zgrabnej czapeczce, szedł śmiało i szerokimi krokami, a gdy już doszedł do śliwowego gaju, za drzewo się ukrył i po całej zagrodzie rozległ się głośny, do złudzenia wiernie z natury naśladowany śpiew słowika.

— Jezu! — krzyknęła Antolka.

Po raz to pierwszy pewno na świecie słowicze trele młodą dziewczynę tak przestraszyły. Nie spostrzegła nadchodzącego Michała i zlękła się teraz bardzo, bo wyglądało to tak, jakby zmówili się tu przyjść jednocześnie…

— Ciach, ciach, ciach… la… la… la… — w śliwowym gaju wyśpiewywał słowik, Starzyński brał się za boki od śmiechu, Fabianowa chichotała, Elżusia śmiała się na całe gardło, a narzeczony wiernie jej wtórował. Na koniec, elegant okolicy wynurzył się z gaju, a zmieszana Antolka, rezonem nadrabiając, zawołała:

— Pan Michał nie wiadomo co dokazuje, a lepiej powiedziałby, czy Janek prędko przyjedzie?

Odpowiedział, że Janek dziś na łące nocować będzie, bo wszystkiego siana jeszcze nie zebrał.

Witold znowu figlarnie na ucho kuzynce szepnął:

— Czegoś tak posmutniała, Justynko?

Wesoło przed chwilą rozmawiała z dziewczętami, ale odpowiedź

Michała mowę jej przecięła. Spłonęła znowu i parę minut na sapieżankę, z drugiej strony ogrodzenia szeroko gałęzie rozkładającą, z zamyśleniem popatrzała. Fabian sąsiada o Adasia zapytywał, który także z odległej, wydzierżawionej łąki siano zbierał, a według wieści Michała, tak jak i Jan, wrócić miał ledwie nazajutrz. On, Michał, najprędzej swoje skosił. Zmachał się tak, że mu i teraz jeszcze krzyż trzeszczy. Ale cóż robić? Komu pilno, temu pilno! Przy ostatnich słowach na Antolkę z ukosa spojrzał i z fantazją poprawił u szyi błękitną chustkę, w którą pomimo trzeszczenia krzyża ustroić się nie zapomniał. Dokoła zydla z misą, która zamiast miodu napełniła się teraz muchami, siedzące i stojące osoby toczyły rozmowę gwarną, z której najgłośniej wybijały się narzekania na brak łąk i pastwisk. Mała to rzecz o dwie mile po siano i to, gdybyż na swoją, ale na wynajętą łąkę jeździć! Już i koniczynę sieją, i pola z zielsk wszelkich ogałacają, a zawsze srogi niedostatek cierpią. Zresztą, nie ta jedna bieda ich gniecie. Fabiana twarz zmarkotniała i okryła się mnóstwem zmarszczek. Powoli butę swoją tracił i ze zgryźliwością, markotnie wynurzać się zaczynał.

— Języka — mówił — w czarce nie moczyłem i much po drodze nie ścigałem, a co z tego! Tyle tylko, żem duszę w ciele utrzymać zdołał, a chaty nawet nowej za co zbudować nie mam.

Ręką ku zagrodzie Anzelma rzucił.

— Tym dobrze! Więcej niż dwadzieścia morgów gruntu mają i we troje żyją… a u mnie i dwunastu morgów może nie ma, a dzieci pięcioro. Co ja z synami zrobię, jak wszyscy wyrosną, a żenić się zechcą? Dawniej w obowiązki szli i podczas dorabiali się czego, teraz o to trudno. Dzierżawkę, żeby i miał który za co wziąć, także trudno, bo na wielkie nie wystarczy, a małych naokolutko tak jak prawie nie ma… Jednym słowem, ani tędy, ani siędy… ani ty człowiecze, na prawo nie pójdziesz, ani na lewo… nijakiej drogi i nijakiego przyrobku[331] nie ma. Choć zgiń, człowiecze, choć na śmierć zapracuj się, a poprawy losu swojego nie otrzymasz…

— I ziemi przykupić — odezwał się Starzyński — żeby kto nawet siły do kupy wziąwszy na pieniądze i wzmógł się, dla inszej przyczyny nie można…

— A nie można — przytwierdził Fabian — ni w czym rozszerzenia i ni w czym postępowania dla nas nie ma. Zewsząd otoczyła nas rola bogaczów, a my ledwie ścieżeczką wąską przecisnąć się możemy…

W elegijny[332] ton popadł i na wzór żony, która już od dawna z twarzą na rękę opuszczoną kołysała się to w tył, to naprzód, policzek na dłoń opuścił. Gorzki uśmiech przebiegł mu pod szorstkimi wąsami.

— O jednego syna to już i nie mam po co głowy suszyć… w sołdaty za trzy miesiące pójdzie, a choć za pięć lat i powróci, to ja tymczasem bez niego chyba potem do mogiły ścieknę. Najstarszy i pracowity, posłuszny, choć do mnie przyrodziwszy się, gniewliwy. Drugiego mnie Pan Bóg bałwana dał, co tylko po Niemnie orać i kosić umie, a tamte dwa to jeszcze niedostałe trawy… ledwie do pasienia koni lub bronowania zdatne…

Tak wyskarżywszy się uczuł wracającą mu dumę i zuchowatość. Głowę

podniósł, chwilowego rozczulenia się zawstydził.

— At! — wykrzyknął — szczęśliwe powodzenie robi szkodliwe ubezpieczenie. Może Pan Bóg dlatego nas, grzesznych ludzi doświadcza i w gardło nieprzyjacielskie oddaje, abyśmy się na tym świecie nie fundowali[333], ale ojczyzny wiecznej szukali…

— Cierpliwość w niebo wwodzi — wtrącił Starzyński.

— Bóg mnie ubij na ciele i duszy, jeżeli nie to samo zawsze myślę! — wykrzyknął Fabian — tylko jak podczas nieścierpliwe już bóle zdejmą, to człowiekowi trzy po trzy naplecie się w gębie…

— Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył, i koniec, i kwita! — wąsa w górę podnosząc zakończył Michał, który bardzo poważny udział brał w rozmowie toczącej się dokoła zydla, a do Antolki wobec tylu osób nie zbliżył się ani razu, to zapewne na względzie mając, aby dziewczyna na ludzkie języki nie padła.

Starzyński z basowym śmiechem zauważył, że Fabian Panu Bogu za starszych synów dziękować powinien. Z młodszych to nie wiadomo jeszcze co będzie, ale starsi obydwaj poczciwi i dobrze prowadzący się kawalerowie. Choć on w tej okolicy nie mieszka, ale wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Widocznym było, że Fabian pochwałami synom jego oddawanymi czuł się uradowany i pochlebiony, ale obojętność i nawet niezadowolenie udawał. Głową lekceważąco trząsł, ręką machnął i niedbale rzucił:

— At! Osobliwa pociecha! Jeden kiep, drugi dureń, a obydwa błazny!

Wkrótce potem odchodzących gości z ukłonami i długimi przemówieniami na wesele córki zapraszał. Kiedy kłaniał się po wielekroć i nisko, a wnet potem prostował się i dłonie na kłębach opierał, mówił o swojej ubogiej chacie i wnet dodawał, że mu o jej ubóstwo bynajmniej! Bo sam sobie jest panem i znacznym nie będąc, może być zacnym kiedy z przymileniem i prawie uniżonością patrzył w twarz młodego Korczyńskiego, a przy wzmiance o procesie z jego ojcem, którą nieuważnie uczynił Michał, wąs najeżył i czoło groźnie zmarszczył, widać w nim było naturę pełną cech z sobą sprzecznych, którymi były: głębokie dla wyższego w świecie stanowiska poważanie i butna z własnej niezależności duma, popędliwa gniewliwość i przebiegła filuterność, skołatanie troskami i trudami ubogiego życia, a w facecjach, przysłowiach, przypowieściach wytryskająca jowialność.

— Łazarz mizerny — prawił — o bogaczowych pokojach wyśpiewywał: „Stołów, stołków obficie, i na ścianach obicie!” W mojej chacie także pięknych pokojów nie ma ani złotnych materii na ścianach, ale mnie o to bynajmniej! I przed takimi znacznymi gośćmi nie powstydzę się swego ubóstwa, jeżeli przyjdą dziewczynie mojej w dniu jej ślubu szczęścia życzyć, a za wielką promocję i osobliwą łaskę będę to sobie miał. Bo to każdy ptak podług swego nosa śpiewa, a w małym garnku barszcz tak samo w górę kipi jak i w wielkim…

Fabianowa zaś menueta tańczyła na trawach ogrodu, krygując się i

dygając, przy czym o Giecołdach nie zapominała.

— Józika Giecołda żonka swachą[334] na Elżusinym weselu będzie, pan Starzyński swatem, a panna Justyna pierwszą drużką do pary z panem Kazimierzem Jaśmontem, którego Franuś na pierwszego drużbanta zaprosił…

W chude ręce klasnęła i z ukontentowania jakieś niby menuetowe *entrechat*[335] wykonała.

— Widać już Pan Bóg mojej Alżusi takie szczęście dał, że taką chwalebną asystę będzie miała!…

A Elżusia, floksy dla Justyny zrywając, narzeczonemu rozkazywała, aby najpiękniejszą georginię zerwał.

— Nie ta! — wołała. — Tamta, wielka taka, czerwona… czy pan Franciszek ślepy, kiedy nie widzi, na co ja palcem pokazuję? Ej! Pan Franciszek widać do zrywania kwiatów zdatny jak wół do karety!

— Ale może za to w kochaniu zgrabniejszym się okaże! — jak grzmot potoczył się śmiech Starzyńskiego.

Kiedy Justyna i Witold pod blednącym wieczornym niebem przy wielkim krzyku koników polnych, przerzynanym ostrymi głosami chruścieli i melodyjnym wołaniem przepiórek, do domu wracali, młodzieniec ze zwykłą sobie zapalnością zajęty losami, charakterami, obyczajami ludzi, których przed chwilą opuścił, po raz pierwszy mówił do młodej swojej krewnej o myślach i celach, którym własną przyszłość poświęcić przyrzekał.

Przed kilku miesiącami Justyna nie zrozumiałaby go może albo obojętnie słuchałaby o tych rzeczach, jak o zbyt dla niej odległych i niedostępnych, aby po nie sercem czy współudziałem sięgnąć mogła. Teraz idee z szerokiego świata, z dobrych serc i umysłowych trudów ludzkich, z powszechnego oddechu ludzkości ku niej przylatujące o pierś jej biły rozpalonymi skrzydłami, a świetlistymi pasami przerzynały umysł. Wydało się jej, że to, co w drodze pomiędzy zagrodą Fabiana a korczyńskim dworem mówił jej Witold, niewidzialną nicią łączy się z godziną, którą spędziła na Mogile. Oderwane dotąd jej spostrzeżenia i wrażenia wiązać się zaczynały w całokształt myśli i uczuć, nad którymi zastanawiała się długo, gdy opowiedziawszy już Marcie wszystko, o czym ta wiedzieć chciała, i lampę zgasiwszy, samotna i cicha, stała w otwartym oknie na wieczór gwiaździsty patrząc, a uchem ciekawym, może tęsknym, łowiąc ostatnie szmery otaczającego Korczyn ludzkiego życia.

Nazajutrz przed południem przez wpółuchylone drzwi pokoju Marty i Justyny zajrzała utrefiona główka Leoni.

— Czy ciocia tu jest? — zadźwięczał głosik śmiechem nabrzmiały.

— Jestem, kotko, jestem! — odpowiedział z pokoju głos gruby, lecz także uradowany. — A co chcesz, robaczku? Może kotlecika albo pierożków z czernicami? Gotowe już… doskonałe!…

Dziewczynka weszła w draperiach i falbankach sukni, wyprostowana,

uroczysta, z tysiącem uśmieszków na twarzyczce ładnej, roztropnej, niedokrwistej. W ręku niosła dwa kawałki kanwy włóczkowymi różami i floresami okryte.

— Pantofle własnej roboty kochanej cioci ofiarowuję i proszę je przyjąć tak… tak… jak ja…

Miała widać coś bardzo długiego i pięknego wypowiedzieć, ale widząc twarz Marty tak drgającą, jakby ją w mnóstwo miejsc na raz komary kąsały, nie dokończyła, tylko z podskokiem na szyję starej panny szczupłe ramiona zarzuciła i małą, ciemną, pomarszczoną, drgającą twarz pocałunkami okrywała. Rzecz była drobna, a jednak Marta śmiała się i razem płakała, dziewczynkę nad ziemią unosząc, do piersi ją przyciskając i w nieskończoność szepcząc, wykrzykując i wykaszlując:

— Kotko ty moja… robaczku… słowiczku… rybko!

Przyglądała się potem pantoflom, wychwalała je, do wielkiej nogi swej przymierzała z uszczęśliwieniem, które dziwne w niej sprowadzało zmiany, młodszą jakby, lżejszą, cichszą ją czyniąc. Na koniec znowu Leoni pierożki z czernicami ofiarowywała. Ale dziewczynka z lekkością metalowej turkawki[336] na jednej nodze okręcała się dokoła pokoju, przy czym klaskała w dłonie, wołała i wyśpiewywała:

— Mama już wstała i kakao pije… Widzio poszedł już prosić, aby mnie pozwoliła na wesele pójść z nim, z ciocią i Justynką… poszedł… poszedł… poszedł prosić!

Wtem ze stukiem otworzyły się drzwi i ukazała się w nich młoda, wystrojona panna służąca wołając:

— Pani zachorowała i panny Marty do siebie prosi!

Marta piorunem ze schodów zbiegła, za nią przelękniona, zasmucona, znowu sztywna, schodziła na dół Leonia. Przez sień szerokimi krokami przechodził Benedykt, wąsa rozpaczliwie w dół ciągnąc i spotykane osoby spiesznie zapytując:

— Co się stało? Znowu zachorowała? Czy po doktora posyłać trzeba?

W rogu salonu rozminął się z synem, który pośrodku sieni Leonię za rękę pochwycił.

— Buszmankę z ciebie zrobią, jak ojca kocham, Buszmankę! — ze wzburzeniem zawołał i w głąb domu pobiegł.

W sypialni pani Emilii działy się straszne rzeczy, których przyczyną najważniejszą, ale nie jedyną, była dzisiejsza rozmowa matki z synem. Wczoraj już po wystąpieniu przy wieczerzy Benedykta położyła się do łóżka z biciem serca i duszeniem w gardle. W nocy nagabywały ją z lekka żołądkowe kurcze, które uspokajała lekarstwami i słuchaniem prawie do wschodu słońca głośnego czytania Teresy. Kiedy wszyscy w domu i dokoła domu pogrążali się już w ruch i zachody pracowitego dnia letniego, ona usnęła. Niewiele przed południem, zdrowsza nieco, chociaż od smutnych na rozpoczynający się dzień przewidywań niezupełnie wolna, w śnieżnych puchach peniuaru ułożyła się na pąsowym szezlongu, po jednej stronie

mając filiżankę wzmacniającego kakao, po drugiej książkę, którą wczoraj czytać rozpoczęła, i niedawno też rozpoczętą włóczkową robotę. Tuż przy niej, z ręką na chustce zawieszoną, Teresa piła kakawelo[337], bo kakao jej nie służyło i z opowiadaniem o śnie dzisiejszym łączyła przewidywanie bólu zębów, dla zapobieżenia któremu już użyła lekarstwa jednego, a drugie właśnie przygotowywała, gdy przez wpółotwarte drzwi buduaru zajrzał Witold i o pozwolenie wejścia zapytał. Pani Emilia nie tylko synowi wejść pozwoliła, ale gdy w rękę ją całował, kilka razy w czoło go pocałowała i łagodnym ruchem pociągnąwszy go ku obok stojącemu krzesłu, o złej dzisiejszej nocy i w ogóle o swoim sfatygowaniu i zdenerwowaniu powoli, z uśmiechem cierpliwym i smutnym opowiadać mu zaczęła. Trwało to dobry kwadrans, po którym Witold prośbę, z którą tu przyszedł, wypowiedział. Pani Emilia najzupełniej zrazu nie zrozumiała, o co synowi jej chodziło, i była pewna, że słowa jego źle usłyszała.

— Gdzie? Czyje wesele? Dokąd Leonia ma jechać? — z cicha i łagodnie zapytywała. — Przepraszam cię, Widziu, ale tak jestem osłabiona… z osłabienia mam szum w uszach…

Kiedy na koniec dokładnie słowa syna wyrozumiała, osłupiała zrazu od zdziwienia, a potem żądaniu jego oparła się stanowczo. Stanowczość ta była cicha, łagodna, ale niezłomna. Rzecz cała zresztą wydawała się jej tak niesłychana, że nie uważała nawet za potrzebne przyczyn oporu swego wypowiadać.

— Ja — cicho i łagodnie mówiła — na takie dziwactwa zgodzić się nie mogę… Bardzo mi smutno, Widziu, że odmówić ci muszę, ale matką jestem i prowadzenie Leoni jest moim świętym obowiązkiem… Kiedy złożycie mnie do mogiły, będziecie z nią postępować, jak się wam będzie podobało, ale dopóki ja żyję, moja córka nie będzie bywać w niewłaściwych dla siebie towarzystwach, psuć sobie układu i patrzeć na rzeczy, których nigdy widzieć nie powinna.

— Owszem, moja mamo, powinna ona wszystko widzieć i słyszeć, aby znać ten świat, ten kraj, których przecie mieszkanką i obywatelką będzie — przerwał Witold, jak tylko mógł najcierpliwiej, po czym parę minut jeszcze, jak tylko mógł najcichszym głosem, przekonywał matkę o konieczności dania Leoni więcej fizycznego ruchu a umysłowej wiedzy o naturze i ludziach, pośród których upływać miało przyszłe jej życie. Pomimo jednak powściągliwości, z jaką mówił, kilka jego wyrażeń boleśnie panią Emilię dotknęło. Wzięła je za aluzję do jej własnej chorowitości i bezużyteczności. Zamiast więc współczucia, znajdowała u syna krytykę i przyganę! Jednak tego syna kochała! W dzieciństwie pieściła go więcej jak córkę, hałasować tylko w bliskości swojej nie pozwalając, a gdy dorósł, z lubością nieraz przypatrywała się jego wysmukłym kształtom i delikatnym rysom, które jej w rozrzewniający sposób przypominały takiego Benedykta, jakim on był w młodości i jakim, niestety, tak prędko i bezpowrotnie być przestał. Wielki żal do tego syna, który ani kochać nawzajem, ani rozumieć jej nie mógł,

wzbierał w jej piersi i łzami napełniał ciemne, piękne, cierpiące oczy. Żadne przecież słowo gniewu lub urazy z ust jej nie wyszło, z wyrazem męczennicy na los swój zrezygnowanej wszystkiego, co mówił Witold, wysłuchała, i wtedy dopiero, kiedy o niezłomności oporu matki przekonany w rękę ją na pożegnanie całował, uczuła odnawiające się i tym razem gwałtowne kurcze żołądka. W kilka minut potem wiła się po szezlongu w istotnych i dojmujących męczarniach. Straszna gadzina histerii tę formę dziś przybrała, aby ją przeszyć swoim żądłem. Na nieszczęście, Teresa z ręką obezwładnioną i zębami, które od alteracji srodze się już rozbolały, pomocna jej tym razem być nie mogła. Do jednej chustki, na której wspierała rękę, dodała drugą, którą sobie twarz obwiązała i skurczywszy się w kątku pokoju płakała nad cierpieniami przyjaciółki i swoją niemożnością przychodzenia im z pomocą, płacz od czasu do czasu połykaniem saliceli[338] i morfiny przerywając. Zawołano panny służącej, okazała się jeszcze potrzeba przywołania Marty, w zachód około chorej wtrąciła się i Leonia, ale pani Emilia długo żadnej ulgi uczuć nie mogła, przeważnie dlatego, że ciężkie stąpania i głośny oddech Marty drażniły ją i irytowały. Irytacji tej niczym nie objawiała, ale cierpienia jej uspokajały się daleko powolniej, niż to bywało przy lekkim fruwaniu i ptaszęcym szczebiocie Teresy. Daremnie Marta na palcach nóg stąpać usiłując najciszej, jak tylko mogła, kołysała w powietrzu swoją wysoką i ciężką postać, daremnie tłumiła oddech i dławiła się powstrzymywanym kaszlem, sam jej szept nawet, gruby i świszczący, drażnił nerwy chorej. Spostrzegała to wybornie i zgryzota, którą nad tym uczuwała, oblekała jej twarz wyrazem dotkliwego zmartwienia.

— Nigdy jej dogodzić nie mogłam i nie mogę — cichutko, jak się jej zdawało, do Teresy szepnęła i z głębokim wyrzutem samej sobie czynionym dodała: — Nie wiem, słowo honoru, po co żyję i chleb na tym świecie jem! Wieczna niedola!

Jednak po lekarza posyłać potrzeba nie zaszła. Benedykt po kilku minutach w pokoju żony spędzonych do swego gabinetu wszedł i już brał za czapkę, aby udać się w pole, gdy przez drzwi otwarte w drugim pokoju zobaczył syna.

— Witold! — zawołał — pięknieś postąpił! Zirytowałeś matkę, która teraz przez ciebie choruje. Czy do waszych teorii i idei należy także sprzeczanie się z babami i sprowadzanie im nerwowych ataków?

— Szło mi o siostrę — cichszym niż zwykle głosem wymówił młody człowiek, z krzesła powoli wstając i książkę, którą przerzucał, kładąc na stole.

Benedykt próg rozdzielający dwa pokoje przestąpił.

— Matka miała zupełną rację — zaczął. — Leonii po zebraniach i weselach chłopskich ciągać nie trzeba. Nie rozumiem nawet, skąd ci do głowy przyszło sielankowymi swoimi pomysłami matkę męczyć?

Witold milczał. Ręce w tył założył, powieki miał spuszczone i usta

szczelnie zamknięte.

— Czemuż nie odpowiadasz? — rzucił Benedykt, którego milczenie syna drażniło.

Nie zaraz i z widoczną niechęcią syn odpowiedział:

— Myślałem o tym, ojcze, dlaczego mnie nigdy, ani w dzieciństwie, ani kiedym dorósł, sielanek tych nie wzbraniałeś, owszem… owszem… nieraz mnie sam zachęcałeś do nich?

— Facecja! Czy masz mnie za ostatniego głupca, abym miał chłopca w puchach chować i na obłokach kołysać! Ale Leonia jest dziewczyną, a co chłopcu idzie na zdrowie, dziewczynie może zaszkodzić. Ty pewno i z tym się nie zgadzasz? Co?

Witold milczał. W twarzy jego po raz pierwszy Benedykt spostrzegł coś na kształt zaciętości, silne postanowienie wytrwania w milczeniu zdradzającej.

— Cóż? — wymówił — czy nie uważasz mnie nawet godnym rozmowy z sobą?

Nie podnosząc powiek młody człowiek odpowiedział:

— Pozwól mi, ojcze, milczeć i tym sposobem nie ranić ciebie i siebie…

— Nie ranić! — powtórzył Benedykt. — Masz słuszność! Nie nowych ran spodziewałem się od ciebie, ale może zagojenia tych… które…

Ręką machnął.

— Ale — dodał — to już na świecie tak! Przeciw komu Pan Bóg, przeciw temu i wszyscy święci! Niech jeszcze i to!…

Porywczym ruchem czapkę na głowę włożył i wyszedł, Witold zaś stał długo na miejscu, w ziemię wpatrzony, do krwi prawie wargę sobie przygryzając, ale gdy pod gankiem tętent konia usłyszał, szybko do okna podszedł i nie opuścił go dopóty, dopóki odjeżdżający ojciec na drodze długim szlakiem ciągnącej się za bramą z oczu mu nie zniknął. Niespokojny, nad czymś namyślający się, z czymś wewnętrznie walczący, chodził czas jakiś po pustej sali jadalnej, aż przeszedł sień i salon, u drzwi matczynego buduaru stanął i na klamce rękę położył. Stał tak chwilę w nieśmiałej wahającej się postawie, potem cichutko drzwi otworzył, ale zaledwie głowa jego ukazała się w przyciemnionym pokoju, gdy nagle wszystkie, prócz pani Emilii, znajdujące się w nim osoby obydwoma rękami ku niemu machać zaczęły. Przed chwilą właśnie chora uspokoiła się nieco i zdawać się mogło, że zadrzemała. Ujrzawszy zaglądającego do pokoju Witolda Marta, Teresa, Leonia i panna służąca w najgłębszym milczeniu i z najwyższym przerażeniem ramionami ku niemu zamachały. Miało to znaczyć, aby co prędzej odszedł i spoczynku chorej nie przerywał. Odszedł, a w kilka minut potem widać go było z fuzją na ramieniu, z czarnym Marsem i książką wyglądającą z kieszeni surduta idącego w kierunku Olszynki.

Nigdy jeszcze nie widywano Benedykta tak ponurym i rozjątrzonym, jak tego lata, w którym na głowę spadł mu nowy majątkowy kłopot, a na serce

tajemny i niespodziewany smutek. Ten smutek niemal z każdym dniem wzmagać się zdawał. Stosunki jego z synem były na pozór dobre, ale tylko na pozór. Chodzili razem po korczyńskich polach, rozmawiali o agronomicznych studiach, w których Benedykt niegdyś a Witold teraz żywe miał zamiłowanie, lecz obaj czuli, że to ich zetknięcie było zupełnie zewnętrzne, że dusze ich coraz więcej oddalały się od siebie. Od tego wieczora, kiedy Benedykt w bramie folwarcznego dziedzińca rzucił synowi bolesne wyrazy pragnienie rychłej śmierci objawiające, Witold zamknął się w niezłomnym milczeniu o wszystkim, co z najpowszedniejszymi sprawami związku nie miało. Chętnie o przedmiotach codziennych i obojętnych z ojcem rozmawiał, spiesznie pochwytywał każdą sposobność dopomożenia mu w pracy lub oddania jakiejkolwiek przysługi, ale o przekonaniach swoich, o tym, co mu się podobało lub nie podobało, o własnej także przyszłości nie mówił z nim nigdy. Ilekroć przewidywał, że wydarzyć się to może, na twarzy jego zjawiał się ten sam wyraz zaciętego postanowienia, który już raz dotkliwie rozjątrzył Benedykta. Jątrzył go zawsze i coraz bardziej. Wolałby już był otwarte, nawet zawzięte sprzeczki niż to zamykanie się przed nim duszy, której wybuchliwą otwartość znał, więc sztuczną skrytość coraz więcej raniącym go przyczynom przypisywał. Bywały dni, w których nawzajem zdawali się siebie unikać i prawie wcale nie widywali się z sobą i inne, w których nie szukając się z pozoru, spotykali się jednak na każdym kroku, na wspólne przechadzki wychodzili i długie prowadzili rozmowy. Ale w tych rozmowach każda minuta serdeczna, każdy początek zwierzenia czy wylania urywały się prędko, ustępując przed tajonym ze strony jednej, a w gorzkich i porywczych słowach wybuchającym z drugiej rozdrażnieniem. Jednego z dni takich całą może godzinę rozpatrywali razem naukowe książki Witolda, z których młody człowiek czerpał tematy do opowiadania ojcu o różnych nowych pracach na szerokim świecie w dziedzinie agronomi dokonywanych.

— Do diabła! — zawołał Benedykt — kiedy teraz pomyślę, że i ja kiedyś tyle książek czytałem i mądrości zjadałem, oddziwić się temu nie mogę. Teraz, panie, tak odwykłem, że jak tylko co drukowanego do ręki wezmę, zaraz zadrzemię!…

I na przywieziony ze szkoły synowski księgozbiór — wcale nieduży — tak wystraszonymi, prawie przerażonymi oczami patrzał, że Witold zrazu parsknął wesołym śmiechem, a potem zaraz coś jakby litość czy rozrzewnienie wzrok mu napełniło. Wziął rękę ojca i do ust ją przycisnął. Benedykt namyślał się nad czymś przez chwilę.

— Widziu — niepewnym trochę głosem wymówił — mam do ciebie prośbę!

— Ty, ojcze, do mnie? Prośbę? Rozkazuj tylko…

Istotnie, widać było po nim, że gotów był w tej chwili rzucić się w ogień lub na skraj świata skoczyć.

Długi wąs na palec motając i wzrokiem mijając twarz syna Benedykt

mówić zaczął:

— Za trzy tygodnie wyjedziesz z Korczyna… trzeba przecież, abyś wizytę pożegnalną ciotce oddał. Otóż, wiesz dobrze, jaki mam kłopot z tym długiem Darzeckich… Gdybyś do nich pojechał, o przedłużenie mi terminu lub rozłożenie wypłaty na lat kilka ciotki poprosił, przymilił się do niej, zjednał ją sobie… Same córki tylko mając ona za synami braci przepada, a Zygmuś, kiedy siedział za granicą, ciągnął z niej, ile sam chciał… Może by więc i dla ciebie teraz tę łaskę zrobiła… Wprawdzie Darzecki sam interesami rządzi, ale ona ma nad nim wpływ wielki i przy tym to człowiek próżny, który za jeden niski ukłon, za jedno pocałowanie ręki, wiele uczynić może… Cóż? Zrobisz to dla mnie, Widziu?

Ciężka chmura okryła rozjaśnioną przed chwilą twarz młodego człowieka. Milczał. Benedykt trochę podejrzliwie, a trochę wstydliwie na niego spojrzał.

— Cóż? Zrobisz to, o co cię proszę? — grubiej już nieco zagadnął.

— Nie, mój ojcze… boli mię to bardzo… ale nie… — stłumionym głosem odpowiedział Witold.

— Dlaczego? Raczże mi przynajmniej wytłumaczyć…

— Pozwól mi, ojcze, milczeć!

— Znowu! — krzyknął Benedykt i twarz jego od włosów do szyi zalała się szkarłatem. Chciał coś mówić, długo jednak nie mógł, aż ze stukiem krzesło, na którym siedział, odsuwając zawołał:

— Dobrze. Milczmy obaj. Chcesz mi być obcy? Zamykasz się przede mną jak przed wrogiem? Dobrze. Bądźże łaskaw uważać mnie od tego czasu za swego znajomego, który tym tylko różni się od wszystkich innych, że weźmiesz po nim sukcesję!

Tym razem Witold, bardzo blady, drżał cały, a z oczu sypały się mu iskry. Uczynił zrazu ruch taki, jakby miał za odchodzącym ojcem poskoczyć i z ust rzucić w zamian otrzymanej obelgi grad gorzkich wyrzutów. Ale nie uczynił tego. Było w nim coś, co nakazywało mu powściągać się i raczej wszystko znosić niż stargać do reszty łączący go z ojcem węzeł. Upadł tylko na krzesło, w obie dłonie wziął czoło i zawołał:

— Okropność! Okropność! Porozumieć się niepodobna ! Błędne koło!

Łatwiej zapewne porozumieć by się mogli, gdyby obadwaj nie byli krewcy i wybuchliwi, gdyby nade wszystko nieustanne rozjątrzenie, w którym od lat dwudziestu kilku żył ojciec, nie przeszło drogą odziedziczenia i niejako zaszczepienia w krew i nerwy syna. W krwi i nerwach obydwóch gorzkim warem płynęły z jednej strony przebyte, a z drugiej widziane i odczute niezmierne cierpienia.

Raz jednak, wkrótce po skończeniu żniw, Benedykt z sąsiedniego miasteczka do domu powracający siedział na bryczce z tak raźną i wypogodzoną miną, jakiej od dawna już nikt u niego nie widział. Zapominając nawet o gderaniu siedzącego na koźle stajennego chłopca, filuternie uśmiechał się do siebie i co mu się niezmiernie rzadko zdarzało,

zamiast w dół pociągać, w górę czasem podkręcał wąsa. Gdy na dziedziniec wjeżdżał, zobaczył odjeżdżający od ganku i nieco z boku w cieniu jaworów zatrzymujący się zgrabny koczyk, czterema pięknymi końmi założony, ze stangretem w liberii. Na ganku zaś stał tylko co tym koczykiem[339] przybyły Zygmunt. Z parokonnej, trzęsącej, na żółto pomalowanej bryczki wyskakując Benedykt uprzejmiej niż zazwyczaj synowca powitał:

— W szczęśliwy dla mnie dzień przyjechałeś, Zygmusiu! Jak bym na sto koni wsiadł, taki rad jestem!

Zygmunt milcząc szedł za stryjem w głąb domu, a Benedykt znalazłszy się już w gabinecie swoim zdjął płaszcz płócienny, czapkę na krzesło rzucił i z kieszeni surduta list jakiś wyjął. Był to na poczcie w miasteczku otrzymany list od prawnika, któremu prowadzenie procesu z Bohatyrowiczami powierzył i który uwiadamiał go, że strona przeciwna w podaniu skargi do instancji wyższej terminu uchybiła, że zatem wygrana pozostaje przy nim wraz z przyznaną mu przez pierwszą instancję sumą, koszta procesu wynagrodzić mu mającą. Listem o dłoń uderzając i szerokimi krokami po pokoju chodząc Benedykt wołał:

— Na swoim postawiłem! I przegrali, i będą jeszcze musieli tysiąc rubli mi wypłacić! Dla nich to suma ogromna, a i dla mnie także niemało znaczy… szczególniej teraz. Ot, lament podniosą! Ale nie daruję! Jak Boga kocham, ani grosza nie daruję! Jeżeli dobrowolnie nie oddadzą, licytować będę… konie, krowy, graty i choćby poduszki zlicytuję, a swoje odbiorę! Niech nie zaczynają! I mnie przecież ten proces kosztował, nie tyle wprawdzie, ale zawsze kosztował. A fatyga i zgryzoty czy za nic poczytywać się mają? Dla nich to dobra lekcja, a dla mnie tysiąc rubli… fiu, fiu! Nie piechotą chodzi!

Prawnik zapytywał w liście, czy ma czynić starania o wyegzekwowanie z bohatyrowickiej okolicy przyznanego mu przez sąd zwrotu kosztów. A jakże! Naturalnie! Natychmiast musi odpisać, aby usilne, najusilniejsze starania o to czynił. Egzekwować będzie należną mu sumę, egzekwować bez żadnego na nic względu! Na żadną nawet zwłokę nie pozwoli, ściśle stosując się tylko do litery prawa, a jeżeli nie oddadzą prędko i dobrowolnie, na licytację wystawi, wszystko, co mają, na licytację… tak!

— Idź ty, Zygmusiu, na jakie pół godzinki do bab, a ja tę odpowiedź zaraz napiszę… Dziś wieczorem poczta z miasteczka odchodzi, umyślnego zaraz wysłać trzeba, ażeby nie spóźnić się…

Od dobrego już dziesiątka lat do napisania każdego listu przybierał się długo i z niechęcią. Dziś przecież już przed biurkiem siedział, papier z szuflady dostawał i ręce zacierał. Widocznie, przy zdarzeniach podobnych nic mu już, tak jak dawniej, we środku nie płakało.

Zygmunt, jak zawsze żurnalowy i trochę sztywny, z kapeluszem w ręku przez pustą salę jadalną przeszedł, ale po chwilowym wahaniu, zamiast udać się do pokojów pani Emilii, po wschodach z sieni na górę prowadzących iść zaczął. Dom ten znany mu był od dzieciństwa, a

chwilowe wahanie sprawiła mu tylko myśl, że na górze mieszkała nie tylko Justyna, ale także i Marta. Przez okno przecież zobaczył starą pannę z kluczami i dziewką folwarczną idącą ku oddalonym budynkom. Drzwi pani Emilii były jak zwykle szczelnie zamknięte, salon zupełnie pusty, z góry dochodziły dźwięki skrzypiec. Wszedł na schody, na wąskim i wpółciemnym korytarzyku oblały go fale muzyki Orzelskiego, otworzył drzwi prowadzące do pokoju, w którym, gdy był dzieckiem i dorastającym młodzieńcem, bywał dość często. Zamieszkiwała go wtedy Marta, teraz wiedział dobrze, że znaleźć tam może Justynę. Istotnie, na widok wchodzącego młoda panna podniosła się u otwartego okna i robota, którą w ręku trzymała — jakaś biała chustka z wyhaftowaną już jedną literą — z rąk jej na stół upadła. Trochę zbladła, potem zarumieniła się gwałtownie i zaledwie końcami palców dotykając dłoni, którą ze wzrokiem natarczywie w nią utkwionym wyciągnął ku niej przybyły, stłumionym nieco głosem zapytała:

— Czemu przypisać mam, kuzynie, odwiedziny twoje… w moim pokoju?

Zamiast odpowiedzi wpatrzył się w nią jeszcze uparciej i z żartobliwą pieszczotliwością wymówił:

— Niegościnna! Siadać mię nawet nie prosi!

— Owszem, usiądź, kuzynie, proszę!

Posunęła ku niemu krzesło i sama na uprzednim miejscu swoim usiadła, obojętna z pozoru, ale ze ściągniętymi trochę brwiami i migocącym w dalekiej głębi oczu zatrwożeniem. Usiadł tak, że końcem stopy obutej w cielisty kamasz i błyszczący trzewik prawie dotykał jej sukni. W otwarte okno spojrzał.

— Dość malowniczy widoczek… — zaczął.

— Znasz go od dawna, kuzynie — obojętnie i z oczami na robotę spuszczonymi zauważyła. Obok znajdującej się już na chustce litery jednej zaczynała właśnie haftować drugą.

— Przez co mam rozumieć — podjął Zygmunt — że nie potrzebuję wcale przyglądać się mu przez okno twego pokoju. Uprzejma jesteś, kuzynko! Zresztą, masz w części słuszność. Nie posiadam sztuki zachwycania się widokami rodzinnej natury, może dlatego, że silne wrażenia wywierać na mnie może to tylko, co jest nowe, oryginalne, niespodziane… Jakże można porównać taki choćby jak ten ładny widoczek ze wspaniałymi, zachwycającymi scenami natury…

Tu z wielkim istotnie wdziękiem słowa, wytwornie i malowniczo mówić zaczął o Renie, Dunaju, Alpach, szwajcarskich jeziorach, Adriatyckim Morzu… Może po części myślał o podbiciu ucha słuchaczki, bo głosowi swemu nadawał miękkie, muzykalne modulacje, ale widać też było, że wszystko, o czym mówił, budziło w nim kiedyś szczere zachwycenie, a teraz tęsknotę. Mówiąc nieustannie patrzał na pochyloną nad robotą głowę Justyny. Wzrok jego przesuwał się po jej kruczym, lśniącym warkoczu, po czystych liniach śniadego czoła, po spuszczonych i frędzlą czarnych rzęs

otoczonych powiekach, aż utkwił w pąsowych, pełnych, zupełnie w tej chwili spokojnych ustach i spłynął z nich na kibić, której świeże i silne kształty rysowały się pod ciemnym stanikiem, a piersią poruszał oddech powolny i głęboki. Mowa jego stawała się też powolniejsza, kilka razy zająknął się, ręką dotknął czoła, aż nagle w połowie zdania opowiadanie przerywając, z rumieńcami wytryskującymi mu na blade policzki ciszej przemówił:

— Spodziewam się, że nie myślisz, kuzynko, abym tu przyszedł w celu opowiadania ci o lądach i o wodach tego świata…

Nie zmieniając postawy oczy na niego podniosła:

— Gdy tu wchodziłeś, zapytywałam cię właśnie, kuzynie, o przyczynę…

— Przyczyna taka. Chciałem cię zapytać czy to prawda, że pan Różyc stara się o ciebie, i czy… ewentualnie… masz zamiar poślubić tego już teraz wszechstronnie chudego milionera?

Mówił śpiesznie i głos jego był trochę świszczący. Ona ręce z robotą na kolana opuściła i głowę podniosła.

— Jeżeli zechcesz powiedzieć mi, kuzynie, jakim prawem zapytujesz mnie o to, wówczas na pytanie twoje odpowiem…

Powściągając się widocznie, znowu zapytał:

— A ty sama tego prawa nie domyślasz się, czy… nie uznajesz?

— Nie domyślam się — odpowiedziała.

Pochylił się i chciał ująć jej rękę, ale ona krzesło swe cofnęła i ramiona u piersi skrzyżowała.

— Jest to najświętsze ze wszystkich praw na ziemi… prawo miłości! — zawołał.

Justyna szybko z krzesła powstała i dalej jeszcze ku otwartemu oknu cofając się zawołała:

— Proszę cię, o! Proszę cię, kuzynie, idź stąd!

Ale on tuż przed nią stanął.

— Nie lękaj się, Justyno, nie lękaj się niczego… Ta miłość, o której słuchać nie chcesz, jest tak czysta, wzniosła, idealna, że obrażać cię nie może… Wiem dobrze, co powiedzieć mi możesz. Sam dobrowolnie utraciłem to, czego teraz wszystkimi siłami pragnę… Ale przebaczże mi chwilę słabości… Przypomnij sobie wiersz, który oboje tak lubiliśmy dawniej: *Ils ont péché, mais le ciel est un don; ils ont aimé, c'est le sceau du pardon!*[340] Bądź wspaniałomyślna i zwróć mi swoje serce, swoją ufność, przyjaźń… swoją duszę! Niczego więcej nie chcę, niczego więcej nigdy od ciebie nie zażądam, tylko — duszy twojej, Justyno!

Przy ostatnich słowach z rozgorzałymi oczami obie już ręce jej pochwycił. Po jej twarzy przebiegły ironiczne drgnienia. Ręce swe z dłoni jego wysuwając zapytała:

— Czy to dusza moja, Zygmuncie? Te moje ręce, które w swoich chcesz trzymać, czy to moja dusza?

Potem znowu ramiona u piersi krzyżując z podniesioną, trochę pobladłą

twarzą mówić zaczęła:

— Dobrze, powiem wszystko i niech się to już raz skończy. Kochałam cię, kuzynie, do tego stopnia, że po latach niewidzenia i kiedy już poślubiłeś inną, jeszcze nie mogłam obojętnie słuchać twojego głosu, a przy każdym twoim zbliżeniu się do mnie czułam, że wszystko wraca… wszystko, cała przeszłość moja do mnie wraca! Boże! Jak ja cierpiałam! Kiedy przyjeżdżałeś do Korczyna, nie chciałam cię widzieć i nieraz jak szalona ku brzegowi rzeki biegłam… z myślą, że śmierć jest lepsza niż taka walka i taka trwoga…

— Justyno! Justyno! — z nowym wybuchem rzucił się ku niej Zygmunt.

Ale ona rozkazującym gestem usunęła go od siebie i dalej mówiła:

— Taka trwoga! Bo nie tyle żałowałam tego, co miałam kiedyś za najwyższe dla siebie szczęście, ile lękałam się… ach, jak lękałam się jakiejś złej chwili… jakiejś okropnej chwili… w której bym sama… która by… która by mnie wtrąciła w ostateczne już poniżenie. Poniżyć się nie chciałam… Tak, kuzynie, chociaż byłam bardzo upokorzona, chociaż i ty, kuzynie, i inni uczyniliście wszystko, coście uczynić mogli, aby mi dać poznać moją małość, moją nicość… ja jeszcze byłam dumna… owszem, wtedy dopiero stałam się dumna i lękałam się tego, co mi się wydawało ostatnim, najgłębszym poniżeniem… Duma moja, kuzynie, duma moja kobieca czy ludzka, nie wiem, odtrącała mnie wtedy od ciebie, broniła mię od ciebie, wypędzała mię z domu, kiedy przyjeżdżałeś… Czy wystarczyłaby ona zawsze?… Może tak… może nie… ale znalazłam inną pomoc, silniejszą!… Kiedy wtedy, pamiętasz? Przy wielu gościach do mnie mówiłeś… twoja żona, kuzynie, coś w tobie zauważyć musiała… może jej kto o przeszłości powiedział… patrzała na mnie, na ciebie, i w oczach jej łzy stanęły. Co mi ta kobieta złego uczyniła, aby miała przeze mnie płakać? Ja nie chcę, aby ktokolwiek przeze mnie płakał! Wtedy, kuzynie, zlękłam się nie tylko już poniżenia i wstydu, ale nikczemności. Pomiędzy mną a tobą stanęły łzy, które zobaczyłam w oczach twojej żony. Pomiędzy mną a tobą stanęło moje sumienie!

Mówiła to, profilem do niego zwrócona i nie na niego, ale w otwarte okno patrząc. Wyznania, które czyniła, zawstydzały ją i mieszały. On z tego jej zmieszania, z samych nawet wspomnień o przebytych z jego przyczyny cierpieniach czerpał nadzieję i śmiałość. Tuż za nią stojąc, w samo ucho prawie, pieszczotliwie i z rozmarzeniem jej szeptał:

— Czy podobna, aby Justyna, moja dawna, marząca, poetyczna Justyna, przywiązywała wagę do światowych praw i przesądów albo do zabobonnych skrupułów?… Łzy Klotyldy? Ależ upewniam cię, że quand même[341] uszczęśliwić ją potrafię! Sumienie? Rzecz względna! Inna dla natur niewolniczych i poziomych, a inna dla wyższych i niepodległych! Najświętszym prawem na ziemi jest miłość, najwyższą cnotą brać i dawać szczęście…

Chciała mu przerwać, ale on, roznamiętniony i nadziei zwycięstwa nie

tracący, mówił, a raczej szeptał dalej:

— Jestem bardzo nieszczęśliwy… zdaje mi się, że wszystko we mnie zamarło. Nie mam żadnego bodźca do życia… Nie mogę tworzyć. Ty jedna możesz mię wskrzesić i przywrócić szczęściu, życiu, sztuce. Opuść ten dom, zamieszkaj w Osowcach… ja tam teraz jestem panem. Moja matka wszystko dla mnie uczyni. Klotylda jest dzieckiem, które uszczęśliwić można cackami, a oślepić drobną monetą czułości… Będziemy żyć razem, nierozłączni… nie lękaj się! Nigdy nie obrażę i nie poniżę cię niczym! Będziesz tylko moją muzą, moim natchnieniem, towarzyszką i siostrą mojej samotnej duszy… Co świat podejrzliwy i brudny mniemać będzie o tym, że u boku mego staniesz, cóż nas to obchodzi, nas, którzy przebywać będziemy w krainie ideałów, wyżsi i czystsi od świata?…

Tchu mu zabrakło, z roziskrzonym wzrokiem i wilgotnym czołem chciał w oczy jej spojrzeć i już kibici jej dotknął ramieniem. Ale ona gibkim i oburzonym ruchem cofnęła się o parę kroków i z twarzą tak prawie białą, jak leżąca na stole chustka, przez kurczowo zaciśnięte zęby wymówiła:

— On, ona i trzecia! Zupełnie jak we francuskich romansach, których kiedyś tak wiele czytywaliśmy razem!…

Nagle z wybuchającym uniesieniem zawołała:

— Za kogo mnie masz, kuzynie? O czym mówiłeś? Ależ ty chyba sam tego nie rozumiesz! Jak to! Kogoś niewinnego, kogoś, co nam nic złego nie wyrządził, krzywdzić w tym, co jest jego szczęściem, honorem, może życiem, co dzień, co godzinę, co chwilę kłamać i oszukiwać, wiecznie chodzić w masce czując pod nią trąd i plamy… Boże! I ty mi takie życie ofiarowywać śmiałeś!… Jakim prawem? Co ja ci złego zrobiłam? Jak śmiałeś? O! Jakież to szczęście, że ja cię już nie kocham! Ale nie! Gdybym cię i kochała jeszcze, gdybym cię jeszcze tak jak dawniej kochała, przestałabym w tej chwili… z gniewu, z obrazy, z ohydy…

Teraz, gdy drżała i mięła w dłoni leżącą na stole chustkę, gdy pierś jej podnosiła się szybko, a oczy, w których jednocześnie przebiegały błyskawice i łzy, śród bladej twarzy świeciły jak czarne diamenty, poznać można było, że nie różaną wodę bynajmniej w żyłach swych miała, ale krew gorącą, popędliwą, dumną. Nigdy tak piękną nie wydała się Zygmuntowi. Z zachwyceniem, z żądzą, ale zarazem i z urazą na nią patrzał.

— Myślałem, że miłość wszystko obmywa i uświęca… — zaczął.

Ale ona mu przerwała:

— Zmień nazwę, kuzynie, proszę cię, zmień nazwę… to nie jest miłość, ale…

Zawahała się chwilę, zawstydzenie czoło jej rumieńcem oblało, prędko jednak dalej mówić zaczęła:

— To jest romans… pełno go we francuskich książkach… pełno go i w życiu… O, znam go, znam go od dawna. Był on przekleństwem mego dzieciństwa, kiedy zabijał mi matkę, a dla ojca szacunek odbierał… Spostrzegałam go i potem między ludźmi, a wszędzie, zawsze zaczynał się

od… od gwiazd, a kończył się w błocie. O, muzy, siostrzane dusze, czyste uczucia, krainy ideałów… Boże! ile słów! ile pięknych, poetycznych słów! czy wy używając ich kłamiecie, czy nimi oszukujecie samych siebie? Może i tak bywa. Ale ta poezja jest tylko wstępem do wielkiej, wielkiej prozy… Powiedziałeś, że miłość uniewinnia i uświęca wszystko. Być może, ale nie taka, co kryje się pod ziemią i wstydzi się samej siebie. Powiedziałeś, że prawa miłości są najświętszymi ze wszystkich praw świata. O, tak! Ale o jakiej miłości, ty, wykształcony mężczyzna i artysta, mówiąc to myślałeś? Nie o tej, nie, najpewniej nie o tej, której świtanie od niedawna ja uczułam w sobie… Idź na mogiłę ojca, kuzynie, idź na mogiłę ojca… Kochaj to, co kochał twój ojciec…

Nagle urwała. Do ostatka widać nie chciała myśli swoich wypowiadać. Zygmunt stał przed nią z pochyloną twarzą i zaciśniętymi zębami.

— Filozofka! — syknął. — Rezonuje, waży, rozważa, rozróżnia…

— Nie — odpowiedziała — o filozofii dokładnego wyobrażenia nawet nie mam. A za zdolność do rezonowania i rozróżniania pozorów z prawdą tobie, kuzynie, obowiązana jestem…

Ze zdumieniem i niedowierzaniem patrzał na nią.

— Ależ to być nie może, abyś ty, Justyno, tak ognista niegdyś, poetyczna, zrobiła się nagle taka zimna, przesądna, pozioma! Nie! Ty chcesz przemocą stłumić uczucia swoje! Dumna jesteś i przed samą sobą chcesz odegrać rolę bohaterki.

Wzruszyła ramionami.

— Powiedziałeś, że mamy oboje natury wzniosłe i niepodległe. Proszę cię, kuzynie, abyś zdanie swoje o mnie zmienił. Upewniam cię, że jestem kobietą zupełnie zwykłą i podległą zupełnie zwykłej uczciwości. Oto wszystko.

— Wszystko! I nic mi więcej nie powiesz? Nic? Nic?

— Owszem — śpiesznie odrzekła — konieczne jest nawet, abym ci powiedziała stanowczo i raz na zawsze, że z uczuć, które miałam kiedyś dla ciebie, nie pozostało we mnie nic wcale, prócz prostej zresztą życzliwości, którą mam dla wszystkich na świecie ludzi, i że przedmiotem moich myśli i marzeń jest coś czy ktoś… może zarazem coś i ktoś z tobą żadnego związku nie mający…

— Zapewne pan Różyc i les beaux restes[342] jego milionów… — wtrącił Zygmunt.

— Być może — odpowiedziała.

Zmieszany, obrażony, rozczarowany a jednak przez chwilę jeszcze ciekawego wzroku oderwać od niej nie mogący, wziął z krzesła kapelusz, oddał jej z dala ceremonialny ukłon i wyszedł z pokoju.

Było już po zachodzie słońca, kiedy ładny jego koczyk wtoczył się z turkotem pod kryty i brukowany ganek osowieckiego domu. Pani Andrzejowej na odgłos ten zadrżały trochę ręce, w których trzymała książkę. Na jednym z fotelów otaczających wielki stół z książkami i

dziennikami siedząc podniosła głowę, spuściła powieki i ze spokojnymi rysami syna czekała. W sali znajdującej się na dolnym piętrze domu Klotylda grała na fortepianie. Jednocześnie z zaturkotaniem kół u podjazdu muzyka jej umilkła, potem ozwała się znowu i znowu umilkła, aż brzmieć zaczęła burzliwie, bezładnie, czasem żałośnie, czasem hucznie… Była to gra istoty drżącej, niespokojnej, czasem prawie bezprzytomnej, a umilkła zupełnie w chwili, gdy Zygmunt do pokoju matki wchodził. Czuć było, że to dziecko, które tam, na dole wielkiego domu, grało z biegłością utalentowanej uczennicy muzycznych mistrzów, rozmowa mająca stoczyć się na górze przejmowała nieznośną boleścią i trwogą.

Kiedy wchodził do pokoju matki, od pierwszego spojrzenia poznać można było, że w drodze z Korczyna do Osowiec zajmowały go buntownicze myśli i że pod ich wpływem powziął jakieś energiczne postanowienie. Obok znudzenia i niesmaku jakieś stanowcze zdecydowanie się na coś malowało się w jego twarzy. Pocałował rękę matki i naprzeciw niej siadając zaczął:

— Powiedział mi Wincenty, że mama życzyła sobie widzieć się ze mną, gdy tylko do domu wrócę. A ja także w ten piękny wieczór z Korczyna wracając postanowiłem bardzo poważnie pomówić dziś z mamą o rzeczach mających dla mnie wagę wielką, niezmierną…

Spojrzała na niego, w oczach jej zamigotał niepokój.

— Słucham cię, mów! Może myśli nasze spotkały się i o jednym przedmiocie mówić z sobą pragniemy.

— Wątpię — odpowiedział — jestem nawet pewny, że mamie nigdy nie przyszło na myśl to, co ja dziś mamie chcę zaproponować, a raczej o co chcę bardzo usilnie prosić.

Uśmiechnął się do matki pieszczotliwie, z przymileniem i schyliwszy się znowu, piękną białą rękę na czarnej sukni spoczywającą pocałował.

— *Parions*[343] — zażartował — że propozycją moją mama będzie zdumiona… nawet oburzona… *oh, comme je te connais, ma petite, chére maman*[344]… ale po namyśle i spokojnej rozwadze, może…

— Słucham cię — powtórzyła, a piękne jej oczy, których blask łzy i tęsknoty zgasiły, z niewysłowionym wyrazem powściąganej czułości spoczywały na tej pochylonej ku jej kolanom głowie, na którą, Boże, ileż nadziei, ileż jej cudownych marzeń i namiętnych modlitw spłynęło!

Głowę podniósł, ale nie wyprostował się, tylko w poufnej i razem coś pieszczotliwego mającej w sobie postawie, ręki matki z dłoni nie wypuszczając mówić zaczął:

— Nieprawdaż, najlepsza mamo, że u stóp twoich i u twojego serca dziecinne i trochę późniejsze nawet lata spędziłem tak, jak spędzać je musiała *la belle au bois dormant*[345], słodko drzemiąca w swym kryształowym pałacu, wśród zaklętego lasu, którego nigdy nie dotykała jej stopa i z którego przychodziły do niej tylko wonie kwiatów i śpiewy słowików? Nieprawdaż, *chére maman*, że usuwałaś mię starannie od

wszystkiego, co powszednie i pospolite, a przyzwyczajałaś w zamian do rzeczy pięknych, do uczuć delikatnych, do marzeń wzniosłych, nieprawdaż?

— Prawda — odpowiedziała.

— I to także jest prawdą, moja mamo, że przeznaczałaś mnie do zadań i losów zupełnie niepospolitych, wysokich… a tak wszystko skierowywałaś, abym nie mógł i nie chciał mieszać się z szarym tłumem? Czy to jest prawdą, moja mamo?

— Tak — odszepnęła.

Z powstrzymywaną ciągle czułością, której głucha obawa zwalczyć nie mogła, słuchała jego mowy płynnej, pełnej wdzięku i czuła na swojej ręce pieszczotę jego ręki miękką, delikatną. Takim, jakim przedstawiał się w tej chwili, łagodny, rzewny, na skrzydłach poezji kołyszący się, Zygmunt czarował ją zawsze i nie tylko ją jedną, bo i tę także duszę kobiecą, z którą rozstał się on przed godziną, a która długo jak ptak upojony kąpała się w tym czarze i tę drugą, prawie dziecinną jeszcze duszyczkę, która teraz na dole tego domu tonęła we łzach i trwodze, i — wiele zapewne innych na szerokim świecie.

— Nieprawdaż, *mon adorée maman*[346], że potem sama wysłałaś mnie w świat szeroki, gdzie wiele lat spędziłem wśród najwyższych wykwintów miast, wśród najwspanialszych widoków natury, na łonie sztuki… że przez te lata zupełnie odwykłem od tutejszej szarości i pospolitości, do których zresztą i nigdy przyzwyczajony nie byłem, żyjąc w twoim idealnym świecie, tak jak zaklęta księżniczka żyła w swym kryształowym pałacu? Nieprawdaż, moja najlepsza, najrozumniejsza mamo?

— Prawda. Ale do czego zmierzasz?

— Zmierzam naprzód do tego, aby ci, *ma chére maman*, powiedzieć, że za wszystko, co wyliczyłem, jestem ci gorąco, niewypowiedzianie wdzięczny…

Tu pochylony znowu ustami dotknął jej kolan.

— Następnie do tego, że przecież rzeczą jest niepodobną, zupełnie niepodobną, abym po takiej jak moja przeszłości, został na zawsze przykuty do tego kawałka ziemi, do tych stajen, stodół, obór… *que sais-je*[347]? do tego okropnego Jaśmonta, który co wieczór przychodzi mi klektać nad głową o gospodarstwie… do tych… tych… tych *que sais-je*? zamaszystych i razem jak nieszczęście znękanych sąsiadów… Czy to podobna? Moja droga mamo, czyż ktokolwiek, po takiej, jak moja, przeszłości, wobec takich, jak moja, ambicji i potrzeb może wymagać tego ode mnie?

Ręce szeroko rozpostarł, oczy mu się trochę szerzej niż zwykle rozwarły, zmarszczka przerznęła czoło. Silnie do głębi był przekonany, że wymaganie, o którym mówił, byłoby absolutnie niemożliwe i niesprawiedliwe. Pani Andrzejowa myślała chwilę. Do pewnego stopnia słuszności skargom syna nie odmawiała. Pamiętała wybornie o swoich własnych wstrętach i nieudolnościach. Po chwili z namysłem mówić

zaczęła:

— Ciernie twojego położenia rozumiem dobrze. Wszystko to, co wyliczyłeś, czyni je dla ciebie trudniejszym, niż bywa ono dla innych, Jednak, moje dziecko, niczyje życie na tej ziemi nie może być wolne od usiłowań, walk, cierpień i spełniania trudnych…

Prędko z krzesła wstając mowę jej przeciął:

— Dziękuję! Mam już tych usiłowań, walk i cierpień aż nadto dosyć. Utopiłem w nich dwa lata mego życia. *J'en ai assez*[348].

— Gdybyś był wyjątkiem… Ale… wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi…

Stając przed matką zapytał:

— Nie jest przecież życzeniem mamy, abym pomnażał poczet nieszczęśliwych?

W głosie jej czuć było trochę drżenia, gdy odpowiedziała:

— Nie ma na świecie matki, która by dziecko swoje nieszczęśliwym widzieć chciała, ale ja dla ciebie pomiędzy niskim szczęściem a nieszczęściem wzniosłym wybrałabym drugie.

— Któż tu mówi o szczęściu niskim? — zarzucił — czyż przyjemności wyborowych towarzystw, piękności wspaniałej natury, rozkosze sztuki stanowią niskie szczęście?

— Najpewniej nie. Ponieważ jednak tu się urodziłeś, tu są twoje obowiązki, tu żyć musisz…

— Dlaczego muszę? — przerwał. — Dlaczego muszę? Ale właśnie przybyliśmy w rozmowie naszej, droga mamo, do punktu, na którym umieszczę moją propozycję… non[349] moją najgorętszą prośbę…

Zawahał się przez chwilę, potem znowu przed matką siadając znowu pochylił się ku jej kolanom i rękę jej wziął w swoje dłonie. Znowu też pieszczotliwie, z wdziękiem, z odcieniem rzewności i poetyczności, mówić zaczął. Mówił o tym, aby sprzedała Osowce, które były dziedziczną jej własnością, i aby z nim razem za granicę wyjechała. Mieszkać będą w Rzymie, Florencji albo w Monachium, każdego lata wyjeżdżać w góry lub nad morze. Kapitał osiągnięty ze sprzedaży Osowiec w połączeniu z tym, co Klotylda posiada i jeszcze w przyszłości od rodziców otrzyma, wystarczy im na życie, nie zbytkowne wprawdzie, ale dostatnie i bardzo przyjemne. Zresztą, on może jeszcze kiedyś i bardzo bogaty zostanie, gdy w otoczeniu stosownym artystyczne natchnienia i zdolność twórczą odzyska. Żyć i podróżować będą zawsze razem, przyjemności wysokich używać, wszystkie marzenia swoje spełniać, tylko trzeba, aby wydostali się stąd koniecznie, aby koniecznie i co najprędzej wynurzyli się z tego morza pospolitości, nudy i powszechnych złych humorów. Z lekka żartować zaczął:

— Nieprawdaż, moja złota mamo, że tu panuje powszechny zły humor? Wszyscy po kimś albo po czymś płaczą, zbiedzeni, skłopotani, przelęknieni… Stąd płynie melancholia, *qui me monte à la gorge*[350] i dławi mię jak *globus histericus* tę biedną panią Benedyktową… Raz tylko wyjeżdżałaś za granicę, droga mamo, i to dawno… jeszcze z ojcem. Nie

znasz więc różnicy atmosfer… nie wyobrażasz sobie, ile znalazłabyś tam rzeczy pięknych, ciekawych, wzniosłych, prawdziwie godnych twego wykształcenia, smaku i rozumu!…

Milczała. Z głową podniesioną i spuszczonymi powiekami siedziała nieruchomo, nie odbierając mu swojej ręki, która tylko stawała się coraz zimniejszą i sztywniejszą. Na koniec cicho, ale stanowczo przemówiła:

— Nie uczynię tego nigdy.

Porwał się z krzesła.

— Dlaczego? Dlaczego?

Podnosząc na niego wzrok głęboki i surowy odpowiedziała:

— Dlatego właśnie, co powiedziałeś… Dla tej właśnie melancholii.

— Ależ to jest wściek… *pardon*[351] krańcowy idealizm! Krańcową idealistką jesteś, moja mamo! Skazywać się na wieczny smutek, kiedy uniknąć go można, przyrastać do zapadłego miejsca na kształt grzyba, dlatego tylko, że inne grzyby siedzieć w nim muszą — to idealizm bezwzględny, krańcowy idealizm!

Patrząc mu prosto w oczy zapytała:

— A ty, Zygmuncie, czy nie jesteś idealistą?

On! Ależ naturalnie! Uważa się on za idealistę i nie przypuszcza nawet, aby go ktokolwiek o materialistyczne zasady albo dążności mógł podejrzywać. Ale w tym właśnie tkwi niemożność pozostawania jego tutaj. Spragniony jest ideałów i wyższych wrażeń, a otacza go sama pospolitość i monotonia. Idealistą zresztą będąc do ascetyzmu skłonności nie posiada. Fakirem[352] ani kamedułą[353] zostać nie może. Jest on człowiekiem cywilizowanym i posiada potrzeby zaszczepione w niego wraz z cywilizacją: potrzeby uciech i rozrywek pewnego rzędu, tu do znalezienia niepodobnych. Dla braku wrażeń pracować nie mogąc, nie ma także żadnych przyjemności, a całe dnie przepędzać bez pracy i bez przyjemności jest to życie prawdziwie piekielne, od którego oszaleć można, nie tylko już ze zmartwienia i tęsknoty, ale z samej nudy…

Unosił się. Od dawna już pracujące w nim niezadowolenie i zniecierpliwienie teraz, wobec oporu matki, grożącego ruiną jedynemu jego ratunkowemu planowi, nadwerężało w nim nawet zwykłą wykwintność form. Wyglądał daleko mniej żurnalowo niż zwykle. Z rękami w kieszeniach surduta pokój przebiegał, kilka razy gniewnie i niespokojnie własną swoją postać obejrzał.

— Tu każdy — wołał — największy choćby idealista, najgenialniejszy artysta, przemienić się musi w opasłego wołu… Ciało prosperuje, a duch upada. Czuję w sobie okropną degrengoladę ducha… Prawdziwie i głęboko nieszczęśliwy jestem… Marnieję, ginę, wszystko, co jest we mnie wyższego, idealnego, przemienia się w żółć i tłuszcz!…

Przy ostatnich światłach kończącego się dnia pani Andrzejowa ścigała wzrokiem gwałtowną przechadzkę syna po pokoju i wtedy dopiero, gdy przerwał się na chwilę potok jego wpółzgryźliwej, wpółżałosnej mowy,

głosem, który z dziwną trudnością wychodził z jej piersi, zauważyła:

— Czy zachęty do tej pracy, której pragniesz, i do tej, której nie lubisz, niejakiego przynajmniej wynagrodzenia braków, na które się skarżysz, nie możesz znaleźć w uciechach serca?… Ja kiedyś je posiadałam, znam więc ich moc i wagę. Jesteś, Zygmuncie, bardzo szczęśliwie ożeniony.

— Nie bardzo — sarknął.

Tak cicho, że zaledwie mógł ją dosłyszeć, zapytała:

— Czy nie kochasz Klotyldy?

Zakłopotany trochę, przechadzkę swą przerwał, stanął:

— Owszem… owszem… mam dla niej przywiązanie… dużo przywiązania… ale nie wystarcza mi ona… do duchowych moich potrzeb nie dorosła… ta wieczna jej czułość i nieustanne paplanie…

Z żywością mu przerwała:

— Jest to dziecko, piękne, utalentowane i namiętnie cię kochające dziecko, które w słońcu twojej miłości i przy świetle twego umysłu dojrzeć i rozwinąć się może. Nie tylko za szczęście, ale i za jej moralną przyszłość odpowiedzialny jesteś…

— *Pardon*! — przerwał — na pedagoga nie miałem powołania nigdy i do kształcenia żony mojej nie obowiązywałem się przed nikim. *Ce n’est pas mon fait*[354]. Jest się dobraną parą lub się nią nie jest. *Voilà*[355]! A jeżeli w tym wypadku są jakieś nierówności, ofiarą ich z pewnością jestem ja.

Plecami do pokoju zwrócony stanął przed oknem, za którym słońce, już niewidzialne, zapalało nad drzewami parku szeroki pas różowy. Przez kilka minut panowało milczenie, które przerwał stłumiony głos pani Andrzejowej. Czuć w nim było zdejmującą ją niewysłowioną trwogę.

— Zygmusiu, chodź do mnie… chodź tu… bliżej!

A gdy o parę kroków od niej stanął, szeptem prawie mówić zaczęła:

— Na wszystko, co kiedykolwiek nas z sobą łączyło, co kiedykolwiek kochałeś, proszę cię, abyś mi odpowiedział szczerze, zupełnie szczerze… Zlękłam się, widzisz, niezmiernie myśli, która do głowy mi przyszła… Uczułam niezmierny ciężar na sumieniu… Jednak pragnę wiedzieć prawdę, aby móc jasno rozpatrzeć się w położeniu i co jest jeszcze do naprawienia, naprawić, czego uniknąć można, uniknąć… Czyżbyś prawdziwie i stale kochał Justynę? Czyżby to uczucie było przyczyną tak prędkiego zobojętnienia twego dla Klotyldy? Czy… gdybym, zamiast zrażać, zachęcała cię była do ożenienia się z Justyną i gdyby ona była teraz twoją żoną, czułbyś się szczęśliwszy, mężniejszy, lepiej do życia i jego obowiązków uzbrojony?

Zapytań tych wysłuchał z trochę gorzkim, a trochę lekceważącym uśmiechem, po czym z rękami w kieszeniach i podniesionymi trochę ramionami przechadzkę po pokoju znowu rozpoczynając odpowiedział:

— Bardzo wątpię. Wie mama, że rozczarowałem się do niej zupełnie. Zimna jest, przesądna, ograniczona, przybiera jakieś pozy bohaterki czy filozofki… Przy tym dziś właśnie zauważyłem, że ma takie zgrubiałe ręce i

w ogóle wygląda więcej na prostą, hożą dziewkę niż na pannę z dobrego towarzystwa… Już też Klotylda daleko jest dla mnie stosowniejsza… bo delikatniejsza, staranniej wychowana i wcale ładny talent do muzyki posiada… wcale ładny… Tylko że ja dziwnie łatwo oswajam się ze wszystkim, a jak tylko oswoję się, zaraz mię nudzi… *Ça dépasse toute idée*[356], jaki ja mam głód wrażeń… Prawdziwie, pod tym względem nienasycony jestem i dlatego właśnie w tej tutejszej monotonii ginę, marnieję, przepadam…

Mówił jeszcze czas jakiś, ale trudno było zgadnąć, czy pani Andrzejowa go słuchała. Odpowiedź jego upewniła ją o dwóch rzeczach, naprzód o tym, że przez Justynę odtrącony został, następnie, że żadnej z tych dwóch kobiet prawdziwie i stale nie kochał. Czy kogokolwiek lub cokolwiek mógł kochać? Powoli, powoli wyniosła kobieca głowa żałobnym czepkiem okryta chyliła się na pierś, w której wzbierała hamowana jeszcze burza uczuć i podniosła się znowu wtedy dopiero, gdy Zygmunt kroki swe przed nią zatrzymując, raz jeszcze ze zmieszaniem prośby i wyrzutu, pieszczotliwości i zniecierpliwienia pytać zaczął: czy cierpienia jego nie skłonią ją do wykonania planu, który ułożył? Czy po namyśle, zimno na rzeczy spojrzawszy, nie zgodzi się na to, czego on pragnie i dla podtrzymania swoich twórczych zdolności, dla uniknięcia ostatecznej degrengolady ducha koniecznie potrzebuje?

Wtedy pani Andrzejowa głowę podniosła znowu i głosem w którym brzmiała zwykła już jej wyniosłość i energia, odpowiedziała:

— Nigdy. Ja na te rzeczy nigdy zimno patrzeć nie będę. Dopóki żyję, nigdy na tej piędzi mojej rodzinnej ziemi, nigdy w tych ścianach obcy ludzie… obce bogi…

Nagle wybuchnęła:

— Wielki Boże! Ale po mojej śmierci ty to uczynić jesteś gotów… Tak! Ty to uczynisz pewno, gdy tylko ja oczy zamknę… Jak tchórz uciekniesz z szeregów zwyciężonych… Jak samolub nie zechcesz łamać się chlebem cierpienia… Kawał Chrystusowej szaty rzucisz za srebrnik, ażeby kupić sobie życie przyjemne… Wielki Boże! Ależ ty chyba w chwili uniesienia… w dziwnym jakimś śnie okazujesz się taki… Zygmuncie, o! Mój Zygmuncie! Powiedz mi, że naprawdę inaczej myślisz i czujesz…

Syn, spokojny i zimny, nie dając się unieść jej wybuchowi, jakby jej prawie nie słuchając mówił:

— Niech się mama nie unosi! — Ależ, moja droga mamo, proszę się tak nie unosić! Któż tu mówi o samych tylko przyjemnościach życia? Mnie idzie o coś wyższego, ważniejszego… o moje zdolności… natchnienia…

— Czyż dusza artysty — zawołała — musi koniecznie być tylko motylem na swawolnych i niestałych skrzydłach przelatującym z róży na różę? Czy tu ziemia nic nie rodzi? Czy tu słońce nie świeci? Czy tu królestwo trupów, że żadnego błysku piękna i życia dokoła siebie znaleźć nie możesz?… że nic cię zachwyceniem czy bólem, miłością czy oburzeniem wstrząsnąć i

natchnąć nie może? A ja marzyłam… a ja marzyłam…

Tu głos jej drżeć zaczął powściąganymi z całej siły łzami.

— A ja marzyłam… że tu właśnie, w otoczeniu rodzinnej natury, wśród ludzi najbliższych ci na świecie, twórcze zdolności twoje najpotężniej w tobie przemówią… że raczej tu właśnie najpotężniej przemawiać do nich będzie każda roślina i każda twarz ludzka, każde światło i każdy cień… że właśnie soki tej ziemi, z której i ty powstałeś, jej łzy i wdzięki, jej słodycze i trucizny najłatwiej wzbiją się ku twojej duszy i najpotężniej ją zapłodnią…

Stojąc przed nią w postawie zbiedzonej, prawie skurczonej, ręce gestem zdumienia rozkładał i prawie jednocześnie z nią mówił:

— Ależ ja tego wszystkiego nie znam… ja, *ma chére maman*, z tymi światłami, cieniami, słodyczami, truciznami etc., etc od dziecinnych dni nie przestawałem… nie zżyłem się… nie przywykłem do nich… wcale do czego innego przywykłem… Nie można z cywilizowanego człowieka przedzierzgnąć się na barbarzyńcę z powodu… z powodu soków ziemi, z którymi się do czynienia nie miało!

Powoli, obu dłońmi opierając się o stół, bo może nogi posłuszeństwa jej odmawiały, powstała i zapłakała tak, jak płakała zwykle, bez łkania, bez najlżejszego drgnienia rysów, kilku grubymi łzami, które powoli stoczyły się po jej policzkach.

— Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! — powoli wymówiła. — Zbłądziłam. Pomiędzy tobą a tym, co powinno być najwyższą twoją miłością, nie zadzierzgnęłam dość silnych węzłów. Mówiłam ci wprawdzie o tej miłości zawsze, wiele… ale słowa, to widać siew nietrwały… Zbłądziłam… Ale dziecko moje…

Tu białe ręce modlitewnym gestem na staniku żałobnej sukni splotła.

— Nie karz ty mnie za mój błąd mimowolny… o, mimowolny! Bo myślałam, że czynię jak najlepiej… Zamykałam cię w kryształowym pałacu i w dalekie światy wysyłałam, bo w myśli mojej miałeś być gwiazdą pierwszej wielkości, nie zaś pospolitą świecą, wodzem, nie szeregowcem. Widać zbłądziłam, ale ty błąd mój popraw. Pomyśl, głęboko pomyśl nad krótką historią swego ojca, którą znasz dobrze. Czy nie możesz z tego samego co on źródła czerpać siłę, męstwo, moralną wielkość? Twój ojciec, Zygmuncie, oprócz wielu innych rzeczy wielkich kochał ten sam lud, którym i ty otoczony jesteś, posiadał sztukę życia z nim, podnoszenia go, pocieszania, oświecania…

Nagle umilkła. W zmroku, który zaczynał już pokój ten napełniać, usłyszała głos drwiący i pogardliwy, który jeden tylko wymówił wyraz:

— Bydło!

O, Bóg niech będzie jej świadkiem, że pomimo wszystkich swoich instynktownych odraz i niedołężności nigdy tak nie myślała, nigdy na wielkie zbiorowisko ludzi, najbliższych jej w świecie ludzi, takiej obelgi, w najgłębszej nawet skrytości myśli swej nie rzuciła, że zbliżyć się do tego zbiorowiska, przestawać z nim, pracować nad nim nie umiejąc, sprzyjała

mu serdecznie i dla najnędzniejszej nawet istoty ludzkiej miała jeszcze życzliwość i choćby bierne współczucie. O, Bóg tylko jeden widział burzę przerażenia, którą w niej wzniecił ten jeden wyraz z obojętnie wzgardliwych ust jej syna spadły, bo on tej burzy, która jej głos odebrała, ani kredowej bladości twarz jej oblewać poczynającej nie spostrzegł i stając przed nią, jakby z milczenia jej chciał korzystać, mówić zaczął:

— Bardzo dobrze rozumiem, o co kochanej mamie najwięcej idzie. I jakże nie rozumieć? Soki ziemi, chleb cierpienia, Chrystusowe szaty, lud… słowem… jak mówi stryj Benedykt, to… tamto!… Nigdy o tym mówić nie chciałem, ażeby kochanej mamy nie gniewać i nie martwić. Szanuję zresztą wszystkie uczucia i przekonania, szczególniej tak bezinteresowne, o, tak nadzwyczajnie bezinteresowne! Ale teraz spostrzegam, że zachodzi konieczność szczerego rozmówienia się o tym przedmiocie. Otóż przykro mi to bardzo, *j'en suis désolé*[357], ale ja tych uczuć i przekonań nie podzielam. Tylko szaleńcy i krańcowi idealiści bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych. Ja także jestem idealistą, ale trzeźwo na rzeczy patrzeć umiem i żadnych pod tym względem iluzji sobie nie robię… a nie mając żadnych iluzji, nie mam też ochoty składać siebie w całopaleniu na ołtarzu — widma. Proszę o przebaczenie, jeżeli mamy uczucia czy wyobrażenia obrażam, ale rozumiem, doskonale rozumiem, że osoby starsze mogą zostawać pod wpływem tradycji, osobistych wspomnień etc. My zaś, którzy za cudze iluzje pokutujemy, swoich już nie mamy. Kiedy bank został do szczętu rozbity, idzie się grać przy innym stole. Tym innym stołem jest dla nas cywilizacja powszechna, europejska cywilizacja… Ja przynajmniej uważam się za syna cywilizacji, jej sokami wykarmiony zostałem, z nią przez tyle lat pobytu mego za granicą zżyłem się, nic więc dziwnego, że bez niej już żyć nie mogę i że tutejsze soki tuczą mi wprawdzie ciało w sposób… w sposób prawdziwie upokarzający, ale ducha nakarmić nie mogą…

Słuchała, słuchała i może miała takie poczucie, jak gdyby ziemia spod stóp się jej usuwała, bo obie jej dłonie mocno ściskały krawędź stołu.

— Boże! Boże! — kilka razy z cicha wymówiła, a potem jedną rękę od stołu odrywając i ku oknu ją wyciągając, z trudem, zdławionym głosem zaczęła:

— Idź na mogiłę ojca, Zygmuncie, idź na mogiłę ojca! Może z niej… może tam…

— Mogiła! — sarknął. — Znowu mogiła! Już druga dziś osoba wyprawia mię na mogiłę! Ależ ja za mogiły bardzo dziękuję… przede mną życie, sława…

— Bez sławy, bez grobowca, przez wszystkich zapomniany, w kwiecie wieku i szczęścia ze świata strącony, twój ojciec… tam…

— Mój ojciec — wybuchnął Zygmunt — niech mi mama przebaczy… ale mój ojciec był szaleńcem…

— Zygmuncie! — zawołała, a głos jej dźwięczał zupełnie inaczej niż

zwykle: przeraźliwie jakoś i groźnie.

Ale i on także miał w sobie trochę popędliwej krwi Korczyńskich, którą wzburzył niezłomny opór matki.

— Szaleńcem! — powtórzył. — Bardzo szanownym zresztą… ale do najwyższego stopnia szkodliwym…

—Boże! Boże! Boże!

— Tak moja mamo. Niech mama mnie przebaczy, ale ja mam prawo mówić o tym, ja, który nie mogę zająć przynależnej mi w świecie pozycji, który nieraz w szczęśliwszych krajach czułem przybite do mego czoła piętno niższości, który o połowę uboższy jestem przez to, że mój ojciec i jemu podobni…

— Wyjdź! Wyjdź stąd! — nagle głos z piersi wydobywając zawołała. — Co najprędzej, o! Co najprędzej… bo lękam się własnych ust… o!…

Nie dokończyła, tylko z wysoko podniesioną głową i twarzą, której kredowa bladość w ramie czarnego czepka odbijała na tle zmierzchu, rozkazującym gestem wskazywała mu drzwi.

— Ależ pójdę! Pójdę! z mamą o tych rzeczach rozmawiać niepodobna! Mogiły, złorzeczenia, tragedie! Co się tu dzieje! Co się tu dzieje! I o co? Za co? Dlaczego? Gdyby o tym gdzie indziej opowiadać, nikt by nawet nie zrozumiał i nie uwierzył!

Wyszedł i po cichu drzwi za sobą zamknął.

Są ludzie, którzy płakać umieją tylko nad mogiłami drogich sobie istot, czym zaś jest rozpacz nad śmiercią uczuć i ideałów doznawana, nie wiedzą. Lecz ta wspaniała kobieta, która z twarzą jak opłatek białą stała śród zmroku niby w kamienną kolumnę przemieniona, czuła teraz, że na drodze jej życia i na dnie jej serca wznosi się druga mogiła, rozpaczniejsza jeszcze od pierwszej, bo nic już po sobie nie pozostawiająca. W tę drugą mogiłę kładły się na wieki i bezpowrotnie ją żegnały najdroższe jej uczucia i nadzieje, rozkładała się w niej, niby ciało w retorcie śmierci na marną parę przerabiane, wiara jej w geniusz i w szlachetność syna… Wydało się jej nawet, że czuje zapach trupa i że ten trup znajduje się w niej samej, zalega dno jej własnej piersi, którą zdjęło śmiertelne zimno. Byłażby to agonia jej wielkiej miłości dla syna? Czyżby go kochać przestawała? Pierś jej stygła, jakby w niej zagasł jedyny płomień, który utrzymywał jej życie. Ona rozumiała, co tam gaśnie, i obie dłonie mocno przyciskała do serca, chcąc może zatrzymać to, co z niego ulatywało. Czuła, że wraz z zanikaniem jej miłości i wiary niezgłębiona próżnia otwiera się przed nią, kruszą się same podstawy jej bytu, jakiś nóż ostry i nielitościwy podcina same korzenie jej życia. Z postawy jej, ruchów rąk i drżenia rysów widać było nieznośną mękę, która bolesne prądy rozsyłała od kończyn do kończyn jej ciała, siłą cierpienia, zda się, wywlekając z niej duszę. Wtem oczy jej oślepiło jakieś wielkie, jaskrawe światło. Był to ów pas na niebie, przed chwilą różowy, a teraz krwawo zaczerwieniony, który za drzewami ogrodu i nad nimi pozostawiło zaszłe już słońce. Szeroki, równy, gdzieniegdzie zbałwaniony,

podobny on był do rzeki krwi, po której przepływały kiry fioletów i nad którą niby rozwiewna gloria, ulatywały złotawe pary. To zjawisko przyrody dla kobiety, która patrzała na nie, przedstawiło jakiś symbol i uderzyło jej w oczy jakimś przypomnieniem. Z miejsca, na którym stała, widziała tylko wąski, daleki rąbek błękitu, do promienia ideału, do wiecznej, chociaż dalekiej nadziei podobny, lecz więcej nic, nic prócz tej rzeki krwi ciemnymi kroplami, jak ciężkimi łzami usianej, złotawą parą buchającej. Patrzała, patrzała, aż dłonie podnosząc do skroni, jak ktoś, kto przed gwałtownym wichrem ostać się nie może, okręciła się na miejscu i z jękiem na ziemię upadła. Kolana jej i ręce splecione, którymi sobie zasłoniła czoło, z głuchym stukiem o posadzkę uderzyły. Po pokoju rozlegać się zaczął szept, to gwałtowny, to znów tak cichy, jak gdyby z konającej piersi wychodził.

— Widziałeś? Ciebie znieważył! Pamięć twoją, grób twój… Ideały nasze, wiarę, pragnienia zdeptał! Andrzeju! Czy ty mię słyszysz? Czy ty mi przebaczasz? Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! Ale ja tego nie chciałam… Śmierci, o! Śmierci!

Ale śmierć nie byłaby okrutna, gdyby przybywała ku tym, którzy już życia nie pragną. Silne jej ciało zwycięsko opierało się targającej nim rozpacznej burzy. Przed oknem zasłoniętym czerwonością nieba długo z twarzą przy ziemi leżała, aż gdy podniosła ją i spojżała w górę, wyraz niemego, osłupiałego zachwycenia napełnił jej oczy. Po raz drugi doświadczyła wizji, której pragnęła i wzywała zawsze. Widziała Andrzeja. Kształty jego zaledwie rozróżniać mogła, bo owijały je złotawe pary, ale wypukłe rysy, w ciemnej gęstwinie włosów, z krwawiącą się plamą na czole, męczeńską bladością odbijały na tle krwawego obłoku. W te rysy wpatrzyła się ze stokroć większą jeszcze miłością niż w owym dniu dalekim, gdy ukochany zdejmował z jej skroni welon oblubienicy. Cisza głęboka, taka, jaka na ziemi bywa tylko przed wejściem jutrzenki, dokoła niej zaległa. Najlżejszy szmer ucha jej nie dolatywał; nie czuła też twardości ziemi, na której klęczała, ani przestrzeni rozdzielającej ją z zawieszonym pod niebem zjawiskiem.

— Czy mi przebaczasz? — drżącymi ustami szeptała.

Ale on, złotawą glorią owinięty, leżał na krwawym obłoku cichy, smutny, w daleki rąbek błękitu zapatrzony. Zdało się jej tylko, że z mglistych obsłon wydobyte, przejrzyste jego ramię na mgnienie oka wyciągnęło się nad jej głową.

— Bez ojca wzrósł — szeptała — bez ojca… bez ciebie!

Lecz na krwawym obłoku żeglująca kropla fioletu zbliżała się, rosła, wydłużała i powoli, rys po rysie, zasłaniała to oblicze blade, ciche, aż do końca zapatrzone, niby w promień ideału lub w wieczną, chociaż daleką nadzieją, w wąski, daleki rąbek błękitu.

III

Dzień był znowu świąteczny i pogodny, ale rozległa równina, z jednej strony w lesiste pagórki, a z drugiej w półkoliste koryto Niemna ujęta, inną miała postać niżeli w świetne, skwarne, mozolne dni upłynionego już lata. Miała inną postać, bo było to święto wesołe i rześkie jeszcze, w zebrane plony bogate, lecz już niby u wrót rozpoczynającej się jesieni stojące.

Zamiast świeżości, blasku i kipiątku wezbranego życia unosił się teraz nad tą równiną łagodny smętek natury, omdlewającej z wolna i z wdziękiem. Na spasionych miedzach, gładkich i pustych, zaledwie gdzieniegdzie sterczały nagie łodygi cykorii, ciemną czerwienią iskrzyły się bujne kity końskiego szczawiu, drobne puchy kotków[358] i żółknące dzięcieliny trwożnie przypadały ku stwardniałym krawędziom zagonów. Jak okiem zajrzeć, zdeptane przez trzody ścierniska zmartwiałą żółtość swoją mieszały z ciemną szarością zoranej gleby i więdniejącą zielenią kartoflisk, a wszystko to razem wyglądało jak kobierzec o barwach przygasłych i spłowiałych, na którym tu i ówdzie łanki dojrzałej gryki kładły rdzaworóżowe plamy, a majową zielonością odbijał na korczyńskich polach bujający wysoki gaj końskiego zębu[359]. Ścieżki tajemniczo przedtem na dnie zbożowej puszczy utopione widocznymi teraz, chociaż mdławymi skrętami przepływały ciemniejszą od nich rolę, której spulchnioną powierzchnię gęsto osiadywały wrony, w zadumanych postawach spuszczając ku ziemi żeru szukające swe dzioby. U skraju ściernisk, pod laskami, wzbijały się z małych ognisk pastuszych niskie, nikłe, sinawe dymy; polne grusze, topole i wierzby stały jeszcze w zieleni gęstej, lecz sczerniałej i bez blasku, a kiedy niekiedy, nie wiedzieć skąd się biorąc, żółty liść przelatywał już powietrzem i gdzieniegdzie na polnych krzakach mlecznie bielały płatki pajęczyny. Zamiast upajającej woni kwitnących ziół, skoszonych traw, świeżo zżętej słomy i z drzew ulatniającej się żywicy, czuć było naokół jeden tylko mocny, wilgotny, razowe pieczywo przypominający zapach ziemi, głęboko przez pługi wzruszonej. Zamiast ogłuszających śpiewów ptastwa i niezliczonych w rozmaitości swej brzęczeń owadów panowała wszędzie cisza, cisza nie śmierci jeszcze, ale wielkiego uspokojenia się istot i rzeczy, wśród której jednak ozywały się w górze ostre krzyki żurawi i klekot bociani, a w dole na mdlejących skrzydłach przelatywały spóźnione motyle, pszczoły nad łankami gryki brzęczały i powyżej drzew dzwoniła ciągle niewidzialna struna nadwodnych muszek. W dnie powszednie rozlegały się tu jeszcze przewlekłe i posępne lub ochocze i krótkie wołania oraczy; widać także było szybko posuwające się pługi, z cichym chrzęstem po zoranej roli wlokące się brony i powoli, równo, w prostych liniach, z wyprostowanymi postaciami postępujących siewców, których ręce rytmicznymi prawie ruchami rzucały na zagony

obfitą rosę ziaren. Nad tym zaś wszystkim, nad zaściełającym ziemię kobiercem przygasłym i spłowiałym, a gdzieniegdzie tylko rdzawą różowością lub majową zielenią rozweselonym, nad pociemniałymi drzewami, u których stóp wiły się nikłe dymy, nad z rzadka rozsianymi oraczami i siewcami, świeciło śród czystych, lecz bladych błękitów ciche, przygasłe, bladozłote słońce. Zdawać się mogło, że przez długie wylewanie na ziemię zapładniających ogni wywabiło ono z szaty ziemi świetne jej barwy i samo pobladło, a teraz na piękną jeszcze, lecz uciszoną i smętną spoglądało smętnym uciszonym okiem. Tak jak ziemia, która uśmiechała się jeszcze, lecz już nie wybuchała radością, ogrzewało ono jeszcze, lecz już nie paliło, łaskawie zarzucało na wszystko płaszcz z bladego złota, lecz nigdzie nie rozniecało ognisk płomieni i iskier. Od pozbawionego tych ognisk, bladego błękitu nieba do spłowiałego kobierca ziemi stało powietrze niepokalanie przejrzyste, nieco chłodną rzeźwością przejęte, przypominające bliskie już, pajęczynowe, babie lato — do umieszczonego nad światem kryształowego dzwonu podobne.

Wraz ze zmienioną postacią natury bohatyrowicka okolica nieco odmienną postać przybrała. Nie był to już, jak przedtem, gęsto zbity i dla oka prawie nierozwikłany pas roślinności, śród którego z bliska tylko i ułamkowo rozpoznawać było można granice zagród ich domostwa. Teraz tylko wszystkie płoty i ściany budynków do połowy niemal tonęły w przedziwnie wybujałych, z niesłychanym gwałtem wzdymających się gęstwinach. Były to gęstwiny, a raczej wzdęte rzeki, dzikie puszcze chwastów. Były to niby księgi natury o gęsto zbitych i coraz innych kartach. Z wysokiej, szerokolistnej, puszystej dla oka a twardej dla ręki pościeli olbrzymich łopuchów, babek, chrzanów bujały tam wysoko niezliczone osty, u wierzchołków ubrane w bladoróżowe, misterne, kolcami zjeżone kwiaty mieszające się ze śnieżnymi koronami krwawników[360], z ciemną czerwienią końskich szczawiów, z zaroślami psich języczków, których podługowate liście wysuwały się zewsząd, jakby chciały swą ostrą powierzchnią lizać odzież przechodniów; gdzie indziej krzaczysty, grubiański żywokost mnóstwem białych guziczków osypany rozpierał się tak szeroko, że nic już przy nim wzrastać nie mogło oprócz upartych mięt i piołunów rozlewających naokół mocne i gorzkie zapachy; gdzie indziej jeszcze zdziczałe spireje, ogołocone z kwiatów malwy, przekwitłe i trującymi makówkami zwieńczone psianki tworzyły wysoką i nieprzebitą plątaninę, której spodem kładły się krwiste liście więdnącej dzikiej lebiody, złociły się suche szelestuchy, puszczą rosły chwoszczaje[361], ruty i pokrzywy. Ale działo się tak tylko u płotów, stodół i stajen; gdzie indziej wszędzie rozwidniło się, rozszerzyło, poprzestronniało. Najlżejszy pył, po niedawno spadłych deszczach, nie podnosił się z ziemi; w przejrzystym więc powietrzu, za ogrodami, z których zdjęto owsy, konopie i fasolę, domy i drzewa stały w wyraźnych, pełnych, odosobnionych zarysach. Pozostałe w ogrodach niskie tylko warzywa nic sobą nie zasłaniały, a na dziedzińcach i

uliczkach, od płotu do płotu i od budynku do budynku, słały się już tylko niskie, zdeptane trawy. Wiśniowe i śliwowe gaje przerzedziły się i u dołu pustymi przestrzeniami przeświecały; stare lipy, grusze, topole i jawory, błyskając tu i ówdzie zżółkłymi lub zaróżowionymi liśćmi, nabrały u szczytów koronkowej prawie przezroczystości. Kwiaty, bardzo iuż rzadkie, pod gankami i oknami domów ukazywały się w postaci nikłych floksów albo drobnych aster; w zamian, przez puste przestrzenie gajów i koronkowe gałęzie drzew widać było rozłożone na trawach brunatne lny, bielały pod blaskiem słońca rozciągnięte płótna i niewidzialne przedtem, na kształt skrawków drogiej materii, tu i ówdzie przebłyskiwały błękitne smugi Niemna.

Ranek był jeszcze, bo może trzech godzin do południa brakowało, gdy okolicę napełnił niezwykły gwar. Długo i nieustannie turkotały tam koła, parskały konie, rozlegały się powitalne wykrzyki. Ze wszystkich dróg przerzynających równinę ku Fabianowej zagrodzie zjeżdżały się bryczki, cwałowali jeźdźcy, pieszo dążyli mieszkańcy bohatyrowickich zagród. Na koniec kilkanaście niewyprzężonych żółtych i zielonych, jedno i dwukonnych bryczek napełniło podwórko zagrody i kilka jeszcze najbliższych podwórek; kilkanaście osiodłanych koni stanęło u różnych płotów; może sto osób różnej płci i wieku pstrą i ruchliwą falą okryło ogród, zieloną pomiędzy ogrodem i śliwowym gajem ulicę i rozlało się aż na drogę białym pasem u pustego pola sunącą. Na kilka mil wokół powszechnie wiedziano, że byli to *weselniki*, przez Fabiana na małżeńskie gody jego córki pospraszani. Szeroko w powiecie słynęła ambicja, mowność, tak do ochoczej zabawy, jak do zuchwałych zadzierek skłonność Elżusinego ojca; więc chętnie ci i owi, przez szacunek, ciekawość a najbardziej nadzieję wesołych tańców i zalotów, dążyli do człowieka, który choć był ubogi, pokrewieństw i koneksji posiadał bez liku, a gdyby i z głodu miał mrzeć nazajutrz, przy okazji wystąpić musiał bucznym sobie panem.

Naturalną było rzeczą, że na weselu Bohatyrowiczówny i Jaśmonta Bohatyrowiczów i Jaśmontów znajdowało się najwięcej. Jednak przy powitalnych okrzykach, przy wzajemnym przywoływaniu się znajomych wiele innych nazwisk rozlegało się w powietrzu i nad trawami lecąc sięgało spokojnej, przezroczej wody Niemna, za którą je echa powtarzały i niosły aż w głębiny boru. Starzy i młodzi, przybyli tam licznie Zaniewscy ze spokojnych i w dobrej glebie siedzących Zaniewicz i z zaniemeńskich Obuchowców Obuchowicze złą sławę mający, bo choć dostatnie i pracowite chłopy, chętniej od innych awantur szukali, do bójek skłonni, a do maczania języków w czarkach niewstrętliwi. Zza Niemna także przyjechali Osipowicze z Tołoczek, po włosach jak krucze pióra czarnych i twarzach jak u posągów kształtnych rozpoznawać się dający, i Łozowiccy z Soroczyc, hardo w górę podnoszący wąsa, mali a zwinni, z rodzinnej zgody znani, bo po czterech i pięciu w jednych chatach siedzący, zwadami nie obrażali Boga i nie gorszyli ludzi. Staniewscy ze Staniewicz jaśnieli w tłumie wysokimi

czołami, których wczesne łysiny przypominały podgalane głowy przeddziadów; a byli tu także z piaszczystych Glindzicz ubodzy Maciejewscy i z najbliższych Samostrzelnik stateczni Strzałkowscy. Ze Starzyn swat Starzyński przywiózł trzech swoich synów i dwie tylko córki, lecz wzrostem i pełnią krwi pąsowej za cztery stanąć mogące, a z Siemaszek przybyli, jak trzy lwy, trzej Domunci, tutejszej Jadwigi stryjeczni, szerokością barów i obfitością czupryn tak przenoszący wszystkich, jak od wszystkich obecnych niewiast mniejsze i szczuplejsze były przybyłe z dwoma braćmi dwie Siemaszczanki, delikatne, bladawe, nieśmiałe dziewczynki, w zatrwożeniu swym ciągle trzymające się razem i po przezroczystej zieloności gaju przesuwające swe perkalowe sukienki w błękitne i białe paski. Był tam jeszcze z dorosłymi dziećmi stary Koroza, dawno już z zagrodowca na właściciela osobnego folwarczku wyszły; i z wyszukanym imieniem Albin Jaśmont, ekonom z Osowiec, który z rotowym śmiechem o młodym swoim panu dziwne dziwy rozpowiadał. Był także szczupły i siwy jak gołąb felczer pobliski, o delikatnym profilu i filuternym uśmiechu, tytułem doktora powszechnie zaszczycany, i Józef Giecołd, mały dzierżawca z zapadłymi policzkami i zbiedzoną miną, którego małżonka w sterczącym kwiatami kapeluszu i z długim ogonem u wełnianej sukni z bryczki wysiadając wysoko ukazała grubą nicianą pończochę, a wnet potem papierosa zapaliła i tak już z zapalonym papierosem, oczy mrużąc i na nikogo nie patrząc, wyższość swą w pełni uczuwająca, przez ogród do domu dążyła.

Widoczne zresztą było, że wszyscy tu zgromadzeni dbali wielce o to, aby odzienie ich było weselu przystojne, ale że pod tym względem nie krępowała ich żadna wcale moda ani żaden despotycznie nakazujący zwyczaj. Na sukniach dziewcząt ukazywały się gdzieniegdzie szczupłe draperie, niejaką pretensję do elegancji roszczące, ale powszechnie były to bardzo skromne spódniczki i staniki kolorowymi paskami objęte, jesienne kwiaty w gładkich warkoczach, gdzieniegdzie złoto udający pierścionek na palcu, a u szyi szpilka z błyszczącym szkiełkiem, u wędrownego przekupnia nabyta. Mężczyźni prawie różnobarwniejszy przedstawiali widok niżeli kobiety. Czarne tużurki mieszały się tutaj z surdutami z białego płótna, obok szarych kurt samodziałowych jaśniały ubrania z kanarkowej dymki, wśród ciemnych, długich kapot, które nosili najstarsi, na kształt równo ociosanego krzaku zieleniał trawiasty surdut Starzyńskiego; wszystkimi barwami świata iskrzyły się na szyjach fantazyjnie związane chustki i krawaty, a tylko u piersi śnieżne przody koszul i po kolana wysokie buty z wpuszczonymi w nie spodniami ujednostajniały w części ten lud rosły, ogorzały, jednostajnie także karki prosto, a głowy śmiało trzymający.

Był to lud, ale lud, który nigdy nie podpierał strasznego gmachu przymusowej pracy ani twarzami w pył nie upadał pod piekielną obelgą chłosty. Był to lud, ale lud, za którym w dalekiej przeszłości jaśniało słońce ludzkich praw i dostojeństw, aż dotąd w dusze i na drogi życia kładnące mu

zbladłe, lecz jeszcze nie zgasłe promienie. Był to lud namiętnie, niepohamowanie, do waśni zgryźliwych, aż do występku czasem chciwy tej ziemi, którą na kształt kreta kopał w cichości i nisko, ale lud z tą ziemią jak z matką spojony i wszystkie pulsy jej życia i losów we własnych losach i żyłach czujący. Był to lud ogorzały, w obfitym pocie skąpany, z grubą skórą na twarzach i rękach, ale z gładkimi i prostymi plecami, wielką siłą ramion i okiem, które, acz na ciasne widnokręgi, patrzało śmiało i bystro. Gdziekolwiek stanęła ich większa nieco gromada, tam zdawać się mogło, że z ziemi wyrastał las dębów. Gdziekolwiek żywo i tłumnie zagadali, tam, zda się, przylatywały echa tej mowy, która brzmiała wówczas, gdy Rej z Nagłowic nad kuflem piwa i zrazem baraniej pieczeni gościł w Czarnolesiu. Gdziekolwiek zaśmieli się, spomiędzy warg rumianych błyskały rzędy jak śnieg białych zębów; gdy zdjęli czapki, ukazywali czoła od policzków bielsze i czupryny płowe, złociste, rudawe, czarne, lecz zawsze jak las obfite i z fantazją mającą pozór dumy odrzucone w górę.

Ale tak wyglądali tylko — młodzi. Starsi, niezbyt nawet starzy, chód miewali powolny, mowę rozważną, choć często obfitą, śmiech rzadki, oblicza zorane. Widać było, że życie, jakie wiedli, bardzo prędko uciszało ich, gasiło, z twarzy im wywabiało rumieńce, a nogi obciążało niewidzialnymi brzemionami. Grubobrzucha postać folwarcznika Korozy i apoplektyczna cera Starzyńskiego stanowiły tu wyjątki. W zamian, chudością ciała przy wysokim wzroście i wyrazem cierpliwego zmęczenia na twarzy, u której wisiały długie, czarne wąsy, uderzał Walenty Bohatyrowicz, siedmiorga dzieci ojciec, a właściciel dziesięciomorgowego grunciku; zaś drugi Bohatyrowicz, dla gorliwej pobożności swej Apostołem od dawna przezwany, wielkimi, ciemnymi szkłami osłaniał zaognione i wpółślepe oczy.

Podstarzałe lub stare kobiety, tak samo jak rówieśnicy ich mężczyźni, najczęściej chude, czasem drobne i delikatne, sterane miały twarze i powolną, choć czasem i wpadającą w zapalczywość mowę, a jedną tylko posiadały cechę, której nie posiadali mężczyźni: ceremonialność obejścia się i poruszeń. W suto wygarnirowanych[362] kornetach lub nowożytniejszych czepkach, często nawet w prostych chustkach na głowach, w luźnych kaftanach i staroświeckich mantylach, z szerokimi kołnierzami u szyi i rękami pomarańczową prawie barwą odbijającymi od śnieżnych wygarnirowań rękawów, składały one przed znajomymi układne dygi, wzajem sobie pierwszeństwa na ścieżkach i we drzwiach ustępowały, na górną lub skromną sadziły się mowę.

W całym tym zebraniu na parę godzin przed południem uczuć się dało niecierpliwe i trochę niespokojne oczekiwanie. Państwo młodzi i asysta weselna, jako to: dwaj swatowie, dwie swanie[363] i sześć par drużbów, nie ukazywali się wcale przybyłym gościom, z których bardzo nieliczni tylko wchodzili do domu, a prawie wszyscy przechadzali się po ogrodzie i drodze albo siadali na długich ławach, tu i ówdzie ustawionych, na stosie desek

pod stodołą, na kamieniach, na niskich płotkach. Wiedziano dobrze, że panna młoda już jest do ślubu ubrana i że pora już była wielka wyruszać w drogę do kościoła, lecz brakowało jeszcze jednej z najważniejszych osób asysty, mianowicie pierwszego drużbanta. We wszystkich siedzących, stojących i przechadzających się gromadkach o tym tylko opóźniającym się, a tak ważnym gościu była mowa. Nie dziw, że opóźniał się: taki człowiek! Bogaty, przystojny i z tęgą głową; musiał przecież fanaberię jakąś okazać i nie dopuścić, aby go za pierwszego lepszego uważano. Mężczyźni mówili o tym, że Kazimierz Jaśmont najmniejszym urodzajem ze sto kop żyta i ze trzydzieści pszenicy na polach swoich użyna, bydła może ze dwadzieścia sztuk posiada i piękne konie hoduje, a potem z zyskiem sprzedaje. Toteż dom sobie nowy niedawno zbudował i głośno przed wszystkimi oświadcza, że ożenić się zamyśla, bo mu już kawalerstwo nagrzewać zaczęło. Lat ma ze trzydzieści dwa, posażnej sobie upatruje. A jakże! On by może na to wesele i nie przyjechał wcale, gdyby nie to, że chce mu się Domuntównie z bliskości w oczy popatrzyć. Aktorka! Jedno do drugiego, piękną fortunę we dwoje ufundują. Tylko że u tego tańca dwa końce. Podobno Domuntówna z kim innym już tak jak prawie jest zaręczona. Pogłosy o tym chodzą, ale może nieprawdziwe. Podstarzałe zaś kobiety opowiadały sobie wzajem, jaki to bogacz ten Kazimierz Jaśmont. Pracować — pracuje, bo nikomu ptaki same do garści nie lecą, z pługiem i kosą sam chodzi, ale dwóch parobków trzyma, złotny zegarek ma, a którejś niedzieli Michał Zaniewski za interesem do niego z rana przyszedłszy w szlafroku go znalazł. W szlafroku sobie siedział, fajkę palił i herbatę pił jak najpierwszy arystokrat. Ot jak! Czemu to inszym takie szczęście nigdy nie zaświeci? Ale widać już Pan Bóg tak chce, żeby jednym były gody, a drugim głody; jednym mąka, a drugim miękina[364]!

Dziewczęta, w ścisłą gromadkę zbite, oczy sobie wyślepiały na drogę patrząc, a zajmującego kawalera wypatrując. Jedna utrzymywała, że pan Kazimierz pewno od Jadwiśki dostanie dudka na kościele, bo ona już dawno sobie Jana Bohatyrowicza obrała i żeby tam nie wiadomo co, musi za niego wyjść; druga twierdziła, że pan Jaśmont Janka od Jadwiśki odsadzi, bo daleko, gdzie! może cztery razy bogatszy; inne chwaliły bardzo oczekiwanego kawalera mówiąc, że ślicznie tańczy i wierszami mówi. Delikatne, bladawe, zgrabne Siemaszczanki trzymając się pod ręce wsunęły się w grono wysokich i barczystych Bohatyrowiczówien, Jaśmontówien, Zaniewszczanek i Starzyńskich, a że tu obce były i nikogo prawie nie znały, nieśmiało i cichutko zapytywać zaczęły, czy pierwszy drużbant orację powie, bo jeżeli taki bogaty, to może też dumny i oracji powiedzieć nie zechce. Jedna ze Starzyńskich i dwie Zaniewszczanki od razu mówić zaczęły, że to już od tego zależeć będzie, czy mu się pierwsza drużka upodoba, bo jeżeli nie upodoba się, to może zagrymasi i oracji nie powie, a jeżeli już powie, to bardzo piękną, bo jego mówienie zupełnie jak woda biegąca, takie płynne, a do tego i wierszami przyozdabiane. Jak topola

wysmukła, kruczowłosa Osipowiczówna nie wiedziała wcale, kto będzie pierwszą drużką Alżusi, ale Bohatyrowiczówny wiedziały bardzo dobrze, że będzie nią panna Justyna Orzelska z Korczyna, pana Korczyńskiego krewna, i mówiąc o tym uśmiechały się do siebie w sposób tak znaczący, że to uwagę wszystkich zwracało.

Wtem zieloną uliczką od bramy ku domowi wiodącą coś rączego, gromkiego, świetnego zaturkotało, zaparskało, przegalopowało i pod gankiem domu stanęło. Pierwszy drużbant przyjechał. Przyjechał bryczką i jednym koniem, ale jaką bryczką i jakim koniem! Pierwsza świeciła nowiutkimi okuciami i najpiękniejszą majową barwą; drugi, czarny ogier (weselnicy pomiędzy sobą szeptali, że ze trzysta rubli można by było za niego zapłacić i że pochodził z własnego chowu właściciela), kark miał wygięty i szerść aksamitną. Prawie galopem jadąc — bo sam zapewne czuł, że się spóźnił — Kazimierz Jaśmont w jednym ręku, białą rękawiczką ociągniętym, trzymał rzemienne lejce, drugą nieustannie zdejmował z głowy granatową czapeczkę, tym sposobem wszystkich znajomych witając, a gdy to czynił, oprócz okuć bryczki i aksamitnej szerści konia, błyskały jeszcze pod słońcem jego złociste, kędzierzawe, w tył od szerokiego czoła odrzucone włosy. Jednemu z młodszych synów Fabiana wodze oddał, a sam do wnętrza domu wpadł, gdzie kilka minut ledwie zabawił, po czym znowu na ganek wpadając gromko zawołał:

— Muzyka!

Na ten okrzyk z tłumu wypadli trzej młodzi, szeroko naokół znani bracia Zaniewscy, którzy sztukę muzyczną gorliwie uprawiając, na weselach sąsiedzkich bezinteresownie i tylko dla własnego ukontentowania a grzecznego sąsiadom usłużenia do tańca grywali. Od paru już godzin o ścianę domu stały oparte dwoje skrzypiec i basetla. Amatorowie–muzykanci porwali je i z nimi do domu wbiegli. Ku domowi też pocisnęli się weselniki wszystkie, jedni do wnętrza jego wchodząc, inni otwarte drzwi i okna tłumnie obstępując.

Świetlica Fabiana równie obszerna była, jak u Anzelma i Jana, z mniej tylko gładko otynkowanymi ścianami i starszą podłogą. Zwykłego jej umeblowania nie było dziś ani śladu, lecz każdy mógł się domyśleć, że łóżka z wysokimi pościelami, komody i skrzynie wyniesione zostały dla uczynienia z niej sali jadalnej. Pod trzema ścianami stały tam teraz trzy długie stoły, z desek naprędce zbite, białym płótnem ponakrywane, dobrze już napoczętymi pieczeniami, pierogami i serami zastawione, a zydlami i stołkami otoczone. Pomiędzy stołami, w głębi dość ciasnej przestrzeni, stali rodzice panny młodej i rodzice pana młodego, dwie swanie i dwaj swatowie. Elżusia, w sukni z białego muślinu i z kawałkiem tiulu, który jej od włosów aż do ziemi spadał, u boku swego miała narzeczonego, którego szyję obwiązano białym krawatem, tak szerokim i twardym, że najlżejszego nią poruszenia uczynić mu było niepodobna. Dalej plecami do drzwi stało sześć par drużbów: Kazimierz Jaśmont z Justyną, Witold Korczyński z

Antolką Jaśmontówną, Jan Bohatyrowicz z Marylką Zaniewszczanką, Adam Zaniewski ze Stefką Obuchowiczówną, Władysław Osipowicz z Cecylką Staniewską i Michał Bohatyrowicz z Alberta Starzyńską. U drzwi, przy ścianie, stanęła muzyka. Przez otwarte okna promienie bladego słońca, obficie lejące się do świetlicy, padały na rozstawione po stołach i napoczęte pierogi, pieczenie i sery, na rydzowatą i uroczysty wyraz mającą twarz Fabiana, na śnieżny i krochmalnymi garnirunkami sterczący kornet Fabianowej, na trawiasty surdut swata Starzyńskiego, na żółtą twarz i wyfiokowaną głowę swani Giecołdowej, na zadarty i od płaczu zaczerwieniony nosek panny młodej, na czarne i białe surduty drużbów i białe, błękitne, różowe suknie drużek. Mur takich samych surdutów i sukien za otwartymi drzwiami świetlicy zaległ sień domu; nieruchomość wszystkich była zupełna, a cisza stała się tak wielka, że śród niej słychać tylko było, niby podmuchy wielkiego miecha, w jeden odgłos zlewające się, ciężkie w ścisku oddechy obecnych.

Wtem swania Giecołdowa, ze szczytu swej wysokiej i cienkiej figury z dumą dzierżawczyni na wszystkich patrząca, rzuciła na ziemię niedopalony papieros i zdeptała go wielką stopą w prunelowy bucik[365] ubraną. To nagłe przerwanie ulubionej znać, lecz z uroczystością momentu niezgodnej przyjemności nastąpiło wskutek ruchu przez pierwszego drużbanta uczynionego. Nikt z obecnych głośno nie przyznałby się do tego, ale wszyscy z niepokojem oczekiwali, czy też wypowie on orację albo jej nie wypowie, jak to zdarzyło mu się parę razy, gdy zagrymasił i wypowiedzieć jej nie chciał dla tej przyczyny, że mu się pierwsza drużka nie upodobała. Jednak przed kilku minutami, kiedy Fabian względem nieznającej się dotąd pary dokonał uroczystego aktu rekomendacji, wiele osób spostrzegło, że na Justynę bystro popatrzywszy podaną mu przez nią rękę z niskim ukłonem i w same koniuszki palców pocałował. Nikt nigdy nie widział, aby komukolwiek w ten sposób się kłaniał. Potem zaś do towarzyszy drużbantów odwracając się, palcami pstryknął i, jak mógł najciszej, zaszeptał:

— Szyk panna! Zdaje się, spojrzawszy, miód do gęby kapie!

Jan spłonął cały i, jak zwykle gdy był wzruszony, w górę spojrzał; inni w znak potwierdzenia z cicha cmoknęli, głowami kiwając. Jeden tylko Władysław Osipowicz, któremu czarne włosy jak krucze skrzydła unosiły się nad głową, do błękitnookiej Cecylki, której był aspirantem, szepnął:

— Nic ja osobliwego w tej pannie postrzec nie mogę!

Więc upodobała się! Teraz Kazimierz Jaśmont uczynił poruszenie, które go ze zbitej w ścisk kompanii nieco wyosobniło, stanął naprzeciw państwa młodych, tuż obok umieszczonej na stole, wiązkami mirtu piętrzącej się tacy, rękę w białej rękawiczce po złocistej czuprynie przeciągnął i głosem tak donośnym, że go za oknami i aż w ogrodzie słychać było, mówić zaczął:

— Oto jest wianek uwity nie z pereł ani z diamentów, ale z zielonej mirty, znak panieński, oku ludzkiemu przypodobujący się, a tobie, panno

młoda, w dniu dzisiejszym chwalebną ozdobą być mający…

Mówiąc to wskazywał na tacę napełnioną mirtem; teraz wziął z niej mały mirtowy wianek i delikatnie go w wyciągniętym ku państwu młodym ręku trzymając ciągnął dalej, a coraz dobitniej i głośniej:

— Teraz bierz sobie na uwagę, przenajdostojniejsza paro, te kilka moich myśli, które w następującej zawrą się formie. Wszak widzisz, panno młoda, że już ostatni przyszedł termin, w którym ten wieniec, przed oczy twoje reprezentowany, nosić będziesz, bo od dzisiejszego dnia on zniknie i nie powróci więcej na twoją głowę.

Tu Elżusia zaczęła z cicha chlipać i z wielką trudnością z kieszeni ślubnej sukni wydobywać chustkę do nosa. Ale drużbant z oczami w nią wlepionymi nieprzerwanie ciągnął:

— Ach! Piękny to jest laur być panienką i jakże go nie żałować! Trzeba go oblać rzewnymi łzami, bo jakież by to było serce tej pięknej panny, gdyby w dniu dzisiejszym nie płakała? Ale ja tak powiadam, że nic nie ma na świecie przyrodniejszego nad stan małżeński i że Bóg, który utworzył niebo, ziemię i złotne gwiazdy, dla szczęśliwości ludzkiej i ten stan ustanowił. Nie ma tu przyczyny smęcić się i biedować. Bo ty, panno młoda, choć pozbywasz się piastowania matki i ojca, ale nabywasz przyjaciela wiernego na wiek wieków, aż do końca. A ty, panie młody, to weź na uwagę, że Bóg słońcem, a mąż dobrą żoną świat sobie weseli. Gdy tedy już nadszedł ten dzień weselny, od całej zgromadzonej asysty i wszystkich tu znajdujących się państwa krewnych, przyjaciół i znajomych, tobie, najdostojniejsza paro, jako wasz pierwszy i najstarszy drużbant, najlepsze życzenia wypowiadam…

Tu głos nieco zawiesił, a w ścisku już nawet głośnych oddechów słychać nie było, z takim wytężeniem oczekiwali wszyscy dalszych słów drużbanta, które też dobitniejsze jeszcze i uroczystsze niż przedtem wkrótce zabrzmiały:

— Niechaj wam życia dzionek wije się jako wianek, w którym jasny kwiat z ciemnym się przemienia, ale wszystkie rozkosz czują, bo się wzajem obejmują. Troski po szczęściu i szczęście po troskach znosić będzie cię w spokojności, jedno od drugiego czerpiąc pocieszenie w przyjaźni i miłości. Cieszcie się, że dnia dzisiejszego w kościele świętym złączy się para, a przez mężczyznę i kobietę wzajemnie sobie będzie dana wiara. Oto już grzmi muzyka…

Tu istotnie dwoje skrzypiec i basetla zagrzmiały czymś trochę do hucznego marsza, a trochę do zawiesistego mazura podobnym. Tę huczną muzykę głosem przenosząc i tacę mirtem napełnioną w obie ręce ujmując pierwszy drużbant kończył:

— Czas do kościoła po siódmy sakrament święty jechać, a wprzódy do kolan rodzicielskich po ojcowskie i macierzyńskie błogosławieństwo upaść. Proszę tedy, panno drużko, niezmarszczonym czołem, wesołym okiem i łaskawą ręką te mirty przyjąć i drużbującym na znak dnia weselnego

rozdać…

Z niskim ukłonem tacę z mirtem Justynie podawał, ona w zamian położyła na niej cienką, białą chustkę, z pięknie wyhaftowanymi jego cyframi. Cała twarz, wielka, różowa, piegowata, z szerokim czołem i zawiesistym wąsem, zapłonęła mu zadowoleniem i dumą.

— Gdybym złotny i bryliantowy dar otrzymał, tak ukontentowanym bym nie był, jak jestem z tej pamiątki rączkami pani przygotowanej — wymówił z niskim ukłonem, lecz w tejże chwili uczuł się pochwyconym w czyjeś ramiona. Był to Witold, drugi po nim drużbant, który nagle i ogniście w oba policzki go pocałował.

— Przepraszam… — mówił — może pan będzie się gniewał, że przy takiej małej znajomości, tak poufale… ale ślicznie pan tę orację powiedziałeś… Czy pan ją sam ułożyłeś, czy też…

— Częściowo! częściowo… — ręce nowego przyjaciela w szerokich dłoniach tak mocno ściskając, że aż biała rękawiczka z chrzęstem pękła, odpowiadać zaczął, ale muzyka nagle umilkła i po świetlicy rozchodzić się zaczął do niepoznania zmieniony głos Fabiana. Elżusia, jak długa do nóg mu była runęła, a pan młody ze stukiem na kolana upadł, lecz z powodu twardego i szerokiego krawata głowy pochylić nie mogąc pozór klęczącego kołka zachowywał. Fabian zaś, chociaż go zwyczaj do wypowiadania oracji koniecznie nie zobowiązywał, przez wzruszenie zmienionym czy też umyślnie przybranym, bardzo cienkim głosem przemawiał:

— Dziady i przeddziady nasze na tym samym miejscu gody małżeńskie wyprawowali, gdzie i ja twoje, moja córko, dnia dzisiejszego wyprawuję. Masz wiedzieć, że nie powinnaś być swarna, marnotrawna, języczna[366] ani ręce za pas zakładać albo, broń Boże, bałamutniom i pustotom życie swoje poświęcać, ale przyjacielowi swemu dozgonnemu we wszystkim pomocna, zgodna i uległa…

W tym miejscu przemowy Elżusia, pomimo że twarz przy samej ziemi prawie trzymała i chustką wycierała oczy, połę surduta narzeczonego mocno pociągnęła i szepnęła:

— Proszę nachylić się! Czy to pięknie przy błogosławieństwie ojcowskim z nosem do góry sterczeć?

Jak na komendę Franuś zgniótł brodą obręcz krawata i czoło ku ziemi pochylił. Fabian właśnie ku niemu mowę zwracał:

— A tobie, mój zięciu, ojcowskim słowem i sercem zapowiadam, abyś towarzyszkę, którą ci daję, szanował i we wszystkim jej był pomocny, zgodny, nieofokliwy, nie grubian, ale…

Tu pomimo załzawionych oczu szorstka kępa wąsów poruszyła mu się jakby do uśmiechu.

— Ale tak samo i lejców zbytnio żonce nie popuszczaj, a to pamiętaj sobie, że zły gospodarz najpiękniejsze dziedzictwo niedozorem zmarnuje, a dbający i umiejętny z lada czego uczyni co dobrego. To wam, moje dzieci, ostatnim ojcowskim słowem i z gruntu serca powiedziawszy Boga

Wszechmogącego o błogosławieństwo i zesłanie na was… wszystkich… łask… i… po… pomyślności…

Teraz już rozpłakał się tak, że końca słów jego nikt dosłyszeć nie mógł, i z kolei błogosławiący młodą parę rodzice pana młodego płakali, i swania Starzyńska rozpłakała się, a swania Giecołdowa, gardząc tkliwością tłumów, powiekami prędko mrugała, aby spod nich łzy nie wypuścić, panna młoda a za nią i pan młody prawie już ryczeć zaczęli, wtem za oknem, w mozaice mnóstwa z zewnątrz napełniających je twarzy, ukazała się zżółkła, chuda twarz z ogromnymi, ciemnymi okularami i Bohatyrowicz Apostoł ramiona wznosząc żałośliwym głosem zawołał:

— Przyobiecane jest królestwo niebieskie człowiekowi, który synowi swemu albo córce swojej małżeńskie gody wyprawił!

Słowa te były kroplą przepełniającą czarę wzruszenia obecnych, których ogromna już większość wybuchnęła płaczem, a przy tym i całować się pomiędzy sobą zaczęła. Płacząc obejmowali się i całowali rodzice panny młodej i rodzice pana młodego, swatowie i swanie, drużki i drużbantowie, a w świetlicy, za oknami, za drzwiami, przez kilka minut nic więcej słychać nie było, jak tylko szlochania, całusy, a wśród szlochań i całusów zaczynane, urywane, niedokończone powinszowania, podziękowania, błogosławieństwa i życzenia. Drużki płacząc i razem śmiejąc się, całując i winszując kręciły się śród obecnych i wszystkim wiązki mirtu do sukien przypinały, a pierwszy Kazimierz Jaśmont w tym powszechnym zamieszaniu i wezbraniu uczuć porządek czynić zaczął. Kilka razy po wzburzonym mrowisku okiem wiodąc, szerokimi barami niecierpliwie poruszył, kilka razy palcami pstryknął, usta otworzył i zamknął, aż na koniec czupryną jak grzywą wstrząsnąwszy wyprostował się jak struna i grzmotowym głosem krzyknął:

— Jazda!

A potem, niby wieloryb wody, piersią i bokami tłum prąc, a głosem pszczolne jego brzęczenie przenosząc, wołał ciągle:

— Jazda, państwo! jaz-da! jaz-da! jaz-da!

Więcej niżeli połowa obecnych pocisnęła się ku zaprzężonym bryczkom i osiodłanym koniom, ale pierwszy drużbant przed tą ściśliwą falą z rozpostartymi ramionami stanął, piersią własną jej nawał wstrzymując i wołając:

— Wolniej, państwo! wol-niej! Po porządku! Po porządku !

I potem długo w tłumie głów, twarzy, surdutów, sukien, rojącym się dokoła bryczek i koni, przesuwała się nieustannie jego granatowa czapka, wierzch tylko kędzierzawej czupryny przysłaniająca, a głos nakazujący, dyktatorski wołał i dyrygował, rozlegał się w urywanych i po wielokroć powtarzanych wykrzykach:

— Proszę siadać! Niechajże państwo siadają! Panna młoda ze swoją swanią! Pan młody ze swoim swatem! Druga swania i drugi swat razem! Pierwsza panna drużka! Gdzie pierwsza panna drużka? Proszę za mną!

Ślicznie proszę! Druga panna drużka z drugim panem drużbantem. Trzecia panna drużka z trzecim panem drużbantem… Muzyka! Hej! Słyszycie tam, muzykusy! Zaniewscy, hej! Siadać na tę bryczkę… tam… za asystą!…

I tak dalej, i tak dalej, przez dobry kwadrans, aż na koniec wszystko razem gruchnęło, zagrzmiało, zatętniało, wybuchnęło muzyką, śmiechem, krzykami, parskaniem koni i z gęstego tumanu kurzawy, który wzbił się nad Fabianową zagrodą, wytoczyło się na gładki, spłowiały kobierzec uścielający szerokie pole, pod bladozłote słońce, w przejrzyste jak kryształ powietrze.

W zagrodzie Fabiana przecież nie zapanowała zupełna cisza. Przynajmniej połowa zebranego towarzystwa pozostała tu i raczyła się żywnością rozstawioną na stołach, przy których potem, aż do zachodu słońca, coraz zmieniali się biesiadnicy. Do rosołów, pieczeni, kiełbas, naleśników, makaronów, przeplatanych umiarkowanie popijanym miodem i piwem, zasiadano, dla ciasnoty miejsca, partiami z pary dziesiątków osób składanymi. Gdy jedni w świetlicy zajadali, inni, czekając na kolej swoją lub ją odbywszy, w ogrodzie i na drodze przechadzali się, zalecali, gwarzyli.

Fabian świetlicy nie opuszczał ugaszczając i zabawiając gości tak gorliwie, że aż oblewał się potem rzęsistym, który co chwilę chustką z oblicza, z łysiny i z karku ocierał. Jednak pomimo gościnności i zwykłej mówności każdy mógł poznać, że potajemnie dręczył go dolegliwy frasunek. Mniej niż zazwyczaj prawił facecji i przysłów, często obfitą mowę w połowie przerywał i zamyślał się czoło marszcząc, a kępkę wąsów naprzód wysuwając. Takiż sam frasunek, pomimo zresztą szczerego oddawania się przyjemnościom odpoczynku i zabawy, pomimo powolnego wychylania niedużych czarek miodu i piwa, znacznym był i na innych Bohatyrowiczach, starszych zwłaszcza gospodarzach i ojcach rodzin. Ci i owi z cicha albo też głośno i z rozmachem opowiadali znajomym z innych okolic przybyłym o procesie z panem Korczyńskim przegranym i o ciężkim z tej przyczyny strapieniu; niektórzy ponuro pomrukiwali, że po tym weselu wprędce gorzko się przyjdzie zasmęcić lub też że to wesele prędko się w płacz zamieni, gdy twardy i nieubłagliwy sąsiad na karkach im z egzekucją siędzie, a kiedy najszumniejsi i najweselsi z biesiadników Fabianowi winszowali, że takie chwalebne gody małżeńskie córze swej wyprawiał, on rękami zatrząsł i z wybuchającą już alteracją troskę swą wygadał.

— Jezu ukrzyżowany! — ramiona rozstawiając wołał. — Żebym ja był lepiej nagle zginął, niżeli takiego zniszczenia i wstydu, jaki mnie wprędce spotka, doczekał! Wesele! Wesele! Pewno, że wesele, i to córki, ot, tak samo jednej, jak ta jedna głowa na karku! Ale co z tego! Trzy dni wesela, a do śmierci smutku! Żeby mnie ziemia pochłonęła, nim koniec tego wesela nastąpi, daj Boże!

Inni strapionych sąsiadów pocieszać usiłowali.

— Nie bójcie się! Więcej Bóg ma, niż rozdał! — krzyczał Starzyński.

Bohatyrowicz Apostoł, ciemne okulary ku sufitowi zwracając, skruszonym głosem prawił:

— Czasowe to straty, marności tego świata, doczesność… znikomość…

A poważny, niemłody Strzałkowski, w długim surducie z samodziału do siermięgi podobnym i z myślącymi oczami śród steranej twarzy, perswadował:

— Cóż robić? Trapić się nie należy, bo żeby i największe trapienie się, nic nie pomoże. Pan Korczyński twardy jest i dla biednych ludzi nieubłagliwy, ani słowa… i my jego znamy… Ho, ho! Dobrze na swoich skórach poznali… Ale, słyszę, syna ludzkiego on ma, wilkiem na ludzi nie patrzącego. Może on pośrzednikiem między ojcem a sąsiadami zostanie…

— Pewno! A jakże! To już i ja sam sobie myślałem! — z wolna potwierdził Walenty Bohatyrowicz.

— Już nam pewno potrzeba udania się do niego wypadnie — mówili inni. — Już inaczej nie będzie, tylko że jego na jednacza pomiędzy nami a panem Korczyńskim poprosim.

Fabian przeciw temu zamiarowi burzył się i buntował. On nikogo prosić o nic nie będzie, ostatnią krowę sprzeda, a jak Łazarz u bogaczowego progu nie legnie. Ale zakrzyczeli go inni.

— Co masz czuprynę jeżyć, kiedy niemocen jesteś! — wołali. — Tanio tobie przychodzi teraz groźno stawać, a drogo było do procesu tego sąsiadów nie namawiać albo lepszego i poczciwszego adwokata naleźć. Sam wszystkich na rzeź wydał, a teraz od jedynego ratunku ubiega…

Fabiana wymówki te nade wszystko już mieszały i gryzły.

— Ja siebie winnym nie sądzę! — tłumaczył się na wpół z gniewem, na wpół z płaczem. — Nikt złego nie chce. Zamyślałem jak najlepiej dla powszechności naszej uczynić i panu Korczyńskiemu wszystko pomścić. A że przez złego człowieka oszukany zostałem, czy dlatego już na wąskie paski mam być pokrajany!

— Albo to młody pan Korczyński nożem po ciele ci pojedzie? — pokrzykiwali sąsiedzi. — Przed nim i upokorzyć się nie wstyd, bo on biedzie w oczy nie pluje, ludziom życzliwy jest i ludzkiej przyjaźni też szukający…

— Bóg mię ubij na ciele i duszy — za głowę chwytając się wyrzekał Fabian — jeżeli spodziewałem się, że taki los na mnie padnie i że na starość przemienię się w Joba o zmiłowanie proszącego…

A Apostoł, suche ramiona w grubych rękawach kapoty ku sufitowi wznosząc, żałośliwie upominał:

— Nie będą synowie pokutować i mrzeć za ojców, ale każdy w swoim grzechu i w swojej pokucie umrze!

Tak nie po weselnemu trochę starsi w świetlicy gwarzyli, ale młodzieży napełniającej ogród i drogę nie do strapień i smętnych rozmyślań dziś było. Wieczór zbliżał się, nadchodziła pora rozpoczynania tańców, a naprawdę już nawet i nadeszła, bo rzeźwy chłodek wieczoru muskać zaczynał twarze rozgorzałe od jedzenia, rozmów i chichotów, ale zwlekało się to jakoś dla

przyczyn różnych. Naprzód, państwo młodzi z asystą długo za obiadem przesiedzieli, bo u początku jego swat Starzyński wdał się był w długą orację, co słów kilka, niby grzmotem, śmiechem przerywaną, a u końca Apostoł wypowiadał bardzo budujące i nabożne modlitwy i upomnienia; potem muzykantów zawołano do stołu, a teraz, kiedy i muzykanci już podjedli, pierwszy drużbant znowu, niezadowolony widocznie i kwaśny, po drodze przechadzał się lub pośród niej stawał, ciągle jakby kogoś oczekując i wypatrując, a z nikim oprócz Domuntów prawie i mówić nie chcąc. Z Domuntami widać i dawniej znał się, ale teraz to już przyjaźń z nimi zawierał i przed nowymi przyjaciółmi popisywał się też widocznie, bo i swego czarnego źrebca, ze stajni go wyprowadziwszy, ze wszystkich stron im prezentował, i złoty zegarek co kilka minut z kieszeni kamizelki wyjmując, niby która godzina patrzał, i na koniec nogę w błyszczącym bucie daleko naprzód wysunąwszy podjętym z ziemi drewienkiem począł w zębach dłubać, zupełnie tak jak najpierwsze arystokraty po jedzeniu czynić są zwykli. Jakkolwiek wzrost miał dobry i nieskąpo mierzone bary, przy ogromnych Domuntach prawie mały wyglądał, przenosząc ich w zamian o wiele śmiałością i elegancją. Przyłączyło się ku nim wkrótce kilku bojaźni nieznających Obuchowiczów, podszedł w swym kanarkowym ubraniu i z ręką na kłębie opartą Michał Bohatyrowicz, z wąsami w górę zbliżyli się Łozowiccy, a z nimi razem stanął Staniewski o wysokim czole, i tak może we dwunastu utworzyli pośród drogi wyborową niby gromadę, odgłosami żywej rozmowy w ciche powietrze bijącą.

Za nimi, tuż przy drodze, synowie Fabiana: rudawy i chmurny Adam, rudy, pleczysty i wiecznie śmiejący się Julek, śród tłoku innej młodzieży męskiej i dziewcząt na oścież i szeroko otwierali salę do tańca. Mieściła się ona w stojącym tuż przy drodze u krańca ogrodu gumnie. Stuknęły, skrzypnęły, na oścież rozwarły się wrota gumna, z ciemnej głębi jego wybuchnęła na ogród i drogę mocna woń napełniającego zasieki zboża. Na grube słupy rozdzielające zasieki z tokiem do młócki przeznaczonym młodsi synowie Fabiana wdrapywali się jak wiewiórki zawieszając na nich dobrze oszklone i ściśle zamknięte latarnie. W głębi toku zasiedli muzykanci, instrumentów swych z przeciągłymi piskami i huczeniami próbujący; z boku pomiędzy słupami wąskie ławki obsiadywać zaczęły podstarzałe kobiety; środkiem przechadzały się pod ręce się trzymając drobne i nieśmiałe, jeszcze wszystkim tu obce Siemaszczanki, na których pomimo delikatności kształtów i rysów znać było ubóstwo i pracę. Zresztą, wszyscy jeszcze na otwartym powietrzu stali, gdy z pola na drogę skręciły i ku zgromadzeniu dość szybko dążyć zaczęły dwie postacie: konia i kobiety. Koń był duży, utrzymany dobrze, ale mocno na jedną nogę kulejący, kobieta do szybszego chodu napędzała go wielką gałęzią.

— Jezu! — w gromadce u wrót gumna stojącej ozwały się kobiece głosy. — Toż to Jadwiśka! Czy ona rozumu pozbyła się, aby w dzień weselny tak pokazywać się ludziom?

Wysoka, pleczysta, bosa, w krótkiej samodziałowej spódnicy i różowym kaftanie, jeszcze na żniwa sprawionym, z roczochraną kosą na plecach, Domuntówna kulawego konia gałęzią popędzała i mijała świątecznie ustrojone gromadki o nic nie dbając. Na kilka pozdrowień i zapytań przesłanych jej zza płotu i od otwartych wrót gumna, basowym swym głosem i drogą iść nie przestając odpowiedziała, że parobek wczoraj jej najlepszego konia skaleczył, więc go dziś sama do konowała zaprowadziła, a teraz stamtąd wraca. Parobkowi bydlęcia powierzyć nie chciała, bo by je gorzej jeszcze zmarnował.

— Nu! Nu! — wołała, gałęzią z lekka po bokach konia uderzając i jednej z gromadek pytanie rzuciła:

— Czy moje bracia z Siemaszek przyjechali?

Pierwszemu drużbantowi zaś ledwie oczy z głowy nie wyskakiwały, tak patrzał w nią. Widział ją już raz przedtem, ale dziś podobała mu się więcej jeszcze niż wtedy. Obu ramionami uderzył się po bokach, palcami zapstrykał.

— Szyk panna! Widać zaraz, że gospodynia zawołana i cenę dobrego zwierzęcia zna! Ot, gdybym tego konia z bliskości mógł obejrzeć, zaraz bym mu co poradził od wszelkiego konowała lepiej!

Widać było, że aż trząsł się i do panny, i do konia, że bose nogi, rozczochrana kosa i samodziałowa spódnica panny wcale jej w oczach jego ujmy nie czyniły, szacunek, owszem, i szczęśliwą ufność w przymioty jej budząc. Z bliskości jednak ani na nią, ani na jej skaleczonego konia popatrzeć nie mógł, bo z drogi na węższą ścieżkę, krócej do jej zagrody wiodącą, skręciła. Ktoś z dala ku niej zawołał pytając: czy na tańce przyjdzie? Odkrzyknęła, że może komu tańce w głowie, ale jej bynajmniej, bo chorego konia dopatrzyć trzeba i przy dziaduniu siedzieć. Z podniesioną głową i wytężonym słuchem Jaśmont odpowiedzi jej wysłuchał, po czym jedną rękę kładąc na ramieniu jednego Domunta, a drugą na drugiego, coś do nich poszeptał, a oni zaraz biegiem puścili się za stryjeczną, i z dala widać było, jak przyjacielsko z dziewczyną za ręce się ściskali, coś jej prawili, o coś prosili, a ona opierała się, przecząco głową trzęsła, na koniec znowu ścisnąwszy się z braćmi za ręce, kulawego konia dalej popędziła. Domuntowie zaś z odkrytymi czuprynami biegiem ku Jaśmontowi wracali, czapkami machając i z dala wołając:

— Przyjdzie! A jakże! Ma się rozumieć, że przyjdzie! Nie chciała, mówiła, że dziadunia pilnować musi, ale braci posłuchać musiała i obiecała, że przyjdzie!

Usłyszawszy to Kazimierz Jaśmont wielką, różową, piegowatą twarz ukontentowaniem rozpromienił i naprzód na złoty zegarek spojrzał, a potem z kieszeni tużurka skórzaną papierośnicę wydobywszy stryjecznych Jadwigi papierosami częstował.

W tej samej prawie chwili, z innej już strony, bo od korczyńskiego dworu, nadchodziły dwie kobiety; jedna bardzo wysoka, w czarnej mantyli,

z wysokim grzebieniem nad włosami, druga znacznie niższa, w białej sukni z różową opaską. Witold, który sporej i zaciekawionej gromadce młodzieży z ożywieniem prawił o użyźnianiu ziemi pastwisk pozbawionej przez uprawę łubinu, spostrzegłszy nadchodzące kobiety rzucił się ku nim i obie w ręce ucałował. Po chwili zjawiła się i Fabianowa, którą dziewczęta z wielkim krzykiem z gumna wywołały, i menuetowe swe dygi, już o Giecołdach wspominając, przed panną Martą Korczyńską wykonywała. Działo się to pod samą ścianą gumna, lasem chwastów obrosłą, ku której ze strony przeciwnej od Anzelmowej zagrody posuwała się hałaśliwa i pełna śmiechów gromadka. Była tam panna młoda ślubną swoją suknią jaśniejąca i z pomocą męża jako też kilku dziewcząt i chłopców gwałtem na wesele swe przywodząca sąsiada Anzelma. Nie miał przyjść wcale; nie mógł dobrowolnie wmieszać się w gwary, w hałasy, w tłumliwe gadania; zamknął się był nawet w swoim przeciwku, ale go tam szarańcza weselna opadła pod przewodnictwem panny młodej, która pierwsza przez otwarte okno do wnętrza przeciwka wskoczyła. Dopóty go hrabią, mrukiem, gardzicielem i tetrykiem przezywali, dopóty prosili i piekielnie nad samymi uszami hałasowali, aż zgodził się pójść z nimi na godzinkę, na jedną godzinkę, byle państwu młodym tej ubligi nie czynić, że bliski krewny i najbliższy sąsiad weselnymi godami ich wzgardził. Tyle tylko uprosił sobie, że pozwolili mu nowe buty wdziać i czarnym krawatem kołnierz codziennej koszuli obwiązać. Teraz już nie opierał się, tylko wielkiej baraniej czapki co moment przed znajomymi uchylając, ze zmąconym wzrokiem i cierpiącym uśmiechem szedł tam, dokąd go Elżusia z jednej strony, a Franuś z drugiej pod ramiona wiedli. Wtem gwałtownym prawie ruchem ramiona swe uwolnił i ściślej jeszcze otulając się kapotą, z oczami w jeden punkt wlepionymi, ku ścianie gumna cofać się zaczął, aż plecami się oparł o nią, po kolana prawie w wysokich chwastach stając. Zobaczył Martę, która zobaczyła go także i kilka jeszcze szerokich kroków uczyniwszy stanęła. W czarnej spódnicy i mantyli, z liliową kokardą u szyi, trochę przygarbiona, jak ciężki słup, z podaną naprzód małą, żółtą, pomarszczoną twarzą przed nim stanęła. Rozswawolona gromadka z panną młodą na czele swego dokazawszy pierzchnęła w strony różne; oni przez całą minutę na siebie patrzali. Anzelm z wolna czapkę nad głową podnosząc przyciszonym i bardzo zająkliwym głosem zaczął:

— Kopa lat… ko… ko… pa… lat…

A ona także zaczęła:

— Góra z górą… góra z górą…

I wyciągnęła ku niemu swoją dużą, ciemną rękę, którą on powolnym ruchem ujął i w obu dłoniach zatrzymał. Znowu milcząc na siebie patrzali; jej broda i dolna warga trząść się zaczęły, on głową z wolna kołysał:

— Dwadzieścia trzy lata… dwadzieścia trzy lata… — mówiła.

A on, w skupionej jakby i osłupiałej kontemplacji pogrążony, oczu z niej nie spuszczając zaczął:

— Poranek widział kwitnącą, rumianą, a wieczór…

Urwał, mocniej głową wstrząsnął, kędyś w bok spojrzał. Ona zarumieniła się tak, jak to w czasie poranku bywać musiało, i nagle, jakby otrzeźwiawszy, zaśmiała się:

— A pan Anzelm może myśli, że nie postarzał? Oj, oj! Wieczny śmiech! Nie my jedne starzejemy…

On także wyrwał się z toni wspomnień, w którą go pogrążył widok tej kobiety, rękę jej ze swoich wypuścił i z uśmiechem zażartował:

— Słusznie! A jakże! Starość grubianka, nikogo nie zdobi…

Nie zauważyli, że obstąpiło ich kilku starszych bohatyrowickich gospodarzy, którzy Martę kiedyś znali i ku niej szli z powitaniem. Każdy jej przypominał, jak niegdyś w Korczynie ją często widywał; jeden nad długością upłynionego czasu zastanawiał się, drugi chciał wiedzieć, czy pamięta brata jego, który podówczas kędyś daleko i na zawsze z okolicy wywędrował; trzeci, najstarszy, z cicha coś prawił o swoim synu, o panu Andrzeju Korczyńskim i ruchami głowy na zaniemeński bór ukazywał. Ona wszystkim ściskała ręce, wszystko pamiętała i razem ze wszystkimi głową trzęsła powtarzając:

— Stare czasy! Stare czasy!

A potem przez Fabianową zapraszana do gumna weszła i tam także pośród siedzących na ławie niewiast sporo dawnych i dawno niewidzianych znajomych swoich ujrzała. Rzuciła się ku niej w jasne barwy dnia tego ubrana Starzyńska i wpół z płaczem, wpół ze śmiechem swego pierwszego nieboszczyka przypominać jej zaczęła; podeszła Walentowa i oświadczyła swą dobrą o tym pamięć, że panna Marta niegdyś w onych starych i inszych, wcale inszych niż teraźniejsze czasach, troje jej dzieci czytania i pisania nauczyła; zbliżyła się też i Giecołdowa rekomendując się jako dzierżawczyni sąsiedniego folwarku i papierosami ją traktując; inne wypowiadały zdziwienie, że ją tu widzą… Ona wszystkich powitawszy na ławie pomiędzy nimi zasiadła, dziwiącym się odpowiedając.

— A cóż robić? Moje panie! Co robić? Nie chciało się kurze na wesele, ale musiała…

Koncept ten wywołał ogólną wesołość i poufałość. O! Ona wiedziała, jak z tymi ludźmi mówić i mówić tak lubiła. Siedziała między nimi, o sprawach tyczących się wesela i gospodarstwa rozmawiała, odmłodzona jakby, choć przygarbiona, wesoła jak nigdy, choć trochę zmieszana, wilgotnym wzrokiem po otaczających ją postaciach i twarzach wodząc… Naprzeciw niej Witold, posiadający tu znajomości bez liku, Marynię Kirlankę zaznajamiał z Siemaszczankami, które trzymając się pod ręce nową znajomość z widoczną radością zawiązywały. Młodziutka panienka, w tym samym stroju, w jakim była na wielkim obiedzie w Korczynie, wyglądała zawsze na przedziwnie świeżą różę polną i uszczęśliwiona spoczywającym na niej wzrokiem przyjaciela, jego obecnością ośmielona, serdecznie obie ręce do nowych towarzyszek wyciągała.

Tymczasem na słupach wznoszących się nad tokiem Julek świece w latarniach zapalił; przy tym świetle ukazały się w cieniu zasieki pełne zboża i wąskie pomiędzy nimi uliczki, dokoła zaś gumna wrzało. Słońce za bór już zapadło. W szarej godzinie za rzadkimi ogrodami Niemen tu i ówdzie srebrnie pobłyskiwał. Po ogrodach, trawach, gajach toczyły się męskie i kobiece głosy, pojedynczo, chórem, wstydliwie, to niecierpliwie wołające:

— Panie Jaśmont! Jaśmont! Panie Kazimierzu! Kaziu! Panie Jaśmont! Jaś-mont! Jaś-mont!

Nic już innego prócz tego nazwiska przez kilka minut słychać nie było. Starzyńska w rozpaczy drogą biegła.

— Bo to — wołała — nie wiadomo, czy na pogrzeb czy na wesele ludzie przyjechali. Owszem! Kiedy kto na Jadwiśkę czeka, to niech sobie do niej idzie, ale wprzód, jako drużbantowi przynależy, tańce rozpocznie… Panie Jaśmont! Owszem, gdzież on przepadł? Panie Jaś-mont! Jaś-mont! Jaś-mont!

Nie przepadł, tylko aż dotąd przechadzając się po drodze, ze stryjecznymi Jadwigi rozmawiał i z rozmowy tej widać zadowolonym się uczuł, bo zewsząd wykrzykiwane nazwisko swe usłyszawszy, papieros na ziemię rzucił, nogą go zadeptał i ze Starzyńską u rękawa jego uczepioną w wesołych poskokach do gumna wpadł. Tu bystro wśród obecnych rozejrzawszy się, przed pierwszą drużką — jak to obowiązkiem jego było — stanął i do tańca ją zaprosił, a gdy ona w znak przyzwolenia lekko mu się odkłoniła, ku muzykantom rękę wyciągnął i huknął:

— Zaniewscy! Rznijcie!

Muzyka skoczną polkę zagrała; tańce od godziny już niecierpliwie oczekiwane rozpoczęte zostały. Na toku wirowało par ze dwadzieścia, to jednocześnie, to gdy ścisk zbyt wielki się stawał, po kilka i kilkanaście. Witold w roli drugiego drużbanta naprzód pannę młodą do tańca zaprosił, Elżusia zaś z ukontentowaniem z ławki poskoczyła i rękę na ramieniu mu składając głośno go upominała:

— Bardzo słusznie! Tylko niech pan długo tańczy i dobrze trzęsie, bo ja inaczej nie lubię!

Marynia Kirlanka dostała się jednemu z młodych Siemaszków, a małe Siemaszczanki porwane zostały przez ogromnych Domuntów, co widząc podżyłe niewiasty na ławach chichotać zaczęły i dzielić się uwagą, że Domuntowie z dzbankami po wodę poszli. Zresztą pary zmieniały się i dobierały coraz inaczej. Niektórzy z kawalerów mieli na rękach glansowane lub bawełniane rękawiczki; ci zaś, liczniejsi, którzy ich nie mieli, przed rozpoczęciem tańca chustkami do nosa owijali sobie rękę, w której spoczywać miała ręka ich tancerki; wszyscy po przetańczeniu tancerki swoje ku ławom i stołkom albo przynajmniej ku ścianom przyprowadzali i na podziękowanie składali przed nimi grzeczne ukłony. Nie przesadzały dziewczęta opowiadając, że Kazimierz Jaśmont ładnie tańczy. Istotnie,

tancerz był z niego ochotny i zgrabny, dla tancerek nadzwyczaj dworny, i wszyscy tam prawie poruszali się gibko, raźnie, z wielką na boki współtancerzy uwagą, tancerkami jak piórkami wywijając, a przytupując tak często i gromko, że pod ich stopami tok odzywał się grzmotem. Gadań też, śmiechów, konceptów na ławach i w tłumie, otwarte wrota stodoły zalegającym, było niemało. Raz Adam, który nie tańczył, ale u samych drzwi stojąc spod brwi jak zawsze schmurzonych często ku latarniom wzrokiem rzucał i na wszystko, co działo się w gumnie, pilną uwagę zwracał, wyprostował się i z gniewu zaczerwieniony donośnie krzyknął:

— Bardzo przepraszam, ale kto tam jest taki dureń, że w gumnie papirosa pali?

Pomiędzy niewiastami zrobił się na te słowa ruch wstydliwy i ironiczny. Żółta iskra, która zza rozmiotanych sukien tancerek przed Adamem była błysnęła, zgasła, a z przeciwnej strony rozchichotany głos Starzyńskiej rzucił odpowiedź:

— Dobrze. Bo to pani Giecołdowa papirosa zapaliła…

Na to znowu podniósł się i zagrzmiał chór śmiechów kobiecych i męskich, a niezmieszany bynajmniej Adam wcale nie po cichu zdanie swe o zdarzeniu wypowiadał:

— Bo niechaj baba w gumnie nie smali! Hrabinia!

Kiedy zaś polkę zamienił kontredans tańczony skocznym i przyśpieszonym krokiem, jedni z mężczyzn w balansach szeroko ramiona rozstawiali i na środek toku wybiegając, pilnie przyglądali się swoim nogom, inni zaś, do których pierwszy drużbant należał, zachowywali całą powagę i grację tańcowi temu właściwą, lecz po ukończeniu ostatniej jego figury, jakby kajdany z nóg pozrzucali, w tak siarczystą puścili się galopadę. Nie przerwał jej, lecz tylko nieco ją zmącił przeraźliwy pisk psa, który okrutnie przez kogoś nadeptany wymykał się spośród tłumu i naprzeciw którego, tłum rozpychając, biegł wielki, zwykle powolny Julek i pośpiesznie na ręce go schwycił. W tańcach Julek udziału nie brał. Gdzie mu tam było, leniwemu i gapiowatemu, puszczać się w ścisk i skoki! Stał tylko u drzwi i to na latarnie, to na tańczących patrząc, białe zęby w nieustającym uśmiechu pokazywał, do Sargasa, który u nóg mu się tulił, czasem mrugając, jakby pocieszał go i upewniał, że zaraz to wszystko się skończy, a oni znowu we dwóch na Niemen pójdą. Teraz sporego kundla spod nóg tańczącym wychwyciwszy, bez uśmiechu już, owszem, gęsto obrosłą twarz do jego czarnej szerści żałośnie przytulając, wyszedł z gumna i już nie ukazał się tam więcej.

Tymczasem Władysław czy, jak go tam nazywano, Ładyś Osipowicz, ten, co miał włosy jak krucze skrzydła czarne i u skroni rozpostarte, z ramieniem do objęcia błękitnookiej Cecylki Staniewskiej już przygotowanym, niecierpliwie zawołał:

— Zaniewscy! Do roboty! Polkę grajcie!

Polki tej Justyna już nie tańczyła. Wypadkiem sprowadzonym przez

ruchliwość tłumu znalazła się za ławą i rzędem obsiadujących ją kobiet w znajdującej się pomiędzy zasiekami krótkiej, cienistej uliczce. Na drewnianych słupach wiszące latarnie rzucały tu trochę tylko mętnego światła, z zasieków bił zapach uschłych ziół i kłosów. Justyna głowę ubraną w grona jarzębin o puszystą i wonną ścianę uschłego zboża oparła i w zamyśleniu przed siebie patrzała. Czy zdawała sobie jasno sprawę z przyczyn głębokiego wzruszenia, którym przejmował ją widok tego mrowiącego się przed nią ludu? Zapewne; gdyby przed kilku jeszcze miesiącami znalazła się tutaj, uczułaby się nieznana pośród nieznanych, zmieszana, obojętna, może znudzona. Dlaczegóż teraz serce jej uderzało mocno, prędko, przyjaźnie? Dlaczego?

Boże! Przychodziż czasem chwila, w której z dna duszy ludzkiej podnosi się to, co natura na nim posiała i co czekało tylko promienia, powiewu, aby urość w kwiat, kłos albo strzałę. Promień ten, powiew może nie przybyć i wówczas człowiek kładzie się do mogiły, samym sobą nie stawszy się nigdy. Ku niej one przybyły. Z gorzkiego morza cierpień wynurzyła się wtedy, gdy wśród zbóż i bławatków po raz pierwszy ujrzała ochoczego oracza i jego błękitne oczy utkwione w nią z tajoną, nieśmiałą tkliwością. Przypomniały się jej teraz złote łany, pośród których w upalny dzień lipcowy sierp z jego ręki przyjęła, i szybkie jak błyskawica wspomnienie zaniosło ją z tego tłumu w głębie zaniemeńskiego boru, na Mogiłę, w tej nocnej porze grubym zmrokiem obleczoną. Zdało się jej, że to, co teraz czuła, stamtąd podówczas w sobie przyniosła, że te uczucia, których doznała tam i tu doznawała — to jedno. Wszystko, co w dniach ostatnich usłyszała z płomiennych ust Witolda i co w samotnych godzinach przedumała sama, jednym także strumieniem myśli głowę jej przepływało, i przypominała sobie jasno, wyraźnie przypominała ów sen swój czy owo marzenie, w którym zapaloną lampą świeciła z góry tym domostwom i tym ludziom, a promienie jej lampy nićmi światła ślizgały się po dachach, ścieżkach, płotkach, szerokich polach, o starożytny grobowiec, o dwór korczyński, o leśną mogiłę zaczepiając i wszystkie te ułamki jednej całości jakoby w łańcuch wiążąc. Jakaś niby elektryczna iskra o serce jej uderzyła, na czoło płomień, a w oczy wilgoć rzucając. Wtem tuż przy sobie usłyszała głos przyciszony i nieśmiały, który przemówił:

— Dziesięć lat krócej żyć chciałbym, byle wiedzieć, o czym pani tak zamyśliła się w tym momencie?

Jan Bohatyrowicz nie tańczył dotąd wcale. Do pocztu drużbantów należał; jednak ani wystroił się po weselnemu, ani wesołości najmniejszej nie okazywał. Krótką siermiężkę swoją zielonymi taśmami ozdobioną przywdział, białym krawatem kołnierz cienkiej koszuli przewiązał i wcale nie zdawał się dbać o to, co tam ludzie o jego odzieniu i zasępieniu myśleć lub mówić będą. Wyglądał tak, jakby mu coś potajemnego serce zjadało. Ledwie przywitał się z tym i owym; od początku tańców w kącie przy muzykantach stał z ramionami u piersi skrzyżowanymi i poprzeczną

zmarszczką na czole. Kiedy niekiedy tylko na tańczący tłum spoglądał, kogoś w nim upatrując i wtedy oczy błyskawicami mu połyskiwały; zresztą, pannom, które go kilka razy zaczepiły, oburkliwie i nawet trochę ironicznie odpowiadał, od rówieśników usuwał się jak od ognia; matkę przemocą do tańca go ciągnącą naprzód prosił, aby mu pokój dała, a potem wprost ofuknął. Nikt mu też nie dokuczał ani go nie niepokoił; ludzi było wielu i bez jednego łatwo wszyscy obejść się mogli.

Jednak tu i ówdzie o nim gadano. Podstarzałe kobiety szczególniej w pochmurności jego węszyły jakąś niezwykłą historię. Jadwiśka Domuntówna na wesele nie przychodzi, Janek tak wygląda, jak gdyby wczoraj matkę i ojca pochował… Widać pokłócili się z sobą, a może też wszystko pomiędzy nimi już i rozerwane. Z drugiej strony, co się tam miało rozrywać, kiedy podobno nic, jak się należy, związanym jeszcze nie było? O zaręczynach nikt nie słyszał, tyle tylko, że tam jego stryjaszek i jej dziadunio, jeszcze kiedy przytomniejszym niż teraz był, pomiędzy sobą to małżeństwo układali. Może on i dla inszej przyczyny pokazuje się takim sępem? Może to u nich melancholia i tetryctwo w rodzie? Nieboszczyk jego ojciec taki był zawsze pogrążony w sobie i mrukowaty, stryj na ciężką chandrę w kwiecie lat swoich zapadł, a obaj górnie zawsze myśleli, przez co Jerzy zginął marnie, a Anzelm też niezupełnie po ludzku życie strawił. Może Janek przyrodził się do ojca i stryja? Zawsze wesoły bywał, do tańca i różańca stający, osobliwie też w śpiewaniu prześcigał wszystkich. Ale do pory dzban wodę nosi i na każdego taki moment przyjść musi, w którym prawdziwe jego przyrodzenie na wierzch wyłazi. Przyrodzenie, gdybyś i widłami odpychał, powraca. Widać, że i on taki sam będzie pogrążony w sobie i górnie myślący, jakimi byli jego ojciec i stryj… Przyszła jednak chwila, w której Jan wzrokiem ku uliczce pomiędzy zasiekami rzuciwszy, oczami błysnął, pomiędzy ławą a ścianą przecisnął się, w przyćmionej jej głębi się znalazł i nad głową Justyny nieśmiało, z cicha mówił:

— Pani zapytuje, dla jakiej przyczyny ja markotny jestem i nie tańczę? Przed panią jedną to wypowiem, że podczas[367] takie wątpliwości mnie oblegają, że ni to żywy, ni to umarły chodzę i na dnie Niemna prawie wolałbym leżeć niż z takimi wątpliwościami żyć…

Justyna cichych tych słów słuchała z pochyloną głową i jak najprostsza wiejska dziewczyna ze zbożowej ściany, do której się przycisnęła, długie słomy i kruche źdźbła uschłych ziół wywlekała. Czuła, że głowę jej płomieniem ogarnia wzrok uporczywy i namiętny, i słyszała szept cichszy jeszcze niż przedtem:

— Cudnie te jarzębiny czarne włoski pani ubierają… i sukienka ta sama, która była podtenczas, jak spólnie jeździliśmy na Mogiłę…

Chwilę milczał, a potem poprosił:

— Żebym ja mógł jedną gałązkę tej jarzębiny dostać… zdaje się, że już i przez to szczęśliwy byłbym!

Szybkim ruchem pąsowe grono od białego stanika odpięła i podając mu

je głowę podniosła. Kilka sekund patrzali na siebie, oboje spłonieni i prawie drżący… Potem on gestem namiętnej radości włosy z czoła odrzuciwszy gałązkę jarzębiny u guzika siermiężki umieścił.

Wtem u wrót gumna zrobił się ruch niezwykły: rozstępowano się tam przed kimś, kogoś witano. Muzyka grać przestała; Kazimierz Jaśmont w posuwistych poskokach ku wrotom pobiegł; za nim skoczyli Domuntowie i kilka dziewcząt pośpieszyło. Na salę tańców weszła Domuntówna, ale Domuntówna w metamorfozie. Kto ją przedtem bosą, rozczochraną i kulawego konia pędzącą widział, z trudnością teraz poznawał. Suknię miała amarantową, obfitymi draperiami obwieszoną, a z tyłu w ogromną turniurę[368] zaopatrzoną. Było to arcydzieło krawca z najbliższego miasteczka, w którym też zapewne kupiła wielkie liście z pozłacanego papieru, przystrajające jej wysoko spiętrzone i od pomady świecące włosy. Na rękach miała białe rękawiczki, w ręku papierowy wachlarz malowany, a od całej jej osoby biły błyski złoto i srebro udających szpilek, kolczyków, bransolet. Szła wyprostowana, bardzo na twarzy czerwona, śmiała, lecz ponura. Dziadunio w śnieżnej kapocie we wrotach gumna przez Witolda i kilku innych ludzi otoczony i zatrzymany został, a ona zaledwie parę kroków na toku uczyniła, spostrzegła dwie osoby; pannę i kawalera z cienistej pomiędzy zasiekami uliczki wychylających się pod światło latarni. Stali bardzo blisko siebie: panna jarzębiny na głowie miała, a kawaler w pętlicy ubrania. Widok ten niby pięścią w pierś jej uderzył; wydęła usta, a pod sobolowymi brwiami szafir jej oczu roziskrzył się i naokół gniewne błyskawice cisnął. We wrotach rozlegały się wesołe śmiechy. Dziadunio uporczywie Witolda Korczyńskiego za ojca jego, Benedykta, poczytywał, a o dziadku, Stanisławie, mówił jak o obecnie żyjącym dziedzicu Korczyna. Że pradziad Dominik już nie żył, o tym pamiętał, a wywijając w górze zeschłym palcem, z łuną radości na wyłysiałym czole wspominał:

— Dobry był z pana Dominika kompan… O! Dobry… pamiętam… jakeśmy razem w trzydziestym i pierwszym roku…

Witold go u ściany na stołku sadzał i sam przy nim siadając, chciwie o stare historie prosił. Z drugiej strony szczupłą postać staruszka, klęcząc w trawach, obejmowała Marynia Kirlanka, a kilku stojących obok młodych ludzi rozważało, co też tak ciekawego być może w gadaniu człowieka, który jeżeli nie cały rozum, to przynajmniej dobrą jego połowę postradał.

— Żeby tylko ktokolwiek Pacenki nie wspomniał, bo zaraz sfiksuje… — z cicha mówili.

A w gumnie ukazanie się Jadwigi wywołało różne wrażenia. Niektóre z kobiet usta pootwierały dziwiąc się jej strojowi. Aż w oczach miga, tak się bogato wystroiła. Wiadomo! Aktorka! Wśród męskiej młodzieży powstały ciche chichoty.

— Żeby Julkowego Sargasa z tyłu jej na tej poduszcze położyć, toby się zmieścił!

— Złotnych liści we włosy nakładła i myśli, że pięknie. A to czysta

trumna, galonami przyozdobiona!

Ale dziewczęta wcale inaczej o stroju aktorki myślały. Najwięcej je uderzał i zachwycał wachlarz. Małe Siemaszczanki, trzymając się pod ręce, dokoła wspaniałej panny krążyły przeciągłe okrzyki wydając.

— Jezu! Otóż śliczne róże na tym wachlarzu! A te złotne liście zupełnie takie, jak w Łunnie[369] u matki Boskiej na ołtarzu…

Jadwigę te oględziny i dziwowania się niecierpliwiły. Wcale nie dla tych sroczek mordowała się nad strojem przez dwie godziny, a ten, dla kogo to czyniła, stał tam ciągle przy tej… w jarzębinach! Rozgniewanym wzrokiem na sukienki w błękitne i białe paski rzuciła.

— Dziwowało ciało, czego nie widziało! — sarknęła. — Proszę mnie pozwolić przejść, bo z moimi braćmi przywitać się muszę…

Razem z braćmi, którzy ją otoczyli, stanął przy niej Kazimierz Jaśmont, a że już raz gdzieściś u znajomych widzieli się i rozmawiali z sobą, tedy śmiele przemawiać do niej zaczął. Od braci już słyszała i z czułych wejrzeń, które rzucał na nią, miarkować mogła, o czym on zamyśla. Więc szybko wzrokiem ku Janowi rzuciwszy rozweseliła się nagle i dla Jaśmonta uprzejma się stała. Kiedy tak, to tak! Niechże widzi, że i ją Bóg i ludzie jeszcze nie opuścili! Bardzo układnie i dobranymi wyrazami mówić zaczęła, że smętnie jest, iż lato kończy się, a zaczyna się zima, bo choć letnią porą roboty dużo, ale też i przyjemności więcej, a zimową porą nadmiar ją smętek jakiś opada… Na co Jaśmont poważnie odpowiedział, jako wszystkie czasy mają swój czas, a w dekretach boskich tak zapisano, aby była pora urodzenia i pora umarcia, pora cieszenia się i pora smęcenia; potem z nagła ją zapytał, czy da wiarę, że ona jemu aż trzy razy śniła się w tym tygodniu. Jadwiga o tym wątpiła, bo gdyby z panem Jaśmontem dobrze znajomą była, to co innego, ale trudno kogoś śnić tak mało znając. Jaśmont wtedy cicho szepnął:

— Co kto miłuje, to i we śnie czuje… A co się tyczy małej znajomości, to bynajmniej! Bo ja panny Jadwigi wszystkie skrytości wiem i w serduszku pani jak w otwartej książce czytam…

Zaczął jej znowu coś z cicha mówić, a oczami rzucał w stronę, gdzie stał Janek; ona zaś zaczerwieniła się jeszcze mocniej, zaśmiała się głośno i głośno też odpowiedziała.

— Niech pan będzie upewniony, że ja o tę osobę tak dbam, jak pies o piątą nogę.

Wtedy już i z braćmi, i z niektórymi dziewczętami w głośną rozmowę się wdała, i tylko bacznie na nią patrząc odkryć było można, że wrzała wewnątrz i że zanosząc się czasem od śmiechu, końcem wachlarza to jedną, to drugą powiekę przyciskała, oczy zaś jej tak błyszczały, że Jaśmont je porównał do brylantów ognie sypiących, i naprawdę zapatrzył się w nie z upodobaniem szczerym i wielkim. Tańczyć nie chciała i długo opierała się namowom braci i konkurenta; jednak rozmyśliła się i przyrzekła, że raz zatańczy, ale chyba krakowiaka, więcej nic, jednego tylko krakowiaka.

Wprzódy jednak zobaczy, co dziadunio robi i czy mu czego nie potrzeba. Wyszła przed wrota, a Jaśmont Witolda za ramię pochwyciwszy do ucha mu szeptał:

— Niech pan będzie taki łaskaw i z panną Domuntówną w drugiej parze do krakowiaka stanie, bo ja z pierwszą panną drużką w pierwszej parze muszę…

Potem wpadł do gumna i zakręcił się na toku wołając:

— Niechaj do tańca grają, już się nogi zwijają! Krakowiaka, Zaniewscy!

Zaniewscy po półgodzinnym odpoczynku na całe gumno zahuczeli raźnym krakowiakiem, ale tańczyć go nie zaraz zaczęto, bo nie wszyscy taniec ten umieli, więc pary dobierały się z niejaką trudnością. Na koniec dobrało się ich dwanaście, z pierwszym drużbantem na czele, który wolałby z Domuntówną, ale przez uszanowanie dla zwyczaju i osoby z pierwszą drużką przodem wybiegł, a wszyscy za nimi w poskokach biegli, głośne hołubce wybijając i zgrabnie, gibko wyginając się w strony obie.

Justyna niczym szczególnym nie wyróżniała się z grona tancerek. Nie była piękniejsza od kruczowłosej Osipowiczówny ani od Antolki i Siemaszczanek zgrabniejsza, ale miała w tańcu większą od tamtych powagę i grację. Więc lekko na ramieniu tancerza zawieszona, z półuśmiechem na pąsowych ustach, jak łabędź płynęła przodem korowodu, a widzowie dokoła stojący i siedzący patrząc na nią głowami kiwali i szeptali, że z tak piękną panną miło by było tańczyć aż do końca świata. Ale najuporczywiej i coraz ogniściej znad rzędu kornetów i czepków ścigał ją wzrokiem Janek, coraz rozkoszniej uśmiechać się zaczynał i niecierpliwą stopą parę razy o tok uderzył, aż do kieszeni siermiężki sięgnął, bawełniane rękawiczki pośpiesznie na ręce włożył i przez obsiadujące ławę niewiasty przeskoczył. Na ławie powstał krzyk i pisk; łokciem jego, a uchowaj Boże! I nogą może zaczepiony czepek Giecołdowej na ucho jej się zsunął, co dzierżawczynię bardzo rozgniewało, a u jej sąsiadek wywołało głośne współubolewania i tajemne szepty. Ale on na zostawiane za sobą miny i gniewy wcale się nie oglądając, parze tańcowi przodującej drogę zabiegł, rozgłośnie w dłonie uderzył i na całe gumno zawołał:

— Klaskanego!

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza, więc tanczerze natychmiast w tył się cofać zaczęli i obejmować panny za nimi się znajdujące, a tancerka z pierwszej pary, jak ptak lekki i szczęśliwy, ze wzniesionymi ku niemu oczami, na ramię Jana spłynęła. On po raz pierwszy kibić jej obejmując, ukropem na twarzy się oblał i wzrokiem w górę rzucił, lecz potem, jakby radością i dumą szalony, z głośnym hołubcem nad ziemię się porwał i z ramieniem nieco podniesionym w górę, a twarzą ku twarzy tancerki schyloną, szumnie i dumnie dokoła toku taneczny korowód prowadził.

— Owszem! Przecież pięty do tańca poruszył! — zawołała w tłumie Starzyńska.

On zaś w tym miejscu, gdzie muzykanci siedzieli, stanął, przez co też

wszystkie pary zatrzymać się musiały, i swoim pięknym głosem nie tylko na całe gumno, ale na ogród, drogę i szerokie pole zaśpiewał:

Świeci księżyc, świeci
Około północy,
Ciebie przestać kochać
Nie jest w mojej mocy!

Ten przyśpiewek po prostu zachwycił wszystkich, szczególniej kobiety. Aż w dłonie uderzały i chichotały z uwielbienia. Póki dął się, to dął się, ale jak przestał, to już go nikt nie prześcignie, nawet pan Jaśmont, który ślicznie tańczy i jeszcze śliczniej mówi, ale do śpiewania to już bynajmniej niezdatny. Ale pierwszy drużbant, czy to ambicją powodowany, czy dla rozweselenia Jadwigi, która nadęta i jak nieżywa poruszała się przy nim, na tym polu także popisać się spróbował. Po kilku zwrotach tańca z kolei jak wryty stanął i bardzo cienkim dyszkantem, niezupełnie na nutę krakowiaka, zaśpiewał:

Powierzchowność często myli
Szczególniej kobiety,
Chociaż oczko łzą umili,
Lecz serce, niestety!

I niepotrzebnie z Jankiem w zapasy wchodził, bo pokazało się, że wcale z czym popisywać się nie miał, i przyśpiewek niestosowny wynalazłszy, i w słuchaczach obudziwszy nawet zdziwienie: jakim sposobem taki duży mężczyzna mógł taki cienki głos z siebie dobywać? W zamian kruczowłosy Osipowicz z błękitnooką Cecylką Staniewską, jakby umyślnie przed matką jej stanąwszy, prawie tak pięknie, jak Janek, zaśpiewał:

Koło domu steczka,
Chowaj, matko, pieska:
Masz córeczkę ładną,
To ci ją ukradną!

I ogromny Domunt, znowu z malutką Siemaszczanką, jak z dzbankiem po wodę idący, więcej gromko niż melodyjnie huknął:

Za rzeką, za Niemnem,
Kukaweczka kuka,
Mam tego za dudka,
Kto posażnej szuka!

Ale krakowiak już się kończył i inni, choćby chcieli, do śpiewania nie

mieli czasu. A tylko Janek jeszcze, jak do przyśpiewków hasło dał, tak je i zakończył, nie w porę nawet, bo przed samym końcem tańca, krótko, lecz dobitnie wyśpiewując:

Najpierwsze kochanie
Kiedy serce chwyci,
Radością i smętkiem
Dosyć je nasyci!

Po czym zaraz tancerkę swoją jak piórko dokoła siebie okręcił i na jedno kolano przed nią przypadając, rękę jej do ust przycisnął. I w tym jeszcze starszy drużbant chciał go naśladować, ale nie mógł, bo Jadwiga gwałtownie ręce mu swe odebrała i nie czekając, aby ją, jak to czynili wszyscy, ku siedzeniu jakiemu odprowadził, ze wzdętą piersią i roziskrzonymi oczami, ponura i groźna, plecami odwróciła się do niego i z gumna wyszła. Wychodząc niby burza, oddychała głośno, łokciami i piersią ludzi roztrącała, a wzrokiem ścigała wychodzącą też na otwarte powietrze parę. Ścigała ją wzrokiem i dobrze widziała, jak w jarzębiny ubrana głowa panny w szczęśliwym niby zapomnieniu pochylała się ku ramieniu kawalera, który z jarzębiną u szarej siermiężki a twarzą w płomieniach, wciąż coś do niej mówił…

Muzyka grać przestała, młodzież zmęczona i zarazem rozhulana rozsypała się pod odkrytym niebem, na którym gwiazdy przygasać zaczynały przed wschodzącym u dalekiego skrętu rzeki, jakby z jej toni wyłaniającym się ogromnym, jaskrawym księżycem. Część młodzieży z zapalonymi papierosami wyszła na pole, ale więcej było takich, którzy wyrzekając się przyjemności palenia, w bliskości gumna pozostali, pojedynczymi parami rozpraszając się po ogrodzie, zielonej uliczce i śliwowym gaju. Gwar przycichł, rozmowy stały się cichsze, gdzieniegdzie zupełnie ciche; pod blednącymi gwiazdami skrzydło Erosa[370], wonią miry i mirtu napojone, łagodnie muskało te głowy tańcem i śpiewem rozgrzane. Pod ścianą gumna na stosie belek i po kolana w chwastach siedząca para szeptała.

— Jak Boga kocham — szeptał mężczyzna — stryj i brat nadaremnie lękają się i młodymi twymi latami mnie od szczęścia odgradzają. Czy ja zwierz jestem albo barbarzyniec, abym pracą nad siły kochanej kobiety zdrowie nadweręzał? Toż i u brata rączek na krzyż nie składasz, a w mężowskim domu więcej pracować ci nie przyjdzie, na to przysięgam! Służącą wezmę, sam sobie ręce mozołami okryję, a Antolka przy mnie zbytecznych męczarni nie dozna… Czy Antolka temu wierzy i moją stronę trzyma? czy też mam, nieszczęśliwy, długo jeszcze sierotą żyć na tym świecie?

Szept kobiecy odpowiedział:

— Pan Michał wie, że ja od stryja i brata zależę. Oni mnie wyhodowali,

nijakiej krzywdy nigdy nie uczynili, a przeciwnie, zawsze od nich dobroci i przyjaźni doświadczałam… Co oni zechcą, tego i ja zechcę; jak każą, tak ja postąpię…

— Dobrze! Owszem! Jaż Antolki nie namawiam, aby przeciwko stryja i brata sępem stawała[371]… Ale już chciałbym raz się dowiedzieć, już raz chciałbym tą pewność mieć, że Antolka sama jest za mną…

I jeszcze ciszej pytał:

— I czy Antolka czuje kiedy, że miłość w serduszku mruczy i spać, jak potrzeba, nie daje, mój obraz przed oczami stawiąc?

Nie wiadomo, jaka była odpowiedź, ale zapewne pomyślna, bo szept męski śmielszy stał się i nalegający.

— Gołąbek nawet samiczkę w dzióbek bodzie, kochanie jej chcąc pokazać! Czyż mnie tyle nawet nie wolno, co gołębiowi? Jak cudzemu mnie przy Antolce siedzieć wonno, ale głodno!

Pod świrnem zaś świeciła biała suknia, a obok niej wysmukły młodzieniec z cicha przemawiał:

— Tak, moja droga Maryniu, wyjadę stąd pełen szczęścia, że cię znalazłem taką, o jakiej marzyłem; prostą, skromną, pracującą, zdolną zrozumieć i kochać te zadania, które kobieta oświecona i szlachetna dziś pełnić powinna…

— Kiedyż ja, Widziu, tak mało oświecona jestem, tak mało jeszcze wiem i umiem…

— Prawda, że wiele jeszcze uczyć się musisz, ale nie tylko z książek… od życia i od ludzi także, i najwięcej… Ludzi kochaj, ludzi badaj, z ludźmi żyj…

— A jak pojedziesz, czy napiszesz kiedy do mnie? Czy kiedy przyślesz mi jaką książkę?

— Będę pisał, będę ci książki przysyłał i ani przez jeden dzień nie zapomnę o tobie, moja ty najmilsza i najlepsza. A gdy już na zawsze wrócę i w Korczynie zamieszkam, wtedy już nigdy rozstawać się nie będziemy, ale zawsze razem dla naszych drogich idei walczyć i pracować. Czy dobrze, Maryniu? Czy chcesz tego? Dobrze?

U białej sukni dwie splecione ręce gestem zachwycenia wzniosły się w górę.

— O Widziu, Widziu, ty mi niebo na ziemi ukazujesz i czuję sama, wiem, że na nie zapracować, zasłużyć powinnam !

U brzegu śliwowego gaju stała Jadwiga Domuntówna w gronie kilku dziewcząt i chłopców, którzy wkoło niej żartobliwą rozmowę wiedli. Pierwszemu drużbantowi, który na fochy bohdanki swej nie zważając ani na krok jej nie odstępował, zarzucano tam niestałość, bałamuctwa i wyrażano wątpliwość, czy ożeni się kiedykolwiek, skoro dotąd tak wesoło kawalerskiego stanu kosztował. On zaś na Jadwigę spoglądając, bardzo poważnie odpowiadał, że i motyl z grzędy na grzędę przelatuje, nim na jednym kwiatku siędzie, że i nędznemu lżej nie samemu, a cóż dopiero kiedy człowiek ma czym podzielić się z przyjacielem dozgonnym. Potem

kołysząc się w strony obie, niby od niechcenia, cienkim swoim dyszkantem zanucił:

Świat mnie cały przy tobie staniał i tanieje,
Serce me za tobą pójdzie w puste knieje!

Ale ani przymówki, ani przyśpiewki nic nie pomagały. Jadwiga, milcząca i zasępiona, głośno oddychając i z wydętymi ustami, zdawała się być upostaciowaniem chmury pełnej gromów tuż, tuż z niej wypaść mających. Jak nieprzytomna, jak oczarowana, patrzała ciągle w jedną stronę, w tę mianowicie, kędy opodal, plecami do niej zwrócona, na niskim płotku siedziała para ludzi. Rozmowy ich słyszeć nie mogła, ale w zmroku dostrzegła czerwień jarzębin strojących głowę panny... Ta głowa, w krucze warkocze i czerwone jarzębiny ubrana, prześladowała dziś ją jak mara, jak ogień parzący, jak urągliwe senne widowisko!

Tymczasem na niskim płotku obok Justyny siedząc, Jan cicho, ale z zapałem mówił:

— Pani zapytuje, czy doprawdy najpierwsze? Niech jutro zginę, jeżeli do tego czasu prawdziwe kochanie choć raz do serca mojego zajrzało! A czy to może być inaczej? Czy ja hrabia albo arystokrat, aby z kwiatka na kwiatek przelatywać i tylko sobie różne zabawki wymyślać? W naszym wieśniackim życiu do bałamuctwa ani czasu, ani ochoty nie ma. Jak nie przychodziło kochanie, to nie przychodziło, a jak przyszło, to już i nie przejdzie...

— Czasem jednak przechodzi — w zamyśleniu rzekła Justyna.

— U państwa każdą rzecz łatwiej rozwiewają wiatry niżeli u nas, a do tego wiele też i od charakteru zależy. Jaśmont, na przykład, gdyby Jadwiśki i nie dostał, byłoby mu o to bynajmniej, bo dla posagu głównie chce ją wziąść, a stryj Anzelm nie dostawszy tej, której żądał, całe życie w samotności strawił, i stary Jakub rozum postradał, zdrady w kochaniu doznawszy...

— A panna Domuntówna czy teraz takiej zdrady nie doznaje?

Jak oparzony tym zapytaniem, o mało się z płotka nie porwał.

— Ja już odgadłem, że pani mnie te pytania zadaje z przyczyny Jadwiśki.

Spoważniał, głowę podniósł, wprost na siedzącą przy nim kobietę śmiałym wzrokiem patrzał.

— Zakleństw i przysięgań nijakich czynić nie będę, bo gdzie wiary nie ma, tam i przyjaźni prawdziwej być nie może, a tylko to pani z gruntu serca mojego, żadnym ciężkim grzechem nie splamionego, powiem, że pomiędzy mną a Jadwiśką nigdy nic nie było, że nic jej nigdy nie oświadczałem i nie przyrzekałem, a tylko z namowy stryja i przez uwagę na jej poczciwość był bym może ożenił się z nią w czasie, gdyby insze wcale słońce na moim niebie nie błysnęło. To zaś, że ona przylepiła się do mnie jak smoła i ściga mię swoim nadaremnym kochaniem, wybaczyć jej trzeba, bo od dzieciństwa mnie znając przyzwyczaić się mogła i odstać jej trudno...

Jednakowoż spodziewam się, że do upamiętania przyjdzie, a ja przed nią bynajmniej winnym się nie sądzę… Czy pani mnie wierzy? Jak zbawienia duszy słówka tego czekam: czy pani wierzy?

Uczuła, że na jej ręku o płotek opartym spoczęła dłoń gorąca, twardą skórą powleczona, a jednak dziwnie miękka, błagalnym jakby drżeniem zdjęta… Gumno, świron, chata z oświetlonymi oknami zakręciły się jej w oczach, ujrzała naraz wszystkie gwiazdy osypujące wysokie niebo i uczuła wszystką krew zbiegającą jej do serca. Z cicha odpowiedziała:

— Wierzę!

Wtem krzyknęła i oboje na równe nogi zerwali się z płotka. Pomiędzy głowami ich spory kamień, jakąś silną i zręczną ręką rzucony, świsnął, przeleciał i tylko szyję Janka z lekka drasnąwszy, o kilka kroków na zagon buraków upadł. Zewsząd rozległy się okrzyki i zapytania.

— Co to? Kto to? Skąd to? Na co? Za co?

Ale niemało osób widziało, że była to Domuntówna, która prędko schyliwszy się kamień z ziemi była podjęła i ramieniem zamachnąwszy, na rozmawiającą opodal parę go rzuciła. Trzęsła się przy tym tak, jak gdyby ją febra brała. Kogo właściwie ugodzić kamieniem zamyśliła: Jana czy jego pannę, nie wiadomym było, dość że w mgnieniu oka o jej postępku dowiedzieli się wszyscy, a w zielonej uliczce pomiędzy gajem i ogrodem wielka powstała wrzawa. Już i ci, którzy z papierosami na pole byli wyszli, powrócili i o zaszłym zdarzeniu różne podnosili głosy. Najwięcej było takich, którzy je ganili głośno i wyraźnie, żadnych pod tym względem ceremonii nie czyniąc. Już i wprzódy wyróżniający się strój, nadętość i pochmurność panny u wielu przychylność dla niej odjęły; niektórzy też z natury do złośliwych ucinków i żartów skłonnymi byli. Więc poważnie lub z pośmiewiskiem wypowiadane zdania rozlegały się naokół:

— Sama siebie postępkiem takim zeszpeciła!

— Śliczna panna, która ze swoim kochaniem jak dziad z torbą niechcącemu w oczy lezie!

— Wypchała się jak harmata i kamieniami strzela!

— Dobry aniołeczek! Teraz chyba dudek ją do ołtarza zaprowadzi!

— Dziękuję i za dziedzictwo, kiedy od własnej żonki nieprzyrodzoną śmiercią mam umierać!

— Jak koń cygański okryła się blachami i myśli, że ludzi ubijać jej wolno!

Z drugiej przecież strony znaleźli się tacy, którzy się za dziewczyną ujęli. Naprzód Kazimierz Jaśmont, zrazu zdumiony i oszołomiony, do przytomności przyszedłszy, palcami pstryknął i zawołał:

— Szyk panna! Bez złego psa i bez strzelby dom od złodzieja obronić potrafi!

Już tak widać wszystko na dobre sobie tłumaczyć umyślił. A Domuntowie, po stronie swojej dwóch Siemaszków mający, gromko i groźnie krzyknęli:

— Kto o siestrze naszej jedne jeszcze złe słowo wypowie, dowie się, po czemu u nas czupryny targują!

Wojnę miłującym Obuchowiczom w to tylko było grać! Jakkolwiek sami przedtem z Jadwigi drwinkowali, teraz skoczyli ku tym, którzy pierwsi szukali zaczepki; zaś kilku Bohatyrowiczów i Jaśmontów w towarzystwie Zaniewskich i Staniewskich kozłami przy swoim stali, drwinkować nie przestając i oświadczając głośno, że nijakich nakazywaczy się nie lękają ani napominających apostołów nie potrzebują. Na burzę srodze zanosić się zaczynało. Już Obuchowicze ku płotom się zbliżali, w zmroku wypatrując, skąd by najlepszego kołka wyrwać; już w gronie przeciwnym ten i ów pomrukiwał o pogruchotaniu kości i nakarbowaniu pysków, gdy spod gruszy w ogrodzie stojącej rozległ się głos donośny i nalegający:

— Za pozwoleniem wszystkich panów, mnie także słówko w tym zamieszaniu rzucić wolno, bo nie od kogo, tylko ode mnie wszystko poszło. Ja nie wiem, kto wymyślił, że panna Domuntówna przez złość na mnie kamień rzuciła, bo to jest nieprawda. Co do rzucenia, ani słowa — rzuciła, ale nie przez jaką, broń Boże, pomstę albo zły zamiar, tylko dla zabawy, żeby mnie nastraszyć, a później z mojego strachu drwinkować. Mnie się zdaje, że takiego żartu, choć i grubowatego, za grzech śmiertelny poczytywać nie można ani też za niego na złe języki brać, tym więcej, kiedy panna jest zacna i nic jej wcale do zarzucenia nie ma. A jeżeli ja za ten postępek do panny Domuntówny żadnej pretensji nie mam, to i nikt z niej naigrawać się albo na gańbę dekretować[372] jej nie powinien i jeżeli komu jeszcze to do głowy przyjdzie, wtedy ja spólnie z panami Domuntami postaram się to jemu z głowy wybić!

Pod gruszą stojąc, prawie był niewidzialny, ale w głosie jego usłyszeli wszyscy stanowczość i śmiałość. Tedy wielu ramionami wzruszyło i uwierzyło albo udało wiarę w to, że postępek Domuntówny był tylko żartem grubowatej panny. Kiedy tak, to tak. Jeżeli temu, kto ubligi doświadczył, podoba się ją za płochą zabawkę uważać, to dla jakiej przyczyny insi za niego ujmować się mają? Z drugiej strony, Domuntowie z kompanionami także uspokajać się zaczęli, bo postępek Jana podobał się im bardzo i humor poprawił. Ucichli tedy i z pierwszym drużbantem poszli drogą ku zagrodzie Jadwigi wiodącą, u której końca połyskiwała z dala biała kapota jej dziadunia. Zaraz bowiem po dokonaniu postępku z kamieniem, cała trzęsąca się jak w febrze, poszła ona dziadunia swego szukać i znalazła go z drugiej strony gumna na stołku siedzącego i kilku starszymi ludźmi otoczonego. Właśnie tym starszym ludziom, pomiędzy którymi znajdował się ekonom z Osowiec, Jaśmont i dzierżawca Giecołd, historię z dwunastego roku o zmarłym u rodzicielskiego płotu oficerze Franusiu opowiadał, gdy wnuczka ku niemu przypadła i na rękach prawie ze stołka go podniosła.

— Chodźmy do chaty, dziaduniu, chodźmy do swojej chaty! — mówiła. — Dość już my tu pobyli i nabawili się… czas nam we dwoje sobie ostać…

Objęła go ramieniem, tuliła do siebie i sama do niego się przytulając, w zeschłą rękę go całowała, a drogą ku swojej zagrodzie wiodła.

— Chodźmy, dziaduńku, chodźmy do własnej chaty! Rozbiorę dziaduńka, do łóżeczka położę… do spania zakołyszę… mój mileńki, jedynieńki, stareńki dziaduńku!

Im więcej od Fabianowej zagrody oddalała się, tym więcej nad drepczącym w objęciu jej starcem kwiliła, a łzy jak paciorki z oczu jej na jego kapotę i głowę padały.

W zielonej zaś uliczce jedni tylko Obuchowicze z niezadowoleniem jeszcze pomrukiwali, pięknej sposobności powojowania żałując. Jeden z nich nawet przed jednym z Siemaszków się zwierzał, że przeszłej nocy śniło mu się, jakoby gruszki z drzewa rwał, z czego też pewność czerpał, że na tym weselu guzy będą… tymczasem widać, że już na niczym wszystko zejdzie. W zamian zgodę lubiący, jakkolwiek hardowąsi Łozowiccy, a także stateczni Strzałkowscy sobie i inszym pokojowego zakończenia sprawy bardzo winszowali utrzymując, że chamy tylko byle o co za łby się ciągają, w dobrej zaś kompanii hałasy takie, a broń Boże bitwy, wcale są nieprzystojne. Zresztą zaszła okoliczność, która od świeżego zdarzenia uwagę powszechną zupełnie już odwróciła. Z podwórka na uliczkę wybiegł w wielkim pędzie Julek, ze sobą skaczącego i radośnie skomlącego Sargasa mając i na cały głos wołając:

— Na Niemen, na Niemen! Wszystkich państwa proszę na Niemen, bo już czajki[373] i czółna przygotowałem… po całej okolicy zebrawszy i u brzegu postawiwszy… Na Niemen! Proszę na Niemen!

Nigdy prawie nie widywano go takim pędem biegającego i wykrzykującego z takim zapałem, że mu się aż ruda czupryna na wsze strony rozwiewała i oczy iskrzyły się w zmroku jak u kota. Ale bo też zapraszał teraz wszystkich do swego właściwego domu i wzywał do zabawy, wśród której, jak inni w tańcach i śpiewaniu, celować mógł, przewodzić, dyrygować. Razem z nim na Niemen gości zapraszał Sargas, ku wszystkim radośnie się rzucając, skomląc, wyskakując, a co moment pyskiem zwracając się ku rzece i przylatujące od niej wiaterki nozdrzami w siebie wciągając. Dziewczęta pierwsze przyjaźnie odpowiedziały wezwaniu.

— Pływać! Pływać! Ze śpiewaniem pływać! Panie Michale! Panie Władysławie! Panie Zaniewski! Panie Jaśmont! Panie Bohatyrowicz! Na Niemen popłyniem! Ze śpiewaniami popłyniem! Na Niemen! Na Niemen!

Tym kobiecym głosom odpowiadały męskie:

— Jestem! Idę! Biegnę! Do usług! A kto z kim? Panno Kaźmiro! Panno Cecylio! Panno Antonino! Panno Mario!

I mnóstwo znowu imion i nazwisk leciało po trawach zroszonych, po ogołoconych ogrodach i przerzedzonych gajach, a nad wszystkimi wykrzykami i odpowiedziami górowało wołanie:

— Na Niemen! Na Niemen!

Ktoś w wielkim zmieszaniu głosów potężnym basem nucić zaczynał:

Za Niemen tam precz…
Ach, czegóż za Niemen?
Czy błoń tam kwiecistsza…[374]

A ku rzece, której imię mnóstwem ech rozlegało się po ciemnym borze i szerokim polu, z wysokiej góry, w bladym jeszcze świetle księżyca, schodziło i zbiegało par kilkanaście.

Jan szerokimi krokami ogród przebywał, widocznie kogoś szukając i we wszystkich stronach upatrując, gdy na rękawie swojej siermiężki uczuł czyjąś rękę i zaraz mu przed oczami błysnął czarny warkocz czerwonymi jarzębinami przetykany.

— Popłyniem!

— Popłyniem!

— Ale sami… we dwoje… moja droga pani… moja złota! Swoim czółenkiem… własnym, tym samym, które nas do Mogiły zawiozło.

— Dobrze!

Czółno to stało u stóp Anzelmowej zagrody, w gęstwinie oczeretów[375] ukryte, i Jan tylko wiedział, gdzie je znaleźć można. Więc ku Anzelmowej zagrodzie oboje pobiegli, dla pośpiechu płot przeskoczyli w tym samym prawie miejscu, w którym go tak często Elżusia i Antolka przeskakiwały, a po paru minutach byli już pod lipami. Tu w miejscu jednym gałęzie zwieszały się tak nisko, że Justyna, aby pod nimi przebiec, pochylić się musiała. Jan pochylił się także i pod tym ciemnym sklepieniem rękę, która nad zroszoną trawą białą suknię unosiła, pochwycił, do ust poniósł i już jej więcej z dłoni nie wypuścił. Dłoń w dłoni z wysokiej góry ku przybrzeżnym oczeretom biegli i ani zauważyli, że za sobą pozostawiali dwoje ludzi pod lipami na trawie siedzących i tak przyciszoną rozmową zajętych, że na przebiegającą w pobliżu parę ze swej strony także uwagi nie zwrócili.

Byli to Anzelm i Marta. Jakim sposobem i gdzie spotkali się w tłumie po raz drugi? Powiedzieć by to mogły te stare wspomnienia, które ich ku sobie pociągnęły. Ale tłum prędko opuścili i od dawna już oboje znajdowali się w Anzelmowej zagrodzie, której dom, drzewa, ule Marta ciekawie i długo oglądała, jedne chwaląc, drugie krytykując, a kiedy niekiedy dawnemu przyjacielowi z doświadczenia zaczerpniętych rad udzielając. Odkąd ściemniało, siedzieli pod lipami na trawie wspólnie z żółtym Mucykiem, który u nóg swego pana rozciągnięty leżał, i zdawało się im, że wszystko już sobie powiedzieli, co do powiedzenia mieć mogli. Więc zamilkli oboje w postawach jednostajnych, policzki na dłoniach opierając. Po kilku minutach przecież na bladych wargach Anzelma pod siwiejącym wąsem uśmiech drżeć zaczął. Z tym uśmiechem, powolnym sposobem swoim mówił:

— Czy panna Marta pamięta, jak pierwszy raz na zaproszenie panów Korczyńskich do Korczyna przyszedłszy i na panią spojrzawszy, gawronem

z otwartą gębą stanąłem, aż wszyscy śmiać się ze mnie zaczęli?

Ona z cicha zachichotała:

— Czemuż bym pamiętać tego nie miała? Ale dlaczego wtedy pan Anzelm tak skołowaciał?

— Ślicznością figury i ognistością oczów pani zadziwiony i oślepiony zostałem…

— Tak, tak to kiedyś było! — głową z wysokim grzebieniem trzęsąc szepnęła stara panna.

— Tak, tak to było! — potwierdził Anzelm.

Potem ona przemówiła pierwsza:

— A pamięta pan Anzelm, ile to gości zbierało się wtenczas w Korczynie? Jakie to oni plany układali sobie, jakie sprzeczki zawodzili… jakie nadzieje mieli?…

— Jak nieboszczyk pan Andrzej wszystkim przewodził, a nasz Jerzy niejeden raz z narażeniem się poradą i pomocą jemu służył?

— A tak, tak to było! Wieczny smutek! — szepnęła.

— Wieczne odpoczywanie racz im dać, sprawiedliwy Boże! — baranią czapkę nad głowę podnosząc wtórował Anzelm.

Po paru minutach ona przemówiła znowu:

— A pan Anzelm pamięta, że to ja panu karmazynową czapeczkę uszyłam i otoczyłam ją siwym barankiem?

— A pani pamięta, czyja to rączka mnie na pagórku piaszczystym poświęcony medalik na szyi zawieszała?

— Tak, tak to kiedyś było… — powtórzyła.

— Tak, tak to wszystko przeciwne wiatry daleko od nas odniosły…

Wtem umilkli, wyprostowali się, zaczęli patrzeć i słuchać. Przed dwojgiem tych steranych, prawie u kresu życia stojących ludzi, którzy jedyną złotą chwilę swojej przeszłości wspominali, świat oblał się morzem liryzmu roztopionego w promienie i w tony. Księżyc znacznie już podniósł się na niebie, zmalał, przygasł i łagodnym światłem oblewając wysoką górę i bór przeciwległy, oszklił powierzchnię rzeki drobnymi falami pomarszczoną. Pod napowietrzną, bladozłotą lampą księżyca w wodzie jakby zanurzona stała kolumna światła, podstawą zwrócona ku powierzchni rzeki, a ognistą kulą dna jej sięgająca, pełna wewnętrznych drżeń i migotań. W tych zaś światłach marzących i drżących kilka łodzi i czółen sznurem a cicho sunęło po szlaku rzeki, wiosłami szkliste tonie roztrącając i krzesząc w nich złote, przemijające blaski; a znad łodzi i czółen wzbijał się chór głosów, to potężniej, to słabiej, to przeciąglej, to weselej rzucający pod niebo, w głębie boru i na wodę nuty dawne, przez świat zapomniane, w odległej przeszłości drzemiące, a tu zdające się budzić i zmartwychpowstawać. Zdawać się mogło, że kędyś na oścież roztworzyła się jakaś skarbnica pieśni i w tę kotlinę wysokimi ścianami od świata odgrodzoną, na tę szeroką i poważną rzekę wylewała wszystkie tęsknoty, żale, westchnienia minionych lat i pokoleń. Więc naprzód rozległa się

tęskna piosnka o biednym żołnierzu, który idzie borem, lasem, przymierając z głodu czasem. Potem zleciał tu duch Szopena. Skąd, jakimi drogi, na skrzydłach jakiej miłości i pamięci? Zagadka! Dość, że w nutę mistrza ubrane popłynęły słowa:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne,
Nie było, nie było, matko, szczęścia tobie,
Wszystko się zmieniło, a twa dziatwa w grobie!...

I dziewczyna z zapłakanym okiem skarżyła się na kurhanie nad krynicą:

Jak ja mogę być wesołą,
Kiedy zdrój w żałobie?
Jak tu z ziemi podnieść czoło,
Kiedy matka w grobie?

A po zapłakanej dziewczynie zaśpiewał smutny wygnaniec :

Poleć, motylku, poleć tam dalej,
Zaleć, motylku, w me rodzinne strony,
Zanieś westchnienie do ulubionej,
Zanieś mój uśmiech do ulubionej!

Piękna Osipowiczówna, jak smukła topól w świetle księżyca pośrodku łodzi stojąca, zawiodła pierwsza:

Szumiała dąbrowa, wojacy jechali,
Mojego Jasieńka na wojnę wołali.
Siadaj, Jasiu, siadaj, konik osiodłany!
Przy kim mnie porzucisz, mój Jasiu kochany?

A po prześpiewaniu tej pieśni męski już tylko chór zagrzmiał, zahuczał inną skargą, innym a ciężkim, w tony zaklętym postrachem:

Jak to pięknie, jak to ładnie,
Kiedy żołnierz z konia spadnie,
Koledzy nie pożałują,
Jeszcze go końmi stratują!

Jeden woła: Ratuj, ratuj!
Drugi woła: Tratuj, tratuj!
Leci kula armatowa,
Leci kula, leci kula,

Nieszczęśliwa moja głowa

I tak dalej, dalej, pieśń o rozkoszach wojny, niby rotowy ogień, huczała i grzmiała, aż zakończyła się strofą bezbrzeżnej żałości:

Trąba woła: Tra-ta! tra-ta!
Nie ma ojca ani brata!
Ni żadnego przyjaciela
Oprócz Boga Zbawiciela!

Nic na niebie ani na ziemi nie przeszkadzało szerokiemu rozleganiu się pieśni śpiewanych na łodziach i czółnach, nic ich nie mąciło; woda je srebrnie od szklistej powierzchni odbijała, echa podwajały i nieść zdawały się w dal coraz dalszą; lekkie wiatry pogodnej nocy latały po szczytach boru, który czasem szumiał z cicha, jakby w głębinach jego spoczywające duchy wskrzesały i długimi westchnieniami lub cichymi śmiechy niegdyś im znanym, kochanym pieśniom wtórzyły. Na wysokiej górze pod starymi lipami siedząca para ludzi patrzała i słuchała. Oczarował ją oddech przeszłości własnej i niewłasnej; melodia świateł i tonów we dwie kamienne figury zaklęła. To, że byli żywymi ludźmi, poznać można było tylko z ich oczu ścigających szlaki blasków, które za łodziami to powstawały, to znikały; z ruchu ręki Anzelma, machinalnie głaszczącej psa u nóg mu leżącego, i z głośnego, coraz głośniejszego oddechu Marty. Łodzie zaś dosięgły już stojącej pod księżycem kolumny światła i nad zanurzoną w wodzie ognistą jej kulą w chwilowym milczeniu przepływały jedna za drugą, ciemne, ciche, lekkie jak widma. Za kolumną i księżycem, tam gdzie rzeka wspaniałym ruchem za ścianę boru skręcała, samotny głos męski śpiewać zaczął:

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,
   Jak różany kwiat...

— To Janek śpiewa... — rzekł Anzelm.

— Pamięta pan, jakeśmy kiedyś tę piosenkę razem śpiewali?... — zapytała kobieta.

— A ja i nie słyszałem już później takiego ślicznego głosu, jaki był podtenczas u pani...

Zatrząsła głową:

—Tak, tak to było!

Od skrętu rzeki dochodziły słowa:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
   A ja doliną...

Anzelm w polonezową nutę, poważną i tęskną, zasłuchany, z bladym na ustach uśmiechem sam nucić zaczął:

Ty rozkwitniesz różą, ty rozkwitniesz różą,
A ja kaliną!

I Marty usta żółte, zwiędłe otworzyły się także; oboje dalekiej nucie zawtórzyli:

Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,
A ja łozami,
Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,
Ja mymi łzami.

Anzelm ciągnął jeszcze:

Ty będziesz panną, ty będziesz panną
Przy wielkim dworze…

Ale kobieta obok niego siedząca zakrztusiła się, pochyliła głowę, o podniesione kolana oparła i kaszlała… Tedy i on nucenie przerwawszy, ucha ku niej przychylił. Zdało mu się, że nie tylko kaszel dobywał się z jej piersi… Za rękę ją wziął.

— Nie trzeba płakać! — z powagą przemówił — płakaniem śmiechu nie odzyszczesz… ubiegła woda nie wraca… W kwiecie wieku rozłączyliśmy się z sobą, a znów spotkali dziadem i babą. Niedziwno też, że opadły nas przypomnienia i romanse. Ale nie w czas już nam do takich rzeczy, a myśleć trzeba o tych młodszych, którzy jak latoroście przy zwalonych drzewach, przy nas wyrośli. Jedno zachodzi, drugie wschodzi. Może to słońce, które nam smętnie świeciło, dla nich pogodniej zaświeci. Niechże mnie tedy pani z łaski swojej powie: czy ta panna Justyna jest doprawdy taką dobrą i zacną panną, jaką się pokazuje? Czy można spodziewać się, aby do naszego wieśniackiego życia i pracy przy ziemi uzwyczaić się mogła? I czy, broń Boże, mój Janek przez nią nieszczęśliwym nie zostanie? Może i pan Korczyński dać mu jej nie zechce? Może i ona sama w ostatnim momencie od takiego losu uciecze? Może to obowiązkiem moim jest przystojnie, ale z gruntu serca ją poprosić, aby mojego chłopca zawczasu odtrąciła boby on może przez to uleczonym mógł jeszcze zostać?

Kiedy Anzelm mówił, Marta głowę podniosła i potwierdzająco nią kiwała. Kilka razy jeszcze chrząknęła, a potem odparła:

— Prawda! słowo honoru, prawda! Przypomniała sobie babka dziewiczy wieczór! Wieczna głupota! Mężczyzna zawsze od baby mędrszy. Prawda! Co nam już ze śpiewania i płakania przyjdzie! O młodszych pogadajmy…

O tej samej porze w domu Fabiana, którego okna zza gałęzi topoli

pobłyskiwały, wrzało, huczało, gotowało się jak w zamkniętym i na ogniu stojącym kotle. Przed godziną, kiedy młodzież z wysokiej góry ku rzece zbiegała, pośród mnóstwa okrzyków brzmiał jeden, nie najmniej donośny:

— Panie Witoldzie! Panie Korczyński dobrodzieju! Panie Witoldzie dobrodzieju! Prosimy! Pokornie prosimy!

Na koniec z przywoływanym w ogrodzie się spotkawszy Fabian rękę młodzieńca pochwycił i z niskimi ukłonami do wnętrza domu go zapraszał.

— Z przyczyny interesu — mówił — z przyczyny interesu w zabawie panu dobrodziejowi odważam się przeszkodzić... Ale prośbę do pana zanieść umyśliliśmy... my starzy... prośbę do pana...

W głosie jego słychać było wzruszenie, a pomimo że nisko się kłaniał i pokornie prosił, wąsy co moment jeżem mu nad wargami stawały. Witold Siemaszczankom, które trzymając się pod ręce w towarzystwie ogromnego Domunta nadbiegały, Marynię powierzywszy, ochotnie i ciekawie za gospodarzem zagrody poszedł.

W świetlicy pomimo pootwieranych okien gorąco było jak w łaźni; na trzech stołach jeszcze jadłem zastawionych paliło się parę lampek, w których skąpym świetle kipiała mozaika ludzkich kształtów i rysów. Na pierwszy rzut oka rozpoznać tam można było tylko postacie siedzące i stojące, do ściany przyparte, na stołach szeroko łokcie rozkładające, ramionami i wąsami poruszające. Po kilku minutach dopiero z tej zwikłanej mozaiki wyłaniały się i wyosobniały głowy łysiejące, siwiejące, osiwiałe, czoła zarumienione i spotniałe, twarze barwą do rydzów albo do ziemi podobne. Tak jak pośród młodzieży bawiącej się w gumnie i na Niemnie, nikt tu pijany nie był, ale panujący w świetlicy upał i przez dzień cały choć wstrzemięźliwie popijane miód i piwo twarze te oblewały ogniem i potem, w którym z dokładnością mistrzowskiej rzeźby występowały nierówności skór grubych i chropowatych, niezliczone, we wszystkich kierunkach pokrzyżowane, cienkie jak włosy i grube jak palce zmarszczki, bruzdy, wyżłobienia. Było to pokolenie, po którym już długo życie przeciągało swoje pługi i brony, które też pod jego chłodnym strumieniem przygasło, spowolniało, jednak czymś silnie tknięte, jeszcze zapłonąć i wybuchnąć mogło. Zapłonęło też i wybuchnęło przy wejściu Witolda. Mnóstwo rąk wyciągnęło się ku młodzieńcowi, dłoń jego chcąc uścisnąć i mnóstwto głosów razem mówiło:

— My tu pana za pośrzednika i orędownika naszego zaprosili!

— Na sędzię!

— Na jednacza!

— Przez panów do króla, przez świętych do Boga, a przez syna do ojca... — zaczął Fabian.

— Abyś pan nas osądził i na śmierć albo życie zadekretował — przebił go ktoś inny.

— W jednym gnieździe niejednaki ptak się lęgnie; a choć ociec pański pokazuje się krzywdzicielem i gardzicielem naszym, pan nam pokazałeś się

przyjacielem i bratem.

— Z dobrym targ dobry! — huknął ktoś spod ściany.

— To prawda! A jakże! Przed dobrym i upokorzyć się nie wstyd! — prawił Walenty Bohatyrowicz.

A Apostoł żałośliwym głosem inne głosy przenosząc, nabożnie wołał:

— Jezusa przede Bogiem Ojcem, a pana przed srogim sąsiadem za ubłagalnika mamy!

Witold zdziwiony zrazu, spoważniał i spochmurniał. Jednak wybiwszy się z tłumu żwawym ruchem na stole usiadł i z tej wysokości wszystkie ku niemu zwrócone twarze ogarniając, głośno przemówił:

— Jestem! Słucham was! Dziękuję, żeście mię zawołali…

Płomię wystąpiło mu na czoło. Mimo woli rękę w górę podniósł.

— I niech tak w przyszłości swojej doścignę, co ścigam, jak serdecznie was kocham i wszystko dla was uczynić gotów jestem!

Wtedy kilkunastu ich na raz mówić zaczęło, ale Fabian po krótkich usiłowaniach ten chaos głosów uśmierzył i sam sprawę przedstawić podjął się. Była to sprawa dawna, początkiem swoim sięgająca końca młodzieńczych zapałów Benedykta Korczyńskiego, a złożona z mnóstwa drobnych uraz i zajść, jak z mnóstwa atomów składa się gruba chmura. Prawdą było — i Fabian nie zaprzeczał temu — że pan Korczyński niejeden raz słuszność miał za sobą i że niejeden raz od sąsiadów, wszelkimi niedostatkami trapionych, stawać mu się mogły krzywdy i ujmy. Ale na różne choroby są różne sposoby, zaś te, których pan Korczyński używał, po pas w biedę ich wtrącały i wielką gorzkością karmiły. O komarowe sadło każdego przed sądy ciągał, za kłosek snopem, a za snop kopą wynagradzać sobie każąc. A wiele razy chcieli i próbowali zgodnym słowem, dobrowolną umową te sporki zakańczać, nigdy do tego nie dopuszczał. I nie dla tej przyczyny nie dopuszczał, aby w procesach smak znajdował — bo wiedzieli dobrze, że sam jak na krzyżu rozpięty wyglądał, ale dla tej, że nadmiar już chciwym stał się, a najwięcej dla tej, że uboższymi gardził, prawie ich za ludzi nie mając…

Tu Fabian, który dotąd więcej żałosnym niż rozgniewanym głosem przemawiał, rękę na kłębie oparł i wąsy najeżył.

— Niechaj mnie darowanym będzie — zawołał — że przed synem na ojca to wypowiadam… ale w panu dobrodzieju jedyny ratunek obaczywszy, wszystkie skrytości serca otworzyć muszę. Srogi na twarzy jest pan Korczyński i język ma gruby…

— Inaczej jak mruk do człowieka i nie zagada… — przebił ktoś drugi.

Głosy zmieszały się znowu, zawrzały.

— Złymi słowami siecze po duszy, gorzej niżby rózgami po ciele siekł!…

— Jakby go język od dobrego słowa bolał…

— A jednakowoż może być, że przygłaskaniem prędzej by nas zmusił swego dobra strzec niżeli biciem!

Apostoł zza tłumu ramion i głów ciemnymi okularami połyskując wołał:

— Z mułu i błota ziemskiego, rodzaju myśmy ludzkiego!

Fabiana głos znowu przeniósł i przetrwał inne.

— I mrówka ma swój gniew! — pot z czoła i policzków ocierając wołał. — I myśmy się już dla pana Korczyńskiego wszelakiej życzliwości pozbyli. Jakie: „Pomagaj Boże, takie: „Bóg zapłać!” Wytoczyliśmy panu Korczyńskiemu wojnę i słuszności swojej pewność mieliśmy…

Witold, w swobodnej zrazu postawie na stole siedząc i przez to nad otaczającymi go postaciami i głowami górując, teraz uczynił ruch niespokojny czy niecierpliwy.

— Moi drodzy — zawołał — czegóż wy ode mnie chcecie? Co ja na to poradzić mogę? Puście mię stąd.

Ze ściągniętymi brwiami zeskoczyć chciał z wysokiego siedzenia swego, ale otoczono go jeszcze ściślej, a Fabian i za ramię go pochwycił.

— Bóg mię ubij na duszy i ciele, kiedy jednym słóweczkiem obrazić pana zamyślałem! — z przerażeniem wołał.

Inni podnieśli proszące głosy, aby wysłuchał ich i ratował. Pozostał więc, ale ruchliwe rysy jego zmieniły wyraz. Z wesołego i niemal swawolnego młodzieńca, jakim był przed godziną, stał się chmurny, skupiony w sobie, niemal ponury. Słuchał jednak, a raczej z natężeniem wsłuchiwał się to w pojedyncze, przemawiające głosy, to w wybuchające co chwilę gwary. Pokazywano mu jakąś bardzo starą, zżółkłą i prawie spleśniałą mapę, którą Fabian na czyimś strychu w jakiejś spróchniałej skrzyni znalazł, a na której wyraźnie, jak dzień jasno stać miało, że wielki kawał wygonu, het, tam, takimi a takimi granicami objęty, nie do pana Korczyńskiego, ale do bohatyrowickiej okolicy należeć powinien. Ho, ho! Gdyby oni ten wygon kiedyś im widać zrabowany odebrali, dopiero by im życie słodkie nastało, a przy tym pokazaliby sąsiadowi, że podczas i mały komar wielkiego konia do krwi kąsa! Fabianowi o to ostatnie, zdaje się, więcej jeszcze chodziło niż o pierwsze. Sąsiadów do procesu werbował, ale nie zwerbował ich więcej jak dziesięciu. Ci za wszystkich plecy nastawili i pootwierali worki. Inszym łydki ze strachu drżały. Ale właśnie najodważniejsi najubożsi byli. Procesując się w długi leźli. Adwokat — któż mógł wiedzieć, że był to oszust, skoro tak pięknie i rozumnie gadał? — pomyślny skutek zaprzysięgał, przez dwa lata jak krowy ich doił, aż na koniec terminu uchybił, apelacji w porę nie podał i wszystko przepadło. Ale nie koniec na tym; trzeba im jeszcze wielką sumę panu Korczyńskiemu wypłacić i to wprędce, bo już niejeden raz i nie przed jednym człowiekiem oświadczał, że ani godziny zwłoki nie udzieli, ani grosza nie daruje, a egzekucją, gdy tylko czas przyjdzie, bez miłosierdzia cisnąć będzie. Czas zaś jest bliski; najdalej za dwa tygodnie egzekucja nastąpi, a razem z nią już chyba skończenie świata, bo żeby nie wiadomo jak starali się, takich wielkich pieniędzy w dziesięciu nie zbiorą i nigdzie nie znajdą. Więc i w nich teraz strach uderzył; rozpoznali, że zagrzęźli w gąszcz nieprzeniknioną i że nijakiego dla nich ratunku nie ma oprócz upokorzenia

się i prośby o zmiłowanie. Teraz ten i ów z płaczem mówił. Fabian także nie tylko już pot z twarzy ocierał. Znowu w ten sam cienki i żałośliwy ton wpadł, jakim dziś z rana błogosławił do ślubu córkę.

— Bogiem Ojcem świadczę się — wołał — że gorzko mnie jest na starość Łazarzem u bogaczowego progu żebrzącym zostawać! Na swoją biedę może bym oczy zmrużył, ale cudze łzy na sumieniu nosić zbyt ciężko. Cóż mam nieszczęśliwy robić? Gryźć rzemień — darmo! Przyszła potrzeba w pokorę uderzyć i syna rodzonego prosić, aby przed swoim ojcem naszym orędownikiem został…

Tu rozpłakał się już rzewnie, ale wstydził się tej słabości, więc chustką pot i łzy po twarzy rozmazując, przerywanym głosem uniewinniał się:

— Płacz utrapionemu nie grzech… I pies wyje, kiedy smętny…

Apostoł zaś wołał:

— Przyjdzie Chrystus sądzić biednych i bogatych, żywych i umarłych…

Z tłumu wyosobnił się nieco wysoki, chudy, z czarnymi, obwisłymi wąsami Walenty. Na twarzy jego, zoranej i bladej, wyraz jakby długiego męczeństwa mieszał się z nieograniczoną, cichą cierpliwością. Z cicha, spokojnie mówił, że siedmioro dzieci wyhodował, córki wyposażył, dla synów guwernera przez lat kilka wspólnie z sąsiadami najmował, aby choć czytać i pisać umieli. Niełatwoż przyszło z dziesięciomorgowego gruncik u wszystko to wydmuchać! Piersi sobie pracą nadwerężył, że dla ciężkiego oddechu trudno mu już za pługiem chodzić. Było jednak, jak było. Bóg nie opuszczał, a ludzie prawie i nie słyszeli o nim, tak spokojnie w swoim zaciszku siedział *horując* i za wszystko Bogu dziękując. I choć od pana Korczyńskiego, tak samo jak inni, niejeden raz złe słowo usłyszał, zniósł to cierpliwie i milcząc, jak ubogiemu przed wielmożnym przystało. Ale oto na starość zgłupiał. Namówiony, do procesu wlazł. Co teraz nastąpi? — nie wie. Pewno przyjdzie gruncik sprzedać, długi pozapłacać i pod kościół z torbą pójść. Wola boska! Niech i tak będzie! Gdyby jednak pan Korczyński zgodził się poczekać, wypłatę na dłuższy czas rozłożyć, może by jeszcze przy pomocy jednego z zięciów, nie bardzo biednego człowieka, i wyratował się… A żąda tego, bardzo żąda, bo każdemu miło myśleć, że zamknie oczy tam, gdzie je na ten świat otworzył, gdzie też jego dziady i przeddziady…

Nie mógł dokończyć. Łzy toczyły się po spokojnej przecież, niezmącenie cierpliwej jego twarzy, a ręce chude, jak ziemia ciemne, mozolami[376] i dziwnymi jakimiś garbami okryte, zacierał i ściskał tak, że aż stawy w palcach trzeszczały. Witold pochylił się nagle i te biedne, spracowane, zrozpaczone ręce mocno w swoich ścisnął. Ale wnet inni ich rozdzielili, prośby swe przekładając. Niechby pan Korczyński kontentował się tym, że proces wygrał, a tą karą, na którą ich sąd zadekretował, do reszty ich nie zarzynał. Jeżeli zaś tak już nadmiar pieniędzy tych pożąda, to niech przynajmniej folgę jaką da, czasu popuści, żeby i swoje odebrać, i ludzi nie pomarnować! Ktoś ze zniechęceniem ręką rzucił:

— Daremne gadanie! Pan Korczyński tego nie uczyni. A co jego nasza pomyślność czy nasze zmarnowanie się obchodzi?

— Owszem! Barania śmierć, wilcza stypa! — z goryczą zaśmiał się ktoś u ściany stojący.

— Trzy rzeczy są na świecie najgorsze — z grzmotowym śmiechem wtrącił się Starzyński — wesz za kołnierzem, wilk w oborze i chciwy sąsiad za miedzą!

— Królowa Saba przed Salomonem przepowiadała, że szatan, zaraziciel dusz ludzkich, królestwo łakomstwa na ten świat sprowadzi! — żałośliwie wołał Apostoł.

Teraz jednak Strzałkowski, ów poważny człowiek w samodziałowej siermiędze i z myślącą twarzą, za stołem siedząc, powoli, z zastanowieniem, ale dobitnie mówić zaczął:

— Do mnie ani do mojej oklicy ten interes wcale nie należy, ale tak samo, jak Bohatyrowicze, w bliskim sąsiedztwie pana Korczyńskiego mieszkając, niejeden raz parzyłem się przy tym samym ogniu i sadzę od niego padającą na sobie niosłem. Jednakże ja tak mówię: żeby pan Korczyński po ludzku i po bratersku z nami żył i postępował, może by i sam na takiej kalkulacji lepiej wychodził, może by z tego i spólna korzyść wynikała. Bo ja tak mówię: u pana Korczyńskiego dużo ziemi, a u nas dużo rąk; u pana Korczyńskiego większy rozum, a u nas większa siła. Jednego on z nami rzemiosła człowiek i tyle tylko, że u niego warsztat wielki, a u nas maleńkie. Więc ja tak mówię: nijak być nie może, aby ręce nie przydały się ziemi, a ziemia rękom, albo żeby rozum nie potrzebował siły, a znów siła rozumu; albo też aby jednego rzemiosła ludziom nigdy już wcale nie przychodziło spólnie pogadać, i pomyśleć, i poratować się w potrzebie. Tedy ja tak mówię…

Ale nie pozwolono mu dokończyć. Słowa poważnego sąsiada, jakkolwiek do najmniej zamożnych należącego — co i po ubraniu jego poznać można było — nie tylko podobały się zgromadzonym, ale gdy byli już aż do płaczu rozżaleni i na sercu upadli, obudziły w nich znowu ambicję i wiarę w siebie.

— A pewno! A jakże! A tak jest! — ze wszech stron wołano. — Nie zawsze umierać, kiedy tłuką falą! I my, chwała Bogu, żyjem, choć nas wszelakie biedy i niedostatki gniotą. Z umarłego tylko nijakiej już korzyści osiągnąć nie można, a u żywego trzeba jej tylko poszukać. Raz pan Korczyński na całe pole i przed gromadą ludzi od próżniaków i hultajów nas łajał, kiedy w gorący czas robotnika znaleźć nie mógł, a my w najem do niego iść nie zechcieli. Pewno! Naturalnie! A jakże! Cudzemu, a do tego i gardzicielowi, ciał naszych i dzieci naszych ani na jeden dzień w niewolę nie zaprzedamy i na pańskie ubligi albo, broń Boże, i ekonomskie popychanie dobrowolnie wystawiać się nie będziem. Lepiej już głód cierpieć i w zgniłych chatach mieszkać, niżeli w egipską niewolę za mamy pieniądz iść! Ale gdybyśmy w panu Korczyńskim nie cudzego i nie gardziciela, ale przyjaciela i opiekuna naszego obaczyli, gdyby każdy mógł

zaprzysiąc, że na jego polu obchodzenia się ludzkiego dozna, ho, ho!…

Tu kilkanaście głosów zaśmiało się grubo i triumfująco:

— Zobaczyłby podtenczas pan Korczyński, czy my próżniaki i hultaje! I Niemnowej wodzie płynąć nie łatwiej, jakby łatwo gospodarstwo jego płynęło. Ot, te same kawalery i panny, co teraz w gumnie hulają i na Niemnie pieśni wywodzą, nieleniwie by około jego dobra chodzili, a jakby przez to jeden i drugi grosz z jego kieszeni na nas kapnął, to by i spólny dorobek, i spólna uciecha z tego wyniknęła. Alboż te kawałki ziemi, co u niego tak jak prawie marnują się, bo ani ich ugnoić, ani jak potrzeba zasiać niesilny! Oni by je chciwie w długoletnie dzierżawy brali, synów swoich rozsadzaliby na tych dzierżawkach, dobroczyńcę swego błogosławiąc i wiernie jemu według kontraktów uiszczając się. On mrze na pieniądze, bo ma długi i wielkie ekspensy; oni głód wielki na ziemię cierpią, bo małe grunciki, a wiele dzieci mają. Obydwom tedy stronom dogodziłby taki kompromis i Bóg to wie! Może też obydwie od ostatniego zginienia wyratował. Bo i pan Korczyński nie jak w raju na tym świecie żyje i nie nadmiar mocno na Korczynie jest ufundowany. Ludziom gąb nie pozatykać: gadają!

I wiele jeszcze różnych uwag i wniosków czynili do młodego słuchacza swego i, jak go nazwali, sędzi się zwracając, a zawsze kończąc wyrażeniem wątpliwości, aby właściciel Korczyna zechciał przychylić się do ich próśb i żądań i inaczej na nich niżeli wilk na barany albo król na niewolniki swoje spoglądać.

— A ja tak mówię — raz jeszcze z zastanowieniem odezwał się poważny Strzałkowski — niechaj głowa nie mówi nogom, że jej potrzebne. Jak nędznemu, tak też i bogatemu lepiej nie samemu!

A Apostoł przemawiał:

— Anieli chcący nad inszych głowy podnieść ze wszystkim upadli!

Teraz z pierwszego uniesienia ochłonąwszy, do zwykłej powolności mowy i ruchów wracać zaczęli. Przycichły głosy, uspokoiły się rozmachane ramiona. Wielu z tych, którzy środek świetlicy tłumem ruchliwym napełniali, w medytacyjnych postawach, na zydlach i stoikach zasiadło. Policzki na dłoniach poopierali, głowami wstrząsali, ten i ów rozwodził się jeszcze nad wszelakimi trudnościami ogólnego ich położenia. Jednemu Fabianowi trudno było do równowagi ducha powrócić i językowi milczenie nakazać. Do najbystrzejszych przy tym należąc, niektóre rzeczy, dla wielu innych obce lub zapomniane, rozumiał. Na brzegu stoła przysiadł, ramiona skrzyżował, głowę na pierś zwiesił i w tej melancholijnej postawie, powolniej niż wprzódy, lecz długo jeszcze prawił:

— Żebyż to my onegdaj srokom spod ogonów powylatywali albo żeby ten, który pokazuje się nieprzyjacielem naszym, wczoraj z dopustu bożego od końca świata przybył, nie taką czulibyśmy gorzkość. Cudzy, to cudzy! Ale my tutaj więcej prawie jak trzysta lat siedzimy, a panowie Korczyńscy może półtorasta[377] Korczyn w swoim rodzie trzymają. Jeden Bóg naszym

ojcem i jedna ziemia matką. Tedy gorsze my niż zwierzęta: bo i między zwierzętami swój swego zna. Wilk wilka nie pożera i kruk krukowi oczów nie wydziobuje…

Ktoś zza stołu przerwał:

— Kto komu teraz swój?

Walenty Bohatyrowicz powoli zawtórował:

— A ma się rozumieć! Nieboszczyk pan Andrzej to był swój!

— A jakże! — ozwały się westchnienia i głosy — jak jego nie stało, ojca i przewodnika nam nie stało. Krótko on żył na świecie, ale wiele dobrego zrobił, a bez niego my jak barany na rzeź odłączone zostali. Ni do kogo przytulić się, ni od kogo rady i światłości zaczerpnąć nie mamy. Zewsząd otoczyły nas granice, których przestąpić nam nie wolno, i znikąd nie spodziewamy się rady, jak w tym ścisku i ograniczeniu ratować się i postępować. Podczas już myśli takie nas nachodzą, że wnuki albo może i dzieci nasze, jak jeszcze troszkę rozmnożą się, wszystko porzucą, na koniec świata pójdą chleba szukać, bo tu już go dla nich nie wystarczy. Już tylko o dusze nasze nieśmiertelne przed Panem Bogiem ubijać się nam trzeba, aby na psie nie zeszły. Niejeden raz i przy każdej okazji my od pana Korczyńskiego słyszeli, że nadmiar głupi jesteśmy, to znów od szkodników i złodziejów on nas wyzywał. Może to nie ze wszystkim prawda, ale może trochę i prawda. Jednak winnymi się nie sądzim, bo i mądry zrobi się głupi, gdy go bieda złupi, a każdemu już wiadomo, że muchy gęściej na wrzodach siadać lubią jak na zdrowym ciele.

Jak wprzódy hałas i wrzawa przemieniły się w szmer głosów rozważnie i z wolna ciekących, tak teraz szmer ten roztapiał się w milczenie. Fala uczuć, oburzeniem i trwogą wzdęta, opadała coraz cichszymi i nieśmielszymi skargami, aż na powrót do tych serc, zawsze cierpliwych, wróciła i umilkła. Twarze ochłodły i oschły z potu, nie pozbywając się przecież ani jednej ze swoich niezliczonych bruzd i zmarszczek; ręce na kolana popadały lub na stołach posplatane, od okrywającego je białego płótna jak grudy ziemi lub kromki razowego chleba odbijały. Fabian nawet ucichł i tylko ciężko dysząc, ze zjeżoną kępą wąsów, od czasu do czasu pomrukiwał:

— Nie cudzy my tu… nie z końca świata przybłędy… nie sroce spod ogona wczoraj wyskoczyli… Więcej niż trzysta lat pomnik naszych fundatorów na tej ziemi stoi… więcej niż trzysta lat, z ojca na syna, my tę ziemię rękoma naszymi drapiem i potem swoim zlewamy!… Włości nijakich my nigdy nie mieli i nikogo nie gnietli i nie ssali. Dla jakiejże przyczyny teraz marnie ginąć i przepadać nam wypadło? Dzieci nasze pod tymi grudkami ziemi, których powiększyć nie jesteśmy silni, jak głodne robaki nie w czas poginą, a wnuki, z dopustu bożego, chyba już na psy zejdą… ród nasz jak woda z góry do głębokiego rowu z tego miejsca spłynie i pamięć o tym, że my tu kiedy żyli, przepadnie…

Przez otwarte okna wlatywał do świetlicy szelest topoli, a z daleka, zza

wiszącego nad wodą księżyca i w wodzie stojącej kolumny złotej przypływała chóralna, poważna, polonezowa nuta:

A gdy pomrzemy, a gdy pomrzemy,
Każemy sobie,
Złotne litery, złotne litery
Wyryć na grobie!

IV

W obszernym domu korczyńskim paliły się tylko dwa światła: jedno w buduarze pani Emilii, drugie w gabinecie Benedykta. Wielki salon i większa jeszcze sala jadalna pogrążone były w ciemności, którą rozpraszać zaczynało niepewne jeszcze, tu i ówdzie na okna i na posadzkę kładnące się światło księżyca. W tym półzmroku rozlegały się ciężkie, nieustanne kroki. Ktoś przechadzał się po salonie tam i na powrót, w głębokim znać zamyśleniu. Zamyślenie to czuć było w miarowym, monotonnym stąpaniu przechadzającego się człowieka, a ile razy mijając jedno z okien wchodził on w słup księżycowego światła, ukazywała się w nim na chwilę i wnet znowu mieszała się z ciemnością postać jego wysoka, ciężka, z pochyloną głową, założonymi w tył rękoma, zwisającymi na pierś wąsami, tak samotna, jak gdyby pokój ten był pustynią a on jedynym jej mieszkańcem. Jednak za zamkniętymi drzwiami nieustannym jego krokom wtórował nieustannie też dźwięczący, przyjemny i delikatny głosik niewieści. Tam, w buduarze oklejonym papierem w polne kwiatki, kobieta biała, cicha, cierpiąca, w białym negliżu[378], wpółleżąc na pąsowym szezlongu[379], przy świetle lampy coś bardzo misternego wyrabiała szydełkiem z włóczki i jedwabiu. Druga zaś kobieta, również delikatna, ale mniej piękna i strojna, a więcej zwiędła, z plastrem okrywającym dolną szczękę, śnieżną i łabędzich kształtów szyję wyciągała nad książką, z której głośno czytała francuskie podróże po przylądku amerykańskim, zamieszkiwanym przez lud Eskimosów. Jedna czytała, druga słuchała o krainie lodów, fok, reniferów, chałup ze śniegu, zórz północnych, podbiegunowych nieskończonych nocy. Czasem przerywały sobie czytanie zamienianymi pytaniami i uwagami. Ręce z szydełkiem na kolana opuszczając, jedna z nich zapytywała:

— Jak myślisz, Tereniu: czy wśród Eskimosów istnieje prawdziwa, gorąca, poetyczna miłość?

Teresa nie odpowiedziała. Zamyśliła się głęboko. Z łabędzią szyją, pod światło lampy wyciągniętą, końcami palców dotykała bolącej i leczniczym plastrem oblepionej szczęki. Erotyczne tęsknoty i marzenia dreszczami przebiegały wątłe ciała dwu tych kobiet i twarze ich okrywały wyrazem cierpienia.

— Czytaj dalej, Tereniu…

Czytała dalej, ale po kwadransie znowu czytanie przerwać musiała. Za oknem, kędyś z dołu, podniósł się wielki, poważny, chóralny śpiew. Pani Emilia od stóp do głowy zadrżała. Przelękła się. Z rozszerzonymi nieco od przestrachu źrenicami zapytywała:

— Co to? Co to znaczy? Co to być może?

Teresa, chociaż także drgnęła nerwowo, wkrótce domyśliła się prawdy i

towarzyszkę uspokoiła. Były to pewno śpiewy tych ludzi, którzy zjechali się na wesele, na które poszła panna służąca, Zofia.

— Nieznośni! Czytać nam przeszkadzają! O, co za hałas! Moja Tereniu, każ zamknąć okiennice i zapuścić sztorę!

Po dwóch minutach okiennica była zamknięta i gruba sztora zapuszczona; do zamkniętego szczelnie buduaru żaden już prawie odgłos z zewnątrz nie dochodził, a przy głośnym czytaniu Teresy, od ściany do ściany i od podłogi do sufitu, wśród zmieszanych woni perfum i lekarstw, napełniły go obrazy niezmierzonych lodowców, nieskończonych nocy, jaskrawych zórz północnych, fok, reniferów i chałup ze śniegu.

Ale po pustym salonie przechadzający się człowiek przy dolatujących z dołu pierwszych dźwiękach chóralnej pieśni stanął jak wryty. Stanął w zupełnie ciemnym punkcie salonu, tak że go wcale widać nie było, i stał dość długo. Zapewne słuchał. Może nawet słuch natężał i pochwytywał słowa pieśni.

Szumiała dąbrowa, wojacy jechali…

Znowu chodzić zaczął. O, jak to dawno, dawno było, kiedy te dźwięki i te słowa o jego młode, świeże, gorące serce…

Stanął znowu.

Nie było, nie było,
Matko, szczęścia tobie…

Z ciemnego punktu salonu wydobyło się i nad ścielącymi się po posadzce smugami księżyca popłynęło długie westchnienie:

— Nie było szczęścia… o, tak, nie było szczęścia…

Wszystko się zmieniło,
A twa dziatwa w grobie!

Wyszedł z ciemności i przez pas światła przechodząc półgłosem powtórzył:

— W grobie! Gdybyż wszyscy… w grobie!

Nie mógł słuchać. Nie mógł dłużej słuchać tych dźwięków i słów, które wzbijając się spod stóp wysokiej góry zdawały się spływać z promiennego szczytu jego życia, z dawno opuszczonego szczytu jego świeżej, górnej, gorącej młodości…

Ciężkim, ciągle miarowym, choć przyśpieszonym nieco krokiem przebył sień zupełnie ciemną, salę jadalną, do której zaglądał księżyc, i wszedł do gabinetu oświetlonego palącą się na biurku lampą. Pokój ten był nie tylko pracownią, ale zarazem sypialnią i, rzecz dziwna, zarówno jak przeciwek Anzelma, przypominał klasztorną celę. Jak tam, tak i tu czuć było życie

twarde, samotne, z miękkich wybredności i wesołych uciech odarte. Oprócz żelaznego łóżka ze szczupłą pościelą i pięknym niegdyś, lecz starym dywanem, wielkiego biurka, kilku krzeseł i starej szafy, po brzegi księgami gospodarskimi napełnionej, nic tu więcej nie było. Na ścianach tylko wisiało kilka rodzinnych fotografii i para strzelb pośród niedźwiedziej skóry skrzyżowanych. Przez wpółotwarte okno do pokoju tego naleciało mnóstwo białych nadniemeńskich motylków, wzbijało się pod sufit, krążyło dokoła lampy i z rozpiętymi, krepowymi skrzydłami padało na okrywające biurko księgi i papiery. Benedykt usiadł przed biurkiem i wpatrzył się w te śnieżne, skrzydlate stworzonka. Coś mu one przypominały: jakiś moment bardzo odległy, lecz niezmiernie ważny, jakiś w życiu jego punkt zwrotny… Niegdyś, dawno temu, był wieczór bardzo do tego podobny, równie ciężki i ponury. Te motylki, tak samo jak teraz, kręciły się koło lampy i na rachunkowe książki padały… On coś wtedy postanawiał, i postanowienia nie dokonał, coś miał uczynić, i nie uczynił… Co to było? Brat… syn… A! Brat! Wyciągnął rękę i spod przycisku wyjął list, już przeczytany, lecz który po raz drugi chciał przeczytać. I wtenczas było tak samo. Wyjmował spod przycisku list brata i czytał go, zastanawiał się nad zawartymi w nim radami. Potem już zaledwie kilka razy przez lat kilkanaście zamienili się listami, i to tamten zawsze odzywał się pierwszy, on zaś odpowiadał czasem po paru latach, krótko, zimno… Bo po cóż? Dziś znowu list od Dominika otrzymał i miał takie uczucie, jak gdyby każdy jego wyraz spadł mu na serce ciężkim kamieniem, a w serce piekącą łzą. Już zdawało mu się nieraz, że tyle tylko o bracie pamięta, ile o każdym, najobojętniejszym i bardzo dawno spotykanym człowieku, że wcale on dla niego nie istnieje. Jednak dziś znowu się przekonał, że tak nie było. Swoja krew, swój ból, swoja hańba! Nic nie pomoże. Całą godzinę po salonie chodził, z myślami i wspomnieniami bił się, oburzał się, żółcią pluł, a teraz znowu ten list przeklęty spod przycisku wyjął i czytać zaczął, tak zupełnie jakby rozkosz ostrą i podniecającą w męczeniu samego siebie znajdował:

Kochany bracie,

Zdaje się, że już ze trzy lata od ciebie wiadomości nie miałem; na ostatnie moje *pismo* nie zaszczyciłeś mnie odpowiedzią. Ja jednak piszę, aby *rozdzielić* z tobą moją radość, z dwóch przyczyn wynikającą. Pierwsza przyczyna ta, że już, chwała Bogu, jestem od roku tajnym sowietnikiem, a jeżeli Bóg życia przedłużyć raczy, może mnie kiedy i z *krzesłem w senacie powinszujesz*. *Jakie by tam nie były* twoje przesądy i uprzedzenia, zawsze to miło mieć brata senatora, a tymczasem i tajny sowietnik wstydu tobie nie robi. Przy tym na wypadek jakiego nieszczęścia czy ważnego interesu dobrze wiedzieć, że w swoim rodzonym bracie masz dobre plecy. Ot tak, powiodło się mnie na służbie, za co dla naszego ojca wieczną mam wdzięczność, bo gdybym w uniwersytecie nie był i nauki nie miał, nigdy bym do tego stopnia, na którym teraz stoję, nie doszedł…

Benedykt ręce z listem na kolana opuścił; gorzki uśmiech błądził mu pod długimi wąsami, oczy szklisto wpatrywały się w przestrzeń. Może przez wyobraźnię wywołana stała przed nim postać ojca, której zapytywał:

— Czy w tym celu?... czy dla takiego rezultatu? Czyś mógł przewidzieć... spodziewać się?... Jeżeli z tamtego świata patrzysz... Widzisz... czy Stwórcy za nieśmiertelność dziękujesz?

Drugą przyczyną radości Dominika, którą dzielił się z dawno niewidzianym bratem, było świetne wydanie za mąż najstarszej córki. Za pułkownika wyszła. Dla panny bez posagu była to partia świetna. Jakkolwiek bowiem powodziło mu się na służbie, funduszu nie zebrał i córce posagu żadnego dać nie mógł. Wyprawił jej tylko wesele świetne, którego opis zajmował całą stronicę listu. Jeden książę, dwóch baronów i czterech jenerałów wesele to zaszczyciło. Zresztą, zięć jego sam za lat kilka pewno jenerałem zostanie. Co się tyczy dwóch jego synów, to jeden był jeszcze mały, a drugi starszy, kształci, się w szkole wojennej, wielki do wojskowości pociąg czując. Potem kilkanaście wierszy listu zajmował opis zabaw i przyjemności, które przez ostatnią zimę napełniały stolicę. Włoska opera była szczytem doskonałości, a kilka balów przewyższyło przepychem wszystkie dotąd widziane...

Nie dokończywszy czytania Benedykt rzucił list na biurko. Jak te motylki fruwają, fruwają dokoła lampy i na rachunkowe księgi padają! Rzeźwy wiatr wnika przez wpółotwarte okno. W domu i w sercu cicho, ciemno, ponuro. Kiedy to był taki sam wieczór? A! Po owej rozmowie z żoną, w altanie. Pamięta. Wtedy po raz pierwszy dokładnie rozpoznał ten słodki egoizm i tę wdzięku pełną niedołężność ciała i ducha. Wtedy też powiedział sobie, że nie ma już żadnego brata. Trzech ich było, on jeden pozostał. Cóż? Wszędzie to samo. Z trzech, a gdzieniegdzie i z dziesięciu, niekoniecznie braci, ale rówieśników, przyjaciół, jeden pozostał. Zupełnie tak, jakby z kogoś wyciekł strumień krwi, a tylko tu i ówdzie pozostałe jej krople tułały się po żyłach z osobna, skurczone, skrzepłe... Ale co stało się wtedy, owego wieczora, kiedy do dzisiejszego tak był podobny? Coś go wtedy pocieszyło, podźwignęło... do tego miejsca przykuło... Syn! I jak obraz ze zmroku na jasny dzień wysunięty stanął przed nim wyraźny, doskonale widzialny moment dalekiej przeszłości. Otworzyły się drzwi pokoju, wbiegła przez nie istota ludzka młodziutka, swawolna, skacząca i ze szczebiotem, z pieszczotą wskoczyła mu na kolana. Drobne ramiona objęły jego szyję, niewinne oczy zajrzały w posępne źrenice, świeże, dziecięce usta pocałunkami rozgładziły wszystkie zmarszczki i wszystkie chmury pozdejmowały mu z twarzy.

„Widziu! Kochasz ty Niemen? Lubisz ty te motylki? lubisz ten bór za Niemnem, w którego głębi, w cieniu jodeł, zapomniany i nieuczczony twój stryj usypia snem wiecznym?”

Dziecko już wtenczas to wszystko kochało, a on, pokusy i rady gdzie

indziej go wabiące odepchnąwszy, wziął znowu krzyż swój na barki i — jeden z trzech — tu pozostał…

Co to? Spieszne kroki ozwały się w przyległym pokoju, otworzyły się drzwi — te same, co wówczas — do gabinetu wbiegł zgrabny, wysmukły, młody człowiek. Znowu on! Tylko dorosły teraz i tak dojrzały, jakby każdy rok przez niego przeżyty w widokach i wrażeniach życia, na kształt ziarna w sokach ziemi, rósł nad miarę i nabrzmiewał. Przez pokój przyległy biegł, ale u drzwi gabinetu zatrzymał się i prędko oddychając, chustką powiódł po rozognionej i spotniałej twarzy. Przybywał widać z miejsca napełnionego upałem i ściskiem, a gdy twarz odsłonił, zdawać się mogło, że było ono także miejscem męczarni. Niewysłowiona męka biła mu z oczu i zmarszczkami występowała na czoło. Benedykt żywy ruch na fotelu uczynił, naprzód się podał.

— Witold!

Wejście syna było dla ojca niespodzianką.

— A co? Skąd przychodzisz? Czegożeś taki rozgrzany i zmęczony?

Młody człowiek, nie odpowiadając, naprzód postąpił i przed ojcowskim biurkiem stanął.

— Mój ojcze…

Zawahał się, oczy spuścił i po kilku sekundach dopiero, zwykłym sobie ruchem determinacji ręce w tył zakładając, z cicha dokończył:

— Przychodzę, mój ojcze, z ustami i sercem pełnymi… skarg!

— Na kogo? Czyich? — zapytał Benedykt.

— Ludzkich… na ciebie, ojcze!

Benedykt oczami błysnął.

— Na mnie, cóż? Czy kogo na drodze zrabowałem albo czyje dziecko na śniadanie zjadłem?

— Na wszystko cię błagam, ojcze — zawołał Witold — porzuć ten ton drwiący i rozjątrzony, z jakim przemawiasz, ilekroć pewnych stron życia dla mnie nad życie droższych, dotykamy!… Młody jestem, to prawda… lecz cóżem winien temu, że natura zamiast serca nie włożyła mi w piersi busoli z igłą zwróconą ku drodze użycia, zysków i… świetnej kariery.

Wzrok Benedykta przemknął po leżącym na biurku liście Dominika, jakby go ku niemu ostatnie wyrazy syna pociągnęły.

— No dobrze — zaczął — czyż ja kiedy tego pragnąłem, czyż wymagam od ciebie, abyś bił pokłony złotym cielcom? Czego chcesz?

— Dla siebie, ojcze, nic nie chcę, dla ludzi… wiele!

— Androny[380]! — krzyknął Benedykt i żywo podnosząc się z fotela, z płomieniem w oczach, z brwią namarszczoną mówił, a raczej wołał dalej: — Wiem, gdzie byłeś! Domyślam się, co ci tam nagadali! Skarżą się, że dobro ich zagrabiłem, że ich ze skóry obdzieram, prawda?

— Tak, ojcze!

— Czekajże więc!

Z tymi słowami ku szafie się rzucił, spory zwój papierów z niej wyjął i

do biurka wracając, mówił:

— Popatrz i przeczytaj! Musisz popatrzeć i przeczytać! Musisz przekonać się, że ten kawał ziemi, o który mi oni proces wytoczyli, do Korczyna zawsze należał... Musisz zawstydzić się za posądzenie, że twój ojciec kogokolwiek okradać chce... Do tego jeszcze nie doszedłem... Nie! Jakimkolwiek jestem, do tego jeszcze nie doszedłem... Musisz zawstydzić się!...

Gdy plan Korczyna na biurku rozkładał, wielkie ręce jego drżały, ale hamując się długo, po planie palcem wodził ze starych dokumentów wyjątki czytał, mówił, dowodził. Potem prostując się i wzrok na syna podnosząc zapytał:

— Cóż? Wstydzisz się teraz? a?

— Nie, ojcze! — odparł Witold.

— Jak to? Nie przekonałem cię?

— I wprzódy przekonany byłem, że myśl nawet o przywłaszczeniu sobie cudzej własności przejść ci, mój ojcze, przez głowę nie mogła...

— Więc cóż? Więc o co chodzi? Więc czyjaż w tej sprawie wina?

Witold ręce w tył założył i śmiałymi oczami pałający wzrok ojca spotykając odpowiedział:

— Twoja, ojcze!

— Facecja[381]! — wybuchnął Benedykt. — Oni, jak tabaka w rogu ciemni, wierzą każdemu pokątnemu doradcy, który z nich sobie trzodę dojnych krów chce uczynić; oni na każdym kroku wyrządzają mi psoty i szkody...

— Przebacz, ojcze — przerwał Witold — dlaczego oni ciemni jak w rogu? Dlaczego chciwością pożerani? Dlaczego nieprzyjaźni?... Czy niczyjej, niczyjej winy w tym nie ma, tylko ich jednych?

Czy treść tych zapytań, czy szczególny dźwięk głosu syna tak uderzyły Benedykta, że umilkł, z ciężkim westchnieniem rzucił się na fotel i wahającym się głosem przemówił:

— Dlaczego? Dlaczego? Ha! Gdybyż to można było wszystkie czarne mary i ciężkie plagi życia zapytywać: skąd? Za co? Dlaczego?

— My je zapytujemy — podchwycił Witold — tak, mój ojcze, całą siłą umysłów i serc naszych zapytujemy, a one czasem nam odpowiadają! Ta, o której teraz mówimy, odpowiada: „Zrodziły mię omamienia i nienawiści wieków; zagłada moja w świetle i w miłości”...

Teraz wszystko, co uzbierał z książek i od ludzi, wszystko, co włożyła w niego natura, a rozjaśniła i potwierdziła nauka, wylewać mu się zaczęło z ust wymownych i drżących. W szerokich zarysach kreślił demokratyczne idee i teorie, od których urzeczywistnienia, zdawało się mu, zależy skrzepnienie i odrodzenie narodów, jego narodu nade wszystko. Podporę dla najwyższych myśli i podbojów, na które w ciężkiej, wiekowej pracy zdobyła się ludzkość — a którymi u szczytów miotały podmuchy chciwości i okrucieństwa — ratunek dla krwawych cierpień, które lasem rąk do nieba o

pomstę wyciągniętych wyrastały z gruntu oranego przez złość i przemoc, widział on w ludzkim zrównaniu się i zbrataniu, w ukuciu spójnego łańcucha z ogniw, dotąd przez pychę, zawiść, chciwość, niewiedzę z sobą rozdzielanych. Od abstrakcji mających dla niego urok taki, że mówiąc o nich wyglądał jak człowiek w niebo zbawienia zapatrzony, niespokojnie przebiegł do powszedniej, palącej go rzeczywistości, opowiadał wszystko, co widział i słyszał tam, skąd przybył, powtarzał prośby, z którymi go tu przysłano, skargi i obwinienia, które szumiały mu jeszcze w uszach i paliły serce.

Benedykt nie przerywał już, milczał, a biegły chyba znawca dusz mógłby odgadnąć, jakie uczucia zapalczywa mowa młodzieńca budziła w jego przedwcześnie uwiędłej duszy. W fotelu zagłębiony, przygarbionymi trochę plecami do poręczy jego jakby przyrósł; od bledszej niż zwykle i w tysiąc zmarszczek połamanej twarzy długie wąsy nieruchomo na pierś mu zwisały; oczy jego czasem mąciły się aż do dna i powieki na nie opuszczał, to znowu podnosił je i namiętne płomienie na syna z piwnych źrenic ciskał. Jak grób milczał i jak w grobie odbywały się w nim rzeczy posępne i tajemnicze. Czy przejmujące go z kolei uczucia były wstydem, żalem lub gniewem — to pewno, że cierpiał, a cierpiąc czuł jednak, że z obfitych i gorących słów syna powstawała i o pierś mu uderzała jakaś fala błękitna, śpiewna, niegdyś mu dobrze znana, lecz przez życie pochłonięta, a teraz niby z przepaści życia ku niemu powracająca. Z daleka, bardzo z daleka dochodziły tu jeszcze urywane nuty starych pieśni nad osrebrzoną powierzchnią Niemna chórem śpiewanych; u okna białe motylki z lekkim stukiem na biurko padały, krepowymi skrzydłami o księgi rachunkowe i rozłożony plan Korczyna trwożliwie bijąc. Rzucał na nie czasem wzrokiem i spotykał nim także ku brzegowi biurka odrzucony i szeroko rozwarty list Dominika. Ilekroć spojrzenie po tym liście przesunął, tylekroć usta, mające już gwałtownym słowem wybuchnąć, zamknął, zmącony wzrok ku ziemi spuścił i znowu milcząc, coraz pilniej, z coraz boleśniejszym prawie wytężeniem wsłuchiwał się w mowę syna. Witold bardzo blady, z drżącymi rysami, przytłumionym głosem mówił:

— Ty o tym wszystkim nie wiedziałeś, ojcze? Prawda, że nie wiedziałeś? O ich strapieniach, opuszczeniu, niebezpieczeństwach… o tych złorzeczeniach, którymi cię okrywają… o tych dobrych uczuciach, którymi są gotowi każde twe dobrodziejstwo, każdy promyk światła, który by od ciebie padł na nich, odpłacić… nie wiedziałeś? Powiedz mi, mój ojcze, o, powiedz mi, żeś o tym wszystkim nie wiedział i że tylko niewiadomość… Jak oni stryja Andrzeja wspominają… za miłość, z jaką zbliżył się do nich, za trochę światła, za to, że duszę ludzką w nich budził… jak go wspominają! Ale ty o tym nie wiedziałeś, ojcze, nie myślałeś… i tylko dlatego…

Nagle umilkł. Coś mu głos zerwało, może łzy z całej siły powstrzymywane czy ściśnięcie się serca oddech tamujące. Po zbladłym

czole dłonią powiódł, plecami oparł się o ścianę, na której śród skóry niedźwiedziej połyskiwały skrzyżowane strzelby.

Benedykt zdawał się jeszcze słuchać i czekać. W ziemię patrzał.

— Cóż — odezwał się — cóż dalej? Mów… sędzio! Słucham! Chcę cały swój wyrok usłyszeć… Czy na gardło mię skażesz, czy tylko — na wieżę? A?

Ile w tych słowach było bezdennego smutku, Witold nie dosłyszał; zrozumiał tylko ich ironię i szał bólu zaświecił mu w oczach. Wyprostował się, drżał cały.

— Nie masz prawa, mój ojcze, igrać tak z najświętszymi uczuciami mymi! — zawołał. — Młody jestem! Cóż stąd? Nam, dzieciom czarnej nocy, jak żołnierzom w porze wojny, rok za dwa liczyć się powinien! W upale cierpień prędko dojrzewamy!

Wpół ze zdumieniem, wpół z ironią Benedykt sarknął:

— Cierpień! Ty… ty cierpiałeś?

— Więc myślisz, ojcze, że ci, których młodość gotowa istotnie w każdej jaśniejszej chwili wytrysnąć swawolą i śmiechem, nie rozglądają się przecież wkoło siebie, nie rozumieją, nie czują kurczów chłostanej dumy, nie mają litości, która w nich płacze, i trwogi o rzeczy drogie, która w nich krzyczy: „Ratunku!” i o ten ratunek zapytywać im każe wszystkich dróg czynu i wszystkich otchłani myśli? Kto tak mniema, niech o to zapyta naszych w poranku przekwitających twarzy, oczu od wpatrywania się w oblicze wiedzy przedwcześnie znużonych i tego, czego nikt dojrzeć nie może: tych wulkanów żalu, obrazy, nadaremnych porywów i złorzeczeń, które wrą nam w piersiach! Młody jestem! Cóż stąd? Kiedy już z życia tyle wyssałem piołunowych soków, ile ich trzeba, ażeby w głowie szumiały pytania: skąd? Za co? Dlaczego? W takich pytaniach dusze dojrzewają prędko!…

Teraz w szerzej niż zwykle rozwartych oczach Benedykta malowało się osłupiałe prawie zdziwienie. Ten chłopak, ten mały — jak go dotąd jeszcze w myśli swej nazywał — już z bliska dotknął kąpieli cierpienia, w której on sam nurzał się od tak dawna; co więcej, z jednego źródła biły na nich obu kipiące i gorzkie jej wody. Przypomniał sobie teraz, że po wielekroć uderzały go były i niepokoiły jakieś blade cienie po twarzy tego młodzieńca błądzące, mgły znużenia przyćmiewające czasem ognistość jego wzroku, pierwsze zarysy zmarszczek na czole, które, według praw natury, jaśnieć powinno było nieskazitelną świeżością poranku i wiosny. Pochylił się, szyję wyciągnął, wpatrzył się w syna. Tak; było to istotnie dziecię dnia burzliwego i ciemnej nocy. Nigdy w jasną pogodę pąki kwiatów nie rozwierają z tak męczeńskim pośpiechem tak purpurowych kielichów. Łatwo było poznać, że ta rozmowa z ojcem sprawiała mu nieopisaną mękę i że ku tej męce popychała go, tak jak niezawodnie ku wszelkiej innej popchnąć by musiała, siła przekonań i uczuć, pracująca w nim z nieprzezwyciężonością i bezwiednością krwi, w żyłach człowieka krążącej. Dłonią szczupłą, taką, jaką miewają ofiary górnych marzeń, ale której

namiętne ujęcie silne i uporczywe być musiało, wodził po czole strapionym, udręczonym, nad rozgorzałymi źrenicami bladym.

— Ciężko… straszno… straszno mi tak mówić do ciebie, ojcze! Rozdarty jestem pomiędzy tobą a tym, co mi nad ciebie, siebie, nad wszystko droższe… Nie jam jeden taki! Co sprawiło, że pełni jesteśmy bezbrzeżnej litości nad maluczkimi mrówkami i kretami ziemi, że w ciemne i ciasne ich podziemia iść pragniemy i idziemy, choćby śród nich oczekiwało nas całopalenie własnego ciała i serca? Co sprawiło, że nie możemy, choćby w pokładzie złota, tkwić z nieruchomością grzybów, ale pragniemy biec, ratować, pocieszać, uczyć, budzić, wskrzeszać? Co to sprawiło? Czy pochód wieku, którego jesteśmy dziećmi? Czy wezbrane morze myśli ludzkich, którego sami jesteśmy żeglarzami? Czy to inne morze cierpień, które zalewając nam serca i gardła, budzi w nas jasną i wczesną świadomość powszechnego bólu świata i bezbrzeżne dla niego współczucie? Ale to współczucie, te święte dla nas idee, razem z krwią krążą nam w żyłach, z mózgiem myślą, z sercem tętnią… one są epopeją naszą, z nich powstają nasze tragedie… One też są naszą jedyną nadzieją! Jaką nadzieją! O, jej imienia, ty, ojcze, wspominać zabraniasz… tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą bladą marę strachu! A ten strach wieczny… ta ostrożność niewolników, których drżeniem przejmuje sam nawet brzęk ich łańcuchów… to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interesu… ta obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała… ten brak miłości dla ziemi i ludzi…

— Witoldzie!

W tym wykrzyku, który Benedykt rzucił w mowę syna, był taki gwałt i bólu, i gniewu, że młodzieniec umilkł, nagłym zamyśleniem ogarnięty. Pochylił głowę.

— Wiem, ojcze, że bardzo byłem zuchwały — dziwnie zmienionym głosem zaczął. — Pomiędzy sobą i tobą wzniosłem zapewne ścianę nieprzebitą i która rozdzieliłaby nas na zawsze, gdybym po tym, co się stało, żył jeszcze… Ale jeżeli martwy u nóg twoich padnę, przebaczysz mi… prawda? Przebaczysz? I znowu tak samo kochać mię będziesz jak niegdyś?… Tylko umarłemu dziecku przebaczyć można taką zuchwałość i taką obrazę… Coś mam w sobie, ojcze, co mię ku ciemnym otchłaniom popycha…

Mówił to cicho i z tym cichym żarem źrenic, którym się objawiają najniebezpieczniejsze, skupione w sobie szały; przy tym ruchem powolnym, a coś stanowczego w sobie mającym, wyciągnął rękę ku jednej z wiszących na ścianie strzelb. Benedykt porwał się i jak płótno blady w mgnieniu oka za ramiona go pochwycił.

— Wariacie! dziecko! Co ty robisz! Czemuż nie? Ty i na to gotów jesteś! U was nawet taka zaraza panuje… Tuziny was teraz kule w łeb sobie pakują! Ach, ty! Mądryś taki, a zielono ci w głowie… O, te idee, te ideały… te… to, tamto… które tych błaznów do takich nawet rzeczy doprowadzają… Boże

miłosierny!

Strzelbę, którą dziś sam w obecności syna nabijał, z rąk mu wyrwał, na ścianie zawiesił, lecz w zamian obie ręce młodzieńca pochwycił i z całej siły w szerokich swych dłoniach je ścisnął. Prawie straszna była w tej chwili jego twarz ciemna, pomarszczona, wąsata, której groza myśli i przewidywań szeroko rozwierała oczy i podnosiła włosy nad zbladłym jak chusta a kroplami potu świecącym czołem. Z wyciągniętą ku synowi szyją oczy w nim zatapiał, szeroko otwarte, przerażone.

— Wiesz ty? — szeptał — wiesz? może nie wiesz? ale ja to wiem... widziałem... wszak ty zginiesz! Czy słyszysz? Z tą zapalczywością swoją, z tym ogniem... z tym... to... tamto... zginiesz!...

I coraz mocniej ręce syna ściskając, powtórzył jeszcze po wielekroć:

— Zginiesz! Zginiesz! Niechybnie zginiesz!

Aż z ogromnym westchnieniem, które jak wicher do samego nieba, zda się, dotrzeć chciało, wymówił:

— Boże! Boże!

Tak samo niegdyś, z tą samą grozą w chacie Anzelma przed oknem ciemnością nocy zasłoniętym imienia boskiego przyzywał. Ale tym razem z ciemności, które mu przed oczami zapadły, wydobył się głos młodzieńczy, łagodny i dziwną jakby melodią przejęty:

— Ojcze mój, nie lękaj się i nie żałuj, jeżeli dziecko twoje zginie na mlecznej drodze przyszłości, w blasku jutrzenki, w ogniu ofiary! Nie są także zginionymi ci, którzy chodzą po nizinach samolubstwa, zaprzaństwa[382], rozkoszy ciała i nędzy ducha?

Słowa te niezmożoną siłą przyciągnęły znowu wzrok Benedykta ku szeroko na biurku rozwartemu listowi. Przez chwilę wspominał, myślał, aż serce jego gwałtownym rzutem skoczyło od tego brata, który dumny, zadowolony, dostojeństwami okryty po świecie żywy chodził, ku temu, który od dawna z krwawą plamą na młodym czole pod wilgotną ziemią starego boru spoczywał. Długo jeszcze patrzał na syna, aż ręce jego z żelaznego dotąd uścisku uwalniając, obie dłonie ku czołu podniósł i głucho wyszeptał:

— Krwi moja! Młodości moja! Falo, która nas niosłaś... powracająca falo!...

Z głową schyloną, z dłońmi u czoła, ze zgmatwaną gęstwiną włosów, odchodził ku biurku, niby w śnie powtarzając:

— Powracająca fala! Powracająca fala!

Były w tym szepcie groza i — zachwycenie.

Potem odkrył twarz i jedną rękę o biurko wspierając wyprostował się, głowę podniósł. Zmienił się dziwnie. Blask oczu jego wilgotny był i jakby rozmarzony, postawa dumna. Na syna patrzał.

— Słuchaj — zaczął — jeżeli wam się zdaje, że wy to pierwsi wymyśliliście wszystkie szlachetne uniesienia i wzniosłe idee, że wy pierwsi poczęliście kochać i ziemię, i lud, i sprawiedliwość, popełniacie

błąd gruby i grzech przeciw sprawiedliwości…

Zatrzymał się na chwilę; tak już dawno w ten sposób i o takich przedmiotach nie mówił, że może słów mu zabrakło albo myśli splątały się w głowie. Ale powracająca fala odnosiła mu wszystko, co życie zabrało, i przypominała wszystko, co niegdyś umiał, wiedział, czuł.

— I w naszych ustach — mówił dalej — brzmiało niegdyś hasło poety: „Młodości! Ty nad poziomy ulatuj!”, i myśmy latali na mleczne drogi i w blaski jutrzenki, i w ognie ofiary! Ten lud… to wasze bożyszcze… Boże wielki! To żeśmy się ku niemu jak szaleńcy rzucili, jak w słońce w niego wierzyli, jak w zbawienie zapatrzyli, na rękach prawie podnieść go usiłowaliśmy, dobro nasze i samych siebie słaliśmy przed nim… Krzywdy przez ojców jeszcze zrządzone własnymi choćby ciałami pragnęliśmy zmieść ze świata i z jego pamięci… A ziemia? Boże! Dzieckiem, chłopięciem, młodzieńcem, ja każdą roślinkę, każdą kroplę wody, każdy jej kamień kochałem… mógłżem być wrogiem ludzi, którzy z niej powstali? To ja… ale niemało, niemało nas takich było! Śmiech bierze na wspomnienie! Młodzi mędrcy… poeci… rycerze… apostoły… wskrzesiciele… górne marzenia… wielkie nadzieje… ogniste zapały! Wszystko jak w wodę wpadło! Śmiech na wspomnienie bierze!

Zaśmiał się istotnie z oczami pełnymi łez. Drżącym głosem, lecz z głową podniesioną zaczął znowu:

— Słuchaj! Korczyńskim braku ideałów, braku miłości dla… dla…

Stare przyzwyczajenie język mu splątało. Zająknął się.

— Dla… to… tamto… — jąkał.

Ale powracająca fala znowu go błękitem i ogniem oblała:

— Braku miłości dla ideałów Korczyńskim zarzucić nikt nie ma prawa. Jeden ją życiem opłacił… drugiego zawiodła ona tam, gdzie honor i ludzką cześć stracił… trzeci… trzeci przebył życie zazdroszcząc temu, który w mogile leży!

Teraz dopiero te łzy, które napełniały mu oczy, spadły z nich dwoma wielkimi kroplami i ze zmarszczki na zmarszczkę toczyły się po policzkach. Ręką machnął, na fotel opadł i szeroką dłonią zasłonił sobie czoło i oczy. O dwa kroki od niego na krześle siedzący Witold, osłupiały, niemy, chciwymi oczami wpatrywał się w ojca, domyślając się istoty i natury tej siły, która go tak dziwnie wśród rozmowy z nim przetworzyła. Zresztą w domysłach tonąć nie potrzebował. Jak kipiątek długo i szczelnie zamknięty po zerwaniu pokrywy z gwałtem i szumem wylewa się na zewnątrz naczynia, tak gorycze, żale, gniewy napełniające to strute i chmurne serce wybuchały zeń obfitymi i namiętnymi słowami. Natura nie stworzyła go milczącym i skrytym. Był czas, w którym dom ten rozlegał się cały od dźwięku jego głosu, hojnie wśród zbierających się tu tłumów rozrzucającego hasła, nauki, namowy, rozprawy, sprzeczki. Ale potem strasznie uciszyło go życie. Sto przyczyn na sto zamków zamknęło mu usta. Płynęły dnie za dniami, lata za latami — on milczał. Z czasem i z samym sobą rozmawiać przestał o

tym wszystkim, o czym dawniej rozmawiał z mnóstwem ludzi. Tak już przywykł. Dziś dopiero rozmowa z synem zerwała z jego serca kamienną pokrywę i otworzyła mu usta. Byłoż to opowiadanie? Byłaż to odpowiedź? Byłoż to usprawiedliwianie się przed tym dzieckiem tak niezmiernie kochanym, a które mu dziś w oczy rzuciło gradem wyrzutów, prawie obelg? Potrzebę tego ostatniego podszeptywało mu sumienie: „Wytłumacz, wytłumacz, dlaczego cię to dziecko znalazło takim, jakim się stałeś, i dlaczego straciłeś to wszystko, co je napełnia, a coś i ty w równej mierze niegdyś posiadał!" Serce w nim także wołało: „Mów, bo inaczej nie pęknie i nie runie nigdy ta ściana, która wzniosła się pomiędzy tobą a tym dzieckiem, tą krwią krwi twojej, tym powtórzonym obrazem twojej młodości, tą — powracającą falą wiary, nadziei, czarodziejskich i bohaterskich snów o nowych jutrzenkach i ofiarnych stosach!"

Mówił, opowiadał, co stało się i działo potem, gdy wszystko wpadło w wodę. Dawne to dzieje. Zdaje mu się, że nie dwa dziesiątki, ale dwie setki lat od tego czasu upłynęły, tak wszystko dokoła niego zmieniło się i w nim samym. Zmienił się zaś on nie od razu, nie nagle, ale stopniowo, jak stopniowo rdza gasi blask i wyszczerbia ostrze zakopanego w ziemi żelaza; jak stopniowo szczupleją, tracą siłę i znikają nieużywane do ruchu członki ciała; jak stopniowo zmierzch wieczoru pochłania światło dnia; jak stopniowo ciemnieje w sobie, słabnie, gaśnie człowiek, ciężko i nieustannie smutny...

Mógł był odejść w wesołe strony, nie uczynił tego. Mógł w lichych przysmakach życia szukać przypadającej nań cząstki szczęścia, nie używał ich wcale. Z górnej, lotnej jego młodości pozostało mu tyle, że podłości i zaprzaństwa nie popełnił, a w pracy, choć poziomej i ciasnej, pogrążył się z surowością mnicha i zapalczywością taką, z jaką rozbitek chwyta i ściska jedyną deskę ze strzaskanego statku pozostałą. Na tę pracę, acz poziomą i ciasną, padał przecież i z góry jakiś promień. Jak ktoś, kto dziwi się i usprawiedliwia, Benedykt ręce rozkładał i zapytywał:

— Cóż było robić? Co było robić? Mówiono, wołano, zaklinano: „Ziemia! ziemia!" Trzymałem ziemię...

Trzymał ją i dla siebie, bo w nią wrósł, i przez dumną ambicję postawienia na swoim, i przez myśl o synu.

Ale w jeden punkt zapatrzony, inne z oczu tracił; jak wół ze schyloną pod jarzmem głową jedną bruzdę depcąc, inne dostrzegać przestawał; w jednym namiętnym usiłowaniu skupił wszystkie siły i na nic innego już mu ich nie stało. Żelazo nie czuje osiadającej na nim rdzy, ale człowiek łzami zrazu oblewa każdą na własnej duszy dostrzeżoną jej plamę. Gdy nie mógł żyć tak, jak by pragnął, gdy potem już i pragnienie innego życia w nim gasło, gdy nad rozwartą książką oczy mu do snu kleić się zaczynały, gdy spory i kłótnie różnić go z ludźmi poczęły, gdy zrazu ścigać wzrokiem, a potem i rozumieć przestawał różne oddalone drogi i myśli świata — długo we środku mu coś płakało. Jak długo nie pamięta, wie jednak, że z czasem

przywykł do wszystkiego, tylko ten płacz wewnętrzny, którego już w sobie nie czuł, przemienił się w głuchy i gorzki war[383], co chwilę wybuchający zeń gniewem, rozjątrzeniem, niby ciężką przeciw życiu i światu obrazą. Czasem jeszcze tylko daleka, nieosobista nadzieja błąkała się mu po sercu.

— Może on? Może dla niego… przez niego… z nim?… — o synu myślał.

Była to już jedyna jego nadzieja.

Dwa razy w cichym domu zegar ścienny ogłaszał popółnocne godziny, a Benedykt jeszcze rozmawiał z synem, lecz już inaczej niż wprzódy. Jak niegdyś, przed wielu laty, Witold ramiona na szyję ojca zarzucił i rozpalonymi usty scałował grube łzy, które po tej twarzy ściemniałej, spalonej, ze zmarszczki na zmarszczkę ściekały. Myślał on, że bez zaprzeczenia samemu sobie wolno mu było z miłością przycisnąć się do tej szerokiej piersi, która przyjęła w siebie wiele ostrych grotów i coś wyższego, szerszego nad własny interes osłaniała albo osłaniać mniemała; że bez zaprzeczenia samemu sobie wolno mu było ze czcią całować te ręce, których nie wybieliły próżniactwo i zbytki. Przypomniał sobie, że to nawet, co w sobie nosił i nad własne życie cenił, jemu był winien.

— Ojcze mój! Do grobu, do ostatniego tchnienia wdzięczny ci będę, żeś mię nigdy od reszty ludzkości nie oddzielał, piedestałów mi nie budował, na królewicza i samoluba mnie nie chował. Gdyby nie ty, od kolebki pewno owinięto by mnie w watę zbytku i zamknięto w klatkę przesądu. Byłbym dziś może, jak ten nieszczęsny Zygmuś, lalką z żurnalu mód wyciętą i niedoszłym jakim artystą, albo jak Różyc, kartką welinu[384] w roztworze morfiny umoczoną!

Benedykt, ręką jeszcze oczy zasłaniając, z poczynającym się na ustach uśmiechem pod wąsami mruczał:

— No, tak, tak, chłopcze! Nie zgłupiałem przecież do tego stopnia, aby myśleć, że syn mój z innej gliny niż inni ludzie ulepiony, i nie spodlałem tak, aby poddać się woli bab, które by z mego dziecka zrobiły ładnie ufarbowany gałganek!

Z wahającymi się jeszcze uśmiechami na siebie patrzali. Więcej niż kiedy czuli, jak niezmiernie kochali się wzajem, zrozumieli też, jak bardzo byli do siebie podobni. Chwili jednej wielkiego uniesienia i piorunującego wspomnienia trzeba było na to, aby z jednego z nich spłynęła ta rdza, która mu przez długie lata osiadała duszę, i aby to podobieństwo wystąpiło jawnie i jasno. Nagłym ruchem głowę w tył odrzucając i palcami ocierając wilgotne jeszcze oczy, Benedykt zawołał:

— Jakby ciężar stupudowy spadł ze mnie, kiedy wszystko przed tobą wygadałem. Nie wiesz i bodajbyś nie dowiedział się nigdy, co to jest długie lata cierpieć z zaciśniętymi zębami i nie mieć na świecie jednej żywej duszy, przed którą człowiek mógłby śmiało, ufnie, wszystko, co ma w sobie, pokazać, pociechy, rady, a czasem prawie i ratunku wezwać. Może i to przyczyniło się wiele do mego ściemnienia i zdziczenia, żem takiej duszy

przy sobie nie miał. Marzyłem nieraz, że ty mi tym wszystkim będziesz, a kiedy tego lata zdawało mi się, że i te marzenia, jak wszystkie inne, diabli wezmą, nachodziła mnie taka rozpacz, żem nie tylko już Andrzejowi, ale wszystkim pomarłym grobów ich zazdrościł…

— Ale teraz wiesz już, ojcze, co nas dzieliło! — zawołał Witold. — I w przywiązanie moje dla ciebie wierzyć musisz…

Zawahał się nagle, zmieszał się, posmutniał znowu.

— Jednak, mój ojcze — zaczął — jednak powiedz mi, co myślisz… zamierzasz… z tymi ludźmi…

Więcej niż cokolwiek innego zapytanie to przekonywać mogło, że istotnie w tym młodzieńcu pewne uczucia i myśli jak krew krążyły, jak puls tętnił, część a może i samą podstawę życia jego stanowiąc. W najuroczystszej nawet chwili, w najgłębszym dla innego przedmiotu rozrzewnieniu ich zapomnieć i pozbyć się nie mógł. Benedykt długo na niego popatrzył. Uśmiech zadowolenia pod długim wąsem mu błądził.

— Uparty jesteś — zaczął — widzę dobrze, że śmiejąc się i płacząc, śpiąc i jedząc, zawsze o swoim myśleć i przy swoim stać będziesz! Moja natura! I mnie to stanie przy swoim kością w gardle nieraz zasiadało, a jednak i niebieskie rozkosze wzruszyć by mnie zeń nie zdołały! Nasza, Korczyńskich natura!

Zamyślił się, w przeszłość patrzał.

— Niegdyś postanowiliśmy byli wszyscy karczmy nasze pozamykać, aby chłopów do pijaństwa nie kusić. Wielu to uczyniło. Darzecki nie chciał. Andrzej różnił się z nim o to długo, ale potem przestał i myśleliśmy, że za wygraną dał, zapomniał. Jednak raz po długim milczeniu znowu zawziętą sprzeczkę o niezamknięte karczmy i rozpijających się w nich chłopów ze szwagrem rozpoczął, i tu, ot, w tej samej sali jadalnej, przy wieczerzy, w uniesieniu tej sprzeczki na Darzeckiego nożem cisnął… Szczęściem nóż mimo głowy szwagra przeleciał. Taki uparty był. Nie mówi już czasem o czymkolwiek, nie wspomina rok i dwa… zdaje się, że dał spokój… aż tu nagle znowu zaczyna swoje… I ty taki…

Po chwilowym milczeniu zaczął znowu:

— Korczyńskich krew! Dziad nasz, legionista, sześćdziesiąt lat z górą mając, jeszcze na wojnę chodził… A! Przypominam sobie teraz! Towarzyszył mu jakiś Jakub Bohatyrowicz, którego starcem już przed dwudziestu kilku laty widywałem. Trochę obłąkany był, Pacenki jakiegoś, który mu żonę uwiódł, szukał… różne stare podania i zdarzenia opowiadał! Ja i Andrzej lubiliśmy go bardzo. Dominika tylko nudziła trochę jego gadanina. On był z nas na te rzeczy zawsze najobojętniejszy… Za wiele i za wesoło bawił się w wielkiej stolicy… Czy żyje jeszcze stary Jakub?

Jeszcze raz w sali jadalnej ścienny zegar wybił nocną godzinę, a Witold odpowiadając na coraz liczniejsze zapytania ojca mówił, opowiadał. Benedykt zapytywał krótko, paroma słowami, potem słuchał syna, z czołem na dłoni, ze wzrokiem wpatrzonym w przeszłość, która z serca, z mózgu, ze

słów jego syna wypływając ogarniała go, podnosiła, prawie upajała. Kiedy na koniec wstał z fotela i przy dogasającej na biurku lampie przed oknem stanął, błękitny świt ukazał go tak wyprostowanym, rześkim, pogodnym, jakim może od skończenia się złotej godziny jego życia ani razu nie był.

— No, no! — rzekł. — Prawdziwe dziwy! Jakby mnie fala jakaś z dna wód gorzkich i zimnych na ciepłą murawę wyrzuciła!… Ale teraz, chłopcze, spać idźmy… na parę godzin tylko… na parę godzin… byle trochę przespać się i odpocząć. Potem pójdziesz tam do nich i powiesz im, że tej kary sądowej nie żądam już… nie żądam… Istotnie, za wielka jest, a w tym, że ich oszuści wyzyskują i do złego prowadzą — moja wina! O miedzę z nimi żyję i palcem, aby temu zapobiec, nie poruszyłem…

Uśmiechnął się smutnie.

— Andrzej by na mnie za to nożem cisnął. Ale nie siedź tam długo — mówił dalej — bo przecież wspólnie ułożyć musimy różne projekty i plany na dalszą przyszłość… a potem, pod wieczór, może razem popłyniemy na… to… tamto…

Zająknął się.

— Na Mogiłę! — dokończył.

Niewysoko jeszcze słońce podniosło się na niebie, gdy Witold wbiegł do świetlicy[385] Fabiana, w której dokoła śniadania zgromadziła się spora gromadka weselników, którzy jeszcze do domów swoich nie odjechali. Cienka i długa Giecołdowa z zapalonym papierosem w wąskich ustach oraz żwawa Starzyńska we fruwającym wstążkami czepcu dokoła stołów chodząc zapraszały na jadło, które według zwyczaju ich kosztem i staraniem zastawione było. Fabian, pozbywszy się na tę chwilę obowiązków gospodarza, ze spuszczonym na kwintę nosem wśród starszych sąsiadów siedział. Na widok wchodzącego Witolda porwał się i z niepokojem nadaremnie przez okazywane uradowanie pokrywanym ku niemu podbiegł. Zaledwie jednak przybyły kilkanaście słów półgłosem przemówił, na twarz mu wybuchnęła radość szczera i prawie gwałtowna.

— Wiwat! — z całej siły krzyknął i ku sąsiadom zwracając się, obu rękami jak młyńskimi skrzydłami zamachał. — Psom dajcie, co na duszy macie! — wołał dalej. — Już nam godzina nieprzyrodzonej śmierci nie wybije! Zmiękło serce Dawida, gdy o Jonatanie w żałość przyobleczonym usłyszał. Anioł niebieski z grobu naszego kamień odwalił! Alleluja!

O aniele mówiąc, na Witolda ukazywał, do którego też przystępować zaczęli inni.

Z godzinę trwał tam gwar wielki, z zapytań, odpowiedzi, śmiechów, okrzyków złożony.

— Wiwat pan Korczyński! Wiwat pośrednik nasz i orędownik! — co moment wykrzykiwał Fabian.

— Chwała Panu na wysokościach, na ziemi pokój ludziom dobrej woli! — modlił się Apostoł.

— A ja tak mówię: że z tego zasiewku, da Pan Bóg, pięknego plonu

doczekamy… — przebijał się powolny, poważny głos Strzałkowskiego.

Może tam Witolda ściskano, całowano, może mu różne na przyszłość projekty i rady dawano, może nawet na rękach podnoszono, bo zdyszany ze zmęczenia i ogniście zarumieniony z chaty Fabiana wybiegł, młodzież po zielonej uliczce i dokoła gumna[386] przechadzającą się ukłonami lub ściśnieniami rąk powitał, najkrótszymi ścieżkami śpiesznie ku dworowi poszedł i więcej już dnia tego w okolicy się nie ukazywał. Z dala go tylko potem widziano po drogach pole przerzynających z ojcem chodzącego. Przez dzień cały syn i ojciec ani na godzinę nie rozstawali się z sobą. Długo w gabinecie Benedykta nad rozłożonym na biurku planem Korczyna obaj siedzieli, z cicha pomiędzy sobą naradzając się, linie jakieś i cyfry na papierze kreśląc: a przed zachodem słońca kilku weselników u samej krawędzi zielonej góry stojących ujrzało na Niemnie łódkę wiozącą dwóch ludzi, z których młodszy wiosłem robił.

Za Niemnem obaj na żółtą ścianę wstąpili i w borze zniknęli.

Przed zachodem słońca gody weselne Elżusi miały się ku końcowi. Więcej niż o połowę zmniejszona kompania przechadzała się po zagrodzie i drodze; w gumnie, tak jak wczoraj na oścież otwartym, Zaniewscy jeszcze od czasu do czasu na skrzypcach rzępolili i basetlą[387] pohukiwali, a przy tej niedbałej i przerywanej muzyce dwie lub trzy pary od niechcenia czasem pokręciły się na toku. U ścian obrosłych chwastami, u płotków, w śliwowym gaju, na wąskim ganku świrna[388] rozmowy toczyły się ożywione, we włosach dziewcząt iskrzyły się kwiaty, ale kawalerowie nie mieli już na rękach białych rękawiczek ani tej rześkości i zamaszystości w postawach i ruchach, które początek zabawy obudzał. Zbliżając się do końca swego wesele cichło, leniwiało, z wielkiego hałasu roztapiało się w szmer wesołymi nutami jeszcze przetykany, lecz który — czuć to było — zaraz, zaraz utonąć miał w szarym, jednostajnym jeziorze codziennej troski i pracy.

Na podwórku ożywienie było największe. Zaprzęgano tam do bryczek i wózków konie, a czynność tę spełniali sami ich właściciele z wyjątkiem tylko dzierżawcy Giecołda i ekonoma[389] Jaśmonta, którzy jednak hałasowali najwięcej, parobkom za furmanów im służącym głośne rozkazy wydając. Pierwszy drużbant komenderował należytym uszeregowaniem orszaku mającego państwu młodym do domu ich, więc do jaśmontowskiej o trzy mile[390] odległej okolicy, towarzyszyć. Naprzód tedy na drogę dotykającą pola wyprawił wóz muzykantów wieźć mający. Za nim ustawił parokonną bryczkę państwa młodych; potem te, którymi według zwyczaju jechać mieli rodzice pana młodego, dwie swanie i dwaj swatowie. Teraz następowała kolej na pierwszego drużbanta. Więc Kazimierz Jaśmont sam za uzdę poprowadził swego pięknego, czarnego konika, ładną uprzężą połączonego z bryczką na majowozielony kolor pomalowaną, po czym już ustawianiem ordynku[391] zajmować się przestał, bo co do dalszego jego ciągu, żadne przepisy nie istniały. Kto łaskaw czy też zaproszony, pojedzie

sobie, jak zechce, na czele czy z tyłu, osobno czy hurtem — wszystko jedno. Kto niełaskaw albo niezaproszony, pozostanie lub uda się w inną stronę, a grzeczności i obyczajowi nie ubliży. Tylko jeszcze u końca orszaku jechać koniecznie powinien brat panny młodej z kuframi i skrzyniami, wyprawę jej zawierającymi. To już niezbędne. Jeżeli brata nie ma, najbliższy krewny spełnić tę czynność musi. Ale Elżusia miała kilku braci, z których najstarszego obowiązkiem było wieźć za orszakiem weselnym wyprawę siostry. Już też na drabiniastym wozie[392], w zielonej uliczce stojącym, Julek umieścił dwa kufry z bombiastymi[393] wierzchami na zielono pomalowane i gapiowatym głosem upominał się o trzeci, którego przecież długo mu nie dawano. Panna młoda z pomocą matki i swań kończyła napełniać go skarbami, które z sobą uwieźć miała: kraciastymi i pasiastymi spódnicami, fartuchami, kilimkami[394] własnej roboty, motkami[395] uprzędzionych przez siebie nici lnianych i wełnianych, ścianami utkanych też w domu grubszych i cieńszych płócien. Kazimierz Jaśmont od bryczek wracając tu i ówdzie po zagrodzie się okręcił, aż u zamkniętych drzwi domu stając, z całej siły zawołał:

— A teraz, panny drużki i panowie drużbantowie, pożegnanie panny młodej zaśpiewajmy!

W mgnieniu oka po obu stronach drzwi utworzyły się dwie gromadki, jedna z młodych mężczyzn, druga z dziewcząt złożone. Nie byli to koniecznie sami drużbowie i drużki, ale wszyscy, którzy pożegnanie panny młodej na pamięć umieli i śpiewać chcieli. Chór męski, w którym wyraźnie wyróżniały się: cienki dyszkant[396] pierwszego drużbanta, piękny głos Jana i tak basowe, że prawie grobowe buczenie Domuntów, na nutę butną[397], urywaną, prawie rozkazującą rozpoczął:

Siadaj, siadaj, moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie,
Nic płakanie nie pomoże:
Stoją konie, stoją wrone,
Już założone!

>

Jak uciął, umilkli. Po kilku zaś sekundach chór dziewcząt, nad którym rej prowadził donośny i jak srebro dźwięczny głos pięknej Osipowiczówny, a który przerzynały słabe, cieniutkie, lecz czyste głosiki małych Siemaszczanek, wzbił się smętną, przewlekłą nutą:

Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem ojcu swemu nie dziękowała.
Dziękuję ci, miły ojcze,
Żem u ciebie chodziła w złocie,
Teraz nie będę!

Mężczyźni huknęli znowu tą samą co pierwej rozkazującą strofą. Dziewczęta zaś odpowiedziały:

Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem swej matce nie dziękowała.
Dziękuję ci, moja matko,
Żem żyła przy tobie gładko,
Teraz nie będę!

Po trzecim rozkazie siadania odpowiedź brzmiała:

Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem swemu bratu nie dziękowała.
Dziękuję ci, drogi bracie,
Że mieszkałam w jednej chacie,
Teraz nie będę!

Tu rozwarły się ze stukiem drzwi od sieni i panna młoda, wysoki próg przeskakując, spod czarnej wełnianej sukni białą pończoszką błysnęła. Zapłakana, zakłopotana, wśród śpiewających, na nikogo nie spojrzawszy, przebiegła, między śliwowe drzewa wpadła i płótno kużelne[398], wąskimi pasami u brzegu gaju rozesłane, z trawy ściągać zaczęła. Ściągała, zwijała, śpiesząc się bardzo, aż na koniec z jednym zwojem niedobielonego płótna pod ramieniem a dwoma w ramionach z powrotem ku domowi biec zaczęła. Wszyscy z niejakim zdziwieniem na nią patrzali. Kazimierz Jaśmont palcami pstryknął.

— Szyk gospodynia! I na weselnych godach o kużelu nie zapomniała!

Stojący za nim Michał Bohatyrowicz, wąsa w górę podkręcając, zaśmiał się:

— A jakże! Gdyby ją aniołowie do nieba zabierali, to ona by patrzała, czy nie ma jeszcze czego z ziemi uchwycić.

— To nie tak jak panna Cecylia, która wczoraj taką śliczną stążkę z szyi sobie zdjęła i przyjaciółce nijakiego przystrojenia nie mającej podarowała! — zawołał kruczowłosy Ładyś Osipowicz na błękitnooką Cecylkę Staniewską rozkochanym wzrokiem spoglądając.

Po czym nagle huknęli znowu:

Siadaj, siadaj, moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie.
Nic płakanie nie pomoże:
Stoją konie, stoją wrone,
Już założone!

A dziewczęta odpowiedziały:

Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem stołom, ławom nie dziękowała.
Dziękuję wam, stoły, ławy,
Żeście były zawsze białe,
Teraz nie będziecie!

Dziękuję wam, rodzone progi,
Że chodziły po was moje nogi,
Teraz nie będą!

Julek trzecią skrzynię w wielkie kwiaty pomalowaną wspólnie z braćmi z domu wynosił i na wóz windował[399].

Na drodze u wyciągniętych szeregiem bryczek i wozów podniosła się wrzawa pożegnań, pocałunków, zaprosin, przywoływań, nawet sprzeczek. Nie tak to łatwo było wszystkich w porę i w należytym porządku usadowić. Muzykanci kłopotu nie sprawiali, pierwsi umieścili się na przodującym wozie i smyczki wysoko wznieśli, aby je w czas, a ostro, na struny móc spuścić. Ale pan młody gdzieś się w ostatniej chwili zawieruszył, więc siedząca już na bryczce Elżusia wniebogłosy wołała: „Franuś! Franuś", a gdy nadbiegł, mocno strofować go zaczęła. Potem Giecołdowa, kwaśna i zmarszczona, bo papierosów jej zabrakło, nie chciała siadać na bryczkę Starzyńskiej, z którą jechać była powinna, i upierając się przy jechaniu swymi końmi i ze swoim mężem, głośno i szydersko dowodziła, że wszystkie te porządki i ordynki są przesądami nigdzie już z wyjątkiem prostych i ciemnych ludzi nie zachowywanymi. A gdy na koniec pierwszy drużbant mocą ukłonów i otworzeniem na oścież zasobnej papierośnicy dumną swanię ułagodził i do zajęcia przypadającego jej miejsca nakłonić zdołał, nowe przeciwności zaszły w gronie odprowadzających państwa młodych drużek i drużbantów. Ta z tym, a ten z tą jechać żądał; tu było za ciasno, tam niewygodnie… Kazimierz Jaśmont na chwilę cierpliwość stracił, ręką machnął, zrozpaczonym wzrokiem po szlaku drogi powiódł i nagle nieopisana błogość na twarz mu spadła. Z głębi okolicy ścieżkami wśród płotków wijącymi się szła, na drogę weszła i ku gromadzie dokoła bryczek stojącej skierowała się — Domuntówna. Nikt jej nie spostrzegł oprócz Jaśmonta, który też asystę, ordynek i wszystko, co żyło, opuszczając, na jej spotkanie pośpieszył. Ona szła prędko, więc spotkali się w tym miejscu, gdzie stała jego majowa bryczka, z czarnym, pięknym, zgrabną nóżką o ziemię bijącym konikiem. W bogatej aktorce[400] nowa zmiana zaszła. Miała na sobie czarną suknię, bardzo prostą, której gładka spódnica i obcisły stanik[401] szczuplejszą nieco czyniły jej zbyt silną i rozrosłą kibić[402]. Na ogorzałej szyi — zapewne w znak zasmucenia — wiła się i na pierś opadała żałobna wstążeczka. Gładko spleciona kosa[403] niby

wiankiem brunatnej pszenicy wznosiła się nad twarzą mniej rumianą jak zwykle, a szafirowe oczy spod sobolowych[404] brwi i zarumienionych trochę powiek rozglądały się dokoła, strapione i roztargnione. Tak stanęła przed Jaśmontem, który granatową czapeczkę z kędzierzawej czupryny zerwawszy, niskim ukłonem i czułym wejrzeniem ją witał.

— Czy mnie próżna nadzieja zwodzi — zaczął — czy też pani w jedną drogę z nami puścić się zamyśla?

Czerwone ręce na czarną suknię opuszczając, grzecznie dygnęła.

— Za zaprosiny dziękuję — odrzekła — ale mnie teraz na zabawy nie w czas. Żyto na nasienie jeszcze nie wymłócone i dziadunia pilnować muszę, bo niedomaga.

I znowu roztargnionym wzrokiem pomiędzy ludźmi wodziła, kogoś upatrując. Była dziwnie grzeczna, łagodna, cicha, nawet mówiła półgłosem. Jaśmont na bryczkę swoją ukazywał:

— Gdyby pani mojej kałamaszce[405] ten honor zrobiła i wspólnie ze mną nią pojechała, może by spacer na zdrowie posłużył. Dobrze niesie… jak na sprężynach!…

— Dziękuję. Dziadunia pilnować muszę…

Widocznie zmartwiony, pomyślał chwilę.

— A jeżeli ja odważę się kiedy tam przyjechać, gdzie od tego czasu wszystkie myśli moje mieszkać będą, czy mogę spodziewać się, że niezbyt niemile ujrzanym zostanę?

Dygnęła znowu.

— Owszem. Dziadunio bardzo lubi, kiedy do niego goście przyjeżdżają…

— Ale pani czy przez to ambarasu[406] nie uczynię?

— O ambaras bynajmniej! Owszem. Ja zarówno w grzecznej kompanii[407] gustuję.

Już rozpływać się miał w podziękowaniach za to pozwolenie bywania u niej, gdy w orszaku wzniosło się mnóstwo wzywających go głosów. Wszyscy na koniec na bryczkach i wozach siedzieli, bez pierwszego drużbanta przecież odjeżdżać nie mogli. Tyle więc tylko miał czasu, aby Jadwigi rękę ucałować, a do jej braci, obok których przebiegał, szepnąć:

— Szyk panna! Dalibóg, takiej wspaniałej talii i takich oczu cudnych, jak żyję, nie widziałem!

Na majową bryczkę swoją wskakując wołał:

— Ot tak! Nikt ze mną jechać nie chciał, sierotą opuszczonym zostałem! Dobrze! Sam sobie ze mnie pan i hetman!

Siadł prosto, z fantazją czapkę na głowie poprawił, bicz wcale niepotrzebny przy koziołku umocował, rzemienne lejce silnie ujął i na cały głos zakomenderował:

— Muzykanci! Rznijcie! Jazda, panowie!

Na przodzie orszaku smyczki, dotąd w powietrzu sterczące, na struny opadły; z dźwiękami skrzypiec i basetli wygrywających marsza zmieszał się turkot kół i tętent koni. Bryczki jedna za drugą skręcały na drogę

przerzynającą pole, a od każdej, niby rozwiewne skrzydło, leciał na jedną stronę złotawy tuman kurzu; dwu czy trzech jeźdźców konno brzegami ściernisk[408] cwałowało; ostatni jechał wóz wyładowany pękatymi kuframi, na których, jak na wieży, w wiecznym uśmiechu białymi zębami śród rudej gęstwiny zarostu błyskając siedział Julek, a obok wozu galopował, co moment ku panu głowę podnosząc i radośnie poszczekując, czarny, kudłaty Sargas. Zachodzące słońce bladym blaskiem spłowiały kobierzec ziemi ozłociło i wyrastającym zeń drzewom wróciło chwilową świeżość; niebo roiło się na tle błękitnym mnóstwem białych smug i różnobarwnych obłoków.

Kilka minut wystarczyło, aby na drodze tak przedtem gwarnej zaległa zupełna cisza. Jedni rozjechali się, innych widać jeszcze było z wolna rozchodzących się po zagrodach. Jan, który odjeżdżający orszak wzrokiem odprowadzał, odwrócił się i oko w oko spotkał się z Domuntówną. Stała u samej krawędzi zagonów pokrytych ściernią, obok ogromnych ostów, które kupą rosły, wysokością prawie do jej ramienia sięgały, na kształt siwych, brodatych starców całe mlecznymi, połyskliwymi puchami obwieszone. Po twarzy Jana przemknęło przykre wrażenie. Ona to spostrzegła.

— Niech pan Jan nie lęka się — zaczęła — ja nie dla tej przyczyny tu przyszłam, aby jakie nieprzyjemności panu robić, ale dla tej…

Spuściła oczy, ręce jej pomimo woli szukały fartucha, ale go przy świątecznej sukni nie znalazłszy, z najbliższego ostu puch oskubywać zaczęły.

— Dla tej przyczyny ja tu dziś przyszłam — z cicha mówiła dalej — żeby z panem Janem zobaczyć się i powiedzieć, że do grobowej deski wdzięczną panu pozostanę.

— A za cóż ta wdzięczność? — zdumiał się młody człowiek.

— A za to — odpowiedziała — że kiedy wszyscy mnie czernili i wyśmiewali, pan Jan, który miał prawo gniewać się i dekrety[409] na mnie wydawać, ujął się i obronił. Bracia mi wszystko opowiedzieli i także pana Jana bardzo pochwalili.

— Nijakich ja pochwał godzien nie jestem — odpowiedział Jan — i nijakiego prawa gniewać się na pannę Jadwigę nie mam, pewnym będąc, że przez te rzucenie kamienia tylko zażartować ze mnie chciała.

Szkarłatem oblała się, a mnóstwo połyskliwego puchu, który z ostów wyskubała, wymknęło się z jej palców i w powietrze uleciało. Wzrok jej, zawstydzony i niedowierzający, po twarzy jego przemknął.

— Niech pan Jan nie udaje i mnie do kłamstwa nie kusi. Co zrobiło się, tego już nie odrobić, a łganiem gorzej jeszcze człowiek plamę swoją uczerni, że już jej prawie i nie wyprać. Co się zrobiło, to zrobiło się. Nie dla tej przyczyny ja przyszłam, żeby łgać i swojego postępowania wypierać się, ale dla tej, żeby powiedzieć, że ja do pana Jana nijakiego już żalu ani gniewu i nijakiej pretensji nie mam. Serce nie sługa, nie zna co to pany. Co pan Jan winien temu, że w inszej stronie dla pana słońce wzeszło? Owszem.

Daj Boże panu szczęście, zdrowie i powodzenie…

Znowu trochę połyskliwego puchu z palców jej w powietrze uleciało; na towarzysza lat dziecinnych podniosła oczy, łzami oszklone.

— Z gruntu serca ja panu Janowi wszystkiego dobrego życzę! — szepnęła.

Ujęty i wzruszony, z zapałem odpowiedział:

— Ja także dla panny Jadwigi, jeżeli tylko zechce, na zawsze szczerym przyjacielem pozostanę, a mam nadzieję, że i pannę Jadwigę szczęście na tym świecie nie ominie…

— Spodziewam się — odszepnęła — spodziewam się, że i mnie Bóg nie opuści…

— A wprędce też może i dozgonnego przyjaciela, takiego, który panny Jadwigi wart będzie, ześle…

Łza stoczyła się po rozognionym jej policzku i na wiszące u szyi końce żałobnej wstążeczki spadła, ale z głową spokojnie i trochę dumnie podniesioną Jadwiga powtórzyła:

— Spodziewam się, spodziewam się, że tego dostąpię. Kiedy już takie przeznaczenie kobiety, żeby jak tyka sama w świecie nie tkwiła, to i mnie go nie ominąć…

— Tedy i ja z gruntu serca pannie Jadwidze wszystkiego dobrego życzę, a proszę, żeby do mnie nijakiego gniewu nie miała…

— A ja pana Jana o dobre wspominanie proszę…

— A jakże! Całe życie przyjacielem pani ostanę…

Rękę do niego wyciągnęła, on z uszanowaniem ją pocałował.

— Do chaty mi pora — rzekła — parobek żyto na nasienie młóci, jeszcze źle wymłóci, i dziadunio niedomaga!

Z wolna odwróciła się i z wolna, w czarnej swej sukni, wyprostowana i silna, w grubym warkoczu jak w wieńcu brunatnej pszenicy na głowie, w głąb okolicy ścieżkami odeszła.

Jana jakby przypomnienie jakie w serce uderzyło, tak wstrząsnął się cały i tak szybko ku zagrodzie swojej prawie biec zaczął. Przed rozmową swą z Domuntówną widział Justynę ze stryjem jego w bramie ich zagrody rozmawiającą. Ale gdzież teraz była? Może już odeszła? Może widziała, że on tak długo z Domuntówną rozmawia, i Bóg wie, co sobie myśli! Zdyszany i niespokojny przebiegł ogród i wpadł na podwórko. Anzelm w skurczonej trochę postawie na jedynej schodce małego ganku siedział, plecy o słupek opierając.

— Gdzie panna Justyna, stryjku? Tylko co tu była, a teraz nigdzie nie widać. Gdzie poszła? Może do domu?…

Stary ku brzegowi góry ręką rzucił.

— Zdaje się, że nad Niemen poszła…

Jan rzucił się już we wskazanym kierunku, kiedy go głos stryja zatrzymał.

— Janek! Poczekaj trochę! Posłuchaj! Czego ty latasz jak zwariowany i

rozum tracisz? Co z tego będzie? Czy z tego co będzie?

Mówił to z surowością, którą wielki niepokój pokrywał; Jan też przystanął zrazu i widać było, że słowa stryja zrozumieć usiłował, ale nie mógł, takie go niecierpliwości paliły i tak go coś z miejsca podrywało.

— Aj, aj! Stryjku! Niech już później! Czasu teraz nie mam! — zawołał i pędem puścił się we wskazaną stronę.

Zaledwie na krawędzi zielonej góry stanął, gdy niżej w połowie jej stoku, pod rozłożystą topolą srebrną białą suknię i czarne włosy w grona czerwonych jarzębin zdobne zobaczył. W mgnieniu oka obok Justyny stanął.

— Strasznie zląkłem się! — mówił — myślałem, że pani może już do domu poszła… bez pożegnania!

Justyna ruchem ręki ukazała mu roztaczający się przed nimi widok. Był on wspaniały i olśniewająco świetny. Blade słońce jesienne w momencie zachodu swego ustroiło się w takie blaski i barwy, jakich na zenicie nawet królując nie posiadało nigdy. Tarczy słonecznej widać nie było, bo kryła ją płachta złota, purpurą i fioletem zakończona, wyżej zaś po całym błękicie nieba rozsiały się puchy obłoków, szkarłatem i złotem nalanych i nierówne, podarte, krepowe niby smugi srebra i fioletu. Wszystko to było ruchome, niby żywe, płynęło, przelewało się, mieniło i jak w zwierciadle odbijało się w szerokich, przejrzystych, prawie nieruchomych wodach rzeki. Więc i ona od dalekiego zakrętu płynęła zrazu samym czystym złotem, a potem na dnie swoim ukazywała rozrzucone w nieładzie rubiny, opale, ametysty i agaty. Wydawała się rozwartą i kryształową szybą przysłoniętą kopalnią klejnotów. W zarzecznym borze, także blaskami przenikniętym, żółte pnie sosen wyraźnie oddzielały się od siebie, a pomiędzy nimi z dala nawet dostrzec było można krwistą rdzawość usychających paproci i dno lasu opływającą srebrzystość siwych mchów. Górą po koronach sosen, prawie czarnych, tu i ówdzie ślizgały się i kładły złote i seledynowe rąbki. Wszystko to zaś, niby zaklęty obraz, stało w zupełnej ciszy i pustce powietrza. Rybitwy, morskie wrony i jaskółki już w dalekie strony odleciały; inne ptactwo po gniazdach usypiało i tylko w rozłożystej topoli srebrnej czasem jeszcze ćwierkało coś, szeleściło i wnet milkło.

Jan patrzał na wodę, bór, niebo.

— Cudności! — rzekł.

— Cudności! — powtórzyła Justyna.

Spojrzeli na siebie i wnet znowu utopili wzrok w rozwartej u stóp ich kopalni klejnotów. Z nieba i spod wody padały na nich i od stóp do głów oblewały ich blaski gorące i świetne. Stali w nich nieruchomi, milczący, z tym wewnętrznym drżeniem, którym napełnia ludzi zbliżanie się wielkiej chwili ich życia. Tak nadlatujący z oddali wicher wstrząsa głębiny lasów i tak przed wzejściem słońca dreszcz rozkoszy i trwogi przebiega po obudzonej ziemi.

Zaczynali rozmawiać, ale rozmowa im nie szła; głosy cichły, czymś

przytłaczane, i słowa urywały się w połowie. Zdawać się mogło, że o czymkolwiek mówić zaczynali, wszystko nie było tym, o czym mówić pragnęli — a nie mogli. Jeszcze nie mogli. Pod ogorzałą skórą twarzy Justyny przepływały co chwilę rumieńce zawstydzenia; oczy Jana co chwilę zwracały się ku niej i nieśmiało lub z chmurną trwogą odwracały się w inną stronę. Było to tak, jakby oczekiwali, aby z nich spłynęły i na świecie przygasły te wielkie blaski, które każdy rys i każde drgnienie ich twarzy ukazywały z wypukłością rzeźby śród jaskrawego tła umieszczonej. Wkrótce też przygasać one zaczęły na niebie, a jednocześnie i wody rzeki powlekały się szarością, po której już tylko tu i ówdzie błądziły fioletowe lub czerwonawe smugi. Drzewa boru zmieszały się i utworzyły czarną, nieprzebitą dla oka ścianę. Zmrok przezroczysty łagodnymi falami spływać zaczął od gwiazd, które stopniowo pozapalały się na pociemniałym sklepieniu. Cisza panowała wielka.

Wtem wśród ciszy od dalekiego punktu okolicy doleciał przeciągły, kilka razy powtórzony okrzyk. Ktoś kogoś wołał. Niby w borze przyczajony duch psotny a smętny wołanie to porwał i niósł w głębie boru, powtarzając je długo, przeciągle, srebrnie.

— Echo! — szepnęła Justyna.

— Z tego miejsca, gdzie my teraz stoim, najlepiej echa słyszeć się dają — odpowiedział Jan i jakby towarzyszce przyjemność chciał zrobić, donośnie zawołał:

— Ho, ho!

Za rzeką po głębinach boru poniosło się długo, raźnie, wesoło:

— Ho, ho! Ho, ho! Ho!

Ostatni dźwięk doleciał tu już tylko przeciągłym, rozwiewnym westchnieniem.

— Niech pani teraz trochę z echem porozmawia! — poprosił Jan.

Zbliżył się do Justyny tak, że ramieniem rękawa sukni jej dotykał; w przytłumionym głosie jego czuć było, że drżał.

— La, la, la! — zawołała.

Śpiewnie, figlarnie echo aż pod koniec firmamentu[410] poniosło nutę:

— La, la, la, la, la!

Znowu jednak nie było to tym, o czym mówić chcieli.

— Panno Justyno! — zaczął Jan. — Niech pani echu powie to imię, które dla pani najmilsze jest na świecie! Proszę, proszę, na wszystko proszę zawołać tego, kto dla pani miły!…

Pod spadającymi na jej czoło listkami topoli stała prosta i tak wzruszona, że na chwilę oddech zatrzymał się jej w piersi. Aż nad coraz więcej ciemniejącą rzeką w coraz ciemniejszym powietrzu zabrzmiało imię:

— Janku!

Bór przeciągle, głośno, śpiewnie trzy razy odpowiedział:

— Jan-ku! Jan-ku! Jan-ku!

Justyna na rozśpiewany bór patrzała, lecz czuła, że kibić jej otacza

ramię drżące, niecierpliwe, a przecież jeszcze nieśmiałe. Zalękniona także, rumieńcem w zmroku płonąca, z uśmiechem zmieszania próbowała jeszcze z echem rozmawiać:

— Janku! — zawołała jeszcze.

Ale echo nie odpowiedziało, tak wołanie było ciche i tak prędko na jej ustach stłumił je pocałunek. Powoli uwalniając się z jego objęcia, twarzą w twarz przed nim stanęła, obie dłonie położyła mu na ramionach i dobrowolnie, z dreszczem szczęścia, z rozkoszą ufności i bez granic, głowę na jego pierś pochyliła.

— Królowo moja! Najdroższa! Jedyna! Czy moja ty? Czy moja? Moja?

— Na zawsze! — odpowiedziała.

Nad dalekim zakrętem Niemna jakby z wody wypłynął ognisty sierp wschodzącego księżyca, prędko powiększał się, zaokrąglał, podnosił, aż nad rzeką zawisł ogromną, pałającą tarczą. Gwiazdy gasły, świat tonął w ciszy i rozwidniał się łagodną, marzącą światłością. Pod srebrną topolą szemrały szepty tak ciche, że nie słyszał ich nawet człowiek, który w grubej kapocie i wielkiej, kosmatej czapce u szczytu góry pod rzędem lip nieruchomych siedział z głową opartą na ręku i twarzą ku księżycowi obróconą.

V

Nazajutrz wiele na raz gości Korczyn nawiedziło. Naprzód o dość wczesnej przedpołudniowej godzinie przed gankiem domu stanął zgrabny koczyk[411], z którego w najmodniejszym płaszczu i fantazyjnym kapeluszu wyskoczył Zygmunt Korczyński, kredensowego wyrostka, który na spotkanie jego wyszedł, niecierpliwie o stryja zapytując. Benedykt był w domu i zaprosił synowca do gabinetu, w którym też wnet słyszeć się dała wielce ożywiona rozmowa przez trzy głosy prowadzona. Zygmunt dowodził czegoś rozdrażnionym głosem, nalegał i prosił. Szło mu o to, aby Benedykt przekonać usiłował panią Andrzejową o konieczności wydzierżawienia, jeżeli już nie sprzedania Osowiec i wyjechania z nim za granicę. On z żoną za parę miesięcy wyjechać postanowił, ale żal mu matki i ma niejaki skrupuł pozostawiać ją samotną i w stanie ostrego, jak mówił, nerwowego rozdrażnienia. Benedykt o dawaniu podobnych rad bratowej słuchać nie chciał, wręcz odmawiał i synowca z powagą upominał; Witold wybuchał, mówił prędko, zdając się stryjecznego brata o czymś przekonywać i o coś go błagać.

W niespełna godzinę po przybyciu Zygmunta zgrabną najtyczanką[412] i pięknymi końmi do Różyca należącymi nadjechał Kirło. Przybywał widocznie od bogatego kuzyna, z Wołowszczyzny. Nie wiedzieć dlaczego, dla facecji zapewne i rozśmieszenia stojącej na ganku Leoni, na palcach i chyłkiem prawie do sieni wszedłszy, płaszcz, naśladujący te, które tego lata nosili Darzecki i Zygmunt, na wieszadłach umieścił, do Leoni się zwrócił i z palcem uroczyście podniesionym cicho zapytał:

— A panna Justyna śpi?

Dziewczynka odpowiedziała, że Justysi dziś jeszcze nie widziała, ale zapewne od dawna już ona nie śpi, szyje może albo ubiera się do zejścia na dół.

— Niechże nic ciężkiego na siebie nie kładzie — szepnął gość — aby jej lekko było pod sufit skakać…

Leonia szeroko oczy otworzyła.

— Dlaczegóż to Justysia skakać dziś ma aż pod sufit?

— Z radości, panno Leoniu, z radości! — uśmiechał się Kirło. — Zobaczy panna Leonia, jaka to radość dziś tu panować będzie, a potem… weselisko nastąpi… weselisko!

Zatarł ręce i dziewczynkę do najwyższego stopnia zaciekawioną poprosił, aby go matce swojej oznajmiła. Pani Emilia, zaledwie przed kwadransem obudzona, piła w łóżku kakao, lecz dowiedziawszy się o przybyciu miłego sąsiada, prosić go do buduaru[413] kazała, a sama pośpiesznie i ze staraniem, w biały, długi, bufami i koronkami okryty negliż przyoblekać się zaczęła. Kirło z kapeluszem w spuszczonym ręku, z

wydętym przodem koszuli, z tryumfującą postawą i tajemniczym wyrazem twarzy przez salon przechodził.

Na koniec podjechała pod ganek bryczka, prosta, trzęsąca bryczka przez parę fornalskich[414] koni ciągnięta, z parobkiem w siermiędze[415] na kozłach, znaczną ilością istot różnej płci i wieku napełniona. Napełniali ją: kobieta z głową i twarzą białym muślinem owiniętą, podrastająca dziewczynka w słomianym kapeluszu, dwaj chłopcy w szkolnych bluzach i śniade, czarnowłose, czteroletnie dziecko. Benedykt i Witold, przez okno poznawszy Kirłową, na spotkanie jej wybiegli. W sieni woalkę z głowy odwijając i gromadkę swą ukazując Kirłowa, bardzo zmieszana, mówiła:

— Przepraszam, bardzo przepraszam, że z taką gromadą przyjeżdżam, ale u Teofila dwa dni bawiliśmy wszyscy i stamtąd jedziemy. Na pół godzinki tylko zajechałam, aby moją Marynię zabrać i o ważnym interesie pomówić.

Pomimo zmieszania widocznie czymś uradowana była; ku małej Broni, która zaraz po wysadzeniu jej z bryczki chwyciła fałdy starej jedwabnej sukni matczynej, pochyliła się, twarz jej chustką z pyłu otarła, rozczochrane włosy, o ile się dało, przygładziła i na ziemi przysiadłszy związywała tasiemki nowych widocznie bucików. Gdy podniosła się z ziemi, Benedykt z uprzejmością wielką do salonu ją zapraszał. Widocznym było, że dla tej kobiety miał wiele szacunku, a może i współczucia. Ale Kirłowa wymawiać się zaczęła. Wiedziała, że panią Benedyktową fatygują wszelkie rozmowy i wizyty, uprzykrzać się więc nie chciała; przybyła tu zresztą tylko na pół godziny dla zabrania córki i pomówienia o interesie z gospodarzem domu i Justynką. Do nich dwojga tylko interes miała, więc może by gdzie na stronie, w ubocznym jakim pokoju… Benedykt wskazywał jej swój gabinet, ale w tejże chwili ze schodów zbiegła najstarsza córka Kirłowej, która od dni paru bawiąc w Korczynie, z Martą i Justyną w pokoju na górze mieszkała. Świeża, wesoła, rzuciła się matce na szyję i, rozszczebiotana, zaraz opowiadać zaczęła, jak wybornie bawiła się na weselu, o tańcach, w których udział brała, o śpiewach na Niemnie itd. Kirłowa z rozrzewnieniem na nią patrzała, dłonią gładząc jej jasne włosy.

— Pierwszy raz w życiu rozstaliśmy się na tak długo — do Benedykta się zwróciła — ale to dobrze, że dziecko zabawiło się trochę. U nas w Olszynce życie bardzo jednostajne i pracowite, a młodość rozrywki potrzebuje…

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy na schodach ukazała się Justyna i szybko ku Kirłowej podbiegłszy w rękę ją pocałowała. Od dawna już okazywała jej zawsze niezwykłe uszanowanie i sympatię mówiąc, że spostrzega w niej żywe podobieństwo do swej wcześnie utraconej matki. Ale dziś twarz młodej panny była tak rozpromieniona, taki wyraz pogody i szczęśliwego rozmarzenia okrywał jej śniade czoło i napełniał oczy, że Kirłowa z uwagą popatrzała na nią i szyję jej obejmując do ucha szepnęła:

— Domyślasz się, z czym przyjechałam… i wszystkie chmurki na suche lasy od ciebie frunęły! Cieszę się… O, jak cieszę się! Tak szczerze pragnę

twego szczęścia i jeszcze czyjegoś… czyjegoś!

Justyna nie odpowiedziała nic, tylko filuterny uśmiech przemknął jej po ustach i w źrenicach.

— A teraz, dzieci! — ku swojej gromadce zwróciła się Kirłowa — ruszajcie do ogrodu! Nim ja z panem Benedyktem i Justynką rozmówię się, popatrzcie sobie na śliczny korczyński ogród. Tylko cicho, grzecznie, nie hałasować, bo to by pani Benedyktowej przykrość zrobić mogło!

Chłopcy ruszyli się zaraz, Rózia małą Bronię za rękę wzięła, chcąc i ją uprowadzić. Ale dziecko przerażone oczy ku siostrze zwracając, obu już piąstkami spódnicę matczyną pochwyciło.

— Ja tu… ja z mamą! — z koralowych ustek wydobyła się prośba żałosna.

Kirłowa ramionami wzruszyła.

— Niech już zostaje… co z tym czarnym rozczochrańcem robić? Zresztą, takie to jeszcze małe i głupie, że wszystko przy nim mówić można. Nic nie zrozumie i nic nie powtórzy najpewniej!

Gromadka z najstarszą Marynią na czele ku ogrodowi ruszyła. Przez salon przechodzili wszyscy na palcach, bo zamknięte drzwi od pokojów pani Emilii sprawiały na nich rodzaj groźnego i uroczystego wrażenia. Witold, który dnia tego po raz pierwszy młodziutką przyjaciółkę swoją zobaczył, do ogrodu też za nią pobiegł. Zygmunt, niedbale ręce w tył założywszy, powoli, sztywnie po pustym salonie przechadzać się zaczął.

W gabinecie Benedykta Kirłowa przy stole, na którym leżało kilka książek Witolda, usiadła; u kolan jej przykucnęła Bronia, której różowa sukienka i śniade, nagie ramiona wypukle odrzynały się na tle czarnej matczynej sukni. Justyna obok, a gospodarz domu naprzeciw gościa miejsce zajęli. Zaledwie przecież Kirłowa, ze zmieszania i ze wzruszenia aż po brzegi jasnych włosów zarumieniona, kilka słów wybąknąć zdołała, we drzwiach stanęła pani Emilia, białym, długim, koronkami okrytym peniuarem[416] opłynięta i w szczególny sposób ożywiona. Za nią ukazał się Kirło, z kapeluszem w ręku, uśmiechnięty, tryumfujący, zza niego zaś, z miodową błogością w błękitnych oczach, z plastrem na szczęce, a jesiennym kwiatkiem w rudym warkoczu, wysunęła się Teresa. Podlotek zaś zgrabny, ufryzowany, wystrojony, z bladawą twarzyczką, od kilku już chwil w kątku niepostrzeżenie przykucnąwszy, szeroko z ciekawości oczy otwierał.

Gospodyni domu, ze zwykłą sobie słodyczą gościa powitawszy, opuściła się na stojący u biurka fotel mężowski.

— Mam nadzieję — z cicha i tonem prośby przemówiła — że państwo pozwolicie mi wziąć udział w swojej poufnej rozmowie. Wiem, że idzie tu o los Justynki, który mnie także obchodzi…

Teresa, nie mówiąc nic, w nieśmiałej postawie za przyjaciółką stanęła. Wszakże tu mowa o miłości być miała! Wszak tu o miłość szło! Wiedziała o tym, i postawą, wejrzeniem, splecionymi dłońmi błagać zdawała się, aby jej

stąd nie oddalano. Kirło we dwoje giął się przed Justyną i tak mocno usta do ręki jej przylepił, że aż ją cofnąć musiała.

Kirłowa, tym powiększeniem się towarzystwa do najwyższego stopnia już zmieszana, rumieniła się i niespokojnie poruszała się na krześle. Po chwili jednak, używając całej swojej odwagi i energii, głośno przemówiła:

— Moi państwo! Tego, z czym przyjechałam, w bawełnę obwijać nie będę. Prosto z mostu najlepiej! Posłem jestem. Kuzyn mój, Teofil Różyc, prosi przeze mnie o rękę Justynki. Osobiście nie oświadcza się dlatego, że to by go zanadto wzruszyło i zdenerwowało, a przy tym niepewny jest, jaką odpowiedź otrzyma, ale jeżeli tylko będzie ona pomyślna, natychmiast sam przyjedzie… natychmiast!

Nikogo słowa te nie zadziwiły, bo wszyscy już je przewidywali. Pani Emilia jednak splotła śliczne ręce i słabym głosem zawołała:

— Co za szczęście dla Justynki! Jakże piękne, szlachetne, wzniosłe jest postąpienie pana Różyca!

Teresa wydawała się wniebobrana; Kirło na krześle siedząc, naprzód nieco podany, postawą, oczami, uśmiechem cieszył się i tryumfował. Na twarzy Justyny najlżejsze nie odbiło się wzruszenie; powieki miała spuszczone i zamyślony uśmiech na ustach. Kirłowa, po chwilowym milczeniu znowu na odwagę się zebrawszy, mówiła dalej:

— Teofil szczerze upodobał Justynkę i zdaje mi się, że krok, który czyni, najlepiej tego dowodzi. Jestem pewna, że byłaby z nim ona szczęśliwa, bo to złote serce i głowa też nie byle jaka… Jednak zanim przyrzekłam, że tu posłem od niego zostanę, otwarcie i stanowczo mu powiedziałam, że wszystko o nim Justynce powiem, całą prawdę… Jeżeli o wszystkim wiedząc zgodzi się tego biedaka wyratować i uszczęśliwić, to dobrze; jeżeli nie, to cóż robić? Ale ja oszukiwać nikogo za żadne skarby świata nie mogę. Teofil zgodził się, a nawet prosił mię, abym Justynkę o wszystkim uprzedziła…

— Cóż? Burzliwa przeszłość? Zmarnowany majątek? — tonem zapytania rzucił Benedykt.

Kirło usta krzywił, ręką znaki niezadowolenia dawał pomrukując:

— Niepotrzebnie! Niepotrzebnie! Głupie skrupuły!

Na twarz Kirłowej wystąpił wyraz wielkiego zmartwienia. Zmąconymi oczami po obecnych wodziła. Widoczne było, że wolałaby przed mniejszą znacznie kompanią mówić. Nie było jednak rady. Wszyscy obecni znajdować się tu mieli prawo.

— Nie — na zapytanie Benedykta odpowiedziała — nie to wcale! Majątek jest jeszcze piękny, można powiedzieć, wielki, a przeszłość… no! Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Jaką ona była, to była, ale żałuje on jej teraz i wyratował z niej jednak swoje złote serce. Jest rzecz inna… Teofil… Teoś…

Zająknęła się, zarumieniła się ogniściej niż kiedykolwiek i szeptem prawie dokończyła:

— Teoś jest mor… morfi… Boże, jakże się to nazywa? Zawsze

zapominam!... mor... morfinistą!

Benedykt wielkimi oczami na nią patrzał.

— A cóż to za diabeł? — zapytał. — Nigdy nie słyszałem...

Cicho, jąkając się, z wielkim żalem Kirłowa wyszeptała to, co o tym przedmiocie od kuzyna swego wiedziała, usprawiedliwiać go usiłując. Chorował bardzo przed paroma laty, zagraniczni doktorowie ten przeklęty zwyczaj mu zaszczepili...

Benedykt wąsa w dół pociągnął.

— Prosto z mostu mówiąc... pijakiem jest! — sarknął.

Kirłowa aż wstrzęsła się, tak ją wyraz ten zabolał. Ależ doprawdy, on nie winien, że go ten wielki świat do tego doprowadził i wielka fortuna na takie pokuszenia i awantury naraziła. Pragnie wyleczyć się, próbował już nieraz, bo wstyd mu samego siebie i życia młodego żal... ale dotąd nie mógł. Chyba go kobieta, którą pokochał, uleczy... klin klinem wybijać najlepiej... Szczęśliwy się czując nudzić się przestanie, domowe, porządne, regularne życie powróci mu zdrowie i chęć do zajęcia się majątkiem. Justynka prawdziwe zadanie siostry miłosierdzia spełnić przy nim może, jeżeli ją to, o czym dowiedziała się, nie zraziło...

Tu pani Emilia splecione ręce w górę wzniosła.

— Zrażać! O Boże! — zawołała. — To, o czym dowiedzieliśmy się, czyni pana Różyca więcej jeszcze interesującym... obudza jeszcze żywszą dla niego sympatię, bo świadczy o naturze pragnącej wyrwać się z więzów szarej rzeczywistości, upajać się choćby snami o tym, co piękne, wzniosłe, poetyczne! Z takim człowiekiem dzielić życie, razem z nim kochać, marzyć...

— Może i upijać się! — mruknął pod wąsem Benedykt, którego oświadczyny te najmniej zdawały się zachwycać.

— To prawdziwe szczęście! — dokończyła pani Emilia.

— Doprawdy! Od takiego szczęścia umrzeć można! — za poręczą fotela zadzwonił cienki głosik Teresy.

— Fortuna pańska... nazwisko piękne... stosunki... co to i mówić! — z błogim uśmiechem szeptał Kirło.

Kirłowa zaś ze łzami w oczach zwróciła się do Justyny:

— Złote ma serce, kobietę poczciwą i przywiązaną ocenić i uszczęśliwić potrafi. Gdybyś ty, Justynko, wiedziała, jaki on dla nas dobry! Inny na jego miejscu i znać by nie chciał ubogich krewnych, a on przyjacielem jest, prawie bratem i... dobroczyńcą nawet, bo wiesz? Czemuż bym do tego przyznać się nie miała? Bieda przecież wstydu nie czyni! — chłopcami naszymi zaopiekować się przyrzekł i w szkołach za nich płacić... raz już za jedno półrocze zapłacił, ale to nic nie znaczy — wobec serca i przychylności! Bronkę naszą bardzo lubi i czasem na rękach ją nosi... Onegdaj przyjechał do Olszynki i jak zaczął nas prosić: „Przyjedźcie wszyscy do Wołowszczyzny na parę dni przynajmniej!” Toteż całe dwa dni bawiliśmy teraz u niego całą gromadą, a jak on nas przyjmował!... O

przysmaki i inne pańskie przyjemności mniejsza… ale sam usługiwał nam, z dziećmi bawił się i chwilami tylko w tę swoją nieszczęsną apatię wpadał. Złote serce i bardzo biedny człowiek… choć bogaty!

Wilgotne oczy otarła i do Justyny zwrócona, wpółproszącym, a wpółzniecierpliwionym tonem zapytała:

— Cóż, Justynko?

Co zdarzało się bardzo rzadko, pani Emilia wybuchnęła:

— Ależ naturalnie, że Justynka przyjmuje… to cud prawdziwy… niespodzianka losu…

— To już chyba święty Antoni sprawił!… — zadzwoniła Teresa.

— Ja zawczasu, zawczasu przyszłej pani Różycowej do nóżek się ścielę! — z niskim na krześle ukłonem umizgnął się Kirło.

Benedykt milczał, wąs na palec zakręcił, aż z kolei zapytał:

— Cóż, Justynko? Mówże!

Justyna podniosła powieki; była zupełnie spokojna i przyjazne wejrzenie na Kirłową zwracając, z lekkim ku niej ukłonem zaczęła:

— Bardzo wdzięczna jestem panu Różycowi za jego uczciwe i zobowiązujące względem mnie postąpienie. Wiem jednak, że niemało namów i wpływów trzeba było na to, aby go do tego kroku nakłonić; domyślam się też, że niemało walczyć z sobą musiał, nim się na ten krok zdecydował. Zupełnie to zresztą rozumiem. Ani położenie moje, ani wychowanie, ani przyzwyczajenia i gusta nie czynią mnie odpowiednią dla niego towarzyszką życia. Na wielką panią i światową kobietę nie mam kwalifikacji żadnych ani też żadnej do takiego stanowiska pretensji[417]…

— Tym więcej, tym więcej ocenić powinnaś to bohaterstwo miłości — wtrąciła pani Emilia.

— Tym większy w tym cud Opatrzności Boskiej! — zawtórowała Teresa.

— Wszystko to — ciągle do Kirłowej zwrócona kończyła Justyna — już by mi przyjęcie tej ofiary, za którą jednak wdzięczną jestem, niemożliwym uczyniło… ale najważniejszą i stanowczo w tym wypadku rozstrzygającą rzeczą jest to, że od wczoraj jestem zaręczona…

Na chwilę oniemieni, wszyscy obecni jednogłośnie zawołali:

— Co? Kiedy? Jak? Z kim? Z kim?

Justyna powstała. Coś ją z krzesła podniosło i warem oblało.

— Z sąsiadem Korczyna, właścicielem kawałka ziemi w bohatyrowickiej okolicy, z panem Janem Bohatyrowiczem! — wypowiedziała z wolna, głosem trochę od wzruszenia drżącym.

Teraz dopiero w obecnych uderzył grom zdumienia. Pokój napełnił się wykrzykami:

— Co to? Jak to? Kto to? Żartujesz? Ona żartuje! Pani żartuje!

Widać było jednak po Justynie, że nie żartowała wcale. Brwi jej ściągnęły się, z podniesioną głową, błyskającym wzrokiem po obecnych wodziła. Na koniec Benedykt ręką machnął.

— A poczekajcież, państwo! — zawołał — niech ja się u niej o wszystko

rozpytam!

Do siostrzenicy się zwrócił:

— Nie żartujesz, Justysiu? Serio mówisz? Zaręczyłaś się naprawdę z jakimś Bohatyrowiczem?

Pokazała mu swoją rękę.

— Widzisz, wuju, pierścionka matki mojej na palcu nie mam. Wczoraj mu go oddałam. Serce, ręka i przyszłość moja do niego należą.

Benedykt dziwnie jakoś czmychnął, coś zamruczał, na siostrzenicę popatrzał i znowu zapytał:

— Jakimże wypadkiem poznać się z nim mogłaś?

Trochę smutny uśmiech po ustach jej przebiegł; pilnie przez kilka sekund wujowi w oczy popatrzała.

— Prawda, wuju, że tylko wypadkiem my i oni poznawać się z sobą możemy!

— No, no! — mruknął Benedykt. — Te filozofie co innego, a twój los co innego! Czy zakochałaś się w tym człowieku, ha? Naprawdę kochasz go?

Znowu jakby elektryczna iskra w serce jej uderzyła, płomień na czoło a wilgoć w oczy rzucając. Podniosła głowę.

— Kocham go z całego serca i jak w to, że żyję, wierzę, że jestem kochana — odpowiedziała.

Pani Emilii zrobiło się niedobrze. Nagle i niespodziewanie globus[418] do gardła podchodzić jej zaczął. Zdławionym głosem i z oczami już łez pełnymi zawołała jednak:

— Justynko! Jak to? Ty taka dumna! Ty, co przez dumę nic ode mnie przyjąć nie chciałaś, kiedy ja ciebie, jak wypadało, ubierać pragnęłam! Ty, co przez dumę najniewinniej zażartować z siebie nie pozwalałaś! Ty odrzucasz teraz los świetny, wysokie stanowisko w świecie, a wyjść chcesz za chłopa… tak! Za chłopa… O Boże! Cóż to za tajemniczość! Jakie zagadki serc ludzkich!

Justyna uśmiechała się.

— Zagadki w tym żadnej nie ma — odpowiedziała. — Właśnie dlatego, że dumna jestem, nie chcę być wzięta za żonę przez wspaniałomyślność i bohaterstwo, przez cud Opatrzności albo świętego Antoniego, z łaski, z namowy… Wolę zawdzięczać byt i szczęście sercu człowieka, który mnie kocha, i wspólnej z nim pracy…

— Androny! — zawołał Benedykt. — Te wszystkie cuda, tajemniczości, zagadki za grosz sensu nie mają! Podobała się paniczowi poczciwa i przystojna dziewczyna — cud szczególniejszy! Dziewczyna zakochała się w ładnym i może poczciwym chłopcu — także mi tajemniczość i zagadka! Wszystko to funta kłaków niewarte! Co w tym jest rzeczywistego, moje dziecko — do Justyny się zwrócił — to to, że może nie znasz dobrze tego życia, na które się decydujesz…

— Poznałam je z bliska i dobrze, mój wuju…

— Poczekaj! A praca! Czy ty wiesz, jaka cię praca tam czeka?

Tym razem uniosła się.

— Ależ, mój wuju — z mocą odparła — brak pracy właśnie był mi od dawna trucizną i wstydem. O, jakże wdzięczna jestem temu, który mnie pod niski, ale własny dach swój biorąc daje nie tylko zadowolenie serca, ale zajęcie dla rąk i myśli, zadanie życia, możność dopomagania komuś, pracowania na siebie i dla innych!…

Oczy Benedykta miękły, rozjaśniały się, coraz cieplejszym wejrzeniem w twarzy krewnej tkwiły. Wahającym się przecież głosem zaczął jeszcze:

— No… a z tą… z tą niestosownością umysłową jakże będzie?

— Nie ma jej, mój wuju; kto by tu niestosowność tę znalazł, sądziłby z pozorów. Uczoną nie jestem ani arystokratką; żadnych niepospolitych zdolności ani talentów nie mam i tylko tyle rozsądną jestem, by to znać i wiedzieć. Z tego, co umiem, bez wahania i żalu odrzucę to, co ani mnie, ani, jak mi się zdaje, nikomu pożytku by żadnego nie przyniosło. A jeżeli światła, z łaski twojej, mój wuju, otrzymanego, zostanie mi jeszcze trochę więcej niż on… niż oni go posiadają…

Wzruszenie głos jej zatamowało; drżącymi ustami, ale z rozpromienionym czołem dokończyła:

— Z jakimże szczęściem pomiędzy nich je wniosę!… O! Z jakim szczęściem trzymać będę nad nimi ubogą moją lampkę, aby tylko im trochę widniej, jaśniej, weselej było!…

Benedykt wstał. Wąsa do góry podkręcał.

— Wy, młodzi, wszyscy teraz w jedną dudkę gracie! Ale — dodał — macie rację… nie ma co mówić! Macie rację!

Pani Emilia uczuła kłucie w łopatkach, w boku, w piersi, wszędzie, i tyle tylko miała siły, aby zawołać:

— Tereniu! Pomóż mi podnieść się! Tereniu!

Teresa pośpiesznie z fotela wstać jej dopomogła i ku drzwiom ją uprowadzała. Kirło — co w wypadkach podobnych nie zdarzało się nigdy — ku osłabłej i rozbolałej gospodyni domu żadnego poruszenia nie uczynił. Jak do krzesła przykuty, jak skamieniały siedział, z ustami rozwartymi, z osowiałym wzrokiem. Nie rozumiał tego, co zaszło, co dokoła niego mówiono; po prostu nie rozumiał. Nie mógł ani dziwić się, ani gniewać, ani oburzać, bo wszystkie myśli z głowy mu pouciekały, oprócz jednej, uporczywie po niej krążącej:

— Teoś Różyc harbuza dostał… on, Różyc, dziedzic Wołowszczyzny, siostrzeniec księżny, harbuza dostał od tej… tej…

Ustami poruszył i z cicha wymówił:

— Teoś harbuza dostał…

Na kształt automatu z krzesła wstał i z kapeluszem w spuszczonym ręku, z otwartymi ustami i osowiałym wzrokiem przez salon przechodził. Otwierając drzwi do buduaru pani Emilii znowu powtórzył:

— Teoś harbuza dostał…

Do salonu zaś z impetem wbiegał z ogrodu Witold. Przed paru

minutami niepostrzeżenie, leciuchno Leonia z gabinetu ojca wyfrunęła, przez salon przebiegając kilkanaście słów wyszczebiotała do Zygmunta, który tam przy stole stare albumy i ilustracje przeglądał, i z ganku zbiegłszy, w ogrodzie na cały głos wołać zaczęła:

— Widziu! Widziu!

Wszystko, co z kątka gabinetu wysłuchała, bratu opowiedziała i tu zadanie swoje już spełniwszy, po schodach na górę do Marty frunęła. Witold zaś, siostry wysłuchawszy, pędem do domu wpadł, Zygmunta w osłupiałej postawie pośród salonu stojącego minął i do gabinetu wbiegłszy Justynę za obie ręce pochwycił:

— Justynko! Duszko! Siostrzyczko! Ja trochę spodziewałem się tego, ale tylko trochę, bo myślałem, że Buszmanka górę w tobie weźmie i pięknych tatuażów pożałujesz… Zdecydowałaś się więc tego zacnego chłopca uszczęśliwić, pracownicą drogiej ziemi naszej zostać, światło swoje pomiędzy biednych braci wnieść! Brawo! Winszuję! Cieszę się, ach, jakże się cieszę!

I porwawszy ją wpół, śmiejąc się, w ręce ją całując, dwa razy się z nią dokoła pokoju okręcił. Ale potem spoważniał i ręce krewnej silnie w swoich ściskając, serdecznie w oczy jej patrzał:

— Pamiętaj — rzekł — że masz we mnie brata, nie tylko ze krwi, ale i z ducha. Wspólnikami i nawzajem pomocnikami sobie będziemy. Za przyjaciela i brata miej mnie… miejcie mnie oboje!

Benedykt z tą pogodą, która od kilku dni pomarszczoną jego twarz łagodziła i wygładzała, na uniesienie syna patrząc uśmiechał się.

— Facecja! Facecja z tymi młodymi! — pod długim wąsem mruczał. — Myślą, że świat do góry nogami wywrócą i cudów dokonają… a!

Smutek przyćmił mu oczy; ręką machnął.

— Cóż, Justynko? — odezwał się. — Czy to jest stanowcze postanowienie twoje?

— Tak stanowcze — odpowiedziała — że nic w świecie, nawet twoja wola, mój dobry wuju i opiekunie, odwieść mnie odeń nie zdoła.

Pochyliła się w ręce go całując. On głowę jej do piersi przycisnął.

Wtedy i Kirłowa z krzesła się podniosła i mówić chciała, ale tym ruchem obudziła małą Bronkę, która wstając zaplątała się o rozwiązane tasiemki bucików, i jak długa u stóp matki upadła. Że jednak zdarzało się jej to bardzo często, więc najlżejszego głosu z siebie nie wydając, na czworakach naprzód stanęła, potem całkiem wstała i ciemne, drobne, obnażone ramiona rozkładając, z powagą wymówiła:

— Mamo, do domu!

Ale Kirłowa wcale ani na upadniecie jej, ani na objawione przez nią życzenie nie zważając, do Justyny podeszła i za ręce ją wzięła. Twarz miała całą w ogniu i łzach.

— Żal mi, wielki żal biednego i dobrego kuzyna mego! — zaczęła. — Jednak nie umiem kłamać: może i rozumnie postąpiłaś, dobrze wybrałaś…

może i szczęśliwa będziesz…

Ucałowała ją serdecznie.

— Kiedy rozgospodarzysz się już w swojej chacie — cicho szeptała — oddam ci moją Rózię… do twojej chaty ją oddam, aby ci pomocnicą i uczennicą była, a własnymi rękami pracować przy ziemi uczyła się i przywykała…

Przez łzy uśmiechała się i jeszcze ciszej dodała:

— A może z czasem znajdziesz tam dla niej, jak dla siebie znalazłaś, jakiego ładnego i poczciwego chłopca… Wiesz co? Dla biednych dziewcząt, które ani hrabinami, ani doktorkami zostać nie mogą, dobry to los… jedyny może los…

Jeszcze coś chciała do ucha Justynie szeptać, ale uczuła się silnie za suknię pociągnięta. Mała Bronia u stóp jej śniade ramionka szeroko rozłożyła i ze wzniesionymi ku niej, czarnymi jak węgle oczami z powagą powtórzyła:

— Kiedyż, mamo, ja chcę do domu!

Istotnie, Kirłowej pora było wracać do domu, gdzie ją różne zajęcia i kłopoty oczekiwały; musiała przy tym dziś jeszcze choć na chwilę do Wołowszczyzny zajechać. Poszła więc z Witoldem do ogrodu gromadki swojej szukać. Benedykt do odchodzącego syna zawołał:

— Powiedz tam komu, Widziu, aby Martę do mnie poprosił.

A do Justyny zwrócił się:

— Ojcu mówiłaś już o tym?

Nie miała jeszcze na to czasu, bo Orzelski późno wstawał i długo w swoim pokoju jadł śniadanie, a kiedy jedzeniem był zajęty, o niczym z nim rozmawiać nie było można.

— Idźże do niego teraz i powiedz… zawsze to ojciec! A ja z Martą pomówić muszę… rozpytać się!

Justyna przeszła pustą salę jadalną i kierowała się ku schodom na górę prowadzącym, gdy usłyszała wymówione za sobą swoje imię. Obejrzała się i zobaczyła Zygmunta, który u ściany stojąc zwracał ku niej twarz widocznie pobladłą i przerażoną.

— Czego sobie życzysz, kuzynie? — zapytała.

— Chwili rozmowy z tobą… na wszystko, co ci jest świętym na ziemi, o chwilę rozmowy cię proszę!

— Owszem — z obojętną grzecznością odpowiedziała i zbliżyła się ku niemu.

— Kuzynko! Czy to prawda… czy prawda, że odmówiłaś Różycowi, a wychodzisz za jakiegoś… jakiegoś… *que sais-je*? Zagonowca… chłopa?

— Prawda — spokojnie odrzekła.

— Wielki Boże! Taki mezalians[419]… taki mezalians popełnić, to narazić się na wieczną niezgodę myśli i gustów, wiesz? Jest to popełnić niemoralność!

Bystro, z nietajoną ironią w twarz mu popatrzała.

— Czy mnie słuch myli, czy istotnie ty, kuzynie, ty… o zgodę w małżeństwie i o moralność troskę swą wyrażasz?

Zmieszał się trochę, ale wzburzenie i przerażenie z twarzy i postawy mu nie ustąpiło. Był, jak zwykle, żurnalowo ubrany, ale na tę chwilę żurnalową poprawność i sztywność utracił. Justyna odejść chciała, on rękę jej, którą ona wnet usunęła, pochwycił.

— Cóż więcej? — zapytała chłodno.

— To — zawołał — że odgaduję cię, odgaduję wybornie motywy, pod których wpływem szalonego tego kroku dokonać postanowiłaś. Rozumiem… chcesz ścianą nieprzebytą rozdzielić się z dawnym wspomnieniem… z dawnym uczuciem… ze mną! Gdybyś za Różyca wyszła, należelibyśmy do jednego świata, musielibyśmy spotykać się z sobą… widywać… Więc uciekasz w inną sferę… mieszasz się z motłochem dlatego, aby zniknąć dla mnie, abym ja zniknął dla ciebie!

Patrzała na niego szeroko otwartymi oczami, znaczenia słów jego zrazu formalnie zrozumieć nie mogąc, a potem własnym jakby uszom nie dowierzając.

On miotał się i, szczerze przerażony, temperament swój i zwykły układ zmieniać się zdawał. Za głowę się schwycił.

— Nie czyń tego! Zaklinam cię! Nie gub siebie i nie obarczaj tak strasznie mego sumienia… Jak widmo zamordowanej przeze mnie istoty zawsze widziałbym cię przed sobą! Zlituj się nade mną i nad sobą samą! Przyrzekam ci, że oddalę się, że unikać cię będę, że niczym nie narażę cię na walkę, która straszna w tobie być musiała, skoro cię aż do tak rozpaczliwego kroku przywiodła!

Teraz dopiero zrozumiała, uszom swoim uwierzyła; tysiąc daremnie wstrzymywanych uśmiechów na twarzy jej zadrgało, aż parsknęła głośnym, do powstrzymania niepodobnym, jak srebro dźwięcznym śmiechem. Był to śmiech młodej piersi i szczęśliwej duszy, tak szczęśliwej, że byle co wywołać z niej mogło dziecinną prawie wesołość. Z tym śmiechem jak z perlistą, nieposkromioną gamą odwróciła się od niego, sień przebiegła i na schody szybko wstępować zaczęła. Zniknęła już za załomem schodów, a śmiech jej jeszcze w wielkiej sieni słyszeć się dawał, chociaż zmieszały się z nim figlarne także, to *staccato*[420], to znów allegro[421] wygrywane, dźwięki skrzypiec. Zygmunt wyprostował się, usta trochę otworzył, według zwyczaju, którego nabierać zaczynał, własną, zaokrąglającą się postać wzrokiem obrzucił i przez zęby syknął:

— Prostaczka!

W niewielkim pokoju, pomiędzy łóżkiem z rozrzuconą pościelą a stołem okrytym przyborami do golenia się i ubierania, Orzelski w kwiecistym, przybrudzonym szlafroku na skrzypcach grał. Okno było otwarte; błękitne oczy grającego przesuwały się po widzialnych przez nie szczytach drzew, uśmiechał się, na palcach nóg czasem stawał, jakby z falami tonów w górę leciał; wiatr przez okno wlatujący podnosił mu i kołysał nad głową białe jak

mleko włosy.

Justyna z oczami jeszcze pełnymi śmiechu, który tylko co w piersi jej umilkł, gorąco zarumieniona, do zatopionego w muzyce ojca podeszła.

— Mój ojcze — rzekła — mam do pomówienia z ojcem o czymś ważnym, bardzo dla mnie i dla ojca ważnym.

Grać nie przestając, z roztargnieniem na nią spojrzał.

— Co tam takiego? Aha! Wiem… pan Różyc… ale poczekaj! Niech wprzódy te… serenadkę skończę!

Justyna przy oknie usiadła, czekała, a dźwięki serenady długo jeszcze to *staccato*, to *allegro*, to znów *andantissimo*[422] rozlegały się po pokoju. Na koniec skończył, ustami cmoknął i koniec smyczka całując uśmiechnął się błogo.

— A co?… caca te… serenadka!

Tymczasem wkrótce po odejściu Justyny bocznymi drzwiami do gabinetu Benedykta wsunęła się Marta. Nie weszła jak zwykle ze stukiem i impetem, ale wsunęła się dziwnie cicho, zmieszana, ciemną chustką otulona.

— Przysłałeś po mnie, Benedykcie — zaczęła — ale ja bym i sama przyszła, bo wielką prośbę mam do ciebie… tylko nie wiem… słowo honoru, jak to powiedzieć…

— Cóż? Może i ty zaręczyłaś się z jakim ładnym chłopcem? — zażartował Benedykt.

Ręką machnęła, naprzeciw krewnego na brzeżku krzesła usiadła.

— Tak już głupia nie jestem, aby o takich rzeczach myśleć… — z dziwną pokorą i uciszeniem odpowiedziała — ale widzisz… Justynka za mąż wychodzi i jeżeli zgodzisz się… pozwolisz, ja przy niej, w jej… w ich chacie zamieszkam sobie…

— Co, co? — zawołał Benedykt.

— Słowo honoru! Bardzo chcę przy nich zamieszkać — ze spuszczonymi oczami i splecionymi na kolanach rękami mówiła dalej. — Chleba darmo im jeść nie będę, bo i doświadczenie w gospodarstwie mam, i siły do pracy jeszcze trochę… Im, gołąbkom, moje ręce przydadzą się, a może i głowa cokolwiek doradzi… A tu ja niepotrzebna… wieczny smutek! Niepotrzebna nikomu… nikomu… nikomu…

— Jak to niepotrzebna? Co ty wygadujesz? — niecierpliwić się zaczął Benedykt.

Głową z wysokim grzebieniem silnie wstrząsając twierdziła:

— A niepotrzebna! Cóż? Dzieci podorastały… twojej żonie nigdy dogodzić ani przypodobać się nie mogłam… a co do gospodarstwa… wielkie rzeczy! Ochmistrzynię sobie na moje miejsce weźmiesz… Justynka zaś sprzyja mnie, lubi… ona zawsze najwięcej ze wszystkich mnie lubiła… Przy tym i tych ludzi, pomiędzy których ona idzie…

Zająknęła się, palcem po wilgotnej rzęsie powiodła.

— I tych ludzi znałam kiedyś… lubiłam… sam los mnie kiedyś do nich

prowadził... ale go nie posłuchałam, nie poszłam... za to teraz pójdę, popracuję z nimi trochę, a potem pewno już niedługo, oni dla mnie sami cztery deski zbiją i na mogiłki sami poniosą... ot, czego mi chce się... Justynka i Janek za dwa miesiące pobrać się postanowili... przez ten czas, ty Benedykcie, ochmistrzynię sobie znajdziesz... Uf! Nie mogę!

Zakrztusiła się i zakaszlała.

Benedykt patrzał, słuchał, aż wybuchnął:

— Facecja! Niedługo cały Korczyn do Bohaterowiczów się przeniesie! No — z uśmiechem dodał — już chyba tylko moja żona i panna Teresa tam nie pójdą!

Wstał, do Marty zwrócił się.

— Co ty wygadujesz? Jakie głupstwo do głowy ci przyszło! Ty tu niepotrzebna! Boże kochany! A toż my z tobą od dwudziestu kilku lat we dwoje pracujem! Tylkoż nas tu dwoje pracujących było! Niepotrzebna! A cóż ja bym był począł, gdybym ciebie przy sobie nie miał? Toż ja nie tylko swojej, ale i twojej pracy zawdzięczam, że utrzymałem się przy Korczynie! Kobieta uczuciwa, pracowita; rządna, życzliwa w domu i w gospodarstwie — bagatela! Niepotrzebna! Ależ ty dzieci moje na rękach swych wynosiłaś i wyhodowałaś! Ty je jak matka i... za matkę... kochałaś i pieściłaś: a nie po głupiemu pieściłaś! Witold wiele ci winien, bo dobre, ludzkie rzeczy w głowę mu kładłaś... Moja Marto, za przyjaciółkę cię zawsze miałem i serdecznie cię lubiłem, tylko, widzisz, kłopoty i różne biedy takim ponurym i smutnym mię były zrobiły, że i okazywać mi się nie chciało tego, co czułem. Alem ja wdzięczen ci, do grobu wdzięczen, i nie puszczę cię od siebie, jak sobie chcesz, nie puszczę... Facecja! Ona niepotrzebna! Przez całe życie jak wół pracowała i niepotrzebna! Jej nikt tu nie lubi! A ja? Wyhodowaliśmy się razem, pracowaliśmy razem...

Szerokimi krokami po pokoju chodził, wąsy w dół pociągał, ramionami rozmachiwał. Marta podniosła na niego swoje czarne, bystre, ogniste oczy, które z kolei napełniały się wyrazem zadziwienia, rozczulenia, radości.

— Królu mój! — zawołała. — I ty doprawdy tak myślisz, jak mówisz? Ty nie z litości nad starą krewną, nie z grzeczności tak mówisz?

— Ależ, jak Boga kocham! — krzyknął Benedykt. — Upamiętaj się! Sama pomyśl!...

— Boże mój, Boże! — zawołała i w zwykły już sobie sposób jak wicher porwała się z krzesła, do krewnego przypadła, ręce jego pochwyciła.

— Królu mój! Braciszku! Otożeś mnie uszczęśliwił! Wieczna pociecha! A ja myślałam, że stary grat ze mnie, nikomu tutaj niepotrzebny, a wszystkim obrzydły! Ty bo nie wiesz, braciszku, co to jest życie przebyć bez serca kochającego przy sobie, bez dobrego słowa ludzkiego! Wieczny smutek mnie jadł, tęsknota, ponurość taka, że wolałabym czasem w grobie gnić! I perswadowałam sobie, a ciągle gryzło żądanie, aby dusza jaka serdecznie mi sprzyjała, aby komu do życia i szczęścia przyczynić się! Chciałam spróbować tam... Ale teraz już nie chcę... słowo honoru, nie chcę, nie

pójdę… Wieczny śmiech! Po cóż ja mam stąd iść, jeżeli tobie potrzebna jestem i jeżeli ty mnie, jak brat siostrę, lubisz?… Oj, królu mój, jakże ty mnie pocieszyłeś, jak uszczęśliwiłeś! Wieczna pociecha!

Garnęła się do niego, w ramiona go całowała, płakała, aż zakaszlała się tak, że przez minut parę do słowa przyjść nie mogła.

— Teraz — uspokoiwszy kaszel zaczęła — teraz, braciszku, musisz pozwolić, abym parę koni na parę dni ci zabrała… Do miasta pojadę, do doktora… leczyć się muszę, aby ci jeszcze móc jak najdłużej służyć… Ze trzy lata już temu przeziębiłam się, w piwnicy warzywa na zimę układając, ale nie dbałam o to. „Po co mam leczyć się? Na co? Wieczny smutek!'' — myślałam. I ambarasu nie chciałam nikomu robić… Czasem i bardzo źle ze mną bywało, taiłam się z tym jak z grzechem śmiertelnym… „Im prędzej, tym lepiej!'' — myślałam. Ale teraz co innego. Jeżelim ja tobie potrzebna, jeżeli ty mnie lubisz i szanujesz, leczyć się muszę, aby jak najdłużej ci służyć, a może jeszcze… Uf, nie mogę!

Śmiała się i kaszlała.

— A może jeszcze i na weselu twoich dzieci potańcować! Wieczny śmiech! Wieczny śmiech!

Benedykt serdecznie ją w głowę i czoło ucałował.

— Uspokój się — rzekł — siadaj i mów mi wszystko, co wiesz o Bohatyrowiczach w ogóle, a o tym narzeczonym Justynki w szczególności. Opiekunem jej jestem, a choć dziewczyna pełnoletnia, energiczna i niegłupia, na wiatr przyzwolenia swego dawać nie mogę. Witoldowi nie bardzo ufam, bo różowe okulary na nosie mu siedzą, ale wiem dobrze, że ty interesowałaś się zawsze tymi ludźmi, teraz na weselu u nich byłaś, słyszałaś — mówże mi wszystko, co o nich wiesz!

Martę znowu wezwanie to uszczęśliwiło, bo znowu przekonywało ją, że na coś potrzebna była, że krewny ufa jej i w rozsądek wierzy. Cicho też na krześle usiadła i ze skupieniem, z rozwagą długo mówiła, opowiadała i nie skończyła jeszcze mówić i opowiadać, kiedy naprzód w sali jadalnej dały się słyszeć spieszne kroki, a potem w drzwiach gabinetu ukazał się Orzelski. Szlafrok na sobie miał, w pasie sznurem przewiązany; smyczek w ręku trzymał. Rumiana, dobroduszna zawsze twarz jego wyrażała teraz gniew i wzburzenie.

— Panie dobrodzieju! — od progu zawołał — to jest te… głupstwo, na które pan dobrodziej pewno pozwolenia swego nie dasz! Pan dobrodziej opiekunem Justynki jesteś i nie spodziewałem się, nie spodziewałem się, aby w domu pana dobrodzieja córkę moją taka te… kompromitacja spotkała…

Sapał głośno, okrągłą postać dumnie prostował, smyczek do góry wzniósł.

— Tu kompromitacji żadnej dla Justynki nie ma — powstając zaczął Benedykt. — Dziewczyna jest pełnoletnia, wolę swoją ma, za kogo zechce, wyjdzie…

— Wyjdzie! Za te… a panu Różycowi, który jest te… całą gębą panem, odmówiła! A jaż, panie dobrodzieju, ja… te… te… co zrobię? Czy ja za nią do te… te… te… prostej chaty pójdę? Ja, panie dobrodzieju, te… te… te… nie przywykłem… tam pewno nawet fortepianu postawić gdzie nie ma… mnie tam te… te… te… te… głodem zamorzą!

Łzy mu oszkliły oczy; z gniewu wpadł w żal, prawie zaszlochał. Benedykt rękę mu na ramieniu położył i z czołem zmarszczonym, z niesmakiem w wyrazie ust, spokojnie jednak rzekł:

— Bądź pan spokojny; jak mieszkałeś w Korczynie, tak mieszkać będziesz. Pewno, że tam wyżyć byś nie mógł. Ale ja z największą przyjemnością panu dom swój nadal ofiaruję. Zresztą, macie u mnie swoją sumkę, którą Justysi częściami tylko będę mógł spłacać…

Orzelski chciwie tych słów wysłuchał i uspokoił się znacznie.

— Ale widzi pan dobrodziej, zawsze to jakoś nie te… aby panienka taki mezalians robiła…

Benedykt zamyślił się na chwilę.

— Mój kochany panie — odpowiedział — przypomnij sobie swoją własną młodość… Może też Justyna szczęśliwsza będzie w tym mezaliansie, niż moja cioteczna siostra była w małżeństwie z panem… zupełnie przecież stosownym.

Orzelski usta trochę otworzył, zmieszał się. Jakieś przypomnienie ugodziło weń i trochę nim wstrząsnęło.

— Serce, panie dobrodzieju… — zaczął — serce nie… te… jeżeli z mojej strony były jakie te… to przez te…

— No — przerwał Benedykt — o przeszłości nie ma co mówić, a o przyszłość swoją bądź pan spokojny. Idź na górę, graj sonatki i serenadki, a Marta ci tam zaraz śniadanie pośle…

Pomyślał chwilę, na smyczek swój spojrzał.

— Kiedy tak — zaczął — to niech sobie Justyna te… ale zawsze to nie wypada, aby panienka za jakiegoś te… te… nie wypada… nie wypada!

Głową kołysząc i wyraz ostatni powtarzając, zupełnie już jednak uspokojony, odszedł. Benedykt długo jeszcze rozmawiał z Martą i z Witoldem, który Kirłową i jej gromadkę do bryczki wsadziwszy i pożegnawszy, spiesznie do ojca przybiegł. Potem w sali jadalnej nakrywanie do stołu usłyszawszy Marty poprosił, aby o parę godzin podanie obiadu powstrzymała, a Witoldowi Justynę zawołać kazał.

Nadbiegła zarumieniona, niespokojna. Sprzeczki i poróżnienia z wujem lękała się.

— Chodź — rzekł do niej Benedykt, kapelusz słomiany na głowę włożył i ramię jej podał.

Odgadła, dokąd ją miał prowadzić, i z okrzykiem radości do rąk mu się rzuciła.

Poszli drogą sunącą białym szlakiem u spłowiałego kobierca pól. Niebo było białe od okrywających je obłoków, pod nim leciały stada jaskółek i

gdzieniegdzie kołysały się jastrzębie. W powietrzu panowała chłodna, smętna, łagodna cisza jesieni.

Kiedy Benedykt i Justyna weszli do zagrody Anzelma i Jana i prędko przebywali przerzynającą duży ogród drogę, na której teraz usychały trawy i żółkły więdnąc białe dzięcieliny[423], siedząca na sapieżance biało-czarna sroka zakrakała, kogut za płotem zapiał i żółty Mucyk wybiegł z podwórka z wielkim szczekaniem. Ale pogładziła go Justyna i pies lisi swój pyszczek do sukni jej tulić a kiściastym ogonem wywijać zaczął, z miłością w oczy jej patrząc.

Potem spostrzegł ich wysoki, zgrabny, złotowłosy chłopak w głębi ogrodu u wrót podwórka odrosłą trawę koszący. Spostrzegł ich i zrazu trwoga uczyniła go jakby martwym, a wszystką krew z ogorzałych policzków spędziła. Ale w mgnieniu oka domyślił się, co znaczyło to wspólne z wujem przybycie Justyny. Niezmierna radość błyskawicami wytrysnęła mu z oczu, kosa z rąk jego na trawę padając błysnęła i brzęknęła. Paru skokami przed Benedyktem się znalazł, przyklął i gorące usta do ręki jego przycisnął. Benedykt nie na niego jednak patrzał, ale na Anzelma, który pod okapem ganku w grube floresy rzeźbionym stojąc przygarbiony trochę, w długiej swej kapocie, powolnym ruchem ręki ku wielkiej baraniej czapce podnosił. Oczy tych dwu ludzi spotkały się z sobą; przez chwilę milcząc na siebie patrzyli. Na koniec, Benedykt, kładąc dłoń na pochylonej przed nim głowie Jana, tonem zapytania wymówił:

— Syn Jerzego?

Anzelm wyprostował się i głowę odkrył. Ze snopa zmarszczek leżącego mu pomiędzy brwiami na wysokie czoło i aż na skronie cienkie nici rozbiegły się niby ukośne promienie. Rękę z wielką czapką wzniósł nieco, na zaniemeński bór nią wskazał i trochę jąkając się odpowiedział:

— Tego sa… samego, który z bratem pańskim w jednej mogile spoczywa!

KONIEC

Przypisy

[1] *borek* — mały bór, lasek.
[2] *margiel* — odmiana skały osadowej złożonej z węglanów wapnia lub magnezu.
[3] *dzięcielina* (gw.) — koniczyna.
[4] *smółka* — kwitnąca na czerwono bylina z rodziny goździkowatych.
[5] *rohula* — ostróżka.
[6] *brodawnik* — mniszek lekarski.
[7] *mietlica* — gatunek trawy.
[8] *mantyla* — najczęściej: krótki płaszczyk lub chustka, lekki szal zakrywający ramiona i głowę kobiet.
[9] *smółka* — niski kwiat z rodziny roślin goździkowatych koloru czerwonego, purpurowego, bordowego i karminowego.
[10] *dzwonek* — kwiat o kształcie dzwonka, najczęściej koloru białego i fioletowego; głównie spotykany w górach.
[11] *globus* (łac. pełna nazwa: *globus histericus*) — kula histeryczna; daw. nazwa znanego objawu zaburzeń nerwicowych polegającego na uczuciu utrudniającego przełykanie i oddychanie ucisku w przełyku.
[12] *antymigrenowy ołówek* — sztyft parafinowo-mentolowy stosowany dla złagodzenia bólu głowy.
[13] *Rigollot* (daw.) — plaster gorczycowy; eponim od nazwiska lekarza fr., będącego wynalazcą tego środka stosowanego przy bólach mięśniowo-stawowych.
[14] *faeton* — lekki powóz używany do spacerów.
[15] *więź* — bukiet.
[16] *facecja* — żart, dowcip.
[17] *absolucja* — rozgrzeszenie.
[18] *kilim* — ozdobny, kolorowy dywanik, najczęściej wieszany na ścianę.
[19] *kasztanowaty* — określenie maści (a więc barwy sierści) konia; maść kasztanowata to taka, w której włosy na ciele, w grzywie oraz ogonie konia są brązowej lub złocistej barwy; możliwe są natomiast tzw. odmastki, czyli np. biała skarpetka na nodze lub gwiazdka na czole.
[20] *gniady* — określenie maści konia; maść gniada to taka, w której włosy tułowia są barwy brązowej, czekoladowej lub złocistobrązowej, zaś sierść nóg i pyska ciemniejsza lub całkowicie czarna, a włosy grzywy i ogona czarne lub ciemnobrązowe.
[21] *kosa* — tu: warkocz.
[22] *strzeczna* (gwar.) — stryjeczna.
[23] *buldeneż* — krzew ozdobny, należący do odmiany kaliny, o dużych, kulistych, najczęściej białych kwiatostanach.
[24] *spirea* — inaczej: tawuła; krzew ozdobny, należący do rodziny

różowatych; drobne kwiaty kształtują duże grona; spirea może kwitnąć na czerwono, różowo, żółto i biało.
[25] *oleander* — wiecznie zielone drzewo ozdobne o dużych czerwonych, różowych lub białych kwiatach i skórzastych liściach.
[26] *dostatek* — bogactwo.
[27] *wschody* — schody.
[28] *arabeska* — wzór złożony z ułożonych symetrycznie elementów geometrycznych oraz motywów roślinnych; tradycyjnie wykorzystywany w kulturze arabskiej (stąd nazwa).
[29] *gotowalnia* — ozdobna toaletka z ruchomym lustrem, niekiedy składająca się z trzech części: dwóch ruchomych skrzydeł i części środkowej.
[30] *etażerka* — ozdobny mebel złożony z umiejscowionych jedna pod drugą półek.
[31] *batyst* — delikatna, przezroczysta tkanina, z której szyte są elementy garderoby; służąca także do ozdabiania wnętrz.
[32] *przyprawny* — dziś popr.: przyprawiony; dodany, dosztukowany.
[33] *synogarlica* — gatunek ptaka z rodziny gołębiowatych o szarym lub beżowym upierzeniu.
[34] Gracje — w mit. rzym. boginie powabu, wdzięku i szczęścia.
[35] *mistyfikować* — zwodzić, oszukiwać, celowo wprowadzać w błąd.
[36] *fluksja* (daw.; z łac. *fluxio*: upływ) — zapalenie dziąseł lub okostnej, często połączone ze zbieraniem się ropy; tu mamy do czynienia ze zniekształconą formą: flukcja.
[37] *zapoznany* (daw.) — zapomniany, niedoceniony.
[38] *welinowy* (z fr. *vélin*: skóra cielęca wyprawiona jak pergamin) — cienki, gładki papier wysokiej jakości.
[39] *płytnik* — flisak.
[40] *rudel* — ster.
[41] *dziesięcina* — tu: ros. miara powierzchni ziemi równa 1,09 ha.
[42] *wiorsta* — daw. ros. miara długości, równa 1,067 km.
[43] *szyderski* — dziś popr.: szyderczych.
[44] Mars — w mit. rzym. bóg wojny.
[45] *ponter* — wyżeł.
[46] Antygona — w mit. gr. córka króla Edypa. Kiedy Edyp po odkryciu swej winy tragicznej (nieświadomie zamordował ojca oraz poślubił matkę) wyłupił sobie oczy i udał się na samowolne wygnanie z Teb do Kolony, Antygona towarzyszyła mu i otoczyła nieszczęsnego opieką.
[47] *paliatywa* (z łac. *pallium*: płaszcz) — środek przynoszący ulgę, nie leczący choroby, ale łagodzący jej objawy.
[48] *fertyczny* — zwinny, szybki, żwawy.
[49] *ze strony* — z zewnątrz, z boku.
[50] *mieć pergaminy* — tu: mieć dowody potwierdzające szlachectwo.
[51] *okopy szwedzkie* — okopy z czasów potopu szwedzkiego (1655-1660).

[52] *sybarytyzm* — postawa charakteryzująca się zamiłowaniem do prowadzenia dostatniego, wygodnego, pełnego zbytków życia.
[53] *kije, które w koła gospodarstw (...) włażąc (...)* — nawiązując do wyrażenia: „wtykać kij w szprychy", czyli przeszkadzać, uniemożliwiać jakieś działanie, autorka metaforycznie pisze o represjach stosowanych po upadku powstania styczniowego przez administrację carską w stosunku do polskich właścicieli ziemskich.
[54] *robota Penelopy* — tu: niekończąca się, nie przynosząca efektu praca. Penelopa jest w mit. gr. uosobieniem wiernej żony; przez 10 lat czekała na powrót swego męża, Odysa, spod Troi. Nakłaniana, by wybrała sobie nowego małżonka, zastosowała zręczny wybieg. Zalotnikom oświadczyła, że wyboru dokona, kiedy utka szatę dla swego teścia (w niektórych wersjach całun dla ojca). Tymczasem to, co utkała w dzień, nocą pruła i tym sposobem doczekała powrotu męża, w którego śmierć jako jedyna nie wierzyła.
[55] *kapryfolium* — wiciokrzew; roślina pnąca, kwitnąca na biało lub różowo.
[56] Adonis — w mit. gr. ulubieniec bogini piękności Afrodyty; tu: czuły kochanek.
[57] *Jak mi nie żal ciebie, że tak (...) się (...) gryziesz ze swoim gospodarstwem (...)* — list Dominika Korczyńskiego pełen jest rusycyzmów i błędów językowych; świadczy o tym, że brat Benedykta uległ w znacznym stopniu rusycyzacji.
[58] *winokurnia* (ros.) — gorzelnia.
[59] *podrady* (z ros.) — dostawy dla wojska i instytucji państwowych.
[60] *po niewoli* — wbrew woli.
[61] *jacica* — (białoruskie: *jetica*) owad zbliżony do motyla, żyjący przez jedną noc podczas godów miłosnych; łowiony przez rybaków jako przynęta dla ryb.
[62] *pręt* — daw. pol. miara długości równa 4,32 m.; 300 prętów kwadratowych to 1 morga.
[63] *comme quoi* (franc.) — jak; jak to.
[64] *na wodach* — w uzdrowisku; mówiono również: u wód.
[65] *tu fais des folies, Clotilde* (franc.) — postępujesz jak szalona, Klotyldo.
[66] *mais puisque je suis folie de toi* (franc.) — ależ ja szaleję za tobą.
[67] *ambarasujący* - kłopotliwy.
[68] *tout lasse* (franc.) — wszystko nuży.
[69] *quand on a mange...* (franc.) — gdy się przejadło milion, czuje się cały wiek na barkach, nieprawdaż?
[70] *pud* — ros. jednostka wagi równa 40 funtom, czyli 16,38 kg.
[71] *brio* (skrót od: wł. *con brio*) — część utworu muzycznego grana z werwą (często: *allegro con brio*).
[72] *on revient toujours a ses premiers amours* (franc.) — zawsze się wraca do pierwszej miłości.
[73] *garnitur* — tu: komplet.

[74] *lemiesz* — metalowa część pługa, zagłębiająca się w ziemię podczas orki.
[75] *polica* — odkładnica; część pługa odkładająca skiby podcięte przez lemiesz.
[76] *przystojny* — tu: przyzwoity, zachowujący się jak przystoi; układny, delikatny.
[77] Cerera — w mit. rzym. bogini urodzaju, patronka uprawy roli.
[78] *Francuzów pamięta…* — tj. pamięta przemarsz wojsk fr. ciągnących pod wodzą cesarza Napoleona przez ziemie polskie na wyprawę na Rosję w czerwcu 1812 r. (24 czerwca Wielka Armia przekroczyła Niemen).
[79] *sapieżanka* — odmiana gruszy.
[80] *gęszcz* — dziś: gęstwina.
[81] *świron* (a. *świrna*; (daw.) — spichlerz, magazyn.
[82] *promocja* — tu: zaszczyt.
[83] *hipochondria* — zaburzenie nerwicowe przejawiające się poczuciem nieuzasadnionego lęku o zdrowie lub równie bezpodstawnym przekonaniem, że cierpi się na poważną chorobę; powoduje to nadmierne skupienie na własnym ciele. Tu mamy do czynienia ze zniekształconą formą: *hipokondria*.
[84] *bonkreta* (…) *francmaclama* — odmiany grusz.
[85] *kalwinka*, *sztetyna* — odmiany jabłoni.
[86] *assamble* (z fr.) — zebrania towarzyskie.
[87] *koromysło* — nosidło do noszenia wiader na barkach.
[88] *kondemnacja* (z łac. *condemnatio*: skazanie) — zaoczny wyrok sądowy.
[89] *sztraf* (z niem.) — kara.
[90] *włoka* (a. *włóka*) — dwa skrzyżowane kije, na których po skończonej orce ciągnie się pług z pola do domu; por. czasowniki: włóczyć, wlec.
[91] *jak litewski naród przyjął chrześcijańską wiarę* — tj. w 1387 r.
[92] *subiekcja* (daw.) — kłopot.
[93] *kontent* — zadowolony.
[94] *kab* (białorus.) — żeby.
[95] *ożyna* — jeżyna.
[96] *łotoć* (białorus.) — kaczeniec.
[97] *kipiątek* — wrzątek; por. czas. kipieć.
[98] *dzięgiel* — roślina z rodziny selerowatych, kwiaty w kulistych baldachach mają kolor biały, u niektórych odmian czerwonawy; wyróżnia się mocnym, charakterystycznym zapachem.
[99] *memento mori* (łac.) — pamiętaj o śmierci.
[100] *kondycja* — tu: stan, pozycja społeczna, pochodzenie.
[101] *bojar* — szlachcic litewski lub ruski.
[102] *O uprawianie ziemi było im bynajmniej* (gw.) — nie dbali o uprawianie roli.
[103] *mularka* — murarstwo.
[104] *białe, by lilie* — białe niby lilie.
[105] *tarakan* — karaluch, karakan.

[106] *podczas* — tu: czasem.
[107] *terlica* (a. *tarlica*, *cierlica*) — drewniany przyrząd do łamania i zgniatania albo międlenia lnu i konopii.
[108] *ptastwo* — dziś popr.: ptactwo.
[109] *niewód* — długa sieć rybacka, złożona z matni i skrzydeł, ciągniona na dwóch łodziach, często używana do połowu pod lodem.
[110] *nobilitować* — nadawać szlachectwo.
[111] *klejnot* — tu: herb szlachecki.
[112] *duszny* (daw.) — dziś: duchowy.
[113] *orz* — tryb rozkazujący 2 os. lp od czas.: orać.
[114] *częstokół* — ogrodzenie z wbitych w ziemię drewnianych pali.
[115] *wybrzeże* — tu: brzeg
[116] *ajer* — tatarak.
[117] *łoza* — krzew z rodziny wierzbowatych, osiągający wysokość do 5 m; wierzba szara.
[118] *przyparty* — tu: przylegający.
[119] *mirt* — rodzaj krzewu pochodzenia śródziemnomorskiego.
[120] *rozmaryn* — rodzaj krzewu pochodzenia śródziemnomorskiego, jego liście są używane jako przyprawa do mięs.
[121] *hładysz* — gliniany dzban bez ucha do zbierania mleka.
[122] *łozina* — gałązka wierzby.
[123] *niecka* — podłużne, drewniane naczynie.
[124] *tołubek* — ciepły kaftan noszony po domu.
[125] *perkal* — rodzaj cienkiego płótna.
[126] *kibić* — górna część tułowia.
[127] *ogorzały* — mocno opalony.
[128] *dzieża* — duże, drewniane naczynie, służące do rozrabiania ciasta na chleb.
[129] *naglądać* (reg.) — doglądać.
[130] *dziewka* (daw.) — dziewczyna, służąca.
[131] *miesić* — rozrabiać ciasto.
[132] *robota Penelopy* — niekończąca się praca. W mit. gr. Penelopa była żoną Odyseusza, która przez 20 lat czekając na nieobecnego męża, który brał udział w wojnie trojańskiej, w dzień tkała, a w nocy pruła swoją robotę, gdyż po jej zakończeniu musiałaby wybrać na nowego męża jednego z zalotników.
[133] *wprzódy* — przedtem.
[134] *przeszłoroczny* — zeszłoroczny.
[135] *zrezygnować się na coś* (prow.) — pozostawić bez kary, potraktować pobłażliwie.
[136] *oficjalista* (daw.) — urzędnik.
[137] *namiestnik* — zastępca ekonoma, gumienny.
[138] *pud* (ros.) — jednostka wagi, wynosząca nieco mniej niż 16,5 kg.
[139] *opędzać potrzeby domowe* — pokrywać, zaspokajać domowe potrzeby.

[140] *spichrz* — budynek przeznaczony do przechowywania żywności; spichlerz.
[141] *zagon* — długi, wąski pas ziemi.
[142] *sukienny* — uszyty z sukna, tj. grubej tkaniny wełnianej.
[143] *fuzja* — długa broń palna.
[144] *przymiot* — cecha, zaleta.
[145] *szory* — rodzaj uprzęży; szeroki skórzany pas zakładany na pierś konia wraz z pomocniczymi rzemieniami.
[146] *szamerowany* — obszyty ozdobnym sznurem.
[147] *muślin* — półjedwabna tkanina.
[148] *paltot* (przestarz.) — okrycie wierzchnie; palto.
[149] *binokle* (daw.) — okulary
[150] *faworyt* — ulubieniec.
[151] *swawolny* — niesforny, rozbrykany.
[152] *mahoniowy* — z ciemnoczerwonego drewna mahoniowca a. w kolorze mahoniu.
[153] *marcepan* — słodka masa z migdałów i cukru, symbol luksusu.
[154] *łajać* — strofować, ganić.
[155] *rubaszny* — swobodny, prosty.
[156] *okropne przyzwyczajenie* — chodzi tu o uzależnienie od narkotyku.
[157] *cynizm* — w znaczeniu potocznym: lekceważenie obowiązujących zasad moralnych i obyczajowych.
[158] *parafianka* — tu: kobieta z prowincji.
[159] *faryzeusz* — członek żydowskiego stronnictwa polityczno-religijnego; przen. człowiek obłudny.
[160] *toaleta* — mebel z lustrem i szufladami, służący najczęściej kobietom.
[161] *kokietka* (przestarz.) — kobieta zalotna.
[162] *osoba kryształowa* — osoba bez skazy, z zasadami.
[163] *pensjonarka* — uczennica pensji dla dziewcząt; osoba niedoświadczona, niewinna.
[164] *całopalenie* — ofiara całopalna, polegająca na spaleniu całego zwierzęcia poświęconego na ofiarę; tu: symbol poświęcenia.
[165] *passons* (fr.) — mniejsza z tym.
[166] *toujours des perdrix* (fr.) — „zawsze kuropatwy"; wyrażenie przysł., oznaczające nieustanną pogoń za wykwintem i rozkoszą.
[167] *admiracja* — podziw, uwielbienie.
[168] *entre nous* (fr.) — między nami (mówiąc).
[169] *amfibia* — organizm zdolny poruszać się zarówno w wodzie, jak i na lądzie.
[170] *impossible* (fr.) — niemożliwe.
[171] *advienne ce que pourra* (franc.) — niech się dzieje, co chce.
[172] *bałamucić* — uwodzić, kokietować.
[173] *ufryzowany* (przestarz.) — ułożony w loki.
[174] *zgryzota* — zmartwienie, smutek.

[175] *prosperować* — rozwijać się pomyślnie.
[176] *tantiema* — procentowy udział w zyskach.
[177] *Ce que femme veut, Dieu le veut* (fr.) — czego chce kobieta, tego chce i Bóg.
[178] *kotuch* (gwar.) — zagroda na ptaki domowe, kojec.
[179] *pąsowy* — czerwony.
[180] *topól* — topola.
[181] *prace podstawowe i minimalne…* — Witold, jako przedstawiciel młodego pokolenia pozytywistów, zapoznaje Marynię z głównymi założeniami nowego prądu, zalecającego ograniczenie się do „małego" programu reform, zwanego inaczej programem pracy od podstaw i pracy organicznej. Sprowadzał się on przede wszystkim do haseł gospodarczego rozwoju kraju i podniesienia oświaty wśród ludu w ramach ustroju kapitalistycznego.
[182] *Lecą liście z drzew* (…) — początek pieśni Wincentego Pola (1807–1872) ze zbioru *Pieśni Janusza*, zatytułowanej *Śpiew z mogiły*. (W oryginale początek brzmi: „Leci liście z drzewa") Według niezupełnie pewnych danych muzykę do słów tej pieśni ułożył Fryderyk Chopin.
[183] *bronchit* — ostre zapalenie oskrzeli.
[184] *fellach* — chłop egipski; od arabskiego *falah*: orać. Nazwa stosowana do osiadłej ludności Egiptu, Arabii, Palestyny.
[185] *w przechodzie* — przechodząc.
[186] *konsola* — stolik pod lustrem, zwykle przytwierdzony do ściany.
[187] *filuterność* — zachowanie prowokujące, zalotne.
[188] *eksplikować się* — tłumaczyć się, uniewinniać.
[189] *koligatka* — osoba spokrewniona z zamożnymi i wpływowymi rodzinami szlacheckimi.
[190] *facecja* — żart.
[191] *sybaryta* — osoba lubiąca rozrywki, zbytki.
[192] *siermięga* — odzież wierzchnia, noszona przez chłopów w dawnej Polsce.
[193] *wędzidła* — tu w znaczeniu: kije od wędek.
[194] *kiełb* — rodzaj słodkowodnej ryby.
[195] *babka* — ważka.
[196] *nokturn* — rodzaj utworu muzycznego.
[197] *ske la fam we* — to, czego chce kobieta; tu w pisowni naśladującej niepoprawną wymowę.
[198] *Je viens de m'incliner* (…) (fr.) — kłaniam się kornie, pani, przed tobą, cała moja duma jest jeszcze na kolanach.
[199] *Aimer c'est douter*(…) (fr.) — kochać to wątpić o kimś drugim i o sobie samym, widzieć się kolejno wzgardzonym i zdradzonym.
[200] Musset Alfred (1810–1857) — fr. poeta i dramaturg z epoki romantyzmu. Jego liryki miłosne i poematy cechuje pesymizm, niewiara w człowieka i gorzka ironia. Pełne realistycznych obserwacji utwory sceniczne Musseta (wykpiwające wady i śmieszności burżuazji francuskiej)

cieszą się do dziś niesłabnącym powodzeniem.
[201] *fuga* (starop.) — szpara, szczelina, wcięcie.
[202] *ściernisko* — pole, na którym po żniwach pozostały łodygi zbóż.
[203] *sapieżanka* — rodzaj gruszy.
[204] *chorowito* — dziś: chorowicie.
[205] *pleczysty* — mający silne plecy; dobrze zbudowany.
[206] *ścierń* — pozostałe po żęciu łodygi zbóż.
[207] *zasęp* — smutek.
[208] *desperować* — rozpaczać.
[209] *hodować* — wychowywać.
[210] *korowaj* — białoruska nazwa placka weselnego.
[211] *horować* (gwar.) — harować, ciężko pracować.
[212] *kukawka* (gwar.) — kukułka.
[213] *powrósło* — pasło słomy, służące do przewiązywania snopków zboża.
[214] *kąkol* — gatunek goździka.
[215] *brodawnik* — dmuchawiec.
[216] *kiepkować* — żartować.
[217] *tęskliwa* (starop.) — tęskniąca.
[218] *gomuły* — tu: niezdary.
[219] *harbuzy* (gwar.) — głupcy (*Słownik gwar* Jana Karłowicza cytuje tu Orzeszkową jako źródło).
[220] *spasać* — zużyć na paszę.
[221] *ubliga* — obelga.
[222] *pylinka* — pyłek
[223] *sołdat* — pogardliwie o żołnierzu rosyjskim; wziąć kogoś w sołdaty: wziąć kogoś do wojska.
[224] *kontenty* — zadowolony.
[225] *cep* — narzędzie do młócenia zboża.
[226] *fanfaron* — osoba zarozumiała.
[227] *aspirant* — osoba ubiegająca się o coś.
[228] *zwątpiałość* — zwątpienie.
[229] *odkład* — przełożenie, odłożenie czegoś na później.
[230] *Psalmy Kochanowskiego* — mowa tu o *Psałterzu Dawidów*, wydanym po raz pierwszy w r. 1579 i odtąd wielokrotnie przedrukowywanym.
[231] *Ogrody północne* — w w. XIX był to podstawowy podręcznik ogrodnictwa, napisany przez J. Strumiłłę; od r. 1820 do 1862 miał 6 wydań.
[232] *kruczek* — tu: haczyk.
[233] *margiel* — rodzaj jasnoszarej skały osadowej.
[234] *rozłóg* — rozległy obszar.
[235] *cząber* — rodzaj rośliny zielnej, używanej jako przyprawa.
[236] *krwawnik* — rodzaj rośliny o pierzastych liściach i białych lub różowych kwiatach.
[237] *nieśmiertelnik* — roślina z rodziny astrowatych.
[238] *podługowaty* — podłużny.

[239] *kampanula* — dzwonek leśny.
[240] *kolebka jej stała już w katakumbie* — tu: wychowała się w trudnym dla polski okresie popowstaniowym.
[241] *Feuilletowskie powieści* — tzn. Oktawa Feuilleta (1821–1890), pisarza francuskiego, autora poczytnych niegdyś powieści obyczajowych drugorzędnej wartości literackiej.
[242] *brusznica* (gwar.) — borówka.
[243] *czernica* (gwar.) — czarna jagoda.
[244] *aprensja* — właśc. *aprehensja*: nieokreślona obawa przed czymś, co ma się zdarzyć, podejrzenie, lękliwość, smutek.
[245] *poszana* — poszanowanie, szacunek.
[246] *rudel* — wiosło.
[247] *makolągwa* — niewielki ptak śpiewający.
[248] *morderowy* — brunatnoczerwony.
[249] *boćwina* — młode liście i łodygi buraków.
[250] *kruczek* — tu: pogrzebacz.
[251] *zrobić promocję* — przysporzyć popularności.
[252] *ambicjant* — osoba ambitna, z dużym poczuciem własnej godności.
[253] *morga* — dawna miara gruntu.
[254] *kaszmir* — miękka tkanina z wysokogatunkowej wełny kóz kaszmirskich (Azja).
[255] *aprensja* — troska, smutek.
[256] *czeczotkowe drzewo* — drzewo z pnia brzozy (lub topoli), sękowate, służy do wyrobu kosztownych mebli i przedmiotów.
[257] *zydel* — drewniany stołek.
[258] *tetryk* — osoba zgorzkniała, zgryźliwa.
[259] *samowar* — urządzenie do gotowania wody i przyrządzania herbaty.
[260] *mówny* — rozmowny.
[261] *uzwyczajenie* — przyzwyczajenie.
[262] *dojnica* — naczynie na mleko.
[263] *festyna*, właśc: *festyn* — uroczystość. Mowa tu o okresie przygotowań do powstania styczniowego.
[264] *zaćma* (gwar.) — zaćmienie.
[265] *dużać się* a. *dążać się* (gwar.) — mocować się, pasować się.
[266] *wskrzesnąć* — zmartwychwstać; tu w znaczeniu przenośnym.
[267] *ubiegać* (gwar.) — unikać, omijać.
[268] *przeddziad* — prawdziad.
[269] *bałamutnik* — mężczyzna uwodzący kobiety.
[270] *gumno* — stodoła.
[271] *koafiura* — fryzura.
[272] *lichy* — o małej wartości artystycznej.
[273] *kamrat* — towarzysz.
[274] *podtenczas* — wówczas.
[275] *alterować się* — martwić się.

[276] *jacica* — owad wodny, uważany przez rybaków za świetną przynętę.
[277] *sfatygować* — zmęczyć.
[278] *wielki Ludwik* — Ludwik XIV (1638–1715), król Francji, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej.
[279] *Kondeusz, książę de Luynes* (…) — wyliczeni tu są przedstawiciele arystokracji francuskiej, dworzanie Ludwika XIV.
[280] *zafrasowany* — zmartwiony.
[281] *sonata* — rodzaj utworu muzycznego.
[282] *trusia* — osoba trwożliwa, nieśmiała.
[283] *swacha* — swatka.
[284] *dać harbuza* — odmówić kawalerowi reki panny.
[285] *ordynarny* — pospolity.
[286] *nieosobliwy* — nieszczególny.
[287] *ogród angielski* — w przeciwieństwie do francuskiego, odznacza się swobodnym zadrzewieniem (bez regularnych alejek i strzyżonych drzew) oraz dążeniem do zachowania naturalności krajobrazu.
[288] Spartanki — mieszkanki starożytnej Sparty; stały się symbolem surowych obyczajów, niezłomności i hartu.
[289] *adamaszek* — gruba, wzorzysta tkanina jedwabna; zwana tak od Damaszku, gdzie ją początkowo wyrabiano.
[290] *łzawnica* a. *łzawica* — naczynie, w którym poganie mieli rzekomo przechowywać łzy wylewane na pogrzebach.
[291] *siermięga* — wierzchnie ubranie noszone przez chłopów w daw. Polsce.
[292] Hugo, Victor (1802–1885) — fr. poeta, dramaturg, powieściopisarz i publicysta; przedstawiciel postępowego nurtu w romantyzmie europejskim. Doniosłą rolę w rozwoju realistycznej powieści odegrały czołowe utwory Hugo m. in.: *Człowiek śmiechu* i *Nędznicy*; protestujące ostro przeciw krzywdzie społecznej. W księgozbiorze Zygmunta znalazły się zapewne jego nacechowane pesymizmem *Ody* (1822), napisane w okresie młodzieńczym.
[293] Byron, Georges (1788–1824) — jeden z największych poetów angielskich, czołowy przedstawiciel romantyzmu; utwory jego były wyrazem buntu i ostrej krytyki wobec panujących stosunków polityczno-społecznych.
[294] Shelley, Percy Bysshe (1792–1822) — angielski poeta epoki romantycznej, uczestnik walk o wolność Irlandii, życiem i twórczością dał wyraz swemu umiłowaniu wolności. Wśród arystokratycznych czytelników znane i popularne były tylko jego liryki erotyczne.
[295] Feuillet, Octave (1821–1890) — pisarz francuski.
[296] Leopardi, Giacomo (1798–1837) — wybitny włoski poeta romantyczny; załamany klęską ruchu narodowowyzwoleńczego, a jednocześnie nieuleczalnie chory, wyzwolenie człowieka widział jedynie w śmierci, stąd pesymistyczny ton jego utworów.
[297] Dumas, Aleksander (1802–1870) — powieściopisarz i dramaturg

francuski, popularny twórca awanturniczych powieści opartych na motywach historycznych; autor: *Trzech muszkieterów*, *Hrabiego Monte-Christo* i in.

[298] Braddon, Mary Elizabeth (1837–1915) — angielska autorka powieści sensacyjnych.

[299] Claretie, Jules (1840–1913) — autor dramatów i popularnych powieści z życia paryskiego.

[300] Craven, Pauline (ok. 1808–1891) — konserwatywna pisarka francuska, autorka powieści z życia dworskiego.

[301] Tasso, Torquato (1544–1599) — poeta włoski, autor *Jerozolimy wyzwolonej*, 8 lat spędził w szpitalu więziennym.

[302] Milton, John (1608–1674) — poeta angielski, po utracie wzroku główny swój utwór, *Raj utracony*, dyktował żonie i córkom.

[303] *sybarytyzm* — od: sybaryta, czyli określenia człowieka rozmiłowanego w zbytku, wygodach i przyjemnościach życia.

[304] *kuszetka* (z fr. *couchette*) — tu w zn. kanapka, kozetka.

[305] *dracena* a. *smocze drzewo* — drzewo z rodziny liliowatych o grubym, rozgałęziającym się pniu i dużych liściach. Występuje tylko na Maderze i Wyspach Kanaryjskich. Niektóre gatunki hodowane są w doniczkach jako ozdobne.

[306] *Tiens, tiens! Clotilde* (fr.) — no, no! Klotyldo.

[307] *Quelle idée* (fr.) — cóż za pomysł.

[308] *Elle a de la chance…* (fr.) — ma szczęście… takie, takie… takie nic.

[309] *impossible* (fr.) — niemożliwe.

[310] Diana — starorzymska bogini łowów i lasów, przedstawiana w sztuce starożytnej jako kobieta będąca uosobieniem piękna i zdrowia.

[311] *une fille sans naissance…* (fr.) — dziewczyna bez urodzenia i ogłady, takie kompletne nic.

[312] *Que veux tu, chere enfant?* (fr.) — czegóż chcesz, drogie dziecko?

[313] *Ne deraisonnez pas, ma mignonne* (fr.) — bądź rozsądna, maleńka.

[314] *zakon* — tu: prawo.

[315] Fryne — właśc. Mnesarete (IV w. p.n.e.), słynna hetera grecka, kobieta lekkich obyczajów. Uważana była za wcielenie kobiecego piękna i wielokrotnie służyła jako model słynnym rzeźbiarzom i malarzom.

[316] *nee* (franc.) — z domu (nazwisko panieńskie).

[317] *ma taką postać, jakby do nieba miała się wnet dostać* — zniekształcony cytat z *Marii* Antoniego Malczewskiego, romantycznej powieści poetyckiej o dziejach nieszczęśliwej miłości; zacytowane słowa stosują się w utworze do głównej, tytułowej bohaterki, która ostatecznie istotnie umiera.

[318] *ordynaria* — część wynagrodzenia służby dworskiej wypłacana w naturze.

[319] *kurtę kroić* — dać komuś nauczkę.

[320] *parantela* — krewni należący do jednego, tego samego rodu.

[321] *na dewocji siedzieć* — potocznie: mieszkać w klasztorze bez składania

ślubów zakonnych.
[322] *ruleta* — gra hazardowa.
[323] *sztos* — hazardowa gra w karty.
[324] *pacht* — dzierżawa.
[325] *metresa* (przestarz.) — utrzymanka, kochanka.
[326] *hipopotaurus*, *mastodont* — nazwa dawno wymarłych zwierząt, tu przenośnie: człowiek niewspółczesny, zacofany.
[327] Buszmenki — kobiety jednego z koczowniczych plemion murzyńskich Afryki południowej. Orzeszkowa często używa tego określenia w stosunku do kobiet z arystokracji, pragnąc zaznaczyć, że powierzchowna kultura salonu bliższa jest stanowi „dzikości" niż prawdziwej cywilizacji.
[328] *alteracja* (przestarz.) — wzburzenie, niepokój.
[329] *menuet* — wytworny, dworski taniec francuski z XVII–XVIII w.
[330] *asygnatka*, właśc. *asygnata* — dokument w formie kwitu kasowego będący dowodem dokonanych wpłat lub wypłat.
[331] *przyrobek* — w gwarach istnieje słowo „przyrobiska" oznaczające grunta powstałe na karczowiskach; tu raczej w znaczeniu: powiększenie, to, co zostało przyrobione.
[332] *elegijny* — smętny, żałosny.
[333] *fundować się* —tu: umacniać się, utwierdzać.
[334] *swacha* — zasadniczo każda mężatka uczestnicząca w weselu; także kobieta wykonująca pewne funkcje obrzędowe na weselu.
[335] *entrechat* (fr.) — figura taneczna; skok ze skrzyżowaniem nóg.
[336] *metalowa turkawka* — zapewne rodzaj szybko wirującej zabawki dziecięcej.
[337] *kakawelo* — wyraz nienotowany w słownikach.
[338] *salicel*, prawidłowo: *salicyl* — składnik różnych lekarstw, m.in. proszków uśmierzających ból.
[339] *koczyk*, właśc. *kocz* — czterokołowy, półkryty wóz używany od XVI–XIX w.
[340] *ils ont peche* (…) (fr.) — zgrzeszyli, lecz niebo jest darem; kochali, i to jest pieczęcią przebaczenia.
[341] *quand meme* (fr.) — pomimo wszystko.
[342] *les beaux restes* (fr.) — piękne resztki, ostatki.
[343] *parions* (fr.) — założmy się.
[344] *oh, comme je te connais* (…) (fr.) — o jakże cię znam, moja mała, kochana mamo.
[345] *la belle au bois dormant* (fr.) — śpiąca królewna.
[346] *mon adorée maman* (fr.) — uwielbiana mamo.
[347] *que sais-je* (fr.) — czy ja wiem.
[348] *J'en ai assez* (fr.) — mam tego dość.
[349] *non* (fr.) — nie.
[350] *qui me monte à la gorge* (fr.) — to podchodzi mi do gardła, dusi.
[351] *pardon* (fr.) — przepraszam.

[352] *fakir* — asceta, pokutnik hinduski.
[353] *kameduł* — członek zakonu o surowej regule, zobowiązany do umartwień i długotrwałego milczenia.
[354] *ce n'est pas mon fait* (fr.) — to nie moja rzecz.
[355] *voilà* (fr.) — otóż to.
[356] *Ça dépasse toute idée* (fr.) — to przechodzi wszelkie wyobrażenie.
[357] *j'en suis desole* (franc.) — jestem zmartwiony, martwi mnie to.
[358] *kotki* — ludowa nazwa koniczyny polnej.
[359] *koński ząb* — ludowa nazwa kukurydzy pastewnej.
[360] *krwawnik* — tu: krwawnik pospolity, bylina o kwiatach białych lub białoróżowych.
[361] *chwoszczaj* — białoruska nazwa skrzypu.
[362] *wygarnirowany* — przyozdobiony.
[363] *swania*, *swańka* (gwar.) — zasadniczo każda mężatka uczestnicząca w weselu; także kobieta wykonująca pewne funkcje obrzędowe na weselu (w *Słowniku gwar* Karłowicza Orzeszkowa podana jako źródło tej formy).
[364] *jednym mąka, drugim miękina* — przysłowie: dla jednych mąka, dla drugich plewy.
[365] *prunelkowy bucik* — tj. pokryty czarną, szorstką tkaniną wełnianą.
[366] *języczna* (gwar.) — gadatliwa, kłótliwa.
[367] *podczas* (gwar.) — tu: czasami.
[368] *turniura* — poduszeczka kładziona z tyłu spódnicy damskiej zgodnie z wymaganiami mody dziewiętnastowiecznej.
[369] Łunna — wieś w pobliżu Grodna, znana Orzeszkowej z pobytu wakacyjnego.
[370] Eros (mit. gr.) — bóg miłości, przedstawiany zwykle jako skrzydlate dziecko, uzbrojone w łuk i strzały.
[371] *sępem stawać* — tu: przeciwstawiać się, walczyć.
[372] *na gańbę dekretować* — wyrażać naganę, orzekać winę niehonorową.
[373] *czajka* — lekka łódka.
[374] *Za Niemen tam precz (…)* — początek pieśni Augusta Bielowskiego (1806–1876), która współcześnie cieszyła się wielką popularnością (tu w wersji nieco zmienionej).
[375] *oczerety* — trzciny.
[376] *mozol* (gwar.) — zgrubienie i stwardnienie naskórka na ręce lub nodze.
[377] *półtorasta* (przestarz.) — sto pięćdziesiąt.
[378] *negliż* — niekompletny ubiór, zwykle dzienna lub nocna bielizna.
[379] *szezlong* — kanapa w kształcie wydłużonego fotela, na której można odpoczywać w pozycji półleżącej.
[380] *androny* — głupstwa; najczęściej w wyrażeniu: pleść androny.
[381] *facecja* (przestarz.) — krótkie zabawne opowiadanie; tu: głupstwo.
[382] *zaprzaństwo* (daw.) — dopuszczenie się zdrady, zaparcie się prawdy, ideałów itp.
[383] *war* (daw.) — wrzący płyn, tu: wrażenie gorąca odczuwane z powodu

silnych emocji.
[384] *welin* — luksusowy, cienki, gładki papier.
[385] *świetlica* (daw.) — pomieszczenie w chatach służące do zebrań, życia towarzyskiego; jasno oświetlone, stąd nazwa.
[386] *gumno* — budynek, w którym składano zboże przed wymłóceniem.
[387] *basetla* — ludowy instrument strunowy.
[388] *świrno* (z lit.) — spichlerz.
[389] *ekonom* — nadzorca prac rolnych w dawnych majątkach ziemskich.
[390] *mila* — jednostka dł. równa 1609 m.
[391] *ordynek* (daw.) — ustalony porządek.
[392] *wóz drabiniasty* — wóz o bokach przypominających drabiny.
[393] *bombiasty* — kształtem podobny do kuli.
[394] *kilimek* — mały kilim: dwustronny dywan do dekoracji ścian i podłóg.
[395] *motek* — nici, przędza zwinięte luźno w podłużny pęczek lub nawinięte na szpulkę.
[396] *dyszkant* — głos chłopięcy odpowiadający skalą sopranowi.
[397] *butny* — pewny siebie.
[398] *płótno kużelne* — proste płótno domowej roboty.
[399] *windować* (pot.) — wnosić na górę, podnosić coś ciężkiego.
[400] *aktorka* — sukcesorka; jedyna dziedziczka majątku.
[401] *stanik* (daw.) — górna część sukni od ramion do pasa (bez rękawów).
[402] *kibić* (przestarz.) — talia.
[403] *kosa* (poet.) — warkocz.
[404] *sobolowy* — brązowy.
[405] *kałamyszka* — mały, jednokonny wóz; zdrobnienie od kolimaga: pakowny wóz z budą.
[406] *ambaras* (przestarz.) — kłopot sprawiany przez jakąś osobę albo trudna, przykra sytuacja.
[407] *kompania* (daw.) — towarzystwo.
[408] *ściernisko* — pole, na którym pozostały po żniwach kłujące łodygi zbóż.
[409] *dekret* — akt prawny mający moc ustawy.
[410] *firmament* — niebo.
[411] *koczyk* — mały, półkryty powozik.
[412] *najtyczanka* — rodzaj bryczki (nazwa od miasta Neu-Tischein).
[413] *buduar* (przestarz.) — pokój pani domu służący do odpoczynku.
[414] *fornalski* — wykonujący pracę na roli.
[415] *siermięga* — wierzchnie ubranie noszone przez chłopów w daw. Polsce.
[416] *peniuar* — elegancki, poranny kobiecy strój domowy.
[417] *pretensja* — prawo, które ktoś sobie rości do czegoś.
[418] *globus* (łac. *globus hystericus*) — objaw chorobowy polegający na odczuwaniu wrażenia zatykania gardła.
[419] *mezalians* — małżeństwo z osobą nieodpowiednią ze względu na pochodzenie lub majątek.
[420] *staccato* (wł.) — w muzyce określenie artykulacyjne oznaczające, że

każdy dźwięk należy grać oddzielnie i dwa razy krócej niż jego zanotowana wartość.

[421] *allegro* (wł.) — wesoło, żywo.

[422] *andatissimo* (wł.) — spokojnie.

[423] *dzięcielina* (reg.) — gatunek koniczyny.